ROCZNIKI POLSKIE

TOM IV.

WYDANIE
BIBLIOTEKI POLSKIÉJ W PARYŻU.

ROCZNIKI POLSKIE

Z LAT

1857-1861

TOM CZWARTY

ROK 1860 - 1861

PARYŻ
DRUKARNIA E. MARTINET
ULICA MIGNON, 2
1865





SPIS RZECZY

TOMU CZWARTEGO.

ROCZNIKI POLSKIE

WZGLĘDY POLSKIE W SPRAWIE WŁADZY ŚWIECKIÉJ PAPIEŻA.

WSTĘP.

18 lutego, 1860.

Wbrew wszelkim dziennikarskim zwyczajom i zasadom, wstrzymaliśmy przez kilka tygodni ogłaszanie naszego pisma, bośmy w sprawie, która w obecnéj chwili wszystkie umysły zajmuje, w sprawie Państwa Kościelnego, nie mogli przyjść do takiego rzeczy zrozumienia i przedstawienia, iżby sumienie każdego z nas zarówno było zaspokojone. Niejedność zdania, nie tyle co do istoty rzeczy, ile co do różnych jéj odcieni i możebnych następstw, jak w całym świecie, tak i w naszém, szczupłém, pojawiła się gronie i nie wahamy się wypowiedzieć to otwarcie: bo jeśli przerwa, na którą naraziliśmy czytelników, musi stać się w ich oczach dowodem naszéj niemocy, to może posłuży także za znak pewnéj sumienności, z jaką pragnęliśmy zawsze zdawać, sobie i publiczności, sprawę z toczących się koło nas wypadków. Nietylko do tak przeciągłego milczenia i ważenia znagliła

nas kwestya, niespodzianie rzucona w zamęt wydarzeń i sumień: zmusiła jeszcze wkońcu pismo nasze do zrzeczenia się na teraz — mamy nadzieję, że nie na długo — pomocy z wielu miar drogiéj i upragnionéj. A wszakże, jeszcze i teraz, odzywając się w tym przedmiocie, nie przynosimy bynajmniéj pomysłu, któryby rozwiązywał trudności, i wobec zadań europejskich, tak licznych i ważnych a tak głęboko poruszonych, wobec względów wielostronnych serce polskie wiążących, nie czujemy się w możności rozstrzygnienia sporu. Nie wydajemy wyroku, składamy tylko motywa. Czytelnikom polskim chcielibyśmy głownie przedstawić powody, które każdego z nas upomnieć powinny do wielkiéj w téj sprawie rozwagi.

I

W chwili walki o niepodległość Włochów, walki toczonéj pod wspólną Francyi i Sardynii chorągwią, każdy Polak, jakby własném szczęściem, cieszył się postępami armii sprzymierzonéj: bo każdy czuł, że na polu zasad, nasza to już własna rozgrywa się sprawa. Lecz i później, gdy pokój zawarto i na półwyspie, choć niezupełnie wyzwolonym, otworzyło się dla Włochów przestronne pole do rozwijania i wiązania sił narodowych, serdecznie przeklaskiwaliśmy téj zgodzie i rządności, jaką w tak trudnym razie umieli zachować. Bośmy znowu przeczuwali, że ład i dzielność, których dowiodą kończąc własnemi siłami dzieło swego odrodzenia, o tyle więcéj innych narodów przyszłe oswobodzenie ułatwi, tym narodom zostawi przykład jak niepodległości dostępować, a Europę przekona, że takie na jéj łonie powstające lub odradzające się państwa są dla niéj istotną korzyścią i chwałą.

Dopóki bój toczył się z Austryą, i póki chodziło o

wyswobodzenie narodu z pod rządów cudzoziemskich: dopóty w oczach każdego Polaka, sprawa ta była jasną, prostą, niewątpliwą; dopóty żadnéj między niemi nie było i być nie mogło różnicy. Nikt pewno z Polaków nie troszczył się także o prawa tych książąt, którzy w chwili walki o niepodległość narodową, stanęli pod sztandarem zaborcy: jego przegrana była, w sumieniu naszém, przegraną i dla nich, mimo wszelkich późniejszych stypulacyj. Ale wypadki poszły daléj. Nadzieją lepszéj dla Włochów przyszłości ożywieni, od Piemontu zachęceni, poparci, mieszkańcy jednéj prowincyi Państwa Kościelnego skorzystali z ustąpienia wojsk austryackich i wypowiedzieli posłuszeństwo swemu rządowi. Bezwątpienia, jak każdy naród, mieli i Romaniole prawo oświadczyć, że system ich rządu jest im niedogodny; mieli prawo, skoro mieli siłę, o własném swoim postanowić losie. Spór to znajomy w dziejach każdego narodu, w którym zwycięztwo poddanych pociąga za sobą odmianę systemu albo nawet dynastyi; a prawom i konsekwencyom téj walki ulegać musi, pod pewnym względem, nawet Papieża rząd świecki, jakkolwiek wyjątkowe jego położenie. Ale czy Piemont, nie wydając wojny sąsiedniemu monarsze, owszem uznawszy jego neutralność, miał prawo poddanych tegoż monarchy, w ich oporze zachęcać i wspierać? Inne to wcale pytanie....

II

Nie tu miejsce opowiadać, jakim sposobem odłączenie się jednéj prowincyi Państwa Kościelnego, podało nagle w wątpliwość utrzymanie całego państwa, i jakim zbiegiem okoliczności, Kongres zwołany dla zamknięcia sprawy włoskiéj, rozchwiał się może na długo. Nie wiemy, co na tém Włochy, Francya i Europa zyskają: ale jeżeli godzi się, nawet w tym razie, o własnéj pa-

miętać sprawie, to wyznajem, że nam trudno się cieszyć, bo trudno dojrzeć korzyści, któreby za odroczeniem wielkiego aeropagu spaść miały na naszę ojczyznę. Widzieliśmy przed czterma laty, że Kongres jednę sprawę rozwiązując, drugą potrafił zawiązać na przyszłość; widzimy dzisiaj świat zachodni tak bardzo zniepokojony, tak uciśniony i wstrzymany ciężarem podniesionych zadań, że o wiele trudniéj jest teraz, jakiejś innéj sprawie dokupić się jego uwagi.....

I nic dziwnego. Bo postawiona niespodzianie kwestya władzy świeckiéj Papieża, przechodzi doniosłością swoją wszystkie inne, sięga daleko po za obręb włoskiego półwyspu, staje się żywotném pytaniem dla każdego katolickiego narodu, a przez świat katolicki dla całéj chrześciańskiéj cywilizacyi. Ale powiedzmyż odrazu: fatalnémby to było przeoczeniem, kłaść z tą kwestyą na równi lub w nierozłączném z nią powiązaniu. Dzisiejszy system polityczny w Rzymie, to jest tak zwany rząd księży. Każdy system rządowy ma czas swojego wzrostu i trwania; każdy z kolei pod naciskiem własnych błędów i zasłużonéj niepopularności upada. Administracya księży w Państwie Kościelném, podobnie jak zarząd biórokracyi w każdém innem państwie, mogła nieraz swym obowiązkom uchybić, mogła wogóle stać się już niepodobną przy dzisiejszych potrzebach mieszkańców i wyraźném dążeniu całego świata do rozłączenia władzy duchownéj i cywilnéj. Ale, jak upadek ministeryum nie pociąga za sobą upadku dynastyi i kraju, tak téż niewłaciwość i niepopularność zarządu księży, nie może, w żadnym razie, usprawiedliwić zaboru Państwa Kościelnego, zwłaszcza gdy tyle innych, pierwszego rzędu interesów europejskich wymaga nieodzownie jego utrzymania.

Odkąd ludy chrześciańskie poczęły tworzyć osobne polityczne jedności, odtąd Naczelnik Kościoła musiał mieć także osobną polityczną własność, aby pomimo sprzecznych interesów, któremi ziemskie potęgi były i są rozerwane, zarząd dusz niezawiśle pośród nich sprawować, i ponad ludzkie zmiany i rozdziały utrzymać niezmienność i powszechność wojującego Kościoła. « Gdyby Papież był w Paryżu (rzekł Pierwszy Konsul w Radzie Stanu podczas dyskusyi nad konkordatem) czy myślicie, że Niemcy lub Hiszpanie słuchaliby jego decyzyj? Jestto i dla nas korzyścią, że nie u nas on mieszka ale opodal nas, a jednak nie u naszego rywala; że w owym starym Rzymie rezyduje, równie daleko od cesarzy niemieckich jak od Francyi i od Hiszpanii; że utrzymując równowagę między mocarzami katolickimi, nakłaniając się poczęści ku mocniejszemu, prędko zawsze powstaje, kiedy mocniejszy zaczyna być ciemięzcą. Wieki to stworzyły i dobrze stworzyły.» — Wistocie, do zarządu duchownego najlepsza to, najzbawienniejsza, jaką można wymyślić, instytucya. W swém drobném, niepodległém państwie, Papież znajduje Archimedowy punkt oparcia, z którego cały świat duchowy katolickiéj wiary dźwigać i prowadzić może. Jako rządca dusz kilkuset milionów katolików, ma on i mieć musi swoje stałe poselstwa przy obcych dworach, i od tych dworów nawzajem przyjmować ambasady; ma i mieć musi swoje kancylaryą dyplomatyczną, swoje dyplomatyczną akcyą, wszystkie te zgoła *instrumenta regni*, za których pośrednictwem zawiera z świeckiemi, nawet katolickiemi państwami umowy i konkordaty; ma wreszcie i mieć musi swój głos w naradach i ustawach ogólnego europejskiego systemu. Z natury zaś rzeczy wynika, że tylko takie atrybucye ziemskiego majestatu mogą Papieżowi udzielić tych warunków niezbędnych do wykonania swéj władzy; a w stosunkach z rządami innego wyznania, ten właśnie tylko przymiot ziemskiego władzcy daje mu sposobność ubezpieczenia, w różnowierczych krajach, praw katolickiego Kościoła, W razie potrzeby upomnienie się o tych praw gwałcenie.

Lecz nietylko rządzić milionami dusz katolickich Papież nie byłby w stanie bez swéj niezawisłości monarszéj: bez niéj, w obecnych przynajmniéj stosunkach, nie mógłby on utrzymać jedności wiary. Nie masz w prawie narodów pośredniego stanowiska między władzcą a poddanym. Pozbawiony władzy królewskiéj, Papież stałby się musiał obcego monarchy poddanym, a wówczas, zwierzchności naczelnéj nad całym światem katolickim, żaden rząd nie chciałby mu przyznać. Posłuchajmy co mówi najzaciętszy nieprzyjaciel Kościoła i Polski, w liście do najzaciętszego prześladowcy wiary i szatatańskiego paszkwilanta naszych Barskich rycerzy. «Wcześniéj czy późniéj spostrzegą się ludzie (pisał Fryderyk II do Woltera) że państwo Papieża zabrać nie trudno, a wtedy *do nas* palium należy i raz przecie *skończy się* spektakl. Żaden z mocarzy europejskich nie uzna Namiestnikiem Chrystusowym człowieka, obcemu rządowi uległego: każdy więc dla siebie zamianuje patryarchę. Wówczas powoli odłączą się wszyscy od wspólnéj jedności, i każde królestwo będzie miało swój język i swoję religią..... » To poufne zwierzenie się Króla-filozofa, mordercy naszego narodu, dziś jeszcze, w obecnych wypadkach, mogłoby posłużyć za bardzą uczącą wskazówkę. Co tak korzystném wydawało się Fryderykowi II, to niezawodnie bardzo stosowném, w stosownéj chwili, znajdzie i Alexander II. A jeśli jeszcze pytać się godzi, czy nawet na téj drodze, Włochy przyjdą do jednego króla dla całéj swojéj ojczyzny: to już niemasz pytania, że my Polacy, skutkiem takowéj *reformy*, dla całéj Ojczyzny dostalibyśmy jednego — Siemaszkę!...

III

Papież jest biskupem Rzymskim. Jako Biskup Rzymski jest niewątpliwym Piotra następcą, i choć nie przez

wszystkich uznanym ale dla wszystkich widomym Naczelnikiem Kościoła: w jego grodzie, obok niego, niemasz miejsca dla żadnego ziemskiego władzcy. A jednak, w marzeniach najgorętszych włoskich patryotów, w skrytych czy jawnych usiłowaniach najprzebieglejszych polityków półwyspu, ten Rzym, ta Stolica Apostolska, rysuje się we mgle przyszłości, jako nieodzowna stolica wielkiego, zjednoczonego, włoskiego królestwa!.. Miałżeby więc Kościół stać na przeszkodzie szczęściu Włochów; miałożby prawdą być owe słowo rozpaczliwe Machiawela, że Papieże odwiecznymi byli nieprzyjaciołmi wielkości ojczyzny włoskiéj? Pytanie to ważne, pytanie pierwszego rzędu dla chrześciańskiego sumienia; i słuszna abyśmy nad niém zatrzymali uwagę czytelników.

Rzecz niewątpliwa, że ten system obszernych piemonckich annexyj, musi w Rzymie szukać swego uzupełnienia, swojego związania, że bez niego żadnych on nie ma warunków trwałości. Owe miasta włoskie, tak wielkie wspmnieniami, tak zazdrosne swojego pierwszeństwa, owe «mórz królowe i oblubienice,» «spadkobierczynie greckiego cesarstwa» owe «Ateny włoskie,»..... w grodzie dawnych książąt sabaudzkich widziałyby zawsze zbogaconego dorobkowicza, i może przed jedną chyba tylko uchyliłyby się supremacyą — *nieśmiertelnego miasta*. Z Rzymu tylko możnaby rządzić zarówno Sycylią jak Genuą i Wenecyą, Florencyą jak Medyolanem i Neapolem: ale półwysep cały okućby trzeba naówczas w żelazną obręcz despotyzmu, różnice obyczajów, tradycyj i klimatycznych usposobień stopić gwałtownie w jeden wojskowy amalgam, a ruchliwemu i przedsiebiorczemu duchowi mieszkańców otworzyć obszerne pole do działania — na zewnątrz Italii!...

Mówią dzisiaj, dość głośno, w Turynie i Florencyi, że zabór Państwa Kościelnego to dzieło kilku miesięcy, zabór Neapolu to sprawa lat kilku. Niegdyś, potrafił

wistocie Senat Rzymski Włochy połączyć i w jedności utrzymać: lecz odtąd żaden geniusz nowożytny zadania tego nie dokonał. To też, jeżeli z wysokości tych marzeń rewolucyjnéj fantazyi czy piemonckiéj ambicyi, zstąpimy w krainy rzeczywistości, nie możemy uwierzyć, aby w ostatecznym układzie stosunków półwyspu, myśl sztucznéj jedności miała wziąść górę nad nierównie łatwiejszym, bo naturalnym i organicznym, pomysłem włoskiéj konfederacyi. Nie może to być w zamiarach Francyi, utworzyć obok siebie sąsiednie, jednolite, nad miary potężne mocarstwo, któreby opanowało morza śródziemne i w danym razie stało się groźném dla niéj saméj. Francya umié wiele poświęcać dla drugich, umié nawet do wysokiego stopnia się narażać dla wielkiéj i szlachetnéj myśli: ale o sobie zapomnieć przecież nie może i nie powinna — zwłaszcza gdy jak tu, ma wytknięty przez cesarza Napoleona program kofederacyi, w którym tak dobrze ona sama swój zaszczyt i swe bezpieczeństwo, jak Włochy najzupełniejsze i może jedynie skuteczne zaspokojenie swych godziwych potrzeb i żądań znaleźć są w stanie. Przyszłość świata widocznie raczéj ku zrzeszeniu dąży ludów, niż ku tworzeniu zupełnie nowych a wielkich mocarstw...; a w każdym razie, szczery i rozważny przyjaciel włoskiéj sprawy nie bez obawy dla Włoch samych, dla dalszego ich w przyszłości rozwoju i spokoju, może patrzeć na tę dążność do gwałtownego zbicia w jedną monarchią krajów, które tyle mają przyczyn do zachowania swojéj autonomii i organicznéj udzielności. Szczery i rozważny przyjaciel włoskiéj sprawy będzie się pytał, czy może być trwałém dzieło jednéj (i choćby najprzyjaźniejszéj) chwili, które ma przeciw sobie doświadczenie i tradycyą wieków i interes polityczny Europy; a w obecném gwałtowném zbiciu przeczuwać będzie równie gwałtowne, w bliższéj czy dalszéj przyszłości, rozbicie, z którego bodajby gorsza jeszcze niż dotąd nie spadła na Włochów niedola!

Jeśli naród włoski przystaje dzisiaj dość powszechnie na annexyą, któréj by ostateczném słowem być musiało zjednoczone włoskie królestwo — nie to wszakże nie dowodzi przeciw możebności, skuteczności a nawet konieczności konfederacyi: ale wskazuje to tylko, że jedném, gotującém a bardzo szlachetném uczuciem porwani, Włosi wszystkie inne względy i potrzeby na późniéj odkładają. Ktokolwiek baczném okiem zechce śledzić wypadków włoskich, ten się przekona, że nie chęć zlania się z Piemontem, ale pragnienie zupełnéj niepodległości narodowéj, nadzieja wyzwolenia Wenecyi, obawa wreszcie przed groźnym nad Mincio czworobokiem, kierują krokami ludów półwyspu. Toskańczycy, Romaniole, a rzec także można Wenecyanie i Neapolitańczycy, nie stracili ani zmysłu, ani miłości dla swéj autonomii i tradycyjnéj udzielności: ale z tym politycznym instynktem, którego zadziwiające w tych czasach dali dowody, przenoszą mniejsze niebezpieczeństwo nad większe, i wolą stać się na teraz Piemontczykami, z obawy, aby niewrócić na powrót pod niezupełnie jeszcze skruszone jarzmo niemieckie. Włosi w annexyi nie przyjmują stałego politycznego organizmu, szukają w niéj tylko czasowéj, *wojskowéj* organizacyi: a w obecném nierozstrzygnieniu sprawy weneckiéj, leży może klucz do całych tak zawiłych stosunków Italii. Silna i groźna pozycya Austryi prowadzi za sobą dążność Włochów do annexyi, annexya znowu do gwałtownego zbicia wszystkich krajów półwyspu w jedno mocarstwo, przez straszne wstrząśnienia i przewroty, z zarodem wojny domowéj, niechybnéj cudzoziemców interwencyi na przyszłość, z szeregiem najboleśniejszych prób dla Kościoła już teraz. Więc na odwrót: czyżby nie godziło się mniemać, że z ustaniem obawy przed austryacką przemocą, ustałby ów popęd do Piemontu, i że naturalny i organiczny pociąg do autonomii i udzielności wziąłby znów górę nad sztucznym i gwałtownym ru-

chem annexyi? A wówczas, wyzwolony naród włoski, z ludem najbitniejszym na północy jakoby na straży stojącym, znalazłby w związku federacyjnym ten układ dogodny, któryby ani kraju nie wydawał w ręce cudzoziemców, ani żywiołów miejscowych tak dzielnych i twórczych, despotyzmem administracyjnym nie tłumił; znalazłby miejsce dla dawnych chwał i wielkości, a przedewszystkiém dla rządu świeckiego Papieża, który jak w wiekach przeszłych był nieraz, tak i w przyszłych nieraz jeszcze być może, samychże Włochów dźwignią, obroną i zaszczytem!...

IV

Życzenia to wprawdzie tylko!... Bieg wypadków może im wkrótce zaprzeczyć lub przynajmniéj ich spełnienie na długo opóźnić. Ale w kwestyi tak trudnéj i zawiłéj, a jednak tak dla nas ważnéj, dobrze jest módz sobie zformułować choćby tylko proste życzenie, w któremby uczucia polskie pogodzić się dały. Nie jesteśmy powołani do czynnego w tych wypadkach udziału, nikt nas nie wzywa na sędziów ani rozjemców; i mimo najgorętszych sympatyj, jakie mieć możemy dla idej albo interesów, o własnych naszych potrzebach, zadaniach i niebezpieczeństwach pamiętać winniśmy. Nie z jedną tylko w Europie sprawą, nasza sprawa jest złączona: dla jéj zwycięztwa, potrzeba w polityce europejskiéj zbiegu szczęśliwych kombinacyj, a z naszéj strony przedewszystkiém czujności i życia. I jakiekolwiek z obecnych wypadków rozwiną się następstwa, nie wolno nam tak bardzo zatapiać wzroku w południe świata, abyśmy mieli tracić z oczu i to co się dzieje na Zachodzie, i to, co nam grozi z Północy...

Dlatego, nim skończym, pozwolimy sobie raz jeszcze wrócić do uwagi, od któréj rzecz zaczęliśmy. Wiele

powodów, naszą sprawą wskazanych, wymaga od nas bacznéj oględności w ocenianiu bieżących wypadków. Powody te najżywotniéj dotykają uczuć polskich, bo wpłynąć mogą stanowczo na losy polskiego narodu. Nie godzi się zapominać Polakowi, że Francya i sam cesarz Napoleon bezpośrednio w téj sprawie występują: z ich przewagą w stosunkach europejskich, z ich wszechstronném powodzeniem, ileż dla nas łączy się nadziei! I nie sama tylko nadzieja wiąże serca Polaków z osobistością Cesarza: winniśmy jemu, winne są wszystkie narody uciśnione wdzięczność. Imie Napoleona III, powiedzieliśmy to już dawniéj, zaznaczy nową w historyi epokę. On pierwszy, długo zaprzeczaną, długo prześladowaną, i albo w mgłach teoryi chroniącą się, albo skrycie, w podziemiach walczącą zasadę narodowości, w świat legalnych, uznanych potrzeb ludzkości wprowadził: a gdy jedne narody wyswobadzał wpływem swéj dyplomacyi lub potęgą oręża, już tém samém wszystkie pokrzepiał, wszystkim dodawał światła, otuchy, cierpliwości. Bo leży to w naturze rzeczy, że umysł nieszczęśliwego, jeśli nadzieją pewnego ratunku jest wzmocniony, zdobywa, mimo cierpień i przeciwności, ten hart i spokój, które chronią go zarazem i od szałów rozpaczy i od podłego zgnuśnienia.

Jest w kwestyi obecnéj wzgląd jeszcze inny, wzgląd dla Polaków arcyważny: cześć i wierność dla Głowy Kościoła. Ci, z pomiędzy nas, co tak pewni własnego rzeczy zgłębienia, dozwalają sobie nieuważnych sądów o Papieżu: czy zdali sobie sprawę jaką to siłą, obroną i rękojmią jest, dla nas samych, uszanowanie dla Ojca Świętego?..... Owe dzienniki, które w polskiéj mowie i dla polskich czytelników, ogłaszają, z pism zagranicznych przejęte, lekkie słowa o Papieżu, czy wiedzą jaką to truciznę wlewają w duszę narodu, czy pamiętają, co nas dziś jeszcze, w tylu ziemiach polskich, broni może najsilniéj od przemocy wroga?... Kiedy księdza pol-

skiego otoczą moskiewscy urzędnicy, i prośbą lub groźbą, orderami lub Sybirem, chcą na nim wyzyskać, wyłudzić, wymęczyć jednę po drugiej koncesyą z katolickich praw i urządzeń — jedno po drugiém odstępstwo — ksiądz polski w swém posłuszeństwie dla Papieża znajdzie, ilekroć zechce, tarczę od namów zdradliwych, broń od własnego upadku, i siłę — choćby do męczeństwa! Bo zamknąć go mogą, pozbawić pensyi, wywieźć na Sybir lub z kraju wypędzić: kusić i namawiać przestaną. To jedno słowo, przez kapłana polskiego wyrzeczone: Papież nie pozwala, przeważy, nawet wobec Moskali, wszystkie argumenta Św Synodu, wszystkie łaski cesarskiego dworu. Ale nie przeważy z pewnością, jeśli w głębi duszy już ważyć nie będzie, jeśli wolę jego i uczucie jego rozbroi nasze własne lekceważenie; jeśli z każdym nieledwie dniem, rozchodzić się będą po kraju polskim niebaczne sądy i wyrażenia, które zaprawdę pisarzom polskim wcale nie przystoją!... Cześć dla Głowy Kościoła to nietylko nasz obowiązek, to pierwszy nasz interes. Jest między Polską a Kościołem nić tajemnicza: w czyjém sercu ona nie drga, dla tego wielu skarbów ducha narodowego zakrytych, ten głosu sumienia polskiego często niedosłyszy, naszych zadań niepojmie, naszych niebezpieczeństw nie przeczuje, ten w pośród swoich będzie nieraz cudzoziemcem. W Kościele znalazła Polska, krwią Wojciecha okupiony, swój chrzest dziejowy, swoję wielkość jagiellońską, swą pieśń bojów i zwycięztwo; z Kościoła wyniosła siłę do życia pogrobowego, pełnego łez i bolów, ale pełnego i chwały; i nie daj Boże, aby w nas kiedyś osłabło światło wiary i od niéj nieodłączna cześć nasza dla Głowy Kościoła. Wówczas, w schyzmie moskiewskiéj czy w germańskim racyonalizmie, znaleźlibyśmy ostatnie słowo naszego bytu: śmierć bez zmartwychwstania i grób bez chwały!... .

TOWARZYSTWO ROLNICZE W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

---

25 lutego 1860 roku.

Aby należycie ocenić całe znaczenie, całą zasługę zawiązanego od lat trzech Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiém, trzebaby przypomnieć sobie stan moralny i umysłowy kraju od upadku konstytucyjnego królestwa aż do kongresu paryzkiego. Nie chcemy bolesnych przywodzić tu wspomnień, nie chcemy wyliczać szeregu cierpień i męczeństw, kreślić obrazu szałów i złudzeń, zgnuśnienia a nieraz i spodlenia, niestety. Milej nam przywołać pamięć pojedynczych zacnych dążności, które się i w owym czasie objawiały, ale które skupić się i zjednoczyć w większą całość nie potrafiły. Jednym z tych usiłowań było zawiązanie redakcyi Roczników Gospodarstwa krajowego, przez ludzi ożywionych i ośmielonych tą zacną myślą, że niema tak trudnych i przeciwnych okoliczności, w którychby nie można było służyć poczciwéj sprawie. Redakcya ta, niezrażona ani obojętnością krajową, ani materyalnemi trudnościami, ani słabą wziętością pisma swego, zbierała się na ogólne sesye, corocznie prawie dopłacała do-

datkową składkę, i zachęcania niezmordowaną pracowitością i wiernością swego naczelnika, nie ustawała w wydawnictwie gospodarskiego czasopisma. Tak pracując wytrwale, nie przewidywała przyszłości swojéj, i składając szykownie drobne obok siebie cegiełki, nie domyślała się nawet, że tém dźwiga podwaliny pięknéj, rozległéj budowy.

Nowe panowanie, mimo budzących się zrazu a dość płochych nadziei, mimo przyrzeczeń, zobowiązań słownych danych Francyi przez pełnomocnika rossyjskiego na kongresie paryzkiem, co do polepszenia bytu Królestwa Polskiego i uwzględnienia jego narodowości, nie przyniosło oczekiwanéj zmiany w systemie odziedziczonym po cesarzu Mikołaju. Rząd nowego Cesarza, chcąc w postaci reformatora przedstawić się i wewnątrz państwa i wobec Europy, odważył się na podniesienie w cesarstwie wielkiéj sprawy usamowolnienia i odpańszczyznienia ludu. Wywołując ją w cesarstwie, nie mógł jéj w Królestwie Polskiém zaniechać. Zmiana w stósunkach włościańskich narażając kraj na przesilenie majątkowe zmuszała przezorność rządu do ułatwienia środków zdolnych polepszyć byt materyalny właścicieli i włościan, a zatém zachęcić do wszelkich ulepszeń gospodarskich, do skuteczniejszéj i umiejętniejszéj pracy, słowem do dźwignienia rolnictwa. Ten to wzgląd zapewne skłonił rząd Cesarza, iż pozwolił na zawiązanie Towarzystwa Rolniczego, którego pierwiastkiem i zarodem stała się wspomniana Redakcya Roczników Gospodarskich. Zawiązane temu trzy lata Towarzystwo okazało się od razu instytucyą odpowiednią potrzebie kraju, zdolną skupić jego ducha, i rozwinąć jego działalność materyalną jak moralną. Powodzenie też jego było prędkie. Wzmacniało się i wzmagało stowarzyszenie coraz wzrastającą liczbą członków, coraz obszerniejszém działaniem i coraz gorętszém popieraniem obywatelstwa. Ciąg dwuletni jego prac i usiłowań

ścigaliśmy i my tutaj baczną uwagą, i z coraz żywszą serca pociechą zdawaliśmy z nich sprawę czytelnikom naszym; z niemniejszém też pokrzepieniem ducha i dziś do nowego sprawozdania przystępujem.

Przedewszystkiem nadmienić należy, iż powszechność polska tém skwapliwiéj oczekiwała tegorocznego walnego posiedzenia, iż tym razem rząd pozwolił nareszcie Towarzystwu, w zakres swych rozpraw wciągnąć najważniejsze z obecnych zadań krajowych, zadanie przemiany stosunków włościańskich. Wiadomo, że chociaż w całém cesarstwie a więc i w prowincyach polskich, rząd rossyjski powołał obywateli do narad nad tą żywotną kwestyą, Królestwo Polskie od dawna do niéj przygotowane, było dotąd z prawa tego wyzute. Nie powołano komitetów obywatelskich w tym celu, ani nie dozwolono tak dobrze ani pismom publicznym jak Towarzystwu zajmować się tą sprawą : wyraźny owszem zakaz zabronił wszelkiéj na tym polu dyskusyi, i to właśnie, w téj części kraju, która do pożądanéj reformy tak pod względem umysłowym jak praktycznym, najlepiéj i najdawniéj była usposobioną. Skoro więc Towarzystwo uzyskało tak wielce pożądane zezwolenie, Komitet jego, przez kilka miesięcy, z niezwyczajném u nas przejęciem się pracując nad przygotowaniem materyałów do walnego lutowego posiedzenia, przybrawszy do grona swego, znaczną liczbę członków, oddał się szczególniéj rozbiorowi tego zadania. O ile nam wiadomo w zebraném gronie przeważająca większość myśl uwłaszczenia popierała, a jeden z członków Towarzystwa, p. Władysław Gruszecki, wygotował projekt mający na celu przeprowadzenie téj stanowczéj i pożądanéj reformy i ułatwienie wykupu gruntów za pomocą dalszego rozwinięcia Towarzystwa kredytowego, bez wypuszczenia w obieg nowego rodzaju papierów publicznych. Na stu członków dziewiędziesięciu czterech miało się oświadczyć za uwłaszczeniem, sześciu za systematem dzierżaw

długoletnich. Jakkolwiek rozprawy te posłużyły do objawienia ducha opinii obywatelstwa w Królestwie, a razem do wyświecenia rzeczy, w czasie obecnym żadnego przecież praktyczne przynieść nie mogły następstwa. Rząd bowiem jako zasadę w sprawie włościańskiéj w Królestwie, przyjął wieczystość dzierżaw i na téj tylko podstawie dozwolił obrad na walném publiczném zgromadzeniu. Obrady te w ciasne granice wtłoczone, toczyć się mogły jedynie nad najwłaściwszym sposobem przeprowadzenia stosunków obecnych w system wieczystych dzierżaw, a więc stracić musiały wiele na doniosłości i ożywieniu. Jakkolwiek bądź, i wśród nich przekonanie większości na jak wydobyć się zdołało, uważając dzierżawy jak stan tymczasowy ułatwiający przejście do ostatecznego rozwiązania, a więc nie tamujący w niczém możności wykupu włościańskiego.

Towarzystwo Rolnicze, sprawiedliwie w mowie prezesa *opatrznym wypadkiem* nazwane, rozpoczęło na dniu 3 lutego otarcie swych posiedzeń od Boga, a więc od nabożeństwa w kościele PP. Wizytek odbytego. Przeszło tysiąc obywateli zjechało się z różnych części kraju. Towarzystwo agronomiczne krakowskie dwóch delegowanych zesłało, lwowskie poprzestało na uproszeniu dwóch członków z Królestwa, aby byli jego przedstawicielami. Członkowie Towarzystw powiatowych W. Księstwa Poznańskiego zaniechali sposobności połączenia się w wspólnéj téj z bracią pracy. Po odprawioném nabożeństwie, przeszło 700 członków zebrało się w sali pałacu Namiestnikowskiego na pierwsze posiedzenie, które Prezes zagaił mową, oddychającą równie serdeczném uczuciem jak zdrową i poważną myślą. Ponim przemówił Arcybiskup, Metropolita warszawski, i nad schylającemi się czołami wyobrazicieli obywatelstwa zakreślił krzyż błogosławieństwa pasterskiego. Następnie mianowano prezydujących w sekcyach i utworzono bióro prezydyonalne; p. Adam Goltz odczytał wówczas ważne

i zajmujące sprawozdanie z czynności komitetu z roku zeszłego. Z niego jako przedstawiającego obraz działania Towarzystwa, krótką treść przytoczyć należy.

Towarzystwo w drugim roku bytu swego liczyło 2,538 członków : w ich liczbie znajdowało się 92 korespondentów którzy nadsyłali miesięczne raporta z komitetów powiatowych. Wpływy Towarzystwa wynosiły złotych polskich 324,300, wydatki 243,000 złotych. Pozostało więc w kasie 81,300 zł. prócz zalegającéj składki złotych 12,400. Biblioteka i zbiory Towarzystwa znacznie się w ciągu roku powiększyły. Roczników Gospodarstwa krajowego które każdy członek bezpłatnie otrzymuje, rozchodzi się 3,500. Część z nich Komitet postanowił udzielać, za zniżoną opłatą 12 złotych rocznie, dla mniéj zamożnych czytelników i z pociechą donieść przychodzi, że między nimi znajdują się już włościanie. Następnie rozszerzył się sprawozdawca nad wystawami rolniczemi, konkursami okręgowémi, rozdawnictwem nagród, wczém wszędzie duchowieństwo swego uczestnictwa chętnie udzielało. Czytamy daléj o założeniu dwóch szkół rolniczych w Radomsku i pod Pułtuskiem i o spodziewaném otwarciu trzech innych. Kosztem swoim, Towarzystwo dziesięciu młodych leśników, w celu praktycznego wykształcenia, w leśnictwach W. Księstwa Poznańskiego umieściło. Nadto Komitet postanowił dwanaście stypendyów dla terminatorów w różnych rzemiosłach i wyznaczył fundusz kredytowy 8,000 złp. na zapomogę rzemieślników na prowincyi. W dwóch zakonnych zgromadzeniach żeńskich, umieściło Towarzystwo, na swym koszcie, niewiasty mające się kształcić na dozorczynie ochronek wiejskich. Pracownia chemiczna, obok gmachu Towarzystwa Kredytowego urządzona, rozpoczęła swoje czynności. Elementarz dla ludu wiejskiego wydany, rozszedł się w przeciągu roku w 15,000 exemplarzach. Nadmienił w końcu sprawozdawca o założeniu i otwarciu, od



1 sierpnia, *Domu zleceń w Płocku*, i ocenił w gorących wyrazach zasługę zacnych ziemian, którzy się jego założycielami stali. Sprawozdanie to starannie wypracowane daje nam oddalonym od braci naszych poznać, jak Towarzystwo w wyciągnione, że tak powiem, ramiona, potrzeby całego rolnictwa krajowego objęło, i rozwinęło wszelkiego rodzaju czynność, zdolną podnieść moralne ludu wykształcenie i ulepszyć jego byt materyalny. Po odczytaniu przez członka komitetu P. Francisza Węgleńskiego projektu etatu na rok 1860, i przez P. Adolfa Kurtza projektu delegacyj na ogólném zebraniu wyznaczonych, przyjęto ośmiuset nowych członków, tak, że teraz liczy Towarzystwo Rolnicze około 4,000 Członków.

Bieg rozpraw, tak na posiedzeniach rannych od 10 do 4, odbywanych w sekcyach szczególnych, jak na wieczornych zebraniach od 6 do 11 trwających w sekcyi ogólnéj pod przewodnictwem wiceprezesa Alexandra Ostrowskiego, podały wszystkie pisma polskie. Tu nadmienim że Towarzystwo podzieliło się na trzy sekcye szczególne : na rolną, administracyjną, i chowu inwentarzy, i że na ogólnéj zajmowało się najważniejszym przedmiotem, bo sprawą włościańską w zakreślonych przez rząd szrankach. Wnioski Komitetu do dyskusyi przełożone w tych wyrazach streścić można :

1. że obowiązkiem jest obywatelskim rychłe przystępowanie do umów z włościanami;

2. że separacya gruntów dworskich od włościańskich jest pożądaną;

3. że postęp czynszowania od wytrwałości właścicieli, pomyślność jego od oświaty ludu i urządzenia gminy zależy;

4. że jednoczesność usiłowań wszystkich właścicieli jest konieczną;

5. że tożsamość zasad, z uwzględnieniem jednak wymagań miejscowości, przy zawieraniu umów jest pożądaną.

Wszakże dodać tu musimy, że z zadziwieniem spostrzegliśmy w dziennikach warszawskich przerwę w sprawozdaniach z rozpraw sekcyi ogólnéj. Cenzura, jak się dowiadujemy, nie dozwoliła ich ogłaszać, jakby dla tego że były najgodniejsze uwagi, największego znaczenia i najzaszczytniejsze dla Towarzystwa. Nieogłoszonem było także najważniejsze postanowienie w sekcyi ogólnéj zapadłe, że dla ostatecznego rozwiązania sprawy, « Towarzystwo uważa za główny środek, rozwinięcie instytucyj kredytowych, któreby ułatwiło włościanom wykupienia się z czynszów, a przez to przemianę z czynszowników na właścieli. »

Żywe, ale i poważne rozprawy, jakie w obec ich urzędowego strażnika dyrektora spraw wewnętrznych Muchanowa, toczyły się nad temi wnioskami, nie przechodziły nigdy granic umiarkowania, i nie wyradzały się w spory i osobiste zaczepki. Ściśle zamknięcie się w sferze prawem dozwolonéj przyzwoitość, często powaga i wprawa słowa, bratnia miłość i zgoda, ktoremi odznaczały się te obrady, okazały pewne wyrobienie polityczne, objawiły znakomite a dotąd nieznane zdolności, przekonały że twardy czas uciemiężenia i prób bolesnych, przez który kraj przeszedł, dla wielu jego synów straconym nie był. W jednym z listów odebranych z Warszawy, czytamy zapewnienie, że te objawy życia i wykształcenia krajowego uderzyły nawet konsulów zagranicznych, uczęszczających na posiedzenia, a świadectwo ich może posłużyć, przed Europą, do oczyszczenia nas z niejednego zarzutu. Miło nam umieścić, w tém miejscu, nazwiska tych rodaków, którzy się wśród prac Towarzystwa, szczególniéj odznaczyli pracą, gorliwością, dojrzałością myśli, łatwością i wdziękiem wysłowienia. I dzienniki krajowe, i listy prywatne wyliczają oprócz prezesa, zasługi pp. Ostrowskiego i złamanego na zdrowiu ale nie na duchu, Tomasza Potockiego, nadto pp. Goltza, braci Kurtzów, braci Górskich, Sta-

wiskiego, Krzyżtoporskiego, Wrotnowskiego, Skupińskiego, Wołowskiego, Węglińskiego, i t. d. Komitet, mimo niektóre przygotowujące się zabiegi, ufność powszechna przy dawaném urzędowaniu utrzymała, a tym wyborem powtórzonym uznała i wynagrodziła poczciwe i użyteczne jego trudy.

Smutny wypadek, zaszły w toku tych rozpraw, dodał im, jeśli tak rzec można, posępnéj powagi. W liście z Warszawy czytamy następne szczegóły o nagłym zgonie jednego z obecnych, wymownych członków, Drewnowskiego radzcy Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego. «Zabierał głos z trybuny (słowa są listu) w sprawie » oczynszowania i uwłaszczenia, mówił z serca, z pod- » niesioném uczuciem. Czy więc ta okoliczność czy » usposobienie organizmu, w atmosferze od mnogości » świateł i od natłoku rozgrzanéj, o śmierć go nagłą » przyprawiły. W parę godzin po zejściu z mównicy » skonał tknięty apoplexyą. Ten bolesny wypadek dał » powód szanownemu naszemu Prezesowi do wezwania » o wspólną modlitwę za spokój duszy nieprzygotowa- » nego na tę wielką podróż pielgrzyma, kolegi, i odda- » nie mu zbiorowéj ostatniéj posługi. »

W dniu 9 b. m. walne tegoroczne posiedzenie zamknięte zostało pożegnalną mową Prezesa; a jak się z listu prywatnego dowiadujemy, w dniu następnym w kościele OO. Kapucynów, licznie zebrali się członkowie Towarzystwa na nabożeństwo, po którém znany w całym kraju, O. Prokop przemówił do zgromadzonych gorącemi słowy, zastosowanemi do okoliczności, i wezwał wszystkich do odśpiewania suplikacyi : *Pod Twoję Obronę*, czego przy zgięciu kolan i z rzewném uczuciem dopełnili.

Na tém skończyło się walne zgromadzenie tego Towarzystwa Rolniczego, które obecnie, stało się, że tak powiemy, regulatorem obywatelskiego życia w Królestwie. Wpływ jego czynności, jak nas zapewniają, na obyczaje,

na oświatę mieszkańców, już dziś jest widocznym. Wszędzie daje się spostrzegać ruch umysłowy, dążność do pięknych i użytecznych celów, odwyknienie od złych nałogów, nawykanie do wytrwałéj i szykownéj pracy. Nie będziemy się rozwodzili nad błogiémi skutkami takiego kierunku i zacnym robotnikom, w tym obywatelskim zawodzie, powiemy tylko słowo, którém każdy widz i przechodzień wita u nas pracującego na niwie ojczystéj rolnika : *Szczęść Boże!*

WYTRWAŁOŚĆ P. URUSKIEGO.

---

25 lutego.

Dziennik genewski, *l'Espérance*, który z większą skwapliwością niż rozwagą przyjmuje artykuły o Polsce, ogłosił temi dniami obszerny, bo aż przez dwa numera ciągnący się paszkwil na Prezesa Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiém. Byłoby długo wyliczać zbrodnie, o jakie rzeczony artykuł obwinia tego męża. Do najmniejszych należy, « jego pochodzenie od owéj » arystokracyi polskiéj, która kraj swój zdradziła albo » sprzedała, a dzisiaj jest tylko pamiątką przeszłości, » najczęściéj hańbiącą. » Cięższe, bo osobiste, plamią go zdrady : przeszkadza on (jak dziennik genewski zaręcza) uwolnieniu włościan, przywraca barbarzyńskie prawa feudalnych baronów (— zapewne : *Bauchrecht*, *Froschrecht*, i *jus primæ noctis*...) burzy kodex Napoleona i ustaloną nim wolność cywilną, włościan na wieczną skazuje ciemnotę i niewolę !... I Bóg wié, do jak gorszących nadużyć doprowadziłyby średniowieczne dążności Prezesa Towarzystwa, gdyby (jak nas w końcu

pociesza *Espérance*) za litościwém Opatrzności zrządzeniem, kraju i jego przyszłości, panów i włościan, majątków i czci obywateli, nie ratował -- pan Seweryn Uruski !

Wypowiedzieliśmy imię zbawcy, czytelnik odgadnie autora paszkwilu. Nie wiemy, czy p. Uruski w istocie napisał owe « ośm tomów swego ekonomicznego dzieła, » o których głosi w dzienniku ; wszakże płodności pióra zaprzeczać nie myślimy. Bo i w innéj gazecie znaleźliśmy, o tym samym czasie, korespondencyą pokrewnego rodu, a gazetą tą jest dziennik *le Nord*. Tu p. Uruski w skromniejszéj jawi się postaci : nie przedstawia się już jako oswobodziciel kraju ale jako reprezentant krajowéj opinii, a towarzyszem swoim chce koniecznie mieć — p. Tomasza Potockiego ! To zaprawdę za wiele ! Między p. Tomaszem Potockim a p. Uruskim chyba ta jest wspólność, że o jednym jak drugim ustalona jest opinia narodu : jeden wszystko zrobił co obywatelowi zaskarbić może cześć powszechną, o drugim wszyscy — zapomniećby chcieli.

Trzeci to raz p. Uruski rozpoczyna swą niefortunną kampanią. Temu dwa lata, wydalony ze wszystkich ognisk obywatelskiego działania w kraju, przyjechał tu, między nami, rozwodzić swe żale. Wycieczka nie była szczęśliwą, i p. Uruski na inną puścił się drogę. Aktem urzędowym, starał się rząd rossyjski pobudzić przeciw własnym rodakom i ich zbiorowym zajęciom. Odepchnięty, jak zasłużył, nawet od Moskali, wraca teraz znowu na Zachód, i próbuje z Bruxeli i z Genewy sztuki brzuchomówstwa. — P. Uruski widocznie nie umié ocenić tego wspaniałomyślnego milczenia, jakie względem niego zachowują polskie dzienniki ; nie zdaje sobie sprawy z pobłażliwego ich w tym przedmiocie wstrętu. Nie może znieść głuszy, która jego imię otacza, i wymusza na ludziach, raz po raz, bolesne słowa prawdy.

Jest w jednéj z komedyj Kalderona pewien Gracioso, który dla przerwania niemiłéj mu i uciążliwéj ciszy, sam siebie policzkuje... (1).

(1) P. Seweryn Uruski przesłał nam reklamacyą, któréj, dla użytego w niéj tonu, drukować nie możemy. Ale uważamy być naszym obowiązkiem podać z téj reklamacyi twierdzenie, jakie zawiera. P. Uruski zaręcza, że nie miał żadnego udziału w artykułach dzienników *l'Espérance* i *le Nord*, o których wspomnieliśmy w naszém piśmie.

KAROL SIENKIEWICZ.

---

25 lutego.

Wśród walki życia, na którą ludzie, na którą my zwłaszcza na wychodztwie jesteśmy skazani, gdy jedni po drugich ustępują, ściskają się serca ale i ściskają się szeregi, i daléj w pochód kroczą gnane zastępy. Wszakże, są straty, które zastąpić trudno ; są próżnie, na których tęskna myśl zatrzymuje się dłużéj : a takie właśnie uczucia przejmowały nasze dusze, gdyśmy stanęli nad zamkniętą świeżo trumną Sieńkiewicza.

Sieńkiewicz znajomy był ludziom nauki jako badacz sumienny i głęboki, znajomy krajowi jako erudyt pierwszego rzędu i stylista klasyczny : należy mu się miejsce zaszczytne na niejednéj karcie naszéj historyi literatury. Ale Sieńkiewicz był jeszcze czemś więcéj, niżeli pisarzem : był człowiekiem publicznym ; « miał dowcipniejszą nad wszystkie umiejętności, miłość narodu. » Należał do rzadkich w każdym narodzie ludzi, którzy rzecz publiczną tak biorą do serca, że bez niéj żyć nie mogą, że ją w sobie niejako uosabiają. To też w niejednym wypadku widzieliśmy go, jak za wszystkich nieledwie, myślał, czuł i przewidywał, jak rączo podejmo-

wał się obowiązków, które na wszystkich ciężyły. Do wspólnéj pracy przyzywał pomocy spółziomków i słowami biskupa Załuskiego, w imię miłości ojczyzny, w imię dobra ogólnego, w imię wspólności uczuć błagał i upominał. « *Si quæ viscera dilectionis patriæ, si quis amor boni publici, si quæ communicatio spiritus, rogo et obtestor !* » Sienkiewicz kochał naukę ; ale życie jego zrosło się szczególniéj z polską, tułaczą rodziną. Dla niéj on wszystkie starania poświęcał, wedle jéj potrzeb swe trudy kierował i wśród kronik i archiwów, wśród pomników najodleglejszéj przeszłości, czuł się jeszcze i przedewszystkiém — polskim emigrantem !

Któż wyliczy dzisiaj te wszystkie prace zbiorowe, które przez lat tak wiele, potrzebie każdego dnia odpowiadając, wypełniały sferę politycznych obowiązków emigracyi, to jest Polski wśród obcych żyjącéj ? Nieraz w swym zawiązku przerywane, musiały ustępować naglejszym ; nieraz przemijały bez skutku, nawet bez wspomnienia. Ale całość ich została nieprzerwana i godna pamięci ; służy jako nić Aryadny, w labiryncie czasów i zadań, do lepszéj wiodąca przyszłości. W tych pracach mozolnych i na pozór tak mało wdzięcznych, Sienkiewicz brał zawsze gorący udział, a pracującym dodawał otuchy i pokrzepienia. Głęboki znawca i czciciel przeszłości, umiał z niéj wydobywać wspomnienia i zastosowania pełne wdzięku i rzewności, którym umysł, choćby najbardziéj strapiony, długo oprzeć się nie może. Jego to staraniem zebrana w jedność owa wspólna Biblioteka, która wygnańcom podaje obraz życia umysłowego Polski ; jego trudem stanęło Towarzystwo historyczne i jego polskie archiwum ; on dał myśl wybicia medali dwom najzasłużeńszym w sprawie polskiéj mężom ; on wreszcie zbudował ów piękny pomnik naszéj religijnéj i narodowéj wiary : coroczny obchód w Montmorency, w rocznicę śmierci Niemcewicza. I zaprawdę, dzisiaj, gdy tę nową stratę ponosimy,

emigracya polska (spostrzegli to wszyscy) najstosowniéj uczci pamięć zmarłego, jeśli do tych imion wyrytych na cmentarzu w Montmorency, do tych mężów, za których każdy tułacz, każdy Polak winien jest modlitwę, dołoży imię świeżo przybyłe : KAROLA SIEŃKIEWICZA.

ODSTĘPCY.

WSTĘP.

3 marca.

Przychodzi nam spełnić przykrą powinność. Powołanie i położenie pisma naszego wkłada na nas obowiązek, którego ani pomijać ani nadał odkładać sumienie nie dozwala. Używając zupełnej swobody podniesienia głosu, jakiej w tym razie organa krajowe z różnych zależnych lub niezależnych od nich względów nie mają, winniśmy przemówić za oniemionych i oniemiałych, za bliższych i dalszych świadków wyrządzonej obrazy najświętszym uczuciom narodowym.

Idzie wszakże o rzecz ciężką; potrzeba bowiem odsłaniać *odstępstwo*, które przecież dokonało się jawnie, i wymieniać *odstępców*, którzy wszystkim znani, trzymają jednak podniesione czoła i nie przestają hołdów odbierać.

Dożyliśmy strasznych czasów. Jakieś niezwykłe ztępienie czucia i pomięszanie wyobrażeń, pobłaża najsromotniejszym występkom przeciw jedynemu, jakie nam pozostało — moralnemu jestestwu ojczyzny; pozwala

wymierzać najzgubniejsze zamachy na życie narodowe. Boleśnie to wyznać, ale widoczna, że nie skorzystaliśmy z nauki doświadczenia: w oczach wszystkich odbywa się zdrada Polski, frymark najistotniejszemi zasadami jéj bytu — i to zdaje się nikogo seryo nie zastanawiać, nie zatrważać, nie obruszać!

Bądźmy wszakże sprawiedliwi. Jeśli żaden krzyk bolu i potępienia głośno nie ozwał się w kraju, jeśli nawet samopas i pasożytnie krzewiąca się literatura, z równą lekkością pióra jak sumienia, jednakim bluszczem obwija skroń wiernych i niewiernych: to po za nią i pod nią, tysiące serc ściśniętych cierpi i krwawi się, choć zaufanemu ledwie uchu śmie powierzyć swe skargi. Kilka takich skarg wyrażonych w niewielu słowach, częstokroć prawie samym tylko jękiem albo rozpaczliwém skinieniem wołającém o ratunek, doszło do nas. Odebraliśmy razem z niemi dowody wymowniejsze nad wszelkie opowiadania niegodziwych dążeń i postępków. Łącząc boleść naszę z boleścią tych wszystkich, w których duszach miłość, wiara i nadzieja doświadczają gwałtu od chcących zgasić je w ognisku wszelkich moralnych żywiołów narodowości, objętych jednem imieniem Polski, winowajców pojmanych na licu stawimy przed trybunał publiczności.

I

Niechaj czytelnicy nasi przypomną sobie przejazd cesarza Alexandra przez Wilno w miesiącu wrześniu 1858go roku. Były tam objawy niebacznych i występnych uniesień w oznakach czci i miłości poddanych litewskich dla nowego ich samodzierżcy rossyjskiego, o których donosiliśmy w miarę jak nas dochodziły. Pomiędzy innemi, oznaczaliśmy właściwą cechą wiersz p. A. E. Odyńca: *Przyjdź Królestwo Boże.* Nie rozsze-

rzaliśmy się nad tym wylewem pojedynczego pióra, bo nam nie zdawał się niczém więcéj jak tylko zupełném odkryciem się człowieka, co zresztą miało swoję stronę użyteczną dla ogółu. Teraz okazuje się inaczéj. Owa bluźniercza oda jest częścią integralną manifestacyi ułożonéj wcześnie i z rozmysłem, a dokonanéj w formie pokrywającéj niewinnym pozorem literackiego pomnika, myśl sięgającą daleko.

Jednym z objawów wspólnego i mimo wszystkie podziały zjednoczonego życia rozszarpanych części Polski, jest jéj umysłowość, jéj piśmiennictwo narodowe. Chodziło tedy o to, żeby przedstawiciele intellektualni Litwy, zrobili akt oderwania się jéj w duchu od Polski a zlania się z Rossyą. Wystąpiło ochoczo do tego dzieła trzech sędziwych mężów, i stanęło przy czwartym nowszéj daty luminarzu. Panowie A. E. Odyniec, Ignacy Chodźko i Mikołaj Malinowski otoczyli p. A. Kirkora.

Wydrukowano w Wilnie, dla złożenia u nóg J. C. Mości, księgę, mającą być pomnikiem szczęścia, radości, zbawienia. Jakiś jednak niewytłómaczone uczucie wstydu podyktowało promotorom chęć utajenia się z nim ile można: kazano odbić tylko 100 exemplarzy.

Przysłano nam jednę z tych rzadkości bibliograficznych; przysłano bezimiennie i bez żadnych objaśnień, jak gdyby chciano powiedzieć: patrzcie i sądźcie sami! Rzeczywiście, dosyć jest spójrzeć na to smutnéj pamięci dzieło, żeby zobaczyć, co się już z nieszczęśliwą Litwą stało i w co chcą ją obrócić. Wszystko rossyjskie: po polsku tyle tylko, ile trzeba było na kłamstwo, pochlebstwo i przeniewierstwo.

Księga in 4° wydana z przepychem, na jaki typografia J. Zawadzkiego zdobyć się mogła, obejmuje stronic 181. Z tych, na początku stronic 7 po polsku i na końcu stronic 11 po francuzku; reszta w języku panującym. Na okładce i na pierwszéj karcie u góry tytuł rossyjski, pod nim dosłowny jego przekład: «Na pamiątkę pobytu Najjaśniejszego Cesarza Jego Mości 6 i 7 września 1858 roku.»

Porządek materyj jak następuje:

1. Przyjdź Królestwo Boże! Przez Antoniego Edwarda Odyńca. Wierszem.

2. Dzień szósty i siódmy września 1858. Przez Ignacego Chodźkę. Prozą.

3. Istoryko-statisticzeskie oczerty goroda Wilno. Sostawił A. K. Kirkor i t. d.

4. La Lithuanie depuis l'avènement au trône de Sa Majesté l'Empereur Alexandre II. Par Nicolas Malinowski.

Stosunek, jaki zachodzi między skojarzonymi tu autorami i płodami ich pióra, najlepiéj daje się wyrazić za pomocą znanéj na Litwie przypowieści: «Przyjechali Trzej Królowie we czterech, bo furman był czwarty.» Istotnie, praca p. Kirkora, zapełniająca całą księgę, nie ma związku z przyczepionemi do niéj kartkami, służy tylko za pewny rodzaj *vehiculum*, za powózkę na którą siedli litewscy Magowie i pojechali — powitać nowego zbawiciela świata.

II

«Historyczno-statystyczne zarysy miasta Wilna» wydane osobno, bez złota, miry i kadzidła, któremi są obłożone, należałyby sobie do literatury rossyjskiéj, a miejscowych tyleby mogły obchodzić, ileby znaleźli w nich błędów do sprostowania. Wtedy mniéjby raził i przyłączony do nich plan Wilna, z napisami rossyjskiemi i tak przechrzczonemi nazwiskami ulic, placów, przedmieść, że już trudno rozpoznać się w tym Jagiellonów grodzie.

Tyle o powózce. Co zaś do woźnicy, nie wiemy nawet ile mamy prawa pociągać go do odpowiedzialności. Zkąd się zjawił, kto jest rodem? o tém milczą jego panegiryści. Przed kilkunastą laty przybył do Wilna młodzieńcem nieumiejącym naszego języka. Wyuczył się z czasem po polsku, okazał pewną rączość pisarską, a nadewszystko wielką pracowitość, czynność i przedsiębiorczość, którą zwracał w różne strony. Miał pociąg do sceny i zaprawdę nie bardzo szczęśliwy, bo skutkiem niego, po raz pierwszy teatr *rossyjski* zaprowadził on do Wilna i na nim oparł swe domowe penaty. Nie mniéj mętne było owe względne koleżeństwo, którém otoczył jednego z młodych a płodnych poetów wileńskich. To go wprowadziło w świat literacki; przykładał się skrzętnie do założenia Komisyi Archeologicznéj i Muzeum starożytności; odbywał podróże w celu zbierania wykopalisk z mogił i kurhanów; napisał w sposób zajmujący pewien rodzaj przewodnika, pod tytułem: *Przechadzki po Wilnie;* zajmował się i wydawnictwem. Ponieważ zdarzyło się to w czasach, kiedy archeologią, pisarstwo i wydawnictwo podniesiono u nas hurtem do wysokości obywatelskiéj służby, imie p. A. K. Kirkora zrazu osłonione pseudonymem Jana ze Śliwina, nabyło rozgłosu. Brzmią dzienniki hołdami oddawanemi jego zasłudze literackiéj, naukowéj i bodaj patryotycznéj. W tym ostatnim punkcie ta tylko zachodzi trudność, że niewiadomo gdzie jego *patria?* Podobno tam *ubi bene.* Niech go zresztą bożkowie litewscy Muzeum wileńskiego mają w swojéj opiece, jeśli im tego nie zaprzeczą jacy starorossyjscy.

Inna sprawa z samymi Magami. Oni cudzoziemstwem, kosmopolityzmem i rozczochraną młodością wymówić się nie mogą od podległości trybunałowi sumienia polskiego. Ich zamykanie się w Litwie, równie jak ucieczka w przestrzenie Wszechrossyj lub Wszechsławiańszczyzny, jest zbrodnią stanu przeciw Polsce. Urodzili się

Polakami; uchodząc za dobrych Polaków, wynieśli się w świątyni umysłowości narodowéj na te szczeble « kapłaństwa » (że użyjem nadużytego bardzo wyrażenia) które im daje teraz możność wszczynać urzędownie zerwanie unii historycznéj, w dziele zagłady jestestwa polskiego być świeckimi Siemaszkami. Słusznie czy niesłusznie, opinia publiczna nawykła widzieć w każdym z nich wierzchołek jednego z konarów piśmiennictwa, jakiemi Litwa szczycić się mogła i lubiła. Są tam ludzie talentem lub nauką równi im i może wyżsi; bezwątpienia grono pomnikowe ograniczyło się na liczbie trzech dla tego tylko, że nikt więcéj nie chciał dzielić z nimi haniebnego zaszczytu: komplet wszakże wygląda, jak gdyby naturalnie się złożył, albo z wielkiém wyrachowaniem był obrany. W imię *natchnienia, serdeczności i rozumu* Litwy, chciano przemówić do Cesarza Rossyi, i zabrali głos ci, którym długo krzywe pojęcia, fałszywe urojenia i źle zrozumiana chluba narodowa gotowały patent na tę reprezentacyą. Nie idzie o to, żeby im odmówić wszelkich praw do wziętości literackiéj; owszem, im więcéjby ich mieli, tém więcéj zasługiwaliby teraz na złorzeczenie: ale ponieważ opinia, która u nas przez samo uczucie powiatowszczyzny, ma szczególną potrzebę uwielbienia miejscowych poetów i pisarzy, raz olśniona i rozmiłowana, nie łatwo daje się rozczarować i odwrócić od « swoich ulubionych », dla umniejszenia więc jéj żalu, musimy powiedzieć słów kilka, dających prawdziwą miarę poniesionéj straty.

Rozważniejsza, albo raczéj lepszém tchnieniem pokierowana krytyka, ośmiela się już dzisiaj powątpiewać, czy p. A. E. Odyniec będzie z czasem liczony w rzędzie poetów. Jest on bez zaprzeczenia znakomitym i utalentowanym wierszopisem, częstokroć bardzo zręcznie udaje i naśladuje poetyczność, ale istotnego żywiołu poezyi nigdy nie okazał, bo go w duszy jego nie było i być nie mogło. Przynajmniéj ten wyrok musi być uznany,

kiedy idzie o żywioł poezyi narodowéj. Nigdy z pod pióra jego nie wytrysło cokolwiek głębsze czucie i pojęcie Polski; chociaż czasem w rozgrzaniu imaginacyi, żywemi i powabnémi kolorami malował tę jéj stronę zewnętrzną i plastyczną, którąby należało nazwać *polakeryą*, tak już do przesytu *obrabianą* przez nowszych wierszopisów i powieściopisarzy. Wielekroć probował wznieść się w wyższe sfery religii lub przeszłości ojczystéj, podał ztamtąd zamiast ognia wiary, przędzę subtelnéj doktryny, zamiast prawdy natchnionéj retorską emfazę. Takiemi są jego arcydzieła: *Felicyta i Barbara*, mające teraz swój komentarz w odzie: *Przyjdź Królestwo Boże!* Młodzież wiedziona wrodzonym instynktem dusz polskich, spaliła Felicytę i nieznajduje w Barbarze żadnéj kartki do nauczenia się na pamięć; ale krytycy lekcy i łatwi a przedewszystkiem dbali o zachowanie koleżeńskich stosunków, ale wielbiciele *piękna* w niemieckim alembiku estetyki dającego się oderwać od dobra i prawdy, nie szczędzili pochwał. Ci wszyscy wreszcie, dla których koniecznie w «serdecznéj Litwie» nigdy nie może braknąć pieśniarzy i pieśni, musieli też mieć kogoś, o kimby mogli mówić: «*Nasz Wieszcz.*» Przyznano p. Odyńcowi, jeżeli nie pierwszy stopień do osieroconego tronu, to przynajmniéj jakieś niezaprzeczone dziekaństwo na Parnasie poetów krajowych. Co jednak najbardziéj przyczyniło się do tego okrycia go temi tytułami, to tytuł towarzysza młodości i przyjaciela Mickiewicza. Sam on zdaje się szukać w tém wsparcia i zapewnienia téj sławy. Rozsypał i więcéj jeszcze rozsypać obiecuje wspomnień tego związku, który po prostu był winien trafowi i nieograniczonéj dobroci wielkiego serca. Chlubi się błogosławieństwem ręki, któraby dzisiaj przekleństwo na niego rzuciła. Mówi o pocałunkach ust, które z pod kamienia grobowego odpowiedzieć nie mogą. Bezczelny i niebaczny, czyliż nie widzi że w blasku, jakim się chce otoczyć, tylko czarniejszym się

wyda! I jakiż mógł być związek między duszami, z których jedna nosiła w sobie Polskę nieśmiertelną przeszłych i przyszłych wieków, druga przeznaczona była wszelką w nią wiarę roztłuc u podnóżka tronu carów. Ś. p. Adam wspominając młode swoje lata, w poufnéj rozmowie o czasach i ludziach wileńskich, powtarzał nieraz, że w gronie otaczających go najbliżéj, miał dwóch «w których piersiach nie mógł nigdy dostukać się najmniejszego poczucia Polski.» Jednym z nich był Odyniec; o drugim zamilczym, bo siedzi cicho.

P. Ignacy Chodźko należy do tychże czasów i ludzi wystąpił jednak poźniéj na widownią literacką. Znakomitsze jego pisma ukazały się dopiero w latach, kiedy mogiły z 1831 roku pozapadały w ziemię i bez śladu zarosły chwastem, kiedy zapał i rozpacz przestały wstrząsać uczucia widokiem świeżéj krwi męczeńskiéj. Pieśniarze litewscy, szukając ulgi sercom w powabach sielskiego żywota wzięli się wtedy ze szczególném upodobaniem do fujarek łozowych i zdawali się coraz bardziéj zapominać, że powołaniem poezyi jest cóś więcéj jak «nucić nad strumykiem i rozmawiać ze słowikiem» Dziekan ich «Staruszkiewicz» nigdy nie przystępny melancholii, pisywał sobie pocieszne madrygaliki do przyjaciół, których sens moralny prawie zawsze zmierzał do tego, żeby jaki łaskawca zlitował się nad jego podtuptanym Pegazem i wziął biedną szkapę na przezimek. Posępna cisza rozciągająca się nad całym krajem i zniżony nastroj umysłów sprzyjały niezmiernie pismom pana Ignacego Chodźki. Obrazy i powiastki przedstawiające niedawne lepsze czasy, błogie i piękne strony domowego życia, kreślone z rzeczywistym talentem, z prawdą pełną rozmaitości i kolorytu, przypadły powszechnie do smaku, zjednały autorowi sławę, miłość i uwielbienie. «Zacny, serdeczny Chodźko» został *de iure et de facto* reprezentantem zacnéj i serdecznéj Litwy. Młodzi pisarze odbywali dalekie pielgrzymki do jego wsi

Dziewiętni jak do ziemi świętéj, z religią czcią opisywali wszystkie kąty i sprzęty lamusu, w którym letnią porą lubił pracować. Nie podzielając téj przesady uwielbienia, można było zaliczyć p. Chodźkę do rzędu najlepszych pisarzy naszych tegoczesnych i przyznać płodom jego pióra istotną wartość. Jednakże zapatrującemu się na piśmiennictwo krajowe z pamięcią o jego głównem powołaniu, dawał się czuć w tych miłych i pogodnych utworach jakiś niedostatek martwiący czytelnika. Nigdzie utajonéj iskry świętego ognia narodowego, któraby z duszy autora przekradła się w duszę czytelnika z wielkim bolem dała jéj wielkie pokrzepienie; nigdzie tego westchienienia żalu, któreby otwierało pierś aż do niebios nadziei. Wszystko tu zacieśnione, poziome, odwrócone w dziedzinę wspomnień, rajskich wprawdzie, ale « w łupinie orzecha » jak mówi Hamlet roztęskniony. Zamiłowanie rodzinnéj ziemi znajduje ostatni zakres widokręgu, w dziedzicznéj wiosce; przywiązanie do dawnego sielskiego porządku czy nieporządku wyklucza wszelką myśl zmian i ulepszenia; zwrót w przeszłość pozostawia dla przyszłości tylko zwątpienie, obojętność i niechęć. Co było to było bardzo piękne, dobre a nadewszystko dziedzicom wiosek przyjemne ale niestety minęło nieodzownie : teraz trzeba tylko trzymać się oburącz kęska puścizny ojcowskiéj, otulić się kożuchem, spożywać barszcz domowy, pocieszać się obrazami dawnych czasów i wreszcie złożyć swoje kości obok popiołów przodków. Taki w ogólności jest sens moralny pism p. Chodźki. To zjednało mu szczególną sympatyą Henryka Rzewuskiego i te łaski, że potrącając wzgardliwie całém piśmiennictwem współczesném, raczył « *Obrazy Litewskie* » zaliczyć do niewielu wyjątków. Usposobienia, jakie baczniejszemu wzrokowi dawały się dostrzedz w dziełach, wkrótce sam autor począł czynami okazywać publicznie.

Najtrudniéj oznamionować i wytłómaczyć wziętość

trzeciego z jadących na Kirkorowym rydwanie : cały jego zawód osłoniony jest czémś tajemniczém, a między tajemnicami są takie, których nie poważymy się dotknąć. P. Mikołaj Malinowski należał do szczęśliwych ludzi, którym jakiś przyjazny rozgłos toruje drogę. Pierwéj nim złożył jakikolwiek dowód uczoności, znany już był za głęboko uczonego; stał się sławnym pisarzem więcéj przez to, co miał napisać, niż przez to co napisał. Kilka wszakże rozpraw, bądź osobnych, bądź służących za wstęp do wydawanych przez niego dzieł pisarzy dawnych, mianowicie zaś wydanie Stryjkowskiego i Wapowskiego, jakkolwiek niedokończone, okazują niewątpliwą i niepospolitą zdolność pisarską i rozległą naukę. Ale wkońcu, życie ubiegło w kłopotliwych zachodach nie literackich głęboka umiejętność, historyi ojczystéj znalazła swój ostateczny a wcale niespodziany wyraz w zdeptaniu ducha ojczystego!...

III

Tacy trzéj mężowie złożyli się na ów akt szkaradny, który wedle ich życzenia i rozmyślnego zamiaru miał być wyznaniem wiary, czyli raczéj niewiary Litwy. Punkt wyjścia i cel dążenia jest im wspólny; każdy tylko mówi właściwym sobie sposobem i rozszerza się z myślami odpowiedniemi jego powołaniu : dopełniają się nawzajem.

Ogólną podstawą rozwijanych pojęć jest w duszach autorów zapadły wyrok, że Polski niemasz i nigdy już nie będzie. Życie jéj udzielne, organiczne, samoistne skończyło się raz nazawsze; składowe części jéj ciała przechodzą w łono Rossyi. Grzech opierać się temu, trzeba poddać się z miłością, dać się strawić, żeby żyć w nowym wielkim organizmie, bo Rossya przeznaczona

świat przetworzyć, cesarz Alexander II jest zesłany zbudować Królestwo Boże na ziemi.

Autor tedy Felicyty, nominat-wieszcz, przybiera charakter proroka i poczynając rzecz od końca zapowiada:

Któż jako Bóg na niebie? Kto jak Ten na ziemi,
Co przez Boga obleczon władzą nad narody,
Jako Ojciec miłością tylko włada niemi.
Jako Zbawca, przez miłość wiedzie do swobody?

O cześć MU i chwała, i tryumf bez końca!
Duch Boży tchnie w ludzkości przez NIEGO.
ON dawca pokoju, ON Prawdy Obrońca,
ON Budownik Królestwa Bożego!

Mniemany katolik, tak namaściwszy Głowę schyzmy, rzuca klątwę na nieprzyjaciół « Swobody, Krzyża i Prawdy » których widzi równie na Wschodzie jak na Zachodzie.

« Wschód zamierzchł ciemnotą i mgłą nieruchomą,
Półksiężyc zgasł w burzy pomroku.
I słońce zachodu swą jasność poziomą
W złoto-krwistym topi obłoku. »

Ale Bóg ulitował się nad światem « i oto na Niebie Północy zaiskrza się Zorza Poranna... Wszyscy wierzą w jéj siłę i moc przeznaczenia... Od Wołgi i Leny do Niemna, Wisły i Dunaju krwi bratniéj szerokie plemiona » wyciągają do niéj ręce. Więc i Litwy koniec w tém pansławianskiém Carstwie Odyńca. Autor Barbary rozłamawszy pierścień ślubny Jadwigi, rozdarłszy akt unii Zygmunta Augusta, oddaje Litwę Carowi ze wszystkiém co jest jéj, na ziemi i w niebie.

« A wy duchy Jagiellonów
Rozradujcie się w wieczności!
Oto dziedzic waszych tronów
Waszych myśli i miłości. »

Po tem bluźnierstwie rymowaném, zabiera głos Pan Ignacy Chodźko prozą. Potwierdza on proroctwo ale już tylko jako mędrzec. « Są — powiada — w życiu narodów » chwile tak ważne, tak głębokiego na los ich i odległość » wpływu, a tak w porę objawiające się światu, że je nie » inaczéj jak za kartę z księgi przeznaczeń wyjętą uwa» żać należy. Zdumiony natenczas mędrzec tym nie» oczekiwanym promieniem wyższego światła... woła » z pokorą uchylając czoło: *Palec Boży tu jest*... Taką » chwilą od Boga dla Litwy zesłaną jest bezwątpienia » obecna. »

Ów zdumiony mędrzec, gada jeszcze za panią matką pacierz o przemianach idei i wyobrażeń ludzkich krwią i srogiemi klęskami okupionych, o błędnych dążnościach ku celom nigdy dosięgnąć się nie mającym, o ucieczce zmordowanéj Europy pod ramiona *Krzyża* i Miłości Chrześciańskiéj, o rodzinie sławiańskiéj, która że nigdy go nieodstąpiła, odpowiada z wiarą i poświęceniem głosowi Monarchy, zrywając dobrowolnie więzy ludu! Ale to, wszystko służy mu tylko za wstęp retoryczny, do tego co trzeba było wykrztusić.

Musimy tu popełnić niedyskrecyą, powiedzieć co wiemy o Panu Chodźce, a wiemy od osób jemu bardzo blizkich. P. Chodźko był zawsze szlachcicem *à la Rzewuski*, uważał *chama* za stworzenie skazane na wieczne poddaństwo, niezdolne żyć bez pana, lubił nawet nęcić się nad nim. Nie tajno i to zresztą, że zasiadłszy w komitecie włościanskim, należał do zaciętszych obrońców starego porządku, chciał z niego zachować jak najwięcéj, a kiedy jedna znana z litewskich autorek głosem Siostry odezwa się do braci Szlachty, żeby braciom kmieciom nie żałowali kęska ziemi, zapomniał o ramionach krzyża i miłości chrześciańskiéj, zagniewał się na nią i zerwał stosunki. Teraz przyszło mu *ex officio* podnieść do apoteozy wielkie dzieło Monarchy i dobrą wolę Litwy. Wywiązał się z tego, jak mógł, dziwnym skrętem myśli:

« Litwa — mówi on — kraj zachowawczy którego każdy mieszkaniec pod swą ojczystą strzechą, przy domowem ognisku, radby przedłużać i jako najdroższą spuściznę zostawić potomkom... cnoty chrześciańskie i obyczaje naddziadów... dlatego ze spisu praw swych i własności, własność człowieka nad człowiekiem wykreśliła. »

Kończąc tę rzecz czém prędzéj, wolał autor *Litewskich Obrazów* rozszerzyć się nad innym przedmiotem. Odmalował « braci niedawno jeszcze tułaczym na obczyźnie żyjących chlebem » którzy wracając do ojczystego grodu przez Ostrą Bramę, zanoszą do « Opiekunki Litwy bła- » galne modły o długie panowanie Tego co, topiąc w nie- » pamięci całą przeszłość draźliwą, dozwolił im oglądać » *najmilszą* dla serc cnotliwych rodzinną społeczność, i » *najsłodszą* dla serc czułych mieć nadzieję, że na za- » warte ich kiedyś źrenice, dłoń przynajmniéj bratnia » garstkę rodzinnéj ziemi. »

Nie myślimy stawać w obronie braci wracających. Zdanie nasze o nich wyjawiliśmy nieraz. Złamani wiekiem lub cierpieniem zatęsknili może i oni zanadto do « kożucha i barszczu » w domowym kącie, który zawsze jest *ultima Thule* widoków p. Chodźki; ale każdy z nich, najniższy nawet, choć raz w życiu wzniósł się na szczebel, na jaki p. Chodźko nigdy wznieść się nie umie, choć raz poczuł, że nad życie wśród rodziny, nad mogiłę w rodzinnéj ziemi są rzeczy milsze, słodsze a nadewszystko świętsze, dla których krocie Polaków z Litwy, Korony i Rusi wolało przepędzić żywot w szlachetném tułactwie zasiać cztery części, świata swojemi kośćmi, niżeli w domu niewoli przewrotném kłamstwem znieważać przeszłe, kazić przyszłe pokolenia.

P. Chodźko, bardziéj niż cesarz Alexander, utopił w niepamięci « przeszłość dlaźliwą, » zapomniał że Opiekunka Litwy w Ostréj Bramie, równie w Częstochowie i Poczajowie, jest jedna i ta sama *Królowa Polski*, któréj koronę carowie rossyjscy nieprawnie i bezbożnie włożyli na swoję głowę. Każdy z nich o tém pamiętał i pamięta.

Zrzekłszy się Polski, zabiwszy ją w duchu, p. Chodźko ze szczególném zaślepieniem chwyta namiętnie jakąś miarę udzielnéj Litwy. Dla niego jest w niebie osobna Najświętsza Panna Litewska i na ziemi widzi w Cesarzu Rossyi osobnego Wielkiego Księcia Litwy « czuwającego nad gwichtém szali jéj przeznaczeń.

Z kolei, P. Mikołaj Malinowski przykłada rękę do dzieła i bierze kwestyą całkiem ze strony realnéj. Nie wdaje się on w proroctwa, nie uwodzi się żadném złudzeniem : kłamie rozmyślnie i z wyrachowaniem. W zarysie jego, skreślonym francuzczyzną petersburską, panuje optymizm Tęgoborskich i tym podobnych głosicieli materyalnéj potęgi Rossyi. Dla niego Królestwo Boże na ziemi, to dobry byt dający się oznaczyć cyframi; Litwa, to kilka gubernij zachodnich Cesarstwa rossyjskiego, ściśléj mówiąc wielkorządztwa Nazimowa — i nic więcéj. Czém była, to już tylko należy do martwéj historyi, jak dzieje Pskowa lub Nowogrodu; teraz trzeba patrzyć czém jest i czy jéj z tém dobrze.

Otóż P. Malinowski uwziął się okazać, że nigdy nie była szczęśliwszą, a epoka téj szczęśliwości datuje od wstąpienia na tron Alexandra II. Położywszy więc na czele wyjątek z manifestu 19 marca 1856, jako zapowiedź błogiéj przyszłości, historyk-statysta stawi i rozwija następne twierdzenia.

Instynkt ludów, który się nigdy nie myli, powitał w nowém panowaniu jutrzenkę pokoju z jego wszystkiemi następstwami błogiemi, skierowanemi do pomyślności wewnętrznéj całego ogromu państwa. Ale prowincye zachodnie szczególniéj odetchnęły nadzieją « bo skutkiem nazawsze opłakanych wypadków, miały one » nieszczęście stracić zaufanie Monarchy, co zmuszając » rząd do surowych środków represyjnych, przywiodło » je do ostatniéj nędzy. » Już pod koniec panowania

poprzedniego, dawała się im przewidywać możność wyjścia z tego położenia wyjątkowego, przez uległość i pośpiech w spełnianiu wszelkich rozkazów władzy podczas wojny. Wspaniałomyślność nowego Monarchy i jego podróż do Krymu, przyspieszyły tak gorąco pożądaną chwilę.

« Zwiedzając szpitale wojskowe, Najjaśniejszy Pan » znalazł wielu synów Prowincyj Zachodnich, okrytych » szlachetnemi ranami w obronie ziemi Cesarstwa. Zacni » naczelnicy dali im świadectwo męztwa i poświęcenia » się zupełnego. Cesarz postrzegł, że *generacya nowa* » przejęta miłością ku Jego osobie, gotowa jest przelewać swą krew dla okazania, *że jéj rodowość polska jest* » *jedną więcéj z przyczyn* skłaniających ją do wierności » poprzysiężonej sztandarowi i pełnienia obowiązków » obywateli. (!!)... Niezdolnych do dalszéj służby, szczodrze nagrodziwszy, odesłał na łono rodzin wielbić » ojcowską dobroć i wysoką sprawiedliwość Monarchy, » który nie zwraca żadnego względu na różnice narodowości swoich poddanych. Ci *emisaryusze* nowego rodzaju podnieśli do najwyższego stopnia miłość całéj » ludności dla osoby Cesarza... »

Niemożna okrutniéj frymarczyć krwią rodaków. Wiadomo, dla czego w téj walce Moskwy z Zachodem, Polacy pod swym sztandarem na pole bitwy wystąpić nie mogli, a jeśli krew swoję przelewać musieli, to pewno nie tam, gdzie była ich miłość i wiara. P. Malinowski tą krwią zaprawia swe szatańskie pióro i pisze najczarniejszą potwarz na całe pokolenie. W iluż to piersiach nie mogących odezwać się głośno musi wrzeć niezrównana boleść!

Cesarz nabywszy przekonania o wierności Litwy, zdaniem p. Malinowskiego, zaręczył jéj wszystko co miał za najdroższe dla siebie: religią ojców, język macierzysty, cześć przeszłości.

Jak ze krwi świeżo rozlanéj, tak i z religii, p. Malinowski robi użytek do swego celu. Tegoż samego roku, w lipcu i październiku, w Dziernowicach i Prozorowie, odbywały się te krwawe misye schyzmatyckie, o których tylko przypomnieć potrzebujemy naszemu czytelnikowi. P. Malinowski tylko o trzydzieści, o piętnaście mil był oddalony od tych miejsc męczeństwa a jednak we wrześniu pisał te wyrazy: « W nowym zbiorze praw, układanym pod okiem samego Cesarza, zostały zapewnione » wyznaniu Rzymsko-Katolickiemu swobody na zasadach konkordatu zawartego ze Stolicą Świętą (my » dodamy — którego ogłoszenie zfałszowano). Dobrodziejstwo to uspakajając sumienia bojaźliwe, zabezpieczyło je od chytrych podszeptów, jakiémi chcianoby » może je poduszczać. Cesarz kazał osadzić wszystkie » wakujące biskupstwa... Litwa pyszni się widząc Arcybiskupem Metropolitą jednego z dostojnych swych » synów. Pod jego zarządem, duchowieństwo światłe i » pobożne, wraża w serca swoich owieczek miłość i » wierność dla uwielbionego Monarchy, który katolicyzmowi dał swą potężną opiekę w sposób tak widoczny. » Seminarya napełniają się... kościoły wznoszą się, jak » w dawnych czasach zapału religijnego »... P. Malinowski widocznie nie należy do sumień bojaźliwych; obraża Boga w każdém tu słowie...

Cóż powiedzieć o języku macierzystym, tak żywo obchodzącym p. Malinowskiego? Litwa, któraby idąc za głosem swoich Magów, zerwała duchowy związek z Polską, długożby jeszcze mówiła po polsku? Nie! nową przybrawszy matkę, koniecznie musiałaby przyjąć i nowy język macierzysty-rossyjski. P. Malinowski pragnął wystąpić z zaprowadzeniem nauki języka polskiego po szkołach litewskich, ale mu wątek prędko się urwał; nadsztukował go więc czułą wzmianką o łaskawości Alexandra II dla dzieci Mickiewicza. « Cesarz, powiada » on, chciał przynieść ulgę sierotom i razem okazać szacunek dla geniuszu, dozwalając przedrukować arcy-

» dzieła, które Litwa uważa za najpiękniejszy tytuł swojéj » sławy intellektualnéj. » Zaiste, co Cesarz rossyjski umiał uszanować, to znieważają przeniewierni ziomkowie. Niemasz bezbożniejszéj zniewagi dla ducha wielkiego Wieszcza narodowego, jak to wyzywanie jego imienia przez zdrajców ojczyzny. Czy z waszemi odami i rozprawami śmielibyście stanąć, niebaczni, przed żywym? Czemuż śmiecie mięszać jego imie do waszych niecnych robot? Litwa, jaką wy przedstawiacie, nie ma żadnego prawa do Mickiewicza; arcydzieła jego powinny być wyrzutem dla waszych sumień i potępieniem waszéj « inteligencyi. »

Przy tém wszystkiém dziwnie jest napotykać powtarzane wyrazy : *cześć dla przeszłości*. Co znaczy ta cześć, dosyć jest wiedzieć, że jéj świątynią Muzeum starożytności narodowych przy Komisyi Archeologicznéj wileńskiéj. Jakież tam zabytki narodowe? Najszacowniejszy z nich — włosy wiekopomnéj Carycy, II Katarzyny ! Jakim językiem oddaje się chwała przeszłości naszéj? Zagajenia, mowy, rozprawy, katalogi, druki — wszystko prawie po rossyjsku!

Niepodobna nam iść w ślad za p. Malinowskim przez cały przeciąg jego pisma. Bierze on jeden po drugim najdrobniejszy czyn wielbionego Monarchy i przy każdym umie powiedzieć coś takiego, coby samo jedno wystarczało na cechę najzupełniejszego odstępstwa. Nakoniec kreśli wspaniały obraz materyalnych korzyści jakiemi Litwa cieszy się lub wkrótce cieszyć się będzie.

Dobro kraju i miłość chrześciańska, są to dwa wielkie oręże, któremi autorowie Pomnika najpowszechniéj odpornie i zaczepnie wojują.

Od czasu jak wyraz ojczyzna zastąpion wyrazem kraj, otworzyło się dogodne pole sofistom do zdradzania ojczyzny pod godłem niby dbałości o dobro kraju. Odczasu jak fałszywi świętoszkowie swoje nizkie widokipoczęli oblekać płaszczykiem religijności, skrzy-

wiono wyobrażenie chrześciańskiéj miłości i rezygnacyi.

Żeby dać komu miłość, trzeba być godnym miłości; żeby zachować rezygnacyą, trzeba mieć siłę moralną. Pełzać, podlizywać się, pochlebstwo posunąć aż do bezbożności udawanego proroctwa — to nie miłość chrześciańska. Cierpieć z rezygnacyą a przewierzgnąć się z radością — to rzeczy różne. Rezygnacya chrześciańska, cierpliwe wytrzymywanie przeciwności nie pociąga za sobą błogosławieństw dla niewoli, owszem ciągły trud i ciągłą modlitwę dla wyzwolenia. Jeniec wzięty na polu boju, może być szczerze pokornym, prawdziwie uległym, nie wyrzekając się znamienia pod którym służył i w duszy wciąż służy, nie zdradzając chorągwi narodowéj; zbieg do nieprzyjacielskiego obozu nie pokornym będzie, ale tylko podłym. Podłość może pomagać do pewnego stopnia i czasu nędznym widokom osobistym; jako środek polityczny zawsze jest najgorszą ze wszystkich rachubą : w sojuszu narodów nigdy nie może być spójnią. Naród rossyjski ma wielkie poczucie godności — przynajmniéj w innych. Niechaj ten ze swoją miłością nie zbliża się do Rossyanina, na kogo syn Moskwy, w duchu, jeżeli nie głośno, może powiedzieć *podlec*. Przyjmie go za posługacza, nigdy za sprzymierzeńca.

IV

Rozszerzyliśmy się nad tym smutnym przedmiotem, bo wymagała tego rzecz sama. Oskarżenie takiego rodzaju, jakieśmy przeciw autorom Pomnika podnieśli, jest zbyt ciężkie i ważne, aby je można ogłosić bez jasnych i wyczerpujących dowodów. Wyrok czytelnika może być krótki : nasze motywa musiały być obszernemi i niewątpliwemi.

A mieliśmy téż i inny, naglący powód do wytoczenia

i roztoczenia téj bolesnéj sprawy. Autorowie Pomnika nie przestali na tém, że się Polski wyparli; chcą oni jeszcze być apostołami swéj apostazyi, chcą całą Litwę uczynić solidarną w hańbiącém dziele przeniewierstwa.

Z początkiem bieżącego roku *Kuryer wileński*, w zmienionym formacie i z wyraźnie napiętnowaną cechą, stał się organem autorów Pomnika. Redaktorem tego pisma jest p. Kirkor; pp. Malinowski i Odyniec jego głównymi spółpracownikami. Nie spotkaliśmy w niém dotychczas imienia p. Ignacego Chodźki, i daj Boże, abyśmy tego imienia, w tych kolumnach, nie spotkali i nadal, bo wyznajemy szczerze, tego pisarza żal nam najwięcéj.

Cokolwiekbądź, niemasz wątpliwości że *Kuryjer Wileński* ma być stałym rzecznikiem systemu w Pomniku raz wypowiedzianego, że ma w codziennych kroplach sączyć jad tam uzbierany, i w chleb powszedni zamienić najczarniejszą zdradę.

Pierwszy zaraz numer zawiera ogólny pogląd na obecne trudności europejskie, podpisany przez p. Mikołaja Malinowskiego a kończący się następującemi słowy:

« Jedna tylko Rossya wolna od wszelkich międzynarodowych zawikłań, zajęta wewnętrznym rozwojem, wielką i świętą sprawą polepszenia bytu ludu wiejskiego, ożywieniem przemysłu i handlu, przyprowadzeniem do porządku swojéj skarbowości, zastosowaniem do potrzeb kraju administracyi, może spokojnie poglądać na przyszłość i nielękać się przeszkód na téj drodze, po któréj prowadzi ją wspaniały miłośnik ludów swoich monarcha. Opatrzność, *nagradzając czystość jego dążeń*, dozwoliła, aby gromy długotrwającéj wojny na południowych granicach państwa umilkły. Nieuległe plemiona Kaukazu, jedne walecznością oręża zhołdowane, drugie nadzieją łaskawych i sprawiedliwych rządów ujęte, poddały się bezwarunkowo cesarzowi, i nadzieja prędkiego zakwitnienia dawnéj Kolchidy, przestając być

życzeniem, zamienia się w błogą rzeczywistość. Ten pomyślny obrót rzeczy daje otuchę, że w obecnych powikłaniach politycznych, głos Rossyi stanowczo wpłynie na ich załatwienie, żadne bowiem mocarstwo z równą powagą przemówić nie zdoła. *Wolna od wszelkiego osobistego interesu, jedna Rossya* tylko jest w stanie podawać rady, dobro ludzkości i pokój świata mające wyłącznie na względzie. »

Słowa te, aczkolwiek zgrozą przejmują duszę polską, nie zadziwią już czytelników po przytoczeniach wyjętych z Pomnika: a wszakże mają one nierównie większą doniosłość, bo nie są aktem jednorazowéj i prywatnéj prostytucyi, ale zapowiedzią ciągłéj, ogólnéj propagandy. Pomnik obowiązywał tylko kilku ludzi i wstydliwie bibliograficzną chciał zostać rzadkością; *Kuryer* bezwstydnie szuka światła, rozpowszechnienia i rozgłosu a istnieniem swém i poparciem jakieby znalazł, obowiązywałby całą prowincyą. Pierwszy to raz, u nas, wyparcie się Polski, apostazya narodowa, poddanie się w duchu Carowi, występują jawnie, z podniesioném czołem, w system ułożone, ustawione w falangę pisarzy, w piśmie publiczném i peryodyczném!... A takiemu dziełu nie może służyć za wymówkę wzgląd na jakiekolwiek dobro kraju: bo nie masz kraju gdzie nie ma dobra; nie może służyć za wymówkę chęć ożywienia literatury: bo tylko duch ożywia, litera zabija — zabija i literatura, gdy w niéj duch bezbożny lub choćby tylko płochy!.....

Mamy nadzieję, że Litwa, że ziemia Kościuszki i Mickiewicza, odepchnie z przekleństwem potworne dzieło wyrodków; że pisarze krajowi odmówią swojej, w niewiadomości stosunków zrazu obiecanéj pomocy, jak to już uczynili ich koledzy na tułactwie; że opinia publiczna całéj naszéj Ojczyzny złączy się z nami w jednym krzyku polskiego sumienia. Bo zaprawdę, przyszłoby zrozpaczyć o wszelkiém prawém uczuciu, gdyby tu

jeszcze przytaczano łagodzące okoliczności; światło nadziei zmieniłoby się w ciemną noc zwątpienia, wstydby zdusił w piersi polskiéj wszelki głos wołający o sprawiedliwość do świata, i cichaby już tylko została modlitw ı do Boga, gdyby bez piętna na swém czole przechadzać się miały po ziemi litewskiéj polskie Kaimy i gdyby rzekomym « postępem » Litwy miało być — odstępstwo!

LISTY HISTORYCZNE.

I

HR. FR. SKARBKA, DZIEJE KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

10 marca.

Wśród znacznéj liczby dzieł ważnych i ciekawych, które, w ciągu dwu lat ostatnich, historyą porozbiorową Polski nieco rozjaśniły, praca Fr. hr. Skarbka zasługuje bez wątpienia na szczególną uwagę (1). Literackie, naukowe, a nawet administracyjne zasługi autora zaleciłyby publiczności opis jakiéjbądź epoki, jego ręką kreślony. Ale hr. Skarbek wybrał nadto okres z bieżącego wieku, dokładnie jemu, najmniéj ogółowi znajomy; okres, który w niejednym może punkcie styka się z czasem, w jakim żyjemy. To wszystko skłania do obszerniejszego zastanowienia się nad tém dziełem, i usprawiedliwi niezawodnie nieco obszerniejszy jego rozbiór.

(1) *Dzieje Księstwa Warszawskiego*, przez Frsderyka Hr. Skarbka. Poznań, 1859 r., 2 tomy.

Poczyna hr. Skarbek od niezbędnego do dziejów swoich wstępu : od tak zwanych czasów pruskich. Uderzyło nas, że opisując organizacyą nowego rządu, pominął wszelkie wspomnienie o uroczystości zaprowadzenia onegoż w Poznaniu, Płocku, Warszawie. Pojmujemy, iż mu przykro być mogło wytykać spodlenie takich co «z radością» witali zaborców, co im oświadczali «wdzięczność narodową.» Ale, jakkolwiek smutny, nie mniéj to wyraźny obowiązek dziejopisarza. Nie tylko nic fałszywego powiedzieć, lecz i nic prawdziwego przemilczyć mu nie wolno. Pomijać, jeżeli nie tłómaczyć i usprawiedliwiać winy publiczne, uchodzi to u nas za patryotyczny obyczaj dziejopisarski. Widzimy też, jak trudno było zawsze u nas o poprawę, jak wiek wiekowi przekazywał najszkodliwsze nałogi. Na grzech, którego pominięcie wytykamy, na zapomnienie godności obywatelskiéj, codzień prawie spoglądać obecnie musimy. Umizgi do wrogów, nauczyliśmy się nawet okrywać barwą patryotyzmu : biedne ofiary, poświęcają się dla wyżebrania łask narodowi !

Opis rządów pruskich powinienby też był objąć wzmiankę o prześladowaniach, które dotknęły « insurekcyonistów wielkopolskich » co wsparli powstanie r. 1794, o summie konfiskat i rozdzielonych Niemcom majątków. Nie znaleźliśmy takowych. A co nas najwięcéj zadziwiło, autor w kilku tylko słowach wspomina o téj «garstce» rycerstwa, któréj, po rozbiorze ojczyzny, «dawne *nawyknienie* nie pozwoliło oręża dla pługa porzucić,» która straciwszy z chorągwią wszelki «przytułek i sposób do życia,» pobiegła walczyć «za obcą sprawę» do Włoch. Gdyby szanowny autor nie był pominął i tego, że zaborcy Polski przyrzekli sobie, artykułem tajemnym : iż żadnéj ze ziem polskich, pod nazwą narodową w tytułach swoich nie pomieszczą, imienia Polski nigdy już nie wspomną i że Europa stwierdziła milczeniem te ich «usiłowania» około powszechnego

pokoju, które (jak się przechwalali) Opatrzność szczęśliwym skutkiem uwieńczyła : osądziłby był zapewne, że obszerniejsze wspomnienie o Legionach niemniéj koniecznym, jak rządy pruskie, jest wstępem do dziejów Księstwa Warszawskiego. Kiedy w kraju, jedni upędzali się za pozostałémi po Stanisławie Auguście blankietami orderowémi, przedawanémi za podłe ceny przez Ryxa (kamerdynera królewskiego) i przywdziewali : ci, axelbanty czynów moskiewskich, któremi zdobiła ich carowa, tamci, sute mundury szlacheckie, których barwy « piękna królowa pruska sama dla Polaków wybierała, » a inni znowu pocieszali się hrabstwami austryackiemi : gdzież było życie narodowe, którego, przedewszystkiém, śledzić ma dziejopisarz ? — Cóż dopiero powiedzieć mamy o zawartym w przytoczonych słowach sądzie autora ? Alboż « przytułek i sposób do życia » nie był gotowym dla Dąbrowskiego w szykach pruskich i rossyjskich ? Alboż potrzebny był tym, co należeli do możniejszych rodzin krajowych, a w zaciągu Legionów przeważny udział brali ? Czytamy w *Pamiętnikach* Drzewieckiego, jak « rozsądni patryoci, » których przecież nigdy nam nie brakowało, ostro karcili « nieroztropność legionistów, obrażającą dobroczynne dążności monarchów, narażającą kraj na ich niełaskę, » jak piorunowali przeciw « krzywemu patryotyzmowi, » przeciw « egoizmowi pozbawiającemu naród spokoju, którym szczęśliwie cieszył się » ! Czyż słyszanoby takie narzekania, gdyby, po prostu, nędza powiodła garść żołdaków do walki «za obcą sprawę » ? Niestety, *nawykłych* do oręża nie było między Polakami już od czasów Sobieskiego. Mieliśmy wprawdzie rycerzy w kolasach, próżniaków *nawykłych* do przewodzenia i pojedynków, mieliśmy owę (jak ją na sejmie konstytucyjnym pamiętny nazwał hetman) « sprężynę gieniuszu polskiego, » co późniéj tak haniebnie zbiegła z pod Dubienki ! Ale do rzemiosła wojennego, do służbowych *nawyknień*, dopiero brać się

poczęliśmy w ostatniej godzinie życia narodowego, a jak jeszcze! Sam autor, miarkujący chętnie zbyt skore często sądy swoje, musiał przydać w ostatku, że widziano owych legionistów rzucających ze łzami rodzinną ziemię, unoszących silne ramię i mężne serce, aby nie zardzewiały w pokoju, aby, pod przewodem bohaterów wieku, sposobiły się do wojennéj pracy. Tak zaiste, nie nawyknienie do służby, nie potrzeba przytułku, ale wywiodła legionistów nadzieja, że jeszcze walczyć będą za ojczyznę. Szli pod *obcą* chorągiew, ale do walki z wrogiem *własnéj* ojczyzny; szli walczyć za *obcą* niepodległość i narodowość, ale za niepodległość i narodowość, których dla *własnéj* ojczyzny pragnęli, za prawa narodów na ich Ojczyznie pogwałcone. Ginąc pod *Magnano*, Rymkiewicz zapłakał w godzinę skonania swojego: lecz nie to go bolało, że za *obcą* umierał sprawę, tylko to, że «na obcéj legł ziemi.» Na obcéj ziemi, w obozie francuzkim, żyło wtenczas imię Polski, wymazane z karty Europy: otóż co wiodło legionistów do Włoch:

« W ich zbrojnych piersiach dusza Narodu jaśniała! »

Jeśli w téj historyi Księstwa Warszawskiego z bolem i urazą spostrzegliśmy takie pominięcie i nieuznanie legionów, takie lekceważenie rycerzy, którzy ostatni w kraju a pierwsi po za krajem bronili Polski i bez którychby może nie było i Księstwa Warszawskiego, to natomiast oddajemy zupełną sprawiedliwość trafnemu obrazowi, w którym autor przedstawia usiłowania rządu pruskiego około wynarodowienia przywłaszczonych zaborów. Epizod to straszny z długiego, wiekowego a krwią i łzami przesiąkłego dramatu! Wistocie, wynarodowienie ziem słowiańskich, odwieczne to zadanie niemczyzny! Nasamprzód, cesarze i markgrafy zakładali ku temu kolonie osądzonych rozbójników; potém Niemce zbierały krzyżowców, jakby na wyswobodzenie grobu Chrystusowego; wreszcie podjął się przedsięwzięcia zakon niemiecki, aż spełnione zostało «*dzieło Boże*»! Od Elby do Niemna i nad Dźwiną zniknął pod mieczem wytępienia spokojny, rolniczy, «najłagodniejszy» z ludów, odpychający «*niemiecką wiarę*» dla tego tylko, że była wiarą «łupiezców i zbójców.» Daremnie wołali nieszczęśliwi: my nie odbiegamy od chrztu, ale go pragniemy z wody nie ze krwi: apostołowie niemieccy pokrapiali święconą wodą nowochrzczeńców, tylko aby mieć na późniéj powód do ścigania i tępienia «renegatów». Kiedy Polska przyjęła Prusy w opiekę, garstka niewytępionego ludu pruskiego, ludu wychowanego przez niemieckich zakonników, nie wiedziała jeszcze co pacierz. Rzecz osobliwa, rzadki dziejopisarz, filozof, nawet poeta, któryby nie dotknął okrucieństw hiszpańskich w Nowym Świecie: Niemcy «ucywilizowawszy» tak całą tę część Słowiańszczyzny, która oprzeć się im nie mogła, zachowują dotąd znamię «dobroduszności» słyną ze swojego *Gemüth!* Hr. Skarbek, w obrazie swoim, inne już opowiadając czasy, trafia oczywiście na inne sposoby niemieckiego cywilizowania. W osiemnastym wieku nie można już było użyć toporu i chrztu; rząd pruski przestał więc na sprowadzeniu Niemców do urzędów, do dzierżawy starostw i dóbr kościelnych, do rozdzielonych im dóbr zkonfiskowanych, do robót publicznych, na osady rolnicze i rękodzielnicze. Nie wspomina hr. Skarbek jakie to szubrawstwo «co w Niemczech było najpodlejszego», zajęło niższe zwłaszcza posady urzędnicze; ale przypomina czem byli owi cywilizacyjni osadnicy: wyrzutem wiejskiéj ludności Niemiec. Opowiada zaś w szczegółach co przedsięwziął rząd dla wyzucia szlachty polskiéj z majątków na korzyść niemieckich sępów. Sztucznym sposobem podniesiono cenę dóbr ziemskich. Każdy właściciel sądził się bogatszym: pomnażał więc w tę miarę kosztowne budowy, nowe nabytki; biesiadował, grał, zbytkował. Pieczołowity ojciec (*Vobis quoque Pater* jak to przyznał

sobie na wybitym medalu, rząd pruski) podsycając złe nałogi, nadstawił jeszcze szlachcie, przez agentów rozmyślnie na jéj zepsucie zesłanych, pożyczki na nizki procent, aby ją przywieść do bankructwa, do wywłaszczenia... To się działo lat temu sześćdziesiąt: a i dzisiaj postępowanie nie inne, tylko że jeszcze chytrzejsze. Dziś nie wdaje się rząd pruski, jak w owych czasach, w pożyczki na dłuższe terminy: sparzył go traktat tylżycki, skutkiem którego rozpożyczone summy (summy bajońskie) dostały się Francyi i Księstwu Warszawskiemu: wywróciwszy zasady kredytowych asocyacyj, ułatwia on dzisiaj pożyczki w każdéj chwili wypowiedzialne, dla dłużnika zdradliwsze, skorsze jeszcze w skutkach swoich; instytucyą mogącą w istocie dźwignąć byt materyalny obywatelstwa, przezorny ojciec na zagładę skazuje. Obie drogi, nowa jak dawna, prowadzą do tego samego kresu: wiodą plemię ujarzmione do stanu, w jakim już jest nad Łykiem, w Kaszubach, w górnym Szląsku. *Suum cuique*, to przecież godło monarchii pruskiéj!...

Zdawałoby się, że tak szczegółowo i umiejętnie zestawiwszy wszystkie *arcana imperii* Prusaków, wszystkie szatańskie *instrumenta regni*, za pomocą których dawny lennik Rzeczypospolitéj starał się naród polski zedrzeć z chwały, z mienia i z imienia, autor z tém większą radością, z tém większém uznaniem przywita i wprowadzi owego Bohatéra wieku, który jedném cięciem pod Jeną rozdarł wszystkie te krzyżackie sidła, który spełnił niejako proroctwo pieśni Legionów gdy stanął nad Wartą, i przynajmniéj w części nam przywrócił tak dobrze chwałę, jak imię i mienie. Zdawałoby się, że autor tylko dla tego swemu obrazowi nadał to, tak ciemne, acz na wskróś prawdziwe tło czasów pruskich, by na niém tém świetniéj zajaśniała figura Napoleona, by ją otoczyć najpiękniejszym ze wszystkich blasków: blaskiem wdzięczności narodu wyrwanego z toni... Ale autor, choć nieszczęścia nasze czuje i ocenia, w środkach ratunku rozeznać się

nie umie; zmierzył dobrze grób wykopany przez zaborców, ale targa się na rękę, która wieko duszącej trumny odchyliła, dla tego że nas z niéj nie wydobyła w całości, naraz, i na zawsze! A powiedzmy téż szczerze: usposobienie to niestety dość zwykłe między nami. Izrael nowego Zakonu, znamy i uznajemy wprawdzie całą zgrozę faraońskiéj niewoli, ale też i jak dawny Izrael, lubimy się prawować z opatrznym Przywódzcą, wznoszącym hasło wyzwolenia, lubimy się z nim prawować dla tego, że nam każe się dosługiwać, że nas prowadzi przez próby i puszcze, przedewszystkiem zaś dla tego, że nie od razu daje nam posiąść całą ziemię obiecaną!... Hr. Skarbek, jak okazał lekceważenie dla Legionów, tak znowu objawia równie zdumiewającą nienawiść dla wielkiego mocarza Francyi; jak tam nie umiał uznać mężów, co sztandar i imię Polski wynieśli nieskazitelnie na Zachód, tak tu nie potrafił uczcić zwycięzcy naszych wrogów i bądź co bądź — dobroczyńcy naszego, który ten sztandar i to imię, zpotężone sławą, opromienione nadzieją, wniósł napowrót w kraj zmartwychwstający. Pokój tylżycki wydaje się pisarzowi *Dziejów* niełedwie zdradą względem nas, utworzenie Księstwa Warszawskiego niełedwie igraszką lub ironią. Napoleon wszystko mógł zrobić i nic nie zrobił: taka jest prawie konkluzya jego opisu negocyacyi tylżyckiéj. Hr. Skarbek, jak wielu znas, do wszystkiego przykłada miarę naszych życzeń, nie zaś miarę trudności, a powiedzmyż także, nie miarę naszéj pracy i zasługi!

Pokój tylżycki nie był zaprawdę dziełem tak łatwém: był wypadkiem krwawéj, upartéj wojny, poczętéj wprawdzie haniebném pierzchnieniem Prusaków z pod Jeny, ale zakończonéj wątpliwemi nad Rossyą zwycięztwami pod Pułtuskiem, Iławą pruską i Frydlandem. Przydajmy: powstanie polskie nie sięgnęło daléj jak zwycięzki oręż Francuzów; z innych zaborów, pojedynczo tylko, najdzielniejsi, wydzierali się pod znaki narodowe;

gubernatorowie ziem polskich zaręczyć mogli Alexandrowi za «roztropność» podwładnych swoich. Nie wyprzedzaliśmy więc Francuzów w naszych usiłowaniach; czemużby nas mieli wyprzedzać w swoich ofiarach?..... Przydajmy jeszcze że «moralność» dworu austryackiego nie pozwoliła mu zamienić Galicyi za Szląsk, który zaraz po zajęciu onegoż (o czém nie wspomniał hr. Skarbek) Napoleon przywrócić mu był gotów. Wojska francuzkie, o parę set mil od granic swoich, miały więc z tyłu Austryą upokorzoną i rozdrażnioną pokojem preszburgskim, z przodu nietknięte jeszcze granice Rossyi, od morza sprzymierzające się między sobą Anglią i Szwecyą. Oczywiście, w tém położeniu rzeczy, Napoleon *dyktować* nie mógł warunków pokoju: otrzymał, co było celem wojny, utwierdzenie blokady handlowéj na pognębienie Anglii; dla Polaków zaś zawarował utworzenie Księstwa Warszawskiego z części tylko, lubo z części większéj zaborów pruskich. Sam autor przyznaje, że «więcéj Polacy ani żądać, ani rozsądnie spodziewać » się nie mogli: nie mogli żądać aby Francya miliony » dochodów i tysiące ludzi nieść miała przywróceniu » Polski w bezinteresownéj ofierze, » a raczéj z niebezpieczeństwem własném. A jednak, pomimo tego wyznania, hr. Skarbek ugasić nie może, nie tylko żalu, któryby śmy pojęli, ale nienawiści swojéj do Cesarza Francuzów: sławi ofiary naszego narodu, jak gdyby w takiéj chwili najwyższe wysilenia (jak sam chwalebnie twierdzi) nie były «powinnością prawego Polaka,» a za każdym krokiem ściga Napoleona, jak gdyby zbawienie Polski, nie naszym, tylko jego było obowiązkiem. Nie Cesarzowi Francuzów (cóżkolwiek mówi autor) «sprzeciwiała się też samoistność narodu polskiego;» nie jemu zawadzałaby większa rozległość Księstwa Warszawskiego, dla którego owszem, jak dopiéro przytoczyliśmy, chciał Cesarz Francuzów wyjednać Galicyą; ani jemu chodzić mogło o to, aby nazwane było *Warszawskiém*, nie *Polskiém*; «widokom jego» niezawodnie przypadałby na tronie warszawskim, raczéj «wojownik niżeli Niemiec,» jak to nieraz powtarzał; raczéj jeden z braci jego lub szwagrów, którym właśnie trony budował: jeżeli więc od nalegań swoich ustąpił w Tylży, oczywisty to dowód, jakie naciskało go parcie ze strony nieprzyjaciół naszych. Rzecz dziwna! Do tych wrogów autor nie ma najmniejszéj urazy: niby to ich prawo, deptać nas i wytępiać! Całe oburzenie, wszystkie pociski obraca przeciwko temu, co jakkolwiekbądź, sam tylko był wtenczas obrońcą praw naszych. Hr. Skarbek nie ogranicza się na wyrzuceniu mu mizernych dla Polski warunków pokoju; zaręcza jeszcze, «nie byłoby na» wet Księstwa Warszawskiego, gdyby Napoleonowi nie » było szło o port na północy, o punkt oporu dla swojéj » uniwersalnéj monarchii.» U autora naszego, Napoleon powodowany zawsze samą «żądzą przemocy, podżega, szkodzi, nie szanuje żadnego» prawa, ma w zamiarze tylko ujarzmienie Europy...» Przeciwnie, zaborcy Polski (według przedstawienia hr. Skarbka) jeśli się koalizują przeciwko Francyi, to nigdy bez najsłuszniejszych powodów: albo «stawiają opór zdobywczym jéj widokom,» albo walczą po rycersku «w sprawie wszystkich monarchów»: one bodaj czy kiedykolwiek targnęły się na prawa narodów, na łupieztwo i zdobycze!

Napotyka się nieraz obecnie i przychodzi walczyć z tą szkołą odstępną, która chce nas pogodzić z ciemięztwem, nas w niém zatopić, a która bezbożne swe dzieło poczyna od podstępnego szczepienia w niebacznych żalu, pogardy i nienawiści do Zachodu, w szczególności do Francyi. Właściwie, żal do Francyi pojawił się już w czasach, których dzieje rozbieramy. Powiedzmy otwarcie, był to żal jak najniesłuszniejszy, nawet ze strony najlepszych, nawet ze strony legionistów. Za dziesięć tysięcy naszych, którzy rycerską śmiercią padli w Legionach obok Francuzów, (i bądź co bądź nie bez zapłaty — bo przypo-

mnieli oręż i imię Polski) żądaliśmy od tych Francuzów poświęcenia najmniéj trzech kroć sto tysięcy żołnierza dla odbudowania naszéj Ojczyzny : — żądaliśmy zaprawdę procentu zbyt lichwiarskiego !... Ani w Campo-Formio (1797), ani w Lunewilu (1801), ani w Preszburgu (1805), odbudować Polski nie było podobna. Francya zwyciężała ; walcząc szczęśliwie, po kolei, z wrogami naszymi, uprzedzając ich koalicye, niweczyła wymierzane przeciwko sobie zamachy, rozpościerała potęgę swoję : dla Polski musiałaby chyba umyślnie, z własném niebezpieczeństwem, na wojnę ze wszystkimi razem wystawić się. Francya otworzyła nam szyki swoje ; pod jéj chorągwią, jak powiedzieliśmy, ożyło imię polskie. Kiedy francuzkie orły nawiedzały Wiedeń, Berlin, jak późniéj Moskwę, mieliśmy porę obliczyć się z siłami naszemi, pochwycić zębami za szczęśliwe zdarzenie jakiém jest zresztą każda wojna wrogów naszych : inszéj, wyraźniejszéj, bezinteresownéj pomocy nie mieliśmy prawa spodziewać się, i — trzeba nam dobrze przeświadczyć się o tém — daremniebyśmy jéj w przyszłości wyglądali. Oddajmy wszakże sprawiedliwość legionistom : nie długo wytrwali w żalach swoich, ani te żale pogodziły ich z ówczesnym losem narodu. Ledwie wrócili, już krążyło po kraju żwawe pisemko z pytaniem : *czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?* O! gdyby i żale dzisiejsze znaczyły tylko : nie opuszczając obcych, nie spuszczajmy się jednak na nich we wszystkiém ; gdyby znaczyły (jak pocieszała zasmuconych przytoczona z pochwałą przez hr. Skarbka odezwa rządu Księstwa Warszawskiego) « bądźmy spokojni, cierpliwi, czas pokoju poświęćmy nauce, » przysposabiajmy siły, abyśmy byli gotowi !... Ale dzisiejsze żale, jak nie mają choćby i tego pozornego uprawnienia co w epoce Legionów, tak też inne mają znaczenie, inne dążności i nierównie surowszy sąd wywołać powinny w ludziach dbałych o byt i o honor ojczyzny. Ówczesne, można było kłaść na karb

niewyrozumienia ; z obecnych, korzysta szatańska rachuba ; i kto dziś się odwraca od Zachodu, temu prędzéj czy późniéj będzie przewodem gwiazda Północy...

Nie zrobimy téj krzywdy autorowi *Dziejów Księstwa Warszawskiego*, abyśmy go do rozmyślnych od Zachodu odwodzicieli policzyć zamyślali. Ale widocznie styka się on z nimi zwątpieniem. Sam twierdzi, że jesteśmy narodem « zagładzonym ; » dzieje Księstwa Warszawskiego zowie « historyą starożytną, opowiadaniem kolei życia bez śladów ». Żale też jego nie samego już sięgają Napoleona : przebijają się między niemi inne jeszcze, o których « smutnie byłoby mu i zgryźliwie pisać » a oczywiście, nie żale to do wrogów naszych..... Dziwna zresztą, jak w tych sądach o Napoleonie, autor sam sobie wciąż zaprzecza : walczy w nim nieustannie gorące uczucie polskie z wspomnieniami i niewiarą ; walczy wytrwałość i nauka z uprzedzeniem i niemiłém nawyknieniem. Hr. Skarbek ściga Napoleona, a sam przyznaje, że « utworzenie Księstwa Warszawskiego było dla narodu wielkiém dobrodziejstwem, że wyrwało go z letargu, » któryby się był zupełną śmiercią zakończył ; » po namyśle, pochwala nawet wybór króla saskiego na tron Księstwa, choć dopiéro przypisywał go własnemu interesowi Napoleona ; z niesmakiem mówi o jego konstytucyach, a zgadza się i na to, że konstytucya którą nadał Księstwu, była tém « czego rzeczywiście było potrzeba narodowi i dowodziła wielkiéj przezorności. » Mówi daléj o Napoleonie, że « trzymał się ściśle zasady : iż Księstwo nie miało być Polską, » a wszakże nieco wyżéj przyznaje, że w konstytucyi tegoż Księstwa były wszystkie cechy narodowości, powiada nawet (czegobyśmy powiedzieć nie mogli), że « przy ich posiadaniu chętniebyśmy od swobód politycznych odstąpili ; » że ta konstytucya, lubo « nie zapowiadała samoistności kraju, » nie przeszkadzała wszelako rozwijaniu się ducha narodowego, który owszem, przy niéj, żywić się i podnosić

musiał! » Cesarz Francuzów, szukając jakiejśkolwiek pociechy dla narodu, któremu traktaty zaprzeczyły własnego imienia, nazwał w konstytucyi ludy Księstwa Warszawskiego, ludami Warszawy i Wielkiéj-*Polski*: hr. Skarbek przypuścić nie może tego, co tak oczywiste, i odkrywa w tém wzgląd na jakieś « spółzawodnictwo » Poznania z Warszawą, na jakąś tradycyjną zawiść » Wielkopolan! » Konstytucya zaręczyła równość w obliczu prawa: to « nie z pobudek liberalnych, » ostrzega zaraz hr. Skarbek: « to więzy dla samodzielności naro- » dowéj, to zamach na ducha narodowego, dla zniszcze- » nia wpływu właścicieli dóbr, aby utworzyć stan średni » taki, któregoby interes własny przychylnym i uległym » rządowi uczynił! » Kraj otrzymuje kodex Napoleona, « prawo doskonałe: nikt temu zaprzeczyć nie może, » przydaje hr. Skarbek; ale Cesarz Francuzów dogadzał w tém tylko « własnéj dumie! » Wiadomo, że historya Rulhiera podała samemuż Napoleonowi myśl powołania pospolitego ruszenia, *la pospolite*. Ale wojsko to szlacheckie, które miało swoje znaczenie, kiedy u każdego szlachcica « *wisiała zawsze na ścianie zbroiczka chędoga, a w stojni był zawżdy gotów koniczek i służka poczciwy*, » oddawna przeszło już było w zaniedbanie, za Augusta II zupełnie zniesione; daremnie chciano je odnowić roku 1792. Ledwie zatém zebrało się teraz w Łowiczu, osądzono, gdy zwłaszcza był czas do tego, że lepsze będą pułki regularne. Hr. Skarbek zapewnia nas, że rozwiązane zostało, bo « nie mogło być cierpiane przez » despotycznego Cesarza, dla którego nieznośném być » musiało wszystko, co oznaczało samodzielność i siłę » narodu. »

Słowem, według naszego autora, Napoleon wyrwał Polaków z letargu, ale tylko aby mieć gotowy obóz na « ujarzmienie Północy; » podnosił ducha narodowego, ale w interesie swoim, « aby utworzyć element przeciwny dążności tych państw, które części dawnéj Polski

posiadały. » I ztąd to wynikło (co za szkoda!) że « *duch* » *ocucony przez niego, zniszczył wszelką nadzieję poje-* » *dnania Polaków z panującemi mocarstwami*, które owszem (jak nad niemi ubolewa hr. Skarbek) postawił » w smutnéj konieczności, poczytywania poddanych » swoich za nieprzyjaciół, których ciągle strzedz i z któ- » rymi nieustannie walki toczyć trzeba..... » Więc nawet i z tego robi hr. Skarbek zarzut Napoleonowi, i te żale na Zachód za to, iż nas stanowczo nie wyzwolił, w raj wolności nie wprowadził, znajdują swój ostateczny wyraz w żalu, że bram piekła za nami na zawsze nie zatrzasnął i przez czyściec kazał dążyć i przez oczyszczenie!... Do takich to dziwnych sprzeczności i zdrożności prowadzi raz obrane fałszywe stanowisko — a niemniéj dziwne i rażące, przyjdzie nam jeszcze zanotować w dalszym przeglądzie tego dzieła.

II

31 marca.

Wracamy do *Dziejów Księstwa Warszawskiego* przez Fr. hr. Skarbka napisanych. Poprzednie uwagi zakończyliśmy na wytknięciu uprzedzeń autora przeciwko Napoleonowi I, których fatalném, jak to widzimy, następstwem bywa chęć usprawiedliwienia, nieledwie we wszystkiém, naszych wrogów i zaborców. Odblask tych uprzedzeń do Cesarza Francuzów paść więc musiał i na kraj nowo odbudowany, na Księstwo Warszawskie. Karty te, trudno utaić, czytaliśmy z bolem, niekiedy nawet z oburzeniem; dlatego musimy zawczasu odwołać się do pobłażania czytelnika, że raz jeszcze, nad tym przedmiotem, nieco dłużéj zatrzymamy jego uwagę.

Jednym z zarzutów, ktore hr. Skarbek czyni rządowi Ks. Warszawskiego, jest ów między nami dość upowszechniony, jakoby rząd ten niechciał *w niczém* łączyć

przeszłości z nowym utworem, jakoby dawne zasługi żadnego prawa do względów u niego nie miały! Należałoby, naszém zdaniem, porozumieć się wprzódy, co autor rozumie przez zasługę: czy między dawnymi Rzeczypospolitéj dygnitarzami byli rzeczywiście ludzie zasłużeni, a głośne dawnych czasów nazwiska czyli wistocie łączyły naród z zaszczytną przeszłością? Kto z upadkiem kraju, imię swoje do wdzięcznéj u narodu pamięci przekazał, tego i do rządów Księstwa zaraz powołano: dość przypomnieć, że Senat i Radę stanu złożono z mężów, którzy odznaczyli się wszyscy na sejmie konstytucyjnym; wszakże i do sądownictwa wszedł każdy, kto się zgłosił, z dawnych sędziów, podsędków, pisarzy i mecenasów. Ale autora uraża tu szczególniéj kodex Napoleona. Śmieszna, jak mówi, uroczystość zaprowadzenia onegoż, obudziła w nim żal bolesny: nazywa ją żałobnie obchodem pogrzebowym dawnych ustaw, otwartą już pogardą narodowości! Czy zapomniał hr. Skarbek, że od Zygmunta starego, który dał statut *swojéj* Litwie, gdzie obszerniejszą miał władzę, daremnie król po królu starał się o pogodzenie i kodyfikacyą praw w koronie; że ostatnie usiłowania z kodexem Andrzeja Zamoyskiego spełzły na niczém jak poprzednie, i że właściwie ową « wzgardzoną w sądownictwie narodowością » było zakorzenione w kraju pieniactwo, był brak sprawiedliwości, jak to powtarzały, ciągłém echem, przez trzy wieki, skargi królów i rozumnych patryotów. Hr. Skarbek opowiada, że gdy w pierwszych czasach, rząd pruski utrzymał dawne sądy polskie, a stronom zostwił wybór między polskiemi a pruskiemi trybunałami, strony same do tych ostatnich udawały się po sprawiedliwość. Czy należało wrócić do tego stanu, odnowić trybunał piotrkowski i lubelski, albo może dla ich poprawy, wszcząć nanowo spory sejmowe? Donosząc o « nadaniu » konstytucyi, rząd Księstwa zrobił uwagę, « że mniejby kraj miał wdzię» czności Oswobodzicielowi swojemu, gdyby go *tylko* » wydobył z jarzma, a dzieło konstytucyi oddał był pod » namysł, i długo trwający, i burzliwy. » Hr. Skarbek przyznaje, że ta uwaga, była naówczas sprawiedliwą; czemuż więc nie stosuje jéj zarówno do kodexu?

Wgruncie, prawodawstwo francuzkie zastąpiło tylko landrecht pruski; przywracając zaś postępowanie jawne, przybliżyło się do obyczajów narodowych. Samowolne onegoż nadanie, zwłaszcza przez mocarza, który nie miał ani chęci, ani potrzeby, zagładzenia naszéj narodowości, nie mogło urażać nikogo w owych czasach, kiedy swobodami parlamentarnemi cieszyła się sama jedna Anglia. A jeśli, jak przy każdéj odmianie, nieobyło się w pierwszych chwilach bez przykrości, przynajmniéj rzec można, że to było złe nieuniknione, że kraj wychodził naraszcie, odrazu, z bałamuctwa zastarzałych i sprzecznych praw, z którego przez wieki niemógł się wyplątać. Jak zaś przyjął się kodex francuzki, o tém świadczą późniejsze uchwały sejmów w Królestwie i w Rzeczypospolitéj Krakowskiéj; świadczy także sam autor *Dziejów*. I gdyby nic więcéj, prócz kodexu, nie pozostało po Księstwie, nie przeminęło by już ono « bez śladów, » bez wielkiéj dla narodu korzyści.

Rząd Księstwa miał do przezwyciężenia trudności ogromne. Wiadomo, że przemoc obca nie dopuściła tak dobrze reform sejmu konstytucyjnego, jak ulepszeń z r. 1764. Nie było więc wyboru: trzeba było albo zachować nienawistne ustanowienia pruskie, albo wszystko tworzyć z nowego. Popęd czasu pociągnął rząd Księstwa za wzorami francuzkiemi; ale, niewątpliwie, ze strony mężów, którzy stali na czele, nie było i być w tém nie mogło pogardy dla narodowości; raczéj, była obawa, która w każdéj jeszcze odrodzenia chwili, ludzi rozważnych niepokoić będzie, abyśmy nie wpadli znowu w koleje dawnego nierządu. Wszakże, sam autor mówi (bo te sprzeczności, jak już uważaliśmy, spostrze-

gają się u niego na każdéj karcie), że narodowość miała dostatek rękojmi: «wprawdzie kraj z pod przemocy » pruskiéj, przeszedł tylko pod przemoc francuzką: ale » każdy urząd sprawowany był przez Polaka; wszystko » działo się w języku narodowym, wojsko było rzeczywi- » ście polskiém; nie brakło urzędów bezpłatnych, » honorowych, na sposób narodowy, a na czele państwa » był monarcha ze krwi dawnych królów polskich.» Kto téż obawy dzisiejsze o narodowość przenosi do czasów Księstwa, zapomina oczywiście o zupełnéj zmianie okoliczności. Dziś nieocenioną jest nam każda, najdrobniejsza cecha polskości, bo jesteśmy w ręku nieprzyjaciół, którzy zacierając je po kolei, spodziewają się dojść tą drogą do zupełnéj zagłady narodu. Ale niebyło potrzeby lękać się o to, pod rządem Księstwa. Wówczas, za obawami o narodowość, których echem są *Dzieje* hr. Skarbka, kryło się raczéj zamiłowanie dawnych nałogów, i ci tylko je budzili, którzy (jak mówił Kołłątaj) z bólem wspominali *szczęśliwe czasy pruskie* i za *szczęśliwą* wzdychali *niewolą!...*

Pomijamy już inne mniéj właściwe sądy, które autor o ówczesnych głosi stosunkach. Pociski swoje, wymierza on właściwie przeciw jednemu tylko, przeciw Cesarzowi Francuzów, mniemanemu sprawcy wszystkiego złego, i ani przypuszcza, aby inszych ranić mogły. To téż hr. Skarbek zapewne nie domyśla się jak dotkliwie obraził ducha narodowego, potępieniem niebaczném, rzuconém na armią Księstwa Warszawskiego. «Byłto, mówi on, stan uprzewilejowany, który » przejął od Francuzów zarozumiałość, dumę, pogardę » dla spokojnego obywatela;..... była to kasta, któréj » wszystko było obce, prócz spólnéj sławy z tam- » tymi; któréj obojętne było czy orzeł polski, czy » francuzki, jéj znaki wojenne ozdabiał; która straciła » nawet polor towarzyski, a odurzona sławą wojenną » Napoleona, gotowa była na rozkaz jego *burzyć i ni-*

» *szczyć państwa*, bez względu na to, czy się przez to » własnemu krajowi w czémkolwiek zasłuży.» Takie jest zdanie hr. Skarbka. W sławnym memoryale, który w roku 1815 podał cesarzowi Alexandrowi zacięty nieprzyjaciel Polski, Pozzo-di-Borgo, czytamy dodobnież: że Polacy owego czasu, kiedy na rozkaz Napoleona szli «rznąć Hiszpanów, *burzyć i niszczyć Madryd albo Mo-* » *skwę*» powściągnąć się przecież nie mogli, aby jeszcze «*libacyami i biesiadami*» nie uczcili spodziewanéj uciechy. Hr. Skarbek, jak widzimy, w swym sądzie o armii polskiéj, tę tylko jednę «*o libacyach*» opuścił uwagę, z memoryału moskiewskiego ambasadora...

Moglibyśmy, ku odparciu tych zarzutów, wiele słów zacytować z samegoż autora; ale przed Polakami, bronić polskiego żołnierza, jeszcze dzięki Bogu, nie potrzeba. Ktokolwiek spokojném okiem wejrzy na ostatnie, tak bolesne czasy Rzeczypospolitéj, ten wyzna ze smutkiem, że nasze dawne, rycerskie tradycye ze śmiercią króla Jana wygasły: nie przypomniała ich świetnemi zwycięztwy barska kofederacya, nie miał czasu ich odżywić Kościuszko. Dzisiejszy nasz żywioł wojenny, który bitwami pod Grochowem, Dębem Wielkim, Ostrołęką, polski sztandar opromienił, który imię nasze i krzywdy nasze po świecie rozgłosił i nawet po upadku, mimo nasze błędy, wymógł na obcych współczucie, a na wrogach samych cześć: ten żywioł, tę chlubę, ten filar narodu przez wiele lat jedyny, winniśmy Legionom, Francyi i Napoleonowi, a przedewszystkiém armii Księstwa Warszawskiego. Jeszcze czas długi, Polacy, z dumą i pociechą, wyliczać będą swych wodzów z téj epoki; imię Dąbrowskiego długo jeszcze będzie nieodłączoném od nadziei wrócenia do niepodległéj ojczyzny, a imię księcia Józefa zostanie, także na długo, najmilszém dla polskich żołnierzy wspomnieniem. Bo też to był najprzedniejszy, uroczy typ polskiego żołnierza! Niczém nie zmącona przez całe życie bezinteresowność, miłość ojczyzny bez

granic i uczucie honoru posunięte aż do bohaterstwa; w boju śmiałość nieustraszona i pogarda śmierci; dumna dla wrogów wyniosłość, dla swoich w niejednym razie może zbytnia powolność; z słabszymi i bezbronnymi ludzkość, wyrozumiałość i do usługi gotowość; uprzejmość dla kobiet, z kolegami i obywatelstwem swobodne pożycie: te były Naczelnego Wodza przymioty, które pamięć jego, dziś jeszcze czynią tak drogą, a w swoim czasie zjednały mu rzeczywiste naczelnictwo narodu; one też tworzyły i tworzyć będą niezatarte cechy polskiego żołnierza. Wówczas, Polak a żołnierz jedno znaczyło; naród pojął szczęśliwie, że na sile wojennéj gruntowały się jego nadzieje i nie pytano wtedy młodzieńca: jaki zawód obiera, tylko do którego wchodzi pułku? Popisowych nie ścigano po lasach, nie kuto w dyby: kraj liczący zaledwo dwa miliony ludności, wystawił trzydzieści i jeden tysięcy własnego wojska, prócz żołnierzy do trzech pułków Legii Nadwiślańskiéj i pułku jazdy lekkiéj przy boku Cesarza. A kiedy jednę z pierwszych legij, w r. 1807 utworzonych, zapytano, czy chce pozostać w kraju, albo pomnożyć pułki nadwiślańskie, przeznaczone na pomoc Francuzom do Hiszpanii, wszystka jednym okrzykiem odpowiedziała: *Niech żyje Polska!* Szli ochoczo pod chorągwie francuzkie ci, którzy takie otrzymali przeznaczenie: lecz jakie ich ożywiały uczucia, jakiemi słowy żegnał ich kraj i co im zalecał, objaśnić w tém mogą hr. Skarbka świeże pamiętniki jenerała Załuskiego.

Cóżkolwiekbądź, mieliśmy na cząsteczce ziemi polskiéj rząd «czystéj chęci,» rząd czysto-narodowy, mieliśmy narodową i w istocie polską armię. Daremnie też wymazywały jéj imię warunki traktatów; Polska ożyła między narodami, a ożyła (dzięki ówczesnemu wpływowi francuzkiemu, na który tak sarka utor) z charakterem widocznéj poprawy. Dał tego aś 'ejsze nad wszystko dowody, pierwszy zaraz sejm: sej. 'oku 1809.

Pomimo wysileń powstania, pomimo ogólnego upadku majątków, uchwalił on z maleńkiéj krainy, czterdzieści ośm milionów podatku, nie rachując ogromnych odsypów na wojsko. Kilkanaście lat pierwéj, kiedy chodziło o śmierć lub życie, sejm konstytucyjny wydobyć nie mógł z obszernéj jeszcze Rzeczypospolitéj, więcéj nad trzydzieści siedm milionów. A jak, w tym samym czasie, wystąpiło Księstwo przeciw napaści austryackiéj, możemy już, co do tego, odesłać czytelnika do samego autora. Tylko znowu weszła mu w drogę «samowładna przemoc Cesarza Francuzów, nad resztą Europy,» któréj bezpieczeństwo ciągłym jest dla niego kłopotem! Poczytując i Księstwo Warszawskie, i jego wojsko, za swoję własność — mówi hr. Skarbek — Cesarz Francuzów rozkazał w wyswobodzonych przez Polaków ziemiach galicyjskich, zawieszać, nie białe, tylko swoje złote orły; tworzącym się pułkom kazał przybrać nazwę galicyjsko-francuzkich. A mógłże inaczéj? zapytamy. Autor, zdaje się, jakoby nie wiedział, co za skargi zanosiła wówczas Rossya do sprzymierzeńca swego, na wojsko Księstwa, że wbrew traktatom «uważało się za polskie,» na mieszkańców «że im się marzyła bez ustanku Polska.» Nad ściśłém wykonaniem traktatów czuwało z blizka jéj wojsko, które w skutku nieszczęsnéj erfurckiéj przyjaźni, wkroczyło do Galicyi, w liczniejszéj od polskiego sile: niby na pomoc Polakom, a porozumiewało się z austryackiemi, czekając tylko co się stanie z Francuzem, nad Dunajem. Czyż niedość przeto, wśród tak drażliwych stosunków, że Napoleon swoją opieką zasłaniał nasze przybory, jako protektor Ligi Reńskiéj, któréj częścią było Księstwo Warszawskie, własność króla Saskiego; czyż niedość, że pomimo moskiewskich reklamacyj, zachęcał do tworzenia nowych pułków, które były i pozostały polskiemi; że wreszcie dopuścił zawieszenia orłów, które wedle słów ówczesnego poety, były niewątpliwie nasze, «tylko je radość narodu złociła?»

Przyłączając Galicyą zachodnią do Księtwa Warszawskiego, pokój wiedeński był widocznie nowym krokiem do wyswobodzenia Polski. Ludność powiększyła się do czterech milionów dusz; wojsko do sześćdziesiąt tysięcy. Hr. Skarbek nie zaprzecza oczywistych korzyści; ale żali się że «pozostawienie przy Austryi reszty ziem galicyjskich, *paraliżowało* dążność narodu polskiego do usamowolnienia, i *uprawniało* poprzednie zabory.» O odnowionych, przy traktacie, zawadach i trudnościach, mianowicie ze strony Rossyi, nie uczynił najmniejszéj wzmianki. Od téj to chwili, wszelako, i o Polskę poczynają się spory między dwoma mocarzami, które zakończyć się miały wielką wojną co zarazem losy Napoleona losy Księstwa roztrzygnęła. Rossya, obyczajem swoim, wysnuła prędko, jakie mogła, korzyści z przyjaźni erfurckiéj. Nietylko zniweczyła możebne dla Polski pożytki układów tylżyckich i wiedeńskich, ale jeszcze, od strony szwedzkiéj zabezpieczyła granice, a na południu przysposobiła sobie nowe korzyści na Osmanach. Widząc zaś Napoleona zakłopotanego ciężką wojną z Hiszpanią, Portugalią i Anglią, osądziła, że w takiéj odległości od Francyi, przy dobrém porozumieniu z Niemcami, może nie zważać na jego potęgę, i sięgnąć po znaczniejsze zyski, które jéj obiecywało przymierze angielskie. Otworzyła więc porty swoje handlowi angielskiemu, a na usprawiedliwienie swojéj niewierności traktatom, odnowiła skargi na «sprawę warszawską,» na «marzenia Polaków.» Byt Księstwa, mówi hr. Skarbek dał jéj powód do nieufności... Snadź inaczéj jak on, sądziła o owém «uprawnieniu» rozbiorów w Tylży i Wiedniu! Ujmując ją sobie, Napoleon, wypierał się myśli odbudowania Polski; przypominał powolność swoję w Tylży w Wiedniu. Rossya, otrzymawszy tyle, domagała się więcéj: nastawała aby, nietylko imię Polski, ale już i imię Księstwa Warszawskiego zupełnie znikło przez ścisłe, «bezwarunkowe,» wcielenie tegoż Księstwa do

Saxonii; aby kosztem jego nagrodzony był ks. oldemburski, którego państwo zajął był właśnie Napoleon; aby Cesarz Francuzów wyrzekł uroczyście, wobec świata, «że nigdy Królestwo Polskie odbudowane nie będzie.» Już, ujęty umizgami Alexandra, poseł francuzki w Petersburgu przyjmował podyktowany mu traktat. Ale dostrzegł przecie Napoleon jak «niegodne, bezecne, dzikie» były onego warunki. Zdaniem jego, można było, w ostatku, przyzwolić na odmówienie Polakom pomocy, gdyby sami o dawnych granicach pomyśleli, ale nie na użycie przeciwko nim francuzkiego oręża. «Mógłże wyrzec — dodawał — że gotów jest uzbroić ramię swoje przeciw narodowi, który mu najwyższego poświęcenia dawał dowody? mógłże splugawić pamięć swoję, kładąc na swéj polityce piętno takiego machiawelstwa!» Hr. Skarbek pomija zupełnie te szczegóły: pojmujemy przyczynę...

Nie zaraz wszakże przyszło do wojny: Księstwo Warszawskie miało czas urządzić się w nowych przyborach. W obrazie tych urządzeń opuścił autor jedno z najważniejszych, urządzenie wychowania narodowego. Rząd Księstwa, pomimo ówczasowe wycieńczenie wszelkich źródeł bogactwa i poświęcenie wszystkich dochodów wojsku i budowie twierdz, znalazł sposoby na restauracyą uniwersytetu jagielońskiego i na urządzenia dwóch fakultetów akademickich w stolicy; odnowił szkołę nauczycieli w Łowiczu; urządził trzynaście szkół departamentowych a znaczną liczbę wydziałowych i podwydziałowych po powiatach; szkółek elementarnych przymnożył 125 po miastach, po wsiach 375; elementarne oddał pod dozór plebanom, wydziałowe dziekanom, biskupom najwyższe. A o ile mógł, nie zaniedbywał i inych popraw. Rząd następny zastał po nim gotowy projekt do prawa karnego; już zajmowano się i myślą stowarzyszenia kredytowego ziemskiego na poratowanie upadających majątków. Dziwna, że, wchodząc tak starannie w szcze-

goły ekonomiczne, hr. Skarbek zaniedbał wspomnieć o tém wszystkiém; przy opisie sejmu 1811 roku, pominął ważną, zwłaszcza dla obecnéj chwili, przemowę biskupa chełmskiego, który zająwszy miejsce, jakie dyecezyj jego dawało starszeństwo, przypomniał spółbraciom koleje unickiego kościoła. « Już więc — te słowa wyrzekł biskup — znikły dawne przesądy : Rusini, widzimy się porównani z bracią naszą Polakami; poniosę szczęśliwą nowinę do obszernéj owczarni mojéj, aby w najpóźniejszych pokoleniach wierną była wspólnéj ojczyznie. »

Przerwała zajęcia pokojowe oczekiwana od narodu wojna z ostatnim już wrogiem Polski, który sam tylko zdawał się stać jeszcze na przeszkodzie zupełnemu onejże obbudowaniu. « Dumne widoki Napoleona — mówi » hr. Skarbek — sięgały krańców państwa rossyjskiego; » Bóg skarać miał napastnika... » Niestety! nie tak dumne były jego widoki, i, zdaniem naszém, to właśnie go zgubiło. Zatrudniony krwawą wojną nad Tagiem, nie mógł on, w téj samej chwili, szukać rozmyślnie wojny na drugim końcu Europy. Wierzymy własnemu jego wyznaniu, że raczéj groźbą tylko wojny pragnął osiągnąć co mu zaręczało przymierze tylżyckie. Łudzony i sam łudząc się do ostatka, nadzieją prędkiego osiągnienia celów swoich, pozbawił się dobrowolnie sił, które i jego, i sprawę naszę byłyby zbawiły : dla tego zgadzamy się z autorem, że owa wojna jakkolwiek w odezwie do wojka nazwana drugą wojną polską, nie miała więcéj jak pierwsza naszéj ojczyzny na celu. Widząc jakiém « straszydłem » była Polska dla Rossyi, Napoleon, na nieszczęście swoje i nasze, użył jéj tylko na postrach. Ztąd wczésny układ z Austryą zapowiadający wymianę Illiryi za Galicyą « na przypadek odbudowania Królestwa Polskiego; » ztąd mniemana instrukcya dla rezydenta warszawskiego, którą przytacza hr. Skarbek, a w któréj Cesarz Francuzów, jakoby przyznając się do błędów popełnionych w Tylży i w Wiedniu, wywodzi konieczność

odbudowania Polski. Mieli Polacy przysposobić się do wielkiéj odmiany : Francuzów uważać tylko za sprzymierzeńców, a spuszczając się przedewszystkiém na własne siły, mieli pod chorągwią niepodległości, zkonfederować wszystkie części rozszarpanéj ojczyzny. Jeszcze w Wilnie straszył Napoleon carskiego wysłannika « że zbierze dwa kroć sto tysięcy Polaków, a bić się » będą jak zapamiętali! » Ale, niestety, nie było w tém wszystkiém nic rzeczywistego. Wspomnionéj dopiéro instrukcyi nie odebrał żaden z pełnomocników Napoleona, a owa konfederacya wymyślona tylko na postrach, musiała, jak chciał ambasador jego, « poważnie próżnować, » ażeby Polska « stawszy się celem wojny, nie była przeszkodą do rychłego pokoju. »

Hr. Skarbek szybko przebiega wypadki. Z uniesieniem opowiada owe dnie, w których wojska francuzkie zajmowały stolicę litewską, a w stolicy polskiéj z woli Napoleona, odbiły się o mury Izby senatorskiéj owe słowa: Będzie Polska: co mówim, już jest Polska! Ileż łez radości wylała dnia tego Warszawa!... Ale po krótkiém złudzeniu, nastąpiły prędko dnie smutnéj rzeczywistości. Nie może przecież ta odmiana usprawiedliwiać pośpiechu, z jakim autor opowiada udział polskiego żołnierza w wielkiéj wojnie 1812 r.; nie tłómaczy wcale, dlaczego następne wypadki ledwo wzmiankowane, albo nawet całkiem pominięte. Nie wspomina historyk o owych propozycyach, z któremi Ks. Antoni Radziwiłł pojawił się w Krakowie i zdaje się nic nie wiedzieć o téj strasznéj nocy, w któréj Wódz polski, walcząc z dawnemi i nowemi nadziejami, podwakroć sięgał po pistolet « nim w sumieniu swojém oświecił się o tém, co mu wskazywały obowiązki względem ojczyzny i honoru narodowego. »

Wierny systemowi oszczędzania naszych nieprzyjaciół, autor nie zwraca uwagi na ówczesne podstępy austryackie, ani na układy w Kaliszu, Reichenbachu i Ciepli-

cach, rozstrzygające wcześnie losy Księstwa Warszawskiego. Pilno mu było zwrócić swe pokłony do nowego Pana « od którego, jak mówi, Polska niczego nie powinna była spodziewać się, a którego względne i dobroczynne postępowanie ułagodziło umysły, przyniosło ulgę w niedoli i stopniowo przychylne w narodzie obudziło uczucia »... I takie jest, niemal ostatnie słowo hr. Skarbka! Mybyśmy mniemali, że autorowi *Dziejów Księstwa Warszawskiego* godziło się i należało inaczej rzecz swoję zakończyć. Godziło się wspomnieć z wdzięcznością i uszanowaniem o tym królu, co lubo panem będąc obcej także ziemi, nie zapomniał na chwilę, że w krajach polskich nie był królem saskim; co wierny przysięgom rządził Księstwem przez samych Polaków, z wyłącznym względem na dobro narodowe; co zacnie i w dobréj wierze dopełniał przyjętych obowiązków. Prawy w zamiarach i postępkach swoich, nie miał on powodu podglądać dobrych chęci obywatela : nie było też za jego rządów policyi tajnéj, ani komisyj śledczych, ani słyszano o więzieniach stanu : mówili Francuzi że gdyby słoń zabłąkał się był na ulicach Warszawy, policya polska pewnoby go nie odkryła. Jak się wyraża w przedmowie autor : nie wiele było swobody w konstytucyi, ale panowała zupełna swoboda w stosunkach obywatelskich i społecznych. Naród też we wszystkich zaborach, wzdychał do rządów króla Saskiego, i gdy przyszła chwila rozstania, nie brakło serdecznego żalu z obojéj strony!

Sama sprawiedliwość, powtarzamy, nakazywała aby w historyi Księstwa Warszawskiego uczcić wdzięczném wspomnieniem zacnego Fryderyka-Augusta. Lecz nasuwa się uwaga : gdyby hr. Skarbek takiem przypomnieniem miał był zakończyć swoje dzieło, na cóżby się przydały, w ciągu dzieła, tak gorzkie jego skargi na Napoleona, na coby zwłaszcza tak głośno wyznawał swój żal do Legionistów, że nawet po upadku ojczyzny, nie

stracili wiary w jéj niepodległość i poszli na Zachód, szukać przymierza z odległym narodem?...

III.

HR. L. RZEWUSKIEGO KRONIKA PODHORECKA.

19 maja.

Przejrzeliśmy *Kronikę Podhorecką* hr. Leona Rzewuskiego (1). Autor zebrał i ogłasza co znalazł w archiwach familijnych, podhoreckich, o przodku swoim Wacławie Rzewuskim, w. hetmanie koronnym i kasztelanie krakowskim. Syn Stanisława, także hetmana, który pierwszy wyniósł rodzinę do znaczenia, Wacław Rzewuski należy do najwydatniejszych mężów swojego czasu. W młodszych leciech, pisarzem polnym będąc, marszałkował jedynemu sejmowi, który za Augusta III doszedł. Obdarzony za to województwem podolskiém, złożył takowe na żądanie króla, aby, zeszedłszy na powrót do stanu rycerskiego, podjąć się laski na innym jeszcze sejmie : w nim jednym była nadzieja, że doprowadzi do skutku obrady, których, zdawało się, nikt inny ustatkować już nie mógł. Nie powiodło się i jemu. August wrócił mu godność senatorską a w nagrodę, przydał starostwo chełmskie i buławę polną koronną. W tym właśnie czasie XX. Czartoryscy (wojewoda ruski i w. kanclerz litewski) układali zamiar wydźwignienia ojczyzny z nierządu, który już otwierał jéj przepaść niechybnéj zguby. Za ich to wpływem wielka buława koronna dostała się wtedy Branickiemu (z Gryffów), co pojął ich siostrze-

(1) *Kronika Pohorecka*, 1706-1779, *ułożył Leon hr. Rzewuski*, Kraków, u Budweissera, 1860.

nicę, a po którym buławę polną wziął Rzewuski. Reformatorowie rachowali oczywiście na ich pomoc. Rzewuski w szczególności, marszałek na dwóch sejmach, miał sposobność bliżéj przyjrzeć się złemu, jasno też widząc, jak « chwiała się nachylona do upadku ojczyzna, » sam zapowiadał, że « strasznym wywrotem swoim przywali wszystkich i zetrze. » Ale wszelka naprawa począć się musiała koniecznie od ograniczenia władzy wielkich urzędników, a przeto i władzy hetmańskiéj : ta władza bowiem, na straż swobód obywatelskich ustanowiona, jak mówiono, pośrednia *intra majestatem et libertatem*, stała się najwarowniejszą obroną nierządu. Potęga hetmanów była niezmierna. Głowa narodowego autoramentu (szlacheckiego wojska), hetman stał na czele wszystkiéj szlachty. « Król drżał, kiedy on koło rycerskie ściągał. » Samo prawo lokowania żołnierza, mówi Załuski, wynosiło go nad króla. » Nic lepiéj nie maluje czém w ostatku byli hetmani jak przysięga, którą im nareszcie przepisano : przysięgali między innemi, że do stronnictw mięszać się nie będą, że nie wdadzą się w zmowy z obcymi, ani pozwolą aby od nich zawisłymi byli, że nie dostarczą pomocy do żadnego sejmiku, ani do podjazdów, zajazdów, kondemnat, a przekonanych *in criminalibus et civilibus*, powagą swoją nie osłonią !... Ostatni hetmani zawiązywali już samowolnie stosunki z obcémi dworami, co nie godziło się nawet królowi : ze Stambułem, z Wołoszą, z Tatarami, przeciw którym strzegli granic państwa ; stosunki te były nawet prawem upoważnione. Zwano też hetmanów koronnych *królami ruskimi*. Urzędnicy dożywotni, niezawiśli, popularni, mogąc wszystko bezkarnie, stróże ci granic, puszczali jawnie w dzierżawę kontrabandy ; żwaniecka, czyniła im do roku 300,000 zł. Na hetmaństwach porosły niezmierne majątki Koniecpolskich i Potockich. August II, kiedy po konfederacyi tarnogrodzkiéj, hetmani skłonić się raczyli do « darowania » mu urazy, mówił trafnie, że,

gdyby był wiedział, nie o koronę byłby się starał, tylko o buławę ! Takiéj potęgi nierad był poświęcić, kto ją posiadał. Prywatę osłoniły łatwo przesądy narodowe : zwano władzę hetmańską *palladium libertatis!* « Jeśli buławy dostąpisz, » mówił na łożu śmiertelném Stanisław Rzewuski do syna « bądź zawsze gotów przelać » ostatnią kroplę krwi za wiarę, za elekcyą, za *władzę* » *hetmańską*, za *liberum veto* — za te cztery kardynalne » podstawy Rzeczypospolitéj. » Skoro więc przystąpili reformatorowie do przedsięwzięcia swojego, nie dziw, że spotkali zaraz na przeciw sobie najbliższego nawet powinowatego, którego sami do wielkiéj buławy podnieśli ; spotkali i Rzewuskiego : zaledwo odzierżył on buławę, już mu niezbędne było to *liberum veto*, na które dopiéro co, tak boleśnie utyskiwał : potrzeba mu go było « żeby jak mówił, nic szkodliwego nie weszło w konstytucye. »

Najsposobniejszą porą do naprawy Rzeczypospolitéj osądzili reformatorowie bezkrólewie, kiedy ze względu na niebezpieczeństwo zewnętrzne i domowe, prawo upoważniło zawieszenie *veto*, téj nieprzełamanéj żadnémi sposobami podpory swywoli. Zaledwo umarł August III, wystąpiły więc przeciwko sobie obadwa stronnictwa : reformy i hetmańskie. Autor *Kroniki* przedstawia się czytelnikowi jako bezstronny sędzia obudwóch. « Znajdującemu pomiędzy naczelnikami je- » dnéj i drugiéj strony przedmioty czci familijnéj, mówi » on, łatwo było przyjąć pośrednictwo ; » żadnéj też zamiarów występnych nie przypisuje, a do tego, chociażby go rodzinne stosunki nie skłaniały, « przywiodłyby, jak » zapewnia, uczucia narodowe. » Nie mamy powodów podglądać jego wyrozumiałości, łatwo owszem ją pojmujemy; ale bezstronności, za którą zaręcza, przyznać mu nie możem. Jakoż, zaraz przy wstępie, nie dawszy czytelnikowi rzeczywistego wyobrażenia o władzy hetmanów (co go uwolniło od naznaczenia najistotniejszéj

przyczyny ich oporu przeciwko wszelkiéj naprawie) powiada on: że na sejmikach, które uprzedziły sejm konwokacyjny — sejm reformy — wszędzie niemal silniejszą okazała się partya reformie przeciwna, a w skutek tego, książęta kanclerz litewski i wojewoda ruski, nie znajdując w kraju dostatecznego poparcia, przywołać mieli Moskwę na pomoc. Twierdzenie mylne i w oczywistéj z faktami niezgodzie. Manifest *przeciw* konwokacyi podpisało 22 senatorów, 45 posłów; a w téj saméj chwili, *za reformą* znalazło się 197 głosów, z których 158 odjęło hetmanom dowództwo wojska. Nie było więc, na sejmie, słabszém stronnictwo reformy i mogłoby też obyć się bez pomocy obcéj: tylko nie łatwém było od niéj się uchylić. Już «od niejakiego » czasu, mówi Lelewel, cudzoziemska piecza krępowała » wolne działania Rzeczypospolitéj. Królowie Sasi nie » wzdragali się zostawić jéj opiece Rossyi.» W rzeczy saméj, od ostatniéj wojny szwedzkiéj, żołnierz moskiewski nie opuszczał już kraju: dziesięć tysięcy tego żołnierza zajmowało Kurlandyą, a po siedmioletniéj wojnie, która dopiéro co skończyła się, jedne oddziały pilnowały swoich zapasów wojennych w pruskich województwach, drugie nie opuściły jeszcze Litwy, jak nasz autor, przy «bezstronności» swojéj, przeświadczyć się mógł z własnych nawet dokumentów w *Kronice* pomieszczonych. Bez wiedzy Moskwy — «bez jéj pomocy» — nic zatém w kraju stać się już nie mogło. Wszakże pierwéj już, powoływali Moskwę i August II i jego przeciwnicy: na pomoc obcych, niestety! liczyć musieli ci wszyscy, w dawniejszych nawet czasach, znakomici mężowie, którzy narodowi rządność, rządowi powagę przywrócić chcieli. Pomocy obcych szukała Marya Ludwika i Władysław IV; i sam Batory, jeśli nad innych potężniejszy i w swych krokach i zamiarach był śmielszy, to dlatego, że mógł się oprzeć na sile, niezawisłéj od narodu któremu panował — na wojsku siedmiogrodzkiém!

Zbytecznėm też sądzimy podnosić drugi, umyślny, rzecby można, błąd autora, jakoby od téj dopiéro konwokacyi począł się wpływ obcy w Polsce: sam przecież na innėm miejscu (gdzie mu «bezstronność» jego dozwoliła) wyraźnie mówi: że już elekcya poprzednia, z r. 1733, «położyła koniec samowładności narodu.» Możnaby sięgnąć wyżéj jeszcze. Wszak przy elekcyi Augusta II rozprawiali się między sobą Sasi z Francuzami; pierwszy wybór Leszczyńskiego narzucili narodowi Szwedzi; Augusta III wprowadziła na tron Moskwa zupełnym gwałtem. Przy ostatniéj elekcyi obyczaj opieki obcéj tak już był ugruntowany, że jeżeli jedni przyjęli moskiewską, drugim, jak czas okazał, żal tylko było, że takowéj nie mieli, i w braku onéj, świadczy to sama *Kronika*, żebrali pruskiéj, cesarskiéj, ottomańskiéj, przyjmowali «*suplement*» francuzki, zgoła nie widzieli «innego sposobu ratowania ojczyzny i samych siebie, jak w protekcyi i medyacyi sąsiedzkich potencyj, o konserwacyi Rzeczypospolitéj interesowanych, «słowa to samegoż naczelnika przeciwnéj strony. Przy «szanownych ustawach» (jak je zowie autor) w których na nieszczęście, zakochała się Rzeczpospolita, na tém skończyć się musiało. Dlatego pomieścimy i to jeszcze między wyraźne błędy, co twierdzi *Kronika* z właściwą sobie bezstronnością, jakoby, «dla przeistoczenia konstytucyi, reformatorowie poświęcili niepodległość.» I owszem dla przywrócenia to straconéj już niepodległości, chcieli oni przeistoczyć konstytucyą, poświęcić owe «szanowne ustawy:» elekcye, władzę hetmańską i *veto*.

Powiodło się reformatorom: przeprowadzili wiele szczęśliwych popraw; reszty spodziewali się od najbliższego sejmu. «Od dwóch wieków nic stało się tyle dla dobra Rzeczypospolitéj» mówi spółczesny pisarz angielski, A cóżkolwiek powiada bezstronny autor *Kroniki*, stało się to tak prawnie, jak tylko, pośród nierządu, w którym kraj był pogrążonym, podobném to było.

Wprawdzie manifesty rozerwały sejm, ale już to nie było nowością: toż samo stało się po śmierci króla Jana; naprawiono szkodę jak wtenczas. Niestety, i obecność obcych nowością nie była! Przypomnijmy nadto: od lat trzydziestu i więcéj żaden już sejm nie doszedł: do jakichże jeszcze środków konstytucyjnych uciec się można było! Rzetelny, umiejętny znawca rzeczy zadziwi się raczéj umiarkowaniu, roztropności «przebiegłych» (jak grzecznie ich zowie autor *Kroniki*) reformatorów. Dość powiedzieć: obyło się bez *sejmu pacyfikacyjnego*, bez którego trzy już bezkrólewia obyć się nie mogły. Nim nawet elekcya nowego króla nastąpiła, już sam Rzewuski upominał syna swego Seweryna, aby «wcześnie akomodował się panu stolnikowi litewskiemu», a zaledwo tenże królem obrany został, już, odstępując wszelkiéj protestacyi, przyznawali głośno panowie hetmani, że «szczęśliwe wybranie najlepszego, za inspiracyą Ducha ś.; radość w ich sercach wznieca, a każdy ubiegać się powinien do uprzątnienia tego wszystkiego, coby najmniejszą różnicę między synami jednéj Ojczyzny zrządzić mogło.» Za przykładem hetmanów, poszli inni.

Autor *Kroniki* nie daje czytelnikowi żadnych szczegółów o uchwalonych poprawach: to go nie obchodzi; nie zapomniał tylko, że na tym «nieszczęśliwym sejmie, » przyznano carowéj, tytuł imperatorowéj całéj rossyi a » elektorowi tytuł króla pruskiego.» Musi niewiedzieć, że już przed sejmem zgodzili się na to panowie Rad, osądziwszy że dłuższe odmawianie byłoby daremném; gdyby od lat trzydziestu, który sejm był doszedł, jużby to było stało się niewątpliwie. Cóżkolwiek bądź, dzięki «nieszczęśliwemu» sejmowi «spętany olbrzym zrzucał kajdany!» Autor *Kroniki* nie opowiada także jak sobie postąpiła Moskwa, gdy postrzegła co właściwie zamierzało, co gotowało na «nieszczęśliwym» sejmie stronnictwo przez autora nazwano «moskiewskiém;» snadź, i ten przedmiot zdawał się śliskim dla bezstronności

jego. Musimy go wyręczyć! Ci którzy dopiéro gardłowali «na stojących na karku Moskali», skoro im uśmiechnął się Repnin, wyciągnęli natychmiast ku niemu ręce, a przyzwali pomocy jego, nie do owéj naprawy Rzeczypospolitéj, którą dopiéro tak łatwą sądził autor *Kroniki*, «przez zgodę pomiędzy partyą republikancką i książętami,» nie dla wydźwignienia Ojczyzny z podległości, tylko dla swoich «praw i urzędów,» dla straconych przywilejów i zysków, dla nadwerężonéj «źrenicy wolności,» co tych przywilejów i zysków była nieprzepartą strażą. Ci którzy w imię jakoby zagrożonéj wiary, zburzyli widoki reformatorów na sejmie, który miał naprawę Rzeczypospolitéj uzupełnić, nie wahali się połączyć, na wezwanie carowéj, z przeciwnikami swoimi, z dyssydentami! «Mogliż jak mówili, opuścić porę tak stosowną do zagładzenia razów wolności zadanych? mogliż niezaufać uczuciom szlachetnym Katarzyny?» Mnożyły się manifesty, a w każdym prawie zalecano przyjmowanie Moskwy «z otwartemi rękami.» Nie dziesięć też, ale czterdzieści tysięcy żołnierza moskiewskiego, zajęło kraj. Pomija to wszystko bezstronny autor *Kroniki*, który dopiéro tak jasno widział, że przecie «Rzeczpospolita w obozach moskiewskich znajdować się nie mogła,» któremu nieco wyżéj, tak chodziło o środki konstytucyjne! — Na obalenie tego, co uchwalił sejm konwokacyjny, stanęła więc smutnéj pamięci, konfefederacya radomska. Tu dopiéro objawia się rzeczywista wyrozumiałość *Kroniki*. Spotykamy narzekania że owa konfederacya «zwichniętą została w zarodku.» Mylne to znowu twierdzenie! Konfederacya radomska «zwichnęła może w zarodku» konfederacyą barską, ale sama była od pierwiastków swoich haniebną, i niecną. Ani to prawda aby jéj naczelnicy złudzeni byli nadzieją «utwierdzenia przywilejów Kościoła.» Repnin położył im owszem, wcześnie, za pierwszy warunek, zrównanie praw wszystkich wyznań chrześciańskich.

Jeżeli też za ten «blichtr filantropiczny», Bóg skarać miał Polskę «odwróceniem się od niéj,» jak swoich pociesza autor *Kroniki* to i za to jeszcze, my dodamy odpowiedzieć winni przed Bogiem i ludźmi nałogowcy starych przywilejów.

Ale między głównémi zamiarami konfederatów radomskich i najżywszemi ich nadziejami, było wydarcie berła «panu stolnikowi litewskiemu,» upokorzenie równego sobie panka. Moskwa, mając wszystkich w sieci swojéj, nie widziała już potrzeby «gruchotania na głowie Stanisława korony, którą go sama wieńczyła»: wystarczało jéj znikczemnienie władzy jego; wystarczało, że zachwiany na tronie, nie obędzie się bez jéj wsparcia; że znikła możność porozumienia się między nim a narodem: więcéj, nie było potrzeba do celów, które sobie założyła. Dopiéro więc zawiedzeni w nadziejach swoich, przypomnieli sobie konfederaci o obronie wiary świętéj. Oddajmy im sprawiedliwość: niektórzy przynajmniéj szlachetnie okupili błędy swoje. Do ich liczby należy i Wacław Rzewuski.

Mniéj już obchodzą czytelników drobniejsze szczegóły, które jeszcze zamyka *Kronika* o żywocie Wacława. Przydamy tylko, że autor niesprawiedliwie posądza Stanisława Augusta o niechęć dla niego. Nie był Stanisław monarchą, jakiego wówczas narodowi było potrzeba; był słaby i lękliwy, ale miał przynajmniéj dobre swoich wad i słabości przymioty. Co autor *Kroniki* przytacza o «mściwości» jego z powodu zawieszenia Sołtyka, biskupa krakowskiego, należy także do pocisków, których przy każdéj okazyi, nie szczędzili mu przeciwnicy. O obłąkaniu Sołtyka nikt już dziś nie wątpi. Zaświadczyła je zresztą i Rada Nieustająca i osobna komisya; zaświadczył sam nuncyusz. Wszakże z «niechętnych rąk» królewskich, Rzewuski, za powrotem z niewoli, otrzymał wielką buławę, w krótce i przyzwolenie na układ, mocą którego taż buława przeszła do rąk Branickiego (z Korczaków) a za to buława polna ostatniego dostała się synowi Wacława. Jednocześnie król otrzymał dla obydwóch dziedzictwo jednego z największych starostw; nie czekał nawet na osierocenie onegoż. Autor *Kroniki* zowie, z téj przyczyny, dar ten «*ironia.*» Ironiczny ten dar przyniósł przecież Sewerynowi, jak, w smutnéj dla niego epoce, obrachował mu sejm konstytucyjny, milion trzy kroć sto tysięcy złotych!

Skończyliśmy z biografią Wacława Rzewuskiego, nie skończyliśmy z *Kroniką Podhorecką*. Wspomniany żywot jest wprawdzie osnową *Kroniki*, ale jéj autor widocznie co innego założył sobie. Dom Rzewuskich wydał trzeciego jeszcze hetmana, który po Xawerym Branickim, jak dopiéro widzieliśmy, otrzymał buławę polną. Seweryn, bo o nim to mowa, idąc śladem poprzedników swoich, wyniósł się na regimentarza rokoszu targowickiego. Jak opisane powyżéj stronnictwo hetmańskie, Targowiczanie stanęli przy dawnych, nieszczęśliwych nałogach narodowych, przy nierządzie i swywoli; o co zaś toż stronnictwo obwiniało przeciwników swoich, czego później dopuściło się samo, to im, Targowiczanom, wyrzuca potomność. Otóż, pochwyciwszy za te podobieństwa, autor *Kroniki* mniemał, że gdy «uszykuje dokumenta swoje z pewnego stanowiska,» potrafi przeprowadzić «*spoglądy* swoje, które z rozpowszechnionémi są w niejakiéj sprzeczności,» czyli, powiedzmy wyraźniéj, potrafi zrehabilitować Targowicę. Wszakże nie na to jedno porwano się w ostatnich czasach!.....

Wlepione mając oko w Targowicę, wyrozumiała *Kronika* nie przypisuje zatem «żadnéj stronie występnych zamiarów.» Wedle niéj, stronnictwo «szlachecko-republikanckie» broniło «kardynalnych podstaw Rzeczypospolitéj» i wiary świętéj; wedle niéj, Targowiczanie, wierni naślednicy przodków, byli poprostu nieugiętymi» obrońcami swobody republikanckiéj, *palladii libertatis*, byli prawowiernymi synami Kościoła! Może tylko «zbyt

szanowali stare prawa, zbyt mieli wstrętu do nowości,» może pojawili się «za późno!...» Ich przeciwnicy byli to czciciele owych nowości; olśnieni «blichtrem filantropijnym, niedbali o wiarę, którą zwali zabobonem!» Targowiczanie przyzwali, prawda, pomocy obcéj; ale czyż «pierwsi?» Czyż ich wina, mówi *Kronika*, że «nazbyt zawierzyli postronnéj uczciwości?» A jeśli po Targowicy nastąpił rozbój obcy, «albożto nie *mogło* stać się już po konwokacyi, alboż przeto nie bez większéj winy są ich poprzednicy?...» Tak usprawiedliwia Targowiczan autor *Kroniki*, a wywody swoje podsuwa pod godło «uczuć synowskich.» Godło to rozbroiłoby zapewne każdego: tylko nienależało dla umniejszenia winy jednych, rozciągać ją na drugich, krzywdzić uczucie narodowe, utwierdzać i uprawniać niegodziwe błędy, które już raz zgubiły Polskę, a niewątpliwie, gdybyśmy w nich trwali, nie dozwoliłyby nam podnieść się i odrodzić!

Mieliśmy więc obowiązek wykazać historyczną prawdę, podnieść głos przeciw szkodliwym rehabilitacyom, przeciw niebezpiecznéj a bardzo interesowanéj wyrozumiałości, które już aż nazbyt się rozpowszechniają. Dla Targowiczan wybiła godzina potomności. Pociski stronnicze miały już czas stępić się, zardzewieć; sądy obecne o niéj są wyrokiem bezstronnéj, wolnéj od osobistych, namiętnych uniesień, sprawiedliwości. Targowiczanie potępionymi zostali, bo, w osiemnastu, podnieśli rokosz przeciw jednomyślnéj woli całego, poprawionego narodu; bo gwałtowny, buntowniczy zamach na prawa narodu poparli obcą przemocą. Bezwątpienia, nie przejrzeli oni (i któż ich o to obwinia?) jaki koniec spotka ich zamach; ale zamach ten sam przez się był pogwałceniem najświętszych praw narodowych. Przydajmy: żołnierz moskiewski nie zalewał wówczas kraju; Targowiczanie wiedli go sami osobiście, w jego wnętrze; przywiedli go w chwili kiedy właśnie ojczyzna

odzyskiwała niepodległość; wydali ją w ręce jego wolną, niepodległą. To daremnie usprawiedliwiać!...

Uczucia synowskie mają insze sposoby do zatarcia pamięci nieszczęśliwego obłąkania ojców. Kiedy w dzień powstania, naród postrzegł wśród szyków powstających targowickie imiona, nie usłyszał nikt złorzeczeń; bracia z radością przyjęli braci w braterskie ramiona; nie było żadnéj różnicy! Doświadczył tego sam autor *Kroniki*, dopełniając zacnie powinności swojéj. Tak się dzieje obecnie i na wychodźtwie, które z chlubą liczy kilku i najzacniejszych w gronie swojém. Jak ci, nie wystawiać się naprzód, unikać pozornego blasku, unikać wszelkiéj styczności z wrogami, nie sięgać do nich po zaszczyty, w szlachetnéj pokorze służyć, poświęcać się krajowi: oto, zda nam się, jedyny i najbezpieczniejszy sposób rozbrojenia spółczesnych i potomności!

WSTRZEMIĘŹLIWOŚĆ NA LITWIE.

Z okolic Wilna, 17 marca.

Wielka to siła w narodzie gorliwe duchowieństwo. Od stu lat wyrzekano w Polsce na pijaństwo ludności wiejskiéj i aby ją otrzeźwić nie było środka, któregoby nie użyto. Wszystko daremnie: włościanie wciąż pili, i wszystek ich zarobek i dostatek, wszystkie ulgi i pomoce obywateli, na wódkę z każdym rokiem przetapiane, przelewały się do szkatuły arendarzy, akcyźników i rządu. Otóż, co przez wiek cały wydawało się niepodobieństwem, tego obecnie, w ciągu dwu lat, mimo zakazów ministeryalnych i gubernatorskich, i — dodajmy — mimo obojętności obywateli, dokonało na litwie samo jedno duchowieństwo katolickie. W trzech guberniach: wileńskiéj, grodzieńskiéj i kowieńskiéj, włościanie pić przestali.

Gdzie ludność łacińskiego obrządku, tam towarzystwo wstrzemięźliwości rozeszło się prędko i skutecznie: środki działania nastręczały się same. Widziałem fakt w jednéj ze wsi sąsiednich, który pragnę opowiedzieć, choć drobny jest i zwyczajny. Bywa to wszędzie, że proboszczowie, koło Nowego Roku, wszystkich mieszkań-

ców swéj parafii odwiedzają, słuchają dzieci z katechizmu, błogosławią rodzicom i całemu domostwu, a włościanin wywdzięczając się za tę łaskę, ofiaruje księdzu łubiankę ziarna, na kolendę. Cała wieś, o któréj mówię, zarzekła się pić wódki, z wyjątkiem jednego cieśli: ten, że dość zamożny, w miasteczkach i dworach bywały, przytém jak włościanie u nas mówią «*filozop*», choć pijakiem wcale nie był, drwił sobie z upomnień proboszcza i do wstrzemięźliwości zapisać się niedał. Ominął go też proboszcz na Nowy Rok, jakby zapowietrzonego, i ani chaty jego nie odwiedził, ani dzieci nie wysłuchał, ani kolendy nie przyjął. Strach niewymowny zdjął cieślę; nuż w prośby do ekonoma, do pana, aby za nim wstawili się u proboszcza, ślubując i biorąc Boga i ludzi na świadki, że odtąd ani on, ani nikt z jego domu, kropli wódki do ust nie weźmie.

W parafiach mięszanych szło trudniéj: popi dalecy byli od sprzyjania téj propagandzie, a nawet, czy przez akcyźników zainteresowani, czy też poprostu z zawiści, naprzekór katolickiemu duchowieństwu, w niektórych miejscach rozwiązywali swych parafian z przysięgi na trzeźwość, «*bo*, jak mówili, *nie godzi się przysięgać na to, co szkodzi skarbowi.*» Urosło ztąd między włościanami mniemanie, że tylko katolicka wiara zakazuje pijaństwa. Jednemu z moich sąsiadów, który swą ludność od wódki odprowadzić usiłował, odpowiedzieli poddani: «*my, Panie, prawosławnyj, nam pić można.*» Jednak, powoli, w parafiach mięszanych, włościanie ex-uniccy poszli za przykładem katolików, i wyrzekłszy się gorzałki, ślubu swego dochowują wiernie. Ale gdzie mieszkańcy przeważnie, jeśli nie wyłącznie prawosławni, tam wstrzemięźliwość małe uczyniła postępy. W mińskiém, jeśli zmniejszyło się pijaństwo, to w porównaniu do innych litewskich gubernij, bardzo nieznacznie; piją włościanie na Białorusi podobnie jak dawniéj; piją również, jeśli nie więcéj, na Rusi, gdzie liczba księży katolickich zbyt

szczupła, a ci co jeszcze przy dworach trzymają, po za dworem, na gminy prawosławne i wobec prawosławnego popa, nie mają odwagi ani możności wpływania.

Jest zatem widoczną rzeczą, że otrzeźwienie naszéj ludności wiejskiej na Litwie, winniśmy jedynie duchowieństwu. Lecz na tém się kończą jego zasługi. Wiadomo, że w bardzo wielu parafiach, obok kościoła stoi u nas cerkiew, obok proboszcza mieszka pop. Nie trudno sobie wystawić, jak twardém być musi, w takim stosunku, życie katolickiego księdza. Pop jak zły duch czatuje, zastawia sidła, denuncyuje, sprowadza komisye i żandarmów, a złowiwszy, gwałtem lub postępem, duszę włościanina, spieszy po nagrodę swego apostolstwa: po dwadzieścia rubli!... W téj walce zaciętéj, chciwością popów nieustannie podżeganéj, duchowieństwo niższe parafialne, w pierwszym stoi szeregu, pierwsze odbiera pociski i pierwsze też nieraz pada ofiarą. I niedość na tém. Niedość na tym boju straszliwym, trwającym ciągle a ciągle bez nadziei stanowczéj wygranéj: duchowieństwo katolickie walczyć jeszcze musi z nędzą osobistą, i, co stokroć boleśniejsze, z ogołoceniem, ruiną grożącą parafialnéj świątyni. Bo według etatu rządowego, pensya roczna od dwustu do trzystu rubli, większéj części proboszczom powinna wystarczyć na utrzymanie ich własne, wikarego, organisty, służby kościelnéj, jak równie na koszta nabożeństwa i naprawę świątyni! A jednak wystarcza. Choć odarte z funduszów, kościoły litewskie schludniejsze są teraz, wystawniejsze, piękniejsze; choć majątek kościelny wyposaża apostatów, nigdy jeszcze nabożeństwa w świątyniach wiejskich nie bywały, jak dzisiaj, równie okazałe. Zaprawdę, wiele nam wróg zaszkodził i szkodzi, ale nie jeden cios na cios wymierzony, zwraca się przeciw niemu. Co Moskwa świątyniom naszym zabrała, to z dokładem oddaje Bóg miłosierny, podnosząc w nas ducha wiary!

Smutno mi, że tego opisu duchowieństwa litewskiego

w tém miejscu zakończyć nie mogę. Bo i ten obraz, na nieszczęście, ma swoję stronę odwrotną. Rzecz szczególna: w duchowieństwie tak gorliwém, przykładném i schyzmie nienawistném, nastało, od czasu zjazdów komitetowych do sprawy włościańskiéj, jakieś straszliwe zamieszanie pojęć, skrzywienie uczucia, niewytłómaczone rzekłbym oćiemnienie. Ci, których obowiązkiem jest głosić pokój i zapomnienie uraz, którzy o jedność myśli i uczucia błagają Boga dla wiernych: *cor unum et animam unam da fidelibus tuis*, którzy nawet za prześladowców Kościoła modlić się powinni, ci właśnie, strach powiedzieć, ludzi jednego na Litwie narodu i jednakiéj wiary, przeciw sobie drażnią i podburzają. Cała prowincya, zeszłego roku, słyszała o owém kazaniu księdza J., który wziąwszy za powód swéj nauki chorobę lasów, mówił do zgromadzonych w kościele włościanów, że to jest na panów *kara Boża* «bo lasy nie przez panów są zasiewane ani przez nich polewane; nie do nich téż, ale do ogółu należyć powinny.» Słyszano téż i o kwestarzach bernardyńskich, o których dworscy ludzie na Żmudzi przerażające czynili zeznania. Powtarzano i inne, z kazalnic głoszone alluzye, w których, choć ich włościanie może nierozumieli, żywa ku obywytelom przebijała niechęć. Nic więc dziwnego, że obywatele własnym proboszczom poczęli nieufać i że w niejedném miejscu, między dworem a plebanią, przyszło do zerwania.

Zabiegając dalszemu zgorszeniu i chcąc powstrzymać fatalne następstwa, jakieby z niego rozwinąć się mogły, Imć ksiądz Biskup wileński rozesłał, przed kilkoma tygodniami, między duchowieństwo, następny list pasterski:

«*Adam Stanisław Krasiński, z miłosierdzia Bożego i łaski świętéj Stolicy Apostolskiéj, Biskup Wileński, przewielebnym dziekanom, proboszczom i całemu duchowień-*

stwu Dyecezyi Wileńskiéj pozdrowienie i błogosławieństwo pasterskie.

» Posłał Chrystus apostołów na świat dla opowiadania Ewangelii. Posyłali apostołowie uczniów swoich, stanowiąc ich biskupami po miastach. Posyła i do dziś dnia, powagą Piotra świętego, Papież biskupów, a biskupi pysyłają kapłanów: a posyłają nie żeby siebie i swoję mądrość, ale Chrystusową naukę, i to nie w swoim duchu, ale w duchu Chrystusa opowiadali, a nie podług swego rozumienia, ale podług rozumienia i myśli Kościoła, wykładali słowo Boże ludowi. Tak każdy kapłan mający kościelnego ducha spełnia posłannictwo, które przez włożenie rąk od Kościoła otrzymał.

» Ale kto swoje naukę pod imieniem Chrystusowéj ogłasza, kto ją po swojemu tłómaczy, kto od myśli i rozumienia Kościoła odstępuje, a siebie i swój rozum mając za Kościół i prawo, panującym opiniom lub duchowi czasu więcéj hołduje niż powadze Kościoła, ten jest samosłańcem i fałszywym prorokiem, a choćby się nazywał katolikiem, odstępuje od ducha i zasad katolickiego kościoła.

» Wychodząc z téj zasady, stosujemy ją do najważniejszego przykazania miłości bliźniego, którą w naszych czasach nie jeden, na nieszczęście, po swojemu pojmuje i opacznie tłómaczy, drażniąc jednę klasę przeciwko drugiéj i w imię litości nad włościanami, drażniąc ich przeciwko obywatelom, a niezastanawiając się nad tém, że przez niewczesną gorliwość, może stać się przyczyną złego, które mu może przez myśl nie przeszło. Napróżnoby kto mówił, że to w dobrym celu czyni, bo cel nie usprawiedliwia środków, a w najlepszéj sprawie złych środków używać się nie godzi. Wielka sprawa włościańska, tylko na drodze miłości, po Bożemu, da się załatwić.

» Ktoby przeto sądził, że obudzając nienawiść jednéj klasy przeciw drugiéj, służy dobréj sprawie, tenby fałszywie pojmował naukę Chrystusa na miłości opartą, tenby był apostołem swojéj nauki, ale nie nauki Chrystusa, który powiedział: błogosławcie prześladującym was; błogosławcie a nie przeklinajcie, żadnemu złem za złe nieoddając.

» Niespodziewamy się żeby kto z braci naszych kapłanów, jak samosłaniec i fałszywy prorok, tę niechrześciańską zasadę nienawiści i rozdwojenia miał przyjąć, a tém bardziéj żeby się z nią w naukach do ludu ze zgorszeniem odezwał. Chcąc jednak raczéj złemu zapobiegać i uprzedzać, aniżeli potém je powściągać i karcić, zalecamy w duchu chrześciańskim i podług myśli Kościoła, zawsze i wszędzie opowiadać miłość i miłość, wzajemne przebaczenie uraz, a nigdy nienawiści lub zemsty, strzegąc się najmniejszego słowa, któreby jednę klasę przeciwko drugiéj drażniło.

» Lejcie bracia balsam na rany, ale ich nie wypalajcie i nie jątrzcie. Niech duchowieństo będzie węzłem miłości łączącym obywateli i włościan. A jeżeliby kto odważył się na kazaniu używać wyrażeń drażniących jednę klasę przeciwko drugiéj, taki nietylko ulegnie surowéj odpowiedzialności przed zwierzchnością duchowną, ale jeżeliby zato został pociągnięty do odpowiedzialności cywilnéj, obrony w nas nieznajdzie.

» Wilno dnia 20 Stycznia, 1860 r. »

Takie jest pismo zacnego Biskupa. Ufajmy, że słowa naczelnego pasterza będą skutecznem upomnieniem dla duchowieństwa, że niejeden spostrzeże się i powstrzyma na téj ślizkiéj drodze, dokąd go prawdopodobnie namiętne do swych opinij przywiązanie albo może tylko zbyt żywa chęć polepszenia losu jednéj klasy, z krzywdą drugiéj, z niebezpieczeństwem obu, niespodzianie zaprowadziła. Że możemy mieć tę nadzieję, wnoszę z zakłopotania z jakiém duchowieństwo, po wsiach mianowicie, wspomina o tém piśmie albo je wstydliwie przed

świeckimi ukrywa. Lecz kiedy głos obowiązku i sumienia do jednych przemówił, czyżby i drugim nie wypadało przeszłości swojéj roztrząsnąć, czyżby i obywatele nie powinni z swéj strony wyznać: *mea culpa?...*

Nietylko w Litwie, ale w całéj Polsce, znaczna część katolickiego kleru pochodzi z klasy niższéj. Odkąd rząd rossyjski zabrał u nas majątek kościelny, odtąd też zawód duchowny przestał być zyskowną karyerą i już do niego nie garną się, jak dawniéj, synowie obywatelscy. Wolą oni, wyznajmy choć ze wstydem, zalegać gubernatorskie kancelarye i czekać przez lat kilkanaście na jakieś wyższe miejsce, które ich regularnie omija; wolą szukać urzędów w guberniach rossyjskich, gdzie razem z Moskiewkami, poślubiają ich mowę, zwyczaje, dążności; wolą wreszcie przeziewać i przenudzić, na wsi lub w miasteczku, życie całe, byle «swobodnie» to jest bez obowiązku. A któż wie, czyli umysł młodego wcześnie do szlachetniejszych celów zkierowany i do pracy nawykły, nie znalazłby w sobie dość hartu do tego najwyższego w społeczeństwie urzędu, na którym obowiązki i środki działania rosną bez końca, w miarę moralnéj wysokości działającego. Jeżeli na Litwie, podobnie jak w innych prowincyach, tak wątpliwém jest usposobienie ludu dla szlachty, czyżby to nie powinno być dla téj ostatniéj ostrzeżeniem, jak niebezpieczném jest zaniedbywać funkcyą, od któréj dzisiejsza socyalna harmonia, a zatém i przyszła polityczna budowa, przedewszystkiém zależą. Jeżeli z stuletniego nałogu, umieli księża litewscy, w ciągu dwu lat a bez niczyjéj pomocy, lud nasz wyprowadzić: czemużby go uleczyć nie potrafili, przy pomocy i współdziałaniu całego obywatelstwa, z niechęci, która lat kilkudziesiąt jeszcze nie trwa. Nigdy włościanin na Litwie nie przyzna się do większéj z Moskwą niż z nami wspólności; nie rossyjskim ani ruskim się zowie, ale *tutejszym:* zpolszczyć go do reszty i w ten sposób nazawsze przy wierze utrzymać, księżom

i obywatelom pospołu, może niebyłoby trudno.....

Niegdyś w Polsce, ksiądz proboszcz bywał nieledwie codziennym u dworu gościem, i żaden ważniejszy obrządek domowy, żadne święto rodzinne lub zjazd sąsiedzki, nie mogły się obejść bez jego porady, w każdym razie, bez jego towarzystwa. Za chleb gościnny który mu dawano, oddawał chlebem duchowym; za spokój od trosk powszednich, płacił spokojem, który wnosił do domu: *pax huic domui!* Był jakby członkiem rodziny u dworu, i dlatego tém snadniej stawał się «*dobrodziejem*» dla swoich uboższych parafian.

Dziś inaczéj! Pamięć dawnych stosunków mogłaby posłużyć za objaśnienie dzisiejszym. Zaprzeczyć się nie da: błędy i opuszczenia są po obu stronach, ale nie czas wchodzić w rachubę kto winniejszy? Ten winniejszy kto się wyższym czuje, a ręki niższemu nie poda. Niemasz na polu narodowém świętszego, płodniejszego związku jak ten, który łączyć powinien, w każdéj wsi polskiéj, obywatela z proboszczem. Dla obu, i spokój domowy, i bezpieczeństwo osobiste, i pełnienie najważniejszych obowiązków, od ich harmonii zawisło i wzajemnego siebie dopełniania. Nie ustrzeże się właściciel, w dzisiejszéj zwłaszcza chwili, od niechęci ludu, bez życzliwego współdziałania księdza; nie obroni się ksiądz od popa i od urzędników, bez troskliwéj opieki właściciela. Jednéj matki i jednéj wiary synowie, wyznawcy i stróże, wspólnego naprzeciw sobie mają wroga i wspólne przed sobą zadanie. Silni zgodą i ufném porozumieniem, wiele, w swéj walce odpornéj, znaleźć mogą ułatwień; skłóceni i niechętni, zgubią siebie niewątpliwie, ale wprzódy ten lud, który Bóg ich straży powierzył, w ręce Moskwy i schyzmy wydadzą!...

KOŁO POLSKIE W BERLINIE.

---

17 marca.

Na działanie posłów polskich na sejmie berlińskim — wyraziliśmy to już nieraz — nie tylko prowincya, której są przedstawicielami, ale wszystkie ziemie polskie baczną i życzliwą zwracają uwagę. Oni jedni, z całego rodu naszego, w państwie konstytucyjném, do jawnéj straży praw Polski powołani, jedni tylko przed Europą jawnie okazać mogą do jakiego wyrobienia i dojrzałości polityczném, wśród przerwy bytu samoistnego, mimo najniepomyślniejszych wpływów i ciągłéj rządów prowokacyj, doszły już polskie umysły. Kiedy posłowie poznańscy wznoszą głos w obronie praw narodowości naszéj, praw od Boga nadanych lub przez traktaty uznanych, słowo ich szerokiém po ziemi polskiéj rozlega się echem, bo ucisk i bezprawie na które się w pruskim parlamencie uskarżają, różnemi może drogami i z różną doniosłością, ale zarówno bez przerwy i bez miłosierdzia, dręczą i tępią cały polski naród. Zaprawdę, zawód posłów polskich w Berlinie i trudny i gorzki. Przebywać wśród nieprzychylnego zgromadzenia, łamać się z systematyczną niechęcią, przemawiać w sprawie swojéj obcym językiem,

walczyć bez nadziei rychłego zwycięztwa, ileż na to trzeba odwagi, rozwagi i wytrwałéj bo rzetelnéj miłości kraju! Tych niezbędnych warunków służenia polskiéj sprawie, piękny wzór przedstawiają deputowani poznańscy. Lecz jest jeszcze jeden warunek, Polakom najtrudniejszy, a tutaj jak wszędzie najbardziéj konieczny: nim jest zgodność, właściwiéj mówiąc, karność w ich szczupłym zastępie. Bez niéj, utopieni w nieprzychylnéj, ogromnéj większości, zniknęliby pojedynczo bez śladu, bez wspomnienia. Aby wyjść z niemocy, i wśród zgromadzenia niemieckiego, żywioł własny, i tylko ten żywioł wyobrażać, ścisnęli się w jeden czworobok, stali się jednym człowiekiem — jednym Polakiem. Wdzięczność i zaszczyt tym, którzy pierwsi powzięli myśl utworzenia *Koła Polskiego*, wdzięczność i zaszczyt tym, którzy w nim wytrwali i trwać będą.

W każdym roku czynności posłów polskich na berlińskim sejmie zapisując w pamięci, zdawaliśmy z nich sprawę po ich ukończeniu. I teraz, od 12 stycznia, to jest od otwarcia Izb, postępowaliśmy krok w krok za niemi, a chociaż ich tegoroczne prace dalekie jeszcze od kresu, chcemy przecież dać treściwy rys usiłowań, któremi odznaczyli się już w obradach dotychczasowych. Oprócz członków polskich Izby panów, ośmnastu posłów poznańskich stanowi w tym roku frakcyą polską. W pierwszych dniach sejmu, zbyt szczupła ich zebrała się liczba; to téż równie przy wyborze na marszałka, jak przy pierwszych czynnościach parlamentowych, nader słaby mogli wziąść udział. Wkrótce jednak, bo już 20 stycznia, nanowo urządziło się koło polskie. Prezesem pozostał p. Gustaw Potworowski; wice-prezesem obrany hr. August Cieszkowski; sekretarzami pp. Tadeusz Chłapowski i Łyskowski. Do komisyi parlamentarnéj, w Izbie panów, wyznaczeni książe Sułkowski, hr. Mielżyński i p. Bniński; w Izbie poselskiéj pp. Cieszkowski, Morawski i Bentkowski. — Trzy prawa

wniesone do Izby, zajęły szczególniéj uwagę całéj reprezentacyi. Te trzy prawa: *o ustanowieniu nowych okręgów wyborczych; o małżeństwie i ślubie cywilnym; o podwyższeniu podatku gruntowego*, dotykając bezpośrednio interesów politycznych, religijnych i majątkowych Wielkiego Księstwa, nie mogły też ujść troskiwości deputowanych polskich. I tak: co do pierwszego, wiadomo, że dotąd władze prowincyonalne miały moc ustanawiania okręgów wyborczych, i że w poznańskiem, w najdziwaczniejszy sposób, z sejmu, takowe wyznaczały. Pamiętamy z r. 1856 znakomitą mowę p. Józefa Morawskiego i sporządzoną przezeń mapę owczesnych okręgów wyborczych w Wielkiém Księstwie; w niéj wykazał on zbyt niezręczną a oburzającą stronność rządu prowincyonalnego, który odległych od siebie o mil kilka wyborców, w jeden okręg łączył umyślnie, aby przeszkodzić wyborowi polskiemu a tém snadniéj niemiecki zapewnić. Taki stan rzeczy trwał dotychczas. Prawo dzisiaj wniesione, ustanawiające raz na zawsze okręgi wyborcze, wprawdzie nie odpowiada zupełnie potrzebie prowincyi polskiéj: przecież posłowie poznańscy z uwagi, że już na sprawiedliwszéj podstawie jest oparte, i w obawie, aby wystąpiwszy z nowémi wnioskami, nie wywołali ze strony niemieckiéj sprzecznych i szkodliwszych jeszcze polskiéj reprezentacyi projektów, wniosek rządowy popierać postanowili. W d. 28 stycznia, naradzano się w Izbie poselskiéj nad sposobem w jaki złożona ma być komisya do narad przygotowawczych nad tém prawem. Poseł Bentkowski wniósł, aby z prowincyj nie z wydziałów sejmowych, wybierać komisarzy; lecz myśl ta, aczkolwiek poparta przez jednego z naczelników liberalnego stronnictwa, p. Grabowa, upadła, a utrzymał się wniosek marszałka sejmu, w skutku którego do komisyi mającéj oznaczyć okręgi poznańskie, dwóch posłów niemieckich, jeden tylko polski wybrany. Jeżeli projekt rządowy przyjmą Izby, wybór czternastu

a może siedmnastu Polaków z poznańskiego w każdym razie zapewnionym będzie, oprócz czterech lub sześciu z Prus zachodnich.

W kwestyi prawa o małżeństwie, nasuwała się w Kole polskiém obawa, czyli posłowie różnych opinij a nawet różnych wyznań religijnych, na jeden tryb postępowania zgodzić się zechcą. Każdy z nich jednak zrozumiał, że jako przedstawiciel kraju katolickiego, winien zbobyć się na ofiarę z osobistych wyobrażeń, i postanowili wszyscy w rozprawach i przy głosowaniu, czysto katolickie zająć stanowisko. — Co do trzeciego prawa o podwyższeniu podatku gruntowego, które szczególniéj ma być przeznaczone na reorganizacyą i powiększenie stałéj siły zbrojnéj, zgodzili się posłowie polscy, aby stanowczo przeciw niemu się oświadczyć. Na posiedzeniu 18 lutego, wystąpił poseł Libelt z mową, w któréj dobitnie wykazał, jak wielkim byłby ciężarem podatek gruntowy, na ośm od sta od czystego dochodu ustanowiony, zwłaszcza w majątkach obdłużonych. Podatek ten, nie 8 lecz 48 0/0 wyniesie w dobrach, które jak zwykle, zwłaszcza w Poznańskiém, dług landszaftowy aż do dwóch trzecich wartości obciąża: klęska lub nieurodzaj wszelką możmożność opłacenia go odjęłyby. Zwrócił nadto uwagę mówca, że rząd nie objaśnił wcale, jakim sposobem czysty dochód oznaczyć zamierza. Wszakże te sprawiedliwe przełożenia zasługiwały na uwagę Izby, lecz że poseł polski przemawiał, że przedstawiał przewidywany ucisk polskiéj prowincyi, zgromadzenie wśród roztargnienia i zniecierpliwienia mowę jego słuchało. Nazajutrz gdy naczelnik stronnictwa liberalnego, p. Vincke, chcąc opisać zamęt do jakiego ścierające się zdania doprowadziéby mogły Izbę, wystąpił z niemieckiém przysłowiem, i nazwał to pomieszanie projektów *Sejmem Polskim*: zabrał głos p. Cieszkowski, i w zręcznéj, dowcipnéj a pod względem ekonomicznym gruntownéj mowie, i panu Vincke za przysłowie przytoczone od-

wdzięczył się, i szkodliwość projektu wykazał. Szydzącemu z sejmów polskich przypomniał sejm frankfurcki, w którym p. Vincke *pars magna fuit* i który po scenach nieledwie ulicznéj swawoli, po kłótniach i zajściach najnieprzyzwoitszych, «podobnie jak wielki, piękny Ren, «wsiąkł w piasek bez śladu.» Pod względem ekonomicznym, dowiódł p. Cieszkowski, i własném rozumowaniem i powagą mistrzów nauki, a nawet samego p. Riedla sprawozdawcy projektu, jak szkodliwym byłby ów podatek dla produkcyi rolniczéj; a postawiwszy w sprzeczności posła i sprawozdawcę Riedla z profesorem, doktorem i autorem Riedlem, powszechne oklaski i wesołość wywołał. Tegoż samego dnia, p. Łyskowski wniosł poprawkę do projektu podatku gruntowego, w celu aby uzyskać wynagrodzenie posiadłościom ziemskim tych krajów, które w r. 1787 składały ówczesną prowincyą Prus Zachodnich. Uzasadnienie téj poprawki wykazał mowca, opierając się na dokumencie asekuracyjnym, przez króla Fryderyka Wilhelma II w r. 1787 dla Prus Zachodnich wydanym, w którym imieniem swojém następców zapewnia «*słowem i honorem królewskim, że z majątków ziemskich w téj prowincyi, nigdy większe podatki ściągane nie będą od tych, które owczesny kadastr oznaczył.*» Ale to przypomnienie nie zaważyło na szali pruskiéj sprawiedliwości i projekt o powiększeniu podatku gruntowego, wielką większością Izba przyjęła.

O dwóch nadto wystąpieniach posłów polskich wspomnieć tutaj należy. Do pierwszego, w d. 28 lutego, dało powód sprawozdanie komisyi budżetowéj. Przy pozycyi o etacie dla archiwów, oświadczyła się komisya przeciw wnioskowi *o wynalezienie funduszu na archiwum dla prowincyi poznańskiéj*. Poseł Morawski, w mowie historycznemi objaśnieniami popartéj, wykazał potrzebę i użyteczność takowego archiwum. Gdy zaś p. Osterrath napomknął, iż stosowném byłoby dokumenta poznańskie przenieść do wybornie urządzonego zakładu w Królewcu, który już kruszwickie archiwum pochłonął, a p. Rohden miejsce im właściwe naznaczył przy sądzie apelacyjnym w Poznaniu, deputowany polski, w powtórnym głosie, wnioski te odpierając w tych słowach rzecz swoję zakończył: «kiedy my Panowie tak pełną » trosk i boleści mamy teraźniejszość, nie zechcecie, » mniemamy, tak daleko posuwać politycznego cyni- » zmu, abyście nam i pamiątki naszéj przeszłości wy- » dzierać mieli.» Słowa te, nad spodziewanie, obudziły pewne w słuchaczach współczucie, i wniosek p. Seuff, dotyczący archiwów dla prowincyi poznańskiéj, wielką większością przyjęty. — W d. 1 marca, z powodu dyskusyi nad sprawą włoską, wywołanéj petycyą kilkudziesięciu mieszkańców miasta Wrocławia, poseł Bentkowski poczuł się do obowiązku przemówić w imieniu rodaków. Wyraził współczucie tak dla Naczelnika Kościoła, jak dla narodowości i niepodległości Włoch, i starał się pogodzić te dwa nierozdzielne w sercach polskich uczucia, a które albo niedokładne rzeczy zrozumienie, albo tylko zła wiara w sprzeczności z sobą stawiać usiłuje.

Nie możemy nakoniec pominąć wypadku, który równie Koło posłów polskich, jak całe obywatelstwo wielkopolskie z radością przyjęło. Hr. Edward Potworowski, przed trzema laty przez króla wezwany do Izby panów, zajął był na chwilę miejsce w Kole polskiém, lecz wkrótce od niego publicznie się odłączył, wyłamując się z pod prawa solidarnego działania. Im bardziéj jego zasługi, i dawniejsze wojskowe i późniejsze cywilne ceniono w kraju, im lepiéj znane były jego uczucia polskie, tém większe zadziwienie obudził ten rozbrat i tém rozmaitszemu uległ tłómaczeniu. Ci przecież, co bliżéj znali p. Potworowskiego, wiedzieli, że ten czyn jego wypłynął jedynie z mylnego przekonania, jakoby luźnie i na odrębnéj drodze, snadniéj mógł korzystać z wziętości swéj u dworu, i wzbudziwszy ufność w rządzie, tém

użyteczniéj dla kraju pracować. Kilkoletnie doświadczenie dowiodło mylności téj rachuby. Wiernym zostając sprawie ojczystéj, skoro szczerze a z godnością chciał za nią przemawiać, nie znalazł spodziewanéj ufności, ani u dworu ani u rządu. Przyznając się więc do błędu z całą szlachetnością, w liście do prezesa Koła oświadczył, że gotów jest wrócić do rodaków, bo się przekonał, że w odosobnieniu, służyć krajowi nie można. Życzliwe ku niemu wyciągnęły się ręce; Koło polskie, z braterskiém uczuciem powitało wróconego współpracownika. Niech i nam wolno będzie powrót ten równie serdecznie powitać, i wyrazić nadzieję, iż tak dobrze krok dawniejszy hr. Potworowskiego, jak i dzisiejszy, tyle mu przynoszący zaszczytu, raz jeszcze posłuży za wskazówkę tym, którzyby drogi, przez którą przeszedł, ze szkodą sprawy chcieli doświadczać na nowo.

Pozostaje nam jeszcze, w tym treściwym i pospiesznym czynności polskich zarysie, wspomnieć o najważniejszéj deputowanych pracy, z którą życie materyalnie prowincyi do pewnego stopnia jest związane. Chcemy mówić o wniosku dotyczącym Towarzystwa kredytowego w Wielkopolsce. W pierwszéj chwili, Koło polskie ograniczając się na własnych swych siłach, poleciło księciu Sułkowskiemu przedstawić rzecz w Izbie panów, a w Izbie poselskiéj p. Morawskiemu redaktorowi projektu. Lecz gdy nasunęła się uwaga, iżby korzystném było zaprosić do współdziałania, w Izbie panów, jednego z rodaków posiadających większe w sferach rządowych zaufanie, pomocy téj postanowiono zażądać od księcia Wilhelma Radziwiłła. I gdy książe, w zacném uczuciu, które powszechne między rodakami znajdzie uznanie, cały swój wpływ w téj sprawie na usługi wielkopolskiéj reprezentacyi ofiarował, nastąpiły między nim i członkami Koła narady, w celu wprowadzenia niektórych zmian w przygotowanym już wniosku i jego motywach, jakie się przy wspólnym rozbiorze koniecznemi zdawały. Po wzajemnych koncesyach, przyszło do porozumienia i do zgodnie ułożonéj redakcyi wniosku, który téż wistocie, na dniu 1 marca, książe Radziwiłł w Izbie panów, a p. Morawski w Izbie niższéj przełożyli. W redakcyi projektu objawia się bezwątpienia ostrożność nawet lękliwość wyrażeń, zaciemniająca niejako istotę myśli i żądania, a będąca skutkiem wspomnianych koncesyj; atoli skarżyć się na nie byłoby może niewłaściwém. Powtarzamy projekt ten w całości.

« Wnioskujący żąda, aby Izba postanowić zechciała, co następuje :

» Zważywszy :

» 1. że w W. Ks. Poznańskiem istnieje już od roku 1821 Towarzystwo kredytowe ziemskie, na zasadzie samorządu oparte, któremu rozkaz gabinetowy z dnia 15 kwietnia 1842 dozwolił był drugiéj emisyi;

» 2. że wymienione Towarzystwo kredytowe ziemskie najpowszechniejszego używało zaufania tak u stowarzyszonych jak u publiczności;

» 3. że zaprowadzony obok owego, z dawna istniejącego Towarzystwa, nowy Instytut kredytowy który potwierdzony został najwyższym rozkazem gabinetowym z dnia 13 maja 1857, odpowiada potrzebie szerszego kredytu dla własności ziemskiéj, ale pod takiemi warunkami, które wzięcie w nim udziału jak najmocniéj utrudzają właścicielom ziemskim, do dawnego Towarzystwa kredytowego należącym;

» 4. że najwyższym rozkazem gabinetowym z dnia 13 stycznia 1859, zarządzone rokowanie między ministeryum a komisarzami Towarzystwa do żadnego nie doprowadziło wypadku i rozkazem mininisteryalnym, z dnia 23 sierpnia 1859, zostało zamknięte;

» 5. że wydany następnie najwyższy rozkaz gabinetowy z dnia 30 lipca 1859 i regulamin ministra spraw wewnętrznych z dnia 24 listopada 1859, czynią zlanie obu kredytowych ziemskich instytutów zależném od

warunków, któreby nie tylko członków dawniejszego ziemstwa kredytowego, ale i wszystkich właścicieli ziemskich do nowego przystępujących instytutu, poddały, zobowiązaniom, które ich wstąpienie czynią bardzo wątpliwém i dobro ich najistotniéj na szwank narażają;

» 6. że wreszcie kolej różnych instancyj tym sposobem wyczerpaną została:

» Zaleca Izba rządowi królewskiemu: ażeby wyjątkowemu postępowaniu ze sprawą kredytu ziemskiego w W. Ks. Poznańskiem w ogóle koniec położyć zechciał, w szczególności zaś żeby od lat wielu poszukiwane pozwolenie do dalszéj pożyczki na dobra do tego się kwalifikujące nie czynił nadal, ku oczywistéj szkodzie wszystkich interesowanych, zależném od warunków, które najistotniéj uwłaczają prawom dawnego Towarzystwa kredytowego ziemskiego. »

Na tém kończymy dzisiejsze sprawozdanie. Jaka będzie konkluzya narad nad wnioskiem ks. Radziwiłła, jaki w ogóle owoc tych zacnych, połączonych usiłowań, w późniejszym opowiemy artykule. Lecz dziś już znając członków Koła polskiego w Berlinie, możemy zaręczyć, że choćby wypadek był najniepomyślniejszy, choćby nawet z końcem sesyi tegorocznéj posłowie nasi z niczém wrócili do domu, nie wpłynie to bynajmniéj na ich dalsze postępowanie; nie ubędzie sił, nie zabraknie ochoty. W walce, jaką toczymy, nie jednę już ponieśliśmy klęskę, nie jedna też może nas podnieść wygrana. Porażonych nic bardziéj nie zdobi, nic skuteczniéj nie ochrania jak wytrwałość: nią tylko, na nieprzyjacielu, można wymódz uszanowanie. Mniejsza o to że się męczy, że się go drażni w życiu politycznem, nie współczucie ani grzeczność, ale przezorność i rachuba nakłaniają do ustąpień.

PÓŁPANKOWIE I PÓŁMOSKALE.

Z Mazowsza, 24 marca.

W środku lutego, wróciwszy z Warszawy, z walnego posiedzenia Towarzystwa rolniczego, zasypany na wsi śniegami, wyruszyć się z domu nie mogłem, a tak w samotności roztrząsałem wrażenia, jakie z sobą, z naszego obywatelskiego grona, uniosłem. Zastanawiając się nad niemi, uczułem się silniejszy na duchu, bo przekonałem się, że ten, od tak dawna głoszony u nas postęp i do nas zawitał, że jest u nas rzeczywistym bo moralnym, jest postępem umysłów i wyrabiającego się ducha. Lecz gdy brałem na uwagę prace i rozprawy Towarzystwa, kiedy sobie przypominałem nazwiska głównych jego pracowników, a przytém kiedy w myśli przechodziłem i to, co z gazet, o innych polskich prowincyach dało się wyczytać, uderzył mnie fakt ważny i który zapewne, niejednemu z was, wiele już dał do myślenia.

W rzeczy samej, musiało to was zastanowić, że owa dążność zbawienna wydobywania sił narodowych wewnętrznem a zbiorowém, ciągłém wysileniem, popierana w klasie obywatelskiéj i miejskiéj tak ogólnie, doznaje przecież oporu w dwóch, że tak powiem, obozach, na

pierwszy rzut oka, bardzo od siebie odległych. Gromy potępienia za « wygodny patryotyzm » spadają na nas w mowach i broszurach, jakie od czasu do czasu czytamy; potępienie wprawdzie mniéj gwałtowne ale niemniéj znaczące, widzimy w tém odosobnieniu, w jakiém zamknęła się dobrowolnie jedna klasa narodu. Obrzuca nas klątwami cała partya rewolucyjna, wołając że « usypiamy ducha narodowego »; z pogardliwém szyderstwem wyrzeka się udziału, w naszych pracach, większa część imion historycznych, czyli tak zwani panowie. Dziwne to napozór i może mimowolne zetknięcie, chociaż, dla bystrzejszego oka, ani nowe, ani niespodziane. Historyk znalazłby w niém może klucz do zrozumienia wielu naszych bezkrólewiów, wielu nieszczęść w epoce rozbiorowéj i Wielkiego Sejmu wielu zawodów i rozprzężeń w ostatniém ćwierćwieczu!..... Ale, nim przyjdzie czas na sądy historyczne, dobrze jest i z tego zdać sobie sprawę, co się dzisiaj spostrzega. Na krzyki i potępienia, jakie się pośród was odezwały, znalazła się już niejedna odpowiedź; pozwólcie więc i mnie kilka uwag o tém dorzucić, co na miejscu, każdego z nas mocniéj w oczy uderza.

Tak nazwanych dawniéj magnatów niema już dziś w Polsce; bo magnat był to pan z historyczném nazwiskiém, z liczną parentelą i klientelą, możny dostatkami, często zasługą, zawsze wpływem politycznym, a zwykle naczelnik wprawdzie nie politycznego stronnictwa ale potężnie uorganizowanego dworu. Dziś, choć urok historycznych imion nie zupełnie osłabł, majątki upadły, nikt w kraju urzędem nie znaczy, w życiu publiczném niełatwo zasłużyć się, a nawet, mimo zasług, trwałego dokupić się wpływu, możnych dworów nikt nie tworzy: magnatów więc niema. W każdém jednak, choćby najbardziéj przeobrażoném społeczeństwie, muszą być ludzie bogatsi i ubożsi, muszą być i tacy, których przodkowie odznaczyli się w dziejach i potomkom znane

nazwiska przekazali. Otoż, połączenie wsławionego imienia z mieniem utrzymaném lub nanowo nabytém, stanowi dziś jeszcze pana; a związek ludzi téj klasy, oparty na solidarności uczuć, opinij i działania, tworzy rzeczywistą, polityczną arystokracyą. Czém może być, wistocie, rozumna, polityczna arystokracya, jaką siłą w dźwiganiu i rozwijaniu wewnętrznych żywiołów, w pielęgnowaniu dawnych tradycyj, jakim zastępem ku odpieraniu nieprzyjacielskiéj przemocy: tego dowodzą i państwa potężne jak Anglia, i narody dobijające się samoistnego życia, jak Włosi i Magyary. Lecz, takiéj arystokracyi, związanéj z sobą nie tylko rodzinnym ale politycznym węzłem, takiego szeregu ludzi możnych i rozumnych, wspierających się nawzajem i sumujących swe zasoby i działania w jednę, publiczną potęgę — wyznajmy z bolem — nie mieliśmy nigdy i czy kiedykolwiek mieć będziemy, przy braku zupełnym politycznego instynktu, wątpić doprawdy należy!

Była dawniéj przypowieść, że każdy szlachcic polski ma prawo do korony. Dzisiaj już szlachcic nie wierzy, jeśli kiedykolwiek wierzył, temu prawu; ale nie przestali mu ufać panowie. Odkąd tron polski stał się elekcyjnym, odtąd korona między możne rzucona rodziny, zwaśniła je z sobą na zawsze; i choć dziś niema państwa ni ojczyzny, a korona na głowie cara schyzmatyckiego, w polskich rodzinach stara zawiść dotrwała. Żenić się będą między sobą, przyjaźnić przez długie lata, ale jawnéj czy skrytéj wojny wieść z sobą, mimo to, nie przestaną. Nie miał nigdy rząd polski tradycyjnéj polityki; miała ją zato każda niemal znaczniejsza rodzina. Walczyć z silniejszym w narodzie, wywracać jego stanowisko, rozpraszać jego siły w téj walce ni trudu, ni ofiar nie skąpić: takie było pasmo żywota niejednego z tych bohatérów szlacheckiéj równości, takie nieraz tradycye domowe, które z ojca przechodziły na syna. « Ja, w Polsce, chcę tylko paść trzodę, lecz burmistrzować nie dam

nikomu» — mawiano u nas za Sasów! Dziś wprawdzie, tego głośno nie mówią, ale czy inaczéj myślą, czy inaczéj działają?...

Jest w Królestwie, w Poznańskiém i w Galicyi, kilka imion, właściwiéj mówiąc kilku ludzi, uwieńczonych aureolą zasługi, otoczonych i popartych tém wszystkiém, co obywatelstwo i miasta mają w sobie najzacniejszego, i którzy dzięki temu poparciu rzecz publiczną spokojnie, cierpliwie i odważnie dźwigają. Przeciw ich właśnie kierownictwu, niechęć najsilniejsza u niejednego z naszych panów i półpanków: dziś przyczajona i ukryta, prędkoby zabrzmiała chórem obmowy i zręcznego szyderstwa, gdyby zdanie większości narodu mniéj było jawném i stanowczém. Więc nie mogąc wywrócić, lekceważą; nie mogąc zająć pierwszego miejsca, ustępują z szeregu. Dobrowolnie skazują się na nieczynność i w odosobnieniu wyglądają szczęśliwych czasów. Czynią szkodę narodowi ale większą jeszcze własnemu znaczeniu: imię, jak perła, umiera kiedy zbyt długo zostaje w ciemności.

Ale bywają gorsze jeszcze, od zwykłego marnotrawstwa czasu i zasobów, tego odosobnienia się skutki. Nie chcę ja obwiniać moich rodaków; trudno atoli nie spostrzedz, że w wielu naszych panach z Królestwa lub austryackiego zaboru, objawia się jakieś szczególne zamiłowanie do tych prowincyj polskich, które prawami rossyjskiemi są rządzone: chętnie się do nich przenoszą, z upodobaniem w nich zamieszkują. Zaprzeczyć także się nieda, że jeźli w Królestwie, w Galicyi i w Poznańskiém, nie łatwo znaczyć już bez osobistéj wartości, to w prowincyach zabranych, wielki pan, samym majątkiem i imieniem swojém jeszcze świeci a nawet panuje, jeszcze on tam w tém wszystkiém znajduje ułatwienia, co pochlebia jego dumie i wystawie. Wygodne ma życie, a wygoda to dla wielu ostateczny cel wszystkich ludzkich dążeń. Od chwili, jak ze zmianą

panowania, zmienił się nieco, w formach przynajmniéj, rząd rossyjski, pod nim może najswobodniéj człowiekowi, co ma czém ozłocić swą próżność i swoje próżniactwo. Wiadomo, że w Rossyi jest wprawdzie samowładzca, ale każdy bogaty może być wszechwładzcą; rublami wszystkiego dokaże: i prawo ominie, i proces wygra niesłuszny, i zjedna sobie urzędników choćby najniechętniejszych. To pozorne złagodnienie rządu rossyjskiego, a przytém trwająca zawsze dogodność przekupstwa, są podobno przyczyną u niektórych między nami, widocznego nachylenia się ku Rossyi. Nie powiem żeby ją miłowali, lecz oderwawszy się od swoich, lgną do niéj nałogami, próżnością, brakiem moralnego uczucia. Poczynają uważać sprawę polską za zgubioną: wmawiają więc w siebie i w innych, że najrozsądniéj, najpraktyczniéj, między kilkoma złemi wybrać złe rossyjskie. Że zaś nagość tego zwątpienia oblec potrzeba w jakąś szatę powabą, niejeden z nich zdaje się wierzyć w nowe powołanie Rossyi do wielkich przeobrażeń, do przyszłości liberalnéj, konstytucyjnéj, panslawistycznéj. W zapale liberalizmu, wielu staje się reformatorami socyalnymi, filantropami politycznymi. Bo i to także rola dogodna: uwalnia ona od istotnych, oznaczonych obowiązków, a żadnego wyraźnego nie wskazuje. Wyobrażenia socyalne rozkuwają z więzów wyobrażeń narodowych; zajmowanie się ludzkością nadaje wolność nie troszczenia się o ludzi, a ciągła myśl o zreformowaniu społeczeństwa, dozwala zapomnieć o koniecznéj samego siebie i własnego domu reformie. Wielkich dworów i licznych dworaków, rezydentów i domowników, których się dawniéj karmiło i dożywociem lub wioską uposażało, niema już w Polsce; są zato dwory jakby umysłowe, a ci nowi mecenasi dobierają sobie dworaków z ludzi najniewytrawniejszych pojęć, najdziwniejszych opinij, którzy pańskich wywodów cierpliwie słuchają, im potakują, w nich widzą *magnam spem Romæ!*...

Niebezpieczny to zaprawdę kierunek! Przecież, broń mnie Boże, abym tych nawet panów uważał jako zupełnie straconych dla sprawy ojczystéj. Czytałem niegdyś smutną lecz trafną uwagę o małéj stałości uczuć ludzkich, tak słabiejących z postępem okoliczności i ze zmianą naszego położenia, że gdyby najdroższy umarły po kilku latach odżył i do nas powrócił, może niezawsze dogodnym byłby i pożądanym gościem. Lecz, gdyby ta święta i najdroższa « nasza zmarła » przy dźwięku trąb bojowych i rozwiniętych na wiatr sztandarach, odżyła nanowo, nie wątpię że z bijącém sercem pobiegliby do niéj i ci, dzisiaj tak głęboko w próżniaczéj swéj dumie pogrążeni. Sami to przecież mówią, sami o tém zaręczają; chcę wierzyć że zaręczenie jest szczere. Ale jestże ono jakąkolwiek zasługą, jakąkolwiek na dziś siłą; czyż z tych obietnic przybywa cośkolwiek do skarbnicy, w któréj gromadzić się mają narodowe zasoby? A jednak, to błahe i wątłe uczucie, ten blady, kiedyś dopiéro mający się rozpłomienić patryotyzm, wyróżnia jeszcze tych panów od innego, dość szczupłego, dzięki Bogu, zastępu, gdzie już podobno ustało wszelkie tętno polskiego uczucia.

Niestety, jest kilka rodzin, które już z zupełnym bezwstydem wyrzekły się narodowości; są — bo i czemużbym ich nie miał wymienić — Chreptowicze, Sołohuby, jedna gałąź rodu Wielhorskich i nieliczni członkowie innych domów, w większości polskiemi pozostałych. Wszakże mieliście tam, między sobą, gościem, jednego z tych członków, który swemu historycznemu imieniu dodał świetności naprzód kawalergardzkim, potém kamerjunkrowskim mundurem i który, jak słyszałem, przebywając wśród cudzoziemców, wstydził się być Polakiem, mówił *my* mówiąc o Rossyanach, *nasze* o tém co rossyjskie. Cudzoziemcy, wiedząc że imię jego jest polskie, jedni dziwili się, drudzy przypuszczali, że dziś Polak a Rossyanin to jedno. Są więc, między rodakami, choć w małéj liczbie tacy którzy się wyrzekli naszéj polskiéj, politycznéj wiary: przeszli na rossyjską pod rządem rossyjskim, na pruską w poznańskiém, na austryacką w Galicyi. Smutne to i bolesne zjawisko, i chyba w tém pociecha, że gdyby tych wszystkich zaprzańców ustawiono szeregiem, nie utworzyliby podobno nawet jednego plutonu. Możemy się więc z nimi pożegnać; wszakże pierwéj, tym rodzinom odpolszczonym jednę dałbym radę. Za dawnéj Rzeczypospolitéj, Polacy osiadający w Mokwie, najczęściej zbiegi, zdrajcy, bannici, znalazłszy schronienie u kniazia moskiewskiego stawali się Moskalami, lecz zawsze nazwiska swoje przemieniali. Korybutowicze nazwali się Galicynami, bannita Czernicki w XVI w. dał początek rodzinie Czerniszewów, z jakiegoś Sołtyka mieli powstać Sołtykowy. Niech więc i dzisiejsze zbiegi odmienią zakończenie swych nazwisk, niech przyjmą rossyjskie *off* lub *oj*, a okażą odwagę w swéj miłości moskiewskiéj, i dawnym swym ziomkom wyświadczą przysługę, oddzielając się od nich stanowczo. Bo i pocóż uchodzić za Chreptowicza, Wielhorskiego albo nawet Tyszkiewicza, jeśli w sercu i umyśle niema nic polskiego a dążenia i postępki czysto moskiewskie? Lepiéj po prostu nazwać się: *Chreptoff*, *Wielhorskoj*, *Iwan* lub *Mikita Tyszkoff*...

STOWARZYSZENIA W GALICYI.

---

7 kwietnia.

Lat temu dziesięć, kilku mieszkańców Krakowa, sprzykrzywszy sobie monopol, jaki na miasto nałożyli piekarze z Wiednia pochodzący, umyślili wspólnym funduszem utworzyć miejską piekarnią. Ale to skromne przedsięwzięcie nie udało się. Bo gdy obywatele, chcący do niego należyć, podali prośbę do rządu o wolność naradzenia się, na ogólném akcyonaryuszów zgromadzeniu, nad statutem przyszłego Towarzystwa: p. Ettmayer, ówczesny naczelnik władz krakowskich, zażądał w odpowiedzi, aby przedewszystkiém złożono mu statut. Napróżno tłómaczyli mu, że póki sesyi walnéj nie będzie, póty i o statucie mowy być nie może: uparty biórokrata powtarzał, że nim upoważni akcyonaryuszów do zebrania się, musi wiedzieć o czém będą radzili, jakie uchwalą przepisy, kto i w jaki sposób zarządzać będzie funduszami Towarzystwa? Im mocniéj nalegano, tém bardziéj rosła jego podejrzliwość, tém wyższe względy polityczne nakazywały mu być ostrożnym i hamować niebezpieczny zapał mieszkańców — do założenia piekarni!...

Wiele podobnych wspomnień moglibyśmy przytoczyć z zarządu austryackiego w Galicyi. Pamiętny jest zawód owego obywatela w jasielskiém, który urządziwszy z wielkim kosztem fabrykę sukna, musiał ją zamknąć; bo mu władze austryackie nakazały wyroby fabryczne posyłać do Wiednia, gdzie urząd stemplowy miał wartość ich oceniać i konsumentów galicyjskich, w ten sposób, zabezpieczać od straty! Pamiętne również próby i nakłady czynione dla ułatwienia żeglugi na Dniestrze, a zmarnowane nieubłaganym oporem rządowym. A jeźli mimo tylu utrudzeń, pojawiły się w ostatnich latach skojarzone obywateli działania, jeśli umiały obronić się i od duszącéj opieki biórokracyi, i od śmiesznéj podejrzliwości centralnego rządu, to jakkolwiek one słabe być mogą i dotąd nierozwinięte, w historyi prowincy' mieć będą przecież swą kartę i na wdzięczne zasłużą uznanie.

Wkrótce po zamknięciu posiedzeń warszawskiego Towarzystwa, lwowskie gospodarskie Towarzystwo, miało w tym roku swe walne zebranie. Stowarzyszenie to, choć zawiązane od lat piętnastu, chociaż sześciuset członków w swój poczet zalicza, nie mogło dotąd do swych czynności wciągnąć ogółu prowincyi i nawet we własnych szeregach silniejsze wywołać zajęcie. Z wpisanych członków, ledwo trzecia część płaci skromny podatek (12 zł), ledwo dziesiąta przyjeżdża na walne półroczne obrady. Zaniedbując posiedzenia, stowarzyszeni nie bywają też pochopniejsi do korespondowania z władzą Towarzystwa, Komitetem, do pomagania mu w rozbiorach piśmiennych, gospodarskich. *Rozprawy Towarzystwa*, pismo w dawniejszych zwłaszcza tomach nader ważne, dla każdego chcącego poznać stan prowincyi nieodzowne, zrazu w tysiącu, później w siedmiuset exemlarzach odbijane, nie rozchodzą się i w połowie téj ilości. Aby więc wzmocnić działanie i rozszerzyć wpływ Towarzystwa, zdawało się Komitetowi najwłaściwiéj, jeżeli

w miastach odleglejszych od stolicy, urządzi *filialne* stowarzyszenia i *obwodowe* zjazdy. Wypracowaną w tym duchu ustawę podano, w r. 1849, pod najwyższe zatwierdzenie, i od téj chwili aż do dziś dnia, toczyła się o to obszerna, urzędowa korespondencya. W r. 1850, ministeryum zgadzało się nietylko na *obwodowe*, ale na *powiatowe* filie; lecz że powiaty nie były jeszcze w Galicyi naznaczone, nakazano czekać. W r. 1851 nasunęły się insze powody czekania: stan państwa był wyjątkowy, organizacya prowincyi jeszcze nie skończona. W r. 1855 cesarz zezwolił na *filie*; w r. 1857 ministeryum pytało, gdzie tych *filij* potrzeba; w r. 1859 stanowczo ich odmówiło! I tak myśl o filiach, znowu na lat kilka, pogrzebana. Po jedenastu latach pisania i dopraszania się, Towarzystwo pozbawione wszelkich ułatwień ze strony rządu, w własnéj tylko energii szukać znów musi swojéj przyszłości, i wpływ swój oprzeć na działaniach Komitetu, na współdziałaniu i współofierze stowarzyszonych dobréj woli.

Jak z ostatnich wyczytujemy sprawozdań, jedném z głównych zajęć Towarzystwa lwowskiego były wystawy, dwa razy corocznie urządzane. Ich korzyść dla prowincyi jest niezaprzeczona: zachęciły obywateli do współubiegania się, wpłynęły na ulepszenie rasy bydła, rozszerzyły wiadomość o nowych środkach i wynalazkach gospodarczych. Nadto, w ustnych i piśmiennych rozprawach, Towarzystwo porusza wciąż nowe kwestye agronomiczne, zwraca uwagę właścicieli na różne, nieraz zaniedbane gałęzie produkcyi rolniczej; przed rządem zaś, stara się być tłómaczem wszystkich potrzeb i ucisków prowincyi, o ile te złączone są z rolnictwem i wiejskiemi stosunkami. Wszakże najważniejszym, jak dotąd, owocem prac Towarzystwa, jest zakupiony pode Lwowem folwark w Dublanach i urządzona w nim szkoła agronomiczna. Trzydziestu pięciu uczniów, w większéj części synów obywatelskich, znajduje w niéj za

trzysta złr. rocznie, prócz utrzymania i nauki w języku polskim, możność praktycznego wykształcenia się w wyższém gospodarstwie; a ta roczna opłata, jakkolwiek nie wielka, zmniejszoną jeszcze być może, dla uboższych, do stu sześćdziesięciu złr. Dziewiętnastu uczniów, ukończywszy nauki, opuściło zakład i znalazło od razu, w dobrach obywatelskich, korzystne pomieszczenie. Ale szkoła, to piękne dzieło obywatelskiéj gorliwości, nie ma dotąd utrwalonego na przyszłość bytu; utrzymanie jéj kosztuje rocznie około dwanaście tysięcy złr., z których dwie trzecie części zaspakaja opłata szkolna, wraz z dopłatą rządową, tysiąca złr., resztę zaś pokrywa dar Prezesa Towarzystwa i pomoc członków. Gdyby folwark dublański mógł corocznie zapełniać niedobór szkolny, (czego z czasem, po zaprowadzonych ulepszeniach, należy się spodziewać) instytucya ta stanęłaby bezpiecznie, a uwolnione od tak znacznego ciężaru Towarzystwo, w insze strony zwróciłoby swe nakłady i swoje usiłowania.

Mniéj więcéj podobny zakres czynności, krakowskie gospodarskie Towarzystwo naznaczyło dla siebie i wypełniać zamierza. Ale, o wiele późniéj zawiązane i dopiero w zeszłym roku od rządu potwierdzone, nie zdołało dotąd zgromadzić odpowiednich, moralnych i materyalnych zasobów; nie znalazło, w własném gronie, tyle co lwowskie, stałych, dobréj woli pracowników, którzyby apatyą większéj liczby członków zastąpić albo pokryć przynajmniéj umieli. Mimo szczerego obowiązkom oddania się i niezaprzeczonéj gorliwości dzisiejszego prezesa, bolesna strata jego poprzednika, dotąd jeszcze żywo się przypomina: a snać w miejscowém obywatelstwie, niema nikogo, co choćby na drugiém miejscu, z czasu swego, pracy i środków, chciał i umiał nieść skuteczną dla kraju ofiarę. Na brak poparcia skarży się prezes, i przed zgromadzonymi członkami smutne czyni wyznanie, że Komitet sam sobie pozostawiony « ogra-

» niczać się musi do czynności więcéj od rządu niż od » obywateli wymaganych. » Oprócz kilku wystaw urządzonych poprzednio, wszystkie niemal starania Komitetu, podobnie jak w lwowskiém Towarzystwie, odnosiły się do założenia szkoły rolniczéj. Już grunt koło Czernichowa zakupiony, poczynione przygotowania, i prezes na ostatniém posiedzeniu donosił z radością, że szkoła w czerwcu będzie otwartą, choć jeszcze jedenastu tysięcy zlr. dla jéj ustalenia potrzeba.

Jak widzimy, w Krakowie, podobno więcéj jeszcze niż we Lwowie, istnienie i działanie Towarzystwa opiera się tylko na czynności Prezesa i kilku członków gorliwych. Ta oziembłość obywateli, ten brak ochoty do zajęć publicznych, tłómaczą nam, dlaczego dotąd oba Komitety nie zwróciły swéj uwagi na wiele ważnych dla kraju przedmiotów, a przedewszystkiém na stan moralny i materyalny klasy włościańskiéj. W rozprawach swych, ustnych czy piśmiennych, mają one, i słusznie, na ciągłéj pamięci upadek obywatelskich majątków; ale, ilekroć o ludzie jest mowa, to chyba ze skargą na jego nadużycia, z bolesném utyskiwaniem na wyłączną protekcyą rządu, a nigdy z serdeczniejszém w potrzeby włościan wejrzeniem. Rzekłbyś, że ludowi naszemu w Galicyi, odkąd przyszedł do własności, już na niczém nie zbywa; że on tworzy prowincyą osobną, bez żadnego na losy nasze wpływu, i że dla niego żadnych już nie mamy obowiązków: ani sąsiada, ani Polaka, ani nawet Chrześcianina! Czy niechęć ta i obojętność, z dawnéj jeszcze przechowała się epoki, w któréj szlachta sama tylko czuła się narodem, czy téż nowszych sięga czasów i z jątrzącemi wiąże się wspomnieniami, trudno powiedzieć: dość, że w żadnéj może prowincyi, klasa wyższa tak mało nie troszczy się o lud, w żadnéj tak odrębnie nie żyje obok niego, jak właśnie w Galicyi, gdzie lud więcéj niż gdziekolwiek, potrzebuje opieki rozumnéj, bezinteresownéj, chrześciańskiéj. Nie przeczym, że trudności na téj drodze są wielkie, przeszkody niepoliczone, ale i obowiązek jest wyraźny, z każdym dniem naglejszy, a niewątpliwie nikt go za nas nie spełni! — Moglibyśmy galicyjskim Towarzystwom i ten uczynić zarzut, że zbyt wyłącznie ograniczają się na obywatelach, zbyt mało szukają związku z parafialném obu obrządków duchowieństwem. Prawda, że brak filij i rozgałęzienia Towarzystwa, jest niemal stanowczą, pod tym względem, dla Komitetów przeszkodą; ale co utrudnia działania władzy Towarzystwa, mogłoby jeszcze nie wstrzymywać pojedynczych stowarzyszonych. Byle szczerzéj i głębiéj chcieli rozważyć swe własne położenie, a przekonają się, że z niedoli, w jakiéj się cała znajduje prowincya, jeśli siebie tylko samych wydźwignąć zamierzają, z pewnością nigdy nie dźwigną!...

Do dwóch wspomnionych obywatelskich towarzystw, przybywa jeszcze trzecie: Towarzystwo wzajemnego od ognia ubezpieczenia. Jestto niepospolitą p. Trzecieskiego zasługą, że uderzony stratami, które obywatele ponosili, wysyłając corocznie znaczne summy do kas zagranicznych, asekuracyjnych, przez piętnaście lat bez przerwy, kołatał do rządu o wolność wzajemnego ubezpieczenia się w Galicyi, i nareszcie wolność tę wybłagał. Na pierwszą wieść o uzyskaném przychyleniu się rządowém, zgłosili się obywatele z chęcią ubezpieczenia swéj własności, w krajowém towarzystwie, za pięć milionów złr. Niebawem, na posiedzeniach obu rolniczych towarzystw i w kolumnach *Czasu*, odezwały się nader interesujące głosy i rozprawy, które jasno przekonały, jak mocno rzecz ta obchodzi całą prowincyą. W początkach zeszłego miesiąca, zjechało się do Krakowa, około dwustu pięćdziesięciu obywateli z zachodniéj i wschodniéj Galicyi, i po wysłuchaniu uroczystego nabożeństwa w kościele Panny Maryi, po wezwaniu pomocy Świętego Floryana patrona od pożarów, rozpoczęto narady. Sześć z kolei posiedzeń zajęła przygotowawcza dyskusya. Czytaliśmy

ją z prawdziwą przyjemnością, i tyle tylko o niéj mamy do powiedzenia, że prowadzona była z porządkiem, powagą i znajomością rzeczy, któreby krajowi bardziéj nawet doświadczonemu w życiu parlamentarném, prawdziwy zaszczyt przyniosły. Zgromadzenie, na pierwszéj sesyi wyznaczywszy redakcyjną komisyą, naradzało się, aż do ostatka, nad projektowanemi przez nią zasadami przyszłego Towarzystwa, i przyjęte większością opinie zostawiło jako wskazówkę do zredagowania ustawy, która na następném walném zebraniu ma być uchwaloną.

Nim skończym ten rys pobieżny obywatelskich w Galicyi czynności, musim wspomnieć o jedném jeszcze świeżo zawiązaném stowarzyszeniu, które chociaż mniéj wywołało zajęcia, ważne przecież może wydać skutki. Chcemy mówić o Spółce zdrojowisk krajowych, do któréj weszło ośmnastu obywateli z Galicyi i z Królestwa Polskiego. W pięknéj i nauczającéj rozprawie, którą dr. Dietl ogłosił w *Czasie*, znajdujemy opowiedziane z dokładnością historyą, cel i środki téj nowéj asocyacyi. Zeszłéj jesieni — mówi autor — gdy Szczawnica przepełniona była gośćmi, narzekającymi na brak mieszkań i inne niewygody, jeden z tych gości, p. Leopold Kronenberg podał myśl utworzenia towarzystwa mającego rozszerzyć i ulepszyć zakład tych słynnych wód mineralnych. Myśl tę podjął p. Mieczysław Skarżyński, i za jego to staraniem, a pod przewodnictwem ks. Wł. Sanguszki, utworzyło się stowarzyszenie, które pragnie, już nietylko Szczawnicę, ale wszystkie galicyjskie zdrojowiska urządzić na wzór cudzoziemskich. Obliczono, że zazwyczaj, około dwadzieścia tysięcy osób wyjeżdża corocznie z krajów polskich do wód zagranicznych, chociaż zdarzały się, temu niedawno, lata, w których ta liczba była nieporównanie znaczniejszą. Przypuszczając, że koszta podróży i pobytu w kąpielach tylko pięćset złr. na osobę wynoszą, to coroczny wydatek za granicą dojdzie do dziesięciu milionów złr. Jeśli przez ulepszenie zdrojowisk miejscowych, uda się choćby czwartą część podróżnych, odwieść od obcych kąpieli, kraj zyszcze, w ten sposób, do półtrzecia miliona złr. corocznie.

Tyle co do pieniężnéj rachuby; są atoli insze jeszcze względy, które do téj summy krajowych korzyści doliczyć wypada. Zysk materyalny, znajdzie niezaprzeczenie towarzystwo i znaczna liczba tych, którzy przestaną za granicę wyjeżdżać. Zysk publiczny, odniesie prowincya z tworzącego się na wielki rozmiar przedsiębiorstwa, z obudzonego ruchu, powiększonéj pracy, z powiązania sił obywatelskich. Lecz może i to, powiedzmy w końcu, policzyć się godzi do zysków ogólnych, że o tyle więcéj na ziemi polskiéj otworzy się miejsc, na wspólne naszych rodaków zebrania. Z różnych stron przybyli, będą mogli dowiadywać się wzajemnie o obszernych naszego narodu dziedzinach, poznawszy ludzi, poznają ziemię, jéj potrzeby i cierpienia; a wzgląd ten, jakkolwiek odległy, w dzisiejszém naszém rozszarpaniu, powinien mieć swą wagę...

«KARYERA W SŁUŻBIE MOSKIEWSKIÉJ.»

14 kwietnia.

Ogłoszone przez nas, w ostatnich miesiącach, artykuły o Litwie, spowodowały jednego z naszych czytelników krajowych do przesłania nam listu, który chętnie zamieszczamy, bo daje nam sposobność wyjaśnienia naszéj myśli i przypomnienia uwag, które dawniéj, powielekroć, wypowiedzieliśmy.

Autor zaczyna rzecz swoję od zarzutu, że niektórzy z pomiędzy wychodźców służą interesowi téj kosmopolitycznéj partyi, któréj zadaniem jest wszędzie przewrót socyalny wywołać; a chociaż pisma naszego pod tą chorągwią nie stawia, to i nam przecież wielu usterek nie może przebaczyć.

« Spotykamy w *Wiadomościach* (słowa są listu) osobistości publicznego, a nawet prywatnego życia, po nazwisku wymienionych ludzi dotykające; czytamy niekiedy ogólnikowe pociski na szlachtę litewską, noszącą mundury wojska rossyjskiego, mundury dworu, lub otrzymującą rangi i ordery; nakoniec zdaje nam się postrzegać narzekanie na Litwinów wstępujących do

urzędowéj służby. Rozważmy, z osobna, każdy z tych trzech zarzutów:

» Społeczeństwo pozbawione przez lat trzydzieści wszelkiéj oświaty, wszelkiego zbiorowego życia, wszelkiego organu opinii publicznéj, nawet wszelkiéj komunikacyi z cywilizowanym światem, koniecznie musiało stracić na swojéj znajomości środków ku dobremu, czy przeto i chęć dobra straciło? Członkowie tego społeczeństwa, pracując dla dobra publicznego, mogą się mylić i mylić grubo, czy przeto ich intencye godzi się potępiać? Nie! Ludzie oddzieleni od kraju wielką odległością i wielkim przeciągiem czasu, postrzegając omyłki, powinni je wykazać, a mylących się w dobréj intencyi umacniać; mając nawet dowody na tych, którzy nad przepaścią stanęli, powinni pobłażającą ręką ich powstrzymać i zawrócić, a nie przekleństwem w przepaść popychać, a cóż dopiéro w tych przypadkach, w których całym dowodem wykroczeń, jest jakaś ulotna korespondencya, lub pierwszego lepszego wojażera gawęda.

» Społeczeństwa w najlepszych materyalnych i moralnych warunkach znajdujące się, skutkiem ułomności natury ludzkiéj, wszędzie i zawsze wydają pojedyncze indywidua, szukające dystynkcyj i rządowych nagród, nie na drodze zasługi, ale na drodze pochlebstwa, płaszczenia się i poniżających zbiegów. Takie indywidua są i na Litwie: takim nagana, nagana ostra i jawna słusznie należy. Ale czyż wszystkie mundury, rangi i ordery Litwinów na téj drodze są zdobyte? Nie! Mamy tu elekcyjnych sędziów, którzy przy bardzo małéj pensyi, własnym prawie kosztem w trybunałach służą; mamy marszałków szlachty, którzy bez żadnéj pensyi, czas swój i mienie na posługę publiczną ofiarują; mamy honorowych kuratorów szkół, szpitali, więzień, którzy te pożyteczne zakłady od rabunku biórokraci bronią i niedostateczność udzielanych przez rząd, na te zakłady, zasobów, własnémi funduszami dopeł-

nają. Otrzymane na téj drodze rangi, mundury i ordery, jako oznaki prawdziwych posług, pod rządem *de facto*, krajowi swemu oddanych, jeżeli są z godnością noszone, na żadną naganę, na żaden sarkazm niezasługują: przeciwnie, szanować je należy.

» Szlachta dostatniejsza na Litwie, prawem jest obowiązana do służby rządowéj, uboższa zmuszona jest potrzebą, gdyż w kraju pozbawionym przemysłu i nieopłacającym jeszcze ludzi liberalnego, że tak rzekę, fachu, służba rządowa jest jedyną dla niéj karyerą. Czy, jeśli szlachta dostatniejsza ulega prawu, uboższa potrzebie, godzi się na to narzekać? Jeszcze raz, nie! Godzi się naganiać i naganiać srogo tych ludzi, którzy w służbie rządowéj zawierają złe nałogi, którzy tracą godność osobistą, ale od saméj służby systematycznie wstrzymywać nienależy. Zaiste nic łatwiejszego, jak w dostatniejszą młodzież naszę wmówić, aby przez źle zrozumiany patryotyzm unikała rządowéj służby i nieodzielnéj od niéj jakiejkolwiek pracy, lub tę służbę tylko do posłuszeństwa prawu ograniczała; aby próżnowała w ojcowskim folwarku, dopóki ojciec żyje, a późniéj na mniejsze ciągle cząstki majątek dzieliła, lub dla rozliczenia się z rodzeństwem, obcym przedawała? Nic łatwiejszego, jak w uboższéj szlachcie zrodzić odrazę do wszelkich zajęć poważnych, skoro wdziać trzeba mundur rossyjski, a zachęcić ją do artyzmu, dla którego niema mecenasów, do poezyi, dla któréj niema wydawców, do literatury, dla któréj niema czytelników: słowem do tych chybionych exystencyj, których już jest dość, już jest za wiele na Litwie. Ale jakież ztąd następstwa? Rząd rossyjski, systematycznie usiłujący dotąd wszystko w swém ręku zatrzymać, potrzebuje ludzi do służby. Rząd ten ma już uformowaną ogromną armią rossyjskiéj i niemieckiéj biórokracyi, oblegającą petersburskie przedpokoje. Nieużywa jéj wyłącznie i owszem używać jest zmuszony miejscowych Polaków, bo w nich znajduje więcéj zdolności, więcéj uczciwości i tę *iskierkę honoru*, która przechowała się w potomkach *szlachcica rycerza*, a któréj nie mają potomkowie *dwarjanina*, *krzyżackiego rajtera* lub synowie *popa*. Ale, jeśli szlachta polska, przez źle zrozumiane obowiązki swoje dla kraju systamatycznie uchyli się od służby, wówczas rząd tém skwapliwiéj nasyłać będzie tę zgraję; wówczas obcy ludzie, już nierachując się nigdy z opinią publiczną prowincyi, w któréj nie urodzili się i może nie umrą, już nie łagodząc nigdy praw surowości, oględnością w ich pełnieniu, ucisną kraj do reszty, a sobie zrobią w nim pozycye, i po kilku generacyach, Polacy we własnéj ziemi, zostaną tém, czém są ich bracia w Księstwie Warmińskiém lub w części Wielkopolski: zostaną niższą warstwą ludności, z któréj i w najlepszych okolicznościach, nikt cywilizowanego narodowego społeczeństwa uformować niezdoła. Te kilka uwag, z dobrą wiarą przesyłając z głębokiéj Litwy, zostaję i t. d. »

Uwagi i zarzuty niektóre w liście tym zawarte dochodziły nas już rzadko wprawdzie, od pojedynczych osób; lecz nie możemy ich żadną miarą uważać za odgłos téj opinii, jaką wyrabia w umysłach, równie jasne jak wysokie o obowiązkach narodowych pojęcie.

Jeśli pojedyncze głosy z niektórych prowincyj, zarzucały czasem pewnéj liczbie emigrantów, że pod wpływem kosmopolitycznych idéj zostają, że zbyt hołdują, tak zwanéj dziś u nas zgniłéj i fałszywéj cywilizacyi Zachodu: to znowu my, jakkolwiek z tego szeregu kosmopolitycznych szermierzy łaskawie wyłączeni, patrzący wprawdzie zdaleka, ale mając możność patrzeć bezstronniéj i całość polską ogarniać, mieliśmy nieraz słuszne powody ostrzegać i przypominać, aby w kraju nie zchodzono tak łatwo z wysokości pojęć obowiązków polskich, do miejscowych tylko stosunków i prowincyonalnych potrzeb; aby się niemi nie zastawiano przed ważniejszemi i świętszemi zadaniami, aby wreszcie, w miejsce

wielkiego i żywą tradycyą uświęconego w sercach wyrazu *ojczyzna,* nie pozwalono wejść w użycie, z równém sumienia zaspokojeniem, świeżo wprowadzonemu wyrażeniu : *dobro kraju, pomyślność prowincyi.*

Wszakżeż to właśnie na Litwie, przez nas, zdaniem autora, pokrzywdzonéj, wyrodziła się ostatniemi czasy, w kilku występnych lub zchorzałych umysłach, idea o jakiejś odrębnéj narodowości litewskiéj, pod opieką cara rossyjskiego, « *prawnego następcy i dziedzica Jagiellonów.* » Wiadomo nam dobrze, że zdrowa i uczciwa większość prowincyi protestuje w duszy, przeciw tak potwornemu sojuszowi litewskiéj pogoni z orłem dwugłowym; wiadomo nam także, że objaw ten, równie sztuczny jak zbrodniczy wyszedł od nader szczupłego grona ludzi : lecz ponieważ nosił na sobie piętno wyraźnéj ku zdradzie pochyłości, donieślimy o nim i sąd nasz wydali, sąd oparty nie « *na ulotnéj korespondencyi i gawędzie wojażerów,* » ale niestety na znanych faktach i rozchodzących się po kraju publikacyach.

Autor listu obawiać się zdaje, że pewna część emigracyi zbyt hołduje idei, *co przewrot socyalny wszędzie chce wywołać :* my sądzimy, że żaden *przewrót socyalny* większą obawą nie grozi, i więcéj zgrozy i oburzenia w sercach polskich wywołać nie jest w stanie, jak przewrot tych sumień i umysłów co w Rossyi widzą źródło światła i zbawienia. Dlatego, mając przed oczami *Album wileńskie* i *Kuryera,* nie przestaniemy powtarzać, że kto, jakoby z obawy kataklizmów socyalnych, a istotnie z rachuby i nikczemnéj słabości odwraca się od Zachodu, ten tylko, jak p. Malinowski, ujrzeć może światło na Północy, ten tylko, wybijać mu będzie bałwochwalcze pokłony, jak p. A. E. Odyniec.

W wymienianiu nazwisk staraliśmy się być zawsze oględni, zawsze skłonniejsi do puszczenia w niepamięć niż do ogłoszenia przed światem tych, co zgrzeszyli chwilową słabością lub nierozmyślném zapomnieniem.

Ale oględność taka stawała się zbyteczną wobec ludzi, co z własnego popędu, nie pojedynczo już i pokątnie, ale w biały dzień i zbiorowo wystąpili pod chorągwią noszącą godła wyraźnej do Moskwy skłonności. Sumienie nakazywało napiętnować ten sztandar, uszyty rękoma kilku literatów z okrawków płachty ohydnéj, pozostałéj po Targowicy, który, zdawałoby się, do reszty już był zużył i zszarzał p. Henryk Rzewuski; sumienie nakazywało ludzi, co taki sztandar podnieśli, pod pręgierz opinii postawić. Uczyniliśmy to, nie dlatego żeby *przekleństwem w przepaść popychać,* ale żeby dać wyraz powszechnemu, Bogu dzięki, oburzeniu opinii publicznéj. Głos nasz powtórzyły dwa dzienniki krajowe, których autor listu nie posądzi o zgryźliwą gorycz i inne nałogi Emigracyi przypisywane; a jesteśmy pewni, że podobne zdanie objawiłyby wszystkie pisma polskie, gdyby im wolno było powiedzieć, co myślą.

Nigdyśmy systematycznie i bezwarunkowo nie potępiali wszystkich wchodzących do służby rządowéj, i nie każde dosłużenie się rangi jest dła nas już odstępstwem i zdradą. Ktokolwiek sobie zdaje sprawę z przeważnéj dla nas potrzeby kształcenia się wojskowo, ten za złe mieć nie może młodzieży, że wchodzi do wojska rossyjskiego. Kraj, jeśli nie bez przykrości patrzy na obce mundury, które nosić są zmuszeni, nie bez nadziei jednak pogląda na ludzi. Podzielamy te nadzieje, bolejemy tylko ile razy wyrobione i zdrowe pojęcia o obowiązkach narodowych nie towarzyszą wchodzącym na tę drogę, i ostrzegamy przed pokusami, jakie spotykają Polaka wystawionego na moskiewskie wpływy : wpływy, jak wiadomo, zabójcze, odejmujące godność człowieczą, zcierające piętno narodowe u tych, co w ten zawód wstępują nieopatrzeni hartem duszy i naukowém wykształceniem.

Potępialiśmy, i potępiać zawsze będziemy, ludzi szukających w służbie moskiewskiéj *tylko* karyery, a zwła-

szcza też na drodze dyplomatycznéj. Takich aspirantów do moskiewskiéj czy niemieckiéj dyplomacyi, uważać jesteśmy zmuszeni, jeśli nie za jawnych zdrajców, to przynajmniéj za bardzo lekkomyślnych i w swéj płochości bardzo szkodliwych; a ile razy spotykamy polskie nazwisko, przyczepione do jakiejś ambasady nieprzyjacielskiéj za granicą, rumienić się musimy i czuć upokorzenie, bo naprowadza ono zwykle cudzoziemców na krzywdzące godność narodową domysły.

Służby rządowéj pod moskiewskim rządem nie można uważać za zawód publiczny, normalny, ani wymagać tu od ludzi i spodziewać się tych zbawiennych wpływów i téj działalności, które w tak ścieśnionych szrankach są niepodobnémi. Lecz można i trzeba wymagać od indywiduów wstępujących w tę służbę aby im myśl o Polsce przewodniczyła i tutaj, aby czułém było na godność ich sumienie, a hart duszy aby nie uległ przed pokusą. Ten hart, tę moc, tę ciągłą myśl o Polsce, każdy prawy Polak musi zalecać; a gdy nie zawsze i nie we wszystkich te niezbędne przymioty widzimy, niachaj autor listu nie żąda, abyśmy na wszystkie rangi i mundury w służbie rossyjskiej noszone, z pobłażaniem patrzali.

Jeden z pisary XIV wiekn powiedział, że kto nie chce dźwigać Krzyża Chrystusowego, ten będzie dźwigał krzyż łotra. Można tę prawdę głęboką, ze sfery religijnéj do narodowéj przenieść, i nie bez słuszności powiedzieć, że kto Krzyża polskiego dźwigać nie chce, ten nosić będzie krzyże moskiewskie i szambelańskie klucze. Lżejsze są one i wygodniejsze. Autor reklamacyi zapewnia, że niektóre *z godnością są noszone i na żaden sarkazm i naganę niezasługują*. Chcemy rozróżniać, i zapewniamy autora że znaki te budzą w nas pogardę i oburzenie gdy są *zasłużone*, a boleść tylko, gdy na niewinnego spadną człowieka; ale *szanować* tych oznak na piersiach Polaka, jak tego autor listu wymaga, szanować ich, żadną miarą nie możemy.

Krzyż polski jest ciężki zaprawdę i do niesienia trudny, bez ducha ofiary udźwignąć go niepodobna, i nie tacy też dźwigać go będą, co na swych piersiach moskiewskie gwiazdy, przy swych imionach moskiewskie rangi dobrowolnie zawieszają!...

«*LA VÉRITÉ SUR LA RUSSIE.*»

21 kwietnia.

« Kłamstwo jest duchem Rossyi » wyrzekł przed dwudziestoma laty słynny podróżnik francuzki, margrabia Custine; « Rossya jest krajem urzędowego i uorganizowanego kłamstwa, » powtarza obecnie Rossyanin, w książce wydanéj przed kilkoma dniami. To kłamstwo udowodnić i przed trybunałem opinii europejskiéj zawstydzić, obnażyć Rossyą z powłok, w które obwinięta, wskazać środki leczenia jéj ran i chorób niebezpiecznych — zamierzył odważnie książe Piotr Dołgorukow w piśmie swém, któremu dał tytuł : « *Prawda o Rossyi*. » Jeżeli śmiałość autora może być nieprzyjemna jego rodakom, jeżeli potępiać go będą za to właśnie, że dzieło dotrzymuje, co tytuł przyrzeka : nam z tém większą bacznością czytać je wypada i korzystać z wskazówek, których szczodrze udziela.

A naprzód, powiedzmy słowo o autorze, nim zastanowimy się nad jego pracą. Książę Piotr Dołgorukow, potomek jednéj z najznakomitszych rodzin rossyjskich, wydał w Paryżu, w r. 1843, pod przybraném nazwiskiem hr. d'Almagro, pismo o szlachcie rossyjskiéj. Ustana-

wiając w niém hierarchią różnych rodzin, pod względem zasług i dawności pochodzenia, wiele takich poobrażał, które rościły sobie prawo do pierwszeństwa ; głównie zaś dotknął rodzinę cesarską, wykazując że znajduje się w Rossyi wiele domów i dawniejszych i zasłużeńszych od domu Romanowów. Nadto, powiększył urazę wspomniawszy o Stanach (*Ziemskaja Duma*), zebranych w r. 1613, przy wyniesieniu na tron pierwszego Romanowa : Skoro imię autora stało się wiadomém policyi rossyjskiéj, cesarz Mikołaj kazał mu wrócić do kraju i objąć nader nizką posadę administracyjną w Wiatce. Nie przyjął jéj książę Dołgorukow, i odmowę swoję oparł na prawie *dobrowolnej* służby, zapewnioném szlachcie rossyjskiéj. Zagniewany cesarz, mimo to, wysłał go do Wiatki i oddał pod dozór policyjny ; ale przed wyjazdem musiał autor przyjąć u siebie lekarza cesarskiego, któremu poruczono przekonać się o jego stanie umysłowym. Dotknięty karą, a bardziéj jeszcze odwiedzinami doktora, odpowiedział ks. Dołgorukow, że najjawniejsza to oznaka choroby pomięszania zmysłów, kiedy chory, za szalonych, poczytuje ludzi ze zdrowym rozsądkiem. Dodaje pisarz « że mylném jest upowszechnione w Rossyi mniemanie, jakoby on z rozkazu Mikołaja poniósł chłostę, » jak tylu innych mężczyzn i kobiet za tego panowania. » Gdyby go była ta niedola spotkała, nie wahałby się jéj » wyznać. » — Lata wygnania poświęcił książę Dołgorukow pracy umysłowéj. Przywołany z niego i widząc niechęć wielu rodaków wysoko stojących, nie będąc pewnym osobistego bezpieczeństwa w kraju, zwolna przenosił za granicę majątek, bibliotekę i papiery. Przy wstąpieniu na tron cesarza Alexandra znajdował się w Petersburgu, i podzielał nadzieje powszechnie w Rossyi obudzone, że ze zmianą panowania zmieni się stan narodu i otworzy się nowa epoka reform i swobody. W roku 1858, w grudniu, przedstawił cesarzowi projekt usamowolnienia włościan, który go odesłał do głównego

komitetu. Lecz gdy autor przekonał się, że dążność reformacyjna i liberalna nowego panowania jest, w znacznéj części, nowém tylko kłamstwem; że cesarz, mimo najlepszych chęci, dla braku potrzebnéj sprężystości nie podoła zamierzonym reformom; że używając dawnych przez ojca przekazanych mu ludzi, do dawnego acz nadwątlonego systemu pozostanie przykutym, wyniósł się książę za granicę, osiadł we Francyi, i gdy w inny sposób poświęcić ojczyznie pracy swéj i zdolności nie może, służyć jéj piórem postanowił. Pierwszą tą jego usługą, jest dzieło o którém mówimy.

W dziele tém, trzy strony rozróżnić należy: polityczną, historyczną i anegdotyczną. Ostatnią, acz wielce ciekawą i zabawną, nie chcemy się zajmować, zostawiając rodakom autora sprawdzanie i zbijanie podań, jakie obejmuje. Autor wprawdzie nikogo nie wymienia, ale każdego wskazuje: pojmujemy więc gniew i zgrozę, jakie między wskazanymi obudzi. Nie nam w to wchodzić, kto to jest ów wielki dygnitarz w Petersburgu, rzeczywisty tajny radzca, co zniósł cierpliwie i kije i kopnienie nogą; nie nam wątpić, że minister sprawiedliwości dozwala podwładnym, za wynagrodzeniem stosownéem, fałszować dokumenta, które tytuł własności ziemskiéj stanowią; że podczas wojny krymskiéj, administracya wojskowa zapłaciła wartość tysiąca ośmiuset wołów bajecznych, *mitologicznych* jak je autor zowie, a nadto koszt ich żywienia, zabicia, oprawienia i posolenia, chociaż nikt ich nie widział, bo nigdy dostarczonémi nie były. Te i tym podobne liczne podania są niejako sprawami familijnémi, które Rossyanie między sobą rozświecić i rozstrzygnąć powinni, a nad któremi my zastanawiać się obszerniéj nie potrzebujemy. — Nie zatrzymamy się także nad historycznym wykładem przywilejów szlachty, zgromadzeń prawodawczych, poddaństwa ludu. Autor opowiadając polityczne przeobrażenia, przez które przeszła Rossya, przypomina dawne swobody słowiańskie i wiece ludowe, wskazuje odmiany, jakie podbój Tatarów za sobą wprowadził, opisuje ustanowienie szlachty prawnéj i dziedzicznéj za Iwana III i ujarzmienie włościan. Wzmiankując o *Ziemskiéj Dumie* za Iwana IV, uznaje wpływ sąsiedztwa polskiego i swobód naszéj Rzeczypospolitéj na usposobienie bojarów moskiewskich; wylicza warunki, a więc rodzaj *pactów conventów*, podawanych carom przy wstąpieniu na tron, jak Bazylemu Szujskiemu i Władysławowi, i na nowo zwraca uwagę czytelników, że przy wyniesieniu na tron Michała Romanowa, władza carska została ograniczoną. Tymczasem carowie złamali swe zobowiązania, zgnębili szlachtę i lud ujarzmili; z każdém panowaniem wzmagał się coraz sroższy ucisk na wszystkich szczeblach społeczeństwa, rosła owa, jak się autor wyraża, piramida niewoli. Dokończył gmachu Piotr Wielki: uorganizował despotyzm, ale nie stworzył instytucyi. « Mylą » się ci, — słowa są autora — co rząd despotyczny mie» nią być polityczną instytucyą: jest on przeciwnie prze» szkodą do wszelkiéj prawnéj i trwałéj ustawy. Nigdy » szlachta rossyjska nie poczuje w sobie przywiązania » dynastycznego; mogą być w Rossyi dworacy, służalcy, » niewolnicy: legitymistów, dobrowolnych dynastyi » obrońców, nie ma i nie będzie! » — Przebiegłszy szybko panowanie Katarzyny i jéj następców, rozciąga się autor nad wstąpieniem na tron cesarza Mikołaja, i w tych słowach się wyraża o sprzysiężeniu Pestlowém: « Bez» stronna historya, z wyższego stanowiska, bez uprze» dzenia i dworactwa wydając sąd o ludziach i rzeczach, » wysoko wyniesie decembrzystów z r. 1825. Imiona » ich wspomni z uczuciem podziwu i poszanowania: » tak bowiem wielkie było ich poświęcenie dla kraju, » tak srogi los co ich dotknął, tak szlachetną odwaga » z jaką znosili swoje męczeństwo. » Zwycięzca, cesarz Mikołaj, człowiek « miernego umysłu lecz niezmiernéj » dumy, rządził krajem jakby paszalikiem, używając

» wszelkich korzyści cywilizacyi europejskiéj, nie wy-
» rzekł się nigdy swéj władzy azyatyckiéj... » « Był to
» czas ucisku, — mówi w innêm miejscu autor — lecz
» jakiego ucisku! Trzeba było go doznać, żyć pod nim,
» aby mieć o nim dokładne wyobrażenie. Druk w nie-
» woli, słowo ludzkie skrępowane, wolność sumienia
» przygnębiona, wszystkie szlachetne popędy zdeptane i
» karcone jakby zbrodnie obrazy majestatu, policya sie-
» jąca strach po całéj Rossyi i dręcząca wszystkich, któ-
» rzy się jéj okupić nie mogli. Poddaństwo, niewola ludu
» wbrew chęciom monarchy zatrzymane, bo skoro ce-
» sarz może bezkarnie uciskać wyższych, musi im nad
» niższymi dozwolić ucisku. Przytém nieład finansowy,
» w końcu wojna wywołana i prowadzona najniezręcz-
» niéj... Cała Europa oburzona przeciw Rossyi, dlatego
» że się podobało naszemu władzcy ogłosić się wrogiem
» wszelkiego zacniejszego pomysłu i uczucia! Takie było
» położenie kraju przy wstąpieniu na tron Alexandra II,
» takie z małém zwolnieniem trwa jeszcze do dziś dnia...
» nowy monarcha ma chęci najlepsze, — dodaje książę
» Dołgoruków — lecz czyż same chęci mogą wystarczyć?...
» Wszystko pcha Rossyą do strasznego kataklizmu: uni-
» knąć go ona nie zdoła, chyba zmieniając formę swego
» rządu... »

Mając przed oczyma tak żywy obraz czasów mikołajowskich, a zarazem trwających dotąd nadużyć, bezprawiów, podłości, przekupstwa, uciemiężenia, obraz skréślony piórem Rossyanina, moglibyśmy sobie dozwolić złośliwéj radości, i szukać pociechy w têm głośnêm oskarżeniu i potępieniu naszych nieprzyjaciół przez własnego rodaka. Lecz na widok téj niewoli, tego poniżenia, tego ucisku, tych mąk duszy i ciała, wśród których, od lat tylu, żyje tyle milionów, serce ściska się boleścią i politowaniem, a to uczucie staje się jeszcze krwawszém na myśl, że wśród tych milionów cierpiących, znajdują się bracią nasi. Kiedy skargi polskie wznosiły

się w Europie na okrucieństwo i bezprawia rządów carskich, nieraz im wiary odmawiano, nieraz je posądzano o przesadę. Dziś słysząc ten głos rossyjski, któż się odważy powiedzieć, że przez usta polskie, nie boleść, lecz nienawiść przemawiała, że one się dopuszczały kłamstwa! I czyż trudno przytém domyślić się, że jeżeli taki ucisk i takie nadużycia panowały i panują w Rossyi, o ileż one sroższe być muszą w kraju, przeciw któremu, blizko od wieku, samowładzcy rossyjscy, zwracają całą swą zemstę, którego nienawidzą, bo go ciężko skrzywdzili, który uważają za wiecznego buntownika, a od roku 1831, za nową zdobycz i pastwę chciwości swych głównych agentów. Jeżeli policya w Rossyi jest tak podejrzliwą, jeżeli bezprawiem żyje głównie, to te bezprawia i ta podejrzliwość, o ileż w prowincyach polskich muszą być dotkliwsze! Jeżeli sprawiedliwość w sądach sprzedaje się krajowcom, o ileż drożéj kosztować musi Polaków! Hiszpanie zająwszy Mexyk i Peru, gnębili i wytępiali nieszczęśliwych mieszkańców, aby z łona ich ziemi wydobywać drogie kamienie i złoto: dla Rossyan, takiemi minami, była od czasu Katarzyny Polska, były i są niemi zawsze majątki obywateli polskich. Książe Dołgorukow nie tai tego, i mówiąc o policyi wyznaje, że prowincye zachodnie, dawniéj polskie, stanowiły dla niéj, prawdziwą Kalifornią. «Tam — woła on — prawie
» wszyscy właściciele polscy byli otaxowani; stosownie
» do obszerności majątku, opłacać musieli żandarmeryi
» haracz roczny, a biada temu, kto się okazał nieregu-
» larnym płatnikiem. Nocą przytrzymany, wrzucony do
» więzienia, poddany tajnemu śledztwu, musiał dla oku-
» pienia swojéj winy, wypłacić policyi jeszcze znaczniej-
» szą kwotę, a jeżeli jéj nie miał, wysłany był na Sybe-
» ryą, nibyto za przestępstwo polityczne. Otóż w tych
» prowincyach, wygnanie na Syberyą, za polityczne
» zbrodnie, pociągało za sobą konfiskatę majątku, a więc
» ruinę rodzin. Konfiskatę w Rossyi zniosła wprawdzie

» Katarzyna II, lecz ją zachowała w prowincyach zacho-
» dnich ; a jéj wnuk wprowadził ją napowrót, po r. 1831,
» do Królestwa Polskiego. »

Autor *Prawdy o Rossyi* kilka rozdziałów poświęca przejrzeniu całéj budowy rossyjskiego rządu, a przedstawiwszy jego zewnętrzną postać i układ wewnętrzny, wprowadza nas do najciemniejszych kryjówek tego potwornego gmachu. Wszystko co mówi o radzie państwa, o sądach, o senacie, o administracyi wojskowéj i cywilnéj, o policyi politycznéj, o cenzurze, o kabakach nam Polakom mniéj więcéj to wiadome, ale dobrze że w jaskrawym obrazie stanie przed oczyma całego świata cywilizowanego. Autor wykazuje, że przy prawach i instytucyach dziś istniejących, przy panujących dotąd obyczajach i wyobrażeniach, cesarz acz wszechwładny, ma tylko władzę robienia złego. Będąc uwikłanym wśród sideł urzędowych, otoczony atmosferą podłości i przedajności hierarchicznéj a solidarnéj, nie dowiadując się nigdy prawdy, na niemoc w dobrém jest nieustannie skazany. Dopóki więc cesarz Alexander nie wydobędzie się z téj atmosfery, w któréj ojciec go zostawił, dopóki nie oddali od siebie ludzi, których mu w dziedzictwie przekazał, dopóty, choć czuje potrzebę licznych i koniecznych reform, żadnéj nie przeprowadzi, żadnéj przynajmniéj, coby odpowiadała potrzebie. « Trzydziestoletnie panowanie Mikołaja, było trzydziestoletnią wojną wypowiedzianą cywilizacyi i zdrowemu rozsądkowi. » Takiego monarchy, jakimiż mogli być doradzcy, i czyż godzi się ich używać w dziele odrodzenia kraju ? « Cesarz nie domyśla się, rzekł w Petersburgu pewien dyplomata, jak niebezpiecznie jest, kierunek lokomotyw powierzać dorożkarzom ulicznym. »

Po wykazaniu nadużyć i nieudolności każdéj z władz budowę państwa składających, książe Dołgorukow kreśli nowy jéj plan. Autor jest człowiekiem liberalnym, wykształcony na zachodnich wzorach, zachodniemi wyobrażeniami przejęty : we wszystkich więc reformach, które zaleca, znajdujemy tych wyobrażeń odbicie. Nie tu miejsce rozbierać je po szczególe, ani zastanawiać się, czy wszystkie są zarówno praktyczne, zarówno do obyczajów, charakteru, ducha narodowego zastosowane? Powiemy tylko, że gdyby ta *Prawda o Rossyi* miała stać się nową *Prawdą Ruską*, naród rossyjski musiałby utracić wiele ze swych wschodnich tradycyj. Autor téż nie ufa, aby na reformy jego, dobrowolnym wyborem, Rossyanie zgodzili się : owszem, mniema, że wszystkie zaprowadzić powinna władza samodzierżcy, a dopiéro po ich zaprowadzeniu, nadać Rossyi ustawę konstytucyjną i zmienić się w rząd reprezentacyjny. « Początek
» domu holsztyn-gottorpskiego (mówi autor) nie gubi
» się w ciemnościach przedhistorycznych ; prawa jego
» nie opierają się na zasadzie dynastycznéj, przez odległe
» przekazanéj wieki, ani tém mniéj, na wyborze naro-
» dowym..... Cesarz Alexander, nadając konstytucyą,
» nietylko spełniłby czyn zacny przed Bogiem, światem
» i historyą, ale przemieniłby ród swój, ród dotąd obcy,
» na dynastyą narodową, dynastyą prawdziwie rossyj-
» ską! »

Konstytucya jest więc ostatniém słowem *Prawdy o Rossyi*, ostatniem życzeniem autora ! Życzenie to, u Rossyan, już nie tylko w zagranicznych publikacyach, ale i w miejscowych, do tronu zanoszonych adresach coraz częściéj zdarza się spotykać; i mimo krzywd doznanych, mimo niechęci rodowéj, żaden z Polaków, tym dążeniom rossyjskim, nie odmówi gorącego spółczucia. Każdy z nas pragnie dla Rossyi, aby się jak najliberalniéj urządziła, jak najłatwiéj i najprędzéj zdobyła dla siebie swobodę. Życzymy jéj tego, bośmy przekonani, że wtedy tylko swobodną być może, kiedy sprawiedliwą zostanie. Dopóki duch podboju i gnębienia obcych narodowości będzie geniuszem Rossyi, dopóty ona wolności nie dostąpi, dopóty trawić ją będzie zaraza wszelkiego

zepsucia. Zabory i podboje podżegają chciwość i okrucieństwo wykonawców woli samowładnéj : gdzie są zaborcy, muszą być i prokonsule. Tak było w Rzymie. Ale Rzym, choć pogański, oprócz Werresów, miał swych Cyceronów : Rossya, jak dotąd, nie zdobyła się na jednego nawet publicystę, coby równie kochał prawdę i moralność, jak interes polityczny swojego narodu, na jednego nawet męża stanu, coby zrozumiał, że powołaniem jest Rossyi nieść cywilizacyą azyatyckiemu barbarzyństwu, nie zaś azyatyckie barbarzyństwo zachodniéj i środkowéj Europie !...

Czy ten mąż stanu i publicysta sprawiedliwy, ten długo oczekiwany mściciel honoru Rossyi, nie zjawia się nareszcie w księciu Dołgorukowie? Przyznajmy, dwa razy, w ciągu dzieła, wyrwało się z jego piersi, szlachetne dla Polski uczucie. Po roku 1831, jak po każdéj nieszczęśliwéj wojnie naszéj, prowadzono jeńców polskich na Syberyą. « Cóż oni pomyśleli sobie, woła autor, gdy » przechodząc przez Moskwę, ujrzeli posągi Minina i Po- » żarskiego, tych dwóch bohaterów, których przezacna » pamięć nigdy w Rossyi nie zagaśnie. Wszak Minin i » Pożarski to tylko zrobili, co ci jeńcy nieszczęśliwi, » zelżeli, umęczeni, kajdanami obciążeni i na wygnanie » do końca życia skazani, spełnić zamierzali ! » W innym ustępie odzywa się autor. « Błąd Katarzyny powię- » kszył jéj wnuk Alexander, kiedy przyłączywszy do » Rossyi dzisiejsze Królestwo Polskie, przyczepił do nóg » jéj kulę, która niedozwalała nam pochodu na drodze » postępu i myśl naszę odwraca od Azyi, dokąd nas » woła istotne nasze przeznaczenie. Przyjąwszy rolę stró- » żów więziennych a z czasem i katów, musieliśmy » tém samém pozostać niewolnikami. » Takie są uczucia księcia Dołgorukowa dla Polski. Ale Rossyanin, powiedziano słusznie, umie być wspaniałomyślnym, sprawiedliwym być nie potrafi. U autora, jak u wielu jego kolegów z liberalnego obozu, Polska to Królestwo Kon-

gresowe ; wyrzuca on Katarzynie, że dopuściła się zupełnego podziału Polski, « kiedy powinna była ograniczyć » się na odebraniu prowincyj ruskich, to jest Wołynia, » Podola i Białorusi ! » — Nie tai on wszystkich zdrożności które plamią kościoł prawosławny ; popów ogłasza jako politycznych donosicieli ; co większa, wyznaje, że z obawy szpiegostwa dopuścił się sam świętokradzkiéj spowiedzi. Było to w Moskwie, za panowania Mikołaja : autor zapytany przez spowiednika : *czy kocha Cara*, odpowiedział że go kocha, i nie mógł inaczéj, jak sądzi, bo szczera spowiedź byłaby go znowu na długoletnie powiodła wygnanie ! Pomimo to, nie waha się twierdzić, że prawosławie, to jedyny, prawdziwy kościoł Chrystusowy ; i chociaż przytacza opowiadanie Hercena o bezprawiach dziernowieckich, (o których większa część zachodnich dzienników doniosła), unika przecież wzmianki o owych gwałtownych sumieniom polskim stale zadawanym, które rozpoczęła jeszcze Katarzyna a któremi wnuk jéj Mikołaj, przypomniał Europie rzymskich cesarzów prześladowania. Może i to także na uwagę, w tém miejscu, zasługuje, że książe Dołgorukow nie dotyka w swojém dziele zewnętrznéj polityki rossyjskiéj. Musiał wiedzieć przecież, że ta właśnie strona najżywiejby zajęła wszystkich europejskich czytelników, żywiéj jeszcze niż myśli jego o wewnętrznéj urządzeniu Rossyi. Z ciekawością czytamy liberalne rozprawy rossyjskie, lecz chcielibyśmy wiedzieć, jaką, ta Rossya liberalnie urządzona, przyjęłaby politykę względem obcych narodów ? Książe Dołgorukow powtarza to tylko, co tak dobrze *Nord* jak i *Kołokoł* głosiły : oświadcza się za przymierzem z Francyą, przeciw związkowi z Austryą, lecz na tém kończy swoje wyznania. To ostrożne milczenie równie jak co do polskiéj sprawy zachowane, uderzyło nas i dało do myślenia, że my Polacy, może nie więcéj od partyi liberalnéj jak od carskiego rządu spodziewać się winniśmy. Cesarz Mikołaj

rzekł w Warszawie do deputacyi miejskiéj, Zrobię Polaków szczęśliwymi, lecz niech się wprzód staną Rossyanami. » Może to samo wyrzekłby do nas liberalizm moskiewski. Kiedy jednemu z katolików rossyjskich wyrzucano, że w swych pismach dla Polski jest tak nieżyczliwym odpowiedział : « gdybym się okazał przyjaznym Polsce, niktby mnie z Rossyan nie czytał !... »

Cóżkolwiekbądz, praca księcia Dołgorukowa jest ważném i ciekawém, nietylko dla Rossyan, zjawiskiem; skreśla obecny stan cesarstwa i blizkie jego zapowiada zmiany. Zaraz téż po wyjściu téj książki, wezwała autora ambasada rossyjska w Paryżu i zapytała urzędownie: 1. Czy zgodzi się na cofnięcie swego dzieła; 2. Czy zeche opuścić Paryż; 3. Czy się zrzeka swojéj narodowości? Książe Dołgoruków na wszystkie te pytania odpowiedział *przecząco*, dodając na ostatnie, że w razie prześladowania, uciecze się pod opiekę innego narodu.

Dzieło *Prawda o Rossyi* wyjdzie wkrótce po rossyjsku, poczém autor ma zamiar, w francuzkim języku, ogłosić inne, odnoszące się do historyi Mikołaja. Dwa więc, jak widzimy, dzwony rossyjskie rozpoczynają bić na gwałt: jeden Hercena w Londynie, drugi Dołgorukowa w Paryżu. Któryż z nich stanie się głośnym dzwonem Iwana, któryż powoła Rossyan na wielką narodową uroczystość, na wiecowe zbory i dumy bojarskie?...

PAPIEŻ I POLSKA.

WSTĘP.

28 kwietnia.

Podniesiona pod koniec zeszłego roku, u stóp Apeninów i nad brzegami Sekwany, sprawa państwa kościelnego, ogarniając świat cały z nieporównaną szybkością i mocą, wstrząsnęła do głębi umysły wszystkich i wszystkich dążenia i skłonności, chociażby najskrytsze, na jaw wydobyła. Jakby przy świetle błyskawicy, każdy znalazł przed sobą odsłoniony horyzont przyszłości : lecz jedni z ufną radością, widzieli na nim drabinę Jakóbową, która ludy i narody do nieba wolności powiedzie; drudzy z przerażeniem ujrzeli Piotrową łódź, miotaną straszliwie wichrami i burzą. Oklaski jednych, drugich krzyk boleści, napełniły Europę, doszły do najdalszych krańców ziemi polskiej i dziś do nas spóźnionem powracają echem. Ale jak fala, im daléj bieży, tém słabsze, na wód źwierciedle, wydaje zmarszczenia, tak i owa sprawa wielka, co we Francyi a nawet w Niemczech, powszechny znalazła odgłos, co tylu biskupów, słynnych kaznodziei, mężów stanu i pisarzy najcelniejszych do walki

zbudziła, u nas zaledwo kilku poważniejszych zyskała szermierzy. Toczą się wprawdzie w dziennikach polskich urywkowe harce, niejeden z naszych niedorosłych politycznych korespondentów próbuje, w swoich artykułach, nie zawsze swojego dowcipu: szarpie, jak może, głośnych i niegłośnych obrońców Kościoła: ale studyów głębszych, opartych na znajomości historyi, organizacyi kościelnego społeczeństwa i stosunków internacyonalnych, ale sumiennego badania téj najważniejszéj w naszych czasach kwestyi, jak dotąd, bardzo mało w pismach polskich czytaliśmy. Niegdyś, bohaterowie Iliady, nim się na ostre spotkali, rzucali na siebie słowa obelżywe; dzisiaj, korespondenci niektórych dzienników, w téj walce potężnéj, jaką świat cywilizowany na polu idei prowadzi, przejęli, jakby od homerowych rycerzy, tylko żarty rubaszne i tylko obelgi!

A wszakże, z poważniejszych nawet artykułów, jakie się w nielicznych naszych pismach znajdują, nie łatwoby nam przyszło zdać sprawę. Z wyjątkiem jednéj, może dwóch polskich gazet, żadna zresztą, w kwestyi niepodległości papieża, nie zdaje się mieć ustalonego sądu. Redakcye milczą najczęściéj: za to każdy z współpracowników co innego wyraża, gdzieindziéj prowadzi, każdy zatém, w tym rozbiorze, osobnego wymagałby miejsca. Przyznajem, praca taka, i nad siły, i nad rozmiar naszego pisma; niemielibyśmy odwagi zajmować nią czytelników. A jeśli, pomimo poprzednio ogłoszone nasze zdanie, dzisiaj znowu do téj sprawy wrócić zamierzamy: powodem jest do tego broszura, którą niedawno otrzymaliśmy z Berlina, i o któréj sam autor wyznaje, że ją wywołał artykuł *Wiadomości.* Broszura ta, pod tytułem *Papież i Polska,* napisana z spokojem i miarą, jeśli nie w sądach to przynajmniéj w wyrażeniach zachowaną, oświadcza się przecież stanowczo przeciw władzy świeckiéj Naczelników Kościoła.

I

Trzy są punkta wejrzenia na władzę świecką papieżów, trzy wielkie interesa, których bezpośrednio dotyka: jéj wpływ na losy Italii, jéj stosunek do podnadych, jéj związek z Kościołem. Wszystkie te względy są ważne, domagają się koniecznego uznania i zaspokojenia: żadnego z nich, nietylko wyznawca powszechnego Kościoła ale każdy publicysta roztropny i sumienny, spuszczać z. uwagi nie powinien. Autor, choć nie szykuje w ten sposób swych sądów i dowodów chociaż w wykładzie swym nieraz się plącze i z jednych do drugich przeskakuje stosunków, to przecież o te wszystkie kardynalne pytania zaczepia i na wszystkie jednaką podaje odpowiedź: obalenie władzy świeckiéj, Szczupłe kolumny dziennika nie dadzą się, jak broszura, dowoli rozszerzyć: odwołując się przeto do tego, cośmy już poprzednio w téj sprawie powiedzieli, przestaniemy na podniesieniu głównych myśli naszego pisarza.

Samo utworzenie państwa papiezkiego było (jak autor opowiada) klęską dla Włochów. W ósmym wieku, Longobardowie, plemię wprawdzie germańskie ale już nauczone oceniać piękności włoskiego nieba, chcieli podbić cały półwysep. Na nieszczęście, papieże przyzwali Franków! I tak, gdyby nie obcych interwencya, jużby król Astolf, w ósmém stóleciu zrealizował był to, do czego dziś, z takim trudem, dążą królowie Piemontu. «Od dziesięciu wieków woła autor z boleścią, sprawa włoska byłaby roztrzygniona» a Italia, zamiast być polem krwawego spotkania dla świata mocarzy, byłaby ogrodem, gdzieby się zchodziły same tylko nimfy, pasterze i trubadury! — Dla czego autor tak się zakochał w Longobardach, czemu nie wspomina o innych ludach i lu-

dziach, którzy także dążyli do opanowania Rzymu i do połączenia półwyspu: począwszy od Wissigotow, Herulow i Ostrogotow aż do Hiszpanów, Francuzów i Austryaków, od Crescencyusza i Arnolda z Brescii aż do Mazziniego: nie jest nam wiadomo. To tylko pewna, że upadek Longobardow cięży mu jak kamień na sercu; nie może przebaczyć papieżom z ósmego wieku, że barbarzyńską przemocą zdusili młodą longobardzką ojczyznę! Heine powiada, że niemcy dziś jeszcze zrywają się do broni na Francyą, ilekroć sobie przypomną śmierć Konradyna księcia szwabskiego, — z roku 1268.

Cóżkolwiekbądź, odkąd upadło państwo Longobardów, nic już nie cieszy autora w historyi włoskiéj. Papieże potknąwszy się w ósmym wieku, już potém na dobrą drogę trafić nie umieli; i jak przed tysiącem lat, tak i późniéj, nieprzerwanie, ich władza świecka była przyczyną nieszczęść, niejedności, niewoli półwyspu. Tak autor powiada. — Gdyby to prawdą być miało, należałoby odrazu potępić królewskie dostojeństwo Naczelnika Kościoła. Rzecz jednak szczególna, że instytucya tak przeciwna najpierwszemu interesowi narodu, mogła się utrzymać przez dziesięć wieków! Jakto, Bóg w sprawiedliwości swojéj nieomylny, i który ją tak dobrze potężnym ludom jak najdrobniejszemu stworzeniu zarówno wymierza, miałżeby obojętnie spoglądać na niedolę dwustu czy trzystu pokoleń i dopiéro nad dzisiejszém ulitować się? Jakto, miałożby tylu wielkich mężów, tyle szlachetnych umysłów, przez czas tak długi państwo Kościelne tworząc i wspierając, tylko więzienie dla narodu budować? O nie, władza świecka papieżów nie była gwiazdą nieszczęścia dla Włochów, ani gwiazdą przewodnią dla obcych najezdzców! Źródłem klęsk Italii była jéj piękność ziemska i wielkość historyczna, blask jéj słońca i blask wspomnień dziejowych. «Cień rzymskich cezarów (wyrzekł autor jednéj z francuzkich broszur) przez dwadzieścia wieków, unosił się nad nią i przywabiał wszystkich, co się mniemali być dość silnymi, aby rządzić światem z nieśmiertelnego miasta... Stara purpura, sto razy rozdarta, sto razy Italią kirem żałobnym pokryła.» Lecz owe powodzie najezdzców, które tak często zalewały półwysep, prędko zawsze cofały się przed Piotrowym grodem, który Opatrzność za tron dla prawdy obrała. Z Rzymu to najczęściéj rozchodziło się po Włoszech hasło uwolnienia, i taż sama potęga, co Włochy po tylekroć od cudzych obroniła zaborów, taż sama, dziś jeszcze, stoi na przeszkodzie, — nie zjednoczeniu narodowemu, ale jednemu Włochów królestwu. Kiedyś będą ją zato wielbili, dzisiaj przeklinają!

Niemasz dla narodu, powiedziano to dawno, większéj niedoli, jak być rządzonym przez obcy naród. Prawo włoskiéj narodowości wobec Niemców jest stanowcze i niewątpliwe; póki więc Austrya zajmować będzie choćby cząstkę półwyspu, niemasz pokoju dla jego mieszkańców. Ale dzisiaj, podobno już nikt nie wątpi, że ów piękny program cesarza Napoleona — *Włochy wolne aż po Adryatyk* — może w nieodległéj przyszłości, zyska swą sankcyą i swe wykonanie. A naówczas, w oswobodzonéj ojczyznie, cóż żywić będzie to dzisiejsze ludów włoskich dążenie do jednéj wojskowéj monarchii; cóż przygłuszy te dawne a zawsze obecne tradycye ich autonomii? Wszak jedność narodową i bezpieczeństwo od cudzoziemców, znaleźliby Włosi, podobnie jak dziś znajdują Niemcy, Szwajcarzy i mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, w konfederacyi; co większa, znaleźliby wolność, któréj im przecież nie da, bo z nią nie mogłoby się utrzymać, zjednoczone włoskie królestwo. I wówczas, w oswobodzonéj ojczyznie, władza świecka papieżów, dziś tak namiętnie odpychana, może znowu, jak dawniéj wyda się Włochom nieodzownem sklepieniem politycznéj budowy, przezacną perłą w ich narodowéj koronie. Wówczas zrozumieją oni, że Opatrzność czyniąc

z ich kraju stolicę Chrześciaństwa, nie odjęła im przecież żadnéj z tych korzyści, które stanowią chwałę i szczęście narodów.

II

Opinia publiczna potępia dziś, można rzec, jednomyślnie, panujący system administracyjny w Rzymie. My nie będziemy go bronili, i nie połączymy głosu naszego z tymi, co jak p. Kulczycki, albo dwaj insi pisarze (1) rozumieją, że bezwzględną apologią rzymskiéj administracyi, przysłużą się sprawie Kościoła. Każdy naród ma prawo wymagać, nietylko żeby przez swoich był rządzony, ale żeby dobrze był rządzony. Jeżeli obecny zarząd księży nie odpowiada życzeniom mieszkańców, to nie mamy wcale powodu obstawać za nim, więcéj niż za innémi systemami, które w Państwie Kościelném były w przeszłości użyte. Nikt w polityce a tém mniéj w administracyi, nie przyzna sobie prawa do nieomylności; i nie ma formy rządu tak doskonałéj, któraby z czasem się nie zużyła, nie przerodziła się w nieznośną dla mieszkańców tyranią. — Ale sądzimy, że jak każdy inny monarcha, papież może przyznać swoim poddanym te wszystkie swobody i korzyści, które z dzisiejszą cywilzacyą są połączone, że powadze jego nie ubliża bynajmniéj rząd reprezentacyjny, administracya świecka, swoboda municypalna, wolność handlowa i i przemysłowa. I gdybyśmy dla poparcia téj opinii potrzebowali dowodów, toby nam ich dostarczył sam Papież dzisiejszy. Któż lepiéj od niego uczuł potrzebę

(1) *Polska i Włochy wobec Piusa IX*, przez Władysława Kulczyckiego; *Pius IX, król państwa kościelnego*; Gniezno, 1860; francuzki list polskiego szlachcica, o którym wiemy tylko z recenzyi *Dziennika poznańskiego*.

ulepszeń, kto więcéj zrobił, aby stare nadużycia wyplenić? « Byleby religia nie szwankowała, ja się od żadnych » reform politycznych nie usuwam » rzekł on do ministra, któremu powierzał restauracyą swojego państwa. Czyjaż wina, zapytamy, że te piękne zamiary i trudy szlachetne tak krwawym i przerażającym skończyły się zawodem?

Nie! Kościół w sprawach ludzkich nie odrzuca postępu, nie gardzi ulepszeniami; on jak matka miłująca, troszczy się o potrzeby swych dzieci, w każdym ich wieku; w swém sercu ich przeszłość i przyszłość ogarnia. — Kto przejeżdżał przez kraje południowe, temu może zdarzyło się widzieć wsie, w okolicach górzystych, zbudowane w dwa piętra. Połowa wsi na szczycie góry, połowa u jéj podnóża. Górne budynki skupione koło staréj świątyni, są oczewiście dawniejsze; kiedyś otaczał je mur z basztami, których dzisiaj ledwo widać ruiny. Gdy wycieczki feudalnych baronów i wojny domowe ustały, włościanie poczęli się oswajać z niziną; zrazu śmielsi tylko budowali tu swe domy, późniéj wszystka prawie ludność za nimi zstąpiła. Kościół pozostał na górze, z cmentarzem i z ubogimi: nie spieszył się, bo nie ufał czy złe czasy nie wrócą. Tymczasem w dole obudziła się czynność wielka, stanęły fabryki, rozpoczęło się nowe życie: i oto, obok nowych domów i fabryk, wzniosła się nowa świątynia. Nie zapomniano o dawnéj: gotycki gmach był odtąd celem pobożnych pielgrzymek, ale w kościołku na nizinie parafia. — Ta wioska i te dwie świątynie, obraz to Kościoła Rzymskiego i jego w sprawach ludzkich pochodu. *Patiens quia æternus*; z przeszłością nierozłącznie związany, o teraźniejszość troskliwy, przystępny każdéj szlachetnéj aspiracyi, nie odrazu on przecież nowe idee przyjmuje. Potrzeba mu czasu, zanim je uzna, zanim je wcieli do swéj nieśmiertelności; ale uznawszy, wszystkie swą opieką otacza, swoją modlitwą uświęca!...

Przejdźmy do stosunku władzy świeckiéj z Kościołem i rozpatrzmy się, i na tém polu, w pojęciach autora:

III

Papież wyrokami koncyliów wsparty, kilkuset biskupów, wielka liczba świeckiego duchowieństwa i zakonników, mówią głośno i w sposób niewątpliwy, że władza świecka Naczelnika Kościoła jest nieodzowną dla jego niepodległości. Nic to nie znaczy, woła nasz autor: oni wszyscy instytucyi Kościoła nie rozumieją; «puszczyki to nocne» co swą wrzawą, chcą świat, w dzień biały, ogłuszyć! — Po ludzku sądząc, możnaby się obawiać, że biskupi z całéj Europy, zazdrośni przewagi rzymskiego biskupa, przyklasną tym zamachom na jego królewski majestat: tymczasem, ciż sami właśnie biskupi odważnie biorą na siebie obronę Piotrowéj ojcowizny. Nic to nie szkodzi, upewnia autor: to tylko rzymscy prałaci, znani z swych matactw intryganci, w swym wpływie, dostatkach i sinekurach zagrożeni, chcą wmówić w dobrodusznych, że władza świecka jest atrybucyą papieżów, i w téj walce, jakoby o wiarę toczonéj, otrzymać pole dla siebie! — Cóż ważą wyroki soborów, bulle apostolskie, listy pasterskie, tysiące odezw i adresów, wobec Ojców Kościoła, przez autora cytowanych — Rankego protestanckiego historyka i księdza Michon, którego pisma oddawna potępione — i wobec adresu «rozsądnych» katolików we Francyi, który dwa główne organa «tego katolicyzmu» *le Nord* i *le Siècle*, niedawno ogłosiły? — I na takich opierając się powagach, autor rozumowanie swoje rozwija w sposób następujący: W czasach ciemnoty i barbarzyństwa ludów, być może że władza świecka była potrzebną papieżom; ale dzisiaj, tylko w duchowéj sile powinni

szukać swego bezpieczeństwa. *Królestwo moje nie jest z tego świata*, powiedział Chrystus: królestwo ziemskie papieżów nie obroniło też nigdy ani ich niepodległości, ani interesów katolickiego Kościoła. Nigdy z połączeniem tiary z koroną zbawiennych skutków oczekiwać nie można: Ojciec Święty zrzec się więc powinien, raz na zawsze, panowania świeckiego. A jeśli nie wystarczy mu Watykan z ogrodem, niech się i biskupstwa rzymskiego wyrzecze: niech jedzie do Jerozolimy. Tam to on dopiéro, jak nas autor wraz z ks. Michon, uroczyście zapewniają, będzie spokojny, szanowany, bezpieczny i niepodległy; tam zrestauruje swoje finanse, ze składek stu pięćdziesięciu milionów katolików! Wreszcie, autor nie roztrzyga ostatecznie o losach papiectwa; dodać wypada, nie troszczy się o nie zbytecznie. Bo choćby papież, ani w Rzymie przez obcych rządzonym, ani w Jerozolimie, pod opieką tureckiego baszy, pozostać niechciał, i bezpieczniejszego, bez władzy świeckiéj, żądał dla siebie miejsca pobytu, to i takie, zaręcza autor, mogłoby się znaleźć. Gdzie i jak — tego nie powiada, «bo to nie do niego należy,» ale ufa, że trudności nie będzie i że to wszystko jakoś się ułoży!...

Taki jest pochód myśli naszego pisarza, i nic dziwnego, że taka konkluzya! Nie my zaprzeczymy słowom, które autor cytuje, że Kościół, to jest Królestwo Chrystusowe, nie z tego świata czerpie swoje siły: przypomnimy tylko, że przecież *na tym* żyje on świecie, ziemskim, nie nadziemskim służy mieszkańcom. Nie jest to rząd duchów, i nie przez duchów on sprawowany. Zapewne, gdyby cudownem zrządzeniem Opatrzności, papież jak Anioł-Stróż ziemskiego globu, wciąż się nad nim unosił w obłokach, i tylko od czasu do czasu zstępował, aby zepsuty naprawić porządek, mógłby on wówczas obejść się bez ziemskiéj dzierżawy i praw monarszych odstąpić. Albo, gdyby każdy z sług Kościoła, nieprzerwanym po wszystkie wieki szeregiem, zdolny był dać życie

w obronie swego obowiązku, mogłoby to nie ustające męczeństwo zapewnić wolność i niezawisły rząd Kościoła. Ale kto cudu z każdym dniem nie wygląda, kto nie skory życzyć bliźnim prześladowania i katuszy, niechże ten nie wydziera Naczelnikowi wiary owéj cząstki ziemi i owego miasta, które Kościoła są własnością, i mimo ludzkie zabiegi i zmiany, nie przestaną do niego należyć.

Bez władzy świeckiéj, — mówi autor, — umieli w pierwszych wiekach papieże i swą niepodległość obronić, i rząd kościoła sprawować, i chrześciaństwo w trzech częściach świata rozkrzewić; czyjaż wina, jeśli Kościół dzisiejszy nie ma téj, co dawniéj, wiary, czystości i świętości?... Dziecko czystsze być może, odpowiemy, i niewinniejsze od męża dojrzałego; azaliż nam dlatego wracać do lat dziecinnych? Ci, co Kościół dzisiejszy skazują na los pierwotnego chrześciaństwa, czy wiedzą jak słabą była wówczas władza duchowna papieżów, jaka niezawisłość i samowolność patryarchów, jak częstemi herezye i odszczepieństwa? Pierwotne dzieje Kościoła, to dzisiejsze życie Chrześcian w Chinach i Kochinchinie, gdyby do tortur tamtejszych misyonarzy, jednę jeszcze, sroższą nad wszystkie dodano: brak wszelkiéj wieści o Europie, wszelkiego związku z stolicą wiary!

Władza świecka — zarzuca autor — zmusza papieża do dyplomacyi, do zależności, do ciągłych ustępstw ziemskim mocarzom: wszak gdyby papieżów nie wstrzymywała trwoga o ich państwo, czyżby nie upomnieli się donośniéj o krzywdy katolików w Polsce? — Autor snać zapomina, że inna rzecz jest niezależność, a inna niepodległość. Czyż Francya albo Anglia, mimo sił olbrzymich, któremi mogą rozrządzać, nie potrzebują, nietylko swych życzeń ale najsłuszniejszych nawet interesów, miarkować wedle czasu, okoliczności, wewnętrznych i zewnętrznych stosunków? Azaliż przez to pozbawiają się swéj niepodległości! Zdawałoby się, że owe codzienne skargi na opór niezłomny Ojca Ś., na tę zaciętość, z jaką stoi przy swoich prawach, mimo gróźb nieustannych i gromów niechybnych, powinnyby nareszcie posłużyć za odpowiedź tym, co o brak samodzielności i zbyteczną uległość posądzają papieżów. Lat temu ośmnaście, wśród głębokiéj ciszy, rzecby można, ogólnego rozproszenia sił w Europie, kiedy wszystkie, pierwszego rzędu, mocarstwa o przyjaźń z Rossyą skwapliwie się ubiegały, jeden tylko papież, jak wiadomo, nie uląkł się jéj niechęci, i przed Bogiem i ludźmi zaskarżył mocarza promieniejącego chwałą ciągłych powodzeń i potęgi prawie nadziemskiéj. I gdy późniéj, tegoż samego papieża błagało kilku Polaków, aby otwarcie przed światem powiedział, co myśli o tym rządzie: «Mnieby to nic nie kosztowało, odrzecze; mnie, jako władzcy świeckiemu, Rossya w niczém zaszkodzić nie zdoła. Ale cóż się z wami stanie, zapytał, czy wytrzymacie prześladowania; czy długo ostoicie się, jeśli biskupów waszych powiozą na Sybir; czy męczeństwo was wzmocni albo też obali?...» Takie pytania stawiał Grzegorz XVI w ostatnich latach swojego rządu; takie, w pierwszych, powtórzył później Pius IX...

Ale zgódźmy się na niepodobieństwo; przypuśćmy że jakiś monarcha świecki Rzym opanuje, a papież, jak to nam obiecują, zostanie, mimo to, wolny, niepodległy, z pełną władzą rzymskiego biskupa i Chrystusowego namiestnika. Wyznajemy szczerze, że nam niepodobna uwierzyć, aby to marzenie kiedykolwiek ziściło się, bo niepodobna zrozumieć, jakby dwie władze najwyższe, od siebie niezależne, ostać się mogły w jedném mieście czy w jedném państwie, z zupełną obu stron swobodą? Nie zbijamy też, ale i nie przyjmujemy téj hypotezy: pragniemy tylko rozwinąć jéj następstwa. Czy przeciwnicy nasi zdali sobie sprawę, w jakąby to wówczas potęgę urosło od razu papieztwo, ta naj-

wyższa władza sumienia ludzkiego, rządząca sercem i umysłem narodów, a zresztą, chociaż w obcym osadzona kraju, nikomu nie uległa, od wszystkich związków i stosunków, materyalnych czy politycznych, miejscowych czy zamiejscowych, całkiem niezależna? Takiéj przewagi teokratycznéj, takiego wyniesienia się ponad człowieczeństwo, dzieje nie wskazują przykładu. Jako świeccy książęta, byli dotąd papieże związani prawem narodów, i musieli okazywać konieczną względność dla ziemskich interesów i potrzeb politycznych. Lecz oderwani od świata, z całą swobodą, ale i z całym rygorem i bezwzględnością, prawo swoje wypełniając, zagłuszyliby a w końcu pochłonęli wszystkie władze państwa: polityczne, administracyjne a nawet sądowe. Bo cóżby znaczył naczelnik narodu, *rządca polityczny* z władzą ograniczoną i sferą działania ściśle wytkniętą, wobec Naczelnika Kościoła, *rządcy dusz i sumienia*, którego powaga niezmienna i nieograniczona, tak wysoko, nad ludzi i ludzkie sądy wzniesiona? I któryżby rząd, zapytamy, cierpiał dobrowolnie podobne uciemiężenie; któryżby nie chciał, ubezpieczyć się przed niém, przepisami praw, kontrolą administracyi, w końcu plutonem żandarmeryi? A wówczas, jak uniknąć zatargów niebezpiecznych i wojny domowéj, jak uchronić się przed rozbiciem państwa albo przed niewolą Kościoła?...

IV

Wyznajmy prawdę: pozbawić papieża świeckiéj władzy, jedno jest, co go z Rzymu wypędzić, jedno, co w Kościele zasiać rozdwojenie, w Europie narodowe schyzmy, podwójne a nawet potrójne wywołać papieżów wybory, w końcu dać hasło światu całemu do krwawych wstrząśnień i nad wszystko strasznieiszéj wojny religijnéj! A

komu ten obraz zdałby się przesadzony, ten szereg nieszczęść wcale nieprawdopodobny, niech rzuci okiem w przeszłość, niech się rozczyta w historyi dawniejszych na papiestwo napadów. Klęski i boleści, jakie dziś grożą Kościołowi, wszystkie on powielekroć już wycierpiał. Nic w nich nowego: lat siedmdziesiąt trwała w Avignonie jego niewola, i czasy te słusznie niewolą babilońską się zowią. Smutnych to wspomnień epoka, dnie kary Bożéj i żałoby świata, czasy zepsucia, zgorszenia, moralnego zgrubienia ludzkości! I czyż to ich powrotu autor nam życzy, czy taki horoskop stawia naszemu stuleciu? Bynajmniéj! On z radością wita jutrzenkę nadziei, on « trudności istotnych » nie spostrzega, ufa, że to wszystko j a k o ś s i ę u ł o ż y!

J a k o ś s i ę u ł o ż y i j a k o ś t o b ę d z i e! O, za tą słowo, od wieków u nas powtarzane, krwawemi łzami płaczemy od wieków. *Jakoś to będzie*: to przecież nasz zwykły program polityczny, to nieuniknione rozwiązanie każdéj u nas sprawy, gotowa odpowiedź większéj części naszych polityków, to zdawkowa moneta, którą nasze długi Ojczyźnie spłacamy. Kiedy bez wojsk i fortec, bez skarbu i zapasów, stała otworem nasza Rzeczpospolita, nic to nie szkodzi, mówiono, naród w potrzebie zerwie się do broni i — *jakoś to będzie!* Kiedy bez władzy był tron, bez odpowiedzialności ministrowie, bez trybu obmyślonego narady sejmowe, kiedy lada spór dwóch możnych trząsł całém państwem i zbezwładniał jego organa, nic to nie szkodzi, powtarzano, w potrzebie wszystko się ułoży i — *jakoś to będzie!* A kiedy nie obroniło nas « *equilibrium* » Europy i Ojczyznę do grobu zamknięto, nic to nie szkodzi, może i wówczas nie jeden z cicha powtarzał: żyć trzeba, chociaż pod obcym rządem; przyjdą Francuzi i — j a k o ś t o b ę d z i e! I z tą samą nieprzezornością polityczną, z którąśmy siły nasze i Ojczyznę roztrwonili, dzisiaj przynosim rady Naczelnikowi Kościoła. Ojcze Święty, mówimy

doń, zrzecz się twéj władzy monarszéj, ustąp jeśli potrzeba z Rzymu, przenieś się do schyzmatyków i do muzułmanów, a *choćby to miało być ciosem dla samego Kościoła*, wszystko się zgodnie ułoży i — jakoś to będzie!

Bądźmy ostrożni! Nie o Kościół tu idzie, ale o nas samych. On z téj walki wyjdzie zwycięzko, bo go broni nieomylne przyrzeczenie : on się nie zachwieje! Ale nam, któż przyrzekł, że pośród nas wiara nie dozna uszczerbku? Mówią w Rzymie Moskale, że tylko przez politykę jesteśmy katolikami!... Żaden naród, jako naród, nie ma téj absolutnéj pewności, że się ostoi mimo burz i gromów, że nie zginie wśród walki, albo nawet bez walki. Historya nie mało, w tym rodzaju, straszliwych dostarcza przykładów. Czyż więc roztropność sama i własny interes nie powinnyby upomnieć o zachowanie ścisłego z Kościołem związku? On jeden nie umiera : trwanie przy nim, jest już rękojmią politycznéj trwałości! A przechodząc z téj ogólnéj, bezwzględnéj i niezmiennéj zasady, do jéj bezpośredniego zastosowania i chwilowego objawu, powiemy w końcu, żeby to było osobliwszą z naszéj strony polityką, dla włoskiéj jedności, któréj ani pomódz, ani zaszkodzić nie możemy, naszę własną chcieć poświęcać! Niedawno temu, jeden z parów Anglii, protestant i doświadczony mąż stanu, wyrzucał rządowi swojemu, że lekceważąc papieża, nierostropnie i niesprawiedliwie, drażni trzecią część poddanych korony angielskiéj. Choć dzienniki nie doniosły, wiadomo to przecież, jak skwapliwie lud nasz w Wielkopolsce podpisuje odezwy do Ojca Świętego, z jakiém wylaniem grosz krwawo zapracowany, przynosi dla niego w ofierze. Jeżli ministrom W. Brytanii wzięto za złe, że nie uszanowali przekonań Irlandczyków, cóż o nas powiedzieć, gdybyśmy dobrowolnie, lekkiémi sądy, najzacniejszy lud nasz zrazili! Gdzie szukać siły, coby wynagrodziła straconą ufność włościan wielkopolskich?...

W kilka lat po upadku republiki rzymskiéj, jéj trybun Mazzini, przechwalał się naiwnie, że gdyby nie Cesarz Francuzów, ludzkość przez niego byłaby już zbawioną. « Za obaleniem władzy świeckiéj — oto jego » słowa — pójść musiało *nieuchronnie*, w opinii wszyst» kich, którzy tajemnicę papieztwa rozumieją, oswobo» dzenie rodu ludzkiego z władzy duchownéj. » My nie zrobimy autorowi naszemu krzywdy, iżbyśmy go z Mazzinim porównywać mieli. Choć z majestatu królewskiego chce odrzeć papieżów, chociaż nie wstrzymują go *ciosy, które przez to by spadły na sam Kościół*, pierś jego przecież nie oddycha nienawiścią do Kościoła, usta nie zioną złorzeczeń. Poczciwa krew polska bije w jego sercu i odzywa się niedogasłą tradycyą czci dla Stolicy Apostolskiéj. Nigdy też nie wymknie mu się o papieżu słowo nieuważne, nigdy pióro jego nie puści się na swywolne żarty. Dodamy i to, że choć odpowiedzią swoją zmusił nas do wyrzeczenia sądu o jego pracy, i do bezwzględnego odepchnięcia niektórych jego zdań i cytacyj, nie możemy przecież być zupełnie obojętni na sposób, którym on walczy z swymi przeciwnikami. Poszanowanie własnego pióra, w dzisiejszych publikacyach polskich, zaprawdę, nie codzienne to zjawisko!

PAN HERCEN O POLSCE.

5 maja.

Londyńskie publikacye p. Hercena, chociaż w społeczeństwie rossyjskiem straciły już nieco z swego powabu nowości, choć w sferach rządowych przyzwyczajono się może do ciągłych jego zaskarżeń i gromów, wywierają jednak do dziś dnia wpływ niezaprzeczony. W tysiącach egzemplarzy przeciskają się one do kraju; sam cesarz jest ich pierwszym czytelnikiem, a każdy Rossyanin, skoro granicę przejedzie, skwapliwie po księgarniach dowiaduje się o *Kołokoł* i chętnie tym nieraz gorzkim żywi się pokarmem. Dziennik p. Hercena jest wolną i potężną trybuną rossyjską, sam zaś redaktor, jeśli nie naczelnikiem, to przynajmniej wyobrazicielem stronnictwa, które w Rossyi może liczniejszych ma adeptów, niż to zazwyczaj przypuszczają na Zachodzie, i które oblegając warownią rossyjskiego despotyzmu, w swéj walce, wszelkiego rodzaju dział i środków burzących używa. Wszystko więc, cokolwiek z pod pióra p. Hercena wychodzi, zasługuje na uwagę Polaków. Ale powtarzając z rossyjskiego *Kołokołu* wiele faktów i uwag, wstrzymywaliśmy się od dyskusyi z wsławionym pu-

blicystą. Przestrzeń, jaka dzieliła nasze wyobrażenia polityczne, społeczne i religijne, nie zdawała nam się podobną do przebycia, i przyznajem, żeśmy nie widzieli żadnéj możności zrozumienia się i pogodzenia. Snać tego samego zdania był i pisarz rossyjski, bo nigdy się do nas wprost nie odzywał, ale uważając, że inne pisma polskie bardziéj, w pojęciach, do niego były zbliżone, z niemi powielekroć wchodził w przyjacielską rozmowę.

Jedno z tych pism ogłosiło przed kilkoma miesiącami uwagi swoje o stosunku partyi liberalnéj rossyjskiéj do sprawy polskiéj, i na nie to p. Hercen odpowiada w dwóch listach, ogłoszonych w *Kołokole* z d. 15 marca i 1 kwietnia. Nie chcemy bynajmniéj przyłączać się do sporu, pragniemy tylko być jego sprawodawcami, a wydobywszy myśl p. Hercena z powodzi słów, porównań i zastosowań, w których głęboko jest zanurzoną, sumienie polskiego czytelnika uczynimy sędzią. — Pismo polskie oświadczyło się przeciw dążności panslawistycznéj; odrzuca wszechsłowiaństwo, któregoby przewodniczką i mistrzynią miała być Rossya; żąda uznania samoistności Polski, jak ją wieki utworzyły, i doradza aby Rossya wyswobodziła się i urządziła w swéj własnéj narodowości, aby przyjęła i wykonywała cywilizacyjne swoje w Azyi posłannictwo. Na takich zasadach opartą przyjmuje zgodę, dłoń ku podanéj dłoni rossyjskiéj wyciąga, i woła: *najprzód rozkójmy się!* Odpowiadając na to wezwanie p. Hercen, w pierwszym swoim liście oświadcza; « że nie upatruje istotnéj sprzeczności między swojém » przekonaniem a widokami autora artykułu, gdyż jak » z jednéj strony, pismo polskie w odległéj przyszłości » przypuszcza możliwość słowiańskiéj federacyi, tak » on z drugiéj, nie raz, lecz dziesięć razy, wyraził, że » Polska ma niezaprzeczone prawo do bytu politycznego, » niezależnego od Rossyi, i że przymusowe połączenie » Rossyi z Polską jest srogiém nieszczęściem, plagą dla » stron obydwu. Być skuty gwałtem, dodaje pisarz ros-

» syjski, to nie znaczy żyć w połączeniu! Despotyzm » niemiecko-tatarski, który ma za stolicę Petersburg, » nie wyczerpał, ale owszem podsycił nienawiść pomię- » dzy obydwoma narodami. Tylko czas zaciera pamięć » wyrządzonéj krzywdy, ale krzywda, która trwa ciągle, » zasilać musi i podniecać wciąż wzajemną nienawiść.»

Wyrazy te i my chętnie przyjmujemy, i zapisujemy w pamięci, jako głos obudzającego się sumienia rossyjskiego. Do czego jednak to uznanie praw naszych ma nas doprowadzić, i w jakim celu skłonił się do niego, niżéj zobaczemy. Przyznając on Polsce prawo do samoistnego bytu, namawia ją, zachęca do dobrowolnego związku z Rossyą, ale nie z dzisiejszą, uległą despotyzmowi niemiecko-carskiemu, tylko z Rossyą wyswobodzoną, całą moc własnego ducha odzyskującą i spełniającą swoje powołanie w ludzkości. Pismo polskie okazywało się skłonniejszém do związku Polski z zachodnią Słowiańszczyzną; Hercen mniema że w Słowiańszczyznie, nawet zachodniéj, większy jest popęd ku Rossyi niż ku Polsce. Katolicyzm i szlachectwo polskie są siłami odpychającemi inne plemiona, i przeszkadzającemi połączeniu się ich w jednę federacyjną całość. W prawdzie, *autor artykułu polskiego zapewnia* rossyjskiego pisarza «że on nie zna charakteru » młodéj Polski i dlatego mówi o katolicyzmie i szlache- » ctwie!... Z ochotą chcę panu wierzyć, odzywa się » Hercen, że młode pokolenie Polaków *zaczyna się le-* » *czyć* z téj zastarzałéj sukcesyjnéj pedogry, a to tém » chętniéj, że mam *przed oczyma* tego rodzaju przykłady. » Ale nie zaprzeczysz mi pan, sądzę, że katolicyzm i ary- » stokracya są jeszcze głównémi żywiołami dzisiejszéj » Polski. Nietolerancya religijna dowodzi płytkiéj ra- » chuby rządu rossyjskiego; ona to dokazała cudu, bo » zamieniła religią *zestarzałą* w Polsce na opozycyą re- » wolucyjną.»

Że p. Hercen uważa katolicyzm jako dziedziczną chorobę, z któréj Polacy byliby się uleczyli, gdyby nie była nabrała politycznego charakteru; że uznając prawo Polski do życia narodowego, chciałby aby się wyznała z najsilniejszego i najwłaściwszego sobie pierwiastku, nie dziwi nas wcale: bo pamiętamy jak pogardliwém okiem zwykł on spoglądać na religijne zadania, i czytaliśmy nieraz szczere jego wyznanie «że kwestye religijne » wcale go nie obchodzą.» «Dla mnie religia — mówi » on — jest tylko wykładnikiem, charakterystyką, fi- » zyologiczném nagięciem narodowego ducha, i dlatego » nie należy o niéj zapominać.» — Do jakiego przekonania, w okręgu duchowéj natury, doszedł dzisiejszy reformator rossyjski, widzimy z tych kilku wyrazów. Przekonaniem tém jest zwątpienie, a raczéj zupełne zaprzeczenie. Zobaczmy teraz jaka jest jego wiara polityczna. Skład dzisiejszy społeczeńswa europejskiego obudza w nim tylko pogardę i śmiech szyderczy na usta sprowadza: wielkość, chwała Rossyi odrodzonéj nie są przedmiotem jego marzeń i życzeń. «Ja jestem jeszcze mniéj patryotą niż liberalistą,» woła on z podniesioném czołem. Jeżeli więc nie jest ani wyznawcą żadnéj wiary religijnéj, ani stronnikiem żadnéj formy rządu, choćby najobszerniejsze swobody zapewniającéj, ani obrońcą własnéj narodowości, ani miłośnikiem chwały i potęgi ojczyzny: czémże będzie ten umysłowy wojownik rossyjski, ku któremu zwraca się myślą wielu rodaków, którego głosu słuchać nawykają, który stał się dzisiaj politycznym nauczycielem Rossyi? Oto, naczelnikiem pionierów, przygotowujących podkop, zakładających minę, gotowych do jéj zapalenia, aby w powietrze wysadzić ową warownią samowładztwa, o któréj wyżéj wspomnieliśmy! Nie my będziem przeczyli, że cytadella grożąca śmiercią i zagładą, przerażająca nawet najspokojniejszych mieszkańców, zniesioną być powinna; lecz wiedzieć byśmy chcieli jaka na jéj miejscu się wzniesie budowa, i jakie przeznaczenie otrzyma grunt,

który zajmowała. Przewidując to pytanie, wyszedł naprzeciw niemu autor, i opisawszy przesilenie wewnętrzne, przez jakie przeszły rossyjskie dusze, dodaje: «Zapewne że to nie wszystko; wszakże jutrzenka lep-» szego losu już w przyszłości prześwitać zaczyna. A je-» żeli Prudona, który wziął za godło *destruam et ædifi-» cabo,* zapytał pewien jego znajomy *quomodo ædificabis,*» — to i on Prudon północny przyznaje prawo do tego zapytania, i gotów na nie odpowiedzieć. W drugim liście miała się znaleść ta odpowiedź; oczekiwaliśmy go więc z natężoną lecz z nieufną ciekawością, i przyznajem, że nas nie zawiodła. Rossyjski jak francuzki Prudon jest burzycielem, budowniczym nie jest.

Już w pierwszym liście głosił p. Hercen «że to wielkie » szczęście, iż cesarstwo rossyjskie pozostało państwem » bezkształtném, że nie znalazło jeszcze społecznego ło-» żyska, że łatwo może zerwać z przeszłością, nie mając » powodu troszczenia się o nią; że przeto jest krajem » najzdolniejszym do przyjęcia i rozwinięcia socyalizmu.» Socyalizm jest tedy, nie powiemy wiarą, bo p. Hercen w nic nie wierzy, ale nauką polityczną, którą ogłasza; jest podług niego koniecznym wynikiem i następstwem epoki obecnéj. Choć powszechne to mniemanie że zabity, że pogrzebany, on zmartwychwstanie, a trąba powołująca go do życia, nie gdzieindziéj się odezwie jak w Rossyi. Co więcéj, już się odezwała; już zagrzmiała nieznanym na Zachodzie głosem, gdy rząd, szlachta, radząc o sprawie włościańskiej, zgodzili się, że bez gruntu nie można usamowolnić rossyjskiego włościanina, a przeto uznali bezwarunkowo jego prawo do gruntu. To uznane prawo do ziemi, ma być podstawą nowego socyalizmu północnego, daleko wyższego, doskonalszego niż zachodni, ktory tylko występował z prawem do pracy, nie mogącém w praktyce znaleźć zaspokojenia. P. Hercen nazywa socyalizm «żywym syllogizmem» ludzkości. «Syllogizm ten, logiczny wywód i ostatnie słowo

» zadań społecznych na Zachodzie, u nas w Rossyi » (mówi autor) przedstawia się od razu jako naturalna » konieczność. Jak człowiek, skoro na świat przychodzi, » znajduje gotowe swoje własne jestestwo, tak i my, » bez trudu i bez szukania, znaleźliśmy odrazu wspól-» ność i prawo do gruntu, od pierwszéj chwili kiedyśmy » się w życiu spostrzegli i nad niém zaczęli się zastana-» wiać.» — Tak mówi p. Hercen. Z trudnością przyszłoby nam zdać sobie sprawę, w jaki sposób umysł tak bystry, mógł popaść w takie pojęć zamieszanie, gdyby się nie nasuwał domysł, że ten obłąd jego jest może dobrowolny. Usamowolnienie włościan a nawet przyznanie im możności i wszelkich ułatwień do nabycia gruntu, wywołują w Rossyi wszystkie oświeceńsze umysły, wywołali naprzód nie Rossyanie, ale nasi własni rodacy. Ale jest wielka różnica między socyalistyczném przyznaniem prawa do gruntu, które p. Hercen ogłasza, a roztropném przyzwoleniem na wykup ziemi, która ma być jedną z zasad przyjętych w obecnéj sprawie włościańskiéj. Pierwsze jest zupełném zniszczeniem praw własności, drugie jest ich uświęceniem. Wykupuje grunt ten tylko, który ma za co; zyskuje prawo do niego wtedy tylko, kiedy go wykupi. P. Hercen szczyci się głoszoném przez siebie prawem do gruntu, jakoby nowém odkryciem, jakby prawdą społeczną, z głębi barbarzyństwa rossyjskiego dopiéro teraz na jaw wydobytą, i zapomina, możnaby rzec, umyślnie, że idea ta od wieków znana i od wieków osądzona. Wiadomo przecież, że jeszcze za czasów rzymskiéj rzeczypospolitéj, wnoszono nieraz podobne prawo, *lex agraria* zwane, wiadomo także jaki los spotkał tę uchwałę i tych co ją wnosili i popierali!...

«Jutrzenka lepszego losu, woła p. Hercen, zaczyna » świtać w przyszłości.» Jakiż to dzień ta jutrzenka zwiastuje? Na to pytanie, pisarz rossyjski w tych słowach odpowiada. «Proszę pomyśleć co nastąpi wów-

» czas, kiedy ludność, szóstą część kuli ziemskiéj » zamieszkująca, z turańskich i czudzkich plemion po- » wstała, z kajdan niemieckich wyzwolona, żadną tra- » dycyą, żadnem dziedzictwem nieobciążona a pełna » dążeń socyalistycznych, porozumie się z zachodnim » proletaryatem, zachodnią ludnością robotniczą, i spo- » strzeże że jedni jak drudzy stanąć powinni w tych » samych praw obronie? Któż przewidzieć i ogarnąć » zdoła całe widowisko, jakie ów dzień fatalny sprowa- » dzi? W każdym razie, nie ulega wątpliwości, że owego » dnia krew potokami popłynie!...» I to jest odpowiedź, którą autor załatwia pytanie: *quomodo ædificabit*, w pierwszym liście postawione. Porozumienie się turańsko-czudzkich plemion, w prawo do gruntu uzbrojonych, z zachodnim proletaryatem; przewrot istniejącego socyalnego porządku; potoki krwi i powszechne zamieszanie, oto jutrzenka, która wedle autora w przyszłości przyświeca, oto dzień wyzwolenia Polski!...

Wyznajem z żalem: oświadczenia życzliwe p. Hercena, uznające prawo Polski do samoistnego bytu, któreśmy w pamięci zapisać przyrzekli, tracą obecnie wiele na swéj moralnéj wartości, tracą niemal wszystko z swego politycznego znaczenia. Wystąpił z niemi pisarz, nie jako Rossyanin, lecz jako obywatel wszechświata. Uznaje on prawa nasze, bo je mało ceni: dla niego narodowości nie wiele znaczą, bo on myślą ludzkość ogarnia. Wolność i swobody narodów, nie wystarczają mu, bo on nie jest liberalistą; o potęgę i chwałę swéj ojczyzny mało dba, bo nie jest patryotą. Jeżeli zaś głos jego znajduje echo w Rossyi, jeżeli nauka jego ma się tam przyjąć i rozkrzewić, powinna być Europa ostrzeżoną, jaki to nowy napad barbarzyńców jéj grozi, tém niebezpieczniejszy i sroższy że przewodniczyłaby mu chorągiew z kłamliwemi godłami postępu i filantropii. A dla czego takiemi wyobrażeniami przejęty, publicysta rossyjski, ku wspólnemu sojuszowi wyciąga rękę ku Polsce, do-

wiadujemy się z następujących słów. «Przed tą straszną » walką mybyśmy chcieli, aby Słowianie przyjacielską » sobie podali rękę, aby weszli w sojusz braterski nie » dlatego aby Rossyi pomagać (Rossya *fara da se*), ani » dlatego, aby z niéj stworzyć jakieś potworne imperium » (nic niedorzeczniejszego jak te olbrzymie państwa, » które dźwigać nie mogą własnego ciężaru), ale dlate- » go, aby inni Słowianie nie zostali po stronie przeszło- » ści, nie stali się teatrem krwawych walk, mordów i » pożogi!»

«Może Polacy, mówi wreszcie p. Hercen, istotnie » więcéj należą do starego zachodniego świata, i zechcą » z rycerskiém poświęceniem dzielić jego losy ostatnie, » to jest wylać za niego krew własną jak Poniatowski, » i być jak ten sam Poniatowski, w pieśni Beranżera, » świadkiem rozdzierającego duszę widowiska, że Zachód » nie chce podać ręki tonącemu za niego bohaterowi. » Niech się stanie w tém ich wola!» — Dzięki p. Hercenowi za to przypuszczenie; spodziewamy się, że nie jest bezzasadne. Jeżeli burza, jaką wróży, ma zawyć od północy, jeżeli świat ma ujrzeć «*obrzydliwość spustoszenia*» przepowiedzianą przez proroka rossyjskiego, Polska nie wyrzecze się przykładu, jaki jéj bohatér Elstry zostawił. Ona stanie znów jako przednia straż wiary, cywilizacyi, zasad towarzyskich i prawdziwego postępu, a gdyby pokonaną być miała, nieskażoną cnotę i honor znowu odda w ręce Boga! Chętniéj złączy się z zwyciężonymi, niżli z zwycięzcami, którzyby jak nowy Attyla w dziejach ludzkości, otrzymali nazwę *Bicza Bożego*.

DUCHOWIEŃSTWO NA LITWIE.

12 maja.

Odbieramy następujący list z głębi Litwy:

«Po słynnéj dziernowieckiéj wyprawie senatora Szczerbinina, cesarz Alexander wyczytawszy z jego raportu, że dwaj zakonnicy z zabiałskiego klasztoru, poważyli się do obrządków kościelnych przypuszczać włościan z sąsiedniéj parafii, napisał na marginesie te słowa: «*postąpić z nimi z całą surowością praw.*» Rossyjskie prawa wkrótce przypomniał minister Łanskoj, wezwawszy, reskryptem z d. 12 listopada 1858, wszystkich księży tak świeckich jak zakonnych, do zobowiązania się na piśmie, że nikomu posługi duchowéj nie udzielą, kto nie należy do ich parafii albo niema przy sobie dowodów, że wistocie do łacińskiego obrządku jest zaliczony. Wypadek ten przekonał wszystkich, którzy pokładali jeszcze nadzieję w łaskawość i umiarkowanie cesarza, że mimo reform zamierzonych lub rozgłoszonych w różnych oddziałach służby publicznéj, rząd rossyjski w sprawach Kościoła katolickiego tak dobrze jak w sprawie narodowości pol-

skiéj, nie odstąpił i nie odstąpi od dawnego systemu Katarzyny i Mikołaja. Ale na nieszczęście przekonano się także, że i duchowieństwo nasze nie odstąpiło od swéj dawnéj a tak bolesnéj uległości, i że, podobnie jak to bywało za najgroźniejszych czasów Katarzyny i Mikołaja, nie jeden ukaz lub reskrypt ministeryalny, choćby bezpośrednio Kościoła dotyczył i z prawami jego się nie zgadzał, gotowe jest ono przyjąć bez oporu, nieraz bez wahania, z uprzedzającém rzecby można posłuszeństwem. Nie zmienił się system rządowy, ale i nie odmieniło się duchowieństwo. Fakta, którebym w téj mierze mógł stawić na poparcie, znane są wszystkim i tak powszednie i powszechne, że prawie już nikogo nie uderzają. A wszakże, wobec budzącéj się ostatniemi czasy energii, z jaką obywatele, w innych prowincyach, praw swoich bronią i dochodzą, i wobec niebezpieczeństw, które naszym zwłaszcza prowincyom coraz straszliwiéj zagrażają, rozumiem, że nie byłoby odrzeczy, gdybyśmy i w tę stronę zwrócili pilniejszą uwagę, i zapytali własne sumienie co czynić wolno i należy, a co się nie godzi?...

» Potrzebowałbym długiego szeregu listów, aby przypomnieć wszystkie ustąpienia, które duchowieństwo nasze z swych praw i obowiązków uczyniło wskutek nalegań rządowych; aby spisać te ukazy, zwyczaje i potworne urządzenia, które choć Kościołowi wręcz przeciwne i przezeń potępione, z czasem wcisnęły się pomiędzy nas i utworzyły stan trwającego i samém trwaniem jakby uprawnionego bezprawia. Dzięki temu systemowi ciągłych koncesyj, przyszliśmy do takiego z sumieniem naszém kompromisu, przed którym wzdrygnąćby się powinna nie już godność kapłańska ale sama godność człowiecza. A jednak, tak wielka jest moc nawyknień, taka skuteczność nieustającego z góry nacisku, że usterki i zapomnienia ciężkie, poniżenia osobiste nieraz bardzo dolegliwe, nietylko nie rażą, ale zdają się być zwyczajną,

nieuniknioną koniecznością. Pomijam świeżą, gorszącą skwapliwość, z jaką biskupi nasi, wbrew wyraźnemu ostrzeżeniu Papieża (1), powtórzyli wspomniany reskrypt Łanskoja o odmawianiu sakramentów wiernym, do obrządku łacińskiego nienależącym: dodać trzeba, że niektórzy wyprzedzili nawet ministra swoim okolnikiem; pomijam owe zdrożne, w tejże sprawie, ukaranie kapłana, który więcéj od innych dowiódł sumienia i charakteru; pomijam także ów niedorzeczny zapał oratorski pewnego biskupa, z jakim księży katolickich, w swym liście pasterskim, karcił, iż «*z obcéj owczarni*» wydzierają jagnięta! Te wszystkie, świeże okoliczności pomijam; zatrzymam się tylko nad jednem nadużyciem, trwającém oddawna i powszechnie przyjętém, a w skutkach swoich coraz to groźniejszém.

» Wiadomo, że ukazy cesarza Mikołaja (z r. 1832, 1839 i 1840) wprowadziły na Litwę i Ruś, nowe dla związków małżeńskich prawodawstwo. W moc tych przepisów, małżeństwa mięszane są nieważne, póki ich nie pobłogosławi pop schyzmatycki i nie odbierze od nowożeńców zaręczenia, że dzieci swoje wychowają w wierze prawosławnéj. Jeżeli para zażąda błogosławieństwa i od księdza katolickiego, niewolno jemu przypomnieć niezmiennéj reguły Kościoła, niewolno, mimo przyrzeczenia, przez nowożeńców popu danego, odmówić ślubu i

(1) «...Niezmierna troska dręczy nas wciąż o tych ukochanych sy» nów naszych, Rusinów, którzy (o boleści!) skutkiem nieszczęsnego » i opłakanego odstępstwa kilku biskupów, rozproszeni w tych ob» szernych krajach, w najokropniejszém znajdują się położeniu i wy» stawieni są na największe dla swego zbawienia niebezpieczeństwa; » bo nie mają biskupów, coby nimi rządzili, prowadzili ich drogami » sprawiedliwości, wzmacniali pomocą duchową, strzegli od sideł » zdradliwych, którzy im stawiają chytrzy nieprzyjaciele..... *Ufamy że » księża łacińscy, dołożą wszelkich starań i użyją wszelkich » sposobów, jakie im wskaże rozwaga, aby tych synów ukocha» nych nie zostawić bez duchowej pomocy...* »

(ALLOKUCYA PIUSA IX, z r. 1847.)

wczémbądź związek podobny wstrzymać. Początkowo, duchowieństwo nasze stawiało tym przepisom opór nieśmiały, a raczéj wątpliwości swoje i wahania posyłało, w formie zapytań, pod roztrzygnienie kolegium petersburskiego. Ale dygnitarze petersburscy usunęli skrupuły sumienia; ukaz mikołajowski wszedł w wykonanie i tak dalece ustalił się, że od dwudziestu lat, ledwo kilku, w prowincyach zabranych, znalazło się księży, co zdobyli się na odwagę, odmówić błogosławieństwa parom mięszanym. Sprawiedliwość dodać nakazuje, że i tych kilku ciężko odpokutowało za swą odwagę i wierność swoję prawom Kościoła.

» Wciągu lat dwudziestu, jakże ogromne zaszły odmiany! Na Rusi, głównie ze szlachty okolicznéj, ubyło przeszło trzykroć stotysięcy ludności obrządku łacińskiego; na Litwie, postęp schyzmy szerzy się z każdym rokiem, a nietylko wśrod wiejskiéj ludności! Młodzież wchodząca do czynności rządowych, skutkiem ukazu Mikołaja, pierwsze lata swéj służby musiała odbywać w jednéj z prowincyj wielkorossyjskich. Tam, gubernatorowie mieli od rządu tajemne zlecenie, aby im ułatwiać związki małżeńskie z Rossyankami; i wnet, ci młodzi Polacy, wraz z całém potomstwem, ginęli bezpowrotnie dla swego narodu i wiary. Służba w wojsku i pobyt w obu stolicach cesarstwa, zadawały i do dziś dnia zadają bolesne szczerby ludności katolickiéj. Zapewne, nie jeden katolik z prawosławną ożeniony, czyni co może, aby dzieci swe od schyzmy ratować, zasłania je chorobą i pieniędzmi, i niejednemu udaje się to do czasu. Ale przy pierwszém niepowodzeniu lub poróżnieniu z władzami, dosięgnie go mściwa ręka schyzmy: pop jak zły duch wciśnie się do domu, policya weźmie pod dozór jego własne dzieci, wkońcu cała rodzina utonie w prawosławiu!

» Po wsiach jeszcze gorzéj. Tam nietylko interes lub skłonność młodych, pomnażają szeregi prawosławia:

tam pop, który za każdą duszę odbiera judaszowe srebrniki, zdradnemi namowy i podstępną usłużnością knuje małżeństwa mięszane. To też, ktokolwiek z litewskich dziedziców, przebieży tablice swéj ludności z ostatnich kilkunastu lat, ten spostrzeże, że w parafiach mięszanych, liczba katolików zmniejszyła się straszliwie, o trzecią część jeśli nie o połowę, i że chyba w tych tylko wsiach nie poniosła uszczerbku, gdzie wcale nie było prawosławnych. — Powiadają, że dawni unici gwałtem do schyzmy wepchnięci, dochowali ku swéj wierze tkliwą w głębi serca miłość, i gdy im do kościoła chodzić nie wolno, przynajmniéj cerkiew i popa omijają z daleka. To prawda : sam widziałem nie jednego włościanina, jak wynosił, dla popa, ostatniego z swéj chaty rubla, aby się uwolnić od schyzmatyckiéj spowiedzi. Ale i to jest prawdą, że młoda generacya mniéj do unii przywiązana, mniéj téż po dawnéj wierze dochowuje pamiątek; a jeśli, jak tego nasi wymagają biskupi, odtrąci ją od siebie łacińskie duchowieństwo, jedyne jakie jéj pozostało, cóż się stanie z tyloma nieszczęśliwymi? Być może, że wstręt do schyzmy i do popów przetrwa w nich jeszcze długie lata; ale, że bez wiary żyć niepodobna, pierwszy razkolnik, jaki się we wsi pojawi, może całą ludność za sobą pociągnie. I oto przyszłość, jaką dla tych prowincyj przygotowały ukazy mikołajowskie, jaką ułatwili księża katoliccy błogosławiąc parom mięszanym, i jaką upewniają dziś biskupi, zakazując duchownym wszelkiéj styczności z dawnymi unitami! *Razkol*, to straszliwa a zasłużona dla Rossyi plaga, to krwawe źródło jéj przyszłéj dezorganizacyi, ale z pewnością nie jest to zdrój życia ani dla Kościoła, ani dla polskiéj narodowości! A ktoby się chciał dowiedzieć, czy odległą jest ta przyszłość, która grozi naszym prowincyom, niechaj się poradzi cyfr. Wciągu dwudziestu lat, od skasowania unii, ubyło w cesarstwie rossyjskiém dwa miliony ludności obrządku łacińskiego; obecnie na Litwie i na Rusi jest ich jeszcze 3,144,000. Z temi trzema liczbami można z matematyczną ścisłością oznaczyć dzień — zupełnéj zagłady katolicyzmu w prowincyach zabranych!...»

Takie jest pismo naszego korespondenta. Obraz to przerażający i tém boleśniejszy, że nie jest przesadzony. Fakta są pewne, cyfry zdają się być autentyczne, a samo ich zestawienie prowadzi do wniosków, przed któremi myśl drętwieje!... Kto miał sposobność zetknięcia się z ludem litewskim i ruskim, ten musiał być uderzony jego wrodzoną dobrocią. Lud to spokojny i słodki, wyrozumiały na bliźnich słabości, cierpliwy w nieszczęściu, w przywiązaniu swém stały i głęboko religijny. Z témi przymiotami i z zwyczajną dla starszych powolnością, o ileżby więcéj jeszcze, lud ten, mógł się rozwinąć, oddany w ręce zacne i roztropne? Na nieszczęście, carowie wzięli na siebie jego wychowanie; wydarli mu rodzimych i naturalnych przywódców, zamknęli przed nim drzwi kościoła, i rzuciwszy na pastwę bandy chciwéj i plugawéj, pilnują aby jéj nic nie przeszkadzało w tym moralnym i fizycznym rozboju. Ale nie pierwszy to raz przytrafia się Moskwie, że w swéj ślepéj zawziętości do naszéj wiary i narodu, chociaż nam ciosy straszliwe zadaje, w przyszłości może jeszcze straszliwsze gotuje dla siebie. Bo któż odgadnie, w co się zmieni lud naszych prowincyj, od katolicyzmu gwałtownie odepchnięty, a schyzmę stanowczo odpychający? Może Opatrzność zlituje się nad nim, i w sercu młodych generacyj dochowa dawnéj wiary zarzewie, z któregoby kiedyś żywy płomień zajaśniał, za pierwszém wolności zawianiem? Może przeciwnie, wyrodzi się zeń jakiś utwor zagadkowy, bez imienia i bez fizyonomii? A może téż, jak przypuszcza korespondent, ludność ta wejdzie gromadnie w szeregi Razkołu, i pomnoże owe armie, o jakich Hercen marzy, żołnierzy bez wiary, bez trady-

cyj, bez wyższych i szlachetniejszych potrzeb, których Bogiem i Ojczyzną kawał gruntu, a religią i patryotyzmem chęć używania!...

Cóżkolwiek bądź, chociaż przyszłość niepewna, jeszcze wszystko nie stracone: bronić się można, byle nie zabrakło woli i odwagi. Jeszcze kapłani nasi powstrzymać mogą wzrost prawosławia, byle wierni swemu obowiązkowi, twardo stanęli przy tém, co po tylekroć ogłaszali papieże. Nie pierwszy to przecież rząd, z którym Kościół wojuje o małżeństwa mięszane. Lat temu trzydzieści, król Fryderyk Wilhelm, chciał narzucić katolickiemu duchowieństwu swe protestanckie przepisy; i wistocie, chociaż w Rzymie nie uzyskał przyzwolenia, na kilku niemieckich biskupach wymógł koncesye. Ale znaleźli się dwaj pasterze, jak Droste i Dunin, których nie skusiły groźby ani łaski rządowe, i którzy ani więzieniem, ani wygnaniem, nie dali się odwieść z pola obowiązku. Ich stałość i odwaga rozbudziły sumienie katolików, duchowieństwu wskazały drogę, którą dobijać się powinno praw swych uszanowania. Cofnął się nowy pruski monarcha, wrócili do swych dyecezyj, otoczeni aureolą, obaj biskupi; i jeżeli dzisiaj Poznańskie, uczuciem religijném i wznoszącemi się instytucyami, góruje nad inne polskie prowincye, to początków tego odrodzenia szukać podobno należy w prześladowaniach, który zniósł mężnie zmarły arcybiskup.

W tym samym czasie i w tych samych sprawach, na Litwie i Rusi, inną drogę obrało sobie duchowieństwo polskie. Tam kościół «*wojującym*» nie był; tam kapłani, w stosunkach z rządem, nie prawu swojemu ani prawdzie zaufali, ale własnéj zręczności; i choć wystawieni na zaborczość schyzmy, woleli omijać lub podchodzić trudności, niż stawić im czoło, choćby z narażeniem siebie. Dokąd wiernych zawiodła owa taktyka duchowieństwa, widzieliśmy: trudno uwierzyć, aby i kapłanom, w swych skutkach była dogodniejszą. Kiedy jednego z cudzoziemców, który świeżo powrócił z Petersburga, zapytaliśmy, jakie wrażenie zrobili na nim tamtejsi księża katoliccy: «Wyjątki zacne bywają w każdéj dyecezyi, odpowiedział; » lecz aby większość ocenić, należałoby wyrzucić z mowy » ludzkiéj słowo *obowiązek*, a nastąpić je wyrazem *strach*. » Lękają się wszystkiego i wszystkich...»

Przypuszczamy to, że owa uległość, jaką duchowieństwo nasze w zetknięciu z rządem okazywało, była do pewnego stopnia konieczną; że opór zawczesny tylko nowe klęski mógł był na Kościół sprowadzić: Ale «*jest czas milczenia, jest i czas głoszenia*; kto w porze właściwéj podejmie prawdy obronę, ten znajdzie niezawodnie i środki do walki i możność zwycięztwa. Otóż, jeśli niemal z pewnością zaręczyć można, że głos sumiennego biskupa, że upomnienie się o prawa Kościoła, nie przeszłyby już dzisiaj bez echa, ale owszem, na Litwie i na Rusi, wzbudziłyby kapłanów zdolnych do ofiar, może i do męczeństwa: to z drugiéj strony godzi się przypuścić, że rząd rossyjski nie znajdzie już obecnie dosyć siły i odwagi, aby narazić się na walkę z całém duchowieństwem, pod okiem Europy więzić biskupów lub na wygnaniu czas dłuższy ich trzymać. Zyskali katolicy na gorliwości, stracił rząd na sile burzenia. Co więc przed piętnastoma laty, wydałoby się, i słusznie, nieroztropną śmiałością, to dzisiaj może już tylko prostym jest obowiązkiem — świadczenia prawdzie.

A wreszcie, powiemy w końcu, nie o to idzie właściwie, jak wielkie cierpienie dziś jeszcze zagraża. Gdzież wolność zdobytą była bez walki, kiedyż ból nie był warunkiem tryumfu, któreż społeczeństwo ocalało bez trudów i wielkich poświęceń? Zły to żołnierz, co broń nosi, a nie umie swą piersią zasłonić chorągwi; zły pasterz, co w potrzebie nie da życia za owczarnią. Żołnierze wiary, pasterze Chrystusowi, nad wszytkich tego świata szermierzy silniejsi!

Aby prawdy bronić, nie potrzebują ludzkiéj mądrości, ludzkich zabiegów i wysileń; w swém ręku mają oni moc, któréj oko nie dostrzeże, a złość nie odeprze. « Biskupa, uzbrojonego Ewangelią Bożą, zabić można, zwyciężyć nie można!... »

MELOMANIA WARSZAWSKA.

---

2 czerwca.

I

Kiedy lat temu parę, pismo nasze umieszczało artykuły o sztuce polskiéj, trwał jeszcze w Warszawie, a za nią nieledwie w kraju całym, niezwykły, choć rzadko na znajomości oparty do malarstwa zapał. Od owéj chwili usposobienie się zmieniło. Warszawa, która podczas wojny krymskiéj protegowała gorąco malarstwo, teraz, możnaby powiedzieć, od czasu wojny włoskiéj, wyłącznie oddała się muzyce.

Gdyby zadaniem pisma naszego być mogło, występować w interesie saméj sztuki, któréj cel i wysokie posłannictwo uznajemy, i oceniamy zarówno z jéj najgorliwszymi, byle istotnie powołanymi zwolennikami, tobyśmy się starali przedewszystkiém wykazać, że fałszywy dyletantyzm, zrodzony u nas nieumiejętném i nieumiarkowaném rozpisywaniem się o sztuce, jest najszkodliwszym i saméj sztuki i prawdziwych artystów

przeciwnikiem. Gdybyśmy znowu potrzebowali dowodów na to, że entuzyazmy fałszywe nie bywają trwałe, i że nierzetelne zajmowanie się sztuką, tylko modę przelotną wyrodzić jest w stanie, tobyśmy takowe dowody znaleźli w samych objawach owego dyletantyzmu, wyrażanych przez dzienniki krajowe, a wskazujących z jaką łatwością umiemy przerzucać się z jednego fałszywego entuzyazmu w drugi, zachowując jedną tylko wytrwałość, wytrwałość w poświęceniu ważniejszych względów i obowiązków dla chwilowej rozrywki i zabawy! Dzisiaj coraz rzadsze o malarstwie wzmianki zdradzają wprawdzie tę samą, co dawniéj, nieznajomość rzeczy, lecz i przekonywają zarazem, że już nikt prawie nie troszczy się o prace malarzy naszych, że wystawy nie wiele kto odwiedza, i że wreszcie niejeden z protektorów narodowéj sztuki, poprzestawszy na tytule mecenasa, jakim go zgóry dzienniki uwieńczyły, więcéj o malarzach wiedzieć niechce.

Muza sztuk plastycznych, wyraźnie ustąpiła przed muzą harmonii.

Dzisiaj pisma krajowe zapełniane są wyłącznie sprawozdaniami koncertowémi: donoszą nam one codziennie, powtarzamy codziennie, i o krajowych znakomitościach, które niezawsze znalazłyby uznanie za granicą, i o zagranicznych wędrownych sławach, które najczęściéj dopiéro w Warszawie, dyplom na wielkość zyskują. Ktoś nieobznajmiony z miejscowémi stosunkami, mógłby wziąść dwa główne pisma warszawskie, za dwie muzykalne gazety i pełen zdziwienia zapytać, co się zostanie na pastwę *Ruchowi muzycznemu*, gazecie jedynie poświęconéj muzyce, co wreszcie *Kuryerkowi*, który zdawna miał wyłączny przywilej śledzenia gwiazd błędnych i błąkających się na pewnym horyzoncie sztuki i rozdawania im patentów na «kolosalne» sławy? Do niego to z prawa powinniby należeć wszyscy wędrowni arfiarze i gitarzyści, do niego ze swą orkiestrą p. Bilse, o którym

Gazeta Warszawska powiada, że «nauczył nas, co może jeden człowiek silnéj woli, gdy umie chcieć», do niego wreszcie panny Mocsner, siostry Ferni i wszystkie inne tym podobne *niemiłosierne* siostry.

Jeśli podnosimy dziś głos przeciw ogłuszającej nieraz orkiestrze muzyków i dyletantów, któréj towarzyszą wciąż chóry korespondentów i sprawozdawców, to nie dlatego, aby tu roztrząsać większą lub mniejszą wartość artystyczną ulubionych przez Warszawę wirtuozów. Przeciw samym wirtuozom nic nie mamy, lecz takie, od pewnego czasu, wyłączne gonienie za muzyczną emocyą, takie rozgawędzanie się o muzyce i codzienne się nią delektowanie, razić musi każdego, co szlachetniejszym wpływom muzyki nie zaprzecza, ale z potrzeb i położenia naszego sprawę sobie zdaje. I zaprawdę, nie samo znudzenie wywołać może ów brzęk ustawiczny muzycznych instrumentów i pusty szum dziennikarskich frazesów, dolatujący nas z kraju: nasuwają one i smutniejsze uwagi tym, co widzą z jaką to łatwością i publiczność i pisma nasze, umieją sobie stawiać nieledwie w rzędzie obowiązków narodowych, to, co zaledwie na nazwę podrzędnéj i chwilowéj zabawy zasługuje, co najczęściéj żadnego piętna prawdziwéj sztuki nie nosi. A każdy w kraju niezagłuszony jeszcze i niechcący się zagłuszać, może bez przesadzonéj zapytać obawy: czy owym umysłom zasłuchanym w dźwięki fortepianów, śledzącym poruszeń wszystkich smyczków zagranicznych i miejscowych, przypominają się jeszcze i stają na myśli te głosy, jakichby słuchać w naszém położeniu potrzeba? Czy wreszcie te dusze rozłechtywane i denerwowane dyletantyzmem, potrafią kiedyś zająć miejsce w szeregach obywateli na dzisiaj, żołnierzy na jutro?

Tym może właśnie, co mają istotnie muzykalną duszę, najprędzéj uprzykrzyć się jest w stanie, ów niepohamowany muzyczny popęd, podsycany wciąż przez dzienniki nasze, a w którym, jak w niejednéj tegoczes-

néj operze, więcéj podobno hałasu, niż istotnéj muzyki. To téż wielu, sądzimy, wraz z nami oczekuje, aby w téj mierze nadeszła już chwila opamiętania się i pomiarkowania. Téj chwili najgorliwsi krzewiciele sztuki życzyćby sobie powinni, choć z téj tylko obawy, aby to, co miało obudzić rozsądne spółczucie, nie wywołało w końcu tylko przesytu i znudzenia.

Kilka lat temu, jeden z francuzkich pisarzy, mający w sąsiedztwie swojém zastraszającą liczbę fortepianów, chciał do istniejąch podówczas izb podać petycyą, aby wszystkich fortepianistów deportowano na jednę z małych, a bezludnych wysp Sekwany; chciał, by tam trzymani pod strażą, tylko w dzień dawania koncertu pojawiali się w Paryżu i to eskortowani przez żandarmów, a zaraz po popełnionym koncercie, odstawianoby ich znowu na miejsce wygnania; żądał daléj, aby wyspa ta wymijaną była przez wszystkie statki i łodzie!

Podobnego projektu nikt wprawdzie u nas nie podał, ale czytaliśmy inny dowodzący, że inwazya fortepianów zwraca na siebie uwagę Warszawian. Jedna zacna warszawska dama rzuciła myśl, aby opłacano podatek na dobroczynne cele od tych muzycznych instrumentów. Dowiedzieliśmy się przy téj sposobności, że w Warszawie ma być 78,387 fortepianów!...

II

Nie od dzisiaj objawiała Warszawa swoje muzykalne skłonności i upodobania, lecz teraźniejszy jéj popęd na téj drodze, dochodzący nieledwie do szału i mononamii, możnaby datować od pamiętnéj odezwy, którą p. Kątski napisał, obejmując dyrekcyą instytutu muzycznego. Odezwa ta donosi «o otwarcie nowéj drogi służenia sprawie publicznéj,» wspomina o «cywilizacyjcych i moralnych wpływach muzyki» która ma być u nas «kwiatem ogólnego wykształcenia;» kończy wreszcie oznajmieniem, że gorliwość kraju dla téj nowéj instytucyi «będzie dowodem wdzięczności N. Panu za pozwolenie i pomoc daną!» Tę pierwszą odezwę poparł p. Kątski drugą, do zacnych rodaczek wymierzoną: przemawia w niéj do Polek, jako do «matek i chrześcianek,» w imieniu zakładu mającego być «owocem, przedstawicielem miłości, solidarności i poświęcenia obywateli dla pożytku i dobra krajowego!!»

Nie tylko nic nie mamy przeciw istytutowi muzycznemu, ale jesteśmy gotowi uznać do *pewnéj miary* jego pożytek, a jeśli nowy ten zakład, potrafi dać krajowi dobrych organistów, nie będziemy nawet po nim wymagać innych cywilizacyjnych wpływów. Lecz sądzimy, że p. Kątski, który jest utalentowanym i mającym uznanie w kraju artystą, może bardziéj, niż kto inny obowiązany jest dać przykład tego taktu i miary, jakie muzyka zachowywać winna. Gdyby dyrektor instytutu muzycznego miał przytém na uwadze inne prawdziwsze i ważniejsze, narodowe i publiczne potrzeby, nie odzywałby się może do Polek z tym potrącającym o patryotyczne strony liryzmem, z jakimby się chyba wolno było do naszych kobiet odzywać, aby synów na dzielnych obywateli kształciły, lub żeby szarpie robiły dla walczących o wolność żołnierzy. O! gdyby ten takt i miara wszystkim naszym artystycznym kierunkom i pracom przewodniczyły, nie podnoszonoby tak nierozważnie do wysokości narodowego i obywatelskiego znaczenia tego, co nieraz bardzo względną ma wartość, i na polu narodowém i na polu sztuki, nie obałamucałyby się umysły tak nieskore do uznania rzetelnych obowiązków, w których wytrwać trzeba, a tak pochopne do wynajdywania sobie celów, któremi bez wielkich walk i trudów zaspokoić się można. Zyskałby na tém i ustalił się zdrowszy sąd w narodzie, zyskałaby wreszcie i sztuka

sama, któréj potrzeba, jak każdéj wznioślejszéj idei, wielkodusznych a sumiennych mistrzów, i prawdziwych a nie sztucznie nastrojonych wyznawców.

Nie wiemy, o ile odezwy p. Kątskiego przyczyniły się do powiększenia składek, ale zdawałoby się, że jego frazes o miłości, solidarności i poświęceniu wzięto u nas dosłownie. Miłość dla muzyki objawia się teraz aż do przesytu, solidarność panuje zupełna, bo wszyscy sprawozdawcy warszawscy i korespondenci prowincyonalni donoszą, rozpisują się o każdym, choćby tylko amatorskim koncercie, i czynią to nieraz z poświęceniem takich doniesień, coby daleko więcéj obchodzić nas mogły niż wystąpienia wielu wirtuozów i śpiewaczek, posiadających najczęściéj imiona, równie obce dla naszych uszu, jak i nieznane w prawdziwéj sferze sztuki. Zdawałoby się, czytając te szumne dytyramby, rozbiory muzyczne i krytyki, jakoby potrafiono już nieledwie wmówić w polską publiczność, że muzyka jest jedném z najpierwszych i najświętszych naszych powołań, i że instytut muzyczny ma przeznaczenie kształcić nie tylko skromnych organistów, ale obywateli i mężów publicznych.

Tym niezręcznym a upartym krzewicielom, nie sztuki lecz dyletantyzmu, strojącym chwilowe swe upodobania w barwę patryotyczną, tym wszystkim oszukującym się z umysłu, lub oszukiwanym przez niewiadomość, powinienby jaki poważny głos w kraju dowieść, że ów dyletantyzm okazujący na każdym kroku brak znajomości, tylko śmieszność do imienia artysty przywiązać może; że wreszcie nie mające wiary ni taktu uwielbienia, wieńczące nieledwie tym samym bukietem kwiatów sztucznych i pośmiertną lirę Chopina, i pierwszą lepszą arfę lub gitarę zbłąkaną do Warszawy, muszą każdego człowieka mającego, już nie poczucie sztuki, ale sens zdrowy, zrazić a w końcu i oburzyć!...

III

Gdyby tu tylko o większy lub mniejszy pożytek sztuki i artystów chodziło, zostawilibyśmy czasowi, aby uprzątnął te kruche materyały, z których świątyni prawdziwéj sztuce zbudować nie można. Lecz to, co u nas rzadko estetycznym odpowiada wymaganiom, obraża najczęściéj wyższe od nich, etyczne prawa, a to co nie jednemu duchową wydaje się zozrywką, odrywa podobno ducha od ważniejszych, świętszych obowiązków.

Sztuka a życie publiczne, tak jak sztuka i moralność, nie są to wprawdzie «dwa na słońcach swych przeciwne bogi,» ale stanowią one dwie odmienne, na właściwych sobie prawach i warunkach istniejące sfery. Mogą się one i powinny nawzajem przenikać. Grecya i Italia dają nam tego szczęśliwy, choć wyjątkowy w dziejach przykład; lecz mięszać je w pojęciu i naciągać ku sobie sztucznie a nieumiejętnie, bez wyrodzenia fałszów szkodliwych nie można. Tak jak wszystkie naciągane usiłowania, aby zmoralizować sztukę, robią ją tylko pedancką i jałową, tak znowu widzimy, że moralność i obowiązki obywatelskie, przystrajane w romantyczne a nieokreślone barwy sztuki, prowadzą do obłędu i istnych dziwolągów.

Sztuka, i moralność, i miłość ojczyzny sama, mają wszelako jeden punkt wyjścia, jednę zasadę wspólną, któréj nikt zaprzeczyć nie może: dowodzą one człowiekowi, że nie jest jednodniówką rzuconą na igraszkę, bez żadnego z przeszłością związku, bez żadnéj przed przyszłością odpowiedzialności. Niechajby tą prawdą przejęli się nasi krzewiciele i podpieracze narodowéj sztuki; niechajby pamiętali, że wszystko, co istotnie nie podnosi ducha w narodzie, co o przeszłości nie mówi dobitnie, a przyszłości wyraźnie nie stawia przed oczy,

że to wszystko może być tylko zabawką chwilową, rozrywką nie zawsze w położeniu naszém niewinną, ale zaiste sztuką narodową nie jest. Sztuka, jak chętnie powtarzają u nas, daje skrzydła do górnego lotu, unosi w sfery wyższe, duchowe. Uznajemy tę prawdę, lecz cóż powiedzieć, czego się spodziewać po niedołężnym artyzmie, który czas przepędza li na admirowaniu swych skrzydeł, skrzydeł jakich nie używa nawet do «chmurnego lotu Ikara, gdzie zasługą upaść z chmur,» ale które służą mu tylko do podlatywania, obyczajem ptastwa domowego, z jednéj, często mętnéj sadzawki na drugą.

Jeszcze raz powtarzamy, że szlachetniejszym wpływom muzyki bynajmniéj nie myślimy przeczyć; wiemy że jest ona w stanie budzić i ożywiać narodowe uczucia: ale czyż je budzi lub ożywia ten, równie łatwy jak niepomiarkowany zapał dla każdego zagranicznego wirtuoza lub śpiewaczki, to rozpisywanie się codzienne o koncertach, zdradzające że raczéj nam chodzi o naśladowanie francuzkiego żurnalizmu, niżeli o własnego kraju potrzeby i pożytek. Ktoś niedawno z humorem, a może nie bez słuszności powiedział: nie pytaj Warszawiaka przybyłego do Paryża, co się u niego w kraju dzieje, co słychać w innych polskich prowincyach, ale go pytaj na jakim gra instrumencie lub jakim głosem śpiewa! Czyż i baczniejszemu umysłowi, pragnącemu z dzisiejszych objawów jutrzejszą przyszłość odgadnąć, nie może się nastręczyć jedno bolesne przypuszczenie, jedna pełna smutku obawa? Oto obawa, że zejść jeszcze możemy na jakiś biedny naród melomanów, dzisiejszym Czechom podobny, dostarczający zagranicy błędnych menestreli, i że ta Europa co nas znała jako dzielnych rycerzy, lub nieszczęścia kraju przypominających wygnańców, ujrzy w nas kiedyś wędrownych muzykantów i tyle téż wtedy o Polakach wiedzieć i pamiętać będzie, co dziś wie i pamięta o Czechach.

Być może, spotka nas zarzut, że jesteśmy zbyt surowi dla goniących za rozrywką muzyczną, że obawy nasze są przesadzone, a niejeden dorzuci jakąś uwagę o téj goryczy, którą bezmyślni lub obojętni tak łatwo upatrują w każdym sądzie surowszym, co doszukając się sumienia narodu, musi niekiedy «sięgnąć do wnętrza i zatargać.» Lecz, Bogu dzięki, nie wszyscy w kraju mają umysł przygłuszony brzękiem instrumentów, lub wykrzywiony fałszywemi pojęciami o sztuce: są jeszcze u nas roztropni jéj wielbiciele i prawdziwi artyści, którzyby sobie nie życzyli «bawić się zwiędłemi kwiatami na grobie,» dla których żaden olymp sztuki nie zastąpi utraconego raju narodowéj swobody. Ci ocenią pobudki z jakich te słowa piszemy. Tylko tym lekkomyślnym, a nałogowym admiratorom wszystkiego bez różnicy, zapalającym się najczęściéj na zimno, będą się one przesadzonemi wydawać, i tym co próżniaczym dyletantyzmem usiłują wypełnić próżnią, jaką w umysłach naszych wychowanie moskiewskie zostawia. Możeby i oni wyrażone tu obawy podzielili, gdyby chcieli na chwilę, uciszyć swe fortepiany, oderwać uszy od brzęku gitar przejezdnych, nad któremi się rozpisują, gdyby otworzyli duszę na inne głosy i wspomnienia! Często wystarcza zmienić atmosferę, w jakiéj się żyje przez nałóg, aby uwierzyć w prawdę słów, które się odpycha przez upor. Lecz dla tych amatorów, mających nienarodowe ale parafialne pojęcia o sztuce, świat zdawałoby się zamkniętym jest rogatkami stolicy; radziby oni przemienić Warszawę w jednę koncertową salę; a jeśli opuszczają jéj mury, to na to chyba, aby posłuchać jakiéjś orkiestry szląskiéj w jakimś zamiejskim ogródku. Zdawałoby się, że między «porankami muzykalnémi» a «wieczorami symfonicznémi» czytają same sprawozdania o koncertach i teatrach! Cóż dziwnego, że żyjąc w takiéj sztucznéj sferze, zrobili sobie z dyletantyzmu cel i potrzebę życia, że w nim upatrują duchowe strony i cywilizacyjne wpływy?

Jakże więc przemówić do umysłów, co myśleć nie przywykły, jak poruszyć sumienia, które zakłócić się nie dają, jak przerwać to zadowolnienie i spokój, nie będące wcale olympijskim spokojem, ale przypominające raczéj bezmyślną odrętwiałość Ilotów, odurzanych napojem i tańczących dla zabawy panów przy dźwięku muzyki. O! łatwiéj pokonać choćby najfałszywsze przekonania, łatwiéj opór stawić politycznym lub religijnym fanatyzmom, jak walczyć z owym dyletantyzmem nieujętym a jednak szkodliwym, który będąc negacyą wszelkiego prawdziwego życia, potrafi się obejść bez głębszych przekonań; i łatwiéj zaiste tamę położyć bystremu potokowi, co rwie i niszczy brzegi, niżeli poradzić sobie z bagnem wody stojącéj, śród którego rzesza żab obrzydłych koncerta swe odprawia!

IV

Jeżeli co w polskiéj publiczności poszanować należy, to niezawodnie owe uczucie, z jakiém przyjmuje ona wszytko co swoje, co nasze, z jakiem obecnie przyklaskuje pełnym talentu i narodowego piętna utworom Moniuszki. Nikt przeciw temu uczuciu i jego pobudkom występować nie będzie; nikt także w wątpliwość nie poda wielu istotnych, u nas, muzycznych zdolności. lecz między naiwnym, zdrowym nieraz instynktem publiczności, a prawdziwe uzdolnienie mającymi artystami, staje zaraz, fałszywe najczęściéj amatorstwo z pseudoznawców i krytyków złożone. Rozpisze się ono, rozgawędzi o sztuce po wszystkich dziennikach; artystom prawić będzie o ich kapłaństwie, publiczności o «ressurekcyjnych wrotach jakie otwiera muzyka,» każde chwilowe upodobanie, pokusi się rozdmuchać

«w ognie obywatelskiego ducha;» wszystko zamąci, wypaczy, wykrzywi i chcąc podnosić sztukę, zrobi z niéj istną *mistyfikacyą*, kryjąc się w mgłach równie fałszywych jak niezrozumiałych frazesów! Publiczność traci swoję instynktową trzeźwość i przytomność; uwierzy, że admiracya wszystkiego jest prawdziwą oznaką artystycznéj duszy, zacznie gonić za każdym błędnym ognikiem na horyzoncie muzycznym; chcąc dowieść prawdziwości swych upodobań, gotowa dla nich zapomnieć wszystkiego, i tak obałamucona, uczucia, które w źródle swém i pobudkach mogły być czyste i niekłamane, przemieni na mętny, fałszywy a z niejednego względu szkodliwy dyletantyzm.

Taki, zdawałoby się, coraz upartszy a zdrożny kierunek, wymagający by go zamiłowaniem sztuki nazywać, znajduje niekiedy poparcie u poważniejszych nawet pisarzy, którzyby i sąd zdrowy obudzać i do opamiętania wołać powinni. Ci nawet, którym odmówić nie można ani pewnego estetycznego wykształcenia, ani czulszéj baczności na potrzeby krajowe, mają dla tego fałszywego kierunku pobłażanie, z trudnością dające się usprawiedliwić. Zdawna do takiego pobłażania przyzwyczaiły nas pisma warszawskie, lecz nie bez pewnego zdziwienia spotkaliśmy nie dawno w *Dzienniku Literackim*, lwowskim, artykuł znanego dobrze krajowi poety, który świeżo z taką mocą i ogniem poparł sąd emigrcyi o wileńskich literatach. W artykule tym, autor listów z pod Lwowa, staje niejako w obronie melomanii Warszawskiéj. «Nie bierzcie Warszawie za złe, mówi on, » zbytniego hołdowania sztuce i nerwowego gonienia » za emocyą... Maż ono być grzechem Warszawy? Nie » urągajcie choréj królowéj.»

Odpowiemy poecie, który tak wzniosłym, tak pięknym głosem skargi Jeremiego wyśpiewał, że są słabości wymyślone, wmówione, a uparte jak kaprys dziecka, dla których nie zawsze spółczucie mieć można; a kto prze-

ciw takim słabościom powstaje, dlatego właśnie, że przeszkadzają ozdrowieniu, ten nie urąga, ten pragnie uleczyć.

Szlachcic — żołnierz — humorysta, słowem, nieoceniony Pasek, w jedném miejscu wspomina, że hetman Czarnecki, złożony chorobą pod wojennym namiotem, kazał aby mu grano na cichych instrumentach... Ów hetman dostojny, powalony trudami na obozowém łożu, szukający rozrywki w muzyce między jedną bitwą a drugą, jakże piękny i rozrzewniający przedstawia widok! Lecz «*chora królowa*» jak ją nazywa poeta, łechtająca ciągle osłabione nerwy muzyką, zagłuszająca się nią między wczorajszym balem a jutrzejszym teatrem, między przeszłoroczném przyjmowaniem cesarza, a obiecanym na teraz jego przyjazdem, ta chora królowa, kiedy w swéj słabości okazuje upodobania do żywych obrazów, co obrażają godność narodową, i kiedy goni za wszystkimi przejezdnymi trubadurami i menestrelami, ta chora królowa nie może wtedy współczucia wywołać, nie powinna téż znaleźć i pobłażania!... Niechajby i ona, jak ów hetman dostojny, naprzód «urosła z tego co boli» a potem dopiero niechajby jéj grano na wszystkich cichych i głośnych instrumentach, daj Boże i na surmie bojowéj.

Żyjemy dziś w czasach ważnych i poważnych. Oto zdaje się, że narody patrzą sobie w oczy nawzajem i śledzą jakie tam gra życie, jakie pulsa biją w tętnie duszy. To téż w czasach takich, nie naśladujemy braci naszych muzykalnych Czechów, ale się patrzmy na Włochów, na Węgrów wreszcie. Przypomnijmy sobie, że Medyolańczycy i Wenecyanie, miesiącami na opery nie chodzili, dlatego tylko by tam nie spotkać austryackich mundurów; a było to ze strony, tak gorąco, tak istotnie kochającego sztukę narodu, niemałe poświęcenie!

O nie tylko na polu sztuki, Włochy nam mogą być

dzisiaj mistrzami!... Jak oni, tak każda uciśniona narodowość powołaną być może z kolei, by wydać z piersi głos świadczący jeszcze o siłach jéj żywotnych. Aby być gotowym na chwilę taką, aby wziąść udział w tym koncercie ludów, inaczéj dziś światu przypominać się trzeba aniżeli dźwiękiem *siedmiudziesiat tysięcy fortepianów.*

ZAMACH P. MUCHANOWA NA TOWARZYSTWO ROLNICZE.

9 czerwca.

Otrzymujemy następny reskrypt p. Muchanowa, dotyczący Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiém.

Dyrektor Główny Prezydujący w Komissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Do JW. Prezesa Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiém.

W Warszawie, 12/14 maja 1860 roku.

Nr $\frac{17718}{3328}$

«Miałem zaszczyt otrzymać reskrypt J. O. xięcia Namiestnika Królestwa, z dnia 11/23 maja r. b. nº 3032 następującéj treści :

» Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiém ustanowione, rozszerzywszy w ostatnich czasach zakres swych działań, odstąpiło pod niektóremi względami od Ustawy, Najwyżéj sobie nadanéj, a w szczególności od przepisów, zawartych w artykułach 15. 16. 27. 35. 36. 40 i 41.

» Ponieważ na zasadzie Art. 41. Ustawy Towarzystwa, wszelkie zmiany w téjże Ustawie, mogą mieć moc obowiązującą, dopiero od chwili ich zatwierdzenia przez Namiestnika Królestwa, przeto po poniesieniu powyższego stanu rzeczy do najwyższéj wiadomości, Najjaśniejszy Cesarz i Król rozkazać raczył co następuje :

1.) » Rząd zatwierdziwszy sposób zarządzania czynnościami Towarzystwa Rolniczego, za pośrednictwem Komitetu, z grona jego wybranego, miejsce i czas zebrań członków Towarzystwa, jako też czas i miejsce dla rozdawania nagród, znajduje utworzenie wszelkiego rodzaju poddziałów do zarządu i prowadzenia czynności Towarzystwa, zupełnie nieodpowiedniém istotnemu duchowi Ustawy, i mogącém spowodować rozliczne niedogodności; wskutku więc tego, delegacye tak okręgowe jako i wydziałowe, z wyłączeniem jedynie tych, o jakich jest mowa w art. 36. Ustawy, jako też wszelkiego rodzaju komitety, oprócz ustanowionego art. 15. Ustawy, od obecnéj chwili wzbronione zostają. — Członkowie Towarzystwa, nienależący do Komitetu, o jakim mówi art. 15. Ustawy, mogą wspólnie działać tylko na ogólnych zebraniach Towarzystwa. — Z resztą, nie wzbrania się Komitetowi Towarzystwa wyznaczenie delegacyj czasowych z dwóch lub trzech członków złożonych, dla sprawdzenia jakiego pojedynczego faktu, zasługującego na szczególną uwagę i wyłącznie do rolnictwa odnoszącego się; wszakże takie tymczasowe delegacye, po złożeniu Komitetowi swojego doniesienia, winny się bezzwłocznie rozwiązywać ; ocenienie zaś i poprzednie kwalifikowanie przedmiotów gospodarstwa wiejskiego, oraz wynalazków, roztrząsaniu Towarzystwa ulegających, należéć winno do Komitetu, i następnie przedstawiane być ma do uznania Towarzystwa.

2. » Towarzystwo, podczas corocznego posiedzenia publicznego, w miesiącu czerwcu odbywanego, winno,

w myśl art. 40. Ustawy, rozdawać na témże posiedzeniu medale i inne nagrody, przez siebie przyznane. — Osobom zaś nieobecnym na ogólném zebraniu, Komitet, przyznane nagrody będzie w obowiązku przesyłać, dla doręczenia, za pośrednictwem władzy administracyjnéj, to jest : gubernatorów cywilnych.

3.) » Ponieważ wszelkie tłumne zebrania ludności i odbywanie konkursów, mogą mieć miejsce jedynie za zezwoleniem i decyzyą Władz Rządowych, nie zaś z zarządzenia jakiegokolwiek bądź Towarzystwa, lub jego delegatów, którym nie służy do tego żadne prawo : przeto odbywanie konkursowych prób, do rolnictwa odnoszących się, wyścigów konnych, i wszelkich wystaw płodów rolniczych, może następować jedynie tylko za oddzielnemi upoważnieniami Rady Administracyjnéj.

» O takowéj Woli Najwyższéj, Jego Książęca Mość polecił mi zawiadomić niezwłocznie Towarzystwo Rolnicze i dopilnować skutku.

» Spełniając niniejszém rozkaz J. O. Księcia Namiestnika, mam zaszczyt uprzejmie upraszać J. W. Prezesa, o przedsięwzięcie stosownych środków, celem wykonania powyżéj wyrażonéj woli Najjaśniejszego Pana. »

Radca Tajny (*podpisano*) MUCHANOW.
Dyrektor Kancelaryi (*podpisano*) GUDOWSKI.

Dokument ten, sam z siebie, jest dosyć jasny, aby potrzebował, z naszéj strony, obszernego wykładu. Dość przypomnieć, jakie przyczyny wywołały Towarzystwo rolnicze w Królestwie, jakie były środki jego działania, aby zrozumieć całą donosność niniejszego reskryptu, i ważność nauki, która zeń wypływa.

Kiedy przed trzema laty zapowiedziano reformę włościańską, widoczném było od razu, że kraj nasz jakkolwiek dla niéj życzliwie usposobiony, nie może się prze-

cież obejść bez pewnego przygotowania. Potrzebowali obywatele rozważyć społem, jak urządzić swoje gospodarstwo, aby przy zmienionych stosunkach, reszty dochodów i majątku nie stracić ; potrzeba było włościan zachęcić do myślenia o sobie, nim nadejdzie pora, w któréj nikt za nich myśleć nie będzie ; potrzeba było ubezpieczyć harmonią ludności wiejskiéj, aby wśród przemian i w waśniach sąsiedzkich, nie utonęła produkcya rolnicza. Tym naglącym i oczywistym potrzebom odpowiedzieć miało, w Królestwie Polskiém, Towarzystwo rolnicze. Dla narad właścicieli utworzyło sesye okręgowe ; dla zachęcania włościan urządzało wystawy i konkursa ; dla przekonania ludności uboższéj o życzliwości bogatszych, rozdawało nagrody za pracę, wierność i życie uczciwe. Wszystko to, powtarzamy, było prostém następstwem reformy włościańskiéj i istniejących w kraju stosunków ; wypływało z ducha Towarzystwa, i nietylko w niczém ustawie jego nie sprzeciwiało się, ale było niejako niezbędném jéj rozwinięciem. To wszystko znosi dzisiaj p. Muchanow ! A niedość na tém, że stowarzyszonym zabrania najważniejszych zajęć, burzy on jeszcze organizacyą Towarzystwa, pozbawia Komitet regularnéj pomocy, utrudnia spółdziałanie członków. Jednym pociągiem pióra, odcina wszystko, cokolwiek stanowiło istotną wartość Towarzystwa dla kraju, zostawia mu tylko imię — dla zagranicy.

Wyznajem, że chociaż rząd rossyjski przyuczył oddawna Polaków do wszelkiego rodzaju bezprawiów, udało się jeszcze panu Muchanowowi zadziwić nas tym razem, i sądzimy, że gdyby go zapytano o powody obecnego reskryptu, możeby niełatwo znalazł odpowiedź. Wié on przecież, że działania Towarzystwa były jawne, otwarte i że nic, poza niemi, nie kryło się ; wié, i lepiéj niż ktobądź, że stowarzyszeni nie dopuścili się ani jednego uchybienia przepisom rządowym, i że tak dobrze na walnych zebraniach jak na okręgowych zjazdach, nawet

niedotykali kwestyj, mogących choćby najlżejsze wzbudzić podejrzenie. Dać obywatelom wyższe i ogólniejsze zajęcie, i odwieść ich od marnotrawienia sił swoich i czasu ; w włościanach rozbudzić zamiłowanie do ulepszonego gospodarstwa i przemysłu wiejskiego ; w ten sposób pracę i bogactwo narodowe podwoić : to było głównym celem Towarzystwa, ale i główną jego winą— w oczach Rossyan !...

Wyrzeczono trafnie : żaden naród rządzić drugim nie powinien, bo żaden nim rządzić nie umie. Cudzoziemiec rozkazujący podbitemu ludowi, jeśli zada sobie trud poznania jego uczuć i dążeń, ta chyba na to tylko, aby je tém boleśniéj obrażał, aby niemi poniewierał. Im dokuczliwiéj on dręczy, im więcéj słyszy w okół siebie klątw i złorzeczeń, tém bardziéj czuje się panem, tém chętniéj ufa swojéj wielkości. Oto, od lat wielu, po raz pierwszy, jedna prowincya polska miała sposobność, połączonemi siłami, dźwignąć swój byt materyalny : i wnet rzucili się wszyscy na to pole, pracując spokojnie, statecznie, wytrwale, pomijając lub odkładając wszystkie inne zadania. Ale nie mógł ścierpieć tego widoku rząd rossyjski, i bez celu, bez potrzeby dla siebie, daje nam uczuć swą rękę duszącą, przypomina, że póki on w Polsce panuje, niemasz dla Polaków ani spokoju, ani możności normalnego życia. « Takie jest przekleństwo zbrodni, mówi poeta, że rosnąc same tylko zbrodnie płodzi... »

ADRES GALICYI DO CZŁONKÓW RADY PAŃSTWA.

Kraków, w końcu maja, 9 czerwca.

Wiadomo wam przez dzienniki, że rząd austryacki, przyzywając do Rady Państwa reprezentantów różnych narodowości, z Galicyi trzech obywateli do tejże Rady powołał : pp. Starowiejskiego, Kraińskiego i Polańskiego. Być może, że wybór ten nie jednego zadziwił ; nie wahano się przecież uznać w nich, do pewnego stopnia, reprezentantów prowincyi i postanowiono napisać do nich list otwarty, z wyrażeniem najgłówniejszych naszych żądań i potrzeb. Oto jest text dosłowny tego pisma, które w kilku egzemplarzach krąży po Galicyi, a jak dotąd, nikt jeszcze nie odmówił na niem swojego podpisu :

» *Do panów Starowiejskiego, Kraińskiego i Polańskiego, powołanych z Galicyi do zasiadania w Radzie Państwa.*

» Szanowni Współobywatele ! Wysokie stanowisko jakie z woli Najjaśniejszego Cesarza zajmujecie, wkłada na Was obowiązek przemawiania w sprawach prowincyi polskiéj pod berłem austryjackiém zostającéj.

» Uczucie tego obowiązku skłoniło Was, jesteśmy tego pewni, do zajęcia miejsca, z którego potrzeby tego kraju i jego dolegliwości, otwarcie wypowiedzieć i interesa jego popierać będziecie mogli.

» Uznajecie bez wątpienia, panowie, iż gdy nie jesteście reprezentantami kraju, brakować Wam będzie téj podstawy, jaką wybór i objawione życzenia kraju nadają. Czujemy, podpisani tu Wasi ziomkowie, zarówno może z Wami, tę położenia Waszego trudność; przeto postanowiliśmy przyjść Wam w pomoc wyraźném chociaż poufném udzieleniem zdania części współobywateli Waszych o jednéj z pierwszych potrzeb kraju.

» Niewiadomo nam jaki będzie zakres dozwolonego członkom Rady Państwa działania i wpływu; czy i jak w interesie właściwych, rodzinnych prowincyj będą mogli, dobrani z owychże Radcy, przemawiać. Lecz w każdym razie wypowiedzieć się godzi, panom, otwarcie myśl naszę, abyście, jeżeli i Wy tak sądzicie, wzięli ją w Waszém występowaniu urzędowém za główne tło Waszego dążenia i działania.

» Najmocniejszém naszém i wszystkim nam wspólném przekonaniem jest, że dla naszéj, do cesarstwa austryackiego przydzielonéj prowincyi, wszelkie organiczne urządzenia większą lub mniejszą miarę politycznych swobód udzielające, mało znaczącą będą dla nas korzyścią, dopóki żywotny warunek naszego istnienia, w charakterze i znamionach narodowości przez Boga nam nadanéj, nietykalnie utrzymanym nie będzie. Narodowość jest treścią życia, exystencyą samą każdego plemienia, a nam Polakom, nawet osobnemi międzynarodowémi traktatami zapewnioną została.

» W tém to przekonaniu sądzimy, że Panowie nie pominiecie żadnéj sposobności, przez którą moglibyście dla naszéj prowincyj odzyskać dotąd jéj, przez władze, odmawiane warunki narodowego życia, a mianowicie:

» 1°) Aby mowa nasza polska była językiem wykładowym po wszystkich szkołach i uniwersytetach prowincyi naszéj, bez czego, ani czystości mowy ojców naszych zachować, ani prawdziwéj oświaty kraju osiągnąć nie można;

» 2°) Aby na ziemi naszéj ojczystéj, wszelkie czynności władz sądowych i administracyjnych, w języku krajowym, prowadzone były;

» 3°) Aby wszelkie rozporządzenia Rządu pod powyższemi względami wydane, w ich ogłoszeniu i wykonywaniu przed dotychczasową dowolnością władz zabezpieczone zostały;

» 4°) Aby w zapowiedzianéj dla naszych ziem organizacyi okręgów i prowincyi całéj, w zgromadzeniach téj organizacyi odpowiednich, mowa nasza przyrodzona była uznaną za urzędownie właściwą;

» 5°) Aby nasze usiłowania w dźwiganiu narodowéj naszéj oświaty, literatury, sztuki, doznawały swobody, a nawet opieki i pomocy Rządu; aby troskliwość o zachowanie naszych narodowych tradycyj i pamiątek, nie były podawane jako objaw przewrotnych dążności.

» Ograniczamy się na objawieniu tych życzeń naszych, które za zgodne z życzeniami wszystkich ziomków i z Waszemi także uważać nam wolno, zamilczając o innych botrzebach i smutnych bytu materyalnego, w kraju naszém, warunkach. Przez ten krok ku Wam posunięty, niechcemy bynajmniéj ścieśniać Waszéj osobistéj wolności w zdaniu i czynie, ani Was w trudności popychać; lecz owszém pragniemy, jak wspomnieliśmy wyżéj, Wasze położenie ułatwić wypowiedzeniem zdań współobywateli, którzy z należném dla Was, Panowie, uszanowaniem podpisy swe własnoręczne domieszczają.

W maju, 1860.

Takie są żądania naszéj prowincyi. Dla ścisłości muszę dodać, że początkowo nie wszyscy byli za napisaniem tego listu. Wiele głosów poważnych odzywało się,

że ta świeżo przetworzona Rada Państwa żadnéj ufności wzbudzać nie może, że jéj zakres działania nader ograniczony, a władza żadna. Przytém mówiono, że gdy owych trzech obywateli nie prowincya wysyła ale rząd powołuje, wypada nam pójść za przykładem niektórych Węgrów i wstrzymać się od udziału w téj instytucyi. Ale na to odpowiadano, że insze jest położenie nasze, a insze Węgrów; że niemając téj co Madziary siły, nie powinniśmy żadnéj opuszczać pory, aby upominać się o swoje prawa, o zadość uczynienie najważniejszéj z potrzeb; że chociaż Galicya innych może ludzi powołałaby na swych reprezentantów, roztropność nakazuje wyborowi nie sprzeciwiać się, ale owszem wskazać warunki, pod jakiemi ci trzéj wspomnieni obywatele zyskać mogą zaufanie prowincyi. I to zdanie przemogło. Dwa projekta owego listu były przygotowane w Krakowie. Jeden z nich, jakkolwiek zalecał się równie żywością uczuć jak wykończoną formą, nie odpowiadał może innym względom; zgodzono się na drugi projekt, dla tego że z większą był napisany miarą, chociaż samą redakcyą dowodził, jak koniecznie są domagania nasze, aby język polski w wykładzie szkolnym był przywrócony.

Cóżkolwiek bądź, żądania w tym akcie wyrażone przynoszą zaszczyt Galicyi. Oto ziemia ta, najdawniéj od pnia rodzinnego oderwana, tyloma nieszczęściami i klęskami doświadczona, przy pierwszéj jaka się nawinęła sposobności, przerywa milczenie, i pierwszym aktem publicznym, pierwszém życzeniem jawnie oświadczoném ogłasza, że jest ziemią polską, i polską chce zostać. Nie jedno złe jéj dolega, straszliwa nędza jéj ciśnie: przecież przedewszystkiem, żąda ona zachowania mowy ojców, poszanowania dawnych wspomnień, jedném słowem narodowości. Nie raz z boleścią słyszałem posądzenie, że Galicya umarła, wyrzuty, że usnęła snem letargicznym. Otóż nie umarła, nie spała, lecz wycieńczona cierpieniem, spoczywała w milczeniu. Dziś prze-

mówiła z rozwagą, z umiarkowaniem i w słowach, których sam spokój świadczy o głębokości uczucia. — Rzecby można, że od niejakiego czasu, iskra nowego życia w niéj roztlała, ocknęła się działalność, zbliżyły się umysły, rozbudzają się żywioły, zdolne, mimo przeszkód i trudności, utrzymać od Boga daną nam narodowość. Ufajcie z nami, że doświadczenie krwawo okupione straconém nie będzie, żeśmy przecież w politycznym zawodzie do pewnéj przyszli dojrzałości, że zdołamy nadać miarę konieczną uczuciom i działaniu naszemu. Nie nam to, tak zawsze nieszczęśliwym, odważać się na gry hazardowne; więc i błędne wskazówki potrafimy odepchnąć. Był czas, wyznaję, w którym cierpienie sprowadziło w kraju naszym gorączkę. Gorączka nie jeden obłęd zrodziła, a najniebezpieczniejszym z nich było, u niektórych, owo nachylenie się ku Rossyi, nie przez życzliwość dla niéj, to prawda, owszém tylko przez nienawiść do tego, co u siebie widzimy, ale był to zawsze objaw fatalny. Dziś, i to chorobliwe, gorączkowe pragnienie minęło; wrócił zdrowy sąd, i w dążnościach dzisiejszych nie dojrzysz już owych zboczeń szkodliwych i wyskoków. Prostą drogą postępując domagać się będziem praw naszych, żadnemu przedawnieniu nie uległych, uroczystemi zaręczeniami zapewnionych, a będących głównym warunkiem naszego obecnego i przyszłego życia.

Po długich latach szału, hulanki, rozpusty, następnie po chwilowéj rozpaczy i dziesięcioletniém odrętwieniu, nadchodzi dzisiaj pora upamiętania się i odżycia. To upamiętanie się w dawnych naszych wadach jest już widoczne, wzrost ku szlachetniejszym dążnościom, ku pożytecznym zajęciom, powszechny. Za zawód mogłyby posłużyć utworzone już lub powstające różnego rodzaju stowarzyszenia, mogłyby posłużyć rozbierane po dziennikach kwestye niemałéj dla prowincyi wagi, ożywiony ruch piśmienniczy niepoślednjejszy od tego, jaki się w innych objawia prowincyach, niezaprzeczone postępy

krajowego gospodarstwa, nakoniec wyrabiający się duch publiczny, który dwie wyższe klasy, szlachtę i mieszczan, coraz silniéj ogarnia, przybliża do siebie i w wspólnych dążeniach jednoczy. Ale mimo tych ulepszeń, mimo zbliżenia się klas wyższych, zataić nie można, że związek ludu wiejskiego z szlachtą i mieszczaństwem, jeszcze bardzo słaby. Przepaść otwarta między niemi, chociaż nie rozszerza się, nie zapełnia się téż bynajmniéj. Lud jeszcze nieufny, jeszcze wprost w oczy nie patrzy. Tylko ten objaw można w nim uważać z pociechą, że się okazuje nienawistnym Rossyi. Lud nienawidzi jéj bo się jéj lęka, bo ją uważa za uosobienie niewoli i ucisku niższych. I gdyby kiedykolwiek przyszło do wojny między Austryą i Rossyą, lud Galicyjski, bez względu na to, jakieby były widoki szlachty i mieszczan, rzuciłby się namiętnie i z zapałem na Rossyą; rząd znalazłby w nim, niezaprzeczenie, najmniéj pięćdziesiąt tysięcy wyborowego ochotnika.

Przed kilkoma laty, takę uwagą słyszałem w Wiedniu, z ust jednego z dygnitarzy austryackich. « Ze wszystkich prowincyj, najmniéj niepokoju sprawia nam Galicya. Baliśmy się was przed rokiem 1846, nie boimy się dzisiaj. Mamy w Galicyi siłę, stokroć mocniejszą od waszéj. Co innego Węgrzy!...» I wistocie, ta jedność, która ożywia cały naród węgierski, ta spójność która łączy wszystkie jego klasy, jest przyczyną, że żądania Węgrów będą zawsze w Wiedniu ważyły, że rząd zmuszony jest na nich oglądać się, i choćby, czas jakiś, mógł im się opierać, wcześniéj czy późniéj ustąpi. Ale co jeszcze Madziarom dodaje siły i znaczenia, to owa wspólność kierunku dla wszystkich, owa powolność jaką naród cały, szlachta, mieszczanie i chłopi, okazuje kilku ludziom stojącym na czele narodowego ruchu. Co powie Apponyi, Waldstein lub Dehak, można zaręczyć, że cała ludność powtórzy; z czém się odezwie jeden Magyar, przy tém uparcie wszyscy stać będą. Takiego połączenia dążeń, takiéj oględności i wzajemnéj uległości w opiniach, nam w Galicyi brakuje; i oto główne źródło naszéj ogólnéj niemocy. Dopóki prowincya nasza nie zdobędzie się na grono ludzi, którzyby otoczeni powszechną ufnością, siły wszystkich połączyć umieli, dopóty trudno uwierzyć, abyśmy z naszych trudów i ofiar jakiś pożytek odnieśli. Mogliśmy jak dotąd, siedząc na wsi i dręcząc się domowémi kłopotami, nie troszczyć się o zgodność działania, jedni o drugich nie wiedzieć; ale dzisiaj, kiedy droga publicznego życia i dla nas zdaje się być otwartą, niebezpieczno jest na nią wchodzić, niebezpieczno rozpoczynać walkę, bez obmyślenia jednostajnego planu, kierunku i wykonania. Ufajmy, że ów pierwszy zgodny krok wszystkich mieszkańców Galicyi, potrzebę następnych ukaże i dalsze porozumienie się ułatwi.

KONSPIRACYJNA IDEOLOGIA I PRAKTYKA POLICYJNA.

16 czerwca.

Powtórzywszy w ubiegłym miesiącu, w całéj rozciągłości, interpelacyą deputowanego Niegolewskiego, wstrzymaliśmy się od wszelkich nad nią uwag, czekając na listy władz poznańskich w Izbie pruskiéj złożone. Sądziliśmy, że ta ciekawa ze wszech miar korespondencya, polskiemu czytelnikowi nastręczyćby powinna wiele myśli uczących i uderzających zestawień, które w mowie do Niemców powiedzianéj, miejsca znaleźć nie mogły. Tych listów nie odebraliśmy do dziś dnia; wracamy jednak do téj sprawy, bo ona w dalszym swym, na miejscu, rozwoju, coraz lepiéj wyjaśnia i cel, i zwyczajne środki działania policyi pruskiéj w Poznaniu.

Od kilkunastu dni, jak donosi *Dziennik Poznański*, rozchodziły się po całém Księstwie zastraszające pogłoski, złośliwą a systematyczną kierowane ręką. W ostatnim zwłaszcza tygodniu, przy zbliżającéj się uroczystości *Bożego Ciała*, pogłoski te nabrały szczególnéj siły i znajdowały skwapliwy posłuch, nietylko

wśród gminu, ale i klas wykształconych, bez różnicy wyznania i narodowości. «Opowiada sobie lud prosty» (pisze *Dziennik* w wilią samegoż święta), powtarzają i wykształceńsi, że na Boże Ciało ma przyjść do jakichś rozruchów, że życie wszystkich Polaków zagrożone; że osoby z niechęci ku nam znane, tajne po nocach odbywają schadzki; że narzędzia mordów w gotowości czekają krwawego swego przeznaczenia, przyczém wieść pokątna nie waha się wymienić ulicy i domu, gdzie te mniemane zapasy mają być jakoby złożone; że wojsko z ostrémi, nie wiadomo przeciw komu, ładunkami na straże zaciąga; że hasłem czy też pozorem do zapowiedzianych rozruchów ma być niby przypadkowa obelga symbolom wiary naszéj, w czasie procesyi Bożego Ciała, wyrządzona. Błagając czytelników, aby zbytecznéj tym wieściom nie dawali wiary, *Dziennik Poznański* zachęca, żeby z tém samém co od wieków pobożném uczuciem, brali udział w tegorocznych procesyach Bożego Ciała, ale z wyjątkową roztropnością, trzeźwością, i panowaniem nad sobą. «Należy pamiętać, mówi on, w swym pięknym i prawdziwie obywatelskim artykule, należy pamiętać na złość ludzką i nie dać się porwać, dla miłości tego kraju, dla miłości narodu, dla miłości Pana Boga, do żadnego odwetu ni wybryku ulicznego, boby się to tylko na korzyść nieprzyjaciół tego kraju, tego narodu i tego Boga, który jest prawdą i dobrém najwyższém, obrócić mogło. Chociażby się nawet zdarzyć miała jaka pojedyncza oznaka nieuszanowania dla obrzędów wiary naszéj, należy jéj dochodzenie i ukaranie zwyczajnéj władzy wykonawczéj i sądom pozostawić, a nawet zupełną i poważną pokryć nieuwagą, Panu Bogu i sumieniu świętokradzcy pozostawiając, na ten raz, wymiar sprawiedliwości. A należy tak się zachować wszędzie, wszystkim, przez cały tydzień Bożego Ciała; starsi winni przykazać to młodszym i mniéj doświadczonym, i czuwać żeby tak się stało... »

Chociaż artykuł wspomniony nie wskazywał nikogo, żadnemu przecież z jego miejscowych czytelników nie było tajném, kto jest rzeczywistym sprawcą tych zastraszających pogłosek i podżegaczem przewidywanych rozruchów. Nastawić ludzi dla wyrządzenia obelgi, obelgą zmusić do odporu i bójki ulicznej, zawezwać wojska, kazać mu strzelać, i chwilowemu zamieszaniu dać rozgłos i rozmiary przygotowanej oddawna rewolucyi: plan tak chytrze, tak głęboko obmyślony, mógł być dziełem chyba tych tylko ludzi, co potrzebowali i przeszłość swą zasłonić i obronić się od śledztwa, które po mowie p. Niegolewskiego było już niechybném. Wszyscy więc domyślili się od razu zkąd owe pociski grożą miastu i prowincyi; wszyscy na dnie téj intrygi widzieli utajoną rękę — Dyrektora policyi.

Ale nieprzyjaciel tego rodzaju, jak p. Baerensprung, chociażby powszechnie był znany, niemniéj przecież niebezpiecznym być może. Co umié, na co odważyć się zdolna jest policya, pod kierunkiem takiego urzędnika, wykazał akt oskarżenia p. Niegolewskiego, wykaże, mamy nadzieję, jeszcze dokładniéj, rozpoczęte w Poznaniu śledztwo, jeśli sumiennie prowadzoném będzie. Biada prowincyi, któréj losy powierzone są człowiekowi, co w ręku swojém tyle ma środków, a zarazem tak wiele powodów, aby ją zgubił! Trzy-licowy Janus poznański, p. Baerensprung, potrafił złączyć w swéj osobie trzy całkiem odmienne role, a z każdéj wywiązał się po mistrzowsku. — Był poznańskim rewolucyonistą, pruskim dyrektorem policyi, niemieckim, na Polskę zawziętym publicystą. Jako naczelnik komitetu rewolucyjnego w Poznaniu, przemawiał do całéj partyi rewolucyjnéj w Europie, wywoływał spiski i wybuchy; we Francyi do królobójstwa, w Polsce do rzezi szlachty i duchowieństwa podżegał. Posyłał pieniądze na druk manifestów, przedrukowywał je w Poznaniu, przedrukowane po całém Księstwie rozsyłał; zapraszał emisa-

ryuszów, dostarczał im paszportów na drogę. Kilku rodaków naszych w Paryżu, upewniało nas, że już po aresztowaniu Rewita, odebrali, jakoby od niego, ale obcą pisane ręką listy, z namową, aby czémprędzéj przyjeżdżali do Poznania, bo tam znajdą wszelkie ułatwienia i bezpieczeństwo (1). — Jako naczelnik policyi, czyhał p. Baerensprung, rzecby można, na swoje własne konspiracyjne zamachy; śledził podstępnie sprowadzonego emisaryusza; aresztował i jego i tych wszystkich, do których za fałszywą policyi wskazówką, udał się był nieszczęsny Rewit. W ten sposób, p. Baerensprung, co, w masce konspiratora, uknuł sam w imieniu Polaków, o to później, w mundurze dyrektora policyi, oskarżał prowincyą przed rządem, przeciw temu jako przysięgły urzędnik świadczył przed trybunałami. — Ale nie na tém kończyła się jego gorliwość. Konspiracyjnym knowaniom i policyjnym odkryciom należało dać rozgłos, bo inaczéj nie miałyby celu; należało Polaków wobec sejmu i rządu rozbroić, wobec świata ohydzić, jako nieuleczonych rewolucyonistów. I z tego samego miejsca, zkąd zapraszano emisaryuszów z emigracyi, zkąd późniéj wydawano rozkazy ich aresztowania, rozchodziły się współcześnie do gazet niemieckich korespondencye o polskich agitacyach, a wnosić trzeba, że korespondent

(1) Oto jest treść listu pisanego w Poznaniu, na kilka dni przed 1 stycznia 1859, ale już po aresztowaniu Rewita, które, jak wiadomo, w d. 21 grudnia nastąpiło. Donosi Rewit, że z przyczyny nadzwyczajnych mrozów jakie są w Poznaniu, ręce sobie poodmrażał, tak że sam pisać nie może, ale go przyjaciel wyręcza. Uwiadamia, że przybył szczęśliwie i znalazł przyjęcie jak najlepsze, że rzeczy stoją lepiéj niż się spodziewał. Oburzenie w ogólności panuje, a szczególniéj w ludzie wiejskim. Jest poświęcenie, ale zbywa na ludziach, którzyby pojmowali dobrze sprawę. Wzywa wkońcu, aby przybywali jak najprędzéj, pieniądze i ułatwienia znajdą w Poznaniu; sam wyjeżdża, gdyż chce na nowy rok być w Krakowie. — List zaczynał się: *Kochany bracie*, kończył się: *pozdrowienie i braterstwo*. Adres: *Madame Buch, Wilhelm's Platz, 14, Posen.*

uchodził za dobrze informowanego. Co większa, w tych samych biórach policyi poznańskiéj, układano pewnego rodzaju peryodyczne, *poufne* pisemko, w którém wszystkie odezwy rewolucyjne, redakcyi p. Posta, i wszystkie artykuły podobnéj treści, jakie w polskich pismach znaleźć się mogły, skwapliwie powtarzano i udzielano tajemnie, jako ostrzeżenie, władzom pruskim, austryackim i rossyjskim.

Takie były trzyletnie prace p. Baerensprunga, mozolne, wszechstronne, przebiegłe ; ale wyznać trzeba, rezultatem wcale nieuwieńczone. Pomimo manifestów i emisaryuszów, nie udało się ani jednego zawiązać spisku ; nie udało się nawet, w czasie ostatniéj uroczystości Bożego Ciała, choćby chwilowy wywołać rozruch. Kraj, jak był, pozostał w patryotycznych uczuciach, lecz dojrzalszy w sądzie politycznym, odpychający ze wstrętem niecne poduszczenia. Zwracano policyi rozsyłane przez nią proklamacye, i ani lud przeciw duchowieństwu i szlachcie pobudzić się nie dał, ani żaden z najniecierpliwszych miłośników sprawy ojczystéj nie wpadł w zasadzkę. Był czas, to prawda, w którym, wśród rozjątrzenia i rozpaczliwych uniesień, może nawet bystrzejsze umysły nie byłyby się usunęły od wspólnictwa w działaniach tego rodzaju, poszukując wszelkich, choćby najmniéj bezpiecznych i najmniéj godziwych środków dźwignienia ojczyzny. Ale czas ten przeszedł, mamy nadzieję, niepowrotnie ; p. Baerensprung idąc dzisiaj za wzorem, jaki biórokracya galicyjska stawiła, lat temu czternaście, dopuścił się ciężkiego anachronizmu, który, choćby jemu uszedł bezkarnie, dla nas, w każdym razie, nie przejdzie bez korzyści.

Doświadczenie twardą ale uczącą jest szkołą. Wszakże nie samemu tylko doświadczeniu, przez które przeszliśmy, przypisać trzeba, że Wielkopolska unikła sideł misternego łowcy. Wspomniany artykuł *Dziennika Poznańskiego* wzywając mieszkańców do spokoju i podwojonéj

w dzień Bożego Ciała roztropności, w tych wyraził się słowach : « mały zastęp spokojnych, powołanych, doświadczeńszych obywateli wystarczy do czuwania... reszta może i powinna swoich pilnować zatrudnień. » Otóż, że w Poznańskiém, taki zastęp utworzył się, że tych kilkunastu ludzi, którzy Koło Polskie składają, i sumienie własne, i sumienie publiczne do ciągłéj powołuje straży, i że oni, nietylko wobec swych mandantów, ale wobec całego narodu czują się odpowiedzialnymi : to jest i zaszczytem nas wszystkich i nagrodą Wielkopolski za jéj prace i poświęcenia, którémi, w ostatnich zwłaszcza latach, o tyle przeszła inne polskie ziemie. A że tych ludzi ufność otoczyła powszechna, że cała prowincya ich radom powolna, swoje chęci i dążenia wedle nich szykuje : to w tém właśnie widzimy, tę siłę, co mieszkańców Wielkopolski od zdrad i pocisków głównie ubezpiecza. Rozbici i odosobnieni, uledzby musieli w walce z machiawelizmem urzędniczym, opartym na jawnéj rządu niechęci i na przewadze obcego, nieprzyjaznego żywiołu ; związani wspólnością kierunku, na dzisiaj znaleźli ochronę ; znajdą i na przyszłość lepszego losu rękojmią, jeżeli ta czujność i gorliwość, którą Kołu Polskiemu każdy dziś przyznaje, trwać będzie stale, nieprzerwanie, od spraw i zajęć domowych niezawiśle.

Ale oceniając roztropność, z jaką mieszkańcy Księstwa ominęli zasadzki p. Baeresprunga, nie możemy wstrzymać się od głośnego uznania niepospolitych w téj sprawie zasług p. Niegolewskiego. Okazał on nietylko bystry pogląd, ale szczere przejęcie się rzeczą i niezwykłą, jak u nas, wytrwałość. Nie zniechęcił się trudnościami : z narażeniem spokoju, zdrowia, może bezpieczeństwa, trwał w niezmordowanych poszukiwaniach, dociekł prawdy, ogłosił fakta i dowody, i jeżeli w nieprzychylnych dla narodu naszego słuchaczach, żadnego inszego nie zdołał obudzić uczucia, wstyd w nich przynajmniéj

wywołał. Wstydem zapłonął sejm berliński, ze wstydu umilkło dziennikarstwo niemieckie, starając się utaić przed Europą tak gorszące pruskiéj biórokracyi postępki. Wysocy dygnitarze pruscy w Poznaniu, pp. Mirbach i Knebel, uczuli się zmuszeni, przed polską publicznością, ogłosić swoje tłumaczenia, i w nich, gdy nie śmieli zaprzeczać udowodnionym przeciw policyi zaskarżeniom, siebie przynajmniéj pragnęli oczyścić. A chociaż nie wiemy dotąd, czy rząd pruski, w interesie własnego honoru, będzie dążył do zupełnego wykrycia i ukarania nadużyć policyi, to jednak z tego co już zaszło, wnosić można, że sprawa ta, w żadnym razie, nie przejdzie tak cicho i gładko, jak zeszłoroczne dochodzenie o przedruk proklamacyj.

Nim skończym, jeszcze jednę pragniemy dodać uwagę, którą nam interpelacya p. Niegolewskiego nastręcza. Kiedyśmy zeszłego roku kilkakrotnie wykazywali niedorzeczność planów konspiracyjnych i podżegań do wybuchu, jakie się w niektórych pismach emigracyjnych pojawiały, niedomyślaliśmy się wcale, że słowa nasze tak blizki miały stosunek z tém, co się działo współcześnie, w jednéj z polskich prowincyj. I dzisiaj, niechcemy nikogo zadrasnąć przypomnieniem, że plany naszych przeciwników, wprawdzie po swojemu, wykonywał podówczas wspólny nasz nieprzyjaciel; nie chcemy nawet partyi rewolucyjnéj w Londynie zbyt ostro przyganiać, że tak łatwo uwierzyła w to, czego pragnęła, że jak ptak nieostrożny dała się zwabić ptasznikowi, który głos jéj dość zręcznie udawał. Owszem, gotowi jesteśmy uznać to uczucie, które członków londyńskiéj demokracyi skłoniło, iż z rąk swoich wydali tak stanowcze przeciw pruskiéj policyi dowody, bez względu na to, że też same dowody, i ich, w opinii ziomków potępią. Więc odkładając na bok wszelkie wyrzuty i rekryminacye, i w porażce naszego wroga szukając tego tylko, coby nas zbliżyć i polskie siły podwoić mogło,

pozwolimy sobie stawić to proste pytanie. Coby się stało, gdyby p. Niegolewski nie był wpadł na trop konspiracyi policyjnéj, i gdyby policya poznańska miała czas doprowadzić do ostatniego rezultatu, zabiegi Związku londyńskiego przez nią wywołane? Niedopuściłby zapewne p. Baerensprung nic takiego, co przygotowanemu wybuchowi jakążkolwiek siłę lub powagę nadaćby mogło; ale z chęcią zgodziłby się na wszystko, cokolwiek szkodę by przyniosło prowincyi i całemu narodowi. Znalazłszy tego rodzaju szaleńców, którzy w kilkunastu lub kilkudziesięciu gotowi byliby wydać wojnę trzem rządom i dziesięciu armiom, zostawiłby im niezawodnie tyle czasu, ile go potrzeba dla zrobienia wrzawy w całéj Europie i dla wydrukowania manifestów, owych to zwłaszcza manifestów, które nawet policyi poznańskiéj wydawały się za radykalne. A wówczas, czyż trudno obliczyć, jakieby ztąd klęski spadły na prowincyą, jaki wstyd dla imienia polskiego, jaki cios sprawie naszéj zadany?...

Przed niejakim czasem, pewien wysoki dygnitarz pruski opowiadał jednemu z świeżo przybyłych do Poznania, jego własne życie, o którém wywiedział się był dokładnie z policyjnych papierów. «Kiedy Pan znasz tak dobrze moję biografią, rzecze podróżny, to musisz i o tém pamiętać, że barykad nigdy nie stawiałem.» — «Bez wątpienia, odpowiedział urzędnik, my też nie o takich najwięcéj troszczymy się, którzy stawiają barykady.» I wistocie, skoro na ziemi polskiéj, już tylko urzędnicy nieprzyjacielskich policyj zawiązują dziś spiski, sprowadzają emisaryuszów i przyrządzają wybuchy, to nie trzeba długiego namysłu, aby się przeświadczyć, że insze muszą być środki dźwigania ojczyzny, inne obowiązki Polaków, i że zachęty do konspiracyi i do rewolucyi, ani znajomości sprawy ani nawet patryotyzmu, nie są już dowodem.

RADY DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.

---

23 czerwca.

W przedostatnim numerze pisma naszego, umieściliśmy korespondencyą o adresie mieszkańców Galicyi, dopominającym się oględnie, ale nie bez godności o niektóre prawa gnębionéj i uciskanéj wciąż narodowości polskiéj. Korespondencya ta, podając uwagi nad obecném położeniem i usposobieniem Galicyi, stawiała zarazem prowincyi polskiéj za przykład, ową wspólność kierunku, jedność i wytrwałość, z jaką Węgrzy o swoje prawa u dynastyi habsburgskiéj się dobijają. Taki przykład i takie zestawienie politycznéj działalności Węgrów, wobec teraźniejszego położenia Galicyi, nasuwa się bardzo naturalnie każdemu, co śledzi i rozważa stosunek austryackiego rządu do narodów skazanych żyć pod jego duszącą opieką. Nie sami i nie pierwsi, podobno, użyliśmy tego zestawienia i zwrócili uwagę na podobieństwo zadań i położeń; uderza ono i pisma tutejsze, a dziennik *Journal de Debats* tak ostrożny i skąpy w wzmiankach narodowości naszéj dotyczących, wspomniał niedawno, w wstępnym swym artykule, jednocześnie o politycznych działaniach Węgrów i zaczynającéj się budzić do życia prowincyi polskiéj.

Być może, że ten pierwszy, na publicznéj drodze, krok mieszkańców Galicyi, zrobiony w czasie takim jak obecny, gdzie żadna oznaka życia, nie przechodzi bez uwagi — kto wie czy nie bez skutku — dał powód wysokiemu dygnitarzowi austryackiemu, bawiącemu w Paryżu, do powiedzenia, że przy tylu trudnościach, z jakiemi Austrya walczy obecnie, pojawia się nieprzewidziany wcale: *Polonizm! — decidément le polonisme se reveille*, dodał ze smutkiem austryacki dyplomata. Nieraz słowa wychodzące z ust nieprzyjaciół mogą służyć za dobrą, choćby chwilową tylko miarę postępowania; a jeśli już nie wyższe względy i obowiązki, to samo wyrzeczenie owe, mogłoby dla Galicyan być wskazówką, że kto się nie czuje dziś silnym i gotowym do otwartéj z rządem nieprzyjacielskim walki, ten przynajmniéj powinien być czujnym i bacznym, aby z obecnéj jego słabości korzystać i siły swe gromadzić i szykować na jutro.

To też powody i uczucia, jakie kierowały nami, gdyśmy prowincyi polskiéj przykład Węgrów stawiali przed oczy, są równie proste i jasne, jak z samego położenia rzeczy wynikające. Ocenią je bezstronni czytelnicy, zrozumieją je dobrze sami Galicyanie, najwięcéj interesowani w téj kwestyi i z blizka na sąsiadów swych zakarpackich patrzący. A przecież te powody i uczucia nasze, nie potrzebujące, zdawałoby się, tłómaczeń i komentarzy, posłużyły *Dziennikowi Poznańskiemu*, za pretext do drobnéj wprawdzie, ale niczém nie dającéj się usprawiedliwić przeciw nam wycieczki, wycieczki któréj celu ani pobudek zrozumieć nie możemy.

Pismo poznańskie, wspominając o korespondencyi w dzienniku naszym zamieszczonéj, przytacza z niéj ustęp, w którym mowa o téj wspólności zasad, jaka łączy cały naród węgierski, z kilkoma patryotami stoją-

cymi na czele ruchu, i taką przy tym ustępie dodaje uwagę : « Ponieważ wymienione węgierskie osobisto» ści, uchodzą za należące do tak nazwanego arystokra» tycznego stronnictwa narodowego, wnioskować się » ztąd godzi, że korespondent *Wiadomości* pragnie, żeby » Galicya zjednoczyła się moralnie pod przywództwem » mężów podobnychże zasad i zapatrywań. »

Tą razą nie możemy już kłaść na karb złego humoru takiego podsuwania nam intencyi, która ani w dnchu pisma naszego nie leży, do której przytoczone z artykułu słowa najmniejszego nie dawały powodu. Redakcya *Dziennika Poznańskiego* wié zapewne, że bywają dowolne przypuszczenia i sądy, robiące krzywdę tylko tym, co sobie takowych pozwalają. Do téj podobno kategoryi dowolnych sądów i przypuszczeń zaliczyć byśmy mogli wniosek *Dziennika* z przytoczonéj korespondencyi wyciągnięty.

Kiedy pismo poznańskie w artykule, którego patryotyzm i duch obywatelski podnieśliśmy niedawno, wzywało ludność wielkopolską do roztropności i umiarkowania; kiedy ją przestrzegało, że zastęp spokojnych, doświadczeńszych obywateli wystarczy do czuwania nad rzeczą publiczną, — gdyby wtedy, przypuszczamy, jaki młodociany, niedoświadczony umysł, chciał z owych tak stosownych do położenia słów wnosić, że redakcya *Dziennika* pragnie ducha narodowego przytłumić i oziębić: gdyby ktoś nieoględny i nierozważny posądził ją o reakcyjne dążności i uroił sobie, że *Dziennik* dla popierania *staro-konserwatywnych zasad*, jakiemuś zastępowi spokojnych obywateli każe czuwać nad dobrem prowincyi, a reszcie zaleca pilnować swoich zatrudnień, — gdyby przypuszczamy, ktoś podobnie nierozważny zarzut uczynić się ośmielił, zdziwiłaby się zapewne, oburzyła może, redakcya *Dziennika*. A przecież, wniosek z artykułu *Wiadomości* wyciągnięty, grzeszy nieledwie równą dowolnością w tłómaczeniu myśli, a w każdym

razie, nie opiéra się na słuszniejszéj, jak przypuszczony tu przez nas zarzut podstawie.

Gdzież to i kiedyż występowaliśmy w obronie *tak zwanych staro-konserwatywnych zasad ?* Któremuż to *arystokratycznemu stronnictwu* życzyliśmy sobie oddawać moralne przywództwo jakiejkolwiek prowincyi ? Redakcya poznańskiego pisma nie przypisywałaby nam może upodobań dla owych *staro-konserwatywnych* zasad, gdyby przypomnieć sobie chciała, cośmy niedawno jeszcze w piśmie naszém powiedzieli o historycznego imienia rodzinach, zachowujących z całéj przeszłości najczęściéj szkodliwe tylko tradycye i nałogi; mówiliśmy tam obszerniéj, jak rodziny owe, zamiast służenia rzeczy publicznéj i łączenia się w poczciwéj narodowéj dążności, wolą pojedynczo stawać, otaczać się choćby najlichszym dworem i w pokątnéj prywacie lub bezczynności marnować, rozbijać siły, tak potrzebne dla wspólnego działania. Jeśli nie zachęcaliśmy nigdy do jednoczenia się koło arystokratycznych dworów, to za to ludziom należącym, lub mającym pretensyą należeć u nas do arystokracyi, staraliśmy się przypominać, przy każdéj sposobności, o potrzebie tych cnót publicznych, téj mianowicie godności narodowéj, bez których żadne imie historyczne uroku dziś nie ma, bez których żadną miarą nie tylko kierownikiem ducha publicznego, ale i pożytecznym obywatelem kraju być nie można. Z têm samém uczuciem, z jakiem świeżo oddaliśmy hołd pracom i zasługom Koła Polskiego w Poznańskiém, z têm samém a nie inném uczuciem, z têmi samémi, a nie innémi pobudkami, pragnęlibyśmy dla każdéj prowincyi grona ludzi, coby na drodze publicznéj przewodzić mogli, bo szukamy wszystkiego co krajowi sił dodać może, bo wiemy, że tylko zbiorowe prace ważą na szali narodowego ducha, bo przekonani jesteśmy, że tylko uorganizowanym zastępem walczyć można z przezornie obmyślaną organizacyą, co nas dławi i wytępić usiłuje.

Pismo poznańskie zrozumie zapewne z jaką to ostrożnością wyrażać się musimy o wszystkiém, co dotyczy budzącego się w kraju życia: a skoro nie zawsze naszych życzeń i nadziei w téj mierze objawić nam wolno, niechaj ludzie dobréj wiary nie przypisują nam takich życzeń i dążności, jakie w intencyi naszéj nie leżą, jakich nie wyraziliśmy nigdzie. Jeżeli ścieranie się i walka o zasady, może niekiedy korzystnie wpłynąć i oświecić publiczną opinią, to znowu dowolne, na domysł rzucane sądy, nie objaśnią nikogo, zamącić tylko i zaciemnić są w stanie pojęcia tak mało dotąd rozjaśnione.

Były u nas czasy młodocianej polityki, w których dążności politycznéj szukano nie w myśli lecz w słowach; to téż używano wtedy i nadużywano pewnych uświęconych frazesów bez sądu i miary. Wyraz rewolucya, miłość ludu, dawały piszącemu lub mówiącemu patent na człowieka postępowego: a samo zalecenie pilnowania tradycyi narodowéj, jedno napomknienie, że dobrze zrozumiane szlachectwo jest siłą w narodzie, wystarczały, aby kogoś okrzyczeć za zwolennika ślepéj reakcyi, a może i Jezuitę! Duch patryotyczny był zepewne wtedy gorący, lecz niektóre elementarne pojęcia tak dobrze polityczne jak i historyczne, nie wykluły się jeszcze z dzieciństwa. Bóg wie, do jakich wtedy u nas błędów i zamieszań w sądach prowadziło samo ślepe przywiązywanie się do pewnych słów, nazw i frazesów. Ową pochopność do przezywania się, jaka panowała podówczas, możnaby pod pewnym względem porównać do mody istniejącéj we Francyi w połowie XVIII wieku. *Filozofem*, za czasów Voltaira, nie nazywano żadnego z wysokich dostojników myśli, pracujących nad moralném podniesieniem ludzkości, filozofem, wedle ówczesnego słów znaczenia, nie był ani taki pisarz jak Pascal, ani tacy jak Descartes lub Newton myśliciele; nazwę tę dawano wtedy nie jednemu salonowemu markizowi, lekkiego umysłu, lżejszych jeszcze obyczajów, byle szeroko o prawach człowieka rozprawiał. Tak samo u nas, lat temu kilkanaście, człowiekiem pragnącym dobra i wolności dla najliczniejszéj klasy społeczeństwa, nie był taki Marcinkowski, co pewnie lud kochał i pracował dla ludu; postępowym nie nazywano wtedy Mochnackiego, tego, jak go nazwał Słowacki «jedynego republiki syna»; podług wielu nie szedł za *duchem czasu* Mickiewicz: ale tytuły owe i nazwy, rozdawano nieraz bardzo podrzędnym w kraju deklamatorom, których obchodzenie się z ludem, nie zawsze odpowiadało głoszonym zasadom i którzy nieraz wszystkie złe narowy szlacheckie, ukryli chwilowo pod płaszczem przykrojonym wedle panującéj mody.

Jeżeli czasy starego koserwatyzmu minęły niepowrotnie, to przeszła téż już i pora młodocianych, doraźnych, politycznych sądów, a pouczona i dojrzalsza w swych zdaniach opinia, mniéj już zważa na szyldy, jakie kto wywiesza, więcéj patrzy na prace i trudy, jakie ktoś około sprawy łoży. Z owych pieluch niedojrzałéj polityki wychodzi już powoli kraj cały, otrzęsło się z nich Poznańskie, pokazując dziś więcéj niż którakolwiek prowincya zmysłu politycznego i zdrowego publicznego uczucia.

Dziennik Poznański, który godnie wywięzuje się ze swego powołania i odrazu zajął poważne w prowincyi swéj stanowisko, ostatnią swą do nas uwagą, mimowolnie może przywiódł nam na pamięć owe ubiegłe chwile doraźnych sądów, o jakicheśmy tu wspomnieli: jest w téj krótkiéj uwadze *Dziennika*, (niech nam redakcya wybaczy) pewna woń młodociana, przypominająca ową politykę, która nie sądzi, ale klasyfikuje, która poprzylepiawszy na ludziach, jakby na przedmiotach w muzeum złożonych, pewne etykiety, poprzestaje na takiéj dowolnéj klasyfikacyi i nomenklaturze.

W odpowiedzi, jaką dał *Dziennik Poznański*, tłumacząc się nie dawno z zarzutów uczynionych emigracyi,

redakcya, jeśli rozumiemy dobrze, zdaje się rozróżniać artykuły wprost od niéj wychodzące od tych, które pobieżną nazywa wzmianką: wzmianki te wedle słów samegoż *Dziennika* pragmatycznéj nie stanowią historyi. Miałożby to rozróżnienie i dzisiaj posłużyć za odpowiedź?... Poznańskie pismo oświadczyło niedawno, że przyjaźne chce z nami utrzymać stosunki: i my tego szczerze pragniemy, nietylko dla zgodnego porozumienia się, ale przedewszystkiém dla pożytku téj sprawy, któréj wspólnie służymy, wedle sił naszych i możności.

POLSKA POZA KRAJEM.

---

30 czerwca.

W więzieniach cytadeli warszawskiéj, zamknięci po celach więźniowie, gdy po długiem, nużącem milczeniu, szelest w sąsiedniéj izbie posłyszą, zbliżają się do ściany, nadstawiają ucha i cichém, miarowém pukaniem dają znać o sobie. Tym językiem tajemniczym, teraz jeszcze, rozmawiają między sobą rozćwiertowane dawnéj Polski ziemie; ich głosu słuchamy pilnie i, o ile rozumiemy, powtarzamy go towarzyszom wygnania. Do téj cichéj, więziennéj rozmowy, i my dzisiaj przyłączyć się chcemy. Z różnych stron polskiéj cytadeli, gdy nas dochodzi coraz to żywsze pukanie, spółwięźniom, spółtowarzyszom niedoli, i my pragniemy odpowiedzieć.

I

Lat temu trzydzieści, kiedy dziesięć tysięcy Polaków wyszło razem z kraju, była emigracya treścią i duszą narodu; unosząc skargi i nadzieje Polski, uniosła i jéj

siły. Naród w żałobie i boleści pogrążony, zdając na swych pierworodnych świadectwo życia, zdał zarazem i swoje życie; ich myśli i uczucia przyjął za swoje; ich pieśni, które znękanym powtarzał głosem, były dla niego prawem zakonu. Piętnastoletnia historya emigracyi ogarnia, rzec można, w zupełności, współczesną całéj Polski historyą. I dopiéro, gdy nowe próby ale i nowe nieszczęścia urok wychodźtwa rozwiały; gdy na niebie emigracyjném gasnąć zaczynały świetne gwiazdy a w rozdzielonych prowincyach, wypłynął szereg nowych praw i potrzeb, które miejscowych wymagały obrońców: wtedy dopiéro naród ocknął się z swojéj martwości i życiem własném żyć począł. A gdy późniéj, część naszych inwalidów wróciła do Polski i w swéj schorzałéj przed bracią stawiła się niemocy, kraj ich widokiem boleśnie zdziwiony, stracił do reszty swą ufność: w miejsce dawnéj, zbyt łatwéj wiary w nieomylność wychodźtwa, zbyt prędko nastała niemal zupełna niewiara.

Niejeden w kraju naszym jest dziś przekonany, że emigracya złożona z ludzi, co «kiedyś żyli w dostatkach a wszystko za kraj stracili» stanowi garstkę nędzarzy, gdzie mniejsza nędza większą nędzę wspiera, garstkę popiołów tych co już pomarli, i drobny zastęp tych, co żyjąc jedynie przeszłością, w któréj czynny brali udział, dla kraju, dla przyszłości już wcale nie żyją. Tę ciszę wieczornego rozpamiętywania, jeźli niekiedy coś przerwie, to w mniemaniu niejednego, chyba echo jakiejś waśni nieskończonéj, chyba wybuch drażliwości niezagasłéj: rzecz to przecież tak zwyczajna w domach starców «szczątków wielkiéj armii», którzy i nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli! Reprezentacya, przypominanie Polski Europie i inne tym podobne *wyrazy*, które i w kraju słyszeć się dają o emigracyi, chociaż ich znaczenia mało kto dochodzi, przedstawiają tam piękną zapewne dążność wywołania u obcych współczucia, ale nie tyle dla nieszczęść ojczyzny,

co dla nędzy zwalczonych jéj synów. Wreszcie usiłowania ku wzniesieniu jakiegoś dobroczynnego zakładu dla tych, którym dzień prawie każdy daje przytułek na cmentarzu w Montmorency; nabożeństwa, zebrania pogrzebowe, nekrologi i obchody żałobne umierających za umarłymi: dopełniając obrazu, świadczą bezwątpienia przed niejednym, że emigracya jeźli żyje, to tylko «swych zgonów żałobą.»

Takie pojęcia o wychodźtwie szerzą się od lat kilku: czytamy je w dziennikach, słyszymy w poufnéj z rodakami rozmowie. My, pisząc dziś z emigracyi, nie będziemy ich przecież zbijali: bo ani udawać się nie chcemy za dostatniejszych, niżli jesteśmy rzeczywiście; ani też nie myślimy dowodzić tego, że żyjemy. Nie mamy również zamiaru przekonywania, że oprócz czci przeszłości, coś więcéj nas zajmuje; i że walka opinij politycznych jeszcze nas tak nie zagłuszyła, abyśmy w tym chórze niesfornym, nie byli w stanie rozróżnić głosu czystego patryotyzmu. Więc nie ujmując się wcale za emigracyą, bo nie o nią tu idzie, pragniemy tylko gorące a serdeczne braciom naszym w kraju posłać ostrzeżenie, aby osłabiając ufność do wychodźtwa i lekceważąc jego środki, nie uchybili pewnym, pierwszego rzędu sprawy naszéj potrzebom, nie krzywdzili i wobec wroga nie rozbrajali samych siebie...

II

Najprzezorniejszy z królów polskich, w XVI stuleciu, Zygmunt August, pisząc do królowéj angielskiéj, Elżbiety, ostrzegał ją, aby nie dozwalała poddanym swoim posyłać Moskwie ulepszonéj broni a zwłaszcza też zdolnych inżynierów, *którzyby ten lud barbarzyński nietylko*

na szkodę Polski, ale całego Chrześciaństwa, w sztuce wojennej wyćwiczyli. — W trzy wieki późniéj, cesarz Mikołaj, wydając manifest przed jedną z swych wojen szczęśliwych, wołał do całéj Europy: Polacy to, *wychodźcy polscy szerzą nieufność do Rossyi i wzniecają przeciw niéj obcych narodów nienawiść!*

Tak w téj walce odwiecznéj, którą Polska toczy z Moskwą, chociaż z odmianą czasów i zdarzeń, zmieniała się postać walczących, ich role pozostały też same. Długo zaniedbane, zapomniane tradycye polskiéj polityki podniosła na nowo emigracya, i w połowie XIX wieku, Zjawiwszy się wśród obcych, podawnemu, jeśli nie bronią to przestrogą, służyła europejskim narodom. Trzydziestoletnia czynność emigracyi, mimo błędów prawie nieuchronnych, które popełniła, mimo podziału na stronnictwa, kilku apostazyj i liczniejszych może obłąkań politycznych, była, co najmniéj rzec można, bardzo niedogodną dla wrogów, zwłaszcza dla Rossyi. Dzięki czujności wychodźtwa, cokolwiek dzieje się na ziemi naszéj ku wynarodowieniu Polski, i co moskwa, poza granicami swemi, z cudzą krzywdą przedsiębierze, jest zaraz odkryte, ogłoszone, wyjaśnione. Historya ostatnich lat Polski, którą wrogowie nasi usiłowali wykrzywić lub puścić w niepamięć, skutkiem publikacyj emigracyjnych, stała się i dla Polaków jaśniejszą, i Europie lepiéj wiadomą; a samejże Rossyi dzieje, z kłamstw i fałszerstw oczyszczone, służą coraz bardziéj za naukę i ostrzeżenie rządom i ludom europejskim. *Rząd rossyjski widocznie powtarza się,* wyrzekł pewien mąż stanu wielkiego znaczenia, gdy przed wybuchnięciem wojny wschodniéj, odczytał zbiór dokumentów z pierwszego Polski rozbioru; *Emigranci polscy oczerniają Rossyą,* wykrzyknęła temu kilka tygodni jedna z rossyjskich na Zachodzie gazet, widząc z jakiém podejrzeniem opinia europejska przyjmuje obecnie wszystko, co od Moskwy pochodzi. — I nie przypadek to zrządził, że wychodźtwo trwa od lat tylu a tyle miało środków szkodzenia swym wrogom: wywołała je jakaś wyższa potrzeba, jakieś głębsze, ogniem wojennym i ogniem cierpienia z samego dna wydobyte, uczucie narodowe. Bo kiedy, pod koniec r. 1831, kilka i dość bystrych umysłów radziło, aby wzorem barskiéj konfederacyi przedrzeć się na Wołoszczyznę i wojnę turecko-moskiewską nanowo zapalić, nikt myśli téj nie pochwycił, nikt nawet nie wziął jéj na uwagę: wszyscy jakby instynktem popchnięci dobrowolne przyjęli tułactwo, i wszyscy na zachód ruszyli...

Jakaż ich gwiazda tam wiodła?... Ostatnim kraju podziałem z listy żyjących wymazany, wśród walki od państw i rządów odepchnięty, naród nasz, czego zbrojném wysileniem nie dostąpił, to swoim synom kazał zdobywać przez trudy i boleści wygnania. Nie należała Polska do rodziny państw europejskich: pozbawiona rządu, wspólnéj administracyi i służby zagranicznéj, wydawała się zbiorem licznych prowincyi, ktore na radach europejskich miejsca otrzymać nie mogły. Było więc zadaniem emigracyi odtworzyć, w oczach świata, tę Polskę jako osobną, polityczną społeczność; przypomnieć, że w przeszłości była niepodległym narodem, przekonać, że nim w przyszłości być może. I wistocie, ledwo na Zachód przybili, jedni z wychodźtwa poczęli ją ukazywać wzburzonym ludom jako ideę nowych czasów i potrzeb, którą zmieniona postać świata musi kiedyś uwydatnić; drudzy, nie czekając gwałtownych przemian, szukali jak ją wprowadzać odrazu, wedle czasu i okoliczności, w istniejące Europy stosunki, i prawa nasze o jej prawo publiczne zaczepić. Trudne to były, nad wyraz mozolne i często bezowocne starania; a jednak, gdyby one poprzedziły naszę ostatnią wojnę, gdyby rok 1830 zastał był na Zachodzie polską emigracyą, możeby inszy wypadł rezultat dziewięciomiesięcznych bojów. Praw Polski, nieprawości Moskwy, Europa lepiéj świadoma, nie przypatrywałaby się z taką obojęt-

nością krwawym zapasom uciemiężonego narodu; tonącéj ofierze możeby inszy podała ratunek niż owe słowo, z odległego rzucone brzegu, że jéj utonąć nie pozwoli. A prowadząc daléj to przypuszczenie, dodamy: że równo z Europą możeby i Polska była ostrzeżoną, że i w kraju naszym znalazłoby się wówczas więcéj doświadczenia, więcéj ludzi oswojonych z życiem wolnego narodu, ze służbą polityczną, z warunkami niepodległości.

Nie udało się wysłannikom powstającéj Polski, chociaż armia nasza jeszcze zwycięzkie zdobywała laury, otrzymać, w angielskim parlamencie, w r. 1831, choćby jedno słowo współczucia i upomnienia się za nami. Ale w piętnaście lat późniéj, sympatya już tak bardzo była dla nas rozbudzoną, że fakt daleko mniejszego znaczenia, Zabór Krakowa, wywołał, w tym samym parlamencie dyskusyą, która trwała trzy dni. A nietylko tym razem odezwali się za Polską mowcy słynni i dostojni: za każdym gwałtem na Polsce świeżo dokonanym, powtarzały się ich odezwy i protestacye, i tak angielscy jak francuzcy ministrowie urzędowo oświadczali, że stan obecny w polskich prowincyach jest bezprawiem, że go żadnym traktatem nie można usprawiedliwić, że kwestya polska, jak była przed rokiem 1815, pozostaje i nadal niezałatwiona... Dzisiaj to wszystko poszło w niepamięć, jakby do niepowrotnéj należało przeszłości. A przecież, chociaż umilkły głosy niegdyś tak wymowne, choć skarg i żalów Polski nikt w Izbach ani na meetyngach nie opowiada, i dawna obojętność na chwilę zapanowała, nie stracone to bynajmniéj dla narodu zdobycze. Ze skarbu z takim trudem zebranego przyszłość skorzysta; i kiedy chwila szczęśliwsza nadejdzie, wraz z echem głosów dziś zapomnianych, wróci się obraz spełnionych na Polsce bezprawiów i pamięć ogłoszonych za nią protestacyj.

III

Było to zaprawdę piekielną Moskwy zręcznością, że zagarnąwszy ogromne przestrzenie dawnéj, polskiéj Rzeczypospolitéj, jéj cząstki mniejsze rzuciła na pastwę sąsiadom niemieckim, jakby dla wspólnictwa popełnionéj zbrodni, jakby na straż własnego zaboru. I jeśli o ten węzeł fatalny, na grobie Polski zamotany, rozbija się, dotąd, nasza sprawa w sferach zewnętrznéj polityki, to w niém także nasze życie wewnętrzne, jedność i zbiorowe działanie, znajduje najcięższą, najniebezpieczniejszą zawiłość. Trzy rządy, cztery odmienne administracye i kilka z sobą niezgodnych systemów wychowania, które ciężą na ziemi naszéj, sprawiły, że wielki interes Polski, w kraju, łamie się wciąż na różne, cząstkowe zadania, i że prąd życia narodowego, z swojego wyparty łożyska, w cichych i ścieśnionych rozpływa się strumykach. Każda z ziem naszych, do obcego przykuta organizmu, musi weń wchodzić, w nim się zagłębiać dobrowolnie, choćby dlatego aby się kiedyś, tém pewniéj oderwać; musi od wspólnéj odwracać się jedności, aby zachować jéj cząstkę u siebie; musi domowe wznosić kaplice, gdy wielka świątynia zawarta. Więc dla jednéj, Polska to Poznańskie, a jéj zadaniem ziemię zasłonić od Niemców; dla drugiéj, Polska to Królestwo, jéj sprawą główną obywatelskie ocalić majątki; dla trzeciéj, Polska to Galicya, a jéj przeważnym interesem pogodzić się z włościanami i zabezpieczyć Unią; dla czwartéj Polska to step, i ona tam ginie w burzanach, bo ludzie w nich siebie nie widzą, nie słyszą; dla piątéj i szóstéj, Polska to Litwa i Żmudź, a tam już nie ciało ale duch woła przedewszystkiem ratunku. I tak, rozliczną uciśniony niedolą, podobny jest naród polski do grona

ludzi zchorzałych, który nic uradzić, nic razem zdziałać nie potrafią, bo każdy swoję chce naprzód opowiedzieć i wyleczyć chorobę; podobny jest także do domu, na którym dach zajął się pożarem, a żaden z mieszkańców nie bieży z obroną, bo każdy strzeże swojego mienia i swojéj rodziny.

Wpośród takiego rozgrodzenia sił i walczących obozów, gdzież znaleźć punkt dość wysoki, aby z niego objąć całéj Polski przestrzeń, aby na nim zatknąć sztandar zarówno drogi dla wszystkich? Któryż gród może być dzisiaj wspólną nam stolicą i która ziemia twierdzą dla wrogów tak niedostępną, iżby naród cały powierzył jéj swój skarb nieoceniony, swą arkę przymierza : myśl o swéj niepodległości? Dopóki Polska w niewoli i rozdziele, póty, poza krajem tylko, płonąć może w całym blasku ta święta miłość Ojczyzny, niethumiona widokiem wrogów, niekrzywiona pragnieniem zemsty, czysta od nienawiści, wolna od prowincyonalizmu, w który tam koniecznie popaść muszą ludzie choćby najlepszéj woli, najszczerszego uczucia, a przecież niemi i głusi na wszystko, co opodal nich żyje, cierpi i walczy. Tylko poza krajem żyć i rozwijać się może patryotyzm, który całość Polski i każdego jéj zakątka ogarnia, wyswobodzony z wpływów i zachodów co go w kraju pętać muszą, daleki od jarzma co go tłoczy; tylko poza krajem może on niemieć « postaci skromnéj jako wąż wystygły, » może nie być « jak otchłań w myśli niedościgły, » i przed każdym i o każdéj porze okazać się śmiało, spokojnie, bezpiecznie. I tylko też poza krajem, między dobrowolnymi dla Polski wygnańcami, duch Polski potrafi i na zewnątrz zdobyć dla siebie uznanie, i wewnętrznie rozrastać się i dojrzewać.

Rozćwiertowanych części związaniem, rozstrzelonych dążeń ogniskiem, całego narodu treścią i wyrazem jest, a przynajmniéj powinna być, ta Polska poza krajem, emigracya. Punkt to środkowy gdzie spotkać się mogą i zrozumieć Poznańczyk z Ukraińcem, Białorusin z Krakowianinem; polityczna to i duchowa federacya, przez którą polskie ziemie i cios niejeden zdołają od siebie odeprzeć i niejednę szkodę zadać nieprzyjacielowi. Ta garstka Polaków, jak ją sam los i wypadki zstowarzyszyły, któréj powołaniem, i czuć potężniéj, i myśleć obszerniéj, jak działać może swobodniéj, to prawdziwe serce Polski, co w obieg wprowadza krew narodu, przetrawia w sobie wszystkie odcienia uczuć prowincyonalnych i z nich tworzy jedno życie Polski ogólnéj. Ile krwi do niego z kraju przypłynie, tyle jéj nazad do kraju powraca, tyle wspólnego dodaje mu ciepła, przebiegłszy i orzeźwiwszy cały organizm narodu.

IV

Trzydziestoletnie trwanie i działanie emigracyi, wśród tylu nieprzyjaznych wpływów i odmiennych dążeń politycznych w Europie, mogłoby i dla swoich, i dla obcych, dość jasną być wskazówką, że też same przyczyny, co ją wywołały, dziś jeszcze są obecne, że ona posiada rzeczywiście warunki trwalszego, niż jedno pokolenie istnienia. Ze wszystkich gron tułaczych, które na Zachodzie znalazły przytułek i dla swych działań podstawę, jedno tylko wychodźtwo polskie, czy większemi obdarzone zasoby, czy też przeczuciem dłuższéj pielgrzymki ostrzeżone, umiało wznieść między sobą i utrwalić poważne narodowe instytucye; umiało się urządzić w osobne ciało polityczne, w osobną rzeczby można prowincyą. Ma emigracya sobie właściwe zadania i potrzeby, ma swoich ludzi publicznych, swe organa i swoję opinią, swój zakon, literaturę, szkoły, zakłady naukowe i dobroczynne, ma nakoniec swój budżet coroczny. Nie to

miejsce wyliczać zasługi tych instytucyj, opowiadać po szczególe naszę służbę wewnętrzną; ale godzi się tutaj przypomnieć, że one to zapobiegły nieraz rozproszeniu sił emigracyjnych, one ducha publicznego utrzymały w czerstwości, dając przestronne a zacne pole do działania wtedy nawet, gdy zbiegiem fatalnych wypadków, wszelka pozakrajowa czynność była wychodźtwu odjętą. A chociaż nie lubimy na sprawy tego świata z mistycznych spoglądać obłoków, to jednak, po głębszéj rozwadze, możebyśmy inne jeszcze odkryli znaczenie tych zakładów emigracyjnych, z taką pracą wznoszonych i utrzymywanych. Możebyśmy spostrzegli w nich tę nigdy niegasnącą, owszem, po każdéj klęsce, coraz to mocniéj dobywającą się żywotność narodową: ale możebyśmy przytém znaleźli w nich miarę téj rządności i dzielności, jaką Polacy w swych sprawach nauczyli się już okazywać, nie przez zemstę ku wrogom ani w walce z nimi, lecz przez wyłączne zamiłowanie rzeczy publicznéj i w wolnym sił swoich rozwoju!...

Bądź co bądź, choćby zanadto śmiałém zdawało się to przypuszczenie i choćby emigracya, na obcym gruncie swe zakłady rozwijając, w ludzi i środki tak ścieśniona, nie mogła stawiać miary uzdolnienia politycznego w narodzie, to przecież zbyt koniecznym jest ona w sprawie ogólnéj czynnikiem, zbyt ważne ma na dziś i na jutro zadanie, aby żywot swój mogła przerwać przed Polski odżyciem. — Są w kraju męki niewoli, są na tułactwie boleści wygnania: a jeśli w każdém z tych cierpień jest droga do ojczyzny, przy każdém jest także bezdroże. Może emigracya grzeszyć goryczą swych sądów, twardością swych wymagań: ale może téż która z polskich prowincyj, trudem i bojem znękana, pozazdrościłaby kiedyś losu Kurlandyi, i jak Wallenrod u wrogów zapragnęła spoczynku — gdyby jéj Halban dawniejszych nie przypomniał ślubów, i siół wyrżniętych i zniszczonych krajów. Więc trwać będzie, trwać

powinna emigracya jako głos sumienia, dopóki Polska w niewoli, jéj sztandar w ukryciu: trwać musi wpośród narodów zachodnich jak «zabitego cień przyjaciela», jawić się na ich biesiadach, w ich puhary radości mięszać swą żałość.

A jednak, nie jest już dzisiaj emigracya czém dawniéj była: hufcem potężnym, co świecił liczbą, powagą i ogniem, «pokoleniem wielkiego plemienia» co aby świadczyć o życiu, uniosło je z sobą. Dziś na jéj twarzy wyryte lat i cierpień blizny; ścieśniony to hufiec, umarłych może już więcéj od żyjących. Bo téż w następstwie lat i wypadków, i emigracya musi się odmieniać. Kiedy naród, jako ciało olbrzymie, śmiertelnym ugodzone ciosem, leżał martwy i znaku swéj woli nie dawał, musiał, głos emigracyi z wielotysięcznych odzywać się piersi, aby swą donośnością milczenie kraju zagłuszyć. Lecz dzisiaj, kiedy prawie każda z ziem polskich o własnéj dźwiga się mocy, i emigracya nie już żyć za Polskę ale jéj życia ma tylko strzedz i o niém donosić, dziś wzrost sił krajowych napełnia przerzedzone wychodźtwa szeregi i jeden pułk dzisiaj tam wystarczy, gdzie całéj, przed laty, trzeba było armii. Więc choć serce się ściska na widok grobów, co tak często stają przed nami otwarte, choć oko łzą zwilżone tęsknie pogląda za odchodzącymi, to jednak emigracya swoją nie trwoży się przyszłością: krzepi ją wiara w miłosierdzie Boże i ufność w narodu uczucie. Bo dodajmy: jakkolwiek ważne są naszych prowincyj zadania i wielkiéj trzeba energii aby je wypełnić, jakkolwiek szereg miejscowych, obywatelskich powinności ogarnąćby mógł i wyczerpnąć wszystkie siły Polski: to jednak znajdą się nieraz, znaleźć się muszą, gorętsze czy téż mniéj hartowne serca, co nie pogodzą się z obowiązkami, z chwilową koniecznością, do jakich zmusza je w kraju uległość dla obcego rządu. Tym ciasno będzie, duszno, w obrębie zajęć jednego miasta czy jednéj prowincyi; ci przedewszystkiem łaknąć będą wol-

nego oddechu i szerszego nieba; tym emigracya wyda się jako ptak słowiański, o którym mówi poeta, że siedząc na gór szczycie, jedném skrzydłem uderza po morzu Czarném, drugiém po Baltyku. Ci też w końcu, choć kraj rodzinny nad życie kochają, porzucą go przecież, puszczą się na kraniec świata: « gotowi walczyć z ludźmi i z losem, w nędzy i poniewierce przeżyć długie lata, » by tylko stracić z oczu widok najezdnika, a całém życiem i całém jestestwem służyć całej Polsce!

ZAPIS KONSTANTEGO ŚWIDZIŃSKIEGO.

---

7 lipca.

Sprawa o zapis Konstantego Świdzińskiego toczącą się od lat czterech, na polu moralném: między margrabią Wielopolskim a publicznością krajową, sądowém: między nim a rodzeństwem testatora, otrzymała najmniéj przewidziane rozwiązanie. Któż mógł przypuścić, aby margrabia natężywszy w niéj całą odwagę i siłę charakteru, stawiwszy czoło rozdrażnionéj i zbyt wymagającéj opinii powszechnéj, wyrzuciwszy na przeciwników, zwłaszcza na braci Świdzińskiego wszystkie pociski, na jakie satyryczny i wyniosły umysł mógł się zdobyć, stoczywszy uporczywe boje, słowem i piórem w sądach i w druku zwyciężywszy, a co więcéj, zjednawszy sobie wyrozumienie i skłonność do zaufania w publiczności osobiście do téj sprawy nie wmięszanéj i tylko o dobro zakładu troskliwéj: któż, mówimy, mógł się spodziewać aby się ten spór tak głośny i zacięty, zakończył traktatem, który jeżeli wolno:

Sic parvis componere magna,

przypomniał przeszłoroczny pokój po zwycięztwie pod

Solferino zawarty, a nawet większe jeszcze zadziwienie obudził, bo położył koniec dalszéj walce, ustąpieniem przez margrabiego własności, nietylko prawnie do niego należącéj, ale jeszcze wywalczonéj zwycięztwem? Kiedy p. Wielopolski, po wygranéj w roku zeszłym w senacie, wystąpił przed publicznością z oświadczeniem, gdzie i w jaki sposób urządzi zakład Świdzińskiego, kiedy zniżywszy nieco zwyczajną mu wyniosłość mowy, pojednawczémi odezwał się wyrazami, a przy pomocy uczonego męża, wydając rękopism Śliwnickiego okazał, że po publikacyach przez niego przedsiębranych, nauka ojczysta wiele spodziewać się może, w *Wiadomościach* z d. 17 września, wypowiedzieliśmy otwarcie nasze zdanie, starając się być mniéj nieufnymi, mniéj wymagającymi od publiczności warszawskiéj. Nie wahaliśmy się wprawdzie przypomnieć powodów, jakie miał kraj do osobistéj przeciw margrabiemu i następcy jego nieufności, lecz dodaliśmy zarazem, że właśnie teraz wydarza się sposobność zatarcia dawniejszych wrażeń. «Naród nasz (ośmielimy się tu zacytować nasze własne słowa) ma nieograniczoną łatwość zapomnienia. Nigdzie łatwiéj zasługa niezaciera krzywdy, czyn zacny błędów pojęcia lub przesądu. Z jaką bezwzględną czcią i wdzięcznością publiczność przyjęła dar Świdzińskiego, takie pozyskać może szlachetny wykonawca jego woli. Tylko trochę spokoju — parę dobrych kroków w cierpliwéj ciszy...»

Ale pokój wnet przerwała protestacya exekutorów testamentu, przesłana naprzód spadkobiercy, późniéj po wszystkich pismach publicznych ogłoszona. W akcie tym, pp. Wład. Małachowski i Alex. Przezdziecki nie odmawiali margrabiemu prawa do urządzenia zapisu podług obranego przez siebie kierunku, ale głośno przeczyli, żeby kierunek ten miał być zgodny z widokami i nadziejami Świdzińskiego, a więc z zobowiązaniem się moralnem spadkobiercy. Zarzuty tyczyły się szczególnie

wyborów miejsca na Zakład i usunięcia pewnych osób, przez testatora wyraźnie wskazanych jako opiekunów i dozorców Zakładu. — Jakkolwiek uwagi te były niewątpliwie słuszne, można jednak mieć wątpliwość, czyli w porę były ogłoszone. Gdyby wtenczas, kiedy wszyscy *dii majores et minores* piśmiennictwa krajowego gospodarowali w téj sprawie, oni, mężowie zaufania, przyjaciele zmarłego i wykonawcy jego woli, którym przed wszystkimi, służyło prawo, a nawet wskazywał obowiązek odezwania się, gdyby oni, mówimy, byli głos podnieśli, oświadczyli czego słusznie żądać należy i przy czém obstawać będą, byłoby się uniknęło wiele niepotrzebnych sporów, byłoby się całéj sprawie pomyślniejszy i łatwiejszy bieg nadało. Opinia publiczna ujrzałaby się zmuszoną do odstąpienia od zbyt natarczywych wymagań, spadkobierca do mniéj wyniosłego i samowolnego postępowania. Trzej exekutorowie testamentu znosili się wprawdzie z margrabią, jeden z nich ofiarował korzystne dla zakładu pośrednictwo z braćmi Świdzińskiego, które obdarowany odrzucił: lecz wszystko to czynili prywatnie, nie z urzędu, od wszelkiego publicznego wystąpienia wstrzymali się; a tak okazując i zbyteczną względność i wahanie, nie mogli zaważyć powagą swoją na szali toczącéj się sprawy. Nie chcemy obwiniać o brak gorliwości mężów słusznie w kraju poważanych, wierzymy że zabraniali sobie sprężystszego działania znając charakter spadkobiercy, który w miarę powstających przeciwności zacina się w oporze, i że woleli go powolnością zmiękczyć niż silném parciem drażnić, lecz odwołujemy się śmiało do nich samych, czyli się dwojako nie pomylili: najprzód tę drogę obrawszy, a późniéj niechcąc na niéj wytrwać? Dopiero bowiem, gdy spadkobierca w sądach ostatecznie zwyciężył i postanowienie swoje ogłosił, rokujące pod pewnym względem świetną przyszłość Zakładowi, wystąpili z protestacyą, jak gdyby tylko im chodziło o

uwolnienie się od odpowiedzialności przed narodem. Nieszczęśliwe dawne polskie *Nie pozwalam* i tu się odezwało, poprzednio zaś nic lub mało co przedsięwziętém było, coby mogło uwolnić od tego środka tak niebezpiecznego i tyloma wypróbowanego nieszczęściami.

Po przerwanym spokoju przez exekutorów testamentu oczekiwaliśmy ze strony margrabiego «owych kilku » dobrych kroków w cierpliwéj ciszy,» które mogły mu zjednać umysły bezstronne. Stawił krok p. margrabia i to stanowczy i najmniéj spodziewany, ale czy dobry, zastanowić się wypada. W dniu 30 kwietnia ogłosił p. Wielopolski w pismach publicznych *Oznajmienie pożegnalne,* w którém donosi, że zawarł umowę z rodzeństwem Świdzińskiego, na mocy któréj zrzekając się zapisanego majątku i zbiorów, zwraca je na drogę prawnéj sukcesyi. Jako główny powód do tego zrzeczenia się stawia protestacyą exekutorów, która odejmując mu ich moralne poparcie, naraża go na niebezpieczeństwo przegrania piętnastu spraw dotąd nierozsądnych, a ze sporu z naturalnymi spadkobiercami wynikłych, a zatem na uszczuplenie funduszu mającego Zakład utrzymywać.

Nie tajmy więc, jedynie względy materyalne skłoniły obdarowanego do wyzucia się z daru, do usunięcia się od spełnienia próśb, życzeń zmarłego przyjaciela, do odepchnienia od siebie zasługi, do któréj mu ręka jego wrota otwierała. Tak w tém pożegnalném oznajmieniu, jak w umowie zawartéj z Świdzińskimi, nie dostrzegamy nigdzie troskliwości o przyszły los powierzonych mu zbiorów, widzimy tylko obawę aby utrzymanie się przy ich posiadaniu nie naraziło go na dalszy niepokój i na finansowe straty osobiste. Świdziński zbiory swoje, jako jedyne i ukochane dziecię uważał; umierając powierzył to dziecię w opiekę wybranemu przyjacielowi, uposażył je i zostawił dostateczny fundusz na wychowanie jego, i byt dalszy. Przyjaciel podejmuje się opieki, spór uporczywy o nią prowadzi, utrzymuje się przy niéj, lecz gdy się spostrzega że uposażenie pupila zmniejszyło się i jeszcze bardziéj zmniejszyć się może, wyrzeka się i uposażenia i dziecięcia, i oddać go nie waha się w ręce tych właśnie opiekunów, dla których nieufność głośno wyznawał, i którym niemożność wykształcenia go i utrzymania w pismach swoich zarzucał. Nie chcemy rozbierać szczegółów umowy z Świdzińskimi zawartéj, zniżać sprawy do poziomu obliczyć się dających cyfr, śledzić czyli zapis Świdzińskiego naraził margrabiego na materyalne straty; lecz widząc w jaki sposób kończy on swój zawód spadkobiercy i wykonawcy woli przyjaciela, jak się wywiązuje z jego ufności, chcemy tylko przypomnieć co on sam w sądowém wystąpieniu przeciw braciom Konstantego wyrzekł: «*Świdziński braci nie miał*» i pozwolimy sobie go zapytać: *czyli miał przyjaciela?*

Jednéj jeszcze wzmianki, umieszczonéj w pożegnalném piśmie, pominąć milczeniem nie możemy. P. Margrabia skarżąc się na ofiary, na jakie go dar przyjaciela naraził, wymienia stratę czterech mozolnych lat, w dobiegającym już szóstym dziesiątku, z ujmą sił i z krzywdą własnych spraw, a następnie przerwanie zawodu wojskowego syna «który on z prawdziwego powołania obrał.» Myśleliśmy dotąd, że sprawę zapisu uważał tak ojciec jak i syn, jako szczęśliwą i radośnie uchwyconą sposobność cofnienia się z drogi, na którą nigdy wejść nie byli powinni. Dziś widzimy że powołanie było prawdziwe, żal z przerwania głęboki. Zaiste, zapał wojskowy jest u młodzi polskiéj wrodzoną cnotą, lecz czemże będzie wybór wojska, na jaki piérwszy dobrowolnie odważył się potomek jednego z rodów polskich dotąd nieskalanego w dziejach?

Po zrzeczeniu się spadku przez p. Margrabiego, urzędownie w Radomiu dnia 30 kwietnia dokonaném, rodzeństwo Konstantego Świdzińskiego uzyskało wszechwładne, żadnemu prawnemu ograniczeniu nie uległe posiadanie majątku i zbiorów jego. Byłoby ono nawet

wolne od moralnego zobowiązania, bo mu go p. margrabia nie narzucił, gdyby bracia Swidzińscy nie byli go poprzednio na siebie nałożyli przy rozpoczęciu sporu z p. Wielopolskim. Chcąc bowiem zjednać sobie opinią publiczną, aktem przed rejentem Bryndzą zeznanym, zobowiązali się, w razie wygrania sprawy, oddać zbiory na użytek publiczny, i utrzymywać je w Warszawie roczną kwotą, którą oznaczyli. Do spełnienia téj obietnicy mogła była wezwać ich teraz i opinia publiczna i dziennikarstwo warszawskie, które ich było przeciw spadkobiercy niemiłemu tak silnie przyjęło w opiekę. Lecz upoważniony od rodzeństwa, p. Tytus Swidziński pospieszył, na dniu 17 maja, z listem do pism warszawskich, w którym okazując znaczne zmniejszenie spadku po bracie, w skutku wytoczonych sporów, sprzedaży lasu przez p. margrabiego i zarządu jego, który liczne zaległości zostawił, starał się przygotować publiczność do zrozumienia niemożności w jakiéj się spadkobiercy znajdują w dopełnianiu dawniéj przyjętych zobowiązań. Jednakże oświadczał on gotowość oddania samych zbiorów na użytek publiczny, a jak się dowiadujemy, zobowiązywał się na ich utrzymanie wypłacać rocznie złp.— trzy tysiące! To uszczuplenie funduszów nastąpiło wprawdzie w skutku wywołanych sporów przez naturalnych sukcesorów Swidzińskiego, przecież nie chcemy ich zbyt surowo obwiniać ani téż roztrząsać wykazanéj przez nich niemożnosci. Nie będziemy zbyt wymagającymi i nie dozwolimy sobie żądać, aby się wznieśli, przez wzgląd na pamięć brata i dobro publiczne, do wysokości poświęcenia. Wiemy że w niektórych sporach, przed którémi cofnął się p. Wielopolski, mieli uzasadnione za sobą prawo, i że gdy jest ich kilku, takie zbiorowe poświęcenie, staje się zbyt trudném. Lecz nie możemy zapomnieć téj stronności i nieoględności, jakich winnémi się stały dzienniki, jakich się dopuścili literaci Warszawscy, występując z systematyczną nieufnością i niechęcią przeciwko p. Wielopolskiemu, a na oślep popierając sprawę rodzeństwa Swidzińskiego. Zaiste w tém ich występowaniu więcéj było roznamiętnienia, uprzedzeń, osobistéj urazy, aniżeli rozważnéj troskliwości o istotne dobro zapisu. Opinia Warszawska uwieść się dała wspaniałemi obietnicami pp. Swidzińskich, i raz jeszcze dostarczyła dowodu, jak łatwo przyjmuje pozory za rzeczywistość dając się przychylnym lub niechętnym uprzedzeniom powodować. Dziś widzimy do czegoby doprowadziło zwycięztwo w sądach przez pp. Swidzińskich odniesione, kiedy traktat pokojowy wywołał potrzebę szukania dla zakładu Swidzińskiego nowych opiekunów. Powiedzmy zatém otwarcie myśl naszę: sprawa ta klęską była dla wszystkich, bo każda strona niemało popełniła błędów. Wielu było powołanych, ale nikt — wybrany!

Dla ścisłości historycznéj nadmienić tu musim, że na pożegnalne oświadczenie margrabiego i zarzuty przeciw exekutorom testamentu wymierzone, odpowiedzieli oni w piśmie z 15 maja, które przez to szczególniéj obżałowanym czyni p. Wielopolskiego, iż wykazuje, że drogą zgody z rodzeństwem Swidzińskiego, mógł był zapobiedz wszelkim z nimi sporom, nietkniętym zatrzymując fundusz oznaczony cyframi testatora. Pismo to koniec zapewne kładzie wszelkiéj dalszej polemice, lecz nie wyjaśnia dokładnie, jakiem będzie dalsze działanie exekutorów.

Z pociechą przecież dowiadujemy się, że sprawa tak długo nieszczęśliwie prowadzona, pomyślniejszy wziąść może obrot. Zaledwie rozeszła się wiadomość, że zbiór Swidzińskiego stał się opuszczoną sierotą, zewsząd odezwała się gorliwość o dalsze jego przeznaczenie, i zapewnienie mu przyszłości wskazanéj przez szlachetnego dawcę. Najprzód, jak wieść niesie, kompetytorami do opieki i zobowiązań do niéj przywiązanych, były osoby moralne, to jest spółki i stowarzyszenia, a przedewszy-

stkiem spółka Bilblioteki Warszawskiéj. Lecz Bibloteka, która się mniema być dziedziczką Towarzystwa Przyjaciół Nauk warszawskiego, azaliż mogła sumiennie brać na siebie ten ciężar? Oddajemy wszelką sprawiedliwość jéj usiłowaniom i wytrwałości, lecz nie tajemy, że jak jéj podobno jeszcze daleko do zasług dawnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, tak téż mniéj rękojmi długiego życia dostarcza od tych, które kiedyś miało Towarzystwo : a wiadomo przecież co się stało z jego zbiorami! Podniesiono także myśl, aby Towarzystwo Rolnicze weszło w umowę z rodzeństwem Swidzińskiego: myśl ta wychodząc za obręb działania Towarzystwa, poparcia znaleźć nie mogła. Nakoniec wśród różnorodnych doniesień o deszczu i pogodzie, koncertach i orkiestrach, dolinach i kępach, wyczytaliśmy w Tygodniku Warszawskim w *Czasie*, że na pewnym obiedzie, danym przez członków Arcykonfraternii Literackiéj, jeden z jéj członków oświadczył gotowość przyjęcia w opiekę zbioru Swidzińskiago; w skutek czego wniosek pod rozwagę został poddany, aby za pomocą składek miesięcznych, arcybractwo zbiór ten własnym utrzymywało funduszem. I tu chęć dobra, którą uznać należy, lecz Arcykonfraternia literacka, acz bardzo dawna i szanowna, jako religijne stowarzyszenie, dla tego chyba wystąpiła z tym wnioskiem że się literacką nazywa. Wprawdzie «jak szlachectwo tak i nazwisko obowiązuje:» lecz nazwisko nie zaś imie. Zapomniało, arcybractwo że nazwa literackiego, którem oddawna ochrzczone, jest tylko jego imieniem. Wszakże, jak nam listy prywatne z Warszawy donoszą, poważniejsze i godniejsze uwagi oświadczenia doszły do dzisiejszych właścicieli zbiorów Swidzińskiego i do wykonawców jego woli. Odezwał się z niém, w sposób trafny i szlachetny, zbiorów kurnickich założyciel, Tytus hr. Działyński. I wistocie, księgozbiór sulgostowski połączony z kurnickim, stanowiłby piękną całość, z któréjby dla nauk ojczystych niezaprzeczone

spłynęły korzyści; lecz miejsce na ich przechowanie przeznaczone, i brak rękojmi jaką majoraty przedstawiają, nie dozwoliły przyjąć wspaniałéj ofiary. Rodziny hr. Kossakowskich i Krasińskich oświadczyły także gotowość przystąpienia do umowy, odpowiedniéj wszelkim niezbędnym wymagalnościom. Z tą drugą, jak nas zapewniają, toczą się układy i już dochodzą do skutku. Z radością słyszymy tę wiadomość. Umowa w sposób właściwy zawarta, dozwoli rodzeństwu Swidzińskiego uwolnić się od odpowiedzialności moralnéj, a wykonawcom jego woli poda sposobność wywiązania się z ufności zmarłego. Zakład przywiązany do Ordynacyi opinogórskiéj tęż samą rękojmią otrzymać może, jakąbyłby znalazł przy margrabstwie Myszkowskich; przeniesiony do Warszawy zadość uczyni żądaniom opinii i potrzebie publicznéj. Ale z drugiéj strony wyjawić musimy powątpiewanie, czyli co do wydawnictwa mającego z nim być połączoném, równie gruntownie i poważne zapewni korzyści, jakie wtedy przedstawiał, gdy miał zostawać pod kierownictwem znakomitego umysłem i nauką spadkobiercy, wspartego tak szacowną pomocą prof. Helcla. Aby mu równą nadać użyteczność, trzeba będzie niemałéj przezorności nowych właścicieli i trafnego wyboru kierownika wydawnictwem. Nakoniec powierzenie skarbów naukowych Swidzińskiego rodzinie ordynatów na Opinogórze i przyjęcie ich w tychże imieniu, miłą nas cieszy nadzieją, że do oddania tak pięknéj krajowi usługi powołaném zostanie potomstwo Zygmunta Krasińskiego. A tak nad tym nowo wznoszącym się zakładem czuwać będzie nietylko zaspokojony duch Swidzińskiego, ale i pamięć nieodżałowanego wieszcza narodu strażą go swoją osłoni.

USPOSOBIENIE OBYWATELSTWA NA LITWIE.

I.

14 lipca.

Według listów, które odebraliśmy z Litwy, Cesarz rossyjski, jeszcze w początkach bieżącego roku, zapowiedział swój przyjazd do Wilna na miesiąc sierpień. Powodem téj podróży ma być otwarcie kolei żelaznéj z wilna do Persburga; otwarcie korpusu kadetów na Antokolu, w pałacu dawniéj sapieżyńskim, i nakoniec przegląd dywizyi kawaleryi, złożonéj z dwóch pułków ułanów, dwóch huzarów i tyleż dragonów. Razem z tą zapowiedzią, doszło jen. Nazimowa życzenie Imperatora, aby szlachta z trzech gubernij dała bal, w stolicy Litwy, na jego przybycie; wskutek czego jeneralny gubernator zawezwał, w miesiącu marcu, marszałków guberskich i powiatowych, aby się zjechali do Wilna dla urządzenia téj manifestacyi. Gdy jednak dla złéj pory i trudnych komunikacyj, tylko marszałkowie wileńscy i dwaj ze Żmudzi na tym zjeździe stawili się, powtórny zjazd na miesiąc kwiecień, przez jenerała Nazimowa naznaczony

został. Propozycya, a raczéj rozkaz balu, wniesiona na komitecie marszałków, wywołała dość długą dyskusyą. Tłómaczono, że trzy gubernie podatkami i wieloletnim nieurodzajem uciśnięte, niełatwo zdobędą się na tak znaczny wydatek; przypominano, że grodzieńska gubernia jeszcze z poprzedniego balu nie była w stanie wypłacić swych składek. Atoli, nalegania jednych, uległość drugich, były tak wielkie, że bal dla cesarza rossyjskiego znaczną większością głosów został zdecydowany, i w tym celu rozłożono na trzy gubernie jednorazowy podatek po 8 kop. z duszy. Późniéj, przyszła niektórym myśl wyprawić, po balu, polowanie w puszczy białowiejskiéj, na wzór tych, jakie w niéj, dla królów polskich, były niegdyś urządzane ! Przygotowaniem balu w imieniu obywateli, zajął się książe Ireneusz Ogiński. Podczas ostatnich kontraktów oświadczył on, że własnym kosztem zbuduje, w ciągu trzech miesięcy, salę balową w swoim pałacu; i gdy tę ofiarę przyjęto, sprowadził architekta z Berlina, kazał zbić skrzydło swojego domu i nie szczędzi obecnie trudu ani wydatków, aby odpowiedzieć temu dość osobliwemu zaufaniu, jakie w nim położono. — « Takie są fakta, pisze nasz korespondent: wstyd możeby radził o nich zamilczeć, ale boleść zmusza do ich opowiedzenia. Z mojéj strony nie dodaję żadnych uwag, bo one same w polskiéj duszy się nastręczą. Powiem tylko, że składka na ugoszczenie Imperatora wyniesie, z trzech polskich gubernij, około pięćdziesiąt tysięcy rubli: podobnéj sumy nie wydaliśmy oddawna, na żadną narodową potrzebę... »

Ogłaszając w piśmie naszém te szczegóły bolesne, i my także, skąpi będziemy w wyrażeniach: w miejsce skarg lub wyrzutów dziś jeszcze, surowych, braciom naszym z za Bugu, kilka tylko myśli chcemy podać pod uwagę, kilka wspomnień z niedawnéj przeszłości. Zwyczaj dawania balów imperatorom rossyjskim w prowincyach zabranych trwa nie od dziś dnia; i nie pierwszy

to raz odbędzie się ta oburzająca komedya, w której cesarz rossyjski łaskawego dla Polaków monarchę, szlachta polska wiernych cesarza poddanych udawać mają. Dyalog to powielekroć powtórzony, z obu stron wypróbowany, mieć będzie i swe ustępy komiczne, i swe uniesienia patetyczne: wszystko zgoła prócz prawdy i godności; maskarada to uczuć i wynurzań, w której każdy oszukując, wie o tém doskonale, że nawzajem będzie oszukany. Lecz jeśli cesarz rossyjski może w tém znaleźć swą korzyść, że nas zmusza do objawów kłamanéj życzliwości, cóż szlachtę litewską pobudza, aby z taką skwapliwością i takim kosztem okupowała własne poniżenie? Wszakże dwa lata temu, cesarz Alexander podobnież Wilno nawiedził; ujęty grzecznością Polaków oświadczał na wyjeździe «że nigdy o nich nie zapomni!» I zaprawdę dotrzymał słowa: dowodów carskiéj pamięci nie braknie! W kilka tygodni potem, lała się krew włościan dziernowickich i prozorowskich za to, że chcieli wyznawać religią którą i szlachta wyznaje; w rok późniéj, uznano za stosowne udarować Litwę przeniesionym z Moskwy korpusem kadetów, w którym młodzież polska, wraz z mową ojczystą, oduczać się będzie i wstydu ludzkiego; a niedawno temu wzniesiono w Wilnie instytucyą, która dostarczać ma żon popom schyzmatyckim, a wzniesiono ją z funduszu dwóch skasowanych katolickich klasztorów. Takie dobrodziejstwa przyniosła Litwie ostatnia podróż cesarska; jakie zaś cesarz przywozi obecnie, to szlachta litewska mogłaby przecież zrozumieć z tego, co się wpośród niéj zdarzyło przed kilkoma dniami. Trwały w Wilnie, dłużéj miesiąca, narady nad ustawą Towarzystwa Rolniczego, które obywatele czterech gubernij chcieli u siebie zawiązać. Podano prośbę o zatwierdzenie. Nie odmówił go rząd, ale dołożył warunek że rozprawy toczyć się będą po rossyjsku a prezesem Towarzystwa ma być — jeneralny gubernator!

Mimo to wszystko, szlachta wyprawia dziś bal; odepchnięta i prawie wzgardzona, wdzięczy się i stroi umizgi; sili się na obłudne grzeczności, któremi imperatora rossyjskiego chce podejść. Tego wymagają miejscowe stosunki, to nakazuje domowa, *guberska dyplomacya*, któréj my, z zagranicy piszący, ani znać, ani rozumieć nie możemy! — Nie będziemy się też o nią spierali: ma i niewola swoje tradycye, od których ludzi oderwać niełatwo. Wszakże na zakończenie, pozwolimy sobie zacytować list, w podobnéj sprawie, przez jednego z obywateli krajowych pisany, któremu ani poglądu zbyt oderwanego, ani nieznajomości rządu i stosunków zarzucić doprawdy niemożna.

«... Nie mogą się tu ludzie, zkąd inąd rozumni, przekonać o tém (słowa są wspomnianego listu) a raczéj dostrzedz tego, że Rossyanie nietylko nie są od nas w inteligencyi niższymi, ale przeciwnie przewyższają nas pod tym względem stanowczo, a mianowicie w tém zastosowaniu inteligencyi, które się zowie taktem, konsekwencyą, właściwością i trafnością w postępowaniu i prowadzeniu spraw ludzkich. Prawda, że przy sile łatwiéj im to wszystko przychodzi; ale jeżeli im łatwiéj, to nam nierównie byłoby potrzebniéj przymioty te posiadać. Tymczasem, jak dotąd, *towarzyskim* tylko i salonowym taktem i polorem odznaczamy się, a rossyjskie w tym względzie nieokrzesanie, często umyślne, łudzi nas, że się za zręczniejszych uważamy. Nadto, nie rozumiemy tego, że wszelka demonstracya, na jaką się z poniżeniem własném, choćby czując takowe, z potrzeby i z przebiegłości rezygnujemy, nigdy się przez rząd nie uważa za naddatek ale za prostą powinność; nigdy go bynajmniéj nie zmiękcza, na włos z powziętéj drogi postępowania nie sprowadza, do żadnych folg i ustępstw nie powoduje: wtedy, kiedy my mało znając rossyjską przenikliwość, wyobrażamy sobie, że takowa demonstracya bardzo władzę rozczuli, że ona weźmie na serio

to, czego my w głębi duszy (tylko tam, niestety) na seryo nie robimy. Bilansem tych wszystkich dyplomacyj, tych oświadczeń wdzięczności, tych demonstracyj *lojalizmu* w jakie obfitujemy, jest coraz głębsze upokorzenie narodu jako idealnéj całości, a coraz mocniejsze utwierdzenie systemu wynarodowienia ze strony rządu, jako też i wzgarda tego ostatniego i w ogóle rossyan, dla spółeczności, która już do tego doszła, że jéj znieważyć prawie niepodobna: pomiataj nią jak chcesz, ona się jeszcze uśmiecha i na oznaki radości zdobywa i humor ma ciągle dobry! — Nie przeto, iżbym doradzał hardość, która podbitym nie przystoi, tém mniéj prowokacye i zuchowstwa jakieś, śmieszne w niewolniku. Owszem, potrzebna nam jest roztropność, uległość konieczna, giętkość pewna i takt wobec władzy we wszystko wglądającéj i podejrzliwéj; ale niezawodnie, że można obok tego wszystkiego i trzeba, pod karą śmierci moralnéj, dosyć jeszcze godności zachować dla pokazania nieprzyjacielowi, że jest przecie we wnętrzu naszém, pewien głęboki i święty zakątek, do którego on nigdy nie dotrze i jego nie zdobędzie. Niewolnikami jesteśmy i długo jeszcze być nimi możemy, kiedyśmy się w swoim czasie od niewoli obronić nie umieli; ale trefnisiami naszych władzców nigdy być nie potrzebowaliśmy i niepotrzebujemy. Kiedy nosimy kajdany, chodźmyż w nich powolnym i ostrożnym krokiem, jak się w kajdanach chodzić powinno; ale nie usiłujmy w nich tańcować i skakać, powiadając że to są jakieś ozdobne garnirowania! Najpewniejszy jestem, że rząd rossyjski dalekoby więcéj dla nas miał poważania i względności nawet rzeczywistéj, niż ma dziś, kiedy nas po prostu za nic nie waży. Szczerość nasza, w ściśle biernéм wykazująca się posłuszeństwie, zjednałaby nam więcéj, niż nędzna dyplomacya, którą Rossyanie na wskroś widzą; powaga i smutek uciśnionego narodu zaimponowałyby rządowi niezawodnie i nieraz wymogłoby takie ulżenia i ustępstwa, jakich kłamana satysfakcya nigdy nie wymoże. Słowem, wielkibyśmy postęp zrobili, gdyby się okazało, że można nas uciskać i bić, ale że się z nami bawić nie można!...»

II

Z Wilna, w Sierpniu, 15 września.

Przyjazd Cesarza do naszego miasta naznaczony na początek października. Już od kilku miesięcy, pościągani z odległych stron robotnicy, dzień i noc pracują przy kolei żelaznéj petersbursko-wileńskiéj, która na ten przejazd, przynajmniéj tymczasowie, ma być ukończoną. Samo takie tymczasowe urządzenie kosztować będzie do półtora miliona rs.; oprócz bowiem innych robót, budują się dwa ogromne mosty na Dźwinie w Dynaburgu i na Wilii pod Wilnem. W mieście naszém nakazała policya wszystkie domy na nowo przemalować i odświeżyć: zapowiedziano już kilkudniową illuminacyą i polecono przygotować chorągwie i orły moskiewskie do zawieszenia nad bramami domów i publicznych gmachów. Jeszcze w lipcu, z téj okoliczności, ustanowiona sekretna policya, ma czuwać nad duchem i kierować entuzyazmem mieszkańców.

Takie są oficyalne i mniéj znaczące przygotowania: daleko ważniejszém i bardziéj znaczącém jest, w jaki sposób my się gotujemy do tych uroczystości. Bo tylko nasze zachowanie się, w czasie tego pobytu, mieć może publiczne i polityczne znaczenie: z niego też tylko sądzić nas będzie Zachód, i miarę sobie tworzyć o żywotności i dojrzałości narodu. Z niejaką pociechą przyznać można, że zadowolnienia, które przeszła bytność Cesarza u nas wywołała, tą razą dopatrzyć trudno. Ci nawet, co się odznaczyli w wyrachowanych czołobitnościach i zużytych kokieteriach, dziś jakoś ostygli trochę. Kierujący przy-

gotowaniami marszałek powiatowy wileński, Jan Tyszkiewicz, usunął się dla słabości zdrowia. Marszałek oszmiański, p. Umiastowski, prezydujący w komitecie balowym, sam na swych barkach dźwiga ciężar przygotowań i ma do walczenia z najprzykrzejszą trudnością, z niedostatkiem funduszów, Projektowana pierwiastkowo summa z dwóch gubernij wileńskiej i kowieńskiej, 30,000 rs., okazuje się dzisiaj niedostateczną, i przewidują już, że po ukończonym balu, przyjdzie obywatelom nową opłacić składkę.

Damy nasze, które przy tego rodzaju festynach, więcej krzywdy krajowi wyrządzić mogą, niżeli ich konwencyjna moralność przewiduje, do tegorocznego przed Cesarzem popisu z swych wdzięków i toalet, mniej gorącą pokazują ochotę. Jenerał-gubernatorowa rozpisała do nich listy zapraszające i wzywające do Wilna. Wiadomo że na balu, tej zimy przez panią Nazimow danym, przedstawiono żywe kwiaty, *les fleurs animées*; brało w tej maskaradzie udział i kilka Polek: śród moskiewskich kaktusów i nasturcyj widziano i polskie róże. Wdzięki i powaby tych kwiatków, może ożywionych choć nie zawsze świeżych, opisał w swoim czasie *Kuryer Wileński*. Mamy nadzieję że tą razą nasza płeć piękna uwolni się od tej moskiewskiej botaniki, a pilnować będzie polskich ogrodów i siół. Mamy nadzieję, że Polki zrozumieją wreszcie, że im nie wolno wchodzić w tę atmosferę, gdzie zarówno zszargać można i godność narodową i uczciwość kobiecą. W cieplarni, chodowanej ręką pani gubernatorowej, mogą się przyjmować i rozwijać tylko *pewnego* rodzaju kwiaty; a damy, co dobrowolnie zajmą miejsce w podobnej girlandzie, narażają się, że je opinia zaliczy do tego kwiatków gatunku, do jakiego należą paryzkie kamelie.

Jedyny, który *con amore* bierze udział w przygotowaniach na przyjęcie cesarskie, jest książe Ireneusz Ogiński; muruje on na ten cel wielką salę, która, jak słychać trzydzieści tysięcy rs. kosztować go będzie. Anglicy mówią: gdzie kto kładzie swój pieniądz, tam daje swe serce. Czyliż za pieniężnym kapitałem, i kapitał swych uczuć, ks. Ogiński odda tej moskiewskiej entrepryzie?...

Postępowanie księcia i kilku innych, o elastycznem sumieniu i karku panów, nie byłoby ani tyle bolesne, ani tak upokarzające, gdyby przeciw tego rodzaju podejrzanym lub śmiesznym figurantom, umiała poważnie wystąpić opinia. Na nieszczęście, ogół nasz z ludzi poczciwszych i nawet niezłych Polaków złożony, zdaje się obruszać, i obrusza nawet chwilowo, na te niecne postępki kilku indywiduów, lecz na żadne zbiorowe oddziaływanie zdobyć się nie umie, czy nie chce. Szlachta pojedynczo i pokątnie (a zapewne najgoręcej wtedy, gdy jest między wami, za granicą) uskarza się i zwala winę na tych kilku panów wyjątkowych: lecz czemuż nigdy, zbiorowo i wyraźnie, nie oświadczy swoim marszałkom, w jaki sposób postępować sobie mają w podobnych wydarzeniach; czemuż wreszcie nikt nie wpadł na myśl, aby ogłosić nazwiska ludzi, którzy zacnym obywateli żądaniom odmawiają poparcia. Opinia nie może przyjść u nas do żadnego elementarnego wyrobienia się i puczucia, to też żadnej niema mocy. Wszyscy wprawdzie nasi publiczni i pseudo-publiczni ludzie ubiegają się o jej poklaski, różnemi manewrami podejść ją usiłują, ale nikt się jej nie obawia, bo nikt w jej siłę ani trwałość nie wierzy. Jest też sobie ta opinia, u nas jakby jakaś mdła i podstarzała Sybilla, której patryotyczne ostrzeżenia robią chwilowe wrażenie, może nawet czasem rozrzewniają, lecz w końcu nikt jej słuchać nie czuje się obowiązany. Dlatego tak, dobrze jawne odstępstwo, jak częstsza od niego lekkomyślność, mistrzują sobie wygodnie, biorą inicyatywę w rzeczy publicznej, narzucają się bez wahania, a zacniejsi i sumienniejsi, większość przecież stanowiący, milczą lub szemrzą bar-

dzo pocichu, wreszcie ulegają — czy przez słabość i towarzyskie względy, czy przez optymizm dobroduszny, czy téż przez tak jeszcze zwyczajną między nami filuteryą, która płakać będzie i narzekać, ale o żaden ogólny interes na prawdę się nie upomni, aby swego drobnego interesu nie zepsuć. Kilku zbaczających z drogi polskiéj zawsze u nas znajdzie bierne przynajmniéj poparcie, w ufności ospałéj albo w wyrafinowanéj obojętności.

Temu brakowi zastanowienia się u jednych, indeferentyzmowi u drugich, zaściankowemu wreszcie patryotyzmowi u innych, przypisać także można, że dziennik taki jak *Kuryer Wileński* prosperuje, że nie tylko zwiększył liczbę swych prenumeratorów (ma ich już 1,600), ale znalazł współpracowników, a nawet chwalców między ludźmi, którzy za dobrych uchodzą Polaków. Wielu tutaj podziela sąd emigracyi o redaktorach *Kuryera*, ale prawie każdy ma coś do przytoczenia na ich obronę; i cieszą się naiwnie, że prowincya posiada swój organ polski; dla ploteczek, które w tém piśmie znajdują, snadno zapomną o wystąpieniu p. Odyńca i jego wspólników w albumie wileńskim! Wszakże świeżo wieńczono pochwałami dramat tego autora, odegrany w tutejszym teatrze, winszując sobie, że p. Nazimow na przedstawienie téj sztuki zezwolił. Przenikliwszy, aniżeli opinia publiczna, gubernator, dając swe pozwolenie, zrozumiał snać, że polska publiczność, przyklaskująca scenom Odyńcowego dramatu, przyklaskiwać będzie, tém samém, chociaż mimowolnie, owéj odzie « do następcy Jagielonów », którą niedawno tutejszy organ moskiewski z moskiewskiém tłomaczeniem ogłosił. A zapewne już was doszła wiadomość, że cesarz wynagrodził zasługi p. Odyńca, i za trudy jego w zawodzie redaktorskim położone, kazał mu zapłacić *wyjątkowym sposobem* 1,000 rs. jednorazowie i 550 rs. rocznéj emerytalnéj pensyi przeznaczył (1).

(1) Korespondent przesyła nam ten ukaz w rossyjskim języku, który

Jeżeli czytujecie *Kuryera Wileńskiego*, znaleźliście tam zapewne szumne i szczegółowe opisy fet i balów gubenatorskich. Historyografem tych uroczystości jest p. Wacław Przybylski; nie jest on wprawdzie jednym z głównych promotorów tego pisma, a dotąd nawet uchodził za porządnego i uczciwego człowieka: nie *primus sed novissimus inter pares*, wywiązuje się on ze swego powołania kronikarskiego w duchu głównych redaktorów. Rozpoczął sprawozdania oświadczeniem, że « z miłością w sercu i modlitwą na ustach » przystępuje do tego dzieła. Frazes ten przyjęty jest widać urzędownie przez współpracowników *Kuryera*, ile razy z nich który ma coś plugawego i obrażającego sumienie polskie powiedzieć. P. Przybylski ową miłością i modlitwą na ustach uzbrojony, przystąpił, zgadnijcie do czego?... do opisu salonu pani Nazimow i maskarady jaką tam odprawiono. Kto téż p. Przybylskiego zmusza, aby z pełnym przesady i płaskości liryzmem, opisywał nam te bale i toalety? kogoż z poczciwszéj publiczności polskiéj te moskiewskie zabawy obchodzić mogą? czy pragnie ten *Jules Lecomte* wileński, urokiem swych opisów sprawić, aby wiejskim naszym panienkom zabiło serce do uciech gubernatorskich?... Nie wiem do jakich świętych modli się p. Przybylski, układając swą kronikę i swe portrety róż « wpółuśpionych, wpółrojonych i t. d. », ale dla czytającego te sprawozdania widocznem

téż dosłownie umieszczamy: «Ukaz Wilenskoj Kaziennoj Palaty, danoj Wilenskomu Ujezdnomu Kaznaczejstwu ot 30 junia 1860. Po ukazu Ewo Imperatorskawo Wieliczestwa i postojawszejsia 21 junia rezolucyi w siej Pałatie, *prikazali:* w śledztwie predpisania Departamenta Gosudarstwiennawo Kaznaczejstwa ot 31 maja 1860, za N. 9942, Wilenskomu Ujezdnomu Kaznaczejstwu predpisat' ukazom, cztoby ono pożałowanomu po wysoczajszemu powieleniu, redaktoru gazety wilenskij Wiestnik, titularnomu sowietniku Odyncu z siemiejstwom, nie w primier drugim, pensju 550 r. s. i za wyczetom na pensjonnyj kapitał 539 r. s. w god wydawat' pod rozpisku Odynca.»

jest, że pisze je równie, bez wyobrażenia o gramatyce jak o godności narodowéj.

Obok słabości i braku wyrobionéj opinii, o jakich wspomniałem tutaj, nierzadko spotkać u nas dziwny zamęt w pojmowaniu naszego stosunku do Moskali, nawet u ludzi zkądinąd zacnych i czystych. Zdarzyło mi się *np.* słyszeć pewnego obywatela, mającego niejako w prowincyi swéj stanowisko, dowodzącego, że wypada nam jak najlepiéj tą razą przyjąć w Wilnie Cesarza: że takowe przyjęcie i tłumne zebranie szlachty będzie protestacyą przeciw Moskalom, od których Alexander II lubionym nie jest za swoje liberalne zasady: że nasze festyny będą manifestacyą polityczną a nawet uroczystością narodową, bośmy pierwsi przodkowali myśli uwolnienia chłopów i ich téż oswobodziciela u siebie przyjmujemy!...

Do takich to sofisteryj uciekają się ludzie, ile razy zejdą z prostego gościńca, wytkniętego przez zdrowy rozsądek i polskie sumienie. Cóż odpowiedzieć podobnie rozumującym dyplomatom guberskim, owym *Talleyrandom w łapciach*, chcącym szukać przebiegłość moskiewską równie dziecinnemi jak nam nieprzyzwoitemi teoryami. Przypomniećby im chyba warto, że od podobnych wykrętów i sofisteryj, nietrudno zejść do polityki owego szlachcica, z opłakanych czasów rozbioru, który brał pieniądze od Katarzyny, aby zubożeć skarb moskiewski. Nikt u nas, choćby z najjawnieszych odstępców, nie powie, że chce ojczyznę poświęcić: ale każde niepolskie i szkodzące narodowi postępki usiłuje okrasić i ubarwić jakiemś mędrkowaniem, niby głęboko politycznem, niby chrześciańskiem, jakąś teoryą zfabrykowaną dla własnego interesu i wygody. Wszakże i owi panowie, z których jednemu chodzi wyraźnie o tytuł księcia, drugiemu o tytuł hrabiego, klną się na wszystkie bogi litewskie i żmudzkie, że jeśli puszczają się na te nikczemne umizgi i nadskakiwania, to jedynie dla uproszenia łask cesarskich na korzyść prowincyi. Ogół wierzy a może i nie wierzy, ale milczy! I tak przy zetknięciu się naszém z rządem, przy stawianiu się wobec niego zbiorowo, nie umiemy zachować cokolwiek wznioslejszego, publicznego charakteru, ani tego piętna godności spokojnéj, jaka cechować winna naród, który czuje słuszność swéj sprawy i dąży do zmartwych powstania. Wszystko co żyje w koło nas, dźwiga się, prostuje i z dawnych otrząsa nawyknień: my tylko sami nie dostrzegliśmy znakow nowego czasu, my tylko sami nie rozumiemy że dziś już ani podejściem ani ujęciem, ale tylko męzkiém i jawném działaniem, praw swoich bronić i dochodzić należy!

ROSSYJSKA TOLERANCYA.

---

21 lipca.

Odebraliśmy w tych dniach kilka urzędowych rossyjskich dokumentów, które, jak mniemamy, niejednego dostarczą rysu do obrazu Kościoła katolickiego na ziemi polskiéj, pod panowaniem Alexandra II. Pisma te, albo wcale dotąd nieznane, albo w treści jedynie ogłoszone, na tém większą zasługują baczność, że obok opinij lub sprawozdań wysokich w cesarstwie dygnitarzy, zawierają własne Alexandra II uwagi, na marginesach przez tegoż naznaczone : nietylko więc politykę rossyjskiego rządu ale i usposobienie Imperatora dokładnie wykazują. Ogłaszamy je w dosłownem z rossyjskiego tłómaczeniu : uwagi zaś Cesarza kładziemy w nawiasach i odmiennemi czcionkami.

(Na oryginale własną ręką J. C. Mości napisano : « *Rozpatrzyć w komitecie ministrów i przedstawić mnie* » *ostateczne zdanie o nietrafnem działaniu naczelnika gu-* » *bernii i marszałka szlachty. PP. ministrowie, każdy* » *w zakresie swojéj władzy, zwrócą należytą uwagę na* » *sprostowanie wykrytych nieporządków. Co się tyczy*

» *ustępów, naprzeciw których napisane są moje rezolucye,* » *wykonać je niezwłocznie.* »)

DO JEGO CESARSKIEJ MOŚCI, NAJUNIŻEŃSZY RAPORT SENATORA SZCZERBININA, TAJNEGO SOWIETNIKA.

(Przedstawiony 24 sierpnia 1858.)

Uchylenie się włościan dziernowickich, w liczbie około 1,000 dusz, od wypełnienia religijnych obowiązków, według obrządku prawosławnéj cerkwi, jest wypadkiem, wistocie, takiéj w swych następstwach wagi, zwłaszcza dla wpływu na pograniczne gubernie, że się ośmielam trudzić uwagę W. C. M. kilkoma szczegółami téj sprawy.

Z przyczyny licznie powstałych wątpliwości przy wykonaniu dekretu metropolitów Siestrzencewicza i Lisowskiego, najwyżéj zatwierdzonego 19 Lipca 1806 r., oraz ukazu rządzącego senatu z 25 października 1807, o odebraniu od rzymsko-katolickiego duchowieństwa unickich księży, którzy przyjęli obrządek rzymski, i o poddaniu ich napowrót władzy metropolity unickiego, wydany został ukaz senatu, 8 sierpnia 1810, w którym między innemi wyrzeczono : « Co się tycze epoki, od » któréj ma być liczone przedawnienie względem uni- » tów, którzy przeszli na rzymski obrządek nie całemi » wsiami, ale osobiście, ażeby nie przyczyniać rządowi » trudności, należy uważać rok 1798 jako termin takowy ; » pierwszy bowiem zakaz namawiania unitów, aby prze- » chodzili do rzymskiego Kościoła, wydany został w r. » 1799. »

W skutek prośby podanéj do Najjaśniejszego w Bogu spoczywającego rodzica W. C. M. przez najprzewielebniejszych Józefa Bazylego i Witaliusza z duchowieństwem w ilości 1,055 kapłanów i zakonników, o wolność tak dla nich, jak dla powierzonych im owczarń, złączenia się z praojcowską, prawosławną cerkwią : przyjęci oni

zostali do zupełnéj i całkowitéj komunii świętéj, prawosławno-katolicko-wschodniéj cerkwi. Ukaz rządzącego senatu wydany został d. 23 czerwca 1839 r.—W czerwcu 1840, najprzewielebniejszy Bazyli, arcybiskup połocki i witebski, przedstawił kopią z jeneralnéj wizyty z 1792 r. dowodzącą że dziernowicki rzymsko-katolicki kościół, w dryzieńskim powiecie, należał do byłego grecko-unickiego duchowieństwa; zaczém prosił on jenerał-adjutanta Djakowa, byłego jenerał-gubernatora smoleńskiego, witebskiego i mohilewskiego, aby na mocy ukazu 25 października 1807 r., rozkazał oddać ten kościół pod zarząd prawosławnego duchowieństwa. Z uczynionego śledztwa i przedstawionych dokumentów okazało się, że dziernowicki kościół, wistocie, aż do miesiąca marca 1795 r. był cerkwią parafialną, grecko-unicką, i że dopiéro od tego to czasu obrócony on został na świątynię łacinską, a parafianie wciągnięci między łacinników. Na zasadzie tego śledztwa, i mając na uwadze, że w raportach przedstawionych przez rzymsko katolicko zwierzchność za lata 1840, 1841, dziernowicki kościół policzono jako parfialny; chociaż liczby parafian wcale nieoznaczono, z czego wypływa, że oni jako unici wrócili wszyscy do prawosławia: były minister spraw wewnętrznych, proponował senatorowi wrócić wspomnioną cerkiew prawosławnemu zarządowi, co też zostało zadecydowane ukazem 28 września 1842 roku. W ukazie tym, między innemi, powtórzono słowa wymienione w poleceniu do rzymsko-katolickiego duchownego kolegium: że przy téj cerkwi wracającéj wraz z parafianami, pod zazrąd prawosławnego duchowieństwa, wcale niema parafian rzymsko-katolickiego wyznania; atoli miejscowe łacińskie duchowieństwo parafialne, donosząc (styczeń 1843 r.) swemu konsystorzowi o oddaniu dziernowickiego kościoła pod prawosławny zarząd, wspomina, między innemi, że w tejże parafii zostało się 2,718 rzymsko-katolickich wyznawców, dla których odprawia

się nabożeństwo w kaplicy. Po uczynioném w 1845 r., wspólnie przez obu proboszczów, katolickiego i prawosławnego, rozliczeniu, wrócono prawosławnemu duchowieństwu 1,721 dusz.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, dopuszczono się przy tém rozliczeniu pewnych nieregularności; lecz jakkolwiek bądź, włościanie raz zapisani do księgi prawosławnych parafian, pod żadnym pretextem nie powinni i nie mogą od kościoła prawosławnego odstępować. Jakoż od 1845 r. żedne z ich strony w tym względzie żądanie nie pokazało się, i dopiéro w październiku 1857 r. dziernowiccy włościanie podali, na najwyższe W. C. M. imię, prośbę, w któréj twierdzą, że z powodu oddania w 1844 r. pod prawosławny zarząd dziernowickiego rzymsko-katolickiego kościoła, pozbawieni są możności wyznawania wiary swoich przodków, i błagają o wolność wypełnienia swych religijnych obowiązków, według rzymsko katolickiego obrządku. W dniu 6 grudnia 1857 r., naczelnik gubernii otrzymał od sekretarza Stanu do przyjmowania prośb, polecenie objawić dwóm pierwszym włościanom, co podpisali tę prośbę, że zostawiono ją bez żadnego skutku. Mnie się zdaje, że gubernator widząc początek tak zgubnego kierunku do odpadnięcia od prawosławia téj całéj ludności, powinien był natychmiast użyć środków stanowczych do powstrzymania tego («*Sprawiedliwie*»), i udać się sam do Dziernowicz. Zamiast tego, polecił on sprawnikowi wykonanie polecenia sekretarza Stanu (« *Działanie całkiem nietrafne* »), i nie zawiadomił najprzewielebniejszego arcybiskupa Bazylego o tém, co się dzieje w jego dyecezyi. To polecenie księcia Galicyna objawione zostało, stosownie do rozkazu, dwóm pierwszym włościanom, którzy podpisali prośbę, wszyscy zaś inni pozostali o niém w niewiadomości. Tym sposobem stracono czas i pozwolono rozszerzyć się wybuchniętemu płomieniowi.

W marcu b. r., p. minister spraw wewnętrznych przesłał naczelnikowi gubernii nową prośbę dziernowickich włościan. W tymże czasie, najprzewielebniejszy Bazyli, arcybiskup połocki i witebski, doniosł rzeczywistemu radzcy stanu Kołokolcowowi, że dziernowiccy włościanie, w skutek jakichś tam pogłosek o wolności wyznania, chcą powrócić do łacinników i uchylają się od obowiązku wykonania spowiedzi i przyjęcia świętéj komunii. Wówczas, posłana została komisya dla wyśledzenia przyczyn tego odpadnięcia od prawosławia i dla oświecenia włościan; lecz działania téj komisyi żadnego nie otrzymały powodzenia. Objawiono uroczyście włościanom tym treść polecenia sekretarza Stanu do przyjmowania prośb; przekładano im, że są obowiązani stosować się do rozkazu rządu: lecz na wszystkie te upomnienia, włościanie pozostali niewzruszeni i oświadczyli stanowczo, że wcale nie myślą dalej wyznawać prawosławnéj wiary. Dnia 19 maja spisany został akt takowego uporu. Komisya rozwiązana i członkowie jéj rozjechali się.

W takim to stanie znalazłem ja tę sprawę po przybyciu do Witebska i po rozwiązaniu komisyi. Sprawa wzięła nieprzyjemny obrot; potrzeba było nadać jéj prawny kierunek. Lecz mając na uwadze: 1° powolność tego prawami wskazanego postępowania, wówczas kiedy koniecznie trzeba było niezwłocznémi środkami wstrzymać rozwinięcie téj, niestety, ogólnéj dążności ku łacinnikom w powiecie dryzieńskim i niektórych okolicach połockiego powiatu; 2° trudność zastosowania do całéj masy ludności, praw przeciwko odstępcom i podżegaczom do odstępstwa od prawosławia; 3° bezustannie i wszędzie powtarzane prośby dziernowickich włościan, w których twierdzą, że im niewiadomo jak przyjętą została suplika podana przez nich na Najwyższe W. C. M. imię; 4° przekonanie wewnętrne, że użycie środków skrytych i gwałtownych nie odpowiedziałoby ani Waszéj wielkiej duszy, Najmiłościwszy Panie, ani godności naszéj religii: postanowiłem raz jeszcze zapróbować, czyli nie uda się, przez napomnienia i przestrogi, nawrócić włościan dziernowickich na drogę prawdy. Skrucha okazana przez jednego z głównych podżegaczy do odpadnięcia od prawosławia, i przykładne jego, na kilka dni przed moim przyjazdem, pojednanie się z wschodnią cerkwią, napełniło mnie dobrą nadzieją. Wnosząc, że i trzéj insi podżegacze trzymani w dryzieńskiem więzieniu, pójdą za przykładem swojego towarzysza, kazałem sprowadzić ich do Witebska, lecz z żalem wyznać muszę, że długie ich przebywanie w Dryzie pod wpływem dominikanów, do takiego stopnja wzmocniło ich w uporze, że wszystkie moje najgorętsze perswazye nie mogły ich wzruszyć i dla tego zostawiłem ich czasowo w witebskiém więzieniu.

Według doniesień komisyi, niepodobna było oczekiwać spółdziałania ze strony właściciela Dziernowicz, obywatela Korsaka; wszakże uznając to spółdziałanie za nader konieczne, napisałem do niego. Powiedziałem mu, iż pojmuję do pewnego stopnia, powody podane przez niego przed komisyą; że wyznając sam rzymsko-katolicką wiarę, niemoże on wpływać na przekonania religijne swoich poddanych; lecz jednak pozwoliłem sobie przypomnieć jemu, że jest obowiązany, własnoręczném pismem, do utwierdzania tych włościan w prawosławiu; przytém oświadczyłem Korsakowi moję pewność, że jako wierny poddany W. C. M., i jako światły chrześcianin uznać powinien, że rzymsko-katolickie wyznanie, zarówno jak i prawosławne, nakazuje być pokornie posłusznym zwierzchniéj władzy, że nareszcie włościanie muszą mieć do niego, jako do serdecznego ojca swojego większą, niżeli do kogokolwiek ufność: przeto nie omieszka on takie przedsięwziąć środki, któreby przekonać ich mogły, że okazując nieposłuszeństwo woli Monarchy, Pomazańca Bożego, ścią-

gają na siebie zasłużoną karę, gubią siebie i rodziny swoje. Razem z listem tym, posłałem do Korsaka przebywającego w Dryzie, podpułkownika żandarmeryi Łosiewa, i zostającego przy mnie kolegskiego asesora Miłosa. Poczem udałem się sam do Dziernowicz i na drodze do Połocka znalazłem przybyłych na moje spotkanie posłańców, z bardzo pomyślną odpowiedzią od Korsaka. Między innemi, pisał on do mnie, że z powodu ciągłéj choroby, sędziwych lat i odległości, widzi się w niepodobieństwie spółdziałania osobistego ze mną, aby wmówić swoim włościanom posłuszeństwo dla świętéj W. C. M. woli; że będąc sam przepełniony uczuciem wiernopoddańczego przywiązazania dla ubóstwianego Monarchy, niczego tak nie pragnie jak aby włościanie, poznawszy swój błąd i poczuwszy skruchę, wypełnili tę wolę; przez co i sobie, i rodzinom swoim i jemu zdobędą spokojność. Dla osiągnienia tego celu, wyprawił on, do mnie, zaufaną osobę, jemu i całemu powiatowi znaną, a jak się wyrażał, znaną także od wielu lat, z uczuć honoru i sumienności. Tą zaufaną osobą był ten sam Żarnowski, o którym donoszono, jako o sławnym podżegaczu włościan do odstąpienia od prawosławia i którego naczelnik gubernii oddalił od obowiązku karczemnego asesora za intrygi i jako człowieka podejrzanego. Nie wiem do jakiego stopnia sprawiedliwe dyły te oskarzenia, lecz mogę sumiennie zaświadczyć, że Żarnowski stokrotnie je okupił usługami, które oddał przy nawróceniu dziernowickich włościan.

Zaopatrzywszy Żarnowskiego w należytą instrukcyą, wysłałem go do Dziernowicz z podpółkownikiem Łosiewem i urzędnikiem Miłosem, i rozkazałem zebrać na jéj przyjazd wszystkich gospadarzy z wsi należących do majątku Korsaka. Przybywszy zaś sam na miejsce 12 lipca i stanąwszy przed zebranym tłumem, rozkazałem Żarnowskiemu odczytać i powtórzyć w narzeczu białoruskiém ogłoszenie o celu mojego przybycia. Ze zdumiewającą pokorą, te nieszczęśliwe zbłąkane ofiary wysłuchały napomnień moich, następnie padły na ziemie z jękiem i płaczem, błagając o pozostawienie ich przy wyznaniu rzymsko-katolickiém, w którém się urodzili, oświadczając gotowość wytrzymania wszelkich męczarni dla zbawienia duszy i zasłużenia królestwa niebieskiego. Długo pasowałem się z upartym fanatyzmem tych chłopów, aż nareszcie, przy gorliwéj pomocy Żarnowskiego, który ich przygotował swojemi upomnieniami, udało się przezwyciężyć ten upor. Włościanie przekonawszy się o niepodobieństwie przejścia na łacinizm, niepodobieństwie ogłoszoném im uroczyście i stanowczo, i że taka jest święta wola W. C. M., stopniowo zaczęli okazywać skruchę i całując moje nogi prosili o przebaczenie; takowi byli oddzielani i wnoszeni na listę powróconych na łono prawosławnéj cerkwi; pozostawało tylko kilku najzaciętszych w uporze, a w końcu i ci pomału upamiętali się (1). Wieczornego nabożeństwa

(1) Dla lepszego zrozumienia powyższego ustępu w raporcie pana Szczerbinina, kładziemy tu opis téj saméj sceny ze « *Sprawy dziernowickiéj* » ogłoszonéj przez nas w roku zeszłym. Po długich perswazyach senatora i pokorném tłómaczeniu się włościan, nagle z orszaku » senatorskiego zawołano: « A cóż to, jeszczeście się nie pokłonili » Cesarzowi w osobie senatora? Pokłońcie się przecie! » Lud z usza- » nowaniem schyla głowy. « Ale nie tak (woła kilku urzędników) nie tak! » niech każdy z was upadnie do nóg senatora i ucałuje mu rękę. » — » Lud się jeszcze ociągał, nie wiedząc w jakim celu domagają się tego, » gdy w tłum zgromadzenia wpadają urzędnicy, a popychając i wlokąc » biedaków, ciągną każdego z osobna przed senatora, naciskają na- » przód głowę do kolan i każą potém ucałować rękę. Senator nawza- » jem każdego całuje w głowę.

» Ten akt pokłonu uznany został za dowód zgodzenia się na słowa » senatora i przystąpienia do prawosławnéj wiary!! Wszystkich, którzy » odbyli tę zdradliwą ceremonią, wnet odprowadzono na stronę i zapi- » sywano imiona, jako dobrowolnie i chętnie przyjmujących prawosła- » wie. Jednak ośmiu domyśliło się podstępu, niechciało oddać pokłonu » i zamknięto ich na cały dzień do chléwa... » (*Wiadomości Polskie* z dnia 10 grudnia 1859 r.)

w dziernowickiéj cerkwi słuchali oni na kolanach. Nazajutrz, w niedzielę, kilku ludzi spowiadało się i komunikowało, ale w cerkwi było daleko mniéj ludu niż dnia poprzedniego; i tu właśnie miałem sposobność przekonania się o silném działaniu przeciwko prawosławiu niektórych obywateli, a zwłaszcza dominikanów, składających przy wstąpieniu do zakonu przysięgę na rozkrzewianie, wszelkiemi środkami katolicyzmu. Doniesiono mnie, iż w ciągu nocy, widząc, że się wymykają im ofiary ich fanatyzmu, znowu zachwiali włościan zapewnieniami, że ich oszukują, że ja jestem osobą zmyśloną i nie mam rozkazu W. C. M. wymygania od nich, ażeby wrócili do prawosławia (1). Posłałem natychmiast po obywatela, którego mi wskazano i po mieszkającego przy nim księdza. Doniesiono mi, że pierwszy na kilka dni przedtém wyjechał do Połocka, o czém się téż przekonałem po odbytém śledztwie; drzybyłemu zaś dominikanowi zrobiłem najsurowszy wygowor i oświadczyłem, że jeśli się ukaże najmniejszy udział jego w téj sprawie, to się postąpi z nim z całą surowością prawa.

Pozostawiwszy w Dziernowiczach policyą dla uzupełnienia rozpoczętego dzieła, z rozkazem, ażeby się obchodziła z włościanami ze wszelką łagodnością i nie nastawała ze zbytecznym pośpiechem na ich przystąpienie do spowiedzi i komunii, ale owszem dawała im czas przygotować się do tych wielkich tajemnic, wyjechałem do Dryzy i Dynaburga. W pierwszém z tych miast zaopatrzyłem podpółkownika Łosiewa i Miłosa w ostateczną instrukcyą i odesłałem ich nopowrót do Dziernowicz dla dopilnowania ścisłego wykonania przez policyą moich rozkazów. Po drodze z Dziernowicz do Dryzy, zwiedziłem dominikański klasztor w Zabiale i powtórzyłem przeorowi to wszystko, co byłem zapowiedział owemu dominikaninowi w Dziernowiczach.

Wracając w kilka dni z Dynaburga, otrzymałem najradośniejsze wiadomości z Dziernowicz od zostawionych przezemnie czynowników. Włościanie powoli i bez żadnego przymusu, z pełną, szczerą skruchą, za pomocą spowiedzi i komunii świętéj, pojednali się z prawosławną cerkwią; ochrzczono przytem kilkoro dzieci, niechrzczonych od kwietnia, o czém też spisano akt; a na jednéj stacyi, blisko Połocka, zastałem deputacyą z Dziernowicz składającą się z najzaciętszych odstępców, w celu wybłagania u nóg moich zupełnego przebaczenia i wstawienia się u W. C. Mości, o najmiłościwsze puszczenie w niepamięć ich zbrodni (1). Wszystkie otrzy-

(1) «... To się działo w sobotę; skoro zapisywanie skończone zostało, » kazał senator, aby wszyscy *nawróceni*, nazajutrz, to jest w niedzielę, » znajdowali się w cerkwi, na nabożeństwie, i przyjęli prawosławną » komunią. Tymczasem chcąc włościanom zadowolnienie swoje okazać, » dał im na gorzałkę pięć rubli sr. Ale po chwili wszystek lud, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zrozumiał podejście, odesłał senatorowi pieniądze i żaden z nich nazajutrz nie poszedł do cerkwi. Oburzyło to niezmiernie senatora i wszystkich asystentów: przynajmniéj » udawali wielkie oburzenie. A że trzeba było wynaleźć winnych » w zrujnowaniu « tak szczęśliwie rozpoczętego dzieła », znowu więc » wszystko zrzucono na zabialskich dominikanów: że ci, wśród nocy, » potrafili podburzyć lud gotujący się już do prawosławnéj komunii i » tak zniszczyli cały rezultat pracy i perswazyi senatora. »

(*Wiadomości Polskie*, z 10 grudnia 1859.)

(1) «... W poniedziałek, gdy włościanie poczęli zgromadzać się na pryhon, policya niespodzianie ich obskoczyła i zapędziła do cerkwi. Tam popi, nie uważając wcale, czy który był na czczo, czy po śniadaniu, czy chciał, czy niechciał spowiadać się, dawali generalną absolucyą i każdemu pchali komunią do ust. Wielu było, którzy się opierali téj profanacyi i obronili się rzeczywiście od przyjęcia. Ale i to nic nie pomogło: bo jak pierwéj każdy, którego senator ucałował, tak teraz, ktokolwiek zagnany był do cerkwi, zaliczony został do prawosławnych i wpisany w rejestra. Więcéj niż tygodnia łowiono włościanów, dręcząc w ten sposób ich sumienie, i przebrano, jeśli nie całą wieś to przynajmniéj część znaczniejszą, a dzieci przechrzczono na nowo. Po czém posłano raport senatorowi, że wszyscy włościanie dziernowiccy, uznawszy swoje błędy i za nie żałując, ze skruchą, dobrą wiarą i przekonaniem najmocniejszém, wrócili na łono panującéj wiary. » (*Tamże.*)

mane następnie przezemnie doniesienia, wraz z dołączonémi do nich aktami dryzieńskiego sprawnika, świadczą o stopniowém i stanowczém dopełnieniu, przez wszystkich dziernowickich włościan, obowiązków prawosławnego kościoła. Z trzech zaś najzaciętszych odstępców, wtrąconych przezemnie do więzienia w Witebsku, dwóch za powrotem moim poczuło skruchę i zostali przezemnie poprowadzeni do spowiedzi i stołu Pańskiego (1).

Tak tedy, pobłogosławił mi Pan Bóg w spełnieniu ze zdumiewającém, i śmiem rzec przez nikogo w Witebsku niespodziewaném powodzeniem, dzieła niewątpliwéj wagi, tak pod względem religijnym jak i politycznym, na wypadek którego wszyscy spozierali z ciekawością, a które mogło przybrać zgubne i ogromne rozmiary, grożąc zachwianiem dopełnionego w 1839 r. połączenia unii z prawosławiem : (*«Czyni to wielki zaszczyt rozumnym i prawdziwie chrześciańskim czynnościom senatora.»*) Złe mogło być bardzo łatwo przytłumione w samym początku, ale przez niepojętą obojętność i nierozważne dyspozycye władz miejscowych, przez rozmaite zaniedbania, jako to : niezaopatrzenie wysłanéj komisyi w oryginał odpowiedzi sekretarza Stanu do przyjmowania prośb, w celu zakomunikowania jéj włościanom ; zbyt długie zatrzymanie w witebskiem więzieniu, nie starając się go nawrócić, głównego sprawcy i t. d. uporowi włościan dozwolono rozszerzać się i wzmacniać.

Z tém wszystkiém, choć nieszczęśliwa ta sprawa pomyślnie skończona, nie śmiem zapewnić W. C. Mości, że się coś podobnego nie wznowi, jeśli natychmiast nie będą przedsięwzięte środki następne, surowe ale sprawiedliwe, w celu ukrócenia dominikanów, tych głównych podżegaczy do odstępstwa od prawosławia,

(1) Trzeci «felczer Wincenty... w nocy z d 23 na 24 t. m.. zastrzelił się.» (*Tamże.*)

wpływających na obłąkanie łatwowiernych włościan, wpajających w nich wiarę, że tylko w rzymsko-katolickim Kościele znajdą zbawienie :

1° Zabialski klasztor dominikanów, znajdujący się blisko Dziernowicz, oddawna jest nadetatowym i miał być zniesiony, skoroby liczba zakonników zeszła niżéj *minimum*. Atoli zawsze wynajdywane bywają sposoby utrzymania naznaczonéj liczby zakonników, zastępując ubywających innymi, przysłanymi z różnych miejsc do klasztoru. Dominikani tak są pewni długiego jeszcze istnienia tego klasztoru, że w czasie méj wizyty, widziałem podejmowane w nim restauracye. Potrzeba jest konieczna pospieszyć ze zniesieniem tego głównego siedliska fanatycznéj propagandy. (*«Znieść natychmiast.»*)

2° Przełożony klasztoru, ks. Filip Mokrzecki, znajdujący się jeszcze poprzednio pod dozorem policyi i uwolniony od takowego manifestem, miewał w ostatnich czasach kazania w białoruskiém narzeczu, dążące do osłabienia przywiązania i uszanowania dla prawosławia. Niezwłoczne wydalenie jego z witebskiéj gubernii, z zakazem powrotu, posłuży za przykład zbawienny dla innych księży i zakników. (*« Wykonać.»*)

3° Ze sprawy śledczéj, prowadzonéj przez komisyą pokazuje się : że katolickie duchowieństwo przyjmowało do spowiedzi i komunii świętéj, osoby prawosławnego wyznania, wbrew swym własnym piśmiennym zobowiązaniom, jako to : ksiądz Ostankowicz, mieszkający u obywatela Eysmonta, ks. Wołyński, ks. Sawicki, z których ostatni ochrzcił według rzymsko-katolickiego obrządku, dzieci jednego włościanina, pomimo to, że na podaną przez tego włościanina prośbę, aby mógł wraz z rodziną wyznawać łacińską wiarę, nadeszła odmowna odpowiedź od metropolity Hołowińskiego, jeszcze w 1854 roku ; a takowe odmówienie zostało potwierdzone przez dzisiejszego metropolitę Żylińskiego. Jeśli się nie uzna za stosowne oddać tych dwóch księż

pod sąd, to jednak, w każdym razie, rozkazać potrzeba koniecznie jak najsurowiej całemu duchowieństwu katolickiemu w ogólności, ażeby się powściągnęło od tych nieprawnych postępków, pod karą niezwłocznego wydalenia z kraju. Że zaś duchowieństwo to może się składać niewiadomością, należy zobowiązać na piśmie wszystkich księży witebskiéj gubernii, jako też i wszystkich, którzy późniéj będą wyświęceni, ażeby przyjmowali do spowiedzi i komunii i inne oddawali pomoce duchowne, tym tylko z swojéj parafii, którzy złożyli dowody prawne, że należą do łacinników.

Do tego śmiem dodać niektóre uwagi o środkach, które według mego rozumienia, możnaby zastosować w wypadkach podobnych obecnemu, to jest w razie odstępstwa całych wsi od prawosławia.

Prawa nasze nader wyraźne i jasne względem podżegaczy do apostazyi, nakazują odstępców duchownéj oddawać zwierzchności, która, w razie ich uporu, postępuje z nimi według przepisów cerkiewnych. Z pewnością można powiedzieć, że nauki duchowne konsystorza połockiego prawosławnego, nie obiecują najmniejszego skutku na wiernych, wprawdzie przyłączonych, ale wcale nie umocnionych w wyznaniu wschodniéj cerkwi, między którymi wielu wyznawało dawniéj obrządek łaciński, i którzy w ogólności nie mają żadnego szacunku dla popów ex-unitów, uważając ich jako odstępców swéj wiary. Sam arcybiskóp Bazyli tegoż jest zdania, i kiedy się toczyła rzecz o upamiętanie głównego podżegacza do odstępstwa, najprzewielebniejszy, po pilném i baczném rozważeniu wszystkiego co zaszło i wszystkich nauk dawanych nawróconym i uporczywym, oraz dla innych przyczyn, prosił gubernatora i władze gubernialne, aby niewprzódy odsyłali wspomnianego podżegacza, aż kiedy się pokaże w nim niewątpliwa, i najszczersza skrucha, przyznanie się do zbrodni. Procesa podżegaczów i apostatów toczą się nader powolnie w izbach i

sądach, ponieważ zasiadają w nich katolicy. Znalazłem kilka podobnych spraw o nawracania na katolicyzm, ciągnących się od lat dziesięciu a nawet i więcéj. Śmiém myśleć, że dla witebskiéj gubernii warto byłoby postanowić osobne prawidła w téj mierze, jak naprzykład następujące :

1° W razie odstępstwa całemi wsiami od prawosławia, naczelników rodzin wysyłać do wielkorossyjskich klasztorów dla przekonania ich i umocnienia w prawosławiu. (« *Tak postąpić.* »)

2° Dla oznaczenia stopnia winy odstępców, rozdzielić ich na kategorye po dziesięciu ludzi ; utworzyć komisyą z sowietnika guberskiego, oficera żandarmeryi i deputata duchownego, która sporządzi spis do tych kategoryj zaliczonych, i następnie, wraz z opinią swoją i wnioskami, przedstawi je pod zatwierdzenie naczelnika gubernii.

3° Dla wykonania postanowień komisyi i surowego a blizkiego dozoru chłopów we wsiach, gdzie się pokazały odstępstwa, utworzyć stanową kwaterę, i wybór prystawa, któryby potrafił rozumnie rozporządzić się, i na którego można byłoby liczyć, poruczyć naczelnikowi gubernii. Temu to prystawowi będzie zlecone wysyłać winowajców, wskazanych według wzwyż wspomnionych list, do wielkorossyjskich klasztorów, zaczynając od tych, co się najuporczywszymi pokazali.

4° Wszystkie sprawy w witebskiéj gubernii w rzeczy odstępstwa, podlegające sądowemu rozpatrzeniu i wyrokowaniu, odsyłać do sąsiednich wielkorossyjskich gubernij. (« *Wszystko to przyjąć za niezmienną regułę postępowania i zakomunikować to oberprokurowi najświętszego Synodu.* »)

Nie podzielam całkowicie zdania tych, którzy uważają za konieczne zastąpić w witebskiéj gubernii, wszystkich bez wyjątku popów exunitów, popami z gruntu prawosławnymi. Bez względu na to, że to byłoby niesprawie-

dliwie, bo się znajdują między nimi ludzie światli, godni, dla których najwyższym ukazem zalecona jest apostolska pobłażliwość: trzeba pamiętać, że oddają oni tutaj niewątpliwe usługi znajomością miejscowego narzecza, miescowych obyczajów, nie mających związku z dogmatami i tajemnicami wiary. Mnie się zdaje, że można byłoby w pomoc dyecezyalnéj zwierzchności, bez ubliżenia jéj, odkomenderować w charakterze misyonarzy, prawosławnych księży, znanych ze swojego przykładnego prowadzenia i nauki, wybranych przez najświętszy Synod, którzyby utwierdzili w wierności, przyłączonych do wschodniéj cerkwi. Ci duchowni, nie tykając się obcych wyznań, przykładem i kazaniami swojemi pożyteczniéj oddziaływaliby przeciwko wpływowi katolickiego duchowieństwa, rozwijającemu się w witebskiéj gubernii, powoli wprawdzie, lecz w sposób niewątpliwy. Oprócz tego, dla zupełnego ubezpieczenia duchowieństwa naszego w witebskiéj gubernii, petrzeba koniecznie użyć stanowczych środków, w celu uwolnienia go od kłopotów i potrzeb życia codziennego, a oraz rozkazać mu, aby oddawali bezpłatnie posługi duchowne swym parafianom. W tém jest główna wyższość parafian katolickich nad prawosławnymi, i w tém tkwi ponęta dla ostatnich do przechodzenia na obrządek łaciński. Sami dziernowiccy chłopi skarżyli się przedemną na niemożność zaspokojenia prawosławnych popów, którzy ciągle domagają się pieniędzy, podarunków i różnych produktów pobieranych w naturze pod pretextem kolędy. (« *To wszystko zakomunikować ober prokurowi najświętszego Synodu, dla przygotowania odpowiednich propozycyj, które mają być przedstawione do mego zatwierdzenia.* »)

Potrzeba zwrócić szczególną uwagę na budowanie nowych i naprawianie starych prawosławnych cerkwi. Z ogromnéj korespondencyi, w różnych czasach prowadzonéj w tym przedmiocie, widać tylko bezskuteczny

zachód zobowiązywania na piśmie obywateli do podtrzymywania prawosławnych świątyń i budowania mieszkań dla sług cerkiewnych. Obywatele ci, po większéj części katolicy, myślą tylko o swoich kościołach. W przejażdzce mojéj po tym kraju, miałem sposobność widzieć smutny kontrast stanu świątyń między pierwszémi a drugiemi, a ta okoliczność musi wywierać wpływ na umysły prostego ludu, na który zawsze i wszędzie, mniéj lub więcéj, działają zewnętrzne wrażenia. W zarządzie dóbr państwa, w witebskiéj gubernii, ułożone są prawidla bardzo odpowiedne, w rzeczy budowania prawosławnych cerkwi. Bardzo byłoby pożądaném, aby można było zastosować te prawidła do obywatelskich majątków, przy pomocy rządu i spółdziałania zarządzającego witebską izbą dóbr państwa, człowieka pełnego sumienności i ożywionego rzetelną gorliwością o dobro ogólne. Dla ulżenia skarbowi, w dawanych z rządowéj kasy zapomogach, można byłoby nałożyć na chłopów mały pogłówny pobór, z czego utworzyłby się tak nazwany kapitał duchowny, do rozdzielenia którego ustanowiony byłby komitet, gdzieby zasiadał mianowany od rządu czynownik. Z tego kapitału można byłoby udzielać summy probostwom, na najęcie robotników do uprawiania ziemi do nich należącéj. Taki pobór chłopi chętnieby wnosili w zamian powinności w naturze, które ich odciągają od własnych gospodarskich zatrudnień i robót. (« *Minister spraw wewnętrznych ma wniosek ten roztrząsnąć i przedstawić go bezzwłocznie do mojego zatwierdzenia.* »)

PRAWOŚĆ OBYWATELSKA KURYERA WILEŃSKIEGO.

---

4 sierpnia.

Kuryer Wileński, przy rozpoczynającém się drugiém półroczu swego istnienia, ogłasza znowu zasady a raczej *uczucia* jakie daléj onego redakcyi przewodniczyć mają. Program ten umieszczamy w całości:

KURYER WILEŃSKI.

Kończąc pierwsze półrocze wydawnictwa *Kuryera Wileńskiego,* winniśmy zdać sprawę przed ogółem z zakresu naszéj działalności, wykazać z całą sumiennością, jak pojmujemy nasze względem społeczności obowiązki, i o ile mogliśmy uczynić im zadość, bacząc na obwarunkowania nierozerwanie związane z każdem wydawnitwem u nas.

Otrzymaliśmy najwyższe zezwolenie wydawania *Kuryera Wileńskiego* na kilka dni przed wyjściem pierwszego numeru; niemogliśmy przeto odrazu postawić pisma naszego na takim stopniu, jakeśmy tego czuli i

zeznawali potrzebę, i jakeśmy to w dalszym ciągu wydawnictwa naszego starali się rozwinąć.

Przystępowaliśmy do pracy w imię *prawdy i miłości,* silni tą wiarą, że ogół zrozumie nasze położenie i swém współczuciem doda nam sił i otuchy. Nadzieje nasze nie były płonne! Ze wszech stron kraju odbieramy oznaki współczucia i uznanie, żeśmy, w miarę naszéj możności, czynili zadość swemu powołaniu, żeśmy postępowali prawą drogą, i starali się wypowiedzieć nasze zasady stałym rozwojem pracy, nie zaś czczą deklamacyą tylko.

Nie możemy zamilczeć, że w tak krótkim czasie pismo nasze było celem boleśnych napaści, od tych co niepojmując naszego życia, sądząc fakt każdy z bezwzględnego stanowiska, ufając w to, że bronią prawdy, najniewinniéj ranili bezbronnych współbraci.

I nie mamy żalu do naszych oskarzycieli, bo chcemy wierzyć, że ich zarzuty z czystego płynęły źródła.

Na wielkim życia społecznego gościńcu, wszyscy dążymy *do jednego świętego celu,* jedni rychléj, drudzy wolniéj, dla jednych Opatrzność oszczędziła ciężaru — innym złożyła na barki brzemie, i na każdym kroku kazała spotkać zawady, i może dlatego podczas saméj wędrówki, nieraz sarkniemy na współwędrowców, że się wstecz cofają, patrząc na ich mozolne zapasy, nie pojmując, sami nieskrępowani, ile im każdy krok naprzód wytrwania i poświęcenia kosztuje.

Przyjdzie chwila, gdy się u wspólnéj wszyscy *spotkamy mety,* choć nas różne do niéj prowadziły drogi, a wtenczas spojrzawszy w przeszłość ubiegłą, nie jedno czoło pokryje się wstydu rumieńcem, za niesłuszną krzywdę braciom wyrządzoną.

Rozpoczynając drugie półrocze wydawnictwa *Kuryera Wileńskiego* od 1 lipca 1860 roku, staraliśmy się zapewnić dla pisma naszego ciągłe współpracownictwo wszystkich prawie znakomitych pisarzy naszych, rozszerzyć zakres korrespondencyi stałéj w kraju i zagranicą, dla-

tego by czytelnicy nasi mogli mieć w każdym numerze wierne odzwierciedlenie chwili bieżącéj; oraz korzystając z nabytego doświadczenia rozwijać silniej wszystkie kwestye życiowe, na których rozjaśnieniu i ziszczeniu kraj skorzystać może.

Nie wypowiadamy naszych zasad i dążności, bo przecież jedne są, wspólne nam wszystkim, zasady *prawości uczuć obywatelskich, jak jeden jest Bóg i prawda jedna.* Po za temi zasadami, jest fałsz, lub zobojętnienie.

Zobojętnienie w kwestyach życia; to goniec śmierci.

I dla tego z równą radością, spotykaliśmy objawy współczucia i gorzkie zarzuty: świadczyły one o niewygasłém życiu, o rozbudzonéj potrzebie przeświadczenia się, gdzie tętno prawdy, a gdzie są jéj pozory, kędy jest praca w imię Chrystusa, a kędy nadużycie świętości słowa.

Baczni i oględni, wytrwamy na obraném stanowisku, którego ważność rozumiemy i szanujemy.

Żaden cios tkliwy, nie obudził w nas gniewu — bo on ranić tylko będzie pierś naszą, ale nie prawdę świętą, któréj wypowiedzenie na nas ciąży.

W razie potrzeby staniemy do walki, ale w obronie idei, nie zaś indywidualności.

W skarbnicy społecznéj, złożmy każdy swój grosz wdowi, nie czekając rozgłosu, nie czekając uznania zasługi.

Redaktor: A. H. Kirkor.

Jak nas tak i czytelników naszych w téj odezwie uderzy naprzód, znany nam już z tego pisma, niezwykły dziennikom, niechcielibyśmy powiedzieć, przesadny ton chrześciańskiego jakoby namaszczenia, ilekroć dotyka « napaści od tych co..... sądząc fakt każdy z bezwzględ- » nego stanowiska..... ranią bezbronnych spółbraci. » Zaprawdę, nie jest myślą naszą twierdzić, by dziennikom i dziennikarzom obcemi być miały najczystsze ani najwyższe natchnienia chrześciańskiéj nauki i wiary. Jednakże, dziennik, z natury swojéj, jak jest objawem publicznego życia tak też jest bronią do nieuniknionéj, nieustającéj na publicznèm polu walki. Nie rozumiemy przeto, a tłómaczyć byśmy nie radzi, ponawianych tak często, wśród koniecznego zgiełku téj walki, zapewnień miłości i wyrozumiałego pobłażania dla tych, których zdania, dążenia i środki, których i ciosy otwarte, bynajmniéj nieukrywane, zdawałyby się nietylko usprawiedliwiać ale wymagać równie otwartego odparcia, karcenia nawet, jeżeli nie zdobywają przyzwolenia.

W pismach i czynach, nacechowanych rażącem dla wroga podchlebstwem, czterech literatów, którzy zasłynęli na Litwie, następnie zaś i w samymże prospekcie *Kuryera Wileńskiego*, dostrzegliśmy wyraźnego odstępstwa od tego, co po dziśdzień, na całéj przestrzeni Polski, pomimo klęsk tylu, nie przestało być spólném wszystkich i jednomyślném uczuciem. Czyny w pewném zachowane ukryciu, opowiedzieliśmy; z pism, które są także czynami, przytoczyliśmy dosłowne ustępy. Praca to była niewdzięczna, bolesna. Zasmuciła i w kraju, który ostrzedz było naszym zamiarem, niejednę duszę prawą ale tak zbolałą, tak przywykłą do grobowéj ciszy i ciemności, że w niéj już oko światła, ucho prawdy znieść nie jest zdolne. Mniemamy, że to czyniąc pełniliśmy ten właśnie obowiązek, który na nas wkłada swoboda, dobrowolném z kraju wydaleniem się okupiona, jedyna ojczyznie naszéj pozostawiona swoboda strzeżenia z poza kraju czystości polskiego ducha, polskiego sumienia i wiary.

Cóż na to odpowiedzieli ci, którym, jako Polakom, najcięższą zadawaliśmy zbrodnię? Żadnego przez nas wytkniętego im czynu, kroku, słowa nie zaprzeczyli. « Bezwzględne » tylko onych ocenianie nam zarzucili i « ciskanie kamieniem z poza ściany na bezbronnych. » Żadnéj nie stawili obrony, żadnego też nie podali obja-

śnienia stroskanemu, choćby pozorem tylko ale pozorem odstępstwa głęboko wzruszonemu sumieniowi narodowemu. Oskarżeni, z żadnego nie oczyszczeni zarzutu, występują jako oskarżyciele; ale za to do syta częstują nas zapewnieniem swojéj miłości i pobłażania. Nadewszystko, prawią o « miłości dla prawdy » jakiejś, któréj nigdzie domacać się nie dają, i « spólności celu » którego nigdzie nie określają. Śmiałość tych twiedzeń liczyć może tylko, przy niedoświadczeniu czytelników, na pilną straż wroga, niedopuszczającą głosów, mogących być dla publiczności ostrzeżeniem. O tyle téż zadziwia nas niczém, mniemamy, nieuzasadniony zarzut, jakobyśmy « bezbronnych » ranili. Jeżeli bowiem kiedykolwiek spółrodaka ranić nam przychodzi, to najpodobniéj takiego, którego broni i wynagradza wróg.

Odezwa redakcyi *Kuryera Wileńskiego* mimowolnie nam przypomniała sławny w dziejach świata pocałunek. Niestety, nie pierwszego to Polska doświadcza odstępstwa! Na początku emigracyi, mieliśmy w Adamie Gurowskim odstępcę cynika. Znamienity wołyński literat oswoił nas z odstępstwem paradoxalném. Radzibyśmy uwierzyć, ale czekamy dowodów, nie samych zapewnień, że redaktorowie *Kuryera Wileńskiego* pozór tylko przybrali judaszowego odstępstwa.

Jeden z korespondentów naszych z Litwy donosi nam, że redakcya *Kuryera Wileńskiego* zamierza w dziennikach cudzoziemskich *zręcznie* swą sprawę przeciw nam wytoczyć. Miałażby, do winy zaprzedania się wrogom, dołączyć pokrewny grzech wytaczania przed sąd i opinią obcych tego, co na naszém i tylko na naszém obywatelskiem polu da się ocenić i roztrząsnąć? Ta niespodziana wiadomość i dodajmy, równie niespodziane zachowanie się niektórych dzienników krajowych względem jednego z głównych redaktorów *Kuryera Wileńskiego*, zmusi nas, wbrew woli naszéj, powrócić do téj sprawy niemiłéj, jakkolwiek ona w sumieniu narodu oddawna jest osądzoną.

WZGLĘDY KOLEŻEŃSKIE I BEZWZGLĘDNA SUROWOŚĆ.

11 sierpnia.

Miało nasze dziennikarstwo, w krajach pod zaborem rossyjskim zostających, tak jak cała literatura w ogóle, epokę zupełnéj swéj nicości. Pisma nie wpływały bynajmniéj i wpływać nie mogły na opinię publiczną, opinia nic téż nie wymagała od nich, chyba podrzędnéj, chwilowéj rozrywki. Naród zagrożony we wszystkich swoich najświętszych prawach, miał słuszne powody obawiać się, iż mu mówić ojczystym językiem zabronią, więc z dziecinną radością cieszył się podówczas, że są jeszcze ludzie piszący po polsku, z miłością na nich patrzał, jak na przechowywaczy drogiego mu skarbu; dość było wtedy pisać po polsku, aby tém samém uchodzić już za patryotę. Ten smutny okres ciszy i zupełnego przygnębienia trwał przeszło dziesiątek lat po wojnie 31 r., był on naturalnym wypadków tych następstwem i nieuniknioną podobno koniecznością.

Pierwsze, silniejsze cokolwiek rozbudzenie publicznego ducha, datowaćby można od wystąpienia p. Henryka Rzewuskiego i dwóch innych literatów, co wtedy przy jego boku stanęli. Pisma Jarosza Bejły i wieść o mającym się założyć dzienniku dla szerzenia panslawistycznéj propagandy, poruszyła opinię w zupełnéj dotąd odrętwiałości zostającą.

Jak ów syn Krezusa niemy od urodzenia, który widząc w bitwie cios w piersi ojca wymierzony nagle mowę odzyskał, tak u nas, duch publiczny, zagrożony tym nowym, niespodziewanym ciosem, znalazł, jeśli nie głos, to głuche jakieś, ale powszechne oburzenie i odparł nim, ubezskutecznił usiłowania paru ludzi, co sami wszedłszy na bezdroże, sądzili, że naród za sobą pociągnąć potrafią. Wszyscy pisarze nie mogąc jawnie wystąpić umieli przynajmniéj usunąć się od kierunku, co wyraźną do Moskwy okazywał skłonność: i autor Listopada, opuszczony rychło, potępiony stanowczo, pozostał jako ciekawe zjawisko rzadkiego talentu i rzadszego u nas cynizmu.

Od owego czasu, nowe okoliczności, zdarzenia, wreszcie pisma zagraniczne, mimo czujnéj policyjnéj straży przenikające do kraju, dopomogły ożywieniu się i postępowi publicznego sądu. Zaczęto u nas powoli wymagać od pisarzy, by mieli na uwadze moralne potrzeby narodu, święte jego prawa i cele; zaczęła wyrabiać się myśl o odpowiedzialności pisarskiéj, ukształcała się i dojrzewała opinia. Dzisiaj téż w pojęciu i umyśle ogółu nie mały widać postęp: już nie tylko z literackim sądem przystępuje publiczność nasza, do płodów, jakie jéj pisarze podają: przeniknąć się ona stara ducha, co utwory te ożywia, pragnie z bliska przyjrzeć się owym bożkom i półbożkom literatury, a daléj idąc po téj drodze, gotowa nawet pokruszyć niektóre posągi i posążki, gdy się przekona, że nie z zupełnie czystego kruszczu odlane.

W tych wolnych, niekiedy dowolnych sądach, mogą się zdarzyć nadużycia: nie przeczemy nawet, że się już

zdarzają: ale bezstronny umysł, śledzący objawów narodowego życia, przekładać wszelako będzie dzisiejszy stan, choćby grzeszący nie wytrawnym i namiętnym sądem, od owéj odrętwiałości bezmyślnéj i przyjmującéj wszystko za dobre, dla tego tylko, że drukowane po polsku.

Ta roztropniejsza dziś czujność i wzrastająca dojrzałość opinii pozwalała nam rokować i oczekiwać, że wystąpienie wydawców Albumu wileńskiego i *Kuryera* wywoła w kraju taki sąd i takie uczucia, jakie u nas wywołało, że te pisma, które mogą głos zabrać odezwą się z potępieniem grona pisarzy co «mongolskich natchnień słucha,» a te, którym objawić myśli swéj nie wolno znajdą w sumieniu polskiem wskazówkę jak się zachować mają względem p. Odyńca i jego spólników.

Oczekiwania nasze spełniły się, lecz tylko do połowy; oburzyła się opinia: w Poznaniu, Prusiech Zachodnich i Lwowie, dzienniki z całą mocą sąd Emigracyi poparły; lecz z przykrością ujrzeliśmy, że warszawskie pisma nie zachowały tego taktu i rozwagi, jakiéj wymagał po nich i sam fakt jawném tchnący odstępstwem i głos wreszcie opinij wyraźne okazującéj oburzenie. Robiąc, nie bez smutku, ten zarzut pismom warszawskim, wyznajemy, że mamy tu głównie na celu *Gazetę Codzienną*, bo po jéj redaktorze, więcéj niż po którymkolwiek z pisarzy, kraj ma prawo spodziewać się i wymagać. P. Kraszewski, który niegdyś umiał względem p. Rzewuskiego i jego usiłowań zająć tak chwalebne, tak zgodne wreszcie z jego charakterem stanowisko, który zachowaniu się temu podówczas, winien nie małą część swéj zasłużonéj popularności, teraz wobec zarówno, jeśli nie bardziéj grzeszących i występnych, nie potrafił się znaleźć z tą ostrożnością, jaką dyktować mu mogło i własne przekonanie i obecne jego, publiczne stanowisko.

Redakcya *Gazety Codziennéj*, dla któréj dwuznacznemi być nie mogły intencye wydawców Albumu i *Kuryera*, do któréj doszedł zapewne sąd w téj mierze pism innych i głos opinii publicznéj, wydrukowała w swych kolumnach korespondencyę, w któréj niejaka pani Galwia, broni tendencyi *Kuryera*. Równocześnie prawie z listem owéj pani, pojawił się w *Gazecie* wstępny artykuł, wymierzony przeciw lekkomyślnym potwarzom, niesłusznym oszczerstwom «ciskanym z po za płota.» Artykuł ten różnie różni tłomaczyć sobie mogli: a lubo Redakcya napomknęła w krótkiéj wzmiance, że takowy artykuł dotycze innych osób i miejscowych okoliczności, cel istotny artykulu dla wszystkich nieledwie pozostał zagadką. Tę sfinxową zagadkę *Kuryer Wileński*, zaraz jednak na swoją rozwiązał korzyść. W ogólnikowych i elastycznych słowach *Gazety*, znalazł on, wygodny, a obronny dla siebie puklerz; i publiczność ujrzała artykuł o potwarcach przedrukowany w kolumnach *Kuryera* z dodatkiem wyrażającym p. Kraszewskiemu najczulsze podzięki za tę «szlachetną obronę uciśnionych (1).»

Byliśmy gotowi wierzyć, iż owe upomnienie dla oszczerców, do miejscowych, nieznanych nam osób się stosowało, ale mieliśmy wszelkie prawo oczekiwać, że użytek, jaki z artykułu tego zrobił kuryer wileński, będzie Redaktorowi *Gazety Codziennéj* dobitną wskazówką, aby ostrożniéj zachował się względem ludzi, co zrzuciwszy wszystkie skrupuły polskiego sumienia, nie mają też dziś skrupułów w szukaniu dla siebie obrony. Na innych w téj mierze ostrzeżeniach, czynionych z miarą, i zasługujących na uwagę, nie brakło *Gazecie Codziennéj*; ale widać, że błąd jeden, fatalnie pociąga za sobą drugi często gorszy; przed paru bowiem tygodniami, ujrzeliśmy w *Gazecie* listy Mickiewicza do p. Odyńca, które ten ostatni przesłał, jako dowód owéj przyjaźni, co go za młodu ze zgasłym Wieszczem łączyła, przyjaźni, o

(1) Kur. Wil., Nr. 33.

któréj p. Odyniec tak haniebnie zapomniał, którą też napróżno zasłania się dzisiaj. Ma zapewne prawo *Gazeta* tłomaczyć się, że w tych listach widziała tylko materyał do życiorysu Adama, my sądzimy jednak, że sama pamięć, którą każdy Polak w duszy swéj dla zmarłego przechowuje, powinna była pouczyć redakcyę, jak niewczesną, jak niestosowną jest rzeczą, podnosić stosunek, któregoby się niezawodnie dziś wyparł, ten co przez całe życie «z ludem swoim zbratan, duszą był w swoję ojczyznę wcielony.» Redakcya mogła widzieć w tych listach tylko ciekawe biograficzne szczegóły, lecz p. Odyniec w ogłoszeniu ich spodziewa się tylko własnéj rehabilitacyi: a że *Gazecie* dobitnie w téj mierze przekonań swych wyrazić nie wolno, wszystko nakazywało jéj od ogłoszenia się wstrzymać. Trzeba było zostawić drukowanie tych listów *Kuryerowi*, umieściłby je on zapewne, obok opisu takich uroczystości, jak uczta kowieńskich profesorów w rocznicę założenia moskiewskiego uniwersytetu, na któréj także wspomniano Mickiewicza jako *krajowego* poetę, kładąc jego nazwisko między Puszkinem a Gogolem. Łatwo pojąć, że p. Odyńcowi chodzi, by owym stosunkiem lat młodych, oszukać dziś niedoświadczoną i głębiéj niepatrzącą część czytelników, ale daleko trudniéj zrozumieć, czemu redakcya gazety dopomaga mu na téj drodze.

P. Kraszewski spotkał się przy samym wstępie w trudny redaktorski zawód z najniesłuszniejszemi podejrzeniami. Podejrzenia te, niepodzielane o ile wiemy przez ogół, są zresztą tak nizkie, że nie mogą sięgnąć na wysokość pozycyi, jaką wyrobił sobie ten pisarz. P. Kraszewski, przesadza sobie może doniosłość i wagę tych pokątnych, osobistością nacechowanych podejrzeń, a drobne utarczki, jakie z niemi stacza, nie pozwalają mu widać, zwrócić uwagi w tę stronę, którą przedewszystkiem na baczności mieć powinien. Gdyby redaktor *Gazety Codziennéj*, zamknął kolumny swego dziennika

przed reklamacyami p. Odyńca i jego obrońców, gdyby nie pozwolił sobie żadnéj o *Kuryerze Wileńskim* i jego przywodzcach wzmianki, gdyby nie wymienił, ani razu ich ohydnych i ohydzonych nazwisk, to samém przemilczeniem takowém, nadałby *Gazecie* swéj, więcéj charakteru i znaczenia publicznego, niżeli to uczynić mogą artykuły o potwarzach i potwarcach, niezrozumiałe dla wszystkich, a tylko *Kuryerowi* dogodne.

Trzeba wyznać, że redaktorzy *Kuryera*, nie bez pewnéj zręczności poczynać sobie umieją; delikwenci przemawiają jak męczennicy: jednomyślny sąd opinij, powszechne oburzenie, jakie wywołali, wystawiają oni wciąż, jako stronnicze, lub osobiste zawiści i uprzedzenia. Tę taktykę wprowadził, jak się zdaje, w użycie p. Odyniec: dawniéj już w jednym swym wierszu skarżąc się, ile i jak niesprawiedliwie cierpieć musi, mniemanych swych prześladowców mianuje on «nieprzyjaciołmi krzyża», czém zresztą najzupełniéj przypomniał nam paryzkiego Robert Macair'a, który ścigany przez sądy, urzędników sprawiedliwości, swymi nieprzyjaciołmi politycznémi nazywa. Nie można przypuścić, aby zdrowsza w kraju opinia, dała się uwieść tą nietrudną do przejrzenia taktyką. Lub Tartuffe Moliera zapewnia, że wolno z niebem wchodzić w układy, żadne uczciwe serce możności takiego kompromisu nie dopuszcza, żaden Bogu dzięki w kraju umysł, jeźli tylko na sumieniu polskiém się opiera i z niego światło swe czerpie, nie pojmie i nie uwierzy, aby ten sam człowiek, co w cesarzu rossyjskim prawego następcę Jagiellonów widzi, mógł dążyć w «imię prawdy, miłości, do świętego celu, do wspólnéj wszystkim nam mety.» — Kto zastanowił się nad postępkami wydawców Albumu, czuje dobrze, że pisarze ci, obrazili nie stronnicze czyjeśkolwiek wyobrażenia, ale, że wykroczyli, a wykroczyli ciężko, w obec tego kodexu, którego prawa, jasno są wypisane w każdéj polskiéj duszy, a które tylko zła wiara, lub

lekkomyślna pobłażliwość, mieszać może z osobistém i stronniczém zapatrywaniem się na rzeczy.

Przecież, dzięki widać owéj taktyce, i tym fałszywym jękom uciśnionego, co nikogo roztkliwićby nie powinny, znalazł p. Odyniec pobłażanie, nie u jednéj *Gazety Codziennéj*. *Czas* krakowski pospieszył się także z przedrukowaniem owych listów Mickiewicza, a wydrukował je, nie tylko jako materyał do życia wielkiego poety, gdyż we wstępie powiada:

«Listy te, jak czytelnik obaczy, najwymowniéj świadczące o przywiązaniu braterskiem i szacunku Adama, do najdawniejszego przyjaciela i towarzysza kilku prac poetycznych, włoskiéj podróży, a w końcu jakiś czas i towarzysza tułactwa (?), same przez się zbijają plotkę, wylęgłą już na grobie Adama, jakoby między nimi nie było, ani przyjaźni tak ścisłéj, ani harmonii wyobrażeń i dążeń (?). Na nieszczęście wieszcz nie mógł z głębi grobu, zaprotestować przeciw takim przypuszczeniom, za to protestuje świadectwem własnoręcznych listów, tak poufnych i otwartych, że najmniejszego nie można mieć powątpiewania o ich szczérości.»

Kto śledził z uwagą bieg téj smutnéj sprawy, wie, że bynajmniéj w niéj nie chodzi, o ile bliższym, lub dalszym był przyjazny stosunek łączący Mickiewicza z p. Odyńcem, każdy téż ma prawo, redakcyi *Czasu* zapytać, czemu rzecz tę, na takie wprowadzając pole, wyraźne, a niczém nieusprawiedliwione okazuje pobłażanie autorowi wiersza «*przyjdź królestwo Boże*». Jeźli miłość Chrześciańska powodowała *Czas* do takiego podania ręki osądzonemu i skazanemu; źle to pojęta miłość, a opinia nie bez słuszności nazwie ją słabością naganną, jakiéj na polu publicznem, żadną miarą folgować się nie godzi. P. Odyńca nikt podnieść, nikt zrehabilitować nie zdoła, on sam chyba uczynić to może, jeźli z prawdziwą skruchą do winy się przyzna, jeźli odwoła zbrodnicze swe słowa, tak jak to uczynił niedawno inny znany pisarz w obec licznego zgromadzenia obywateli.

Kiedy w rodzinie jakiéj starającéj się przechowywać cnotliwe i święte tradycye, jeden z członków hańbą się okryje, ci co go przekląć głośno nie chcą, lub nie mogą, przemilczają przynajmniéj na długo jego nazwisko. Takiego przemilczenia oczekiwała po dziennikach krajowych ta część publiczności, co z potrzeb naszych sprawę sobie zdaje, lecz w oczekiwaniach swych zawiedzioną została. Pisarze, jak p. Kraszewski i Siemieński, którzy przez wyższe swoje w literaturze stanowisko, mogą nie mało się przyczynić do podniesienia w piśmiennictwie obywatelskiego ducha, woleli chwilowo rozbrat z tym duchem uczynić, niżeli mu poświęcić braterskie, czy téż koleżeńskie względy.

Jest dziś w dziennikarstwie naszem, jakeśmy to na początku wspomnieli, pewna pochopność do dowolnych nieumiarkowanych sądów, łatwo mogąca przejść w nadużycie. Mieliśmy tego nadużycia świeży przykład w *Dzienniku Literackim Lwowskim*. Autor listów z pod Lwowa w wystąpieniu swém przeciw p. Polowi przeszedł miarę, jakiéj najgorliwszy o dobro publiczne pisarz trzymać się powinien, a gwałtownością z jaką rzucił niesłuszne pociski, osłabił znaczenie i doniosłość tych, co względem innych ludzi słusznymi i ze wszechmiar usprawiedliwionymi były. Pragnęlibyśmy, aby podobne wystąpienia nie powtarzały się więcéj, a sądzimy, że zapobieży się im tylko wtedy, jeśli pisarze, wyższe mający stanowisko, wiernymi być zechcą obywatelskiemu u nas powołaniu piśmiennictwa. Bo na publicznem polu dziennikarstwa, naturalnym rzeczy biegiem, słabość i niebaczna pobłażliwość jednych, zawsze wywołać musi namiętne głosy i nieumiarkowane sądy, u drugich: a nie zaspakajana w słusznych swych wymaganiach opinia, tworzyć będzie mniéj słuszne i wybuchać z gorszącą, szkodliwą dla dobra powszechnego gwałtownością.

Charakter publiczny o jaki zapewne chodzi i chodzić

powinno naszym dziennikom, nabywa się tylko pilnem baczeniem na publiczne potrzeby narodu. Nie w bronieniu, lub osłanianiu pojedynczych indywiduów, ale w pielęgnowaniu narodowego ducha, leży prawdziwa godność literatury. Wszystkie względy przywiązane do osób i osobistych stosunków drobnieją, w obec względów na publiczne dobro. Pisarze są jak liście drzewa, wiatr je często porusza, wiatr je zerwie i uniesie, lecz o to chodzić powinno, aby pień się ostał, i zdrowe czerpał soki i szedł prosto, ku górze. Sama krytyka literacka u nas na długo jeszcze nie powinna być czém innném, jak tylko zmysłem moralnym, poczuciem potrzeb narodowych zastosowanym do płodów piśmiennictwa. Gdyby takie przejęcie się położeniem kraju, na twardéj podstawie oparte, istniało i kierowało naszemi pismami, *Gazeta Codzienna* ostrożniejszą by była w swych stosunkach z *Kuryerem Wileńskim*, *Czas* nie brałby pod swą protekcyę p. Odyńca, a *Dziennik Literacki Lwowski* umiarkowańszym by się okazał w ostatnich swoich sądach i attakach.

Bez téj bussoli w piśmiennictwie naszém, wciąż lekkomyślność jednych podpierać będzie wyraźną zbrodnię drugich, pobłażanie dojdzie do téj granicy, gdzie się poczyna wspólnictwo ze złem, a niezaspokojona gorliwość wystąpi namiętnie z granic jakie godność pisarska zaleca, i o dziennikarstwie takiem, wyrzec jeszcze kiedyś może opinia, słowa potępienia, słowa groźne jak owe biblijne *mane, thekel, peres*, to jest: zważoném zostało na wadze i znalezione lekkiem.

CZEŚĆ BAŁWANÓW NA LITWIE.

Z Litwy, w lipcu. 1860 r., 18 sierpnia.

Cześć bałwanów powraca znowu na Litwę, mógłby ktoś powiedzieć patrząc na niejedno co się u nas dzieje i widząc jak niektórzy bałwochwalcze wybijają pokłony gwieździe północy, a zapominają o tym chrzcie z ducha i krwi co nas na wieki z Koroną złączył i w zachodnią wprowadził cywilizacyę. Początkowe dla Cesarza uwielbienia znajdować jeszcze mogły pozorne usprawiedliwienie w nadziejach jakie krótkowidzący i bezmyślni robić sobie wówczas mogli : Car był w Ostréj Bramie, Car z tym rozmawiał, a do tamtéj uśmiechnął się grzecznie, powtarzano wtedy dla podtrzymania równie sztucznego jak oburzającego polskie sumienia entuzyazmu. Dziś już do tych dziecinnych nadziei i złudzeń pretextu nawet nie ma, dziś już oszukiwać się mogą tylko ci, co się oszukiwać chcą dla własnego interesu lub wygody. Każdemu istotne dobro kraju mającemu na względzie, jasnem dziś być powinno, że tylko w utrzymaniu godności narodowéj i w twardem gdzie się da, stawaniu przy swojem, leży ocalenie nasze i przyszłość. Czemuż

niezawsze chcą o tém wiedzieć i pamiętać ci, co stanowiskiem swojem i pozycyą, prowincye nasze reprezentują, tak przed rządem, jak przed opinią publiczną.

Dotychczas, Bogu dzięki, nie było między szlachtą naszą a ludem rozdwojenia, lecz od pewnego czasu, zaczyna się rozszerzać u ludu naszego przekonanie, że cokolwiek dla niego robią dziś panowie, czynią to jedynie z rozkazu i przymuszeni przez Cara, że odłożenie kwestyi włościańskiéj nastąpiło w skutek tego, iż szlachta przekupiła go balami i ucztami w ostatnich czasach wydawanemi. Tak sobie ludek nasz tłómaczy, owe jak mówi *za panie brat* szlachty z Cesarzem, podobne objawy powinnyby dać do myślenia naszym amatorom balów i festynów. Wiadomo jak trudno walczyć z podobnemi przekonaniami zwłaszcza u nas, gdzie wszelkie środki oświecania i wpływu na lud są nam odjęte; postępowanie saméj szlachty i stawianie się jéj wobec rządu, najwymówniejszym by tu było i najskuteczniejszym środkiem. Lud nasz jest dobry i przechowuje niejedno z przeszłości wspomnienie. Mieliśmy tego niedawno dowód przy nowem wydaniu kantyczek, w których cenzura moskiewska usunnęła kilka pieśni (o Świętym Stanisławie, o N. P. M. Łagiewnickiéj) mających czysto narodowe piętno, lud palił te kantyczki i przychodził na skargę do biskupa, że go oszukują. Jakże trudno wytłómaczyć tym poczciwym prostaczkom, że są więzy i na słowo!... Żebracy tylko roznoszą jeszcze te stare pieśni po wsiach i nieraz opowiadają o kościuszkowskich czasach, o Francuzach i o Krakusach, bo tak u nas zowią Koroniarzy. Były tu usiłowania założenia czasopisma dla ludu w żmujdzkim języku, ale rząd który pozwala w Kurlandyi wychodzić dwóm łotewskim pisemkom u nas tego zabronił. W Kurlandyi obaw żadnych mieć nie może, bo tam duchowieństwo protestanckie i szlachta niemiecka, ciałem i duszą oddani Moskwie, pracują sami, aby lud, jeśli nie zmoskwicieć, to zgermani-

zować i rozdzielić na zawsze, dwa bratnie szczepy, Litwinów i Łotyszów.

Nie było prawdziwém doniesienie korespondenta do *Czasu* dawniéj już uczynione, że w szkole rolniczéj założonéj w Retowie, wszystkie przedmioty wykładane są w języku żmujdzkim. Książę Ogiński zakładając tę szkołę wyłącznie dla synów włościańskich, wyjednał tylko u rządu, że gospodarstwo wiejskie pozwolono wykładać po żmujdzku : inne zaś przedmioty uczą w niéj tak jak po wszystkich innych szkołach parafialnych i wiejskich, wyłącznie *po rossyjsku*. Niedawno nauczyciel téj szkoły pan J., postanowił; w miejsce kaligrafii *diktando polskie*, aby wychowańców jako tako po polsku nauczyć, lecz otrzymał za to naganę od samego Wrangla, kuratora okręgu naukowego.

Są u nas pojedyncze, małoznaczące zachcenia raczéj, aniżeli usiłowania, aby wyrobić jakąś narodowość żmudzką, oddzielną od polskiéj. Sądzę jednak, że z téj strony żadna obawa nie grozi; więcéj niżeli tych dziecinnych pretensyi *żmujdzinofilów* obawiaćby się można wpływu pisarzy, co pisząc po polsku, i dla polskiéj publiczności na miano *russofilów* zarobili sobie. Lecz Bogu [dzięki redaktorowie Albumu i *Kuryera Wileńskiego*, mimo popularności jaką mieć mogły niektóre z ich nazwisk, wpływu nie wywierają : ich chwilowe postępowanie, czy też obrachowane dążności, nie są bynajmniéj wyrazem przekonań ogółu, a opinia chociaż wystąpić publicznie przeciw nim nie może, omamić się jednak nie da. Najpopularniejszy nie dawno z tych ludzi Ignacy Chodźko wywołał przeciw sobie nowe, a słuszne oburzenie. Czytałem artykuł rossyjski z własnoręcznym jego podpisem w obronie *pieczatnoj prawdy* książeczki wydanéj przez ks. Galicyna, którą uczciwsze dzienniki rossyjskie potępiły, z powodu, że obstaje za utrzymaniem *in statu quo* stosunków włościańskich, a zatem i poddaństwa. P. Chodźko łaje dzienniki rossyjskie, wytykając im dą-

żenia rewolucyjne, poczerpnięte z pism francuzkich!... Artykuł p. Chodźki przeznaczony jest do *Inwalida Rossyjskiego,* gdzie zapewne czytać go będziecie.

Uwaga opinii publicznéj, zajętą jest teraz głównie balem, jaki w końcu sierpnia szlachta ma dla Cesarza wyprawić. Różne w téj mierze krążą wieści, donoszę wam to co pewniejszego udało mi się zasłyszeć. Już to w ogóle wielkiéj ochoty i entuzyazmu dla tych festynów nie widać, nawet u tych co się z urzędu entuzyazmować zwykli, a dwie znane nasze damy, które przed paru laty prędzejby się wyrzekły zbawienia duszy, aniżeli udziału w takich uroczystościach, oświadczyły, że tą razą zadziwią nas swoją powściągliwością i na bal nie przyjdą.

Nazimów wyjeżdżając w kwietniu do Petersburga, chciał mieć upoważnienie do zaproszenia Cesarza w imieniu obywateli trzech gubernij, zwołał w tym celu marszałków szlachty do Wilna. Jeden z przywołanych oświadczył, że ponieważ Cesarz Wilno, nie zaś jego gubernialne miasto bytnością swą zaszczyca, gubernia, któréj jest marszałkiem udziału w przyjęciu N. Pana, mieć nie może i do składek na ów bal przyczyniać by się nie powinna, dodał wszelako, że pieniądze się znajdą, jeżeli bal przez jenerał-gubernatora i w jego imieniu, nie zaś w imieniu obywateli danym będzie. Nazimów nie zadowolniony z takiego przedstawienia marszałka, miał wyrzec z boleścią «i na cóż się temu panu o order wystarałem!»

Jenerał-gubernator, niemogąc odkładać wyjazdu do Petersburga, opuścił Wilno bez upoważnienia, a takowe przyrzeczono mu przysłać telegrafem na ręce dwóch bawiących w Petersburgu marszałków. Ci dwaj, którym owe zaproszenie przysłano, oświadczyli podobno Nazimowowi swoją wątpliwość, co do możności zebrania funduszów; radzili aby się w téj mierze jeszcze raz znieść z miejscowymi marszałkami. Jenerał-gubernator, dotknięty niemile takiem zwlekaniem rzeczy, oświad-

czył wreszczcie, że Cesarzowi wiadome są dobre chęci obywateli tamtych gubernij, i że on sam N. Pana zaprosi.

Obecnie zamiary Litwinów w téj sprawie są, o ile wiem, takie: zebrać się licznie na przyjazd Cesarza, prosić z całą godnością (aby prośba miała cechę domagania się praw należnych) o język polski i o Uniwersytet, a wrazie nieprzyjęcia lub odmówienia prośby, rozjechać się zaraz. Takie są zamiary; daj Boże, aby każdy w uczuciu swém i sumieniu znalazł potrzebną wolę i moc do ich spełnienia. Wdrożeni w jarzmo, przywykliśmy nałogowo chylić w nie głowy, czas byśmy zaczęli w obec rządu stawać z podniesionem ku górze obliczem, jak ludzie co się dopominają praw słusznych, a nieulegających przedawnieniu.

Zobaczemy co nam przyniesie teraźniejsza bytność Cesarza, bo przeszła zostawi po sobie, jeden tylko ślad, a nawet pomnik. Pomnik ten, zamówiony już u snycerza, stawia p. Michał Tyszkiewicz, w Kierzance, aby unieśmiertelnić pamięć bytności Cesarza na polowaniu dla niego przez pp. Tyszkiewiczów danem. Znaną jest powszechnie anegdota z czasów konstantynowskich, o owym żołnierzu, którego W. Książe na paradzie ucałował, a który, od téj pamiętnéj chwili, nie umywał się więcéj, i postanowił brudem uczcić honor jaki go spotkał. W legendach, jakie kiedyś na Litwie opowiadać sobie będą o płaszczących się i zhańbionych, Mikita Tyszkow godne zajmie miejsce obok owego brudnego żołnierza.

LISTY O WYCHOWANIU W KRÓLESTWIE.

I

25 sierpnia.

Jeśli w krajach normalnėm, własnėm istniejących życiem, ważniejszą podstawę ich organizmu wychowanie stanowi, to dla podbitego narodu jest ono jednėm z tych zadań, od których śmierć lub życie zawisło. Jeśli sami nie zawsze pamiętamy o ważności zadania tego, ci co nami rządzą, na chwilę nie spuszczają go z uwagi. Kierunkowi jaki rząd nadaje wychowaniu u nas, a któremu nieraz dopomaga własna nasza niedbałość, przypisać można nieledwie to wszystko, co nam przeszkadza do podniesienia się moralnego, do trzeźwego pojmowania najważniejszych potrzeb i do służenia sprawie ojczystéj z tą jasnością przekonań, z tym obywatelskim hartem jakie tylko staranne, narodowe wychowanie dać może.

Z małym nader wyjątkiem najbogatszych mieszkańców, wszystkie prawie rodziny u nas, dzieci swe do

szkół publicznych oddają. To też zastanawiającemu się nad sposobem wychowania szkolnego w Królestwie, najpierwéj na uwagę przychodzi, czy pozostały w niém jeszcze jakiekolwiek środki, któreby istotnemu ukształceniu człowieka dopomódz i na pożytek kraju wpłynąć mogły. Chcąc bliżéj a sumienniéj przedmiot ten zbadać, dotknąćby należało wielu rzeczy związek z nim mających : list obecny ma na celu tylko określenie ducha, jaki machiną wychowania publicznego w Królestwie kieruje i oznaczenie środków ogólnych pedagogiki tutejszéj.

Główną władzą wychowania w Królestwie jest Kuratorya okręgu naukowego warszawskiego ; bo jakkolwiek władza ta zostawać ma pod zwierzchnim zarządem ministeryum oświecenia w Petersburgu, zależność jéj jednakże redukuje się, można powiedzieć, li do formy tylko. Nie trzeba wszakże rozumieć, aby nie wychodziły różne rozporządzenia i impulsa bardzo szkodliwe dla nas i od centralnéj władzy ; lecz też same rozporządzenia doskonale mogłyby wyjść z ministeryum finansów, lub nawet od pojedynczéj znakomitéj w rządzie osoby, i równie ściśle byłyby wykonane, byle tylko nosiły na sobie pieczęć władzy i tę jakąś niezmazaną i nieomylną cechę dążności rządowéj, do jakiéj przywykło u nas to wszystko co po urzędach i biórach zasiada. W ogóle myliłby się ten, ktoby na podobieństwo Zachodu sądził, że u nas istnieją jakiekolwiek legalne i niezbędne drogi ; w całym ustroju państwowym znany jest tylko jeden wyraz *naczalstwo*, a naczalstwo składa się z ludzi przenikniętych myślą główną rządu ; kto rozkazuje nikt o to nie pyta, bo z ducha rozkazu widać legalny czy nielegalny zwierzchnik przemawia. Wprawdzie potrzebny jest pewien stopień, aby można nazywać się naczelnictwem ; stopień ten uzyskuje się wyrzeczeniem się swojéj indywidualności, swojéj myśli, a przejęciem się systematem rządowym : naturalnie im wyższy sto-

pień, tem zupełniejsze wyrzeczenie się samego siebie.

W rzeczy wychowania w Królestwie Polskiém, odpowiedzialność cała przed rządem, leży na Kuratorze okręgu naukowego, który też doskonale pojmuje, że nie przepisów prawa radzić mu się wypada, ale ducha rządowego i wedle niego postępować.

Kurator okręgu naukowego warszawskiego p. Muchanów, jest wybornem narzędziem moskiewskiego systematu wychowania. Za jego zarządu, gałąź ta nowém zakwitła życiem. Rola p. Muchanowa nie redukuje się tylko do poskramiania i wytępiania w wychowaniu, żywiołów przeciwnych rządowi, ale zarazem jest on niewyczerpany w pomysłach dążących do uspienia w młodzieży duszy ludzkiéj, lub też do odwrócenia jéj z drogi narodowéj i chrześciańskiéj, na drogę materyalnych korzyści i zaspokojenia cielesnych żądań; a téj dążności, już to przez lekkomyślność, już to z materyalnéj ogólnéj nędzy kraj całemi nieraz siłami, choć bezwiednie pomaga. Ztąd wynika, to mnożenie specyalnych zakładów dla dzieci, nie opartych na żadném elementarném ogólnie ludzkiém wykształceniu, ztąd te dzielenia na wydziały zakładów noszących nazwę ogólnych, ztąd to tracenie i marnowanie summ na wydawnictwo książek elementarnych, które ani nauce nie odpowiadają, ani podręcznikami być mogą, ztąd protekcya wyłączna tak zwanéj *praktycznéj nauki i praktycznych nauczycieli*, ztąd nareszcie te ściśle przepisy co do prywatnéj i domowéj edukacyi.

Dla kierownictwa wychowaniem, jeszcze za czasów kiedy kuratoryum warszawskie niezawisłe było od ministeryum oświecenia, ustanowioną została Rada wychowania, lecz ponieważ, jak dowcipnie się wyraził p. Muchanow, rady on nie zawsze potrzebuje, znaczenie więc téj instytucyi jest zupełnie toż same, co i innych władz kolegialnych, jest ona przyjętą formą dla rozporządzeń rządowych, zresztą Rada ta składa się z ludzi

duszą i ciałem oddanych rządowi, członkowie są zupełnemi lokajami, myślącemi myślą kuratora i oddawna przywykli kłaniać się przed każdem jego słowem. Więcéj od wszystkich razem członków Rady znaczy p. Plewe i Popłoński, których *zaciemniawcze* zdolności doskonale ocenia kurator, radom ich ucho daje i chętnie się niemi posługuje. Pierwszy z nich jest naczelnikiem wydziału naukowego w kuratoryum i jako taki, czuwając nad wykonaniem pedagogicznych rozporządzeń, utrzymuje w karności cały stan nauczycielski od najwyższych do najniższych szczebli. Drugi zaś, jako urzędnik do szczególnych poruczeń przy kuratorze, i najuczeńszy z ciemnéj władzy oświecenia, używanym jest wszędzie tam, gdzie nauką upozorować trzeba postępek rządu, rozszerzać panslawizm lub inne rządowi pomocne idee, p. Popłoński, wreszcie sam wyłącznie zajmuje się żeńskiemi zakładami (1). Za pomocą tych dwóch wyższych i kilku podrzędnych służalców, rzuca się paniczny strach na polskich wykonawców rządowéj myśli i zaciera się w nich wszelką samodzielność; to też najwyższą cnotą u dyrektorów i nauczycieli jest — zupełna uległość, najświetniejszą zdolnością — bezmyślne a niewolnicze wykonanie poleceń władzy, i to są niezbędne nawet kwalifikacye, dla zapewnienia sobie jakiegokolwiek losu w zarządzie warszawskiego okręgu naukowego. Tu dotykamy głównego środka rządzenia polskiemi elementami w skład wychowania wchodzącémi, środkiem tym jest strach i

(1) Osobistość p. Papłońskiego jest bardzo ciekawą ze względu że odegrawszy kilka razy rolę prostego szpiega, to jest, pokazawszy się nawet w oczach krótkowidzów człowiekiem nikczemnym, chętnie w osobistych stosunkach udaje poczciwca; będąc zaś u nas moskiewskim służalcem, zwolennikiem despotyzmu i obskurantyzmu, w dziennikarstwie rossyjskiém, gdzie często swoje artykuły zamieszcza, chce uchodzić za Polaka i liberalistę. Zresztą, ten bijący w oczy a obrażający sumienie dualizm, spotyka się u wszystkich, rzadkich Bogu dzięki, panslawistów naszych.

trwoga. Ten strach utrzymuje się przez ciągłe wizyty i kontrolę nad zakładami, nie tylko za pośrednictwem wizytatorów, którymi są członkowie Rady wychowania, ale także przez inspektorów objazdowych, inspektorów zakładów żeńskich, urzędników do szczególnych poruczeń, i wreszcie każdego wyższego urzędnika kuratoryum, któryby tylko miał chęć potemu. Postępowanie tych wszystkich kontrolerów roznosi wszędzie rządową zarazę; a z drugiéj strony, niszczy wszelki szacunek uczniów dla nauczycieli, traktowanych nieraz przy uczniach, z całą wyniosłością impertynencką, i rozgniatającą. Ten systemat kontroli zastępuje wszystkie takie środki, któreby krępować mogły zamiary kuratora. I tak naprzykład, nauczycielom nie daje się żadnych instrukcyi, a jednakże nikt się nie myli co do znaczenia tego milczącego polecenia, każdy wie czego się żąda od niego i przy ściągnięciu na siebie odpowiedzialności za niedopełnienie, nikomu na myśl nie przychodzi wymawiać się niewiadomością, choć dodać należy, że nigdy nie pytają się o tłomaczenie, wreszcie słowo zwierzchnika dostateczną jest wskazówką postępowania. Rozumie się, że przy podobnym systemacie, nie każdy może, nie każdy życzy sobie być nauczycielem. Wedle zdania kuratora, publicznie wyrażonego, uniwersyteta kształcą zbyt ogólnie, a krajowi potrzeba nauczycieli praktycznych. Ten kto ma pojęcie o uniwersyteckiém wykształceniu, a słowa kuratora chciałby przyjmować w literalném ich znaczeniu, zadziwiłby się mocno, że Naczelnik wychowania podobne zdanie wygłaszać może. Zdanie to nie jest jednakże tak nierozsądném, jeśli zwrócimy uwagę na rzeczywiste a ukryte znaczenie jego. Studyowanie jakiéjś nauki, choćby w rossyjskim nawet uniwersytecie, wyradza pewne poszanowanie dla nauki w ogóle, pewien zapał rozsądny, pewien gust do intelektualnych zajęć, pewne stosowanie życia do idei. Nauczyciel rozmiłowany w swym przedmiocie, pomimo-

wolnie udzieli téj miłości uczniom, i rozbudzi w młodych umysłach niepotrzebne, zdaniem rządu, myśli i pragnienia; dla tego też od bardzo dawnego czasu nauczyciele wychodzący z rossyjskich uniwersytetów, nie byli przez kuratoryum faworyzowani, dawano im w ogóle miejsca jak najnędzniejsze i najodleglejsze od Warszawy, a liczba ich była tak małą, że nie wystarczała do zajęcia czwartéj części nawet otwierających się wakansów. Teraz wreszcie radykalniéj kuratoryum zaczyna zaradzać złemu, bo z pośród uczniów kończących gimnazyum realne, wybiera niektórych i tych wysyła do specyalnych zakładów w Belgii i w Niemczech, aby tam obeznawali się z praktyczną nauką, i przyjeżdżali wykwalifikowani na praktycznych nauczycieli; przy czém dziwną jest rzeczą, że u nas gdzie najwyższa nawet kwalifikacya naukowa zagraniczna nie ma żadnego znaczenia, od swoich stypendystów kuratoryum nie wymaga żadnego examenu, widocznie dlatego, aby nie potrzebowali sobie suszyć głowy nad czczémi teoryami, bo nauka powinna być tak uczniom wykładaną « aby po» skramiała burzliwego ducha mieszkańców tego kraju, » a wszczepiała zasady porządku i oszczędności (1). » Ci stypendyści zapewnione sobie mają najlepsze miejsce w hierarchyi nauczycielskiéj, daj Boże, aby się na nich zawiódł kurator podobnie jak się zawiódł na wychowańcach moskiewskich uniwersytetów, którzy będąc posełani do Rossyi dla moskalenia się, nie tylko, że Moskalami nie zostawali, ale nieraz na przyzwoitych wyrabiali się ludzi. Wysyłanie za granicę za kosztownym jest dla rządu środkiem, aby mogło dostarczyć całą potrzebną ilość nauczycieli, wreszcie co zrobić z przedmiotami do których teorya praktycznéj nauki zastosować się nie daje, co zrobić z historyą, jeografią, językiem polskim? Otóż najprzód wykład tych przedmiotów zre-

(1) Są to wyrazy użyte w jedném z rozporządzeń kuratora, do dyrektora świeżo założonego wówczas gimnazyum realnego.

dukowany został do minimum, nie z potrzeby, ale z konieczności, brak zaś nauczycieli z kwalifikacyą wyższych nauk, zastąpiono ludźmi ocenionymi za zdolnych do uczenia przez warszawski komitet examinacyjny, który znowu swoje kwalifikacye czerpał li tylko w nominacyi kuratora; komitet ten złożony jest z urzędników kuratoryum, i nauczycieli gimnazyów, z których żaden nie posiada wyższych naukowych stopni, ten to komitet fabrykuje u nas guwernerów, guwernantki i nauczycieli, z których w samym okręgu się śmieją, p. Plewe nazywa ich *iz prastych*, lecz jednakże oddają im wszelkie pierwszeństwo, niczem nieupozorowane przed nauczycielami kończącymi uniwersytet, ile tylko razy uznają to za stosowne. Za rys charakterystyczny komitetu wystarczą dwa fakta: jeden, że przyjęte jest za zasadę przez członków komitetu, iż nikt nie może zdać examenu na starszego nauczyciela, drugi zaś, że ludzie specyalni ilekroć razy są skazani na zdawanie examenu przed szanownym areopagiem, zawsze mają utrudnienie w przyznaniu kwalifikacyi z własnego przedmiotu, a wychwalani są za znajomość innych przedmiotów, z których examen pokrywa niedostatki w głównym przedmiocie i pozwala na danie żądanego świadectwa kwalifikacyi. Pomimo zaś wszystkiego, trzydzieści kilka miejsc nauczycielskich po gimnazyach i szkołach powiatowych jest obecnie i było przez cały rok opróżnionych, a jest nadzieja, że na rok przyszły, lepiéj jeszcze umysły uczniów odpoczywać lub gmatwać się będą. Wielokrotnie się wydarzało, że młodzi chłopcy w rok po opuszczeniu gimnazyalnéj ławki, zajmowali nauczycielskie miejsca, lecz będąc sprawiedliwym potrzeba dodać, że i kraj na tym punkcie dziwnie obojętnym się okazuje i jest karygodnie lekkomyślnym w unikaniu nauczycielskich obowiązków. Prywatnych nauczycieli także brak jest równie wielki, bo kto dla pobierania wyższéj edukacyi musi jechać o mil 200, to nic dziwnego, że późniéj niezby

wielką ma chęć guwernerować po wsiach. Potrzebie elementarnych nauczycieli rząd zaradził zaprowadzeniem oddzielnéj dla tego celu szkoły w Radzyminie. Trudno zrozumieć po co ta szkoła, bo i Rady gimnazyalne mają prawo robienia elementarnych nauczycieli i tych mianowanych przez Radę proteguje wyłącznie kuratoryum, ponieważ zwykle byli oni przed tém lokajami czy to rzeczywiście z obowiązków, czy téż z amatorstwa u znacznych urzędników. Takowi rozkrzewiciele oświaty między ludem na wsi, trudnią się szpiegowaniem właściciela wsi, proboszcza i sąsiadów; zdarzają się więc wypadki, że dziedzic mając z rzędu trzech szpiegów w swojéj szkole, dla *świętéj spokojności* stara się o zamknięcie szkoły.

Takich to więc tworząc sobie nauczycieli, zdaje się, że rząd obojętnym by powinien być na plan nauk, ponieważ w podobnie duszącéj atmosferze, i pod ciśnieniem takiego systematu, o istotnym wykładzie naukowym, mowy być nie może. Przezorny rząd jednakże nie chciał zostawić poza krańcami swoich kalkulacyi, żadnego skierowania umysłu młodzieży i jéj zetknięcia się z sobą, i dla tego téż w Kongresowém Królestwie, pozbawioném wyższych zakładów (1), tyle jest rodzajów instytucyj naukowych, co w krajach, w których wychowanie posunięte jest do najwyższych szczebli; a każdy z tych zakładów dla cudzoziemca, mógłby być typem niedołęstwa pod względem naukowym i pedagogicznym, a dla nas, gdybyśmy potrafili być baczniejsi na to, co naokoło nas się dzieje, przerażającym wzorem szatańskiéj przebiegłości, zastosowanéj do przewrócenia i skrzywienia umysłów naszéj młodzieży. O każdym z tych zakładów, trzebaby oddzielny napisać traktat, gdyby się chciało do gruntu wyczerpać przedmiot; lecz obecnie, kiedy

(1) Z wyższych zakładów istnieje tylko Akademia medyczna: kto bowiem zna gospodarczy instytut w Marymoncie, za zakład wyższy pod żadnym względem uważać go nie może.

idzie tylko o wykazanie ogólnych sposobów wychowania, co do naukowego planu szkół, dosyć będzie powiedzieć, że we wszystkich bez wyjątku zakładach, humaniora i wszystko co z niemi ma związek, jest o ile możności pominięte, lub też specyalności zostawione; że w naukach ścisłych i przyrodzonych cały wykład jest rozprzęgnięty, rozdrobniony, tak, że rzadko który uczeń zdoła wybrnąć z chaosu niczém nie powiązanych z sobą wiadomości; cała bowiem nauka skierowana jest do rysunków mechanicznych, konstrukcyi machin (oddzielny przedmiot w gimnazyach ogólnych), do praktycznych zajęć w laboratoryum, a nauka tych przedmiotów, przy nieumiejętném rozłożeniu ich na klasy, ginie w chaosie.

Aby zaś skutki złe, mogące wypłynąć ze zetknięcia się młodzieży, o ile możności umniejszyć, potrzeba było przeszkodzić starciu się różnych stanów w wieku, w którym tak łatwo przyjmują się wyobrażenia i myśli najnieodpowiedniejsze przyszłemu stanowisku poddanego cesarskiego. Dla tego też dobroczynny rząd założył instytut, nazwany szlacheckim, który mieści w sobie synów moskiewskich, lub zmoskiewszczonych urzędników i polskich półpanków, zakład wzorowy, bo tam zlewają się dwa elementa, dla wdrażania się we wschodnią cywilizacyę, w *sztukę używania*. W gimnazyum realném zbiegły się znowu dwa stany: najuboższy i pański; jeden z nich się uczy przez co może nabrać znaczenia w świecie, drugi, jak używać bogactw, przez naddziadów nagromadzonych. Mieszkańcy, którym środki nie pozwalają zapewnić dzieciom zupełnéj edukacyi gimnazyalnéj, mają szkoły powiatowe, które bynajmniéj nie są niższemi klasami gimnazyów, z jakiémś dopełnieniem dla tych, którzy nie pójdą daléj, ale są urządzone według rozkładu nauk po gimnazyach; dlatego również do gimnazyów gubernialnych czyli ogólnych, przyjmuje się li tylko samą szlachtę. Ktoby zaś podejrzywał, czy rząd wielkie przywiązuje znaczenie do téj separacyi, niech zapyta ojców, którzy dzieci swoje zmuszeni byli przenosić z jednéj do drugiéj szkoły, to dowie się od nich, jakich protekcyj potrzeba, aby podobnie prostą rzecz doprowadzić do skutku; dowie się, wiele to lat zmarnować potrzeba, chcąc się dostać po ukończeniu szkół powiatowych, do gimnazyów; rok lub dwa lata strawione dla przenosin, to rzecz zwykła, nie zadziwiająca już nikogo. Z domowéj edukacyi nie można oddać dzieci wyżéj, jak do trzeciéj klasy, z prywatnéj po pensyach, do czwartéj, a w bardzo wyjątkowych tylko pensyj prywatnych, do piątéj. Lecz i pensye te, poza sferą rządową zostawać nie powinny i niedosyć jest powierzać je ludziom, którzy za odpowiednich do tego rodzaju obowiązków uznani zostali w okręgu naukowym; nad pensyami bezustannie czuwają rozliczni wizytatorowie, którzy na krok nie pozwalają zboczyć od przepisanego planu nauk i książek do użytku młodzieży przeznaczonych; wglądanie to jest wszędzie paraliżującém, a w Warszawie, pod okiem kierowników oświaty, do tego stopnia nieznośném, że oprócz kilku dyrektorów podobnych zakładów, którzy przez długoletnie staranie, weszli w pewną z argusami zażyłość, dla innych, nie mających środków do téj zażyłości, pozycya jest nie do zniesienia. We względzie zaś zakładów żeńskich, opieka podobna, widocznie wydała się rządowi niedostateczną być jeszcze gwarancyą, skoro w ciągu lat dwóch, założył w Warszawie rządową pensyę i gimnazyum żeńskie, obecnie zaś jest projekt zakładania podobnych gimnazyów po wszystkich miastach gubernialnych; taniością edukacyi i dawaniem patentów na guwernantki i nauczycielki, zakłady te zapewniły sobie znaczną liczbę uczennic, które uwiędną w oficyalnym chłodzie i wyjdą z pod ogólnego stępla, z czczością w głowie i sercu.

Wszystkie sposoby użyte w zakładach dla klas społe-

czności, stojących już na pewnym stopniu kultury, nie mogły zastosować się do wychowania ludowego, z powodu jego rozciągłości i tego stopnia oświaty, do którego żaden jeszcze systemat zastosować się nie da, w tym więc razie, bezpieczniejszą daleko było rzeczą, wychowaniu temu nie dać się rozwinąć; jakich zaś do tego użyto sposobów, każdemu wiadomo. Zniesiono podatek na szkółki, jaki ciążył na wszystkich w całym kraju chatach wieśniaczych i postanowiono odtąd, aby tylko ta wieś miała szkołę, którćj włościanie dobrowolnie zgodzą się płacić na utrzymanie tego, czego wartości znać nie mogą, a jeźliby choć jeden nie uznał potrzeby nauki, szkoła nie może być założoną; tam znów, gdzie istnieje dwóch włościan, którzy płacenie na nią uważają za rzecz uciążliwą, są oni już w stanie wywołać zniesienie szkoły.

Z kolei wypadałoby wykazać przeprowadzenie i myśl rządu w szczegółowszych jéj zastosowaniach, rozejrzeć się w czynnikach krajowych, publicznego wychowania, odkładam to na przyszłość, a list ten zakończam wyliczeniem zakładów rządowych, zwanych naukowémi, w Królestwie Kongresowém. Jest więc u nas: akademia medyczna, instytut szlachecki, instytut gospodarstwa wiejskiego, gimnazyum realne, szkoła sztuk pięknych, szkoła handlowo-niedzielna, instytut alexandryjski panien w Puławach, gimnazyum żeńskie, szkoła wyższa żeńska, instytut nauczycieli elementarnych w Radzyminie, szkoła rabinów, gimnazyów ogólnych 6, (Lubelskie z pensyonatem), szkół wyższych realnych 2, szkół powiatowych realnych 8, szkół powiatowych pięcioklasowych 6, szkół powiatowych filologicznych 4, szkół powiatowych 6, szkoła rzemieślniczo-niedzielna 1. Tak mała liczba naukowych zakładów stosunkowo do ludności kraju, jest jeźli nie najmniéj naganną, to podobno najmniéj szkodliwą stroną moskiewskiego systemu wychowania.

II

Z nad granicy Królestwa, 29 września.

Jednêm z najszkodliwszych dla sprawy naszéj omamień, jakie udało się polityce rossyjskiéj, przy pomocy *Norda*, pseudoliberalnych zapowiedzi i moskiewskich podróżników, na Zachodzie rozpowszechnić, jest przekonanie, jakoby dzisiaj w Rossyi przekształcającéj się pod wpływem swobody, sprawiedliwości i cywilizacyi, ziemie polskie jéj berłu uległe znalazły, lub wkrótce znaleźć miały, zupełne zaspokojenie żądań swoich — jeźli nie pod względem niepodległego bytu, to przynajmniéj pod względem praw, narodowości polskiéj służących, praw najuroczystszym traktatem przez same mocarstwa, co nas podzieliły, uznanych i zaprzysiężonych, praw najbliżéj wyrażających się w wierze, języku, wychowaniu, możności służenia krajowi w publicznych i prywatnych zawodach, sprawiedliwości i bezpieczeństwa dla osób, nareszcie też w nietamowanéj pracy i podniesionym dobrym bycie społeczeństwa. Czytając dzienniki rossyjskie, zagranicą i w cesarstwie wydawane, sądziéby można, że obecnie plemienia Ilotów szukać należy wyłącznie we Włoszech lub w Turcyi: warto zaprawdę przypomnieć krzywdy jeszcze niewątpliwsze, ciosy jeszcze boleśniejsze, bezprawia nierównie straszniejsze, jakie przeciwko najpierwszym warunkom naszego życia narodowego wymierzają ci, co krokodyle łzy wylewają nad innych rządów uciskiem.

Nateraz zwrócę tylko uwagę na obecny stan szkół i wychowania w Królestwie: dam obraz w głównych tylko zarysach i dorywczo skreślony, którego następnie dopełnić mi wypadnie, zanim przyjdę do opisu położenia naszego w innych kierunkach życia narodowego. Przed-

miot to bardzo dotkliwy, bo odsłaniający jeden z najsmutniejszych rezultatów trzydziestoletniego opacznego systemu, co nami włada, jednę z najgłębszych krzywd, jaką rząd krajowi, a w gruncie też i sobie samemu zadał. Jeźli mimo tych statecznych usiłowań doprowadzenia kraju *ad absurdum*, Królestwo ma dotąd wykształconych obywateli, zdolnych urzędników, doktorów i t. p., zawdzięcza to głównie ostatkom grona mężów, których młodość sięga czasów konstytucyjnych, liczniejszemu tu niż w innych dzielnicach Polski, wstępowaniu krajowców do służby publicznéj, większéj łączności i żywotności, podsycanéj przykładem i pracą kilku górujących obywateli, żywszemu ruchowi towarzyskiemu, nareszcie obudzonemu w latach ostatnich między młodzieżą poczuciu patryotycznego obowiązku poważniejszéj pracy i kształcenia się w kraju lub za granicą. Z tém wszystkiem, nie możemy powiedzieć, abyśmy dzisiaj pod względem naukowego wykształcenia, zajmowali to wyższe stanowisko, na jakiém w stosunku do Rossyan, znalazła nas wojna z r. 1831. Jeżeli zdaje się niewątpliwém, że od téj pory postąpiliśmy w rozsądku publicznym, w zrozumieniu potrzeby wytrwałego na każdém polu działania, łącznéj i stornéj pracy: nie można z drugiéj strony zaprzeczyć temu bolesnemu faktowi, że pod względem wykształcenia naukowego w specyalnych zawodach, Królestwo straciło wiele z górującego położenia, jakie przedtém wobec nieprzyjaciela zajmowało.

Od roku 1830 usiłowania rządu zmierzały statecznie:

Nasamprzód, do zmniejszenia liczby zakładów naukowych i uczęszczającéj do nich młodzieży a zarazem do opustoszenia grona zdolnych i usposobionych nauczycieli;

powtóre, do poniżenia w przekonaniu młodzieży doniosłości jéj naukowéj pracy; do przeciążania zdolności pamięciowémi przedmiotami; do uorganizowania umysłowego zamętu, to ciągłém przerabianiem programów i książek wykładowych, to przybieraniem przedmiotów zupełnie niewłaściwych dla sfery gymnazyalnego wykształcenia; nareszcie do zastąpienia, przy wykładzie przedmiotów, języka polskiego rossyjskim;

potrzecie, do wyłącznego zwrócenia młodzieży na drogę nauk czysto technicznych i realnych, z systematycznem upośledzeniem klasycznego i humanitarnego wykształcenia; wkońcu, do obałamucenia, mianowicie przy wykładzie historyi, religijnych i narodowych pojęć w uczuciach.

Od roku 1830, ludność Królestwa podniosła się o 30 %; ale w porównaniu z tą cyfrą, liczba uczniów i naukowych zakładów w odwrotnym znajduje się stosunku. Według *Rocznika Instytutów edukacyjnych w Królestwie polskiém na rok* 1830, było wtedy: instytutów wyższych dla płci męzkiéj wyznania chrześciańskiego 46, nauczycieli 546, uczniów 11,012; w roku zaś 1858, według bardzo zresztą podejrzanych obliczeń *Kalendarza astronomicznego warszawskiego na rok* 1859 liczono: zakładów wyższych 41, w nich nauczycieli 379 (do których dodaćby wszakże należało nieobjętą w wykazie liczbę nauczycieli kilku zakładów specyalnych, w Warszawie istniejących), a zaś uczniów, oprócz uczęszczających do Szkoły rabinów, siedm tysięcy kilkuset. Nie potrzebuję przypominać, że w r. 1830 istniał uniwersytet, szkoła politechniczna, górnicza, instytut pedagogiczny, szkoły specyalne wojskowe, istniały jednem słowem zakłady odpowiadające różnym powołaniom i potrzebom krajowym, i że dziś one wszystkie zwinięte; że wówczas było 16 szkół wojewódzkich czyli liceów, 21 wydziałowych i podwydziałowych, utrzymywanych przez zgromadzenia zakonne, a w Szczebrzeszynie, przez ordynata Zamoyskiego, które ułatwiały uboższéj młodzieży przystęp do nauk i przy rękojmiach religijnego wychowania, nastręczały tak pożądaną dla rodziców i edukacyi krajowéj, możność wyboru między kierunkami wycho-

wania, i tworzyły między samémi zakładami pożyteczne w dobrém współzawodnictwo. Wszakże, porównanie choćby pod edukacyjnym tylko względem, roku 1830 z ostatniemi latami jest, wobec rządu rossyjskiego, anachronizmem; odwołanie się do téj pierwszéj daty rewolucyjném pokuszeniem. Ale sięgając nawet czasów późniejszych i zestawiając je z rezultatem otrzymanym przez zarząd Okręgu naukowego warszawskiego, w ostatnich dziesięciu latach przekonać się łatwo, że złe ciągle rosło i stanęło obecnie najwyżéj pod przewodnictwem p. Muchanowa. Wszechwładny ten w Królestwie urzędnik, w tym właśnie zawodzie służby publicznej, najcięższe prowincyi zadał ciosy, i głośno się téż z tego przechwala, że w porównaniu z poprzednikami najskuteczniéj się przyłożył do ograniczenia liczby zakładów i uczniów w Królestwie. Gdy nadchodzi pora zapisów szkolnych, dyrektorowie i inspektorowie zakładów, nie mają innego sposobu uniknienia nietyklo natręctwa, lecz i widoku rozpaczy rodziców, którzy dla braku miejsca, synów umieścić nie mogli, jak najszczelniejsze zamykanie się w mieszkaniu podczas dwutygodniowego trwania zapisów! Zaradzając trudności położenia zwierzchników szkolnych, p. Muchanów wydał przed kilkoma laty rozporządzenie wykluczające z wyższych trzech klas gymnazyalnych, mianowicie filologicznych, synów nielegitymowanéj szlachty; ale i ten środek nie wstrzymał trudności, corocznie przy zapisie powtarzających się a wynikających z zupełnego braku stosunku między ilością zakładów i zgłaszającéj się do nich młodzieży.

Jeszcze w lat kilkanaście po r. 1830, istniały w Warszawie Szkoła Prawa i tak zwane Kursa dodatkowe: oba z dwuletnim kursem nauk; obecnie i jedno i drugie zwinięte: Szkoła Prawa już za zwierzchnictwa p. Muchanowa. Kursa w gimnazyach, dawniej ośmioletnie, do siedmiu lat ograniczono; a w szkołach filologicznych

mianowicie, wykład nauk niezmiernie uszczuplony, nawet w porównaniu z tém, co istniało za dyrektorstwa w wydziale oświecenia pana Szypowa, zkądinąd tak głośnego ze swych wynaradawiających dążności. Ustawa szkolna przez cesarza Mikołaja d. 30 sierpnia 1840 r. nadana (*Dziennik Praw.* T. 26, p. 169) przepisuje w art. 37, że « w każdym obwodzie ma być jedna szkoła obwo-
» dowa, albo i więcéj w miarę potrzeby i możności; »
w art. 96: « w każdéj gubernii naznacza się gymna-
» zyum; w Warszawie i innych ludniejszych miastach
» może się znajdować i po kilka gymnazyów... W miarę
» okoliczności i uznania władzy wyższéj, gymnazya za-
» kładają się i w miastach niegubernialnych... » Cóż się stało z tym wyraźnym przepisem prawa? Oto, że kiedy w roku 1830 było liceów filologicznych 15, obecnie jest gymnazyów filologicznych 6, jedno gymnazyum realne i dwie szkoły realne o sześciu klasach w Kaliszu i Kielcach; że na 39 obwodów (dzisiaj powiatów Królestwa) znajduje się 20 szkół powiatowych tak realnych jak filologicznych o czterech klasach, sześć szkół o pięciu klasach — a że w téj liczbie na Warszawę przypada sześć szkół powiatowych, więc na resztę kraju, zaledwie jedna szkoła powiatowa na dwa powiaty.

Pod względem profesorów, dość powiedzieć, że w obecnéj chwili mamy 50 katedr nieobsadzonych, i że rząd żadnych nie przedsiębierze środków dla zaradzenia tak niesłychanemu położeniu rzeczy, czy przez utworzenie szkoły pedagogicznéj, czy téż przysposobieniem brakujących kandydatów, choćby wreszcie i w uniwersytetach rossyjskich, do których młodzież polska uczęszcza. Przeciwnie, tego rodzaju młodzież najzdolniejsza, jeśli na stypendyach rządowych nauki w uniwersytetach pobiera, zmuszona jest do zostania w Cesarstwie, lubo stypendya z funduszów Królestwa wypłacają się! W miejsce więc brakujących profesorów obmyślano narzucić na inspektorów szkół obowiązek wykładania niektórych

przedmiotów. Sposób ten, nie rażący we Francyi lub Niemczech, w Królestwie staje się najdzikszym wymysłem głowy p. Muchanowa, głowy nadmiary płodnéj w najrozmaitsze koncepta. Inspektorowie u nas, są to w większéj części niedosłużeni oficerowie rossyjscy, najniezdolniejsi w biórach urzędnicy, z innych politycznych powodów władzy zaleceni, nieraz nieposiadający nawet początków gramatyki i choćby własnego tylko języka. Tacy więc ludzie mają wykładać matematykę, łacinę, chemią i t. p!...

Atmosfera naukowa i moralna szkół smutniejszy jeszcze, jeśli być może, przedstawia widok. Nie chciałbym jednym zarzutem objąć całego grona nauczycieli. Są w niém ludzie sumiennéj pracy, szczeréj gorliwości o moralne i intellektualne wykształcenie młodego pokolenia. Ale większość profesorów, szczególniéj też na prowincyi, dostąpiła miejsc przez względy zwierzchników albo stara się o nie tylko w braku zdolności do innego zawodu i do innéj nie zdążając mety, prócz emerytury. Nie może też być inaczéj tam, gdzie władza nic nie czyni dla przysposobienia i utworzenia poważnego nauczycielskiego koła, dla sprawiedliwego wynadgrodzenia ich prac. Zwykła pensya, od tysiąc pięćset do trzech tysięcy złp. rocznie, żadną miarą nie wystarcza na zaspokojenie najskromniejszych potrzeb ludzi zwłaszcza obarczonych rodziną; a ten znowu niedostatek codzienny odejmuje co najmniéj swobodę dla dalszego wykształcenia niezbędną. W takim stanie rzeczy niedziw, że grono profesorów nie przedstawia żadnego objawu życia umysłowego, i że z małym wyjątkiem kilku nauczycieli w Warszawie zamieszkałych, śladu niemasz ich pracy w zawodzie naukowym, literackim, pedagogicznym. Ludzie w wiadomości mniéj niż elementarne zasobni, z płytkiém poczuciem praw moralnych, potrzeb i obowiązków tak narodowych jak społecznych, powołani są tym sposobem do przewodniczenia młodzieży

w latach najcenniejszych dla wykształcenia serca i umysłu, dla rozbudzenia szlachetnego zapału do nauki i trzeźwych trudów obywatelskich.

Zkąd inąd znowu, przy istniejącym planie nauk, szczególniéj też w szkołach filologicznych, uczeń znajduje przesycenie najróżnorodniejszemi przedmiotami i najniewłaściwiéj do wykładu gymnazyalnego wprowadzonemi. Tworzą one chaos encyklopedycznych wiadomostek i odrywają od nauk klasycznych, jedynie właściwych tego rodzaju zakładom. W wyższych klasach, dwadzieścia i kilka przedmiotów zaprząta czas i zdolności gymnazyasty, który oprócz pięciu lub sześciu godzin tygodniowo nad językiem rossyjskim strawionych uczyć się jeszcze musi cerkiewnego języka słowiańskiego, drobiazgowéj statystyki i historyi rossyjskiéj (oddzielnie od powszechnych wykładanéj) a nadomiar — także i prawa : bo i kurs prawa wprowadzono od lat kilku najopaczniéj do gymnazyalnych nauk!! Przydajmy, że prawie corocznie rozkład nauk, książki szkolne i przedmioty zmieniają się; że nawet pojedyncze szkoły powiatowe i gymnazya tak realne jak filologiczne odmienne miewają programy : a pojmiemy jaki ztąd zamęt się tworzy w edukacyi krajowéj, jakie trudności dla uczniów w przechodzeniu z jednego zakładu do drugiego!

Według przepisow, wszyscy młodzi profesorowie, którzy nauki w cesarstwie ukończyli (a tych jest największa liczba) obowiązani są wykładać przedmioty swoje w języku rossyjskim. Przepis ten dotąd w mocy swojéj istnieje, i jeśli niezawsze z całą ścisłością wykonywanym bywa, pochodzi to tylko z naturalnego do niego wstrętu i umiejętności uchylania się przed nim śmielszych i lepiéj usposobionych nauczycieli. Główna też baczność zarządu edukacyjnego zwraca się nie na postęp naukowy i obyczajowy uczniów, ale na przestrzeganie pewnych form wojskowych. Cała czujność wytężoną jest na krój czapek, ostrzyżenie włosów, zpięcie haftek i guzików mun-

durowych, salutowanie przechodzących jenerałów, a w sferze moralnéj na poszukiwanie pism i książek niemiłych rządowi i zapobieganie ściślejszemu pożyciu uczniów między sobą. Poza wojskową karnością nic zgoła w postępowaniu z młodzieżą nie podnosi jéj godności, nie budzi ochoty i czci dla pracy i nauki, nie zachęca do pilności i szlachetnego współubiegania się. Bolesna więc ale zaprawdę niedziwna, że przy podobnych kierunkach i warunkach publicznego wychowania, większa część młodzieży widzi w zawodzie szkolnym tylko sposób uzyskania patentu, naukę mierzy wartością dostatecznego do promocyi stopnia, który przy usłużności profesorów, niestety zbyt często, darem, opłatą korepetycyj, lub mieszkaniem u nich na stancyi, uzyskanym bywa; a zaś oswobodziwszy się raz od surowych przepisów szkolnych, rzuca się młodzież, bez żadnego zasobu nauk, w życie i używanie, ze spaczoną myślą a płochém sercem, bez wyższego celu dla siebie i uszanowania pracy drugich, bez pamięci na kraj i obowiązek, bez hartu nareszcie wśród pokus, wszędzie blizkich i zewsząd przybliżanych...

Rząd rossyjski, szczególniéj od kuratorstwa p. Muchanowa, stara się o wyłączne skierowanie młodzieży do nauk realnych i technicznych; zwija, powtarzam, szkoły filologiczne, i najmizerniéj obsadza katedry języków starożytnych. Na usprawiedliwienie tego, jednę, głośno i publicznie, p. Muchanow podaje przyczynę: znajduje on, że w Królestwie rodzice i młodzież mają nieprzeparty wstręt do łaciny !! Złośliwa i niezgrabna to wymówka zwrócona przeciw krajowi, który w całéj przeszłości pielęgnował klasyczne studya, wydał bogatą literaturę łacińską, którego wyższe warstwy przez wieki mówiły dawną Rzymian mową! W W. Ks. Poznańskiém, młodzież wielkopolska, choć z téj saméj krwi co mazowiecka, nie objawia bynajmniéj téj idyosynkrazyi przeciwko łacinie, jaką p. Muchanow chce w nas wmówić; garnie się owszem chętnie do studyów starożytnych, bo je w szkołach w godziwy wykładają sposób. Chcąc być szczerym, winienby p. Muchanów powiedzieć, że z greckim instynktem, przeczuwa on prawdę słów De Maistra: że gdzie się kończy znajomość łaciny, tam jest istotna granica Europy; przeczuwa, że zaniedbanie rzymskiéj mowy oddziela nas od Zachodu, odrywa od tradycyj religijnych i dawnéj narodowéj cywilizacyi. Przed r. 1830, (że raz jeszcze wrócę do liczebnego porównania), było w Królestwie liceów filologicznych piętnaście, dziś jest ich sześć; szkół wydziałowych i podwydziałowych (także filologicznych) dwadzieścia jeden, dziś piętnaście; w ostatnich już latach zwinięto gymnazya filologiczne w Szczebrzeszynie, Łomży, Siedlcach, Kaliszu i Kielcach; szkoły filologiczne w Lipnie, Seymach, Opolu, Włocławku, Końskich, dwie w saméj Warszawie (na Nowym Świecie i Królewskiéj ulicy). Przy takiéj niechęci ku naukom klasycznym dziwiłoby może pewne uwzględnienie, jakie w oczach p. Muchanowa znajdują sztuki plastyczne, szkoła np. malarska, gdyby Warszawa nie znała jego ciekawego wyrażenia: « niech się uczą malować, nie będą myśleli ! » Głębsze to słowo, niżby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło naszym bellestrystom...

Książki szkolne dla uczniów przepisane, gdzie tylko na to przedmiot pozwala, nacechowane są bezwstydnie prawosławiem i moskiewszczyzną. Znana wam oddawna historya polska Pawliszczewa, służąca do wykładu dziejów krajowych po szkołach. Co w niéj pod względem narodowym osiągnąć zamierzono, to pod względem kościelnym ma uskutecznić wykład dziejów powszechnych. Historya powszechna Smaragdowa, po rossyjsku napisana i nietylko w cesarstwie, ale i w Królestwie obowiązująca, nie zdawała się w oczach p. Muchanowa, wystarczającą dla ohydzenia wiary katolickiéj. Polecił więc jednemu z swych zaufanych urzędników kurato-

ryi, przygotowanie nowego dzieła, o którego tendencyach dość powiedzieć, że kiedy manuskrypt przesłano z Warszawy do opinii ministra oświecenia w Petersburgu, p. Norow, lubo Moskal prawosławny, zwrócił rękopism kuratorowi warszawskiemu z surową wymówką, że podobnych książek nie można narzucać krajowi innego wyznania. Wiem jednak dowodnie, że pomimo oświadczenia się ministra, p. Muchanow trwa w zamiarze przeprowadzenia w szkołach utworu pod jego natchnieniem i okiem wylęgłego, i obecnie autorowi rękopismu zalecił tylko przerobienie bardziéj rażących ustępów. Zawsze to jeden i ten sam człowiek, który nowo mianowanych biskupów chciał przerobić na zwykłych (od rządu jak wiadomo zależnych i odwołalnych) administratorów dyecezyj; który pożądliwém okiem ściga resztki Unii w prowincyi, zprawosławionych w Kijowie księży profesorami seminaryum i członkami konsystorza chełmskiego mianuje; który elementarnym szkołom unickim schyzmatyckich diaków narzuca, a katolickich ztamtąd wypędza; który mnoży ciągle elementarne szkoły protestanckie a katolickie kasuje!...

Zbytecznémby było dłużéj nad tém się rozszerzać, ile szkody naszéj prowincyi ten system edukacyjny zadaje. Ale czy rząd rossyjski znajduje w nim jaką korzyść; czy osłabiając siły intellektualne naszego narodu, przysparza sobie w nim obrońców albo przynajmniéj liczbę swych nieprzyjaciół umniejsza? Najmocniéj temu zaprzeczam. Niewiele spotkałem młodzieży (mógłbym powiedzieć, że nie spotkałem jéj wcale) któraby ze szkół tutejszych wyniosła jakieś gruntowniejsze wykształcenie, miłość umiejętnéj i rozsądnéj pracy. Lekko prześliznąwszy się przez klasy, nawyka ona ślizgać się daléj po drodze życia i obowiązku; w jedném tylko uczuciu silnie i głęboko utrwalona: w nienawiści wszystkiego co rząd rossyjski u nas wyobraża. Jéj serce nieumocnione

wiarą ani tradycyami narodowemi, jéj umysł pusty i do porządnych nie wdrożony studyów: to téż jedno jak drugie łatwo zapala się do tego, co wszelkiemu społeczeństwu, tak dobrze u nas jak w Rossyi jest groźne, łatwo przystaje do pojęć i do dążności, dziś w Petersburgu tak popularnych, przy których my wprawdzie może nie zdołamy się dźwignąć, ale przy których z pewnością państwo rossyjskie nie potrafi się ostać.

Na zakończenie, pozwolę sobie jednę jeszcze zrobić uwagę. W obec smutnego widoku, jaki przedstawia wychowanie w Królestwie, nic dziwnego że zamożniejsi obywatele unikają szkół krajowych i synów swoich albo w domu kształcą, albo ich od najmłodszego wieku za granicę wysyłają. Sądzimy jednak, a sądzimy z najmocniejszém o rzeczy przekonaniem, że nigdy edukacya publiczna nie byłaby tak nizko upadła, nigdyby rząd z taką łatwością nie był zamiarów swoich przeprowadził, gdyby na ławkach szkolnych zasiadali synowie zamożniejszych i wyżéj w narodzie postawionych obywateli. Rodzice tacy byliby osobistym swym wpływem i stosunkami tak dobrze z wyższą władzą jak jéj wykonawcami (których tak ogromna większość polskiego jest rodu), łagodzili albo odwracali projekta rządu, rządu nieraz cofającego się przed silnie wyrażoną opinią kraju i zagranicy. Nie jestto ani patryotyczném ani chrześciańskiém, tylko swoje dzieci chcieć ratować, a synów uboższéj szlachty lub mieszczan rzucać, nawet bez reklamacyi, na pastwę pedagogicznych experymentów p. Muchanowa! Niedostatkom naukowych zakładów łatwiéj mogą zaradzić ludzie zamożni; prędzéj zdołają synów, po ukończeniu gymnazyów w kraju, do zagranicznych wysyłać uniwersytetów. Solidarność w obronie przyniosłaby korzyść i tym, którzy się teraz od niéj uchylają, bo nic dla młodzieży nie zastąpi téj znajomości potrzeb i stosunków, tych cierpień i trudów, téj wreszcie zażyło-

ści koleżeńskiéj, jakich tylko w krajowych szkołach nabyć można i w jakie uzbrojonym być należy, aby się stać użytecznym narodowi i módz mu służyć bez złudzeń i bez zniechęcenia.

WYBORY MARSZAŁKOWSKIE W KIJOWIE.

---

1 września.

Tegoroczne zgromadzenie szlachty polskiéj w Kijowie, powinnoby zostać pamiętném, bo od niego liczyć się będzie epoka odrodzonego w prowincyi téj życia. Znanym jest adres do Cesarza rossyjskiego przez nią uchwalony. Ile w naszéj ojczyznie było serc gorętszych, wszystkie mocniéj zabiły na ten głos, co z ziemi ukrainnéj, po długiej ciszy, wspólne przyniósł słowo; ile rąk wiernych przy sztandarze narodowym, wszystkie mu z radością przyklasnęły, i ile na Zachodzie organów Polsce przyjaznych lub tylko sprawiedliwości przystępnych, wszystkie stały się dobrowolném echem tego wykrzyku, że i tam « *Polska nie zginęła.* » Wszakże nie na téj tylko protestacyi skończyło się zgromadzenie kijowskie. Mniéj głośne, ale od adresu może jeszcze ważniejsze były nowe wybory marszałków. Do wewnętrznego zarządu i zewnętrznéj walki, szlachta, jak słyszymy, nie szukała już, po dawnemu, ludzi zdolnych tylko huczyć, tuczyć a w potrzebie przekupywać : w większéj części wezwała ona takich, co potrafią przy swém prawie stanąć śmiało i twardo, i ani troszczyć się będą o dystynkcye moskiew-

skie, ani zbytecznie ubiegać się za popularnością u swoich. Wybór p. Zenona Hołowińskiego i gorący nacisk, jakiego obywatele użyli, aby skłonić go do przyjęcia naczelnego marszałkostwa, świadczą, wedle naszego mniemania, o obudzonéj rozwadze i sumienniejszym poglądzie na potrzeby prowincyi. Odebraliśmy dwie mowy powiedziane z téj okoliczności przez p. Hołowińskiego: pierwszą, w któréj się od urzędu usuwa, drugą, w któréj go przyjmuje, znaglony prośbami obywateli. O ile w naszéj jest mocy, chcielibyśmy przyczynić się do ich rozpowszechnienia: są w nich zdania nacechowane tym męzkim, zdrowym i wysokim poglądem, który daje długa praca, charakter silny i gruntowna sprawy znajomość.

Rząd rossyjski odrzucając p. Hołowińskiego, wskazał że szlachta nie omyliła się w wyborze. Rossyjskie odrzucenie z pewnością nie umniejszy znaczenia p. Hołowińskiego między Polakami. A jak słowa przezeń wyrzeczone, zostaną, mamy nadzieję, programem dla niejednego z marszałków na Rusi, tak i p. Hołowiński, choć od rządu odepchnięty, straconym dla prowincyi nie będzie i nie usunie się od spraw publicznych, do których go wzywa zaufanie obywateli.

Oto jest pierwsza z wspomnionych mów:

«Panowie, jeżeli kiedy mowa użytą była, żeby okryć zasłoną myśli nasze, jabym nie chciał, pierwszy raz odzywając się do Panów, postawić nieszczerość w miejscu innych uczuć, jakie winienem tak zacnemu zebraniu. Raz na trzy lata używacie Panowie prawa publicznego życia, i to trwa tylko dni kilka, wszystkie godziny są drogie i muszą być u nas liczone; nie chciałbym zatem zabierać głosu, gdybym do tego nie był przez Panów upoważnionym zwróceniem na mnie ich szczególnéj uwagi. Wychodząc na chwilę z okręgów zwyczajnego życia, uważam, iż kiedy opinia publiczna wyrabia się u innych przez pisma publiczne, przez wolne dyskusye: u nas, w naszych prowincyach, wyłącznie pozbawieni jesteśmy tych środków, a co większa nie mamy z sobą żadnéj styczności, oprócz tych kilku dni wyborowych, i wtenczas nagleni wyszukaniem urzędników, których nam jeszcze prawo wybierać pozwala, jesteśmy pod naciskiem tylu różnych zdań i wyobrażeń, tylu osobistych widoków i wrażeń chwilowych, że wybory nasze nazwać można więcéj dziełem trafunku, niż wynikiem dobrze wyrobionego sądu. Co było dotąd możliwém, odtąd miećby mogło szkodliwe następstwa, i do téj kategoryi należy nietrafny wybór marszałka gubernskiego.

» W mojém przekonaniu, oprawiając w te stare ramki nowe portrety, musimy przed zmianą takową, zdać sobie sprawę z warunków czasu w którym żyjemy z okoliczności nas otaczających i powiedzieć: jakim ma być ten wybrany urzędnik? Będzie to termometrem poczutych potrzeb i wymagań czasu w naszém obywatelstwie i oceniając ważność pozycyi, oceni się ważność miejsca, a to posłuży do osiągnienia tego zaufania, które musi być dźwignią działań wyborowego urzędnika.

» W tym jednym względzie przedstawiam Panom moje myśli, a widząc w przeciągu kilku lat czasu, jakie nastąpiły zmiany w przeciągu kilku lat czasu, jakie nastąpiły zmiany w dążnościach i działaniach całego społeczeństwa, jak to, co wczoraj było marzeniem, dziś staje się rzeczywistością, widząc kraj nasz więcéj niż inne, wzruszony u swoich administracyjnych i społecznych posad, uważam: że w téj nowéj budowie socyalnego porządku, nietylko obojętną rzeczą być dla nas nie może, jak się to stanie, ale każdy z nas musi przyjąć czynny udział, już z wrodzonego instynktu zachowania, już z wyników téj prawdy, że w działaniach formacyj socyalnych, podobnie jako i we wszystkich działaniach chemicznych, następuje ciągła wzajemna reakcya, a wynik z téj nie jest nigdy dziełem wypadku, lecz przysposobionych

kombinacyj. Tym sposobem, co dawniej mogło być przypadkowém, dziś musi być dobrze obmyślaném; od Panów więc zależy, że tak rzekę, stworzyć reprezentanta swych myśli i potrzeb.

» Między wyborami w krajach wysoko politycznie wykształconych a w kraju naszym, jest ta różnica, że w pierwszych, każdy składa na ołtarzu publicznym, swoje zdolności i chęci patryotyczne; u nas, każdy je w sobie zamyka i rad pozostać w życiu nieznanym. To ztąd pochodzi, że pierwszych spotyka co chwila zadowolnienie wewnętrzne i całego ogółu, pochodzące z objawu życia publicznego; drudzy, jak dotąd, zamknięci w przedziałach biuralizmu, zlewali się w jednę centralną władzę, bez skutków osobistego działania, z abdykacyą osoby i woli swojéj. Lecz dziś rzeczy się zmieniają; światły nasz rząd uznaje, że wyłączna centralizacya w kraju niezgadza się z jego potrzebami, że odejmuje ruch szczegółowy w kraju i zatraca początkowanie u prywatnych; z każdym dniem widzimy objawy téj myśli: prace dążące do uwolnienia włościan, do zmiany praw krajowych; zachęty rządowe do wskrzeszenia i użycia samoistnego kredytu, który dotąd nie exystuje; prace i studya odbywane we wszystkich ministeryach około radykalnych zmian, dotyczących się wszystkich instytucyj krajowych: wszystkie te działania spodziewać się każą, że nie upłynie kilka lat czasu, jak nasze stosunki zupełnemu przekształceniu ulegną. A wtenczas jakie miejsce w kraju zajmie obywatelstwo? co się nowego wywiąże?... wszystko jest zagadkowém; to tylko pewna że w całém tém przeobrażeniu stróże praw obywatelskich, marszałkowie gubernscy, mają obszerne pole do działania.

» Nigdy bardziéj jak w tym czasie, interesa szlachty nie były wystawione na większą próbę. Jéj przyszły byt, znaczenie i wpływ towarzyski mają być określone. Miejsce więc, jakie ma zajmować marszałek gubernski,

jest w téj epoce, o tyle ważniejsze, o ile różni się czas przeszły od przyszłego, o ile ze stanu bezwładności przechodzi się na drogę gorączkowych i nieprzewidzianych czynności.

» Pozwólcie, Panowie, ażebym streścił jakim, w przekonaniu mojém, ma być urząd marszałka gubernskiego. Całe znaczenie, jakie on mieć może, otrzymuje z dobrowolnego wyboru Panów, a wybór ten nigdy niedałby się usprawiedliwić, gdyby był tylko ślepym trafem lub wynikiem wyłącznie wartości majątkowéj, albo różnych stronnictw używających go za swoje narzędzie. Wybór więc marszałka gubernskiego, musi być rezultatem wysokiego zaufania i o ile być może, dobrze ugruntowanego. Czynnością teraźniejszą Panów, będzie zkocentrować, w jednym wybranym z pomiędzy siebie, tę całą siłę, że tak rzekę, ducha obywatelskiego; bez czego niemiałby on żadnego znaczenia ani pomiędzy nami, ani téż u rządu: a wtenczas wszystkie jego działania i najlepsze chęci zostałyby sparaliżowane. I to jest najpiękniejszą stroną urzędu wyborowego, że powstaje z utworu woli swoich współobywateli. Otrzymuje więc na samym wstępie, tę powagę w działaniu, któréj żadne inne dystynkcye nadać nie mogą, i dlatego urzędy podobne nie będąc płatne, są tak wysoko cenione, i wkładają na wybranego, pewien rodzaj kapłaństwa, które z natury rzeczy jest rękojmią dla ogółu w następnych czynnościach tegoż urzędnika. Opierać się on ma na waszéj pomocy, kierowany instynktem narodowym; a wtenczas, w okresie jego działań w styczności z rządem będących, mowa jego będzie waszą mową, słuszne zaś i sprawiedliwe żądania z godnością wyrażone, o tyle mają nadziei być wysłuchanemi, o ile taż wyższa władza uznawać zechce znaczenie głosu publicznego. Z drugiéj strony, wpływ jego w obywatelstwie powinien być wielkiéj przewagi. Tą bowiem mocą moralną przechowa on godność obywatelską, ten skarb, który w pośród tylu

przeciwności, sam czas poszanował i który jest dzisiaj dla nas jedyném znamieniem dystynkcyi w kraju. Strzeżmy się, żeby miejsce to, które nazwę *sanktuaryum* znaczenia obywatelskiego, nie stało się wynikiem kolizyi stronnictw, albo znudzenia z naszéj strony, rezultatem chęci prędszego powrotu do domu i zrzucenia z siebie największego przywileju, jaki nam pozostał. Małoliczny jak zwykle, zjazd obywateli w epoce tak ważnéj, jest zasmucającym faktem: oznacza bowiem to odrętwienie, które częstokroć bywa też oznaką śmierci.

» Nie chcąc zabierać drogiego czasu, i wdzięczen Panom, żeście mi dali przemówić w ogólnéj sprawie, jak mi dyktuje moje uczucie, przystępuję do tego, co się mnie tycze. Raczyliście Panowie, zwrócić na mnie uwagę swoję. Z pokorą i najżywszą wdzięcznością, dziękuję Panom za okazanie względem mnie tego wysokiego zaufania, które mnie w ich oczach wywyższając, daje prawo do zajęcia sobą na chwilę. Ale z żalem i z największą szczerością wyznaję, że urzędu tego przyjąć nie mogę, nie przez chęć wymawiania się, nie przez zwykłą taktykę wyborową, o którą mógłbym być posądzony chyba przez tych, co mnie nie dość znają; lecz w istocie mam zdrowie nadwątlone, siły wątpliwe, wiek nie latami, lecz pracą zużyty, umysł ztrudzony, i chociaż człowiek zwykle o sobie lepiéj trzyma, niźli jest w istocie, mnie w tym razie illuzya niepozwolona. Niemógłbym uczynić zadosyć temu urzędowi i odpowiedzieć celom i obowiązkom wyżéj przezemnie wskazanym. Pomijam wydatki pieniężne, trudne w tym czasie, jakie są przywiązane do tego miejsca; lecz większą stratą nazwałbym oderwanie się od moich domowych zatrudnień. Przytém, przeżyłem wiek mój, daleki od myśli ubiegania się o urzędy, mało się do nich sposobiłem, i dziś, samo przyzwyczajenie stało się naturą; a gdy rangi i nagrody nie miały dla mnie żadnéj ponęty, dziś w hierarchii krajowéj, i pod tym względem, stoję najniżéj. Nakoniec, mało znam języka rossyjskiego, żeby nie powiedzieć, że go wcale nie znam: bo i jakżeby mogło być inaczéj, kiedy nas w młodości naszéj mniéj go uczono, niż dziś w zakładach rządowych uczą języka polskiego?... Powyższe niedostatki, aczkolwiek znośne w życiu prywatném obywatela, w obec rządu nie stanowią jego zalety. Nakoniec Towarzystwo rolnicze i Towarzystwo kredytowe, niemałych zatrudnień wymagać będą.

» Panowie! niemasz większego szczęścia, jak stać na waszém czele; bo żadne urzędy i zaszczyty nie mogą wyrównać tym, jakie nadaje głos zbiorowych zgromadzeń stanu szlacheckiego. Lecz gdybym przez miłość własną najwięcéj grzeszną, przez słabość, próżność, lub zarozumienie wrodzone człowiekowi, chciał się poddać własnym życzeniom, to wy, Panowie, widząc przed sobą szlachcica, który głosem prawdy uczynił spowiedź powszechną, nie odmowicie mu swojéj obrony. Proszę, żebyście uznali moje tłómaczenie za szczere, słuszne i sprawiedliwe, i zostawili mnie jak byłem dotąd. Będę się starał tém gorliwiéj pracować na inném polu równegoż użytku dla kraju, i powtarzam raz jeszcze, że urzędu mi ofiarowanego przyjąć na ten raz nie mogę. Posunęliście, Panowie, względy wasze do ostatnich granic; wyjawienie waszéj woli tak jawne i ogólne, stawia mnie w najtrudniejszej pozycyi, i nie znajduję sposobów okazania wam swojéj wdzięczności, pochodzącej z głębi uczuć; lecz nie mam przekonania, iżbym kim innym skuteczniéj nie mógł być zastąpiony; wyrobienie tego przekonania we mnie i gubernii, jest rzeczą konieczną. Rozważcie Panowie, z zimną krwią, moje położenie, a uznacie słuszność uwag moich i niechciejcie wkładać na mnie obowiązków niepodobnych dla mnie do wypełnienia.

» Kończę tę mowę moję w nadziei, że mi przebaczycie, iż z taką otwartością głos zebierając, sądziłem się być na chwilę starszy wiekiem w rodzinie Panów, dla któ-

rej choć skromnym i cichym sposobem, ale zawsze całą moją duszą oddany byłem.»

Naglony usilnemi prośbami obywateli do przyjęcia naczelnego marszałkostwa, p. Hołowiński w dniu następnym tak przemówił:

«Wczorajsze i dzisiejsze wasze szczególne względy są dla mnie nowym długiem wdzięczności, który jedynie zupełném poświęceniem się sprawie waszéj zapłacić mogę. W życiu publiczném, jak w życiu prywatném, są epoki niszczące wolę naszę i poddające nas prądowi wypadków od nas niezawisłych. Objaw woli Panów, tak silnie wyrażony, przekonanie ich o użyteczności mojéj na tém ważném stanowisku, wskazują mi moję missyą. W podobnym razie, nikt do siebie nie należy; i gdy mnie Panowie kazaliście służyć, służyć będę w przekonaniu, że obojętność dotąd panująca we wszystkich naszych interesach, ustać musi; że głos mój obudzi ich życie i wywoła współdziałanie czynne, gdyż w razie przeciwnym, uważałbym działanie moje bezskuteczném, a missyą moję za skończoną.

» Uznaję konieczną potrzebą, żeby urząd marszałka gubernialnego był zawsze otoczony pewném gronem zacnych obywateli: coby się dało uskutecznić tym sposobem, że każdy powiat przysyłałby z kolei do Kijowa, jednego lub dwóch delegatów, z których każdy, co roku, jeden lub dwa miesiące czasu mógłby zabawić. Byłoby tedy zawsze kilkunastu obywateli ciągle zebranych w tém mieście, w zetknięciu ze wszystkiém, co się nas dotycze, podtrzymujących znaczeniem i radą tegoż wybranego urzędnika, i będących węzłem zespolenia mieszkańców wiejskich z miejscem, w którém się agitują wszystkie nasze interesa najbardziéj żywotne. Jest to ofiara i wielka ze strony waszéj, ale bez niéj, źleby nam było.

» Czuję się w obowiązku uprzedzić Panów, że dla uczynienia zadość moim domowym zatrudnieniom, i żeby nie stracić charakteru wieśniaka, będę jakąś część czasu przepędzał na wsi, mając wszakże wzgląd, aby interesa ogólne na tém nie ucierpiały.

» I z przekonania, i dla przykładu, widzę potrzebę życia skromnego. Życie skromne, było cnotą ojców naszych; zbytek stopniami przyszedł do nas od czasu zaboru kraju, i dziś doszedł do tego, że niszczy nasze familie. Nie szukając daleko, w samych okolicach Kijowa, połowa majątków przeszła w obce ręce, a stare i poważne rody jedne zubożały, drugie wygasły. Niektórzy mieszkańce naszego kraju zaczęli w tym celu silnie oddziaływać; dla nas jeszcze zostało obszerne pole do téj roboty. Jakkolwiek w pewnych razach ostentacya byłaby może potrzebną, wszakże nie zapomnijmy, że takowa zrządziła już nam wiele złego, i że naczelnik gubernii tą drogą swoich prowadzić nie może.

» Nakoniec, przepraszam Panów, ale wspomnieć muszę o tém, czego codziennymi jesteśmy świadkami. Oto nazbyt łatwo przechodzimy z jednéj ostateczności w drugą. Częstokroć ten, którego dziś wywyższamy, jutro bywa już zachwiany w naszéj opinii i do tego nie potrzeba zbiegu wszelkich okoliczności. Ta wada znana u wielu narodów, przeszła i do nas, i ona paraliżuje zupełnie czynność wybranego urzędnika. Ja zaś, zaufanie Panów, stawiam zbyt wysoko, iżbym je chciał na szwank narazić. Jeżeli więc Panowie zechcecie mi powierzyć ten urząd, po trzech latach zdam sprawę z mych czynności, a w ciągu tych proszę o cierpliwość, o wybaczenie moich usterków, a razem o pewność iż w żadnym razie do pełnienia nadal obowiązku powoływanym nie będę. Odchodzący urzędnik, stawi się zawsze w drażliwéj pozycyi, bo częstokrać żąda nadal być wybranym, dlatego jedynie, aby mieć sankcyą waszego zadowolnienia z przeszłości, ja zaś od dziś, proszę o dymisyą na

następne trzechlecie, jeśli pierwsze szczęśliwie i z korzyścią dla Panów przebędę.

» Nie mówmy jak było dotąd, że na tym urzędzie każdy się rujnować musi; bo tém zniechęcamy urzędnika i pomimowolnie go dyskredytujemy. Ja naprzód oświadczam, że nie widzę potrzeby żebyście Panowie téj ofiary od kogo bądź wymagali. Mogło się to stać nieraz z powodu jakiejś nieoględności, lecz i wtenczas można zachować umiarkowanie, i nie uznaję konieczności równoważenia z potęgą waszych majątków, ani wydatków należących do gubernii zastępować swoją kieszenią. Trzeba, aby sprawowanie urzędu marszałka gubernialnego było możliwe i dostępne dla każdego z nas, jak niém jest dzisiaj w zwyczaju na Litwie i innych prowincyach; wtenczas nie będziemy w kłopocie wyboru, mając tylu zacnych obywateli, którzyby nie potrzebowali znacznego majątku, żeby módz służyć krajowi. Częstokroć dla względów majątkowych, robimy ofiarę z interesów najbardziéj żywotnych.

» Zaufanie Panów dla mnie, dotąd niezasłużonego, okazane, wkłada na mnie obowiązek wielkiego długu wdzięczności, ale razem przejmowałyby obawą, gdybym nie liczył na wasze pobłażanie. Bądźcie tylko Panowie zapewnieni mém szlacheckiém słowem, że przez ciąg urzędowania, nic nie zrobię coby się nie zgadzało z zasadami waszych uczuć i nie zabezpieczało waszych interesów materyalnych. Nie taję przed sobą, że mnie spotykać będą wielkie trudności, pochodzące z rozwiązującéj się kwestyi włościańskiéj. Od nastania jéj, uważałem za jedyny sposób szczęśliwego wyjścia z tego kataklizmu, dążenie do prędszego wykupu: jest to jedyny środek jaki nam pozostał. Myśl ta, zrazu nie znalazła przyjęcia u większości; dziś jest już przeprowadzona i broniona od samychże jéj dawniéj przeciwników, a okoliczność ta wywołuje z naszéj strony zupełne podziękowanie przez nas wybranym, którzy

zrobili z siebie ofiarę w obronie naszych interesów.

» Mam szczerą chęć pracowania dla dobra ogólnego w miarę swoich sił i zdolności, ono mieć będę wyłącznie na celu; lecz jeżeli kiedy w indywidualnych wymaganiach, nie potrafię wszystkim zadość uczynić, mam nadzieję, że mi przebaczoném będzie, przez wzgląd, że urzędowanie to jest ciągłym zbiegiem próśb i domagań się częstokroć bezużytecznych.

» Tak więc, kiedy wrócicie Panowie do domów waszych, niech wam pokój towarzyszy, bo wybrani wasi czuwać będą nad waszym interesem; lecz odezwy ich, w tym czasie zwłaszcza, niech dla was będą zawsze hasłem jedności i zupełnéj abnegacyi interesów domowych w razie potrzeby. Urzędnik naczelny, na niém opierać będzie swoje nadzieje, w przekonaniu, że tylko tym zbiorowym sposobem i wzajemną pomocą dojdziemy do celu życzeń naszych. Między nami, najwięcéj łączności widzimy w powiecie radomyślskim, i nie ubliżając innym, powiem, że powiat ten w naszéj gubernii zasługuje na szczególną uwagę.

» Niech więc jedność będzie naszém hasłem, jedność w sercu, jedność w myśli i jedność w działaniu. »

WALKA JĘZYKOWA W WIELKOPOLSCE.

8 września.

Nietylko krajowe ale i zagraniczne dzienniki uderzone były tym pocieszającym objawem, że na całéj ziemi polskiéj, od Dniepru aż po za Wartę, w jednym czasie, odzywać się poczęły żądania o język polski w szkołach i administracyi, i że te różne głosy coraz częściéj i coraz zbiorowiéj ponawianie, coraz silniéj też świadczyły przed Europą o niezachwianéj woli naszego narodu odzyskania należnych mu praw. Zeszłego roku, kiedy młodzież galicyjska upominała się o przywrócenie ojczystéj mowy do zakładów edukacyjnych, w téj saméj chwili, toż samo prawie żądanie zaniosła szlachta podolska do Cesarza rossyjskiego; w półroku późniéj, kiedy dwanaście tysięcy obywateli Galicyi podpisywało znany adres do członków Rady państwa, zebrana w Kijowie szlachta ukraińska przesłała swoję odezwę do Alexandra II. Wszakże najgłośniéj i najpowszechniéj żądanie te pojawiły się w W. Ks. Poznańskiém; bo gdy w innych prowincyach trzeba było przestawać na wnioskach i petycyach, w Księstwie ruch ten przybrał cechę otwartéj choć spokojnéj walki między ludnością polską i wła-

dzami pruskiemi; przeszedł granice Księstwa i w dziennikarstwie niemieckiém żywe wywołał rozprawy. A jeśli z jednéj strony zaprzeczyć nie można, że liberalne instytucye państwa pruskiego o wiele, mieszkańcom Wielkopolski, walkę tę ułatwiały, to z drugiéj strony jest widocznem, że potrzeba takiego ruchu największą była w téj właśnie polskiéj prowincyi, która żywiołowi obecnemu najbardziéj uległa. Ważniejszy tu był, naglejszy niż gdziebądź obowiązek, o ile wogóle w obowiązkach różnych ziem Polski, dopuścić można stopniowania.

Wielkopolska, dostawszy się w r. 1815 pod panowanie pruskie, podobnie jak inne nasze ziemie, miała zaręczone odrębne życie narodowe. Król pruski, w odezwie, którą wydał przy zajęciu kraju (15 maja), najuroczyściéj zapewnił porównanie języka polskiego z niemieckim, we wszystkich czynnościach publicznych. Ale wkrótce potém odstąpiono od tego prawa zasadniczego, wprowadzając wyłącznie język niemiecki do korespondencyi władz między sobą; polską zaś mowę, nasamprzód kilkuletnią praktyką, późniéj reskryptem z r. 1832, ograniczono do stosunków władz z polskimi mieszkańcami. Zdawało się że przepis ten, jakkolwiek prawa nasze ścieśniający, pozostanie normą postępowania urzędników w W. Księstwie, i że mieszkańcom służyć będzie prawo korespondowania w języku polskim z władzami. Tymczasem stało się inaczéj. Wkrótce po owém postanowieniu, zaczęto w pismach i czynnościach urzędowych, wyłącznie niemieckiéj używać mowy, a germańska zaborczość, wyznajmy ze smutkiem, nie doznała, możnaby powiedzieć, prawie żadnego z naszéj strony oporu. Wprawdzie sejmy prowincyonalne W. Księstwa domagały się od rządu szanowania praw naszéj narodowości, pomnożenia urzędników obeznanych z językiem krajowym, i obszerniejszéj nauki języka polskiego w szkołach; ale też na tém podobno,

te usiłowania patryotyczne kończyły się. Obywatele wyrzucali rządowi nieuznawanie tych właśnie praw, o których sami, w życiu codziennem, tak łatwo zapominali. Zaledwo kilku w owéj epoce możnaby takich naliczyć którzy w korespondencyi z władzami, nie uciekali się do niemieckiego języka (1).

Było to zaprawdę ciężkie zaniedbanie, ale to co się działo wówczas w Poznańskiem, wspólnem było niejako całéj Polsce. Kiedy wydawało się politycznym axiomatem, że jedno wysilenie wystarczy, aby naród upadły straconą odzyskał niepodległość, kiedy myśli nasze, uczucia i dążenia do jednego tylko, ostatecznego celu wyłącznie były skierowane: wtenczas także mniéj grzeszną mogła zdawać się obojętność na to powolne wdzieranie się niemczyzny w publiczne i prywatne stosunki społeczeństwa polskiego. « Mniejsza o to, mówiono wówczas z dobrą wiarą, że Niemcy bazgrzą po swojemu i że polską ziemię wykupują: skoro kraj odzyszcze niepodległość, wszystko znów samo do nas powróci. » I trzeba było wielu lat doświadczenia, krwawych zawodów i boleści, aby naród się przekonał, że złe jak dobre samo nie przychodzi i nie odchodzi, że wszelka naprawa jest stopniową, długiego wymaga trudu i stałych wysileń. Ale była, może i inna przyczyna tego rozszerzenia się niemczyzny. Pewne pojęcia o grzeczności towarzyskiéj, fałszywe a przynajmniéj źle zastosowane, jeszcze nas dotąd, w stosunkach z cudzoziemcami, zbyt łatwo uwodzą i skłaniają do ustąpień, małych na pozór a jednak ważnych. To nasze usposobienie w codziennem zetknięciu z Niemcami, którzy pochopni są i wytrwali w korzystaniu tak dobrze z swojéj pozycyi, jak z naszych zaniedbań, doprowadziło rzeczy do tego stopnia, że nie

(1) Miło nam przy téj sposobności, i w obec zasług syna, przypomnieć z jak nieugiętą zaciętością stawał w obronie polskiego języka, śp. pułkownik Niegolewski.

tylko w publicznym ale nawet w prywatnym z Niemcami stosunku, język ich prawie wyłącznie zapanował.

Gdybyśmy chcieli, z większą ścisłością, naznaczyć chwilę odkąd stan ten ku lepszemu odmieniać się począł, musielibyśmy, jako punt wyjścia, przyjąć znany wniosek posła Bentkowskiego. Cierpliwie przewartował on stosy dokumentów urzędowych, starannie wypisał błędy polszczyzny przez urzędników pełnione, gwałty zadawane duchowi naszéj mowy, i tym długim szeregiem niemieckich barbaryzmów, poparł swą mocyą na sejmie o szanowanie języka polskiego. Donosząc o téj pracy zacnego posła, powiedzieliśmy przed rokiem, i dzisiaj te słowa z przyjemnością powtarzamy, że jeśli kiedy władze pruskie w Poznańskiem będą poprawnie pisały po polsku, jego to, w znacznéj części, będzie zasługą. Odtąd jawnem się stało dla polskiéj ludności, że kiedy urzędnicy pruscy po niemiecku czynności swe załatwiają, to nie pochodzi jedynie z nieznajomości polskiego języka, albo z chęci przyspieszenia spraw, ale z wyraźnéj tendencyi rządu, stłumienia wszystkiego co polskie; a na pochwałę mieszkańców powiedzieć należy, że dość było téj wskazówki, aby wszystkich pobudzić do silniejszego oddziaływania. Dzisiaj, już nietylko pojedyncze, jak dawniéj indywidua, poczuwają się do obowiązku bronienia języka polskiego na drodze legalnéj i prawem publicznem W. Księstwa uzasadnionéj: dla wszystkich, dzisiaj, stało się to powinnością narodową i już nikomu z niéj wyłamywać się nie godzi. Znaczna liczba obywateli przesłała do władz sądowych i administracyjnych stanowcze oświadczenia, że odtąd nie będą przyjmowali pism urzędowych, redagowanych po niemiecku; prócz tego, prawie w całem Księstwie, członkowie polscy stanów powiatowych złożyli w imieniu polskiéj ludności, tegoż rodzaju zbiorowe deklaracye, i wbrew zwyczajowi, który wkradł się był nieznacznie, zażądali, aby rozprawy i protokóły sejmi-

ków prowadzone były w języku polskim i niemieckim.
Nietrudno się domyślić, jak niełaskawem okiem władze poznańskie spoglądały i dziś jeszcze spoglądają na tę czujność mieszkańców tak szczęśliwie rozbudzoną. Naprzeciw prawnemu żądaniu, umiały one stawiać rozliczne, nieprawne przeszkody : odmawiały odpowiedzi, groziły nawet umyślnem przedłużaniem interesów i zwlekaniem decyzyj na pytania lub wnioski w języku polskim czynione. Ich opór nielegalny i zła wola tém mocniéj ludność polską zachęcały do wytrwania, a zjadliwe artykuły dzienników niemieckich ten tylko w końcu przyniosły skutek, że z większym jeszcze ładem choć z nienniejszém natężeniem, odzywali się wszyscy za ojczystą mową. Dziwném jednak wydawać się musiało, że naczelny urząd W. Księstwa tak długo, z obojętnością przypatrywał się walce, która przecież obojętną być nie mogła, bo coraz bardziéj drażniła i zaostrzała stosunki mieszkańców z władzami. Kilku obywateli polskich wpadło na myśl, że dla zgodnego załatwienia sprawy, należałoby szukać porozumienia z prezesem regencyi i wyjednać od niego stosowny do władz niższych rozkaz. Osobisty charakter p. Bonina, mianowanego przed dwoma miesiącami prezesem regencyi, dawał nadzieję, że taki krok roztropnego ze strony polskiéj umiarkowania, będzie oceniony, i nie przeminie bez skutku. Temu lat dziesięć, sprawował p. Bonin naczelną władzę w Poznaniu : krótkie, bo kilkomiesięczne jego rządy nacechowane były pewném uczuciem sprawiedliwości ; a przynajmniéj niedostrzeżono w nim podówczas téj systematycznéj do żywiołu polskiego nienawiści, która przebijała się we wszystkich czynach jego następcy, p. Puttkamera. Nadto p. Bonin należy w Prusiech do partyi liberalnéj, a jéj programem, choć nie zawsze szczęśliwie wypełnianym, jest, że nie względy chwilowéj konieczności, ale prawo i sprawiedliwość zasadą być ma wewnętrznéj administracyi. Takie były

powody, dla których obywatele wielkopolscy, podczas zjazdu świętojańskiego w Poznaniu, uprosili kilku z pomiędzy siebie, aby w imieniu mieszkańców rozmówili się z prezesem regencyi. Delegaci, opatrzeni w pełnomocnictwo Stanów powiatowych, z prezesem Koła sejmowego na czele, udali się, w d. 20 z. m., do p. Bonina.
Rozmowa ta, którą obszernie choć bez charakteru oficyalnego opowiadu *Dziennik Poznański*, jest wypadkiem, w obecnéj kwestyi językowéj, dość ważnym, bo z jednéj strony pozwala domyślać się zamiarów rządowych, a z drugiéj dowodzi, że sprawa w istocie posunęła się naprzód. Przyznał p. Bonin « że polscy mieszkańcy mają prawo domagać się od władz polskiéj korespondencyi, bez względu na to, czy który z nich, poprzednio, po niemiecku lub po polsku, korespondował ; » ale mniemał « że władze rządowe zawsze i bezwarunkowo po niemiecku tylko znosić się z sobą powinny, » do władz zaś nawet księży zaliczał, jako urzędników stanu cywilnego lub inspektorów szkolnych. Nietrudném było deputacyi wykazać niestosowność tego wcielenia duchowieństwa w szeregi urzędnicze, i p. Bonin nie zdawał się przy tém zbyt mocno upierać. Myśl jego główna, na którą najmocniéj naciskał i do któréj wracał kilkakrotnie była ta, że dla usunięcia wszystkich wątpliwości i wobec tylu punktów spornych, należałoby całą sprawę językową oddać pod decyzyą Izby. Sejm tylko, zdaniem jego, byłby mocen roztrzygnąć rzecz w sposób trwały, stanowczy i wszelkim nieporozumieniom zapobiegający. Ale deputowani polscy słusznie odpowiedzieli, że jakkolwiek prawodawstwo wewnętrzne może zmieniać to, co na tejże powstało drodze, nie do niego jednak należy naruszać stosunki utworzone skutkiem wielostronnéj międzynarodowéj umowy.— Niewiemy czyli ta uwaga trafiła do przekonania prezesa regencyi ; atoli sądzimy, że rząd pruski nie łatwoby poszedł za tą jego radą. Bo jakkolwiek każde

ministeryum pruskie liczyć może w Izbie berlińskiéj na większość niechybną, ilekroć trzeba wotować przeciw Polakom: w kwestyi téj, uchwała dla rządu najpomyślniejsza, mogłaby z czasem stać się wielce nieprzyjemną. Wszak Prusy dzierżą Wielkopolskę na warunkach, w tymże samym traktacie wpisanych, co im przyznał Pomorze lub Westfalią. Nieszanowany nad Wartą traktat wiedeński, mógłby mniéj obowiązywać nad Renem! Żaden rząd roztropny, w dzisiejszéj zwłaszcza chwili, nie zechce dobrowolnie osłabiać praw tak wielkiéj dla niego wagi.

WOJNA Z WSTRZEMIĘŹLIWOŚCIĄ NA LITWIE.

Z okolic Wilna, w sierpniu, 8 września.

Walka rządowa z towarzystwami wstrzemięźliwości trwa u nas bez przerwy. Chłopi wódkę pić przestali: ztąd w biórach zgorszenie i zawziętość niezmierna, i na tych co nie piją, i na tych co od pijaństwa odwodzą. Traci skarb miliony, tracą urzędnicy w dwójnasób, bo ich nie dochodzą już pensye płacone przez odkupczyków. Ta wielka, szczęśliwa odmiana stała się bez interwencyi, prawie bez wiedzy rządowéj! — Jak wiadomo, ruch w r. 1858 w gubernii kowieńskiéj poczęty, prędko bradzo rozszedł się po całéj Litwie; i zeszłego roku, gdy coraz mniéj wypijano i sprzedawano wódki, odkupczycy kowieńscy oświadczyli władzom, że kontraktu dotrzymać nie mogą. Wówczas rząd wziął na siebie administracyą poboru i swoim go powierzył urzędnikom; ci zaś, naznaczeni chwilowo, jeszcze mniejszą sprzedaż wykazywali w rachunkach. Z początkiem b. r. ogłoszono w Petersburgu po raz wtóry licytacyą na odkup kowieński. Nowi przedsiębiorcy, dość wysoko zalicytowawszy, skoro przybyli na miejsce, ujrzeli z przerażeniem, że

zbankrutować muszą. Zaczęto namawiać i przyciągać do karczmy, ale napróżno, bo włościanie mieli czas poznać, ile zyskują na wstrzemięźliwości. Wypłaciwszy się z długów karczmarzowi, zwolna przychodzili do gotówki, do porządków w chacie i gospodarstwie; wytrzeźwieni, przestali ubijać się z sąsiadami, wadzić się na jarmarkach, i policya nie miała za co do nich się przyczepić. Dwóch najsroższych gnębicieli, żyda i policyi, w ten sposób, pozbyli się odrazu; nie dziw że już do nich nie trafiały zachęty do pijaństwa. Wtedy to rozpoczęto urzędniczą kampanią: odkupczycy zanosili petycye, przekupywali horodniczych i sprawników, aby świadczyli przeciw duchowieństwu, i kilku niecnych wiejskich pijaków podburzyli do skarg na księży, że w szerzeniu towarzystwa używają moralnego i fizycznego przymusu. W gwałt uderzono do ministra skarbu, i jak grad poczęły się sypać upomnienia, ostrzeżenia, zakazy. Posłałem wam przeszłego roku okolnik wileńskiego cywilnego gubernatora; musieliście później odebrać nie mniej ciekawe w swym rodzaju pismo Izby Dóbr kowieńskiej; teraz posyłam wam odezwę jenerał-gubernatora Nazimowa do biskupa żmudzkiego adresowaną. Będzie to nowy, charakterystyczny dokument do historyi rządów rossyjskich w naszym kraju.

«Wilno, 2 czerwca 1860, N. 3671.

» P. Mininister skarbu, w piśmie swem z d. 16 z. m. dał mi wiedzieć, iż doszły go doniesienia, jako Wasza Excelencya przedsięwziąłeś najsurowsze środki, aby zmusić lud, przez przysięgę, do wyrzeczenia się gorących napojów. Dnia 19 marca b. r. rozesłałeś W. E. do wszystkich podwładnych sobie kapłanów okólnik z zaleceniem, aby przygotowali książki i zobowiązywali parafian do wpisywania nazwisk swoich na liście tych, którzy się wyrzekli pijaństwa, oraz rodziców i opiekunów do zapisywania dzieci i pupillów na tejże liście; aby zaliczeni w ten sposób ponowili obietnicę swą trzeźwości aż do śmierci przed obrazem N. Panny, i ażeby kapłani czuwali nad wypełnieniem tego rozporządzenia.

» Z uwagi, że przyczyną ustania dochodów z wódki, w kowieńskiej gubernii, jest wielkie rozszerzenie się trzeźwości, jak niemniéj dla ostatecznego o tym fakcie przekonania się, prosiłem był W. E. w odezwie méj z d. 5 marca, do N. 1528, o udzielenie mi, podług załączonej formy, liczby osób, które wstrzymały się od pijaństwa w gubernii kowieńskiéj. Stosownie do przesłanéj formy, żądałem liczb z tych tylko parafij, o których już poprzednio zebrane były wiadomości; bynajmniéj zaś nie dozwoliłem zbierania nowych podpisów, wprowadzenia ksiąg i tworzenia bractw lub stowarzyszeń, od rządu niedozwolonych. W odpowiedzi swéj, z dnia 12 marca do N. 575, W. E. uwiadomiłeś mnie, żeś zażądał wspomnionych szczegółów, nie wspominając wcale o nowych rozporządzeniach, które następnie, w rzeczonym okólniku z dnia 19 marca, wydane zostały.

» Wykazywać dobre skutki trzeźwości i powstawać przeciwko pijaństwu, pożyteczném jest dla narodowego uobyczajenia: ale zupełne odwodzenie od wódki, i to środkami tak silnie do umysłów prostego ludu przemawiającemi, jakoto przysięgą, obietnicą odpuszczenia grzechów i t. p., nie może być cierpiane jako przeciwne ogólnym pojęciom o korzyściach z umiarkowanego używania gorących napojów, przeciwne rozporządzeniu rzymsko-katolickiego metropolity wszech Rossyj i poleceniom moim z r. 1858 i 1859, przeciwne nadto widokom rządu, który pobór wódczany oddał w dzierżawę odkupczykom.

» Dosyć będzie, jeźli duchowieństwo nie wzbraniając włościanom umiarkowanego użycia wódki, tak potrzebnéj dla pracujących, odwodzić go będzie od pijaństwa, czyli nadużycia gorących napojów. W ten tylko sposób można będzie pogodzić widoki rządu, w celu uratowania

dochodów wódczanych, z myślą wstrzymania ludu od występnéj namiętności pijaństwa. W skutek tego, i zgodnie z żądaniem p. ministra skarbu, mam zaszczyt upraszać W. Ex. o odwołanie poleceń wyrażonych w okólniku z d. 19 marca, i wstrzymanie niewłaściwych działań duchowieństwa, jak niemniéj o zalecenie kapłanom, ażeby, oduczając parafian od pijaństwa i innych występków, nie używali groźb i w ogóle żadnych środków od rządu niedozwolonych, ażeby ograniczając się na nauczaniu, nie zakazywali umiarkowanego używania trunków, którego przecież sam Zbawiciel wyraźnie dozwolił, gdy wodę w wino w Kanie galilejskiéj przemienił.

» Wasza Excelencya nieomieszka także polecić parafianom, ażeby zwrócili zaprowadzone księgi, dla ich zniszczenia, i w ogóle skierować działalność duchowieństwa w sposób zgodny z prawnym porządkiem i obowiązkami ich religijnego powołania.

» Mam zaszczyt i t. d. »

Komuż to pismo osobliwsze, któregoby z pewnością żaden z wyższych urzedników w Europie nie odważył się podpisać, komuż ten potworny dokument nie przypomni sławnych manifestów Katarzyny, w ktorych potępiając anarchią, ale przez uszanowanie dla prawa, «nieśmiertelna» caryca, wzbraniała wszelkich reform i ulepszeń w urządzeniach Rzeczypospolitéj. Jak niegdyś Repnin między szlachtą na sejmach, tak dziś Nazimów między włościanami po karczmach, ujmuje się za *liberum veto*; i pisząc do biskupa, nie waha się z saméj Ewangelii czerpać dowodów, że rząd rossyjski ma prawo rozpajać swoich poddanych. Odwołując się do cudu w Kanie galilejskiéj, jenerał Nazimow przywodzi na pamięć owego humorystę angielskiego, który twierdził, że Modlitwa Pańska, mówiąc o *chlebie powszednim*, upoważnia do kradzieży. Ale jakkolwiek humorystyczne,

nie mniéj jednak w swych skutkach znaczące, mogą być rozkazy jenerał-gubernatora Litwy. Nie przestając na liście do czcigodnego biskupa, jenerał Nazimow, na d. 22 czerwca, do N. 4351, wydał okólnik do wszystkich władz policyjnych trzech gubernij: kowieńskiéj, wileńskiéj i grodzieńskiéj, z poleceniem najsurowszém, by wszelkim dalszym działaniom duchowieństwa, na drodze rozszerzenia i utrwalenia trzeźwości, jak najenergiczniéj zapobiegali, i ażeby w razie odkrycia tego rodzaju « *winowajców* », donosili o nich natychmiast, sztafetą. Nie dość na tem: aby upewnić się o wykonaniu tych rozkazów, wysłał jenerał-gubernatora do gubernii kowieńskiéj, dwóch półkowników pp. Beau i Słuczanowskiego, oraz żandarma Skwarcowa, którzy wyśledzić mają gorliwszych kapłanów, i groźbą i karą wstrzymać tę niebezpieczną dążność do otrzeźwienia naszego ludu.

Jeżeli rząd, jak to przewidzieć nietrudno, zacznie więzić i prześladować księży, którzy najczynniéj przyłożyli się do rozszerzenia wstrzemięźliwości, powinienby, tém samém, medalami i orderami nagradzać tych, którzy najwięcéj po karczmach wódki wyprzedadzą. Będą to także w swym rodzaju «zbawcy cesarstwa!» I jeśli kiedy wieść o téj propagandzie pijackiéj przedrze się do dzienników zachodnich, ani wątpić, że rząd (podobnie jak to uczynił z towarzystwem rolniczem w sąsiedniéj prowincyi), i nasze bractwa wstrzemięźliwości, ogłosi jako polityczną konspiracyą! We wszystkich swych pismach, tutejsze władze kładą mocny przycisk na to słowo, że stowarzyszenia takie są przez rząd *wzbronione*. Już dzisiaj sam wyraz trzeźwość lub wstrzemięźliwość, wzbudza podejrzenie w policyi. Niedawno temu, pewien urzędnik policyjny w Kownie, zoczywszy wystawioną za szkłem, przed księgarnią, jakąś książeczkę o wstrzemięźliwości, drukowaną « w Brodnicy », kazał ją sobie wydać natychmiast i zaniósł z tryumfem do policmejstra. Policmejster wyprawił bezwłocznie to *corpus delicti* do guber-

natora, gubernator do jenerał-gubernatora; pociągnięto księgarza pod śledztwo: zkąd wziął to straszne dzieło, w jakiéj ilości je sprowadził, komu sprzedał i t. p. Aż się pokazało nareszcie, że ta niewinna książeczka, chociaż drukowana za granicą, przeszła przez komitet cenzury i najlegalniéj przez wszystkich księgarzy była przedawaną!... Nie przeszkodzi to jednak, że i w niéj dopatrzą się późniéj celów politycznych. Lat temu kilkanaście, pewien starosta galicyjski, dając rozkaz rozwiązania towarzystw wstrzemięźliwości, wyraził się w tych słowach: «tego rodzaju bractwa, ze względów politycznych, są mało pożądane; tworzą bowiem w mieszkańcach *niejedność*. Jedni piją, drudzy nie!...» Prawdopodobnie jenerał Nazimow dotąd niewiedział o tym argumencie...

LEON ŁUBIEŃSKI I BIBLIOLEKA WARSZAWSKA.

Z Królestwa Polskiego, 15 września.

Musieliście i sami ogłosić, i czytać w pismach tutejszych nekrologi Leona Łubieńskiego. Warto go było pożałować i pochwalić, bo brak jego już dzisiaj widoczny, i dobrego było w nim wiele. Ale też i chwalono bez względu na rzeczywistość. Nie powiadam, żeby zaraz, po śmierci, wypadało słabe i naganne strony zmarłego poprostu wytykać: to się z obyczajami naszemi nie zgadza. Wszakże, jeśli tak zawsze i każdego będziemy chwalili: za życia, dla względów prywatnych i publicznych, po śmierci, dla naszych nawyknień panegirycznych, kiedyż się prawdy doczekamy? Obcym dziwnie to wydać się może, że mamy tylu jakoby znakomitych mężów a mimo to, naród nasz tak bezsilny, i tak mało w swych sprawach zaradny. Więc jeśli prawdy całéj wypowiedzieć nie można, obrażać jéj przynajmniej nie należy, a w każdym razie godzi się miarę zachować.—

Łatwość pożycia, dobroć serca, współczucie dla ludzkich niedoli i kłopotów, uczynność i usłużność, szlachetna ambicya popierania pożytecznych rzeczy: to były

istotne moralne przymioty nieboszczyka, podniesione żywą inteligencyą i wyższą kulturą umysłu, dosyć wszakże oddawna zaniedbaną. Miał przytem dar łączenia ludzi różnych warstw, pojęć i usposobień : zbierali się u niego tacy, którzy, bez niego, nigdyby zapewne z sobą się nie zetknęli, co w istocie do harmonii i ożywienia stolicy pomagało. Ale niestety, łatwość pożycia i dobroć serca prowadziły do zbliżenia się i poufalenia zarówno z ludźmi zacnymi i patryotami jak z wielą innymi, którychby tak nazwać nie można; do środków uczynności należały też (znaczne podobno niekiedy) dochody z gry kartowéj; uczestnictwo w rzeczach pożytecznych szło w parze z niemniéj żywem uczestnictwem w błahostkach i niestósowności ach. Była sympatyczna dusza a nie było powagi charakteru i obyczajów; była bystrość umysłu a nie było głębokich przekonań, przemyślanych i surowych zasad, jakie mieć powinni ludzie na przodzie stojący, a do takich niezawodnie Łubieński należał. — Z powodu śmierci jego, powiedziano w Warszawie dwie mowy: jednę na cmentarzu, drugą w kościele, z ambony, nazajutrz po pogrzebie. Wyznać trzeba, że nie więcéj w nich było taktu i miary niż w dziennikarskich artykułach. Mowy pogrzebowe są piękną rzeczą: albo wtedy, kiedy życie zmarłego jest tak czyste, iż sam onego przebieg staje się źródłem zbudowania dla słuchaczy: albo też, kiedy jakoweś zewnętrzne okoliczności stosowną nastręczają materyą, a nieboszczyk nie za text, ale za pretext tylko służy. W obecnym razie nie było ani tego, ani tamtego: więc albo trzeba było szczególną nadrabiać zręcznością, co jest nader trudne, albo mów nie odprawiać, co już nierównie łatwiéj. Szczególnie niefortunny był kaznodzieja duchowny: zamilczę o ważniejszéj a nieprawdziwéj pochwale; wspomnę tylko iż mówca żałował prac naukowych nieboszczyka zgonem tym przerwanych, kiedy wszyscy słuchacze wiedzieli, że Leon Łubieński żadnemi zgoła naukowemi pracami się

nie trudnił. Możeż być poszanowanie dla kapłańskich nauk, kiedy kapłan podobnych dopuszcza się lekkości, i chwali, jak zamówią, to czego nie było, a w słuchaczach, zamiast sympatycznéj uwagi, wywołuje ironiczne uśmiechy?

Zmarły należał oddawna do współki wydającéj *Bibliotekę Warszawską* i dosyć gorliwie zajmował się interesami tego pisma, będąc ostatniemi czasy przewodniczącym w redakcyi. To wydawnictwo *Biblioteki Warszawskiéj* jest z jednéj strony chlubne nader, a z drugiéj srodze upokarzające factum naszéj wewnętrznéj historyi. Budujący przykład wytrwałości daje krajowi grono ludzi podtrzymujące od lat dwudziestu przegląd, którego prenumerata w kilku tylko szczęsliwych latach, koszta wydania zwracała, a pospolicie i ciągle okazuje się deficit przeszło dziesięciu tysięcy złotych rocznie, który członkowie współki redakcyjnéj, czyli wydawnictwo, z własnéj kieszeni zapełniają. Osobliwsi akcyonaryusze, dla których dywidenda jest płaceniem, nie zaś braniem! Ale cóż powiedzieć o kraju? Biblioteka jest od lat wielu, jedynem pismem peryodycznem, literacko-naukowem, jakie wychodzi w polskim języku, pod panowaniem rossyjskiem to jest tak w Kongressówce, jak litewskich i ruskich prowincyach. Prenumerata wynosi dziewięć lub dziesięć rubli, a więc wcale nie droga na tutejsze ceny, i tysiąc prenumeratów mogłoby pokryć przynajmniéj koszta wydawnictwa. Tymczasem, jest prenumeratorów, od lat wielu, tylko sześciuset lub mniéj. Taka obojętność narodu niczem się usprawiedliwić nie da, niczem zgoła: i owszem, pada nań cały ciężar winy i wstydu, bo factum samo dowodzi poprostu nadzwyczajnéj małości potrzeb duchowych.

W innym liście pozwolę sobie wyrazić zdanie moje o zaletach i wadach *Biblioteki*; tu tylko powiem ogólną uwagę. Że jest najwyraźniéj niższa od niejednego pisma zachodniego w tymże rodzaju, to nic dziwnego: jak życie

nasze jest uboższe, tak też i literackie organa słabszemi być muszą, zważywszy zwłaszcza cenzuralne i inne ścieśnienia. Z tém wszystkiém, porównywając bezstronnie, niższość ta *Biblioteki* nie jest tak wielką, żeby już porównanie unicestwiać ją miało. Bynajmniéj: widzimy, że i pierwszorzędne pisma angielskie, francuzkie i niemieckie, nie przedstawiają wcale szeregu nieprzerwanego pierwszorzędnych prac. Kiedy się w jednym poszycie dwa dobre artykuły znajdą, to i dosyć, a jeden na zaletę numeru wystarcza: inaczéj z pismami peryodycznemi być nie może. Krytyka krajowa Biblioteki, nie genialna zapewne, jest w ogóle oświecona i poważna: jeżeli nie zawsze wyższe wymagania zadawalnia, to zawsze może czegoś nauczyć naszę mało umiejącą publiczność. Drukują się często, w Bibliotece, rzeczy bardzo niestosowne dla takiego pisma; np. wyjątki różnych słowników, regestra jakieś stare, nazbyt szczegółowe i zupełnie suche traktaty z nauk przyrodzonych i ścisłych, albo rozbiory podrzędnych kwestyj prawniczych: jednėm słowem, materyały i pomocnicze wypracowania, a nie artykuły, właściwsze ogólnemu literacko-naukowemu pismu. Ale proszę powiedzieć, gdzie się u nas podobne rzeczy podzieć mogą? Pism specyalnych nie mamy (prócz *Roczników gospodarskich*, *Pamiętnika religijnego i lekarskiego*), a któż zechce osobno wydawać rozwiązanie pojedyńczego matematycznego zagadnienia, albo wątpliwego punktu procedury? A jednak wszystko to ma wartość i komuś, kiedyś, przydać się może: dobrze więc, że pismo bezinteresownie wydawane, daje przytułek pracom świadczącym, że przecież i w tym i w owym kierunku naukowym cośkolwiek się idzie, i żeśmy niezupełnie zasnęli. Powtóre, drukują się mniéj interesujące artykuły, dlatego także, że interesujących zabrakło, bo pismo zbyt ubogie w środki dla braku prenumeratorów, nie może hojnie wynagradzać, a zatem i sur wo przebierać.

Ale na cóżby się tu przydało porównywać z pismami zagranicznemi albo zarzuty *Bibliotece* wytaczać! Byłoby to, prawdę mówiąc, zboczeniem od przedmiotu; bo czytelników dobrych przyglądów zagranicznych na dziesiątki tylko w kraju liczyć możemy, a zarzuty w ogóle pochodzą od szczupłéj liczby prenumeratorów i czytelników. Tymczasem ogół, owa massa mogących czytać, ta ani porównywa *Biblioteki* z jakowemiś *Revues*, ani jéj zarzutów nie czyni, ale poprostu czytać niechce, nie potrzebuje. Woli balet, preferensa, ogródki, hece, i t. d. Tak to, dziś jeszcze, stoimy; za to lubimy szczycić się duchowością naszą, którą niby nad zmateryalizowanym zachodem celować mamy. *Risum teneatis!* Ulubioną polską mrzonką a zarazem pretensyą polityczną jest protekcya zachodnich mocarstw: i gdyby one poniosły dla nas największe wydatki krwi i bogactw swoich, a nam pieczonego gołąbka — byt niepodległy — do ust wetknęły, toby nam się bardzo podobało. Maleńka między nami liczba uznaje tę prawdę, że jeżeli wielkie potęgi Zachodu powinny nas wspierać, nakształt tego jak ludzie majętni ubogich, to my mamy względem ojczyzny naszéj wszystkie obowiązki, powinniśmy czynić wszelkie wysilenia, na jakie tylko zdobyć się możemy, ażeby być wsparcia godnymi. Majętni winni są pomoc ubogim, chętnym do pracy i dobrze się prowadzącym a nie gnuśnym i lekkomyślnym marnotrawcom. — Otóż, wyobrażam sobie: gdyby jakaś europejska konferencya, czy kongres, czy komisya zajęła się nami i obmyślając środki pomocy, rozpoczęła też śledztwo i na examin nas wzięła, aby się dowiedzieć jaki jest stopień naszego rozwinięcia społecznego, materyalnego, duchowego, odnośnie do wymagań *wieku*, do *środków*, i do *niebezpiecznéj sytuacyi naszéj*: czy mianowicie chcemy rozumieć pierwsze, czyśmy drugich (jakie są) serdecznie i wytrwale używali, czy niebezpieczeństwa nasze na seryo bierzemy i ich okropność całemi oczyma widzimy; przy-

znam się wam, żebym sobie, dzisiaj, takiego dla nas examinu wcale nie życzył! W tym examinie figurowałoby i owe sześćset prenumeratorów Biblioteki warszawskiéj w rozdziale potrzeb duchowych rozległego kraju, i podobno wszystko inne byłoby w tejże albo blizkiéj proporcyi. Ale za to summa ze sprzedaży kart, w resursie warszawskiéj, sięgnęłaby blisko sta tysięcy złotych rocznie! Gdyby ta cyfra nie miała swojéj przyczyny, to i tamta byłaby inną.

LUDWIK *LENOIRE* ZWIEKOWSKI.

---

22 września.

Ludwik Zwierkowski umarł w Genewie, d. 6 września, wracając z Aix-en-Savoie, dokąd się był udał dla kuracyi. Był to piękny typ emigranta polskiego, typ krajowym czytelnikom może mniéj znany. Był on jednym z ludzi, Polskę tak gorąco, tak namiętnie kochających, że o nich śmiało rzec można, że co mogli, co mieli, co czynili, co myśleli, wszystko to poświęcali ojczyznie; dusza wybrana, dla któréj Polska jedynym była celem, wyłącznêm zajęciem, i to nietylko w chwilach rozbudzonych nadziei, lub rozgrzanych uczuć, ale ciągle, bez odetchnienia, w złéj czy dobréj porze i w słowach zarówno jak w czynie. Długie lata jego związane były z szeregiem prac emigracyjnych na Wschodzie, mozolnych, cichych, krwawémi ofiarami nieraz opłaconych, i które nie koniecznie dlatego muszą już tracić na znaczeniu, że je nie odrazu zrozumiano, lub że o nich pisano tak mało. Więc choć nazwisko jego mniéj głośne, a życie, ani wysoką pozycyą, ani świetnémi naznaczone powodzeniami, sądzimy przecież, że

nam to za złe nie będzie poczytane, jeźli ustęp nieco obszerniejszy poświęcimy pamięci Zmarłego.

Podczas wojny r. 1831 znany był już współtowarzyszom broni, jako dzielny oficer naszéj piechoty liniowéj: miał przecie wówczas i męztwem i dzielnością wielu równych sobie. Na wygnaniu dopiero, jak zwykle w trudniejszych okolicznościach ludzie wybrani, odznaczył się nieugiętością i poświęceniem bez granic. Należał do téj młodzieży, wyszłéj z szeregów powstania, w któréj oczach przed świętością sprawy znikały wszystkie ziemskie trudności, i która nie ważąc przeciwieństw, we własne zaufana siły, całą winę doznanéj klęski na starszych jedynie zrzucała. Na każde wezwanie do największych gotowa ofiar, sądziła zrazu, że przez Francyą, nowe do nich otworzy się pole; ufała, że pod królem z nowéj dynastyi albo i bez niego, na zawołanie polskich wychodźców, Francya powstanie, i niepowstrzymanym pędem, jak za pierwszego Napoleona, zawita znowu zbrojnie nad Wartą i Wisłą. Zawiedziona w swéj nadziei, zwróciła ją ku niemieckim i włoskim agitacyom; i jak wiadomo, w téj to myśli, w r. 1834, kilkuset naszych współwygnańców wyszło z Francyi do Szwajcaryi. Tu poraz pierwszy, Ludwik Zwierkowski, między najgorętszymi, pewnego dostąpił odznaczenia.

Tymczasem na innem polu, inna część wychodźtwa, z niemniéj gorącém uczuciem, a z dojrzalszą spraw świata znajomością, usiłowała także swemu uczynić zadość powołaniu. Tém polem, między innémi, był Wschód. Tam Moskwa dawno już, zwłaszcza od rozbioru Polski, z wielkiem, a starannie ukrywaném natężeniem, przez czynną między ludnością grecką i słowiańską propagandę, gotowała sobie obszerne zabory. Nie przemocą, ale po cichu, zręcznych swych agentów podstępem, torowała sobie drogę do Stambułu, do wszechwładztwa nad Europą. Dziwne było i długie opinii zachodniéj zaślepienie, częścią z obojętności lub obrzy-

dzenia dla Turków, częścią z życzliwości dla Greków z klasycznych studyów wyniesionéj. Powołaniem przeto stało się Polaków, z kraju swego wyrzuconych, obudzić czujność rządów Zachodu, a jednocześnie tureckich Słowian własném doświadczeniem ostrzegać, czem dla nich stać się może, przez obalenie rządów sułtana, panowanie Moskwy. Niebrakło w emigracyi na mężach, co w wielkie sprawy europejskiéj polityki oddawna wtajemniczeni, dobrze znali plany gabinetu moskiewskiego i całą jego jakby sieć konspiracyjną w Turcyi rozrzuconą; sekretne zaś akta dyplomatyczne Moskwy, zwłaszcza z ostatniéj wojny greckiéj, znalezione w Warszawie w archiwum W. Księcia, przeniesione na Zachód i ogłoszone w znanym zbiorze *Portofolio*, stały się jakby pierwszą bronią, z pomocą któréj emigracya potrafiła przełamać obojętność rządów Anglii i Francyi. Zmiany téj, pierwszy okazał się dowód, gdy rząd angielski do służby swojéj powołał jenerała Chrzanowskiego i przywiązał urzędownie do angielskiéj ambasady w Stambule.

Niemałe wrażenie sprawił ten wypadek między polskimi wychodźcami, między tymi nawet, co spraw europejskich mało świadomi, w dyplomacyi nic innego nie widzieli, jak tylko błahe, próżne, jeźli nie śmieszne usiłowania, lub na prostém oszukaństwie oparte zabiegi. Anglia, pomyśleli, praktyczna, nieuwodząca się sympatyami Anglia, musiała przecie poznać, że Polacy coś mogą na Wschodzie, kiedy jednego z nich do swéj służby przyjęła i to mało wówczas popularnego, ale znającego i Moskwę i Turcyą, z udziału, jaki miał w wojnach r. 1828 i 29. Wówczas to przyjaciele Zwierkowskiego skłonili go udać się do Stambułu. Celem tej podróży było wyśledzić na Wschodzie dążenia polityczne partyi przeciwnéj. Śledzić je miał, a w przypuszczeniu, że z nich złe tylko samo mogło wypaść dla Polski, zapobiegać złemu wedle możności. Krótki jednakże pobyt i

bliższe przypatrzenie się rzeczy, przeciwny zamierzonemu przyniosły skutek. Polacy, zbyt często z sobą niezgodni, wobec cudzoziemców, a zwłaszcza wobec nieprzyjaciół, jeźli tylko z dobrą działają wiarą, a szczerą miłością ojczyzny, łatwo potrafią się zgodzić. Wpośród wschodniéj ludności, skoro znajdzie się Polak, wierny swojéj sprawie, jakichkolwiek on będzie opinij politycznych, zawsze się okaże przyjacielem Zachodu, szczególniéj Francyi i katolicyzmu, a przez nieprzyjaźń dla Moskwy, Turcyi przyjacielem. Podobnie więc i Lenoir (to nazwisko przybrał on sobie, wyjeżdżając na Wschód) w kilka miesięcy po przybyciu do Stambułu, spostrzegł, i o tém do swych przyjaciół napisał, że nie godziłoby się przeszkadzać temu, co jego rodacy z takim trudem, wśród Słowian tureckich wykonywali, co większa, zapragnął pomagać. Jakoż, dawszy się poznać głównemu wysłannikowi polskiemu w Stambule, podjął się misyi do Belgradu i tam przez lat kilka pracował.

Wiadomo, że w Turcyi, podobnie jak niedyś w Polsce i innych państwach sąsiednich, Moskwa wszystkich używać zwykła sposobów, aby kłócić rząd z poddanymi: raz występując niby z sympatyą dla uciśnionych, drugi raz niby stając w obronie zasad zachowawczych i społecznego porządku, a wistocie, by tylko jątrzyć i w danym czasie swoje pośrednictwo narzucić. Polakom w Turcyi, tém samém, przeciwna wskazaną była rola: ich było rzeczą nie uwodzić się ani filologiczną dla Greków miłością, ani średniowieczną do Turków nienawiścią, ani też złudzeniem zręcznie przez Moskwę w całéj Europie rozszerzaném; im obowiązek wskazywał wyraźny, tajemne zdrady moskiewskie w jasném stawiać świetle, Polsce i Polakom przypominać, że Turcya, to naturalny, do ostatka wierny nasz sprzymierzeniec, i że jeźli własnemu oprze się rozpadnięciu, jeźli się oczyścić, odrodzić potrafi, to przyszłéj Polsce przymierza dochowa. Przystało więc ludziom, polską zagraniczną politykę, ile

można, przeprowadzającym uśmierzać, nie jak Moskwa podżegać drażliwość poddanych rządu tureckiego, Słowian i Rumanów; dowodzić tym zwłaszcza, którzy już sobie pewną, pod berłem sułtana, wyrobili niepodległość, że najskuteczniéj dla nich będzie, spokojnie, wytrwale rozwijać stan swój wewnętrzny, nie zrywać ze słabnącą władzą stambulską, owszem, przeciwko podszczeniom Moskwy stawiać głośno swą wierność dla sułtana; bo inaczéj, w miejscu wątłych rządów tureckich, Moskwa swoje im jarzmo narzuci i nawet daleką nadzieję niepodległego istnienia odbierze.

Kiedy Lenoir przybył do Belgradu, księstwo serbskie już było niemało doświadczyło wpływu intryg moskiewskich. Stary książe Miłosz, za zbytnią od Moskwy niezależność musiał był kraj opuścić przed podburzoném przez nią stronnictwem «*liberalnem.*» Wprawdzie panował po nim syn jego małoletni, książe Michał; ale nauczony doświadczeniem ojca, przeciw niesforności własnych poddanych szukał u Moskwy opieki; ośmielił się nawet, w r. 1841, wziąść czynny udział w przygotowanem od Moskali, a z Bukarestu przez konsula jeneralnego p. Duhamela kierowaném powstaniu bulgarskiem. Zkompromitowany wykryciem przez Turków spisku, o tyle słabszym stanął w oczach własnych poddanych, podejrzywających go o dążenie, za przykładem ojca, do rządów absolutnych. Daremnie agent polski ostrzegał, daremnie upominał, by się nie pozbawiali panującéj Obrenowiczow rodziny, która przez zasługi i dziedziczność już się stała narodową i młodemu księstwu serbskiemu dodawała w Europie znaczenia. Wszystko daremnie: Alexander Karageorgewicz, z prostego kapitana, księciem Serbii jednogłośnie został obwołany, to bowiem głównie za nim przemawiało, że był synem Jerzego Czarnego, pierwszego oswobodziciela ojczyzny. Skoro wieść o tém doszła do Stambułu, sułtan księcia Alexandra zatwierdził; co większa, Austrya pospieszyła

z uznaniem. Przeciwnie Moskwa: ta z gniewem, groźnie, nietylko przeciw Serbii, ale przeciw samemu sułtanowi zato wystąpiła; a cesarz Mikołaj, osobisty żal swój i zgrozę oświadczywszy w Wiedniu, wymógł zmianę austryackiéj polityki i wspólną deklaracyą w Stambule, że Austrya wraz z Moskwą domaga się by naród serbski przystąpił do nowéj elekcyi na księcia panującego, twierdząc, że nieprawny był wybór księcia Alexandra, bo tron serbski jest dziedzicznym.

Okoliczność ta dozwoliła polskiemu wysłannikowi (był nim Lenoir naówczas) wywrzeć wpływ stanowczy. Kto zna obojętność, a właściwie lekkomyślność, z jaką zachodni posłowie lub konsulowie odzywają się nieraz o sprawach plemion oddalonych a mniéj licznych, kto uderzony był ich łatwowiernością, z któréj tak często korzystały rządy nieprzyjacielskie bliżéj interesowane, ten się zapewne nie zdziwi, że dopiero korespondencye polskiego wysłannika objaśniły rzecz całą w Paryżu i w Londynie, gdzie oba rządy z jednéj strony nie wiedziały co odpowiedzieć na twierdzenia moskiewskie o nieprawności elekcyi, a z drugiéj trzymały się upornie staréj maxymy, że nad Dunajem, stróżem Moskwy naturalnym jest Austrya: więc gdzie Austrya godzi się z Moskwą, tam Zachód nie ma potrzeby się mieszać. Już p. Guizot i lord Aberdeen wyprawili do Stambułu i do Belgradu radę uległości dla groźnéj Mikołaja woli: kiedy z polskich raportów lepiéj objaśnieni, rzecz zrozumieli i księcia Alexandra poparli. Rząd rossyjski, pomimo wydanego *ultimatum* i głoszonego już zebrania armii, przed owém Francyi i Anglii poparciem musiał ustąpić i wkońcu księcia Alexandra uznał. Łatwo atoli zrozumieć, że agent polski zanadto w tych wypadkach zyskał był między Serbami wziętości, by Moskwa i sąsiednia, a niby życzliwa księciu Alexandrowi Austrya, chciały go cierpliwie znosić w Belgradzie. Po krótkim czasie, od samegoż serbskiego rządu i od francuzkiego konsula,

pod którego zostawał protekcyą, uproszony, wyjechał do Stambułu.

Było podówczas wielkie poruszenie umysłów między plemionami Kaukazu, a żywe znajdowało współczucie tak w haremie Sułtana jak u wielu możnych tureckich, u których, jak wiadomo, pełno jest niewolnic z Kaukazu zakupionych, gorącą miłość dla swéj ojczyzny zachowujących. Czerkiescy także niewolnicy najwyższych w państwie tureckiem dostępują dostojeństw; jednocześnie przytém Anglia żywą dla Czerkiesów okazywała sympatyą. Wśród takich okoliczności, Lenoir otrzymał polecenie puszczenia się morzem na brzeg czerkieski i rozpoznania, o ileby się udało zebrać i zorganizować rozproszonych w Kaukazie licznych Polaków, z wojska rossyjskiego przybyłych. Wkrótce wielką u naczelników różnych plemion umiał on zdobyć wziętość. Ale skoro wieść o tém doszła nad Kubań, do moskiewskiego obozu, gdzie Lenoira jako jenerała polskiego opisano, dowódzca przedniéj straży moskiewskiéj nie wahał się rozrzucić między ludnością miejscową obietnicę nagrody dla tego, coby życie owemu « *polskiemu jenerałowi* » odebrał. Jakoż i znalazł się zabójca: mówią, że kupiec, Ormianin. Podszedł w nocy pod izbę, w któréj Lenoir nocował i przez okno do leżącego strzelił. Kula od kolana szła wzdłuż ciała aż pod bok i straszną zadała ranę. Jakie Zwierkowski mógł mieć w półdzikim kraju opatrzenie, łatwo sobie wyobrazić; silna natura jego tyle przecież przemogła, że po sześciu miesiącach mógł wsiąść na czółno i brzegiem, pomimo zwykłéj straży moskiewskich okrętów, dostał się napowrót do Turcyi i do Stambułu. Tu lat kilka jeszcze, męczony raną, która do śmierci się nie zagoiła, a od czasu do czasu, przy odrywaniu się kostek, srogie mu zadawała cierpienia, nie przestawał, ile mógł, brać udziału w polskich pracach na Wschodzie: bo ich celem było, rząd turecki, w imię własnego i Polski interesu, nakłaniać do słuszności dla poddanych

Słowian i Rumanów; tychże zachęcać do cierpliwości, do wyrozumiałości a razem do wyrobienia w sobie narodowych sił; rządom zaś Zachodu, przez ich poselstwa i konsulaty, przedstawiać środki, któremi obu powyższych celów dopełnić mogą w interesie cywilizacyi i dla bezpieczeństwa świata,— W r. 1850, Lenoir przeniósł się do Francyi szukając w niéj pomocy lekarskiéj. Ale nadaremnie : wyleczyć go nie zdołano. Niemniéj przecież, pomimo rany, która przez lat szesnaście, co kilka tygodni się otwierała, służyć Polsce nie przestawał; radził, zachęcał, do działania pobudzał, a wreszcie układał pisma nieustannie, w miarę zachodzących na Wschodzie, mniéj lub więcéj przyjaznych okoliczności. Gdy go siły już całkiem opuszczać zaczęły, z początkiem bieżącego lata wyjechał do kąpieli sabaudzkich. Ztamtąd już nie wrócił; ale umierając, zostawił przykład niezachwianéj dla sprawy wierności, charakteru nieugiętego przeciwnościami.

ŻYCIE PUBLICZNE W WIELKOPOLSCE.

Poznań, we wrześniu.

Wśród rozszarpanych ziem naszych, zajmuje W. Ks. Poznańskie, jedno z najważniejszych stanowisk : ze wszystkich najbardziéj zbliżone do Zachodu, najłatwiejsze ma z nim stosunki, najwięcéj posiada możności korzystania z jego duchowych i materyalnych bogactw, instytucyj i kierunków. Ale jest też w swém odosobnieniu od innych dzielnic Polski i przez napływ zbytecznych w środkowéj Europie sił, ludzi fachowych i kapitałów, najbardziéj narażone na utratę narodowych pierwiastków. Cała więc ważność, a zarazem trudność zadania polega na tém, ażeby Księstwo przyjmując z Zachodu dla siebie i dla innych prowincyj to, co jego zasób moralny może powiększyć, nie pozbawiało się swoich właściwości, swéj ziemi i mieszkańców. Zadanie arcy niebezpieczne, a nie po raz pierwszy przedstawia się ono na ziemi polskiéj, z całym swym przestraszającym rezultatem. Temu sześć wieków, w dość podobném jak dzisiaj rozćwiertowaniu, zalew germański ogarnął większą część naszéj ojczyzny, bo aż do połowy Małopolski; i jeżeli ta powódź została wówczas nietylko wstrzymaną,

ale odepchniętą, winniśmy to, jak wiadomo, usiłowaniom duchowieństwa i dzielnemu przez naród poparciu Łokietka. Dziś wprawdzie, to zniemczenie nie sięgnęło jeszcze tak daleko jak w wiekach XII i XIII, ale od podziału Polski rośnie wciąż, i coraz bardziej swym postępem grozi. Więc może nie od rzeczy będzie od czasu do czasu rozpatrzeć się, jakiemi siłami, teraz jeszcze, Księstwo rozporządza, a zwłaszcza też, jak je u siebie szykuje, i jakie stawia fortece wobec cisnącego się nieprzyjaciela. Zdając sobie sprawę z tego co się robi, łatwiej dojrzeć co bywa zaniedbaném. Wszakże w tym przeglądzie narodowych szeregów i punktów obronnych, nie można być dosyć ostrożnym : nietylko panujące lecz i podbite narody mają swe tajemnice stanu.

Zatrzymując na dziś uwagę w obrębie obywatelskich usiłowań, wyznać musimy odrazu, że jak dotąd, pozycyą Księstwa najlepiéj zrozumiał i najgorliwiéj jego zadanie wypełniał śp. Marcinkowski. Przez trzech czy czterech zacnych i możnych obywateli wytrwale popierany, otoczony popularnością, która postrachem była dla większości obojętnych lub niechętnych, on pierwszy rzucił podstawy pewnego ładu i uszykowania się prowincyi i wzniósł instytucye, będące dzisiaj niejako warowniami polskości. Towarzystwo Naukowej Pomocy jest jednćm z najgłębiéj pomyślanych dzieł jego. Ono dostarczyło nam wielu księży, nauczycieli elementarnych, realnych i gymnazyalnych, przeszło trzydziestu urzędników sądowych, około dwudziestu lekarzy, kilku budowniczych, agronomów i t. p., którzy pod względem naukowym tak są usposobieni, że Niemcy, wśród polskiéj ludności, współzawodniczyć z nimi nie mogą. Ono w przerzedzone i schorzałe obywatelstwa szeregi nowe zaniosło siły, które i im dodały czerstwości i nasze bogactwo intelektualne zwiększyły i żywioł polski wprowadziły tam, gdzie dotąd tylko Niemcy panowali wyłącznie. Wszakże, chociaż Towarzystwo, z wzorową

prowadzone gorliwością, rozkrzewiło się w prowincyi i w nią już, że tak powiem, wrosło; chociaż wydając rocznie ośm do dziewięciu tysięcy talarów, coraz większą liczbę naszych potrzeb publicznych ogarnia i stara się im zadość uczynić : to przecież na tak znaczną liczbę uczniów przezeń wspieranych, którzy się poświęcają naukom prawniczym, nie słychać wcale o kandydatach, coby się sposobili do urzędów administracyjnych. I nic dziwnego; bo młodzież uboższa, nie wiedząc czy na tém polu znajdzie utrzymanie, nie może go sobie obierać: lecz toż samo powinnoby, jak sądzę, być upomnieniem dla zamożniejszéj, która dość powszechnie słucha prawa na uniwersytetach i później w sądownictwie pracuje. Ci z większą swobodą próbowaćby mogli służby administracyjnéj, a otrzymawszy urząd, sprawować go sumiennie i z pożytkiem dla kraju. Nie przeczę, że na téj drodze ślizkie bywają przejścia i twarde zapory: ale co niebezpiecznym byćby mogło dla ludzi żyjących z swéj pracy, niebezpiecznćm być przestaje dla człowieka niezależnego pod względem majątkowym. Przecież i bez tego młodzież bogatsza, posłużywszy lat kilka przy sądach, służbę zazwyczaj porzuca i osiada na wsi; więc choćby miejsca dla siebie w karyerze admininistracynéj nie znalazła, lub je zmuszoną była opuścić, niebyśmy w najgorszym razie na tém nie stracili, gdyby się rozeszło między nami trochę administracyjnych wiadomości.

Drugiém, jak wiadomo, dziełem i drugą zasługą Marcinkowskiego jest Bazar, ognisko wyłącznie polskiego handlu i przemysłu w Poznańskiem. Aby ocenić ważność téj instytucyi i korzyści jakie nam przyniosła, dość choćby liczebnie zestawić polski ruch handlowy i industryjny przed lat dwudziestą a dzisiaj. Choć dotąd więcéj niż polskich, naliczyć można w Poznaniu, niemieckich lub żydowskich kupców i rzemieślników, za to największe i najzamożniejsze w naszém mieście składy mieszczą się w Bazarze i jemu głównie zawdzięczają swe

znaczenie. Dyrekcya téj instytucyi znajduje się w ręku ludzi sumiennych i przezornych; jednak pozwolę sobie zapytać, czyby nie było na czasie pomyśleć o ostatecznem jéj ubezpieczeniu. Bazar założony jest na akcye, lecz dotąd akcyonaryusze jego nie zawiązali formalnéj przed notaryuszem spółki i nie uregulowali sądownie tytułu posiadania. Gdyby jakimś nieprzewidzianym wypadkiem, pomimo zastrzżeenia aktu fundacyi, bazarowa akcya dostała się w ręce nieprzyjazne, mógłby i ten nawet zakład narażonym być na niemałe niebezpieczeństwo. Wyznaję, że nic podobnego w téj chwili nie grozi: akcyonaryusze są znani a dyrekcya ma pod swym zarządem znaczny kapitał zakładowy: ale cóż prostszego jak zwołać zebranie akcyonaryuszów, spisać akt notaryalny zawiązania spółki, i dopilnować, żeby albo wszyscy współwłaściciele podpis swój na nim położyli albo, jeźli nie zechcą, akcye swe dyrekcyi sprzedali. Choćby je przyszło kupować wyżéj nad wartość, kapitał zakładowy wystarczy. A wreszcie opinia publiczna w Poznańskiem dosyć jest silną, aby zmusić niechętnych, zbyt powolnych lub zbyt wymagających, do ustąpienia lub połączenia się z większością w sprawie, która wszystkich obchodzi. Niedawno temu, na zgromadzeniach powiatowych Towarzystwa Naukowéj Pomocy podnoszono pytanie, w jaki sposób najwłaściwiéj uczcić pamięć Marcinkowskiego. Nie będzież to jednym ze środków uczczenia, kiedy się jego dzieło ulubione utrwali?

Z Bazarem zrosłe jest poniekąd tak zwane Kółko Towarzyskie. Choć jego celem jest zabawa, ma ono polityczne znaczenie: otwarte dla Polaków z całego Księstwa, ale Niemcy nie mają doń przystępu; pod pewnym względem jest ono także wyobrazicielem i stróżem opinii publicznéj, bo ludzi splamionych do grona nie przyjmuje, albo przyjętych przez głosowanie wyrzuca. W salach Kółka znajdziesz każdéj chwili towarzystwo czysto polskie, w którém swobodnie można myśl swoję wyrazić;

znajdziesz tam nadto wszystkie pisma polskie i najnowsze broszury, które nas dotyczą. Prócz balów, odbywają się na pokojach Kółka prelekcye popularne, odczyty dramatów polskich albo na polskie przełożonych, koncerta Towarzystwa muzycznego, amatorskie śpiewy i przedstawienia sceniczne. Jednem słowem, instytucya ta dopomaga znamienicie do ożywienia i kojarzenia polskich elementów w Poznańskiem; życzyć by jednak należało, aby nic z swych urządzeń nie zmieniając, inny jeszcze cel, prócz codziennéj zabawy, przed sobą stawiła. Tym celem jest urządzenie teatru polskiego. Zarząd Kółka albo osobno powołany komitet, pomnażając owe koncerta i przedstawienia amatorskie, tak dobrze w stolicy jak na prowincyi, mógłby dochód z nich albo przynajmniéj część jego, przeznaczyć na fundusz zakładowy teatru. Mniemam, że skoroby tę myśl przyjęto i w ten czy w inny sposób w życie wprowadzono, znalazłyby się dobrowolne ofiary, któreby jéj wykonanie przyśpieszyły. Był to przecież zamiar powzięty przed piętnastoma laty, ale śmierć Marcinkowskiego przerwała rozpoczęte już kroki.

Jedną z najnowszych w Księstwie assocyacyj jest Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Zawiązane na wzór warszawskiego, w początkach 1857 r. skreśliło swą ustawę najoględniéj, ścieśniając działania w obrębie ściśle naukowym i dobitnie zeń wykluczając « przedmioty dotyczące spraw publicznych i rządów obecnych krajowych. » Założyło zaś sobie za cel « wydawanie rozpraw i pism » naukowych, zbieranie i ogłaszanie źródeł i materyałów » do dziejów piśmiennictwa i starożytności polskich, » tłumaczenie pisarzów wzorowych i przedruk ważniej» szych dzieł, mianowicie dawnych autorów polskich, » z przydaniem potrzebnych objaśnień i ułatwieniem » tańszego ich nabycia. » Mimo oględności tak wielkiéj, nie zdołało Towarzystwo pozyskać dla siebie choćby takiéj wyrozumiałości od rządu, jakiéj doznaje Towa-

rzystwo krakowskie; pierwszą trudność wrozwijaniu się swobodném napotkało w tém, że władze na zapytanie (może zbyteczne) nauczycieli i profesorów : w jakiém świetle uważanoby ich wstąpienie do Towarzystwa, odpowiedziały, że radzić im tego nie mogą, lubo żadne prawo temu się nie sprzeciwia. Tak więc odrazu pozbawioném zostało Towarzystwo najważniejszego żywiołu i jedynie stałéj podstawy, jaką dać mogą ci, co innem zatrudnieniem nie rozerwani, z powołania poświęcającą się nauce i w mieście stale przebywają. — Pomimo tych niespodzianych trudności, Towarzystwo potrafiło się urządzić i ustalić. Zebrało dość spory zapas różnych ciekawości archeologicznych, około cztery tysiące dzieł, siedm tysięcy talarów kapitału żelaznego; ogłosiło kilka dość ważnych książek i ogromny tom Roczników, który czeka rozesłania; ma tysiąc pięćset talarów dochodu, a co najważniejsze : odbywa co tydzień posiedzenia, na których toczą się dyskusye nad odczytanemi rozprawami. Może to po za Księstwem mniej jest widoczne, w Księstwie jednak Towarzystwo przyczyniło się istotnie do odnowienia i ożywienia ruchu umysłowego. Ale sądzę, że ruch ten byłby znaczniejszym i silniejby oddziaływał na prace Towarzystwa, gdyby udało się na wzór dawnego *Orędownika* i obok Roczników, utworzyć jakieś pismo tygodniowe, często-literackie, poświęcone krytyce, łatwéj i czystéj wymianie myśli i spostrzeżeń naukowych, a w końcu ścisłemu przestrzeganiu czystości języka. Pismo wasze pokilkakroć zanosiło prośby do Towarzystwa krakowskiego, aby się zajęło ustaleniem gramatyki i przepisów ortograficznych, ułożeniem słownika polskiego i t. p. : sprawiedliwe to były żądania i téż same ja dzisiaj do naszego Towarzystwa zanoszę. Straż ojczystéj mowy należy przedewszystkiem do obowiązków naukowéj korporacyi, a nigdy bardziéj jak dzisiaj straż ta nie była potrzebną. Pracę, którą p. Bentkowski wykonał na aktach i ogłoszeniach rządowych w Poznańskiém, należałoby powtórzyć obecnie na wielkiéj liczbie płodów piśmienniczych w całéj Polsce; bo nie jeden z piszących dzisiaj nie zdaje się domyślać, że do pisania potrzebna jest nauka gramatyki i stylu.

Pod niejednym względem stanęło W. Ks. Poznańskie na czele polskich ziem. Gdybym mógł daléj prowadzić ten przegląd miejscowych instytucyi, toby mi nietrudno było wykazać, że Wielkopolska może ze wszystkich prowincyj najwięcéj składa ofiar na ogólne potrzeby; że w niéj życie wewnętrzne głębiej wyrobione, pojęcia polityczne dojrzalsze, solidarność uczuć i opinij bardziéj utrwalona, a przy wzorowém duchowieństwie zgoda z włościanami zupełna. Nie masz tu, mogę rzec śmiało, obywatela, od któregoby jakiś grosz nie przechodził do jednego z zakładów publicznych; a jest wielu takich, którzy osobistym trudem i regularnym podatkiem do wszystkich instytucyj należą. Co większa, Księstwo wyrobiło sobie szacowny zastęp mężów, o których nam, przy naszym charakterze najtrudniéj; którzy z prostego tylko uczucia obowiązku sprawą publiczną bez przerwy się zajmują, a nie rwąc się na pierwsze miejsce, nie goniąc za tém, co błyszczy i imponuje, dopełniają swych zadań każdodziennych sumiennie i bez przechwałek. — A jednak na wielu rzeczach nam zbywa. Pomimo rozbudzonego ducha publicznego i dość łatwo kojarzących się sił, w téj walce, jaką z nami prowadzi żywioł niemiecki, coraz bardziéj tracimy z pod nóg podstawę. Wiele już w téj mierze powiedziano i nie łatwo byłoby dodać coś nowego. Każdemu wiadomo, że na tém właśnie polu materyalnego ubezpieczenia prowincyi, rząd stawia przeszkody najcięższe; pozwolę jednak sobie zapytać, czyśmy wszystko zrobili co było do zrobienia, a nawet, czyśmy wszystkiego probowali? Nie sądzę : instytucye nasze moralnéj raczéj dotykają sfery niż materyalnych potrzeb Księstwa. Dziwną jakąś, rzecby można, posiadamy nieufność do stowarzyszeń rolniczych, mimo że

przykład Królestwa i Galicyi każdego uderza. Zawiązane przed dwoma laty Towarzystwo poznańsko-szamotulskie nie odbyło dotąd ani jednego walnego zebrania; nie wiem nawet czyli dyrekcya na posiedzenia schodzi się regularnie. A trudno byłoby zaprzeczyć, że stowarzyszenia takie, lubo same przez się nie dźwigają obywateli, przez samę wymianę myśli, przez wzajemne poznawanie potrzeb, stosunków i zasobów, dopomagają wszystkim i nieraz nowe źródła bogactwa wskazują. Przecież i Domy zleceń, w Królestwie już tak upowszechnione, wyszły z Towarzystwa Rolniczego i dziełem są obywatelskiém. Pierwszy zbiór walny rolników przypomniałby także, jestem pewny, nie wiedzieć dla czego zarzuconą myśl szkoły agronomicznéj, dla któréj jeszcze za czasów Marcinkowskiego zebrano fundusz dość znaczny. Z tą sumą można by dzieło rozpocząć, a ożywione lub nowo utworzone towarzystwa agronomiczne jużby mu upaśćby nie dozwoliły. Dodać trzeba, że sama szkoła otworzyłaby dla siebie źródła dochodu. Wiadomo, że wzorowe gospodarstwo jednego z zamożniejszych obywateli Księstwa ściągało nieraz, i dotąd ściąga, młodych uczniów z odleglejszych nawet prowincyj: tém większego przeto napływu kandydatów spodziewać się należy do instytutu agronomicznego, któregoby celem było zarówno teoryczne jak praktyczne kształcenie.

Na tém kończę na dzisiaj. Może być, że w tym dorywczym przeglądzie naszych spraw domowych wiele szczegółów nie dość ściśle przedstawiłem, jak z drugiéj strony, że dokładniejsza znajomość wszystkich instytucyj nastręczyłaby nowe i trafniejsze środki działania. Ale też to właśnie, jest naszém nieszczęściem, że na rozmaite rozdzieleni poczty, każdy za osobnym walcząc murem, nie dosyć wiemy o sobie, nie dosyć się znosimy. Czyżby więc nie należało te wszystkie instytucye jednym, że tak powiem, pokryć dachem; czyżby to nie było na czasie wybrać najpoważniejszych z całéj prowincyj mężów, i

im poruczyć zwierzchni dozór tych luźnych prac, na nich włożyć kontrolę i odpowiedzialność przed obywatelstwem? Albo raczéj, zamiast wybierać, czyżby nie stosowniej było uznać tych, którzy i bez tego, zaufanie całego Księstwa posiadają, obrońcami są i wyobrazicielami naszych potrzeb nie tylko wobec rządu pruskiego ale całéj Europy. Nie potrzebuję wymieniać: bo każdy już odgadł, że mam na myśli Koło Sejmowe. Powiedzieliśmy o nim słusznie, że jedność jego jest naszą siłą i naszą chwałą: i wistocie, żadna instytucya nie oddała sprawie usług tak wysokich, żadna do nich nie była powołaną. Jemu więc z prawa należy zwierzchnictwo nad wszystkiemi pracami obywatelskiemi w prowincyi; i byłoby to z naszéj strony błędem, za który naród mógłby nas ciężko oskarżyć, gdybyśmy takie grono posiadając, nie umieli go poprzeć i poddać się jego kierunkowi. Za smutnych czasów rozstroju Polski, nie to było naszą niedolą, że nam zbywało na ludziach znamienitych, ale to, żeśmy z nich nie chcieli korzystać, pod ich przewodem nie potrafili się uszykować i tym sposobem pozyskać w nich narodową potęgę, którą tworzy tylko dobra wola i siła wszystkich.

PIŚMIENNICTWO MOSKIEWSKIE OD ŚMIERCI MIKOŁAJA.

Z nad granic Królestwa, 6 października.

Nie doszła jeszcze Rossya do owych czasów Trajanowych, w których, według wyrażenia Tacyta, « rzadką czasów szczęśliwością, wolno każdemu czuć co się podoba i wyrażać co się czuje. » Zaprzeczyć się jednak nie da, że od śmierci Mikołaja, rozwidniło się w Rossyi i dla Rossyan niebo, nie wiedzieć, czy na trwałą czy chwilową pogodę. Mowa i pismo rossyjskie rozkuwają się z niewoli; ożywiło się, a właściwie mówiąc, utworzyło się niepodległe dziennikarstwo : niemy przemówił. Lecz jak w słowach człowieka, który długo związane mając usta, myśli swoich uporządkować nie zdołał, tak i w literaturze rossyjskiéj widoczny jest teraz zamęt pojęć, w którym trudno się rozeznać obcym, a może i krajowym czytelnikom. Więcéj tam zachciewań, przywidzeń, instynktowego dążenia, niżeli woli, jasnego poglądu i wyrobionych zasad; w tych woluminowych poszytach i ogromnych arkuszach, które chciwie czytane, tysiącami rozchodzą się po cesarstwie, nie dojrzysz żadnego

systemu, jeden tylko wyjąwszy — systematycznego burzenia. Całe piśmiennictwo moskiewskie, od śmierci Mikołaja, nastrojone jest i coraz powszechniéj nastraja się na ton namiętnéj, ultra-liberalnéj opozycyi; a postęp, jaki na téj drodze zrobiła od lat kilku opinia, dość właściwie możnaby oznaczyć różnicą, która zachodzi między *Ruskim Wiestnikiem* a *Sowremiennikiem* i *Iskrą*. *Wiestnik*, w pierwszych latach panowania Alexandra wielkiéj używający wziętości, jest liberalno-konstytucyjny; dwa drugie, dziś najbardziéj popularne, są to organa, mniéj więcéj, socyalizmu. Za wojny wschodniéj, jeszcze dość chętnie słuchano patryotycznych wierszy i sztuk teatralnych; dziś żartują z nich wszyscy. Pisarze dawniéj wysoko cenieni, jak Kukolnik, Roztopczyna i Majkow, zabili się dzisiaj na sławie literackiéj, jedynie przez swe patryotyczne poezye. Nie dawno temu przygotowaną drugą, zupełną edycyą poezyj Nikitima, lecz aby książkę uratować, musiano z niéj wyrzucić wszystkie wiersze, tchnące czcią i uwielbieniem dla Rossyi. Ani w Moskwie, ani w Petersburgu, nie wolno teraz chwalić Rossyi, nie godzi się bronić rządu : opinia tego nie ścierpi i nie odważy się na to żaden pisarz, poeta czy dziennikarz z obawy, aby nie był poczytany za reakcyonistę lub zapłaconego przez rząd. Przeciwnie, im śmielsza napaść, im zjadliwsza krytyka, tém świetniejszémi laurami wieńczy publiczność ulubionego autora; a kto chce swych czytelników zapalić aż do entuzyazmu, ten niech tylko jednym wciąż przemawia głosem (byle nim władał po mistrzowsku) — głosem szyderstwa.

Między objawy dzisiejszego opozycyjnego nastroju, policzyćby może wypadało i owe Rossyan coraz częstsze odezwy za Polską. Rząd nie odstąpił od dawnego systemu względem Polaków, przystoi więc popularnym, lub szukającym popularności pisarzom ujmować się za nami. Przytém wiedzą Rossyanie, że Europa póty nie uwierzy w ich dążności cywilizacyjne, póki Polska

w obecném zostawać będzie pognębieniu, póki skargi nasze niepokoić będą zachodnią opinią. Więc aby zmazać z siebie cechę barbarzyństwa, oświadczają sami, że dla sławy i interesu Rossyi, jak dla dobra ludzkości potrzeba, aby zmienił się los *związanego* z Rossyą narodu i dawne krzywdy, ile dziś można, były naprawione. Wprawdzie podobnych żądań, krajowe piśmiennictwo dotąd jeszcze nie śmie wyrażać; ale za to w zagranicznych utworach liberalnych, w rozmowach podróżujących, nierzadko usłyszeć można najgorętszych sympatyj deklaracye. Ilu Rossyan spotkałem u wód, lub w zagranicznych stolicach, byleby to nie byli dygnitarze wysokim czynem lub gwiazdą naznaczeni, zawsze dowiadywałem się od nich najpochlebniejszych życzeń, nadziei, zapewnień : że wkrótce stan Polski ulegnie odmianie szczęśliwéj, że i dla nas po nocach niedoli, zadnieje swoboda. Lecz gdym usiłował wyrozumieć, w jaki to sposób nastąpi ta zmiana i co ma zwiastować tę jutrzenkę, gdym nalegał, aby wyraźniéj i ściśléj wypowiedzieli swe zdanie o środkach i warunkach naprawy, z niesmakiem przyjmowali pytania, wikłali się w odpowiedziach, ważyli i cedzili swe słowa, aż przy mocniejszym z méj strony nacisku, dochodzili stopniowo do zaprzeczenia temu, czego pierwéj tak gorąco zdawali się pragnąć. Lubią oni mówić o przyjaźni z Polakami, o naszém pobratymstwie, o wspólném szczęściu i swobodzie, i prawić o tém będą tak długo, póki im dotrwają słuchacze : lecz za pierwszém słowem o naszéj odrębności, o polskiem państwie niepodległem, wnet zerwą rozmowę. « Jak widzę, my się nigdy z sobą nie porozumiemy » rzekł do mnie pewien Moskal liberalny, gorący jak się zdawało Polaków przyjaciel, a wyrzekł to, kiedym mu wspomniał o Litwie a decyzyą o Rusi przekładałem zostawić wolnemu objawowi woli jéj własnych mieszkańców.

Po Hercenie, który jako socyalista mniéj dba o naro-

dowość i którego oświadczenia właśnie dlatego mogą być szczeremi; po kniaziu Dołgorukim, który dla konstytucyi w cesarstwie gotów odstąpić Królestwa Polskiego, wypada wspomnieć o trzecim między Rossyanami polonofilu, p. Iwanie Gołowinie. Jestto, jak wiadomo, wygnaniec rossyjski z czasów cesarza Mikołaja, autor kilku broszur francuzkich o Rossyi, i który świeżo ogłosił w Lipsku pismo p. t. *La Pologne et la Russie.* Nie myślę oceniać téj broszury pod względem stylu, formy, układu i systemu : trudno mówić o tém, czego niema; ale pozwolę sobie przytoczyć w całości jego dedykacyą napisaną do Cesarza Francuzów. Brzmi ona w tych słowach : « N. Panie! Jako kawaler orderu Ś. Andrzeja, musisz mieć na sercu pomyślność Rossyi. Już raz prowadziłeś z nią wojnę dla dobra wolności i cywilizacyi, lecz w mniemaniu, że system rządu rossyjskiego zmienić się powinien ze śmiercią poprzednika, zostawiłeś następnemu jéj władzcy dokonanie twego dzieła. Ale on, idąc w ślady raczéj ojca niżli stryja swego, nie zrzekł się tradycyjnéj zaborczości względem Turcyi ani pozbył się nienawiści ku Polsce. Od pewnego czasu nie słucha głosu twego, i już sam czujesz potrzebę zajęcia się losem Polski. Uczyń coś także dla Rossyi, wstrzymującéj postęp Europy, siejącéj niepokój, zaciętéj w swych zdobywczych zamiarach, ukrytych tak niezręcznie pozorem wewnętrznych reform, których spełnienia może nigdy się nie doczekamy. Ufam, N. Panie, że w swéj polityce masz na pamięci szczęście narodów i polecam ci kraj mój, dla którego tak mało czynią właśni jego monarchowie. » — Tak pisze dzisiaj jeden z magnatów rossyjskich. Gdyby p. Gołowin większéj u swoich używał powagi, dedykacya ta byłaby nie małego znaczenia. Akt to oskarżenie własnego rządu przed obcym, świadczy wiele o uczuciach humanitarnych autora ale bardzo mało o jego pojęciu godności narodowéj, i przypomina czasy rozkładającéj się Polski, kiedy pierwsi w kraju urzędnicy, od woli kró-

lewskiéj i stanów apelowali do wyższych instancyj — w Berlinie lub w Petersburgu. Dedykacya ta wystarczyć także może do ocenienia przedmowy jakkolwiek równa w niéj ku nam przebija życzliwość. « Nie wiem, pisze autor, czyli Ten, który rządzi losami narodów tak dobrze jak ludzi, chciał doświadczyć Polski długą niedolą, aby jéj serce do *szczęścia* usposobić; niewiem czyli dopuszczając dzieła wynarodowienia chciał ją do braterstwa z Rossyą doprowadzić, ale jestem przekonany *że łagodnością można z Polakami dokazać wszystkiego.* » W tych słowach autor zdaje się mniemać, że gdyby rząd rossyjski inaczéj z nami postępował, gdyby w miejsce despotyzmu trzymał się był zasad liberalnych, tobyśmy się wyrzekli nawet nadziei niepodległego bytu, i naprawy narodowéj, podobne jak on z Paryża, wyglądali z Petersburga !

Na wzór kilku innych publicystów rossyjskich, autor obszernie i z wielką indygnacyą opowiada historą rozbioru Polski, odpiera czynione nam zarzuty, wyrzeka że nietylko rząd ale znaczna część narodu rossyjskiego z niesprawiedliwém uprzedzeniem sądzi Polaków, i powtarza zdania dwóch znanych pisarzy, z których jeden twierdził « że Polska zapowietrza Rossyą» a drugi «że to jest bomba do jej nogi przywiązana, która kiedyś musi pęknąć koniecznie. » Nie mniéj gorzkie, jak książe Dołgoruki, mówi on prawdy swemu narodowi; przepowiada nawet blizki upadek Rossyi, jeżeli system rządowy się nie zmieni. « Państwo (są słowa jego) w którém przekupstwo jest regułą, a uczciwość wyjątkiem, możeż się długo utrzymać? Otoż w Rossyi wszyscy kradną : Dyogenes z latarnią w ręku jednegoby tylko znalazł Kawelina, co nie jest złodziejem. Chytrość, podstęp, kłamstwo i zdrada : oto są elementa rządu rossyjskiego. » O stanie religijnym kraju równie surowo wyraża się autor : oskarża duchowieństwo prawosławne o ciemnotę, przedajność, opilstwo; i dodaje « że Moskwa przejąwszy

wiarę grecką spruchniałego państwa wschodniego, nie zaszczepiła w sobie życiodajnego zarodu ale chorobliwą zarazę. » — A jednak, chociaż tak smutny horoskop stawia autor dla swego narodu, chociaż przekonany jest, że posiadanie Polski źródłem jest tylko demoralizacyi dla Rossyi : to przecież jako ciężki błąd wymawia Alexandrowi II, że postępowaniem swojém naraził Rossyą na utratę Polski. « Rossya mogła była *zapobiedz* (pisze autor) podniesieniu sprawy polskiéj, osadzając na tronie *warszawskim* jednego z swych książąt i dając Królestwu konstytucyą Alexandra I, zmienioną według wymagań czasu i naprawioną tam, gdzie w praktyce okazała się niedostateczną..... Co do nas (mówi on w końcu) zawsześmy żądali, aby zmazaną została ta krwawa karta dziejów, która rozerwanie przynosi między Rossyą a Polską. Ale zanadto wiele jest Polaków oddychających mniéj lub więcéj słuszną żądzą zemsty. Chcą oni aby orzeł biały kąpał swe skrzydła w dwóch morzach; jeżeli orzeł czarny w zgodzie z nim i przy nim zostawać może, nieby sprawiedliwszego nie było. Ale na oddanie Kijowa, kolebkę wiary ruskiéj, nigdy Rossyanie nie zezwolą; tym zaś którzy twierdzą, że Rusin i Rossyanin różnego są pochodzenia, powiemy że dziwnie wykrzywiają historyą i że wolimy wierzyć bajecznemu podaniu o trzech braciach Lechu, Czechu i Rusie... »

Na tém autor zamyka rzecz swoję. Przyznaję, że z bezstronniejszym od innych poglądem i z większą życzliwością wyraża się o sprawie polskiéj i za nami się ujmuje. Ale i jemu stanęła na przeszkodzie, czy bojaźń opinii, czy też brak szczerości, tak, że z ogólnikowych często sprzecznych twierdzeń, z mglistych zasłon, poza któremi myśl swoję ukrywa, nie łatwo odgadnąć, do czego zmierza wistocie i jaki cel jego broszury. Owa ostrożność, z jaką p. Gołowin, podobnie jak jego poprzednicy, wyraża się o naszém życiu odrębném, ów żal, którego doznaje z przewidywanéj utraty naszych ziem, owe wmawianie

fałszów historycznych i etnograficznych, że Ruś a Rossya to jedno: każą się domyślać, że kwestya polska dla opinii rossyjskiéj jeszcze jest zawczesną, że publicyści rossyjscy, ani chęci, ani możności dziś jeszcze nie mają, aby się nad nią zastaniawiać spokojnie i bezstronnie. Wszakże, kiedy im tak trudno wypowiedzieć swe zdanie, my żadnéj nie znajdziemy trudności. Powiem przeto, że nie przystoi domagać się miłości od zakutego w kajdany; że nim o zgodzie mówić będziemy, wiele wprzód zawad usunąć potrzeba, a przedewszystkiem rozciąć węzły przymusowe, które jątrzą i wzmagają nienawiść. Dopóki to nie nastąpi, a przynajmniéj dopóki nie znajdą się publicyści rossyjscy, co niepodległość Polski przyjmą za swój program polityczny, dopóty ich przyjaźń czy nieprzyjaźń będzie nam nieledwie obojętną, na przyszłość obu narodów zgoła nie wpłynie, a te odezwy na pół życzliwe a na pół podstępne mało obudzą ufności, jeśli nie powiększą rozjątrzenia!... Szczęśliwi, o prawdziwie i nad wyraz szczęśliwi będziemy, jeśli zdołamy przyjaźń zawrzeć z *sprawiedliwymi!* Ale liberalni Rossyanie takiego szczęścia jeszcze nam dotąd *nie* gotują...

NIEDOSZŁY BAL W WILNIE.

---

13 października.

Cesarz rossyjski *odmówił* balu, który dla niego w imieniu obywatelstwa litewskiego, urządzał jenerał gubernator Nazimow: tak nam donosi korespondencya, którą poniżéj umieszczamy. Z radością, z uczuciem narodowego zadowolnienia, zapisujemy ten objaw obywatelskiéj godności. Z radością, z uczuciem narodowéj dumy, poznajemy tu naszę dawną, tę naszę drogą Litwę, niezłomną na wieki w téj wierze dla Polski, którą razem z wiarą Chrystusową ślubowała przed wiekami? Nie pomogły namowy odstępców, nie pomogły groźby ani kłamstwa urzędników. Prawda w jasném okazała się świetle; ani jéj ukryć przed cesarzem nie zdołano, ani car jéj przed światem dłużéj ukrywać nie potrafi. Obywatelstwo Litwy mogło, raz, przy rozpoczynającém się panowaniu, wyciągnąć do młodego cara dłoń, z odwołaniem się do jego szlachetności, do sprawiedliwości, do przezorności wreszcie; mogło raz, pomimo nieprzestannéj żałoby, przybrać świąteczną jeśli nie radośną postać i uganiającéj się za uciechą młodéj panujących parze dozwolić w starym grodzie Litwy jednego dnia zabawy.

Ale ponawiać nie mogło objawów kłamliwych, nie mogło — zwłaszcza pomnąc, że z obietnic przez cara głoszonych, żadna skutku nie przyniosła, ani żadna prośba obywateli nie została wysłuchaną. Daremnie, pełniąc swój obowiązek, kilka miesięcy strawił p. Nazimow na prośbach i ostrzeżeniach. Daremnie, najświętszy pomijając obowiązek, kilku niegodnych usiłowało własném nadskakiwaniem pociągnąć za sobą wszystkich, albo choć oziębłość ich pokryć. Bierność niewzruszoną zachowała Litwa; ścisłém ale lodowatém na rozkazy władzy posłuszeństwem pokazała to, czego żaden głośny objaw nie dowiodłby jawniéj. Płacąc nałożone na nich tak zwane ofiary, na przyjęcie i ubawienie w przejeździe cara, nie ruszali się obywatele z okolic swoich, albo chronili się w głąb' kraju lub za granicę, byle od téj *zabawy* uciec; byle nie patrzeć na wroga, a nadewszystko nie dopuścić pozoru nawet, żeśmy o krzywdach naszych zapomnieli, z przemocą się pogodzili, przestali od Boga i ludzi wyglądać sprawiedliwości, a stawiać dowody, że na nią zasługujemy. Cześć za to i wdzięczność, braci naszéj Litwie!

Teraz z kolei pokaże się Warszawa. Pokaże, jak się czuje wobec trzech mocarzy, na których zjazd blizki w stolicy Polski świat cały ma dziś oczy zwrócone. Zaprawdę, czasy są takie, że ktokolwiek ma oczy, kto ma zmysł otwarty, ten nad sobą pilnie i surowo się zastanawia. Europa jakby w przetworzeniu. Dla wszystkich nadchodzi godzina obrachunku: dla narodów i dla królów, dla tych co długo uciskali i dla uciśnionych. Ale jedni jak drudzy tego tylko wyglądać dla siebie mogą, czego warci, na co zasługują. Nie pomoże u rok praw dawnych; stanowić będzie wierność i dzielność obstających przy prawie; nie pomoże wykręt, ani kłamstwem zdobyta łaska niczyja; prawda i zacność, prawda i moc jaką ona daje, to jedno przemoże. Mamy nadzieję, że Warszawa pokaże tym razem, iż godna jest być stolicą naszą. Niejeden tylko car ma stanąć w jéj murach. Trzéj wspólnicy dokonanéj na Polsce zbrodni, poraz pierwszy w niéj się zjeżdżają. Kiedy zmazania téj wiekowéj zbrodni świat cały coraz głośniéj się dopomina, oni chcąc zagłuszyć sumienia i niebezpieczeństwu zapobiedz, nie gdzieś na ustroniu, niepostrzeżeni, ale jakby fatalną pędzeni koniecznością, w samejże starodawnéj stolicy kraju naszego naradzać się mają, jakiemi środkami, męczonéj od wieku Polski domęczyć i dobić. A wszakże jeśli cobądź odżywić może ohydę, jaką sprawia na każdym zdrowym umyśle samo wspomnienie o rozbiorze Polski, to właśnie widok nieustającéj między sprawcami tego rozbioru zmowy i nowych ich wysileń na dokonanie oburzającéj wszystkie sumienia zagłady narodu, narodu równie jak oni stałego, ale w przechowywaniu swéj wiary i nadziei.

Oby tylko jak zawsze, przy swéj wierze i nadziei, naród ten umiał stać zawsze i przy swojéj godności; oby przedewszystkiém przy niéj, w chwili tak uroczystéj, umiała stać Warszawa!...

Oto jest wspomniana powyżéj korespondencya:

Od miesiąca miasto nasze przybrało niezwyczajną postać. Dnia 16 z. m. pierwsza lokomotywa przyszła z Dynaburga. P. Eustachy Tyszkiewicz miał do niéj przemowę archeologiczną, a przeglądzista *Kuryera Wileńskiego*, p. Przybylski, w tygodniowém sprawozdaniu doniósł solennie o zaręczynach Wilna z Europą, chociaż wszystkim dobrze wiadomo, że Wilno od wieków do Europy należy i jeźli kiedyś z nią ślub zawarło, to pewno nie przez Moskwę! — Obecnie dość często pociągi przychodzą z Dynaburga, lecz dotąd nieprzystępne dla publiczności, która nie prędzéj jak na rok przyszły będzie z nich mogła korzystać. Ktoby sądził dziś o Wilnie a

zwłaszcza o mieszkańcach jego z powierzchowności tylko, tenby mógł mniemać, że to jest osada wojenna. Taka tu ilość mundurów różnobarwnych : ułanów, huzarów, dragonów, artyleryj, miga się po ulicach i miejscach publicznych, że przy nich zwykli mieszkańcy znikają jak cień. A wszystko w oczekiwaniu na przybycie carskie, którego termin po kilkakrotnie zmieniany; jedna po drugiéj depesze coraz inny dzień naznaczają : naprzód 6, późniéj 27 września, potém 2 i 7 października, aż wreszcie ostatni kuryer zapowiedział N. Pana na 12 t. m. — Bal, o którym kilkakrotnie mówiliście, jakoś się nie złożył, bo wszystkich dam, które się zapisały było ledwo dwadzieścia kilka. Gospodyniami balu miały być : z gubernii *wileńskiéj :* pani Chomińska żona gubernatora kowieńskiego; pani Emilowa Umiastowska żona marszałka; z gubernii *kowieńskiéj :* pani Choiseul-Gouffier i pani Platerowa z domu de Raës; z gubernii *grodzieńskiéj :* panie Sapieżyna z Paców i Slizieniowa Alfredowa z Tyszkiewiczów. Wszystkie te damy od tygodnia bawią w Wilnie, czekając aby w większym, niż dotąd, komplecie stawić się przed N. Panem, ale napróżno. Aż nam teraz oświadczają, że Cesarz balu nie przyjmuje, że na cztery godziny tylko przyjeżdża do Wilna dla przeglądu wojska! Ztąd domysły że Cesarz na nas niełaskaw, i już jenerał Nazimow w najgorszym humorze; grozi że Wilno porzuci i że nam przyślą znowu jakiegoś Bibikowa. Tak więc *fiasco* zupełne : wszyscy entreprenery powarzeni; a najnieszczęśliwszy z nich książe Ogiński w rozpaczy, bo czterdzieści cztery tysiące rubli wydał i Cesarz nawet się o tém nie dowie!... Ale za to imię księcia pójdzie w przysłowie, bo niedługo zaczną powtarzać w całéj Litwie i Koronie : *wyszedł jak Ogiński na balu.*

ZJAZD WARSZAWSKI.

I.

20 października.

Kiedy rok temu niespełna Europa w gorączkowém ale ufném oczekiwaniu wyglądała wielkiego kongresu, któremu różni różne wskazać mogli cele i środki, ale o którym wszyscy myśleli, że mniéj więcéj nowy porządek rzeczy wprowadzi i odmiennemu układowi sojuszów drogę utoruje : niełatwo było przewidzieć wówczas, że w zakłóconym na chwilę systemie ciał europejskich tak prędko znów zaważy dawne prawo ciążenia, tak skoro się znów połączą rozłączone na pozór interesa i zapowiedziane zgoda świata odsłoni się wkońcu znaną « dwóch bójką wiar. » Wiele owszem objawów zwiastowało pewne zwichnienie téj igły magnesowéj koło któréj biegunów zkupiały się przeciwne dążenia XIX stulecia; wiele objawów zwiastowało rozpad tego przymierza trzech państw północy, które dotąd było kamieniem węgielnym duszącéj świata budowy. Rossya, ostatnim bojem zmęczona, zdawała się z konieczności robić cnotę

i wchodząc na drogę wewnętrznych, zachodnich reform, zbliżać się tém samém do Zachodu w jego widokach i aspiracyach, nowych szukać torów i o nowe zaczepiać związki, a w sprawie wyzwolenia włoskiego zajęła naraz stanowisko tak niezgodne z jéj tradycyą jak w gruncie i z jéj naturą, przedewszystkiém zaś sprzeczne z interesem i znaczeniem dawnego jéj sprzymierzeńca habsburskiego. Z drugiéj strony, widziano i Prusy, po długiém wahaniu się między próbami romantycznéj a wzorami konstytucyjnéj monarchii, wchodzące stanowczo na drogę parlamentarnych rządów, które je od Rossyi coraz bardziéj oddalać musiały; a w łonie Rzeszy niemieckiéj polityka ks. Regenta dążyła do celów, równie niepożądanych dla Petersburga jak zatrważających dla dworu wiedeńskiego. Wkońcu nawet i Austrya, zawiedziona na swéj biórokratycznéj jedności, czas niejaki łudziła drugich, a może i siebie, tém uwzględnieniem narodowego ziem swoich rozwoju, które jątrzyć tylko mogło sąsiada, o innéj marzącego przyszłości dla Wschodu i Słowiańszczyzny. Trzy te państwa północy zmieniały swą naturę a przynajmniéj jéj pozór, i w następstwie tych przemian przybierały kierunki często sobie przeciwne. Gdy dawniéj w każdéj i najdrobniejszéj nawet kwestyi, też same zawsze hasła odzywały się z Petersburga, Berlina i Wiednia, a kroki były zawsze tak zgodne jak zazwyczaj jednobrzmiące i noty: to od wojny wschodniéj mianowicie zachwiała się ta jedność, i chociaż wielkiego znaczenia wypadki przechodziły odtąd przez Europę, trzéj mocarze północy nie okazali ani wspólności w działaniu, ani zgodności w opiniach : nawet nie zbywało wiele, aby w tym lub owym razie zbrojnie przeciw sobie nie wystąpili. Rozkładały się więc a przynajmniéj rozsuwały złomy dawnego gmachu; droga do nowego układu zdała się otwartą — myślano nawet że tych dróg jest wiele, że będzie można w nich przebierać stosownie do woli i chwili. Była chwila, w któréj pochlebiano sobie, że Rossya da się nagiąć do wspólnego działania z korzyścią dla Francyi, bez szkody dla ludzkości; była znowu chwila, w któréj mniemano, że Austrya usłucha namów Zachodu i pomnoży jego szeregi; była nakoniec i chwila, w któréj nawet o Prusiech myślano, że staną się pomocą w przemianie karty europejskiéj...

Ale dość było jednego imienia, dość jednego wspomnienia, aby rozszczepiające się interesa i rozchodzące się w różne kierunki gabinety północy znów przywołać do porządku — do porządku dawnego. Kiedy z jednéj strony Francya wyrzekła to wielkie słowo narodowości, które tyle w sobie żywotów obejmuje; kiedy z drugiéj, nad Wartą, Wisłą i Dnieprem poważne objawy, trwałe rządne wysilenia dowiodły ile to w sobie jeszcze żywotności zawiera pewien na zagładę skazany a wielki naród : dość było owego potężnego głosu na ziemi i tego cichego głosu z pod ziemi, dość było téj myśli o Polsce lub samego tylko o niéj domysłu, aby trzéj mocarze zapomnieli naraz o swoich niechęciach i swoich urazach, odłożyli na późniéj i dalsze nadzieje i dalsze współzawodnictwa i ściśnionym stanęli szeregiem nad zawartym Polski grobem. Petersburg, Wiedeń i Berlin, od lat tylu tak z sobą poróżnione, odnalazły się naraz jednemi — w Warszawie.

Za dawnych czasów Rzymu, gdy różni wiekiem, stanem i zamiarami ludzie przeciwko publicznemu bezpieczeństwu knowali sprzysiężenie, krew do pucharów mięszana była zakładem, że się występny nie rozerwie sojusz. Bo też wspólność zbrodni silniéj nad wszystko wiąże wspólników i przyszłość obowiązuje; i gdy niedawno wniesiony w Peterburgu carski toast na zdrowie austryackiego brata objawił Europie odnowienie świętego przymierza, na dnie kielicha była dawna a jeszcze nie spiekła polska krew...

II

Niejeden zapewnie powód do wspólnéj obawy i obrady znajdują mocarze północy w obecném położeniu Europy. Żale za Lombardyą, trwogi o Ren, zwichniona wreszcie stałego lądu równowaga, któréj skutków ani wymierzyć ani nawet przewidzieć nie można : pobudki to dla nich dość ważne do ostrożności i wzajemnego porozumienia się. A wszakże, nie sama tylko nasza własna czujność czy drażliwość, ale i zimniejszy bo wielostronniejszy sąd Zachodu powszechnie to uznaje i głosi, że w Polskę teraz głównie godzą zamiary trzech rządów, z bojaźni o Polskę nanowo zgodzonych. Od zamachów na żywot Polski poczynała się już nieraz koalicya przeciw Zachodowi, a takowy prolog zamierzonéj wielkiéj akcyi bywał téż często i epilogiem dzieła : ugoda pilnicka nie odniosła spodziewanych zysków nad Sekwaną, ale nad Wisłą znalazła hojną swych trudów nagrodę.

Gdyby zresztą potrzeba było jeszcze na to dowodów, że obudzone życie Polski ma być przedmiotem, a jego stłumienie jednym z celów zmowy warszawskiéj : tobyśmy te dowody znaleźli w samych już przez rządy rozsiewanych pogłoskach o anarchicznéj u nas propagandzie. Od kilku miesięcy dzienniki niemieckie z nieustanną natarczywością donosiły, « że cały nasz naród uwikłany nanowo w jednę wielką sieć konspiracyjną; że tworzące i rozwijające się wśród niego przedsiębiorstwa i spółki są tylko nową i na razie obmyślaną tych konspiracyj formą; że rewolucyjna agitacya odbiera swe instrukcye z nad Sekwany i ztamtąd oczekuje hasła do niebawnego wybuchu. » Doniesienia te miały widocznie na celu zmylić opinią Europy i oswoić ją z myślą środków represyjnych; przeznaczone były przytłumić na Zachodzie współczucie i poszanowanie dla prac poważnych i organicznych, a

obudzić w nim obawę przed nierozmyślnym rozruchem, odrazę do rewolucyjnego widma : fałszywe pogłoski miały zagłuszyć głos prawdy. Nie pierwszy to raz wrogi naszego narodu rzucają nań potwarz anarchii, właśnie w chwili gdy z mozołem a ofiarą z niéj się dźwiga do ładu i składu w myślach i czynach. Jakóbinami zwała niegdyś ugoda pilnicka twórców i obrońców monarchicznéj konstytucyi 3go Maja; burzycielami i konspiratorami zowie dzisiaj ugoda warszawska tych, co społeczną przedewszystkiem chcą u nas ratować budowę.

Nie, działania konspiracyjne nie są już teraz przedmiotem zajęć narodu ani też wchodzą w rachubę jego nadziei. Jak każda, tak téż i w Polskę wiara miała swoję epokę katakómb, podziemnego krzewienia się, cichego męczeństwa i tych strasznych cierpień, o których świat nie wie, może i wiedzieć nie powinien, a które Bóg oblicza. Ale z tych podziemiów sprawa naszego narodu już wyszła, wyjść musiała na jaw i na słońce. Dziś, nie tajnych adeptów nam trzeba ale jawnych i głośnych wyznawców; nie o szczupłe, przysięgami związane szeregi nam idzie, ale o cały gmin Boży jednym duchem ożywiony, wspólną drogą do wspónego zdążający celu. Nie w drobnych kołach zamykać się, ale w poważny szyk narodowy jawnie gromadzić się przystoi; nie kryjomych, spiskowych naczelników słuchać i popierać, ale tych pracom obywatelskim przodkujących mężów, którzy wszystkim są widoczni, których wszyscy uznają i z którymi wróg nawet rachować się musi.

W narodzie, co pewnéj politycznéj dostąpił dojrzałości, co zna wartość obywatelskiéj odwagi i po swych synach żądać jéj umie, co pewny siebie, czekać potrafi skoro czeka z ztrudem : w narodzie takim konspiracya nie siłyby organizowała, ale tylko złudzenia; zamiast powiększać, ścieśniałaby liczbę i zakres prac ważnych i jedynie skutecznych; zamiast przyspieszać, utrudniałaby wszelką naprawę i jednejby dała zniszczyć chwili prace

wielu pokoleń. A gdy nadto i duch czasu obecnie przynosi uznanie praw długo gnębionych, silnych do odpowiedzialności pociąga, a słabych do jawności wzywa, do odwagi i przezornego spokoju : byłoby zaprawdę szaleństwem, owoc wschodzący, dla prędszego dojrzewania, chcieć znów zakopać w ziemię i podziemia; byłoby szaleństwem rzucać się w toń, co nas tylekroć zdradziła, kiedy fala wypadków łódź ku nam przybliża.

To wszystko wie dobrze nasz naród. A gdyby nawet bez nauki dla niego było przeszło krwawe i straszne doświadczenie lat tylu, gdyby głos wieku żadném dla niego nie był dzisiaj upomnieniem : jużby w życzeniach swych wrogów znalazł wskazówkę tego, czego unikać powinien, i pokrzepienia sił swoich nie szukał w tym odurzającym napoju, który mu w jego oczach zaprawia Niemiec i Moskal. Darmoż p. Baerensprung, jak pająk z własnych wnętrzności snuł tę tkankę spiskową, w którą naród polski chciał usidlić, i dla osiągnienia szatańskiego celu styrał swe lata, swą służbę i powagę rządu? Darmoż i w Galicyi, a może i daléj, jak pewne dochodzą nas wieści, tę samę grę podłą rozpoczynają obecnie austryaccy i moskiewscy urzędnicy? Darmoż wreszcie płatne od różnych konsulatów w dziennikach niemieckich skrybenty rozsiewają wieści kłamliwe, z których nietylko Europa, ale i Polska się dowiaduje, że w Polsce są konspiracye?...

Nie, naród polski nie spiskuje. Z ufnością w niebo i spokojem na ziemi sposobi się on do bytu rządnego, rozwijając i szykując swe zasoby moralne i materyalne. Konspiracya stała się teraz bronią wrogów Polski przeciwko Polsce. W niższych sferach policyi, konspirują p. Baerensprung i jemu podobni; w wyższych sferach dyplomacyi, konspirują trzéj monarchowie na zjeździe Warszawskim.

III

Jeszcze sprzymierzeńcy nie zdążyli na miejsce wyznaczone do obrad i jeszcze złowrogie nie zaczęły się rokowania : a już rozchodzą się wieści o zaostrzonéj w niektórych prowincyach czujności władz, o srozszym rygorze policyi, o nagłych aresztowaniach. Burza jeszcze nie nadciągnęła, a już zdaleka dają się słyszeć jéj gromy... Żal serce ściska na myśl gotujących się cierpień; a wszakże mamy powody a nawet odwagę powiedzieć, że je wolimy od kłamanych umizgów! Wolimy je od tych hucznych i sztucznych maskarad, w których ni polskiéj twarzy, ni polskiego nie mogłeś rozpoznać głosu. Wolimy je od tych lekkomyślnych czy wymuszonych okrzyków radości, któremi Imperatorów na ziemi polskiéj witano i które przed Europą z tryumfem rozgłaszane, dawały jéj myśleć, żeśmy i praw naszych niepomni i naszéj godności. Dziś napełniają się więzienia, to prawda : ale przynajmniéj wypróżniają się sale balowe; a kiedy między dwoma nieszczęściami wybierać przychodzi niestety, to nawet dla braci naszych przekładamy męczarnią nad dobrowolne spodlenie!

I nietylko te przedwstępne cierpienia z męzką powinniśmy przyjąć duszą : musimy zawczasu niestrwożoném okiem zmierzyć cały szereg następstw, jaki za sobą prowadzi obecny zjazd Warszawski. Musimy sobie otwarcie powiedzieć, że nadchodzą czasy ucisku, srogiego może prześladowania, że przedewszystkiém nadchodzi czas próby. Utrudnione okoliczności powiększą wtedy jeszcze zasługę tych, u których hart dorówna rozwadze i którzy w pracy i szeregu wytrwają; ale zarazem odsłonią one szczerość niejednych zapewnień i wylewów, doświadczą wierności niejednego zobowiązania i ukażą, czy nie dlatego tylko ten lub ów poczet tak licznego zebrał ocho-

tnika, że był dalekim od pocisków. Biada, gdyby miłość nasza nie była zdolną do ofiar a nasza wiara nie umiała dać świadectwa o sobie; gdybyśmy zawieszeni w wyborze między powinnością obywatelską a wygodą, miły spokój przenieśli nad spokój sumienia, i gdyby ostatniém słowem naszego szykowania się i strojenia miała być sromotna rozsypka! Słuszna to bezwątpienia, nie od razu uznać a nawet surowo mierzyć i oceniać niejedno młodzieńcze uniesienie, co nie waży, nie liczy, trudności nie przewiduje, nawet znać ich nie chce, owszem z pewnością przegranéj wyzywa do walki na polu najmniéj obronném i w chwili najmniéj stosownéj; a własne narażanie się nie usprawiedliwia jeszcze bynajmniéj narażenia narodu. Ale jest męczeństwo prawdziwe, z którego Bogu zawsze chwała, ludziom zawsze pożytek: męczeństwo tych, co hardo i twardo umieją stać przy swojém, we własnéj rodzinie bronić ojczyzny, we własném prawie bronić praw wszystkim służących, praw Bożych i ludzkich, i prędzéj z mienia się wyzuć i z życia niż z tego, w czém zawarta dusza narodu, jego godność i sumienie. Takie męczeństwo uświęca i zbawia ludzi, zbawia i uwiecznia narody.

Ale nie dość będzie w twierdzy duchowéj tylko się trzymać odpornie. Mimo powiększonéj drażliwości a nawet srogości rządów, wbrew zpotężonym pokusom i strachom, wypadnie jeszcze z rozwagą a śmiało postępować naprzód na drodze obywatelskich działań, wnikać coraz bardziéj we wszystkie potrzeby prowincyj i o ich zaspokojenie co raz głośniéj się upominać. Wypadnie żądania swoje nieraz ponowić, gdzie można i kiedy można zanieść swą skargę, i na legalnych zebraniach, w adresach, prośbach czy reklamacyach, budzić uwagę publiczną i świadczyć prawu niezgasłemu. Wypadnie także, a może przedewszystkiém sobie i drugim przypominać, że są traktaty, które acz bez nas uchwalone, nie jedne nam korzyść warują, na ciemięzców wkładają

obowiązek uszanowania naszego życia narodowego, i sieroty nie ze wszystkiego jeszcze odarte pod opiekę Europy oddają. I nikogo to zapewne nie zdziwi ani nie zatrzyma, że te wielorakie głosy, pisma czy zachody, nigdy nam żadnéj od wrogów życzliwszéj nie przyniosą odpowiedzi, owszem same tylko odmowy a może i prześladowania. Mimo wszystkich niepowodzeń, niedaremne to będą trudy i cierpienia. Każde odrzucenie żądań jak najskromniejszych przypominać będzie Europie szereg praw wyższych od tak dawna nam zaprzeczanych; każdy nowy ucisk odświeży pamięć i zgrozę gwałtów stuletnich; a za każdém przez nieprzyjaciół lekceważeniem ludzkiego traktatu, zaważy coraz silniéj w sumieniu świata prawo od Boga nam dane — do życia niepodległego.

Dlatego, chociaż nie podobna nam bez dreszczu pomyśleć o próbach i bolach, na jakie bracia nasi może niebawem będą narażeni, nie wahamy się po raz wtóry powiedzieć, że zjazd Warszawski to postęp dla naszéj sprawy: doświadcza on siły polskiego ducha a zarazem i czujność budzi Europy dla myśli długo uśpionéj. Ktokolwiek poznał bliżéj interesa polityczne Zachodu a zwłaszcza jego stosunki międzynarodowe, ten wie, że pomimo przezornego milczenia a nawet udawanéj niepamięci o Polsce, myśl o niéj żyła wciąż w tajni gabinetów i w głębi sumienia mężów stanu. Wszyscy wiedzieli o tym narodzie, moglibyśmy rzec, wszyscy się oń skrycie a pilnie wywiadywali: ale nikt nie śmiał wymówić tego słowa *Polska*, bo odrazu by świat na dwa podzieliło obozy. Dzisiaj sami mocarze północy w osobny szykują się obóz, a jakaś fatalność zbrodni sprowadza ich na miejsce, które samo przez się głosi o Polsce: i oto słowo już wyrzeczone albo blizkie wyrzeczenia! Sami zmuszają Zachód, a zwłaszcza Francyą, do wglądania przez kraty naszego więzienia, do pytania się: ile w tym narodzie jest męzkiéj dzielności i czy kiedyś potrafi być sprzymie-

rzeńcem silnym i rządnym?... Ten wzgląd, jeśli słuszną może być podnietą dla naszych nadziei, tém większym powinien stać się bodźcem dla naszéj wierności, rozwagi i hartu.

REFORMY AUSTRYACKIE.

I

27 października.

Po długiem wahaniu się i w ostatniéj, rzec można, godzinie, Austrya dla ludów jéj berłu uległych ogłosiła konstytucyą i pewien rodzaj autonomii nadała a właściwiéj mówiąc przyrzekła, różnym swym krajom koronnym. Ogłoszone na d. 20 b. m. carskie pisma uznają jako prawo publiczne monarchii, zasadę « uszanowania wspomnień, opinij i słusznych żądań,» każdéj prowincyi i każdéj zapewniają « wolny rozwój świeżo utworzonych albo wskrzeszonych instytucyj. » Władza prawodawcza, według tych dokumentów, zostaje rozdzielona między Cesarza a Radę Państwa w przedmiotach dotyczących całości monarchii; a zaś wyłączne interesa prowincyj czy krajów koronnych na sejmach im właściwych, rozstrzygane być mają drogą konstytucyjną. Ministeryum spraw wewnętrznych, oświecenia i sprawiedliwości zniesione : w ich miejsce, dla Węgier przywrócona dawna kancelarya królewska i nadworna siedmiogrodzka;

dla innych prowincyj utworzone jedno ministeryum państwa, które zwierzchni kierunek polityczno-administracyjny ma nad niemi sprawować i przy którém istnieć będzie komisya oświecenia i wyznań. Przywrócony również zarząd komitatowy w Węgrzech i dawna konstytucya ze zmianami, których potrzebę duch czasu wykazał, wreszcie zapowiedziana koronacya w Peszcie i otwarcie sejmu królestwa; dla innych zaś prowincyj ułożenie statutów i przygotowanie sejmów poruczone ministrowi państwa, obecnie hr. Gołuchowskiemu. Ostatni nakoniec list cesarski w *Gazecie Wiedeńskiéj* z tejże daty ogłoszony, poleca nowemu ministrowi państwa sprawę uniwersytetu krakowskiego i wykładowego w nim języka załatwić w sposób odpowiedni dawnemu stanowisku téj akademii przed wcieleniem Krakowa do Austryi, dzisiejszym wymaganiom umiejętności i objawionym życzeniom mieszkańców; a zaś w niższych i wyższych gymnazyach galicyjskich nakazuje porozumieć się co do języka wykładowego z ludźmi miejscowymi i mieć na względzie potrzeby « obu narodowości » téj prowincyi.

Takie są ogólne téj nowéj organizacyi zasady i szczegóły bliżéj nas dotyczące. Doraźnie zaskoczeni, jak wszyscy z resztą na Zachodzie, aktem tak mało spodziewanym jak też i mało określonym, mogąc się tylko domyślać przyczyn, które go sprowadziły, ale niezdolni ocenić intencyj a przedewszystkiém następstw zapowiedzianego nowego systemu, chcemy w téj pierwszéj chwili, pierwsze jedynie wypowiedzieć wrażenie, jakieśmy wynieśli z odczytania tych « biletów » cesarskich, które przeciwnie do sybilińskich kartek, tém więcéj się mnożą im mniéj wiary u świata znajdują.

Najwięcéj bezwątpienia w cesarskich zapowiedziach uwzględnieni zostali Węgrzy; bo też Węgrzy najwięcéj dali dowodów energii i rozwagi, bo też ubezpieczenie się z ich strony najgwałtowniejszą jest dla Austryi w obecnéj chwili potrzebą, bo téż wkońcu oni sami tylko może (a

wątpliwém to jeszcze), koncesye ogłoszone za cel a nie za środek swéj agitacyi przyjmą. Co Galicya i inne ziemie Austryi, wśród których niejedna jest nam pobratymczą i drogą, uzyskać potrafią, to zależeć będzie w części od ich wytrwałości i taktu, w większéj jeszcze nierównie części od dobréj woli hr. Gołuchowskiego i od jego zrozumienia potrzeb krajów i dążności wieku. Wszakże, co do nas, choćby nam nierównie mniéj dano jak zapowiedziana głosi zasada, choćby z przyznanych ustępstw biórokracya austryacka wedle sił ukrawała i uszczuplała, i wierna chytremu mężowi Penelopa, w ciemności cyrkułów to rozpruwała co na jawie wiedeńskich obradowań uszytém zostanie : to przecież same wyrzeczenie zasady a więc upoważnienie do ciągłych reklamacyj, jak z drugiéj strony sąsiedztwo wolniejszém oddychających powietrzem i tyloma wspomnieniami połączonych z nami Magyarów, przed niejedném bezprawiem ubezpieczy Galicyą i pod niejednym względem dopomoże jéj rozwojowi.

Ale obywatelstwo Galicyi powinno też i ze swojéj strony przejąć się ważnością obecnéj chwili i nadarzoną sposobnością dźwignienia i skupienia swych sił i przygotowania narodowi niezmiernéj ceny zasobów moralnych i umysłowych. Czy zapowiedziana zmiana systemu rządów habsburskich jest hasłem nowego odrodzenia się Austryi, czy też ostatecznego jéj rozpadu : w jednym jak drugim razie, a wrazie rozpadu bardziéj niż kiedykolwiek, obowiązkiem jest obywateli galicyjskich nie dać przeminąć żadnéj i choćby najbardziéj przelotnéj godzinie, nie opuścić żadnego choćby najmniéj szczerego ustępstwa, obowiązkiem ich trzymać za słowo i chwytać za wyraz, a pilnując w każdym swym kroku narodowéj godności, szukać na każdém miejscu narodowéj korzyści. W szereg tych naszych prowincyj, które od niedawnego czasu postępują zgodnie i wytrwale na drodze jawnego i organicznego działania, wejść teraz może i powinna

także ziemia, ze wszystkich polskich najpiękniejsza, kraina, według słów Długosza « mlekiem i miodem płynąca » a niestety ze wszystkich najbardziej zchorzała, najboleśniejszemi świeżo dotknięta klęskami i najmniej do życia publicznego zaprawiona. Oby Bóg, w swojém miłosierdziu, czuwał nad tą ziemią Żółkiewskich i Sobieskich, i w równém oddaleniu od bezmyślnych szałów jak od gnuśności i poniżenia, dozwolił jéj dążyć do celu nam wszystkim wspólnego!...

II

15 grudnia.

Jeszcze się Galicya nie doczekała zapowiedzianego listem cesarskim statutu, który miał jéj nadać odrębną. prowincyonalną organizacyą, a już we Wiedniu wszystko się zmieniło, zwalony już system zanim jeszcze wszedł w wykonanie: dla tylu patentów i cesarskich biletów, ta sama teka będzie kolebką i grobem zarazem. Zastąpienie hr. Gołuchowskiego przez pana Schmerlinga nie jest tylko zmianą ministeryalną, jest radykalném wywróceniem ogłoszonéj przed miesiącem zasady państwa; jest zwrotem do zcentralizowanéj i jednolitéj monarchii, złamaniem uczynionéj niedawno obietnicy autonomicznego ziem rozwoju. Gdyby utrzymanie Austryi było przedmiotem naszych zajęć lub naszych tylko rozmyślań, przychodziłoby nam zaprawdę źle wróżyć o państwie, które w przeciągu kilku tygodni pod tak sprzeczne zatacza się bieguny i w coraz odmienny sposób usiłuje tłómaczyć zagadkę swojego bytu. Ale baczni przedewszystkiém na nadarzające się nam sposobności wydobywania i szykowania sił własnych, nie myślimy się zapuszczać w rozbieranie następstw, jakie nowa ta próba dla monarchii Habsburgów przyniesć może; chcemy tylko stawić sobie pytanie, o ile nasze interesa tą przemianą są dotknięte i jakieby z niéj dla nas samych, mogły się objawić skutki i obowiązki,

O ile, przynajmniéj z przeszłości sądzić, wolno, pan Schmerling przynosi z sobą zasadę tego wiedeńsko-frankfurckiego liberalizmu z r. 1848, który się tak chciwym okazał na wszelką, zwłaszcza obcą ziemię i wolności dla siebie nie rozumiał bez niewoli dla drugich. W miejsce prowincyonalnych sejmów i instytucyj, któreby i nam w Galicyi i innym słowiańskim ludom dozwoliły jakiegoś samodzielnego i samorządnego ustroju, następca p. Gołuchowskiego przynosi z sobą parlament wiedeński, w którym jedynie ważyć będzie język niemiecki i niemiecki interes, i w którym przeciw budzącemu się życiu narodowemu innoplemieńców, minister stanie do walki, bezpieczny od strony Magyarów, silny poparciem całéj Germanii. A niebezpieczeństwoto tém większe, że nie objaśniona, skrzętnie owszem od pewnego czasu w błąd wprowadzana, opinia Zachodu przyklaskiwać będzie niemieckiéj zaborczości, skoro ją tylko ubarwi konstytucyjna frazeologia. Do tępienia ludów duch germański nie jednego szanownego używał pozoru : użył wiary nasamprzód, wyższości oświaty następnie, a od r. 1848 posługuje się liberalizmem : więc jak dawniéj kronikarze, jak późniéj uczeni, tak dzisiaj wszyscy korespondencii i redaktorowie sławić będą na wyścigi cywilizacyjne wyprawy nowych « Ptaszników. »

I siebie samych ustrzedz od złudzenia i przed Europą tak dobrze pole jak przedmiot walki rozświecić, zdaje się nam być jednėm z zadań, które dla nas wynikają z obecnego w Austryi przesilenia. A gdy rozważym, że na równy z nami ucisk wystawieni są Słowianie południowi i zachodni, nie wątpim, że wspólne niebezpieczeństwo odżywi pamięć wspólnego rodu i niejeden poda środek wzajemnego porozumienia się i wzajemnéj od Niemców obrony.

UNIA BULGARSKA.

3 listopada.

Odbieramy radośną wiadomość ze Stambułu. Pięciomilionowy naród słowiański zrywa stanowczo z Moskwą i z schyzmą. W dniu 23 października, akt Unii z Rzymem podpisany został przez reprezentantów narodu bulgarskiego. Nie mamy czasu ani sił, w téj pierwszéj chwili, zdać sobie sprawę z wypadku, który tak wielką może mieć wagę w przyszłości i tak wielkie przybrać rozmiary na Wschodzie: Ogłaszamy tylko listy z dwóch ostatnich poczt, pisane przez naocznego świadka, pod gorącem wrażeniem i toczącéj się walki i otrzymanego już na wpół zwycięztwa:

«Stambuł, dnia 17 października.

» W tych dniach odbyło się zgromadzenie znakomitszych Bulgarów w Stambule, ulegających po największéj części wpływowi ambasadora Moskwy. Prezydujący na tém zebraniu biskup oświadczył, że nie mogąc opierać się dłużéj woli narodu, widzi się zmuszonym do coraz większego rozdziału z Grekami i do wyraźnego zażądania

od Porty osobnego bulgarskiego patryarchatu. Muszę was jednak uprzedzić, dodał, że władze tureckie niechętne są temu żądaniu i że W. Wezyr, za powrotem do Stambułu, będzie wymagał, byśmy wrócili pod władzę patryarchy greckiego. Ujrzemy się przeto w konieczności, albo poddania się obcéj hierarchii, która nas ciemięży, albo stawienia oporu władzy tureckiéj, albo nakoniec chwycenia się stanowczego środka, który raz na zawsze uwolni nas od przemocy Greków, od podejrzeń Turków i zabezpieczy Wysoką Portę od sąsiedniego nacisku.

» Nie trudno się domyślić że tym stanowczym środkiem, nieokreślonym wyraźnie w mowie biskupa, była po prostu unia z Rzymem; gdyż w tym jedynie razie, rząd turecki, odwołując się do zaręczonéj poddanym swoim wolności sumienia, mógłby skutecznie wymówić się przed Moskwą. Głos biskupa był tu wiernym tłumaczem uczuć narodu, który przedewszystkiem nalega na stanowcze zerwanie z Grekami i żąda ponowienia petycyi o ustalenie odrębnego patryarchatu. Ale, dopóki Bulgarzy należeć będą do kościoła greckiego, Porta nierada zadosyć uczynić ich żądaniom i powtarzane w tym celu kroki nie sprowadzą rozwiązania zawiłéj kwestyi. Tymczasem Moskale bawią Bulgarów obietnicami, chociaż w rzeczywistości, nie zdaje się, by życzyli dla nich osobnego narodowego patryarchatu. W tym religijnym sporze i nienawiści Bulgarów ku oficyalnemu kościołowi, idzie także, a może i przedewszystkiem, o interes narodowy i polityczny. Lud prowadzony przez niższe duchowieństwo widocznie skłania się ku Zachodowi, by z jego pomocą uwolnić się od moskiewskiego wpływu. Bulgarskie pragnienia i nadzieja zwrócone są ku Francyi; chęć pozyskania jéj opieki, popchnęła cały naród do powrócenia na łono katolickiego Kościoła. Rzym nie narzuci Słowianom tureckim obrządku łacińskiego, bo umiał zawsze szanować narodowe liturgie i dziś jeszcze

za wiernych synów Kościoła uważa Słowian i Ormian-Unitów. Ale ta nowa rewolucya religijna, byłaby o tyle tylko możebną w Turcyi, o ileby została popartą przez państwa katolickie Zachodu.»

List z dnia 24 października, donosi co następuje:

«Pisałem poprzednio o wzburzeniu umysłów pomiędzy Bulgarami Stambułu: nominacya nowego patryarchy do dawnych płomieni dorzuciła żaru i ruch w początkach nieoznaczony i niepewny podniosła do godności narodowéj manifestacyi. Ci co się wahali, ci nawet co dotychczas natchnienie i hasło brali od Moskwy, nie zdołali oprzeć się niepohamowanemu prądowi publicznego uniesienia, i dziś w kościołach, w tłumie innych, kładą podpisy na wygotowanym akcie Unii z Rzymem.

» Z dawien to dawna i wpośród ludu i wpośród niższego bulgarskiego duchowieństwa, tlała, szerzyła się nienawiść ku patryarchatowi Stambułu, greckiéj współce, co wyższe miejsca wyłącznie powierzała Grekom, a słowiańskie cerkwie i dyecezye puszczała w arendę dającemu więcéj. Ustąpienia przyszły zapóźno i niezatarły żywych wspomnień długoletniéj krzywdy. Nie pomogło, że ostatniemi laty, kilku bulgarskich księży przypuszczono do godności biskupiéj; i jeden to z nich, dzisiejszy bulgarski biskup Stambułu, wygotował i przeprowadził akt, na który się teraz patrzymy. Szedł naprzód, ale poza sobą czuł gorący oddech narodu, czuł parcie siły, która na raz wytkniętéj drodze już mu ani ustać ani z niéj zboczyć nie dozwoliła i kiedy przed kilkoma dniami wezwanym został, by nowemu patryarsze złożył i hołd i pokłon, podwładni ostrzegli go natychmiast, że krok podobny zagrodzi mu raz na zawsze przystęp do Kościoła i powrot do sprawowanego urzędu.

» W wczorajszym dniu dwa tysiące Bulgarów, z tymże samym biskupem na czele, podpisało deklaracyę,

przez tutejszego arcybiskupa katolickiego już potwierdzoną, z któréj wyjątki załączam w pospiesznem tłumaczeniu. Za kilka dni najdaléj będzie mu ona urzędownie i uroczyście wręczoną, dla przesłania Ojcu Ś. i oderwie, bodaj raz na zawsze, pięciomilionowy naród od Moskwy i od schyzmy. Stambulsko-bulgarska gmina wystąpi w imieniu przeszło stu bulgarskich parafij, które jéj do kroku tego udzieliły nieograniczonego pełnomocnictwa.

» Można być pewnym, że w początkach zdziwieni, a strwożeni późniéj liczni tutejsi agenci Moskwy użyją wszelkich sprężyn, by udaremnić na wpół dokonane dzieło, odwrócić cios, który grozi zniszczeniem ich długoletniéj, systematycznéj pracy. Po dziś dzień wmawiają oni w Bulgarów, że starali się nakłonić Portę do utworzenia oddzielnego schyzmatyckiego dla Bulgaryi patryarchatu; teraz zapewne szczerze i gorąco wezmą się do tego dzieła, bo widzą, że ostatnia to już chwila i ostatni środek dla uspokojenia namiętności i zapału rozbudzonego może równie z politycznych pobudek, jak z dogmatycznych i religijnych przekonań. Jeżeli Francya wesprze sprawę katolicyzmu i narodowości bulgarskiéj, to ręczyć można, że tryumf Unii niedaleki i nieomylny. Gdyby jednak margrabia de Lavalette pozostał na boku, a mimo to Bóg nie pozwolił upaść dobréj sprawie, to chwała ztąd i zasługa należeć się będzie przedewszystkiem Emigracyi polskiéj i téj garstce wygnańców, którzy od czasów węgierskiéj i krymskiéj wojny, rozbiegli się po Turcyi i osiedli wśród bulgarskiego ludu. Bo i któż mógł i skuteczniéj i dobitniéj wypowiedzieć Słowianom tureckim istotną prawdę o moskiewskim systemacie i rządzie? Każdy z nich, stary żołnierz, osiadły robotnik, albo nawet włóczęga, pod brzemieniem nieszczęść upadający nędzarz, szedł od wsi do wsi, od chaty do chaty; gdzie się zatrzymał, opowiadał obok swojéj, historyą polskiéj niedoli i moskiewskiego ucisku; niósł świadectwo prawdzie, pomiędzy uwodzonym

czas długi narodem szerzył postrach i wstręt ku carowi, zadawał fałsz podstępnym moskiewskim obietnicom. Każdy też z nich, czy dłużéj, czy krócéj na Wschodzie przebywał, może dzisiaj wyznać z dumą że się przyczynił do tego dzieła wielkiego, które Rossyi nowy cios zadaje, Kościołowi nowy gotuje tryumf, i starą chwałę Polski, jéj zasługę dziejową, Unią, w chwili w któréj może najbardziéj jest zagrożona, odżywia i utrwala.»

Oto są główne ustępy aktu Unii bulgarskiéj:

«Świat chrześciański nie przepomniał dotychczas, iż naród bulgarski miał sobie przez świętych apostołów Cyrylla i Metodego nadaną hierarchią odrębną, narodową i kanoniczną, spojoną z Ś. Kościołem powszechnym Rzymskim przez węzeł synowskiego posłuszeństwa. Wpośród nieszczęśliwych okoliczności i przez środki zbrodnicze, udało się greckim patryarchom wyzuć naród bulgarski z téj kanonicznéj instytucyi, obedrzeć z dawnych praw i przywłaszczyć nad nim powagę, przeciwko któréj naród bulgarski nieraz, ale napróżno protestował...

» Dzisiejsze pokolenie, przywiązane do wiary przodków i do nigdy nie przemijającego prawa, a ośmielone ogłoszeniem haty humajun I. C. M. Sułtana, które każdemu z poddanych zaręczyło wolność sumienia i wyznań religijnych, podnosi głos przeciw gwałtowi ciążącemu od wieków, gwałtowi który zagraża rozwojowi narodowości, wydaje ją w ręce prześladowców, wystawia na nadużycia duchowieństwa antychrześciańskiego, złożonego z ludzi obcego plemienia. By wydać sąd o biskupach, którym oddani jesteśmy na pastwę, dość wspomnieć, że i w obecnéj chwili wielu z nich odpowiada przed trybunałami za zbrodnie dzieciobójstwa, gwałcenia niewiast, symonii i t. p. Naród bulgarski, pragnąc przedewszystkiem dochować w czystości wiary przyjętéj od świętych apostołów, postanowił zerwać węzeł łączący go z antykanonicznym patryarchatem i duchowną swoję matkę, Ś. Kościół bulgarski, oddać na nowo pod powagę i protekcyą Ś. Kościoła powszechnego.

» W tym celu, my niżéj podpisani reprezentanci bulgarskiego narodu, by odnowić węzły łączące go z Ś. Kościołem rzymskim, a to za pośrednictwem następcy Ś. Piotra, najwyższéj widoméj Głowy chrześciańskiego Kościoła, uznajemy niniejszém dogmata Kościoła rzymskiego za święte, przyrzekamy szczerą i zupełną wierność Jego Świątobliwości Papieżowi Piusowi IX, Jego następcom i apostolskim legatom...

» Naród bulgarski, opierając się na dekretach Ś. Kościoła Rzymskiego, co do zachowania obrządku Kościołów wschodnich, ma pewność, że ten obrządek i liturgia pozostaną nietknięte, stosownie do przepisów soboru florenckiego.

» Na téj zasadzie, my niżéj podpisani błagamy pokornie Jego Świątobliwość Piusa IX, aby przyjmując Kościół nasz bulgarski na łono powszechnego Kościoła katolickiego, raczył uznać za kanoniczną, naszę hierarchią odrębną i narodową.

» W końcu udajemy się do J. Świątobliwości Piusa IX aby J. C. M. Cesarza Francuzów, jako starszego syna Kościoła, zaprosił do wstawienia się za nami u J. C. M. Sułtana. Jego potężne wdanie się, przyczyniłoby się do uznania naszego Kościoła za narodowy, obroniłoby od ucisku greckiego i intryg obcych.

» Prosimy na ostatek rząd Francyi, by nie uchylił nam téj opieki, któréj doznają inne katolickie ludy, wchodzące w skład państwa otomańskiego.»

OCZYNSZOWANIE W KRÓLESTWIE.

---

3 listopada.

Odbierając w téj chwili list pisany z naszéj prowincyi, mielibyście prawo domagać się nowin mających związek z tyle głośnym zjazdem monarchów w Warszawie. Pozwolę sobie jednak czém inném zająć waszę uwagę. Gospodarz na wsi zamknięty, późno się dowiaduję o wielkich tego świata wypadkach. Przed kilkoma dniami skończyłem w mojéj wsi oczynszowanie : a pełny dzieła, którém żyłem przez kilka miesięcy, o niém tylko myśleć, o niém mówić mogę, i pragnę wam przedstawić trudności, z któremi się u nas spotyka ta najważniejsza, mojém zdaniem, sprawa.

Trzy są strony do téj sprawy wmieszane: właściciele, włościanie i rząd rossyjski; wszystkie trzy, jeśli nie jednako, a zwłaszcza nie z jednakich pobudek, niemniéj przecież stanowczo reformie sprzyjają. Nie masz, mógłbym powiedzieć, w całém Królestwie obywatela, coby niepojmował jak wiele nam zależy na szczęśliwém urządzeniu stosunków włościańskich, a za dowód tych przekonań mogłyby, między innemi, posłużyć tegoroczne obrady Towarzystwa Rolniczego w Warszawie;

podobnie i włościanie, mając ciągle przed oczyma obraz rozrzuconych po kraju kolonij, zazdroszczą ich zamożności i do niéj wzdychają; nareszcie i rząd, tak czujną o los włościan okazujący troskliwość, dąży ku reformie i postanowieniem z 1858 roku ręce dotąd związane obu stronom rozwiązał. Zdawałoby się więc, że gdy wszyscy ku jednemu zmierzają, rzecz powinnaby iść szybko i wszystkim dogodnie; tém bardziéj, że wprowadzona w wykonanie nowa pożyczka Towarzystwa Kredytowego dostarcza już mniéj zamożnym właścicielom pożądanéj zapomogi na przetrzymanie pierwszych chwil i na niezbędne w przemianach nakłady. Tymczasem tak nie jest: oczynszowanie wogóle nie postępuje i lękać się trzeba, że w szerszych rozmiarach długo jeszcze nie postąpi. Niedawno temu, ks. Gorczaków, wróciwszy do Warszawy po długiéj w Królestwie niebytności, zapytał jednego z urzędników : ile kontraktów włościańskich przysłano do potwierdzenia? Gdy mu odpowiedziano, że ani jednego, Moskal pogardliwém słowem polską szlachtę potępił. Nie mam chęci ani nadziei oświecenia Rossyan, zbyt nienawistnych, aby chcieli słuchać wykładu, zbył rzeczy nieświadomych aby go mogli zrozumieć. Ale niejeden między wami gotów rzucić podobną skargę na obywateli Królestwa, i przypomniawszy sobie z jakim to zapałem przyjęto wnioski na sesyach Towarzystwa Rolniczego, zawołać : oto zgodzili się a teraz nic nie robią! Tego rodzaju zarzuty pragnę niniejszym listem uprzedzić.

Królestwo kongresowe weszło już oddawna na drogę reformy. Wszak przed rokiem 1846 oczynszowano większą część włościanów; że zaś od téj pory sprawa nieposunęła się wcale, winniśmy to głównie opiece rządowéj, ukazem cesarskim nad chłopami rozciągniętéj. Wistocie, od owego ukazu z r. 1846 aż do postanowienia Rady administracyjnéj z r. 1858, ani jeden kontrakt włościański potwierdzonym nie został. Dopiero w dwóch

ostatnich latach, odkąd stałe ogłoszono przepisy, podług których umowy zawierane być mają i na Delegacye obywatelskie włożono obowiązek pilnowania tych reguł, właściciele dóbr powzięli znowu nadzieję, że reforma stanie się możebną. Wszyscy więc, mogę rzec śmiało, gotowali się do nowego porządku i z włościanami rozpoczęli układy; a jeśli dotąd prawie żadnych nieotrzymali rezultatów, przyczyna leży niekoniecznie w nich samych. Staje na przeszkodzie ogólny brak gotówki w klasie rolniczéj i brak oświaty w włościanach; ale może jeszcze bardziéj utrudnia reformę dotychczasowe postępowanie rządu i istniejące podziśdzień prawodawstwo. Zatrzymajmy się przez chwilę nad każdą z tych trudności.

Wiadomo że dawniejsi właściciele, uważając wszystkę ziemię wiejską za swą własną wyłączną, obsadzili na niéj chłopów w ten sposób, że grunta włościańskie nie przestawały wraz z dworskiemi jednéj tworzyć całości. Nieznano dawniéj uprawy roślin pastewnych, ztąd wynikał podział na trzy pola, a każdego z nich jedna część należała do dworu, druga do włościan. Nadto nie wzbraniano włościanom używać lasów, bo ich budynki do dworu należały, a w borze i na ugorach wspólnie wraz z dworem mieli pastwiska. W ten sposób grunta wiejskie rozdzielone zostały w szachownicę i zrodziły się służebności leśne i pastewne. Rzecz widoczna, że taki stan rzeczy, nie może służyć za podstawę do kontraktów wieczystych: zatrzymałby wszelki postęp w rolnictwie, zwłaszcza w leśném gospodarstwie i pogorszyłyby pod niejednym względem los samychże włościan. Umowa czynszowa musi więc zacząć od zniesienia służebności i separacyi gruntów, tak dworskich jako i włościańskich. Nowy pomiar i zamiana gruntów prowadzi za sobą rozmaitość uposażeń, do któréj stopę czynszową wypadnie zastosować; zmusza w wielu razach do przestawienia budynków włościańskich, zatém do nowych kosztów

i strat nieuniknionych; umieści prawdopodobnie niejednego włościanina na gruntach tak niekorzystnych, że on pierwszych chwil na nowém uposażeniu nie będzie w stanie przetrzymać. Nic więc dziwnego, że włościanie z wielką trudnością przystają na zamianę gruntów, czy dla tego że w ogóle są mało zasobni, czy też że każdy z nich przywykł do swojego ziemi kawałka i do tradycyjnego sposobu gospodarowania. Tymczasem postanowienie Rady Administracyjnéj wyraźnie zastrzega, aby przynajmniéj dwie trzecie gospodarzy zgodziło się na regulacyą gruntów. Dodajmy, że zniesienie używalności leśnych a zwłaszcza wspólnego po ugorach i odłogach pastwiska, pociąga za sobą konieczność nowego systemu gospodarowania i przy braku łąk naturalnych, uprawę pastewnych roślin. To już zupełna rewolucya w włościańskiéj agronomii, do któréj chłop polski mało jest przygotowany, bo niema ani dosyć pojęcia, aby się zastosować do zmienionych potrzeb, ani dosyć odwagi, aby stare dla nowego porzucić. Napróżno się mu tłómaczy że regulacya gruntów szczególnie dla niego jest potrzebna, że na lata przechodnie otrzymają zwolnienia, że utratę pastwiska i lasu wynagrodzi mu zniżenie czynszu, którego proponowana ilość o wiele nie dosięga wartości pańszczyzny, że nakoniec w pierwszych latach będzie mu wolno paść w lesie po dawnemu: on tego wszystkiego nie rozumie, siłom swoim nie ufny, przy dawném twardo obstaje.

Spojrzyjmy teraz na też same stosunki ze stanowiska obywateli. Szlachta w Królestwie kongresowém jest w ogóle niezamożna. Potrzeby, nawet przy skromnem życiu, stają się coraz większe, ich zaspokojenie coraz kosztowniejsze. Ziemia nie wiele przynosi a wydatki produkcyi ogromnie wzrastają, tak że dziś nawet, przy istniejącéj pańszczyźnie, w niejedném miejscu dochód czysty niezmiernie się różni od dochodu ogólnego. Ta nieprodukcyjność ziemi wypływa ze zbytecznego jéj wy-

cieńczenia, ze zbyt wielkiego rozszerzenia się uprawy rolnéj, z zaniedbania lasów i łąk i z niedogodnych stosunków ekonomicznych. Produkuje się mało, źle się spienięża; rzemieślnik rzadki, tém samém drogi i niestaranny. Wprawdzie mniéj niż na Zachodzie płacimy robotnika, ale produkcya jego mniejsza i praca mniéj warta : tak że stosunkowo u nas drożéj on kosztuje niż w Belgii lub we Francyi. Skoro ustanie pańszczyzna, jeszcze trudniéj będzie niż dotąd o ludzi do najmu; wypadnie znaczny wyłożyć kapitał na zaprowadzenie nowego systematu, na domy mieszkalne dla czeladzi, na kupno inwentarza i jego umieszczenie, a co najgorsza dochód z czynszów nie pokryje wydatków bieżących. Prawda, że kapitału nakładowego dostarczy w znacznéj części nowe Towarzystwo kredytowe, że zmniejszone w pierwszych latach dochody, wynagrodzi dalszy postęp w gospodarstwie, a szczególniéj uporządkowanie i podniesienie lasów; ale i to jest prawda, że nie jeden, zanim lepszych doczeka się czasów zginie w latach przechodnich, że wielu obywateli nowa pożyczka kredytowa nawet do rąk nie dojdzie, że nakoniec w naszych stosunkach ekonomicznych kapitał wyłożony dość często straconym bywa niepowrotnie. Nic więc dziwnego, powiem znowu, że niejeden obywatel uboższy czy zadłużony (a znaczna jest ich liczba) ociąga się i wstrzymuje przed reformą, która mu z początku niezawodne wydatki, a późniéj prawdopodobne zapowiada bankructwo.

Bez wątpienia, gdyby włościanie byli dość zamożni, aby czynsz swój choć w części z góry wykupić, albo przynajmniéj przy spisaniu kontraktu zapłacić dziedzicowi za budynki i załogi na ich własność przechodzące, rzecz o wiele byłaby uproszczona. Na nieszczęście tak nie jest. Dziedzic oddając ziemię swą w wieczyste posiadanie, nietylko wkupnego nie odbiera, nietylko niema pewności że czynsze dochodzić go będą regularnie, ale nadto naraża on część swojego majątku w tém wszystkiem, co

włościanie oprócz ziemi otrzymują. Przypuśćmy, że chłop posiada rolę włókową: grunt wart jest 3,500 zp., budynki 1,000, zasiew i załoga 500 : za grunt włościanin ma składać czynsz wynoszący pięć od sta, resztę to jest 1,500 zp. powinienby zapłacić gotówką. Że zaś gotówki téj niema, potrzeba będzie albo summę 1500 zp. rozłożyć na umorzenie, albo też w kontrakcie umieścić, że budynki zasiew i załoga przechodzą na własność chłopów bez wynadgrodzenia; czynsz zaś naznaczyć od obu wartości, gruntu i budynków to jest od pięciu tysięcy złotych. Pierwszego sposobu chwycą się włościanie zamożni, ubożsi łatwiéj na drugi przystaną; ale jeżli pierwszy nie zupełną daje pewność, to drugi jeszcze większém niebezpieczeństwem grozi dziedzicowi. Bo uważmy, że będzie interesem nierządnego i niesumiennego włościanina, zaraz po żniwach wszystko co zbierze sprzedać, załogę wyprowadzić albo spieniężyć, i z summą w ten sposób zyskaną, przenieść się na inną ziemię: przy obecnem sądownictwie i policyi, właściciel żadnego w takim razie nie znajdzie ratunku. Zapewne, nie są nasi chłopi tak niesumienni, aby podobne wypadki miały być powszechne, jak z drugiéj strony czynsz włościański okaże się tak nizki, że chłop znajdzie zawsze dość powodów, aby na gruncie pozostać; nie mniéj przecież przewidzieć nie trudno, że będą tacy włościanie, którzy przez nierząd czy przez nieuczciwość, na znaczne straty właściciela narażą. A niedość na tém, pamiętajmy, że obywatel do wysokich dzisiaj zmuszony jest nakładów, niedość że gotowym być musi na straty dotkliwe w przyszłości : trzeba mu jeszcze, opór włościanów przełamać i skłonić ich bądź co bądź, aby zgodzili się na stosunek dla niego tak niekorzystny, dla nich tak zupełnie nowy.

To co powiedziałem, powinnoby wystarczyć dla wyjaśnienia, dlaczego sprawa oczynszowania tak zwolna postępuje. A wszakże nie tu koniec: trudności powyższe

większość obywateli złamać potrafi, choć nie zawsze w tej walce siebie uratuje: zmusza ich do ofiar i działania siła czasu, siła przekonań i gorące uczucie obowiązku. Ale są przeszkody nieledwie ważniejsze, które stawia u nas rząd rossyjski. Aby włościan dla siebie pozyskać, zniósł on w r. 1846 rolniczne prestacye, zwane daremszczyznami, i chłopów uzbroił w prawo posiadania ziemi, na którój siedzą, tak że choć sami opuścić mogą dziedzica, dziedzic ich wydalić nie może. Ukaz ten w swoim czasie można było do pewnego stopnia usprawiedliwić. Objawiła się była w obywatelach chęć wcielania gruntów włościańskich w gospodarstwa folwarczne i należało się lękać, ażeby z tych czy z innych powodów, znaczna część włościan nie była z zwych siedzib rugowaną i aby proletaryat nie rozszerzył się w naszéj prowincyi. Ukaz więc z r. 1846, chociaż w zasadzie swéj niesłuszny, prawo własności gwałcący, miał przecież dobrą stronę i złemu wistocie zapobiegł. Ale utrzymanie jego bezwzględne, w obecnych stosunkach, źródłem jest tysiącznych niedogodności i utrudnia zmianę, któréj pragną wszyscy. Chłop w swojéj chacie siedzący wie że z niéj wydalonym być nie może a ma nadzieję, że z czasem, kosztem dziedzica, rząd go oczynszuje a nawet, jak dziś mówią, uwłaszczy. Jeśli więc zawezwany do umowy, zgodzi się na zasadę projektu, to przy warunkach okaże się tak wymagającym, że dziedzic, który nie ma chęci lub siły, aby zbyt wielkie ponosić ofiary, żądań jego w żaden sposób nie przyjmie. Toczą się więc obecnie długie między stronami rozmowy, ale w wielu miejscach daremne: właściciel tłómaczy i namawia do zgody; chłop słucha, kłania się, bierze na rozwagę, w końcu do swego powraca.

Jakikolwiek jest stan włościan w różnych polskich prowincyach, w Królestwie kongresowém nie liczą się oni do najuboższych. Jest wielu zamożnych osadników; a nawet między pańszczyznianymi, ludzie rządni i pracowici łatwo dorabiają się kapitału i z nim szukają ziemi do nabycia na prawach czynszowych. Zdarza się to dość często; i dziś jeszcze, w niektórych okolicach, najzyskowniejszém spieniężeniem ziemi jest wypuszczenie jéj, za opłatą wkupnego, na czynsz wieczysty, o ile układ taki nie podpada pod ukaz r. 1846 i postanowienie Rady administracyjnéj. Gdyby przeto dziedzicowi, chcącemu grunta swe czynszować, wolno było otworzyć konkurencyą, niezawodnieby wróciły do swéj miary zbyt natężone włościan wymagania; lękając się, aby ich kto nie ubiegł, nie oglądaliby się na interwencyą rządową i przystępowaliby do umowy, skoro jéj warunki są sprawiedliwe. A jeźli kto zarzuci, że współzawodnictwo włościan dałoby obywatelom sposobność podniesienia stopy czynszowéj nad wartość: to odpowiem, że obawa to zawczesna, niebezpieczeństwo dalekie. Za mało jest włościan posiadających grosz gotowy, za wiele gruntu do obsadzenia; zysk wreszcie z jednorocznego czynszu nie wyrówna nigdy stracie, którą na pewno poniesie obywatel, kiedy wieś jego opuści czynszownik. Powiem jeszcze, że przez konkurencyą, zapewnić można tę przynajmniéj dla dziedziców korzyść, iż zwolnieni z obowiązku zatrzymania na roli wszystkich jéj dzisiejszych posiadaczy, przyjąć będą mogli każdego, o kim wiedzą, że jest rządny i uczciwy. Skoro innych ubezpieczeń nie mają obywatele przy zawieraniu układów czynszowych, słuszna jest, aby im przynajmniéj moralne rękojmie zostawić. — Jeźli więc rządowi zależy na tém, aby oczynszowanie w prowincyi naszéj spokojnie było przeprowadzoném, przedewszystkiém powinien zmienić obowiązujące dotąd przepisy; powinien, utrzymując zasadę, że grunta włościańskie od dworskich nie mogą być wcielone, ukaz z r. 1846 o tyle uchylić, aby włościanin, który nieprzyjmuje warunków oczynszowania przez Delegacyą obywatelską potwierdzonych, mógł być oddalonym; powinien nadto ułatwić regulacyą gruntów,

zastrzegając że na co się zgodzi prosta większość gromady, to dla całej wsi jest obowiązującém. Te są zmiany do przeprowadzenia konieczne, które jedynie dać mogą obywatelom siłę do zwalczenia rozlicznych trudności w téj sprawie zawiłéj; te zmiany przedsięwziąść jest interesem rządu nietylko dlatego, aby spokojnie i organicznie kwestyą rozwiązać, ale także aby przekonać, że w rzeczy włościańskiéj porzuca drogę rewolucyjną, na którą wszedł był od r. 1846, za przykładem Austryi.

Ale jest wielu między nami takich, co mniemają, że rząd rossyjski w Królestwie, zna dokładnie ważność przeszkody, jaką szlachta spotyka w przepisach obecnie obowiązujących. Utrzymując je, chce on znaglić obywateli do umów niedogodnych, któreby ich w trudności nieskończone wplątały i podkopawszy majątki, z czasem w obce przeniosły je ręce. Jeżeli zaś szlachta, mimo danéj jéj, w téj sprawie, pozornéj wolności, broniąc siebie i majątku, nie będzie spieszyła do układów rujnujących i w tym stanie niepewności lat parę przeczeka: wówczas stosunek nasz włościański rząd arbitralnie rozwiąże a przed światem ogłosi, żeśmy go egoizmem naszym i nieczynnością do interwencyi zmusili. Niechcę orzekać, ile w tem przypuszczeniu jest prawdy. Byłaby to gra niebezpieczna dla wszelkiego rządu, niebezpieczniejsza dla Rossyi, gdzie rewolucya socyalna i bliższą jest i straszniejszą niż u nas. Ale być także może, że szlachta rossyjska z pociechą by to ujrzała, że w owéj Polsce, zkąd naprzód wyszedł głos za reformą włościanską, reforma ta zatrzymana i rząd do niéj obywateli przymusza.

Cóż więc robić mają właściciele w dzisiejszém zawikłaniu? Przedewszystkiem domagać się od rządu zmiany przepisów, i zbiorowo czy z osobna przedstawiać trudności, które tak szlachtę jak włościanów krępują. A nie oglądając się i nie licząc na zezwolenie rządu, podwoić pracy i starania aby dójść do celu: nie narażać się na gwałtowne wstrząśnienia, nie odstępować od zasad ekonomicznych, a jednak kłaść dogodne i przystępne dla włościan warunki. Znajdą się bezwątpienia majątki, w których włościanie przez rząd niezbałamuceni, na słuszne żądanie przystaną; znajdą się inne, gdzie wpływ dawnych urządzeń, miejscowe stosunki i zamożność ludu ułatwią oczynszowanie. Niech więc tam naprzód przejdzie reforma; komu łatwiéj, kto silniejszy, niech innym drogę toruje: zmiana w jednéj wiosce przebyta szczęśliwie, w drugiéj i włościan i dziedziców ośmieli.

O KOŚCIELE KATOLICKIM W POLSCE.

PRZEZ KSIĘDZA LESCOEURA.

---

10 Listopada.

« Wszyscy się posługiwali sprawą polską, nikt jéj szczerze nie służył; wszyscy hojni w słowach, ukazywali nadzieje, wywoływali ofiary: ale nikomu Polska nie była celem prawdziwym. » Takie zdanie surowe wyrzekł niedawno p. Guizot, mając na myśli owe przypomnienia, rozbiory i wielokrotne dyskusye, któremi ludzie publiczni wprowadzali, różnémi czasy, sprawę polską przed aeropag opinii. Sam przyznając się do niemocy w zatarciu téj krzywdy dziejowéj, przeciwnikom swym politycznym zarzuca, że nie przez miłość prawdy i sprawiedliwości, nie w chęci naprawienia złego, ale z własnych widoków i dla własnego interesu, niedolę Polski stawiali światu przed oczy. « I trzeba było (rzekł daléj, myśl swoję ku Polakom zwracając) trzeba było nieszczęścia nad miarę, aby czerpać otuchę w téj kłamanéj pomocy.»

O tym sądzie p. Guizota, czytelnik polski mógłby niejedno powiedzieć; mógłby podobnież zarzucić czy obojętność bez miary, czy téż brak wyższéj rachuby temu,

kto stojąc na czele wielkiego narodu, czuje się niemocny wobec wielkiéj krzywdy. Nie mniéj przecież sąd jego jest prawdziwy, i dzisiaj, po latach doświadczenia, zrozumie go każdy. Bo każdy pamięta, że póki we Francyi przeważał system, który jéj siły w jéj własnych zużywał granicach, póty w szeregach opozycyi nietrudno było znaleźć ludzi, co ufni w życzliwość narodu, przystępni byli naszym skargom, troskliwi o nasze prawa i śmiertelną Polski ciszą, radzi zakłócić niepewny spokój rządzących. Lecz ani te odezwy opozycyi nie podniosły sympatyj ogólnych, owszem zużyły je wielokrotném nieszczerém budzeniem, ani téż wymuszone groźby i zaręczenia rządu, żadnego ciosu nie odwróciły od Polski. Walczono o Polskę, aby zwalczyć nie jéj, ale swoich przeciwników. To téż gdy z odmianą czasów zwycięzcy i zwyciężeni jednemu ulegli losowi, gdy zarzut niepamięci o Polsce nikogo już więcéj nie ranił: ustały na raz skargi i obrony, po głośnych rozprawach głucha zaległa cisza, i żadne pióro poważniejsze, żadne donośniejsze słowo, nie przerwało tego milczenia.

Dzisiaj, po upływie lat wielu, mamy znowu przed sobą dzieło francuzkie, poświęcone sprawie polskiéj, a przynajmniéj temu, co tworzy jéj część najważniejszą, właściwie mówiąc podstawę; księgę poważną, owoc pracy sumiennéj i wielorakich a mozolnych poszukiwań. I nie wywołało jéj żadne uczucie stronnicze, ani chęć zatrudnienia swego przeciwnika, ale miłość sprawiedliwości, solidarność obowiązku i ten święty gniew, co się zapala w szlachetnéj duszy, na widok prawdy gnębionéj i tryumfującego fałszu. Dzieło księdza Lescœur *o Kościele katolickim w Polsce* (1), zjawisko to równie ważne jak pokrzepiające w téj chwili: jest aktem oskarżenia na

(1) *L'Eglise Catholique en Pologne sous le gouvernement russe par le R. P. Louis Lescœur, de l'Oratoire.* Paris, chez Franck et Ch. Douniol.

Rossyą, który i siłą dowodów i gruntownością opowiadania wiele innych przewyższa; jest nowym przykładem, że we Francyi, w tym narodzie arcychrześciańskim, są i dzisiaj ludzie, co krzywdy bliźniego żywo czuć i za nie walczyć umieją; jest wreszcie i dla nas samych głośném upomnieniem, byśmy praw naszych strzegli tém wierniéj i śmieléj, kiedy mimo pozornéj czy istotnéj świata obojętności, takich na Zachodzie znajdujemy rzeczników.

Choć autor tego nie wyznaje, ale z słów jego mimochodem rzuconych, moglibyśmy odgadnąć przyczynę, która go ostatecznie skłoniła do podniesienia głosu za polskim Kościołem. Uderzył go opis sprawy dziernowickiéj, tych kilkunastu kartek, które po ośmnastumiesięcznéj wędrówce przedarły się na Zachód: ale uderzyło go i milczenie, którém większość dzienników zachodnich ów jęk boleści stłumiła. Powtórzywszy w dosłownym przekładzie i męczeństwo dziernowickich wyznawców i raport urzędowy senatora, woła autor. «Nie jestże to jakby opatrzne zrządzenie, że jeden fakt niewątpliwéj autentyczności, rzucił na te strony odległe dosyć odrazu światła, aby każdemu było wiadomo, co sądzić ma o polityce Alexandra i czego się po niéj w przyszłości spodziewać?» Wszystko, co kiedykolwiek powiedziano o zpodleniu prawosławia, o gwałtach i podstępach administracyi, o srogiéj nietolerancyi rządu: wszystko, ten jeden wypadek od razu uwidocznił i — prawie nikogo nie wzruszył. «..... A słuchacz, nie mówię już chrześciański, ale poprostu uczciwy, waha się kogo ma bardziéj potępić: czy dzikich prześladowców za ich krwawe exekucye, czy dzienniki liberalne za ich milczenie sromotne? ... »

Autor nie pisze historyi: na historyą jeszcze czas nie przyszedł. Jeszcze fakta nie zebrane, nie ogłoszone dokumenta; martyrologia Unii w kilku dopiéro skreślona zarysach, i niejeden chłop unicki, niejeden proboszcz katolicki, mógłby ją nowym uzupełnić rozdziałem. Miał

on raczéj na widoku dzisiejszy stan Kościoła; lecz aby dać poznać to co dziś istnieje, musiał dalej pamięcią zasięgnąć. Wiadomo, że zeszłowieczny plan na zgubę Unii wymyślony, cesarz Mikołaj z pyłu archiwów wydobył i jego trzymając się wskazówki, dokonał dzieła « nieśmiertelnéj » carycy. Lecz gdy na Litwie szerzyło się schyzmy apostolstwo, gdy mieszkańcom polskiéj ziemi odmawiano wszystkiego co polskie i wszystkiego co ludzkie, kiedy dzieci wyrywano matkom a szlachtę tysiącami na step wywożono: rossyjska dyplomacya przedstawiała Stolicy Apostolskiéj, że to się dzieje w interesie moralności, dla dobra poddanych, a nawet na ich własne żądanie. U nas bagnetami zapędzano do cerkiew schyzmatyckich, a od Rzymu domagano się jakoby przyznania praw, które wedle zasad Kościoła służą monarsze; i nieraz ten sam kuryer, co do Rzymu przywoził noty uspakajające, zostawiał w Wilnie lub w Warszawie ukazy, które mieszkańców przywodziły do rozpaczy.—Tę grę ohydną Moskwy opowiada wybornie nasz pisarz i w obszernym rozdziale streszcza obu dworów korespondencyą. Aż nadeszła chwila, w któréj Papież uznał, że dłuższa cierpliwość jest niepodobną, i w pamiętnéj allokucyi przed całym światem chrześciańskim zaskarżył rossyjskiego Cesarza. Wówczas i w Petersburgu spostrzeżono, że należało się zatrzymać, do czasu przynajmniéj, w tém dziele burzenia, i podpisany ów sławny konkordat, który w Rossyi przez ośm lat czekał ogłoszenia a po dziśdzień nie jest wykonany.

Od stosunków religijnych za Mikołaja, przechodzi autor do różnych sprężyn rządowych, których Rossya używa w polskich prowincyach. Opisuje wychowanie publiczne, którego celem, w szkołach świeckich i duchownych, zgłuszyć sumienie i umysł przytępić; dla dania obrazu rossyjskiéj administracyi, kreśli monografią Bibikowa i jego słynnych rządów na Rusi; opowiada wpływ zgubny policyi, sądownictwa i popów; i ukazuje,

że wszystko to było bronią w ręku Imperatora a wszystko użyte przeciw wierze i patryotyzmowi. I gdyby ten system mógł się utrwalić, to za lat dwadzieścia nie byłoby w Cesarstwie ani jednego katolika. Cała machina rządowa nastawiona jest ku temu, aby Kościół polski wcześniéj czy późniéj wywrócić: nie trzeba na to nowych ukazów, dosyć dawne utrzymać, ich wykonania pilnować, a zresztą czekać, aż doza trucizny przezornie wymierzona, w naznaczonym czasie dobije ofiary.

Z wstąpieniem na tron cesarza Alexandra błysła na chwilę nadzieja. Ogłoszenie konkordatu, przedstawienie kilku biskupów, zwolnienie urzędniczego rygoru, głuche wieści o powziętych na kongresie paryzkim zobowiązaniach, a bardziéj nad to wszystko powtarzane po dziennikach pogłoski i obietnice, kazały się domyślać i lepszych zamiarów i uczciwszych chęci. Ale złudzenie ustało. Cesarz zjechawszy do stolicy Polski, do grodu który tyle chowa wspomnień zemsty Mikołaja, wyrzekł do zgromadzonych przed nim po raz pierwszy Polaków: « *wszystko co ojciec mój zrobił, jest dobre; ja to utrzymam i pójdę jego torem.* » Wistocie, nie czekano zbyt długo na dowody; wnet ujrzano zobowiązań powziętych nieszczere wykonanie, szkół publicznych zaniedbanie rozmyślne; w hierarchii kościelnéj utrzymano dezorganizacyą, w rzeczach wiary gwałt i bezprawie. Odnowiono w kilku miejscach schyzmatyckie misye, przypomniano najdotkliwsze ukazy, i podawnemu zaczęły się prześladowania tych, co śmieli żądać wolności sumienia. Ale Cesarz zyskawszy miano reformatora, przejednał opinią, i nie już, jak ojciec, w walce z całym światem, lecz bezpiecznie, spokojnie a nawet wśród aplauzów, *szedł dawnym torem.* « Jakto, woła nasz autor głosem oburzenia, nowy Imperator ma jak dawny panować zepsuciem, zwyciężać podstępem, nawracać morderstwem; ma jak dawny wstydem i sumieniem igrać swych po ldanych, korzystać z ich ciemnoty, którą sam rozszerzy, spekulo-

wać na znikczemnieniu, które przygotuje: a na to Europa liberalna patrzeć będzie obojętnie i tylko serce chrześcianina zabije donośniéj? O, niedaj Boże, aby zmysł moralny tak nizko miał upaść! «*Nie jest dobrém,* » *co zrobił Twój ojciec,* Najjaśniejszy Panie, i uznaném » nie będzie za dobre! Bo choć świat chrześciański na » kilka rozpadł się wiar, jedna jest prawda i jedna mo- » ralność, jak jedno w głębi ducha ludzkiego uczucie, » że dzieło któreś podjął jest niecne i przed Bogiem i » ludźmi niecny ten, który je utrzyma..... »

I na cóż je wreszcie utrzymywać: któż odnosi pożytek z tego dzieła burzenia? Owych kilku milionów, które Kościół utracił albo jeszcze utraca, schyzma z pewnością nie zyskała. Wiadomo, że pierwsze pokolenie, które przewrotni biskupi oderwali od katolicyzmu, chociaż w cichości i bez udziału w obrzędach, dochowało mu wiary; drugie, jeśli mniéj przywiązane do Kościoła, nie mniéj przecież nienawidzi prawosławia; ale cóż się stanie z tą nową generacyą, co za lat kilkanaście dorośnie, i która katolickiéj nie pozna nauki a niewątpliwie do schyzmy się nie zbliży? Pójdą oni prawdopobnie pomnożyć szeregi roskołu, i do ośmnastu milionów sekciarzy, których Rossya liczy obecnie, cztery czy pięć nowych przydadzą. Już tylko grozą ukazów stoi dzisiaj prawosławia: gdyby wolno było jawnie odmienić swą religią, prócz popów i sług rządowych, nikt by w kościele oficyalnym nie został. Bo obok ludności duchem sekciarskim trapionéj, stoi duchowieństwo bez wiary, bez przekonań, bez powagi, a coraz bardziéj ku protestantowi się nachyla. Ile biblii i traktatów protestanckich rozchodzi się obecnie w głębi Rossyi, wiedzą o tém księgarze petersburscy. I oto przyszłość prawosławia, oto plon, co na polu religijném, z siejby rządowéj wyrasta. Mści się na schyzmie Nemezys dziejowa: nikt szkodzić nie może bliźniemu, sobie samemu nie szkodząc.

Rządy cesarza Mikołaja, które syn jego chce daléj prowadzić, będą kiedyś, mniema autor, nowym w historyi świata dowodem, że polityka co gwałci prawa sumienia i moralności, jest, nawet po ludzku rachując, najmniéj zręczną i najmniéj rozumną. «Wszak lat sześćdziesiąt upływa, odkąd system moskiewski na ziemi polskiéj zawładnął. Tyle okrutnych wydał on ukazów, tylu środków próbował gwałtownych i podstępnych, tylu Polaków wywiózł do Rossyi, tylu Rossyan sprowadził do Polski; i w czémże to wszystko dwa narody zbliżyło? Po dawnemu Polska dla Moskali jest krajem obcym i podbitym; po dawnemu Moskwa dla Polaków jest symbolem barbarzyństwa. *Chcę zapomnieć o przeszłości:* wyrzekł Cesarz w Warszawie. Że Cesarz chce zapomnieć, to każdy rozumie: ale dla czegóżby Polacy mieli pamięć jéj utracić? Ich los obecny zanadto do dawnego podobny, a przyszłość którą im obiecują, blizn ich z pewnością nie zgoi. Dopóki ich wiara będzie celem nieustannych prześladowań, ich tradycye i mowa przedmiotem zakazów, dopóki szkoły rossyjskie psuć będą młodzież polską, a rossyjska administracya demoralizować cały naród, dopóty jeden tylko związek łączyć będzie oba ludy: łańcuch więzienny co je do siebie przykuwa. Dopóty téż Polacy będą mieli prawa mówić do Rossyan: «nie lubimy was, bo jesteśmy przedewszystkiem chrześcianami i katolikami; postępki wasze są niecne, więc wami gardzimy; a że jest Bóg na niebie, papież w Rzymie a Francya w Europie, więc w przyszłość spokojnie ufamy!»

Tę wiarę w przyszłość narodu polskiego autor kilkakrotnie wyraża a nie pojmuje innego sposobu, którymby i Kościół od schyzmy oswobodzić i światło katolicyzmu roznieść na Wschodzie i po całéj Słowiańszczyznie. «Kościele polski, woła on na końcu, któremu z taką radością poświęciłem te karty, bodajbym, chcąc tobie służyć, nie zaszkodził ci bardziéj. Cóżkolwiek się stanie,

przyjm dziś od katolika, kapłana i Francuza (trzy godła, co tobie zawsze były drogie), słowo czci i miłości, które Europa cywilizowana głosi dla sprawy najświętszéj, bronionéj męczeństwem. Azaliż się omyliłem sądząc, że nadchodzi czas, w którym dano ci będzie służyć Bogu swobodnie, w kraju oswobodzonym? Bóg sam zna godzinę zmartwychwstania: On mi przebaczy i ty mi przebaczysz, jeźlim ją uprzedził gorącém pragnieniem. Aż do téj chwili, niech twe nieszczęście będzie upomnieniem dla ciebie; lecz niechaj będzie i pociechą, że schyzma, twój wróg, którego Bóg naznaczył aby rozgrzać twą wiarę, nie mogła ciebie dosięgnąć, bez zadania sobie saméj śmiertelnego ciosu... Nigdy Kościół nie zapomniał męczeństwa, nigdy na innéj drodze nie zdobył tryumfu: i może twa wiara i twoje cierpienia zasłużą u Boga, że wstaną znów mężowie, co zrucić potrafią tylowieczną niewolę i ku Wschodowi poniosą odmłodniony sztandar Atanazych, Bazylich i Złotoustych!...»

ANI RAZEM, ANI PRZECIW!

17 listopada.

W jedném z emigracyjnych pism, czytaliśmy przed dwoma tygodniami doniesienie, że p. Michał Domagalski «został mianowany przez jenerała Garibaldego dowódzcą oddziału polskiego (w Neapolu) w stopniu pułkownika.» Nieco później, doszła nas wiadomość, że pan Ludwik Mierosławski, na wezwanie dyktatora, ma formować w téjże stolicy legią «*internacyonalną*» z ochotników zagranicznych. Jakkolwiek te dwa doniesienia nie zupełnie się zgadzają, a usunięcie się Garibaldego obydwom nie mało dzisiaj odejmuje wagi, nie sądzimy przecież aby nam wolno było zbywać je obojętném milczeniem, tém bardziéj, że z początkiem tego tygodnia p. Mierosławski rzeczywiście wyjechał do Neapolu.

Wezwanie Polaków do wspólnéj sprawy z narodem dobijającym się samoistnego życia i gotującym się do boju z jednym z naszych wrogów, obudzać powinno i obudza niewątpliwie w szeregach emigracyjnych współczucie. Z natury swojéj i celów, które ją na obcą wywiodły ziemię, emigracya polska jest wojująca: walczy o niepodległość, a przynajmniej o dobre imię swojego

narodu, i wiedzą o tém, od lat trzydziestu, nieprzyjaciele nasi, głównie zaś Rossya i Austrya, że ilekroć wojnę prowadzić im przyszło, zawsze pod chorągwią im przeciwną, zbrojnych znajdowali Polaków. Z natury zaś rzeczy wynika, że jenerał Garibaldi, gdy o polskim żywiole pomyślał, szukał go w obozie, do którego i tradycyą i sympatyą najbardziéj był zbliżony. Pytanie tylko zachodzić może, jak względem tych prób i usiłowań zachowa się Emigracya, a mianowicie ci z pośród niéj, którzy ani przez swe opinie, ani przez swe środki działania, do rzeczonego nie należą obozu. W tym przedmiocie, chcielibyśmy myśl naszę z całą wyjawić szczerością.

O panu Domagalskim nie wiele umiemy powiedzieć: czytamy tylko, że jest «członkiem Centralizacyi towarzystwa demokratycznego,» téj Centralizacyi, która snać jak fenix i wciąż umiera i wciąż z własnych się odradza popiołów, i o któréj istnieniu po raz drugi w tym roku słyszymy. Z panem Mierosławskim rzecz inna: emigracya zna go i z wojny w Poznańskiém i z książki, którą o niéj napisał; zna go z wypraw badeńskiéj i sycylijskiéj, z mów i odezw, które, różnemi czasy, drukował. Pismo nasze, przed rokiem, zmuszone było poświęcić mu obszerne kolumny, i odeprzeć ze zgrozą słowa niebaczne, któremi naród schorzały nietylko z tego, co go dziś utrzymuje odzierał, ale, i wiarę i naukę wyszydzając przed młodzieżą, najprzedniejszych w przyszłości pozbawiał go sił. Cośmy o nim, w swym czasie, wyrzekli, to publiczność, ufamy, swym sądem stwierdziła, i potępiłaby go równie surowo dziś jeszcze, gdyby zdania dawnym podobne, w swych mowach czy odezwach, ogłaszał na nowo.

Wszakże, obecnie pan Mierosławski nie jest tylko mową i agitatorem rewolucyjnym: z powagi dyktatora jest włoskim jenerałem, i może wistocie będzie powołany do tworzenia, obok zagranicznych, polskiego oddziału. Już więc nie ohydzać ani burzyć tego, co inni robią,

ale sam teraz ma zbierać cegiełki i wznosić budowę, sam pasować się z trudnościami, których nie uznawał, kiedy nie on, lecz inni stawiali. Nie wiemy czy się spostrzegł, że droga którą szedł dotąd, na szlachetniejsze nie prowadzi pole; a w politycznej szermierce nienawykły przebierać w broni, może u innych teraz chęć odwetu przypuszcza. Ale jak nas różnią opinie, tak i w środkach walczenia z przeciwnikiem, nie pójdziemy jego torem; nie przyznajemy sobie wyłącznego prawa do rzeczy publicznej i nie razi nas bynajmniej, że ktoś inny szuka miejsca, które sami, ze spokojnem sumieniem, chyba pod ściśle oznaczonemi warunkami zajęćbyśmy mogli. Bo jeśli do wojny z Austryą czy z innym Polski wrogiem, cała emigracya znajdzie się gotowa, to nie cała może się wmięszać do spraw od nas dalekich: nie przystoi nam ani bronić ani zdobywać Gaety, nie godzi się iść na Kwirynał. Czekać powinniśmy i możemy, bo dla każdego nadejdzie godzina. Nieraz może nam boleć przyjdzie nad tem co się stanie; przecież ani szkodzić ani utrudniać nie myślimy tym, co odmienną od naszej drogą, mniemają służyć ojczyźnie. Niebezpieczne są targi przed cudzoziemcami, bo za nie trzeba nieraz zapłacić dość ciężko; niebezpieczne są na obcej ziemi Polaków o przewodnictwo wyścigi, bo jeden z nich tylko dobiega celu, a każdy, w podobnej walce, przynosi ujmę i własnej i narodowej godności.

POLITYKA FRANCUZKA HR. RACZYŃSKIEGO.

---

17 listopada.

Ostatni zeszyt *Revue Contemporaine* zawiera wstępny artykuł hr. Rogiera Raczyńskiego, pod tytułem: Polityka i Postęp za Cesarstwa. Autor słusznie wykazuje, że mimo czasowego ścieśnienia parlamentarnych swobód we własném państwie, rządy Napoleona III są potężnym czynnikiem postępu nietylko dla ogółu Europy ale i dla Francyi saméj; że polityka zewnętrzna oparta na liberalizmie, uczuciu sprawiedliwości i narodowych autonomiach, jest zarazem najskuteczniejszem przygotowaniem i ubezpieczeniem liberalnego na przyszłość rozwoju polityki wewnętrznéj; że w końcu rozbrat, który we Francyi nastąpił między inteligencyą i przemysłem z jednéj, a instynktem mass (w Cesarzu uosobistnionym) z drugiéj strony, pochodzi właśnie z tego, że liberalizm ciasne zakreślał koło wielkiemu powołaniu Francyi i miary szukał tylko w mierności: przeciwnie do bajki Menneniusza, powiada w jedném miejscu, ze zwykłą sobie świetnością p. Raczyński, głowa to i żołądek tworzą tu teraz koalicyą przeciwko sercu. — I w obecnéj, jak w poprzednich pracach autora, przychodziło nam

uznać a nieraz i podziwiać pierwszego rzędu zalety: szlachetność aspiracyj, głębokie uczucie humanitarne, pogląd zawsze wysoki a nigdy powszedni, kulturę umysłu rozległą a zaprawdę nie tak łatwą teraz do napotkania wśród wyższych warstw naszego społeczeństwa, wreszcie, przy szczęśliwém nieraz i oryginalném wyrażeniu, bogactwo myśli, które tylko zbyt często zapomina o pięknéj przestrodze greckiego poety, że ręką nie worem siew rzucać należy.

Być zresztą może, że czytelnik francuzki mniéj skorym niż my okaże się w uznaniu; że po za częstą a czasem i gęstą mgłą niemieckiego filozofizmu, błędnym tylko ogniskiem mu się wyda to, co prawdziwém jest światłem, i że w obec rzęsistych właśnie błysków i połysków myśli: *fumus ex luce!* zawoła z Horacym... Ale to tylko obchodzi mniejsze lub większe powodzenie autora u publiczności, która nam jest obcą. My, z naszego stanowiska polskiego, polskie tylko pozwolimy sobie zrobić uwagi. P. Raczyński należy do niezbyt małéj liczby naszych rodaków, którzy z widoczną usilnością dobijają się indygenatu w piśmiennictwie francuzkiém. Nie przeczymy, że do tego większe niż wielu ma tytuły: ale tém większy i tém słuszniejszy nasz żal, że umysł tak świetny i bogaty ojczystego odbiega pola i sowy wozi do Aten, gdy w własnym jego kraju ptak Minerwy jest *rara avis* zaprawdę! Nie hołdujemy fatalizmowi kastowych zawodów, i syna nie myślimy przykuć do rękodzieła rodziców. Ale tam, gdzie kastą jest cały naród ciemiężony — paria wśród innych, niestety! — i gdzie rękodziełem jest tak szlachetna, a tak różnorodna praca koło dźwigania ojczyzny, tam może wolno przypomnieć synowi, że drogiéj wszystkim pamięci ojciec, nie wpośród obcych to szukał pola do pracy i popisu i nie mieszkańców to nad Sekwaną usiłował oświecać. P. Raczyński, nie Polaków (zaco byśmy bardzo byli wdzięczni), ale Francuzów chce oświecać o francuzkich sprawach; chce Francuzom wykazać, że wcale na tak złéj nie znajdują się drodze. Trud to może zbyteczny, może téż i nieprzyzwoity. Nie radźmy tym, co sobie sami dotąd radzić umieli, my, tak bezradni i bezładni! Równie może niewłaściwie, jak gdy dla ulżenia wozowi z niego zeskakuje, poczyna sobie mucha, gdy się do niego zaprzęga, — zwłaszcza, gdy tym wozem jest rydwan Francyi i Napoleona. Godzi się niezawodnie, nawet obowiązkiem jest Polaka, głos wśród obcych zabierać i w przedmiotach ogólnéj polityki, ale tylko wtenczas, gdy ich związek z własną, ojczystą, może i chce wykazać sprawą, gdy w szrankach stanąć może ze swym narodowym znakiem i godłem, ale nie jako *czarny rycerz*, w czarnym fraku kosmopolity. Widoczne ubieganie się za taką kosmopolityczną przyzwoitością, najbardziéj nas, wyznajemy, zraziło i boleśnie dotknęło w artykule p. Raczyńskiego. Raz tylko jeden, nieśmiało, prawiebyśmy rzekli wstydliwie, potrącił o naszę sprawę i uczynił Niemce «odpowiedzialnémi za uciemiężenia Polski i Węgier.» Czy tylko Niemce są odpowiedzialnémi za ciemiężenie Polski, i czyż dla tego przemilczano tu o największym i najokrutniejszym z naszych wrogów, że skarżyć się na Rossyą, może nie jest teraz w pewnych sferach paryzkich oznaką dobrego tonu?... Nikt z nas nie oddaje większéj sprawiedliwości szlachetnemu sercu, szerokiemu wykształceniu i humanitarnéj filozofii szanownego autora; a wszakże czujemy się w obowiązku z całą szczerością mu przypomnieć, że jeśli główném zadaniem adepta filozofii jest poznać siebie, to główném zadaniem zwolennika humanizmu jest: być sobą — być Polakiem, gdy się jest Polski synem.

GUSTAW POTWOROWSKI.

---

24 listopada.

Dochodzi nas w téj chwili bolesna wiadomość o stracie, jakie poniosło W. Księstwo Poznańskie w osobie naczelnika swego Koła poselskiego. P. Gustaw Potworowski był mężem, którego nieustanna od lat trzydziestu około interesów krajowych praca, myśl zawsze prawa a od wszelkiéj osobistości daleka, starodawna, w całéj sile żyjąca obywatelska usłużność, charakter wyrozumiały, przyjacielski i pojednawczy, wyniosły na pierwsze, publiczne w prowincyi stanowisko. Na téj pozycyi, która żadnego z narodowych nie wykluczała żywiołów, jednoczył on wszystkie pracujące siły i wyobrażał utworzoną szczęśliwie spojność i sforną a wytrwałą walkę ludności polskiéj przeciwko niemieckiemu naciskowi. Dopełniwszy pięknie żołnierskiego obowiązku Polaka w wojnie 1831 r. oddał się następnie z całą duszą zawodowi obywatela; we wszystkich nadziejach i ofiarach brał udział gorący; łagodząc i do zgody skłaniając, wszystkie umysły uczciwe między sobą wiązał i do siebie tém samém przybliżał, i wszystkich też zyskał niezwykłe, powszechne, serdeczne uznanie. Wziętości téj u swoich

nie dostąpił, szukając między obcymi dla siebie znaczenia i rozgłosu: zdobył ją wśród braci braterską usługą, hardością w obec cudzoziemców, skromnością wobec ziomków, i cichym czy jawnym ale niestrudzonym na ziemi rodzimej zachodem. W dalszych latach swego czynnego, zawsze publicznemu czy sąsiedzkiemu dobru poświęconego życia, p. Gustaw Potworowski był twórcą i duszą tego Koła poselskiego, które prowincyi taką jedność i siłę działania nadało, a swém poważnem wśród obcych stanowiskiem niemało się przyczyniło do dźwignienia całej sprawy narodowéj. Zejście tego męża, w obecnéj szczególnie chwili, jest ciosem zaprawdę dotkliwym; budzi żal nieutulony, budzi w pewnéj mierze i niepokój... Ale jest to może i pięknym symbolem wielkiéj bezinteresowności tego całego żywota, że zagasł właśnie w godzinie, w któréj głośne obywateli miało go spotkać uczczenie. I w téj ostatniéj chwili, jak przez lat tyle, mąż zacny i prawy pozostał wiernym sobie: dzielił trud z towarzyszami do końca, usunął się przed nagrodą...

CESARSKA NIEŁASKA NA LITWĘ.

Wilno, 24 listopada.

Żyjemy pod terroryzmem. Czasy Mikołajowskie w całéj odnowiły się sile, i nikt nie jest pewnym dnia jutrzejszego. Komisya śledcza znowu przywrócona pod prezydencyą pułkownika Hallera, dyrektora bióra jeneralnego Gubernatora; rewizye po mieszkaniach są częste; policmajster tutejszy, Wasilew, wpada do domów zwykle o północy, z całą swoją świtą, szerząc popłoch, przetrząsając książki, papiery, łóżka i kieszenie. Biorą do wiezienia za książki zakazane, które od lat kilku odbiegały dość wolno po kraju i znajdowały czytelników od uczniów gimnazyum aż do urzędników policyi; szukają wierszy rozmaitych i broszur. Dni temu kilka, aresztowano księgarza Assa, u którego znaleziono pakę druków zagranicznych; o uwięzieniu Władysława Jankowskiego już wam w poprzednim doniosłem liście. Los tego człowieka bardzo tu wszystkich obchodzi; bo każden przekonany o jego niewinności, jak również o jego zacnym, nieskazitelnym charakterze. Kierował on tu pensyonatem chłopców, i z pracy mozolnéj, nietylko siebie utrzymywał z godnością, ale był podporą starego

ojca i dwóch młodszych braci, którzy się kształcą na uniwersytecie. Powodem jego uwięzienia jest, że w roku zeszłym u niego mieszkał niejakiś Wiszniewski, korepetytor młodzieży, u którego znaleziono różne wiersze patryotyczne. Wielu pociesza się nadzieją, że Jankowskiego wkońcu wypuszczą na wolność; ale w każdym i najlepszym razie złamano mu karyerę i odebrano sposób do życia: to nazwą *łaską!*... Powiedziałem, że się wracają czasy Mikołajowe: więc niepotrzebuję dodawać, że to zarazem czasy Herodowe, i że prześladowanie dziatek wchodzi w program tych *saturnia regna*. Uwięziono kilku uczniów gymnazyum; a wychowańca dworzańskiego Instytutu, Romera (wnuka b. marszałka Michała Romera) oskarżonego o to, że w dzień cesarskiego przybycia pogasił w oknach lampy, tak nielitościwie z rozkazu dyrektora zbito rózgami, że biedny chłopak, nazajutrz, dostał pomięszania zmysłów.

Wszystkie te prześladowania zostawił nam w upomniku cesarz Alexander II, na «*nastajaszczą*» rossyjską przekładając prozę, osławioną poezyą p. Odyńca o *Królestwie Bożém*. Cesarz, przed swoim ztąd wyjazdem, sam kazał śledzić i «wykryć spiski.» Spisków nie było, nie ma, być nie może: ale tegoroczne zachowanie się Litwy tak odbijało od przeszłego, zmiana zaszła w widzeniach i postępowaniu obywatelstwa naszego jest tak wielką, tak dla p. Nazimowa niespodzianą, że Moskale inaczéj sobie tego tłómaczyć nie chcą czy nie mogą, jak tylko przez «spiski» — nie pojmując zgoła, że są czasy, że są prądy opinii, że są ocknienia narodowego a długo gnębionego ducha, dla których tak niepotrzebne są wszelkie tajne umowy, jak mało groźne wszystkie przybory śledczych komisyj. I dla tego pozwolę sobie wrócić jeszcze raz do pobytu Cara w naszym jagielońskim grodzie i zanotować szczegóły, których zrazu w pierwszym moim liście umieścić nie mogłem. Bo jakkolwiek spóźnione, szczegóły te mają swoje znaczenie, malują

obecny moralny stan naszéj prowincyi: fakta to przechodnie, ubiegłe; ale są one objawem czegoś stalszego, trwalszego. Powtarzam więc jeszcze raz: przyjęcie jakiego tu doznał monarcha, nietylko zupełnie było odmiennném od dawniejszego, ale co ważniejsza, że jeden duch pod tym względem ożywiał wszystkie warstwy naszego społeczeństwa, szlachtę, mieszczan i lud. Jedni tylko żydzi stanowili wyjątek, i aż do chrypki krzyczeli *ura!* i czepiali się kół powozów cesarskich. Spotkał téż ich ten zaszczyt, że Car po razy kilka na dzień przez ich przejeżdżał ulicę, *niemiecką* mianowicie, starannie unikając *zamkowéj* i *wielkiéj*, w których sami mieszkają chrześcianie. Do rozbudzenia zapału w Izraelu, przyczyniły się najwięcéj rozrzucane między łapserdakowy motłoch pieniądze; a szczególniej w tém pomagał policyi bogaty żyd Opatow, któremu snać nie dają spać laury dawnego jego pana, owego sławnego Nissena Rozentala co wydał Konarskiego, i u którego obecny wielki «podradczyk» był niegdyś fagasem. Natomiast wszystkie cechy rzemieślnicze w Wilnie zobowiązały się nie robić żadnych demonstracyj ulicznych, ani téż chłopców swoich wypuszczać na miasto — i dotrzymały słowa. Z młodzieżą uniwersytecką, która tu podczas wakacyj bawiła, długą prowadził wojnę p. Nazimow, chcąc ją nakłonić do jakiegoś kroku solennego na uczczenie monarchy; wreszcie, zrozpaczywszy o skutku, kazał jéj wyjechać z Wilna, kilkunastu z nich nawet ofiarował darmo odesłać do Petersburga i zabrał ich z sobą jednym pociągiem. Młodzieży szkolnéj zabroniono samym jednym wychodzić na ulicę, z obawy aby nie gasili illuminacyi. Płeć nasza piękna, z małym wyjątkiem kilku biednych pań, które jak pewne duchy Dantego żyły *senza gloria*, ale nie jak one *senza fama*, świeciła swoją nieobecnością równie w teatrze jak w salonach. O znalezieniu się obywateli w sprawie składkowego balu, już wiecie oddawna; muszę wszakże nad-

mienić o jednym ze środków, użytych przez p. Nazimowa, do dodania bodźca dobréj woli mieszkańców. Wiadomo, że magazyny włościańskie rzadko u którego obywatela są w stanie, w jakim być powinny; a trwający już od dwudziestu kilku lat zwyczaj nasyłania znienacka rewizorów ma naturalnie tylko ten skutek, że się staje zadość urzędnikom, ale bynajmniej nie prawu. Otoż i tych rewizyj użył jeneralny gubernator w obecnéj okoliczności w celu *publicznym;* i tym razem oprócz *prywatnéj* tranzakcyi między właścicielami a rewizorami, miała téż miejsce ugoda co do składki na bal. Bardziéj niż zwykle wypróżniła się kieszeń dziedzica — nie napełniły się włościańskie magazyny! Nic zresztą zabawniejszego nad spryt przemyślny, z jakim policya rossyjska umie łączyć zwykle dobro własne z dobrém ogółu: *utile dulci.* I tak np. kazała właścicielom kamienic na wszystkich domach miasta poprzybijać, pod karą sztrofu, orły dwugłowe i chorągwie różnofarbne. Przez chwilę gród nasz był w kłopocie, zkąd naraz dostać tylu tysięcy niezwykłych sztandarów i nienaturalnych ptaków: ale policya w swojéj opatrzności przezornie przygotowała była tysiącami te nakazane oznaki wesela i wierności, i przedawała je po umiarkowanéj cenie 7 do 10 rubli srebrem. O tym samym czasie, w jednym z petersburskich ekonomicznych Przeglądów czytaliśmy rozprawę wynoszącą pod niebiosa zasadę *free trade* i potępiającą energicznie wszelkie mięszanie się rządu do industryi. Panu Cobdenowi z tego niech będzie chwała, a naszéj policyi pożytek!

Zły humor Cesarza, którego przedewszystkiém gniewało, że właśnie w przytomności tylu książąt niemieckich, umyślnie do Wilna zaproszonych, spotykało go tak zimne, lodowate przyjęcie, nietylko się objawił w znaném odezwaniu się do p. Domejki, ale niemal w każdym monarszym przebijał kroku i ruchu. Przedstawionych sobie przez Nazimowa marszałków guberskich i powia-

towych dwiema tylko stereotypowemi uraczał naprzemian pytaniami: jednego, czy daleko mieszka od żelaznéj kolei; drugiego, czy służył w wojsku; większéj rozmaitości nie potrafił nadać swym słowom, które wszakże, nasz *Kuryer Wileński* nazwał «uprzejmemi.» Uprzejmém, a raczéj *serdeczném* było tylko jedno słowo do ks. Ireneusza Ogińskiego: spytał się go o zdrowie żony, z dawnych, młodocianych znanéj sobie czasów. Zwiedzając różne zakłady w Wilnie, ominął Alexander II gymnazyum; ale natomiast zaszczycił wizytą Instytut dworzański, gdzie do uczniów przemówił, zachęcając ich, aby wstępowali do wojska. Przypomnieliśmy sobie, że podobnież w r. 1850, Mikołaj, zwiedzając ten sam Instytut, gdy każden z kolei zapytany uczeń oświadczał chęć dalszego kształcenia się na uniwersytecie, odrzekł: «dosyć już tych uniwersytetów i nauk; czas służyć ojczyznie» (*dowolno uż etich uniwersytetów i nauki; poria służyt otieczestwu*)... Gdyby tylko tą ojczyzną nie było owe *otieczestwo!*... Zauważano że tym razem *togæ armis cedere.* Przed dwoma laty, musztrując wojsko w Wilnie, znajdował N. P. wszystko złém, łajał naczelników i żołnierzy; natomiast szlachtę głaskał i różne jéj prawił grzeczności. Dzisiaj przeciwnie, nieukrywał swego nieukontentowania z obywatelstwa, a wojsku podchlebiał, chwalił je bez ustanku, przez dwa dni się niém bawił. «Widać, żeśmy mu znów potrzebni» mawiali tu oficerowie rossyjscy.

Jednę wszakże Cesarz miał w naszym grodzie uciechę, która wielką zapewne dla niego, a większą jeszcze dla nas była niespodzianką. Pod kolumnami naszéj starożytnéj Katedry gdzie złożone są prochy ostatniego z Jagielonów, przywitał go nasz arcypasterz Zyliński mową, *po rossyjsku!* Pozwolę sobie zapytać, dla czego w tym języku, i czy łacina nie była tu środkiem równie bezpiecznym jak urzędowym? Jeśli arcybiskup Zyliński zresztą potrafił dowieść, że w danym razie umie się

czegoś nauczyć, to p. Eustachy Tyszkiewicz znowu okazał, że w potrzebie o czémś zapomnieć jest w stanie. Wiecie zapewne, że posiadamy w Wilnie Muzeum Archeologiczne, które jak arka Noego, mieści w sobie exemplarze nieczyste razem z czystémi (obok drogich zabytków polskich, włos n. p. wielkiéj Katarzyny) a którego «zasłużonym» prezesem jest p. Eustachy Tyszkiewicz. Otóż ten, gdy oprowadzał monarchę po téj *Sybilli* swego wymysłu i chowu (*quantum mutata ab illa!...*) nagle rażony został pytaniem cesarskiém, tyczącém się pewnego stołu dębowego, przy którym się przypadkiem zatrzymano. Odpowiedź wszakże łatwą była i opiewa ją katalog: stół to, na którym Stefan Batory podpisał akt fundacyi uniwersytetu wileńskiego. Ale p. Eustachy Tyszkiewicz bał się, aby dostojny gość nie widział w tém alluzyi do wyraźnego przez obywatelstwo żądania co do przywrócenia nam uniwersytetu; więc po chwili wahania się odrzekł: «*eto stoł na kotorym Batory utwierdił postrojku etich zdanij*»... Widzicie więc, że archeologia niekoniecznie za sobą prowadzi odwagę obywatelską; a to mi także nastręcza sposobność do zwrócenia waszéj uwagi na bardzo niewłaściwe a jednak bardzo rozpowszechnione w naszym języku nierozróżnienie między *dyplomacyą*, która jest sztuką wielkich i małych Talleyrandów, a *dyplomatyką*, która jest nauką «zasłużonych» paleografów i archeologów.

W końcu, nadmienić muszę o najważniejszym fakcie życia obywatelskiego, jaki tu zaszedł podczas pobytu monarchy. Zrozpaczywszy o przyprowadzeniu do skutku świetnego przyjęcia dla Cara, p. Nazimow, nietylko oświadczył jak wiecie, że N. Pan balu nie przyjmie, ale napisał nadto do gubernatora Chomińskiego, by oznajmił szlachcie żmudzkiéj i marszałkom, że przyjazd ich do Wilna na przywitanie cesarza nie jest pożądanym. Mimo to, wszyscy marszałkowie kowieńscy, oraz dużo szlachty stanęło w naszym grodzie na dzień 14 paździer-

nika, a celem tego zjazdu było nieco innego, jak podanie do cesarza adresu z prośbą o uniwersytet w Wilnie, o przeprowadzenie języka polskiego w szkołach (nie tak jak dzisiaj po jednej lekcyi na tydzień) administracyi i sądownictwie, o przywrócenie sądów jawnych, wreszcie o tolerancyą religijną. Przez kilka dni trwały rozprawy w tym przedmiocie; wszyscy marszałkowie kowieńscy, oraz niektórzy wileńscy (n. p. pan Ludwik Jeleński) z całych sił popierali sprawę adresu; niemniéj téż ogół szlachty dwóch gubernij był zatém. Tylko marszałkowie wileński i wilejski (p. Tyszkiewicz i p. Tukałło) okazywali obojętność czy niechęć; zaś marszałek gubernialny (p. Domeyko) największą stawił opozycyą. Wszakże, przyparty przez obywateli kowieńskich, zdawał się w końcu uledz życzeniu wszystkich i do zamierzonego aktu przystąpić. Ale nazajutrz (było to właśnie w dzień przybycia Alexandra II) surowo przez Nazimowa zagadnięty o zamysł, wyparł się udziału w adresie. Między innemi powiedział p. Nazimow panu Domeyce, że wié o wszystkiém co się dzieje, wié nawet, co mówiono przed tygodniem na zebraniu u marszała Tyszkiewicza (gdzie ośm tylko było osób!) i co wyrzekł marszałek kowieński (p. Ludwik Żyliński): «iż nie tyle chodzi o skutek adresu, jak o to aby fakt był spełniony i za granicą wiedziano, że tu nie moskale mieszkają.» Przekładał także p. Nazimow, iż podanie adresu teraz jest nielegalne, gdyż tylko na ogólnych wyborach szlachty wolno jest prosić o coś cesarza. Odstąpienie p. Domeyki, sparaliżowało całą sprawę; to też żale są wielkie do gubernialnego marszałka, i z goryczą sobie przypominają, że już podobnież przed dwoma laty zbytnią ostrożnością, wahaniem się i przyobiecaném, prywatném, swojém, a jakoby skuteczniejszém wstawieniem się u władzy, obrócił w niwecz wszystkie dobre chęci obywatelstwa do śmiałego a poważnego wystąpienia. Miejmy nadzieję, że nie na samych bezpłodnych się skończy u nas żalach; że szlachta, jak z jednéj strony poznała ważność urzędu, który od jéj zależy wyboru, tak z drugiéj uchwyci pierwszą legalną sposobność do objawienia światu: «*że to nie Moskale nad Wilią mieszkają*»...

POLITYKA POLSKA NA WSCHODZIE.

8 grudnia.

Chwila obecna mało sprzyja sprawom cichym i odległym. Jeszcze mniéj sprzyja ona wszelkim objawom religijnego ducha i chrześciańskiego rozwoju. Trudno oderwać uwagę świata od włoskiego półwyspu; trudniéj może jeszcze ją zniewolić dla ludzi i ludów, co w Rzymie, nie samę tylko stolicę przyszłego państwa włoskiego, ale i tę opokę widzą, na któréj Chrystus oparł swą naukę. Mimo to jednak, religijny ruch biednych Bulgarów żywo zajął umysły i wielu z tych rozbudził, co czuć i ważyć umieją. Nie jest to może bez głębszego, ogólniejszego znaczenia, że podobne świadectwo wiary w obecnéj właśnie chwili i wśród takiéj właśnie objawia się ludności. Nie podzielamy bynajmniéj zdania tych naszych uczonych i « badaczy », który dla większéj snać chwały słowiańskiego imienia, « słowiańskiém » być mienią dzieło Lutra i Kalwina, i w prostéj je wyprowadzają linii od dawnych bulgarskich *Bogumiłów*. Zaprzeczyć jednak nie można, że z Bulgaryi wyszło w XII wieku, pierwsze hasło tego protestanckiego ruchu, który następnie w różnych się okazał przemianach Waldensów,

Albigensów, Wiklefitów i t.d., i najpełniejszy i ostateczny swój wyraz znalazł w dziele Reformacyi. A w takim razie, nie jestże to dziwném, a może i znaczącém, że zwrót do katolicyzmu właśnie w téj teraz odzywa się krainie, która była niejako kolebką wielkiego sekciarstwa? Nie jestże to dziwném, a może i znaczącém, że gdy w ojczyznie Danta i Ś. Tomasza tak mało teraz popłaca wielka tradycya Piotrowa, tak ciężko natomiast ona ważyć zaczyna w ojczyznie lekarza Bazylego?... Od podobnych wprawdzie myśli wstrzymuje się rozważnie wielka publiczność, i trzeba nawet pewnéj odwagi, aby o nie choć zlekka potrącić. Ale tak głęboko nie sięgając, publiczność jednak dość przyjaznem patrzy okiem na dzieło rozpoczęte u stóp Bałkanów. Rodacy, w kraju jak za granicą, instynktowo poczuli całą ważność téj sprawy, i bez względu na wielkie zawikłania Zachodu i na zniżony religijny nastrój w duszach, z zajęciem, z miłością, z wyglądaniem śledzą jéj dalszego rozwoju. Słyszeliśmy nawet z ust niejednych to naiwne a bolące wyznanie, że « jednak katolicyzm *na coś* przydać się może! »... Bolącém ono było dla tych przedewszystkiem, co sobie przypominali, że naród nasz, jeszcze tak niedawno temu, rad głosił się, lub był głoszony, narodem szczególnie katolickim, arcykatolickim, ludem wybranym wśród wszystkich wiernych ludów...

Cokolwiekbądź, i jakiekolwiek z drugiéj też strony nastać mogły na czas przeszkody i zwolnienia w usiłowaniach mieszkańców dawnéj Mezyi, unia bulgarska domagać się ma prawo wszelkich naszych względów i najczynniejszych zachodów: bo dzieło to jest tak dobrze w odwiecznem powołaniu, jak w najżywotniejszym interesie Polski. Oskarżono nieraz Polskę o obojętność dla Słowiańszczyzny; wyrzucano jéj, i dosyć ostro nawet, że za czasów swéj potęgi i chwały, nie myślała o zjednoczeniu, wyraźniéj mówiąc, o podbiciu wszystkich « braci Słowian ». O czémś podobném, wistocie, Polska

nie myślała nigdy. System macedońskich *annexyj* i pruskich *zaokrąglań* był wstrętnym jéj naturze; i my przynajmniéj tego braku nie policzymy do rzędu jéj grzechów; gotowiśmy tę ujemność raczéj jedną z jéj największych nazwać cnót historycznych. Nie mamy zwyczaju podchlebiać naszemu narodowi, tak mało w jego obecności jak w jego przeszłości : ale śmiało oświadczamy, że w dziejach ogólnych ludzkiego rodu, nie widzimy kraju, któryby do tak wysokiego stopnia, jak nasz, był posiadał i w sobie wydoskonalił uczucie międzynarodowéj sprawiedliwości. Uznanie praw obcych, uszanowanie państw słabych, nienaruszenie sąsiednich i choćby nawet pokrewnych autonomij, było stałą i zaszczytną regułą zewnętrznéj polityki, którą Polska ściśle i święcie przestrzegała przez wieki i aż pod koniec niezawisłego swego bytu — jakby tém zgóry ohydne bezprawie, na niéj późniéj przez obcych dokonane, chciała tém ohydniejszém uczynić. Wiadome jest szlachetne wyznanie wiary co do praw ziem pruskich, przez wielkiego naszego Tarnowskiego na polskim sejmie uczynione : wyznanie wiary, które w naszych, tak zmienionych, niestety ! — czasach, posłowie wielkopolscy na sejmie berlińskim, nie raz, bez skutku wprawdzie, ale zaprawdę, że nie bez chluby niemieckim naszym zaborcom przypomnieć mogli. Podobnież, gdy jednemu z naszych wielkich królów ofiarowano koronę wielkiego pobratymczego państwa, odrzekł : «Na cóż tyle narodów owładnąć, kiedy tak trudno i jeden uszczęśliwić?... » Słowo na nasze czasy dość dziwne, niezgodne z « wielką myślą », nieczerpane z Machiavela : a wszakże, z radością je zapisujemy na szanownym i szanowanym sztandarze naszéj nieszczęśliwéj Polski, i wolimy to godło niż owo « *suum cuique* » pod którém krzyżacki nasz niegdyś wasal tak szczęśliwie zaokrąglić się potrafił ! Tak jest, Polska nie umiała robić podbojów, nie myślała nigdy o zaborach i choćby upiększonych nazwą « idei », złudnym

pozorem « jednoczenia braci ». Ale idei prawdziwéj, cywilizacyjnéj, ale braterstwa prawdziwego, chrześciańskiego, tych bronić umiała i wśród Słowian, i szanując ich autonomią, ich historyczny a udzielny rozwój, odpierała tylko to, co groziło ich moralnemu jestestwu, a odpierała krwią swoją i życiem najdzielniejszych swych synów : walczyła « za swoję i za ich wolność » przeciwko Muzułmaństwu nasamprzód, przeciwko schyzmie moskiewskiéj następnie. Sobieski nie sam tylko Wiedeń wydarł Solimanowi, ale i wszystkich Słowian węgierskich, już na wpół zturczonych; a kto z uwagą zechce przeczytać tragiczną wyprawę szlachetnego Warneńczyka, kto w tym celu choć tylko przejrzy żywot Grzegorza z Sanoka, przez Kallimacha skreślony, ten się przekona, jaką to ognistą myślą oswobodzenia « braci nad Dunajem » pałała piękna dusza naszego chrześciańskiego Achilla. Kiedy w następstwie czasów, Islam przestał być groźnym Słowiańszczyznie, obrócił się nasz naród przeciwko innemu, nierównie niebezpieczniejszemu jéj wrogowi, którym był moskiewski Byzantyzm. Przeciwko niemu, a w obronie cywilizacyi i autonomii Słowian, prowadziła Polska walki wiekowe, stawiała dzieło unii greckiego kościoła; a gdy już walczyć i organicznie budować nie mogła, nie przestała upominać, i rozproszeni na wszystkich krańcach ziemi synowie jéj, przestrzegali Europę, wskazywali także braciom słowiańskim zasadzki i sidła, jakie im stawiała Moskwa, bronili ich ducha od zgnilizny carskiego prawosławia, ich samodzielnego i różnorodnego żywota i rozwoju, od jedności w śmierci, jaką im gotowała propaganda panslawizmu.

W sprawie bulgarskiéj Polska poznaje swoję odwieczną misyą; poznaje w niéj także i swój obecny przeważny interes. Kiedy na początku naszego tułactwa, niektóre osoby wskazywały na Wschodzie strategiczny punkt wielkiéj ceny w naszym boju z Moskwą, i tam

skierowały niejedno usiłowanie, wówczas tak dobrze może w kraju jak w emigracyi spoglądano z politowaniem, z szyderstwem na te *ciemne* roboty, i wyśmiewano może tych, co tak dalekie robili zachody, kiedy nierównie krótsza i pewniejsza w Niemczech. Dzisiaj, zmieniły się pod tym względem wyobrażenia znacznie; dzisiaj każden z nas instynktowo czuje i łatwo przyznaje, że w kwestyi wschodniéj leży w wielkiéj części przyszłość i polskiéj sprawy. Wszakże samo uznanie téj prawdy bynajmniéj jeszcze nie wystarcza; z nadzieją połączone są także obowiązki, z widokami korzyści połączone są potrzeby prac i działań, przedewszystkiém zaś potrzeba dobrego zrozumienia kwestyi tak zawiłéj a wielkiéj. Nie o prędkie, gorączkowéj naszéj niecierpliwości odpowiadające tu rozwiązanie nam chodzić powinno, lecz o mozolne wpawdzie ale skuteczne przygotowanie nieodzownéj przemiany w duchu cywilizacyi i wolności. Chodzi o to, aby z ustępującą zwolna falą dawnego najazdu, i zanim się będzie mógł ztoczyć z Bałkanów lodospad rossyjski, żywioły słowiańskie pod panowaniem tureckiém nabrały siły, przeświadczenia o sobie, zamiłowania do swojéj udzielności i autonomii; chodzi jedném słowem o to, aby następujące, czyhające a nierównie groźniejsze od poprzedniego, drugie barbarzyństwo, nie czczość tam zastało, któraby w takim razie, mimo wszystkich protestacyj i protokołów, nieprzeparcie i harmonijnie z jego własną się zlała czczością, ale aby zastało tam życie co śmierć od siebie odpycha, dzielność i samodzielność co niewolę odtrąca, aby nowe barbarzyństwo zostało odnowioną cywilizacyą — a najpoteżniejszym zaś czynnikiem téj cywilizacyi, jest Unia.

Unia!... Jedna to z największych zasług dziejowych naszego narodu, wielki testament polityczny i moralny Polski: most to, jéj zbudowany ręką, aby po nim Słowiańszczyzna cała przejść mogła do cywilizacyi zachodniéj. Cokolwiek życzyć i marzyć zechcą dusze gorliwe

ale uporne: wschodnie ludy nie potrafią odrazu poddać się twardości łacińskiego obrządku, nie są zdolne utrzymać bezżeństwa księży, nie zdobędą się na odstąpienie od swych rytów i zwyczajów liturgicznych, na obrządek łaciński nie przejdą. Unia jedna tylko może te ludy przyprowadzić do powszechnego Kościoła. Mamyż powiedzieć? Prawda ta mało była, mało i dotąd jest zrozumiana w katolickim nawet świecie. Nie zrozumiał jéj czynny i słynny zakon, który tyle pracował w Słowiańszczyznie dla rzymskiéj wiary; nie rozumieją dotąd Francuzi, nawet gorliwi wśród nich katolicy ale robiący z łacińskiego obrządku warunek nieodzowny nawrócenia; nie rozumieją także i ci Polacy, którzy o Polsce uczą się od Francuzów; przedewszystkiém zaś, niestety, nie rozumie tego szlachta nasza, gdy w domowém i wiejskiém swém życiu tak nierozważną i dla jednéj strony ubliżającą robi różnicę między łacińskim a unickim księdzem. Rzec można, że papieże tylko jedni, z wysokości Stolicy Apostołów, umieli spoglądać bezstronnie na wielkie polskie dzieło i całą jego ważność ocenić. Rozumiał je Klemens VIII, gdy na wieść o Unii Brzeskiéj zawołał: *O mii cari Rutheni, par vos totum Orientem convertire spero;* zrozumieli Paweł V, Grzegorz XIII, Urban VIII, Benedykt XIII, Klemens XIV, kiedy *pod klątwą* zakazywali prowadzać z unickiego obrządku na łaciński. Zrozumiało je także, dodać winniśmy, świeżo i duchowieństwo czeskie, kiedy dwudziestu, z pomiędzy niego, uprosiło dzisiejszego Papieża, aby dozwolił im z łacińskich stać się unickimi księżmi...

Ale przedewszystkiém wielką i wiekową tę myśl Polski zrozumiała Moskwa. Odgadli jéj doniosłość Katarzyna II i Mikołaj, kiedy oszczędzając do czasu obrządek łaciński, z całą zaciętością i wściekłością mongolskiéj natury tępili odrazu Unią; odgadli i teraz Rossyanie, gdy wszystkich dokładają starań aby Bulgarów utrzymać przy byzanckiéj wierze. Bo Unia w Bulgaryi, to mur

nieprzebyty, który Rossyą rozgradza od Stambułu, to rozszerzone aż po Dunaj Bałkany. Przykład to dla innych ludności słowiańskich i utorowana to aż do Azyi droga dla łacińskiéj zachodniéj cywilizacyi. — I nie dla saméj zewnętrznéj tylko polityki Rossyi, ale i dla wewnętrznego jéj składu i organizmu, ożywienie Unii w Bulgaryi jest dziełem groźném, rozczyniającém. Któż kiedy sprawdził liczbę Rozkolników w Rossyi? Jedni mówią, że ich jest milionów dwanaście, drudzy, że ośmnaście, a jeszcze inni utrzymują, że za nadaniem wolności chłopom, wszystkie mużyki przejdą do tego Rozkołu, w którego oczach Car jest «antychrystem» i o którym Moskale sami wyznali (1) że w czasie wojny krymskiéj, gotów był sprzymierzyć się z każdym politycznym nieprzyjacielem prawosławia. Otóż Rozkoł opiera się na téj saméj zasadzie co Kościół łaciński i Unia: to jest na zasadzie rozdzielenia władzy świeckiéj i duchownéj. Jakież by to więc pole się otwierało dla odnowionéj w Bulgaryi Unii, i jakiż by to ją plon bogaty czekał wśród tych Rozkolników, którzy już teraz większe nierównie ukazują uszanowanie dla księdza nawet łacińskiego niż dla schyzmatyckiego popa; który już teraz (wiedzą o tém dobrze obywatele prowincyj zabranych, na których gruncie mieszkają starowiercy), ilekroć spotkają rzymskiego kapłana, odkrywają przed nim głowę i całują go w ręce, bo to kapłan — mówią — wprawdzie nie zupełnie prawowity, ale przynajmniéj sługa Boży nie rządowy, nie urzędnik żaden ani policyjny agent!... Zwracaliśmy już na to swego czasu uwagę, i widzimy się spowodowani w obszerniejszym jeszcze kiedyś do tego wrócić wywodzie, że my Polacy tak zupełnie niepotrzebnie jak nierozważnie poślubiamy czasami wstręt Rossyan do tych rozlicznych sekt religijnych, które rozdzierają łono

(1) *Essai sur le Raskol*, Paris, 1859.— *Wiadomości Polskie*, 16 i 23 kwietnia 1859.

Caratu; że równie łatwowiernie jak lekkomyślnie wpośród nas samych i przed cudzoziemcami ohydzamy nieraz Rozkoł, wszystkie przyjmując i szerząc potwarze, jakie nań miotać podoba się Moskalom. W tym Rozkole tli myśl wielka, sprawiedliwa, żywotna, myśl zasadnicza całéj cywilizacyi zachodniéj: myśl niezależności władzy duchowéj od świeckiéj; w tym Rozkole jest zaród śmierci dla moskiewskiego potworu, zaród potężnego przymierza dla Polski przeciwko wspólnemu ciemiężycielowi dusz i ciał, a rzecznikiem i pełnomocnikiem takiego przymierza może tylko być Kościół Unicki.....

Tak w widokach jéj na zewnątrz, jak w wewnętrznym jéj układzie i organizmie, dzieło rozpoczęte nad Dunajem jest groźném dla Rossyi; a podobnież tak w widokach jéj na zewnątrz, jak w wewnętrznym jéj układzie i organizmie, obiecuje ono natomiast Polsce wielkie, nieprzebrane korzyści. Wszyscy przecież czujemy potrzebę i niezmierną ważność ocalenia resztek unickiéj ludności wewnątrz naszego kraju przed naciskającą i dławiącą schyzmą; wszyscy przecież pełni jesteśmy niepokoju i trwogi o los tych szczątków naszéj wiekowéj Brzeskiéj budowy, których jeszcze nie zdruzgotała ręka Siemaszków, i w proch obróciwszy i krwią zalawszy nie zamieniła w schzmatyckie błoto. Jakież pokrzepienie, jakąż otuchę do otrzymania, jakąż siłę do oporu by znalazły te biedne szczątki w ożywieniu Unii wśród Bulgarów! Wszelka wiara traci siłę odporną skoro traci siłę apostolską, a z jedną odzyskuje zarazem i drugą: Kościół Unicki, podbijając nowe ziemie, wyrobi w sobie potęgę do odzyskania ziem dawnych, nawpół utraconych. Dzielimy także przekonanie, że ożywienie Unii najskuteczniéj się również przyczyni do zlutowania zwątlonych ogniw, które od wieków i na wieki nas łączą z drogą i świętą Rusią. Bo nim o wszelkich nam czynionych zarzutów, nie możemy dotąd rozstać się z przeświadczeniem, że ta tak bolesna i przez Moskali z szatańskim cynizmem ex-

ploatowana kwestya ruska, która słusznie wielu zpośród nas niepokoi, zaprząta i zapala, nie jest jednak kwestyą filologii, archeologii i etnologii, ale jest kwestyą historyi i cywilizacyi, a więc przedewszystkiém kwestyą religijnéj wolności.

Powiedzieliśmy, że obecny ruch bulgarski jest w posłannictwie Polski, że jest w jéj interesie; mamyż jeszcze dodać, że w części jest także i dziełem Polaków?... Nie chcemy własnéj tu zasięgać pamięci i wywodzić na jaw faktów, które jeszcze domagają się cienia. Pozwolimy sobie wogóle tylko, o polskich usiłowaniach na Wschodzie, przytoczyć dorywcze wprawdzie, ale niezawodnie bezstronne zdania cudzoziemców, co rzeczom zblizka się przypatrywali lub głębiéj je poznać umieli. Dyplomata francuzki, pełen bystrości i dowcipu, który z poręki swego rządu, kilkakrotne i kilkoletnie pełnił missye na Wschodzie, zwrócił może pierwszy, przed rokiem, uwagę większéj publiczności na ciche prace polskie za Bałkanem. « Emigracya polska, — powiada p. Emile » Poujade w dziele *Chretiens et Turcs*, które tak wiel» kiego doznało powodzenia — bardzo skrzętnie praco» wała nad tureckimi Słowianami, w czasowym interesie » Porty przeciwko rossyjskiemu, jak to nazywała, bał» wochwalstwu. Praca ta największy przynosi zaszczyt » gorliwości i poświęceniu polskich agentów; w rozbu» dzeniu wśród Serbów, Bośniaków, Bulgarów, naro» dowych aspiracyj i oderwaniu ich od rossyjskiego » panslawizmu, Polacy złożyli dowody niemałéj zabie» gliwości i talentu. Skutki téj polskiéj propagandy wi» doczne są teraz wzdłuż i wszerz całéj Turcyi euro» pejskiéj..... » Publicysta pierwszego rzędu, który zawikłań na Wschodzie oddawna czujném śledzi okiem i niejednę wymowną im poświęcił stronnicę, a którego o zbytnią dla nas życzliwość nie łatwo kto posądzić zechce, nie mógł się jednak wstrzymać od oddania szczerego hołdu myśli polskiéj, gdy o nią potrącił nad Bosforem. « Siła moralna — zawołał, temu rok, p. St. Marc » Girardin w *Debatach* (z dnia 20 grudnia) — siła moralna » jest przyczyną odżywczéj agitacyi w prowincyach sło» wiańskich tureckiego państwa. Czémże są, w rzeczy » saméj, ci polscy wygnańcy, czémże innem jeśli nie » poufnikami i czynnikami wielkiéj siły moralnéj, o » któréj siła materyalna sobie pochlebia, że ją skruszyła? » Duch polski, zawsze żywotny, aczkolwiek ojczyzna » jego zda się być umarłą, tworzy na Wschodzie Sło» wian wolnych, których szykuje naprzeciw Rossyi, » gotuje wrogów na przyszłość przeciwko swym wrogom » z przeszłości. A wolnych tych Słowian, duch polski » wydobywa zwolna z pod jarzma tureckiego, z góry » druzgocąc przygotowane na nich jarzmo rossyjskie. » I patrzcie, jaka szlachetna to wyższość siły moralnéj » nad materyalną! Siła materyalna daje się do wszy» stkiego użyć, do złego zarówno jak do dobrego: ona » niema sumienia. Siła moralna dobru tylko służyć » może. Turcya wzywa w pomoc Polaków przeciwko » wspólnemu wrogowi rossyjskiemu; duch polski wstę» puje w szranki, w których z sobą walczą dwa dyspo» tyzmy: ale nie daje on zwycięztwa ni jednemu ni » drugiemu; służy on wolności i narodowości, dwom » dobrym sprawom, a zwycięztwo zapewnia on swobo» dzie Słowian i odrodzeniu chrześciańskiego Wscho» du!..... » Wreszcie, w rozprawie którą znany już naszym czytelnikom szlachetny ks. Lescœur poświęcił świeżo ruchowi bulgarskiemu (*Correspondant*, 25 grudnia) czytamy następujące słowa: « Dziwny to wymiar » sprawiedliwości! Opatrzność obraca teraz przeciwko i » na szkodę Rossyi, same nawet jéj tryumfy z przeszło» ści, same jéj najprawdopodobniejsze a w tém rozu» mieniu i najbardziéj uprawnione nadzieje! Bo w rzeczy » saméj, cóż stanowiło najwyższy tryumf Rossyi w tym » XIX wieku, cóż stanowiło ulubione i serdeczne dzieło » Mikołaja? Oto, absorbcya polityczna całéj dawnéj Pol-

» ski, przez zupełne acz nieprzyznawane usunięcie sty-
» pulacyj wiedeńskich, na korzyść panslawizmu; ab-
» sorbcya religijna kilku milionów Polaków, gwałtem
» oderwanych od katolickiéj jedności, na korzyść schyz-
» my. A tymczasem patrzcie, jak ta schyzma prote-
» gowana, podbechtywana, rzekłbym galwanizowana
» przez Rossyą w prowincyach tureckich, naraz się
» wstrząsa i zachwiewa. Wydarłszy jedności katolickiéj,
» za pomocą środków okrutnych, których nie masz
» gdzieindziéj przykładu w nowszych czasach, kilka mi-
» lionów unickich Rusinów, by ich nominalnie uczynić
» schyzmatykami, Rossya zmuszona jest teraz spoglądać
» na szczere katolickie nawrócenie się kilku milionów
» Słowian, których już uważała za zupełnie sobie odda-
» nych i pozyskanych; musi spoglądać na tryumf Fran-
» cyi z tamtéj strony Dunaju! Francya, zawsze liberalna
» i katolicka na Wschodzie, nie posiada wprawdzie
» w Bulgaryi żadnego organu, nie sprzyja tam żadnéj
» intrydze, nie żąda niczego, do niczego niema roszcze-
» nia. A wszakże, nie potrzebując rzec i słówka, widzi
» ona wszędzie krzątających się agentów, którzy rozno-
» szą i zasiewają tam, na przekór Rossyi, myśli liberalne
» i katolickie, t. j. myśli francuzkie. Ci Agenci, których
» Francya nie posłała, których nie płaci, których się
» nawet i nie domyśla: Cóż to za jedni? Polacy! Któż
» ich dostarcza? Rossya! Kilka tysięcy polskich wygnań-
» ców, czcigodne szczątki powstania z r. 1830; biedni
» inwalidzi z wojny węgierskiéj; odstawni ochotnicy
» z téj dywizyi polskiéj, która się utworzyła na Wscho-
» dzie podczas wojny krymskiéj: oto zastęp agentów
» wolności i wiary wśród Słowian tureckich; ci to lu-
» dzie bez chleba, po większéj części i bez wykształce-
» nia, żyjący z własnéj pracy lub z miłosierdzia bulgar-
» skiego ziemianina, wstępują pod najuboższe strzechy,
» by tam zwiastować odrodzenie, by w najczarniejszych
» przedstawić kolorach jarzmo rossyjskie, nad które

» sami przenieśli wszystkie gorycze wygnania, wszystkie
» srogości ubóstwa: oni to przygotowują tryumf reli-
» gijnéj i politycznéj autonomii Bulgarów...»

Ciche usiłowania polskie na Wschodzie więcéj zyskały uznania u cudzoziemców, niż u własnych rodaków; największy zaś hołd im oddała Rossya, nieustannie i czujnie śledząc tam obrotów wychodźtwa, używając na ich szkodę wszystkich środków, i wszystkich ludzi — nie wyjmując skrytobójców!... Jeśli zresztą, i dość pobieżnie i nieśmiało, dotknęliśmy téj strony emigracyjnych działań, to zaprawdę nie dla rekryminacyi a jeszcze mniéj dla popisu: chcieliśmy tém tylko dać poznać rodakom, że jak prace te nie od wczora datują, tak też i nie jutro ustaną, a najmniéj dadzą się zrazić chwilowém niepowodzeniem. Być może, że wśród obecnych, tak nieprzyjaznych okoliczności, wśród mniéj lub więcéj poważnemi względami nakazanéj obojętności państw katolickich, ruch rozpoczęty w Bulgaryi ulegnie wstrzymaniu, bodaj i cofnięniu... Oby rodacy wówczas z tego nie brali pochopu do zupełnego o Unii zrozpaczenia, i do policzenia jéj w poczet spraw niepowrotnie straconych! Oby nie pośpieszyli z tém, z czém nam pośpieszać zawsze tak łatwo, z ironią i szyderstwem dla prac uczciwych i mozolnych, skoro ich skutek nie uwieńczył, przedewszystkiem zaś skoro ich nie uświęcił obcy! Oby także, pozwolimy sobie dodać, zechcieli zrozumieć, że prace podobne niemało żądają krzątań, nie mało także zasobów; i że właśnie podobnych prac jest także niemało... Nie jeden ważny strategiczny punkt w naszych z Moskwą zapasach, jest albo słabo obsadzony, albo zupełnie opuszczony—i to dla braku poparcia, dla braku ludzi, dla braku wreszcie i tych materyalnych środków, bez których trudno w ludzkich i choćby najpoświęceńszych robotach. Ofiarność rodaków dla wychodźtwa ogranicza się zwykle i prawie wyłącznie do przedsięwzięć dobroczynnych, naukowych, literackich, których

skutki równie są pocieszające jak odrazu i wszystkim widne. Zaprawdę, nie my to będziemy zmniejszali wartość tych zacnych i szlachetnych usiłowań; i nie darowalibyśmy sobie tego nigdy, gdybyśmy w czémkolwiek przynieśli uszczerbek zakładom, w których sami albo wielką znajdujemy korzyść, albo skromny, lecz szczery bierzemy udział. Ale niechaj nam jednak wolno będzie zwrócić uwagę, że przedsięwzięcia dobroczynne, naukowe, literackie nie są przecież ani jedyném, ani nawet główném zadaniem tułaczego posłannictwa. Obok tego wszystkiego, powiedzmyż śmiało, nad to wszystko i przede wszystkiém jest służba polityczna, służba interesów polskich wśród obcych i przed obcymi, służba niezodzowna acz niepokaźna, niepłonna acz nieraz bez plonu, i która ma prawo dopominać się o poparcie i zasiłki. Jeden z naszych wielkopolskich korespondentów pisał nam, temu niedawno, że narody podbite, podobnież jak niepodległe, mają swe tajemnice stanu: my dodamy, że mają one także i swoję zagraniczną politykę, którą wspierać i zasilać powinni ci, co ofiary składać zwykli na ołtarzu ojczyzny.

ROCZNICA LISLOPADOWA W TRZECH ZABORACH POLSKI.

---

8 grudnia.

Z trzech zeborów Polski otrzymujemy następujące listy:

«Kraków, 30 listopada.

» Wczoraj, jako trzydziestą rocznicę ostatniej wojny o niepodległość, kilka tysięcy ludzi różnego stanu i wieku zebrało się o 11 z rana w kościele Panny Maryi na mszą świętą. Po ukończeniu nabożeństwa, zaintonowano znaną pieśń «*Z dymem Pożarów.*» Wszyscy padli na kolana, błagając Boga o miłosierdzie nad nieszczęśliwym narodem. Widok to był rozrzewniający: owa młodzież, owe dziatki, owi mężowie i ojcowie familij, starcy posiwiali i kobiety, a wszyscy zarówno jedném połączeni uczuciem i jedną wiarą w przyszłość Ojczyzny!.....»

« Warszawa, 29 listopada.

» Od kilku dni kobiety i dzieci zbierały cichaczem składkę na nabożeństwo, mające się odbyć w rocznicę listopadową; a wczoraj wielu odebrało po dwa lub trzy listy wzywające, aby się stawili nazajutrz, na Lesznie,

przed obrazem Matki Boskiéj karmelitańskiéj. Dziś, obraz jéj był oświecony lampami trójkolorowemi. Było w kościele z tysiąc osób, najwięcéj młodzieży i kobiet. Śpiewano pieśni pobożne, a młodzież rozchodząc się, zaintonowała: *Jeszcze Polska nie zginęła*. Policya aresztowała kilku, ale niechcąc robić hałasu i zasmucić Cara, umyślnie okazała się niezbyt czujną... »

« Poznań, 29 listopada.

» Wczoraj całe obywatelstwo zebrało się w Lesznie, aby oddać ostatnią cześć ukochanemu naczelnikowi naszéj prowincyi. Dziś piszę do was, w ową trzydziestoletnią rocznicę, dziwiąc się prawie, żem tak odległego dożył dnia. Pomimo tych trzydziestu lat, co upłynęły, czemuż epoka ta jest nam zawsze tak obecną, tak świeżą? W pierwszéj młodości mojéj, mniejszy nas upływ czasu od wojny Kościuszkowskiéj, od rozbioru kraju przedzielał; a jednak mało kto o tém wspomniał i każdemu wydawało się to minioną dawno, historyczną przeszłością. Takie było powszechne uczucie, dziwne zaprawdę a dla owego pokolenia niezaszczytne. Co za różnica dzisiaj! Dla tego, pomimo klęsk jakie sprowadziło, uważam powstanie z r. 1830 za zbawienne: jego zwycięztwa podniosły naszę godność, a cierpienia jakie nastały, obudziły w nas głębsze uczucia i sumienniejsze przekonania; a kiedy jeszcze miłość zaszczepić w siebie zdołamy, to i siłę i przyszłość zapewnimy narodowi... »

ŻALE ROSSYJSKIE NA AUSTRYA.

---

22 grudnia.

Kiedy za ostatniem zmazaniem Polski z karty europejskiéj, trzy granice zaborców spotkały się w wiosce polskiéj Niemirowie, widzieli Polacy coś wieszczego w nazwie tego punktu zetknięcia, i niejeden wróżył i tuszył sobie, że między najedzcami długiego nie będzie miru. Los uporny zdawał się wszakże igrać z téj słów igraszki: podział Polski owszem łączył przez pół wieku trzy, acz w innych sprawach nieraz poróżnione mocarstwa; przez pół wieku z górą mir między niemi panował zupełny, a jeśli była w nim jaka ironia, to chyba tylko ta, że nosił nazwę Świętego Przymierza. Miałożby jednak to przeczucie naszych ojców stać się prawdą w końcu, i obecna, coraz bardziéj się wzmagająca Rossyan ku Austryi odraza jestże wskazówką ostatecznego rozpadnięcia się północnego ogniwa, które krew polska tak długo lutowała?... Dla polskiéj duszy, w każdym razie, widok to wcale niezasmucający, gdy wnuki Katarzyny zaczynają nicować wiarę wnuków Maryi Teresy i wzajemny robią obrachunek tego, czego obydwa nie mają — sumienia. Najżywiéj teraz i najgłośniéj mówią prze-

ciw Austryi Rossyanie, i byłaby szkoda, gdyby czytelnik polski o tych nie wiedział zarzutach. Jeśli, czego spodziewać się wolno, Austryacy kiedyś zechcą, w odwecie, przypomnieć ze swojéj strony Moskalom, i ich także czyny i zbrodnie, z równą powtórzymy przyjemnością i bezstronnością żale habsburskie. Bezstronność nietrudną nam jest zaiste względem tych, *quorum causas utrimque procul habemus*.

W pośród licznych aktów oskarżenia, jakie teraz liberalizm rossyjski wytacza przeciw monarchii rakuzkiéj, najbardziéj na uwagę, tak dla głębszego wywodu jak dla spokojniejszego tonu, zasługuje artykuł księcia Dołgorukowa, który w drugim numerze *Buducznosti* zaczęty, dopiéro w czwartym do końca doprowadzonym został. Nie mogąc powtórzyć w całości téj rozprawy, główniejsze z niéj przytoczymy ustępy.

Zaczyna książe Dołgorukow od zapewnienia, że od roku 1856 Rossya wyrzekła się wszelkiéj myśli o przymierzu z Austryą, które dla Moskwy pod każdym względem było zawsze i być musi szkodliwém. Ale obecnie « obrońcy starego rzeczy porządku, petersburskie nieuki, nieprzyjaciele potrzeb czasu » usiłują znowu wciągnąć « młody, pełen sił i życia naród » w sojusz z państwem spróchniałem, którego rząd po raz trzeci od lat dwudziestu usiłuje oszukać swoich poddanych. Przeciw takiemu aliansowi, ks. Dołgorukow walczy zacięcie i stawia cały szereg argumentów i wspomnień, czerpanych z historyi dwu ostatnich wieków. Od lat stu siedmdziesięciu, od Piotra począwszy, Moskwa na każdém zkojarzeniu się z Austryą, samych tylko doznawała strat; przez każde najhaniebniéj była zawiedzioną, i w swym rozwoju wstrzymaną. Bo interesem jest Austryi zdradzać wciąż Rossyą: tego dowodzą nieledwie wszystkie obu tych mocarstw przymierza. Tak sądzi autor; zanim jednak głos mu oddamy, chcemy własnemi jego słowy

bliżéj oznaczyć, co wedle pojęć moskiewskich jest stratą dla Moskwy. « R. 1772, mówi książe, nastąpił pierwszy rozbiór Polski; główny, jego, jak wiadomo, sprawca, Fryderyk II, otrzymał w udziele wszystkie prowincye rozgraniczające jego pruską siedzibę od margrabstwa brandeburskiego; Austrya zyskała obszerną, żyzną i bogatą Galicyą; Rossyi dostała się *tylko* uboga Białoruś... Chciał Piotr I opanować pobrzeża Morza Czarnego i zbudować tam stolicę swego państwa, która późniéj gdzieindziéj stanęła; ale odstąpiła go Austrya, i pozbawiła w ten sposób tego pięknego nabytku..... Podobnież w wojnie tureckiéj, w r. 1791, kiedy Katarzyna już nie wątpiła, że Księstwa naddunajskie staną się jéj zdobyczą, Leopold pokój z Turcyą podpisał, i tak Rossya w miejsce Rumanii, poprzestać musiała *jedynie* na ziemiach między Bohem a Dnieprem leżących. » Więcéj podobnych przykładów znajdzie czytelnik w niniejszéj rozprawie: Moskwa traci, zdaniem autora, kiedy nie wszystko zabiera, coby zabrać jednemu z swych sąsiadów chciała albo mogła.

« Z wybuchnięciem rewolucyi francuzkiéj (mówi daléj ks. Dołgorukow) Austrya straciła Belgią, a w r. 1798 oręż Bonapartego wydarł jéj Lombardyą i zagroził wywrotem Państwu Niemieckiemu. Austrya przerażona, błaga Rossyą o pomoc. Już od lat pięciu spoczywał w grobie ów książe Potemkin, rozumny, odważny, na pozór ociężały, wistocie niesłychanie czynny; ów Potemkin, który radził Katarzynie, *aby korzystając z rewolucyi francuzkiéj i europejskiego zamętu, zagarnęła Stambuł*. Kochankiem Katarzyny a Rossyi wszechwładnym rządcą był hr. Platon Zubow, dwudziesto dziewięcioletni młodzieniec, który ster zagranicznéj polityki oddał w ręce Morkowa i Greka Altesti. Chcąc zjednać sobie pomoc sześćdziesięciu tysięcy wojska, Franciszek II przysłał Zubowowi dyplom książęcy a Morkowowi hrabstwo cesarstwa rzymskiego. Wnet zawarto umowę i

nazajutrz oryginał był przełożony Katarzynie do podpisu, Ale Opatrzność rozrządziła inaczéj; tegoż samego dnia Imperatorowa tknięta paraliżem, skonała niebawem, układ zaś przez Pawła został odrzucony. — Wszakże w trzy lata późniéj, dwór austryacki korzystając z trwogi, jaką w Pawle wzbudzały idee ośmnastego wieku, ponowił swe starania o zawarcie aliansu, i tym razem od wielu był silnie poparty. Z jednéj strony Pitt, z drugiéj francuzcy emigranci, wreszcie jenerał jezuitów, rezydujący naówczas w Petersburgu i wielkie u Pawła posiadający zaufanie, wstawiali się za Austryą i domagali się trzech korpusów: jednego do Włoch, drugiego do Szwajcaryi, trzeciego do Holandyi; przedewszystkiem zaś żądano Suworowa na wodza naczelnego we Włoszech. Ciekawe są dzieje téj wyprawy przez jenerała Milutina, na dokumentach urzędowych skreślone; rzucają wielkie światło na postępowanie Austryi ze swymi sprzymierzeńcami. Dwór wiedeński, głoszący się tak gorliwym obrońcą legitymizmu, nie dla tego przecież walczył z francuzką Rzeczpospolitą, aby strąconych jéj orężem monarchów znowu na tron przywrócić, ale owszem by z ich nieszczęścia korzystając, granice swego państwa rozszerzyć. Suworow oswobodziwszy Piemont i Turyn zająwszy, wzywał króla sardyńskiego aby z wyspy na ląd stały powrócił: Austrya sprzeciwiwszy się temu, wstrzymała powrót królewski, a nie taiła bynajmniéj zamiaru przyłączenia tych pięknych posiadłości do swego cesarstwa. Widząc porę korzystną i aby Francuzom nie zostawić czasu do opamiętania się po pierwszych klęskach, chciał Suworow wkroczyć zaraz do Francyi; lecz i temu oparł się dwór wiedeński, bo przedewszystkiem chciał swoje rządy w północnych Włoszech utrwalić. Wtedy wódz rossyski, gdy mu nic do działania nie zostawało na półwyspie, postanowił przenieść się z armią do Szwajcaryi a ztamtąd do Francyi. Ale, zaledwo stanął u podnoża południowych Alp, ujrzał, że go tutaj Austryacy oszukali niegodziwie. niedostawiwszy żadnych transportów do przechodu gór koniecznych. Z trudem przeprowadził Suworow część armii, kiedy go doszła wiadomość, że korpus rossyjski Korsakowa, z którym pragnął się złączyć, skutkiem podstępnych działań arcyksięcia Karola, oddany na pastwę Francuzom, pod Zurychem przez Massenę na głowę pobity, i że wszystkie ważniejsze w Szwajcaryi pozycye stracone. Zatem przez Alpy wschodnie Suworow przeszedł do Niemiec; tam w opatrzeniu wojska, spotkał się znowu z tysiącznemi utrudzeniami i niezmienną złą wiarą dworu austryackiego...»

Tylekroć w ciągu XVIII wieku, wypróbowana przewrotność Austryi, w większych jeszcze rozmiarach, mniema autor, objawiła się w wieku XIX. Wprawdzie, w koalicyi z roku 1805, dwór wiedeński nie oszukał Rossyi na podziale wspólnych zdobyczy, ale bo i zdobyczy nie było i tylko klęski do podziału przypadły. Nie wspomina także ks. Dołgorukow o wojnach z roku 1809 i 1812, zapewne dla tego, że jak w jednéj Rossya, tak w drugiéj Austrya Francyą zarówno oszukiwały; mimochodem dotyka kampanii r. 1813 i następnych; przy kongresie wiedeńskim szeroko opisuje nabytki austryackie, nic wcale o moskiewskich nie wzmiankując, i następnie obszerne karty poświęca księciu Metternichowi i jego długoletnim stosunkom z cesarzem Alexandrem... «Gdyby książe Metternich (są słowa autora) użył był w swoich sił umysłowych na korzyść oświaty i ludzkości, byłby dziś stanął w historyi porówno z najcelniejszymi mężami stanu. Lecz wzrosły i wychowany w duszącéj atmosferze wiedeńskiego dworu, mimo swój rozum, nieumiejący się podnieść do nieprzepartych potrzeb i zadań epoki, chciał działać na przekor tym siłom, umyślił wskrzesić przeszłość obumarłą, długą i uporczywą wiódł walkę, jaśniał przez długie lata blichtrem bezowocnym tryumfów i nakoniec jak wszyscy, co czoło duchowi wieku stawiają, poniósł ostateczną i nieod-

wrotną klęskę. Księcia Metternicha należy uważać jako głównego sprawcę nieszczęść i ruiny, które Austryi w blizkiéj zagrażają przyszłości. Tłum poklaskujący każdemu powodzeniu, bez głębszéj przenikliwości, unosił się nad tym pozornym geniuszem; ale ludzie prawdziwie roztropni i daléj widzący, inaczéj zapatrywali się na jego dzieła. Nigdy nie zapomniemy, że jeszcze w roku 1843, kiedy Metternich był u szczytu swéj potęgi, jeden ze znakomitszych mężów stanu w Europie, baron Nothomb (obecnie poseł belgijski w Prusiech) mówił nam w Bruxeli: « Wielkie wypadki gotują się w Europie; wielkie » zmiany są konieczne niezadługo, a zobaczysz pan, że » państwem, które największéj dozna odmiany, będzie » Austrya; tak jest, owa Austrya nieruchoma! » Metternich zamiast łagodzić rewolucyą rozsądnemi ustępstwami, odróżniać żądania poważne i legalne od wybuchów rozhukanych namiętności: wszelki opór przeciw absolutnéj formie rządu, nazywał buntem przeciw osobie monarchy; wszelkie pragnienie ulepszeń podciągał pod zbrodnie stanu. Chytry i przebiegły w grze samolubnéj polityki, opanował umysł Alexandra, umysł słaby, nieprzewidujący i bez mocnéj w swym charakterze podstawy. Alexander związał Rossyą, Austryą i Prusy świętém przymierzem, które w saméj zarodzie nie miało żadnéj myśli politycznéj. Jedynym tego aliansu pierwotnym celem było wspólne zobowiązanie się monarchów, aby rządzili swémi ludami w duchu braterstwa i miłości chrześciańskiéj, która nietylko nie potępiała konstytucyjnéj formy rządu, ale rzec można potrzebowała jéj koniecznie. Metternich opanowawszy Alexandra, skaził cel świętego przymierza, cel nieco wprawdzie mystyczny, lecz wzniosły i dobroczynny. Związek religijny przerobił na alians polityczny; idei chrześciańskiéj dał kierunek policyjny; monarchę-chrześcianina przetworzył w żandarma i szpiega, monarchę mieniącego się być przedstawicielem bożym na ziemi, doprowadził do

pełnienia obowiązków europejskiego oberpolicmejstra.

« Metternichowi tém łatwiéj było kierować Alexandrem, że rossyjskie ministerstwo spraw zagranicznych, pozostające od 1814 do 1821 roku w rękach dwóch sekretarzy stanu, hr. Capo d'Istria i hr. Nesselrodego, z rokiem 1821 pozostało w rękach tego ostatniego. Iwan Iwanowicz Capo d'Istria, rodem Grek, obdarzony był znakomitą zdolnością, podniesioną pięknym charakterem duszy i czarującą siłą wymowy; wszelka myśl szlachetna znajdowała w nim życzliwego sprzymierzeńca i obrońcę; wszelkie szlachetne uczucie głośném odzywało się echem w jego czułém sercu; był to jeden z najsympatyczniejszych mężów w nowszéj historyi. Hr. Nesselrode, Niemiec z pochodzenia, z pojęć swoich także Niemiec ale staréj daty; człowiek niezaprzeczenie przebiegły i chytry, lecz duchowi czasu zupełnie obcy, celuje tylko w płytkich, pospolitych negocyacyach dyplomatycznych; wyższe potrzeby państwa przechodzą sferę jego wiedzy. Widząc w Metternichu najcudniejsze zjawisko ludzkiego rozumu, wybijał wieczne pokłony przed tym samozwańczém bożyszczem polityki europejskiéj. Z natury swéj leniwy, nie lubił zajmować się powierzonemi sobie sprawami; całém zadaniem jego życia był obiad wykwintny i hodowanie kwiatów. Gdyby przeznaczenie zawsze osadzało ludzi na stanowisku im właściwém, Nesselrode byłby albo oberhofmarszałem albo nadwornym ogrodnikiem; tymczasem przez trzydzieści pięć lat wlókł on ojczyznę naszę za spruchniałym rydwanem austryackiéj polityki, któréj ostatnie szalbierstwo pozbawiło nas ujść Dunaju w r. 1856. — Ks. Metternich nienawidził Capo d'Istrii; ta wzniosła, znakomita indywidualność, gorąco miłująca oświatę i wolność, musiała w austryackim Kanclerzu równie gorącą wzbudzić antypatyą. Przeciwnie, i dla zalet przeciwnych, lubił on hr. Nesselrodego i nieszczędził nigdy najpochlebniejszych o nim pochwał. Dzięki częstym wycieczkom Alexandra

za granicę, Metternich owładnął go swoim wpływem, który z drugiéj strony zwiększyła jeszcze zręczna dyplomacya posła austryackiego w Petersburgu, hr. Lebzelterna, żyjącego w ścisłéj przyjaźni z hr. Nesselrodem. Obadwaj, Metternich i Lebzeltern, wmawiali ustawicznie w Alexandra, że liberalizm gotuje monarchiom niechybną zagubę i że panujące dynastye mogą się tylko samowładztwem ratować. — Roku 1821, nie mogąc znieść dłużéj srogiego jarzma Turków, zerwali się Grecy do oręża. Ostatecznie, w powstaniu Greków nie było nic rewolucyjnego. Bo i czegoż oni żądali? Prawa do życia i oddechu, prawa do głowy na karku, zebezpieczenia od palu, wolności sumienia, i czci swoich żon i córek. Walka Turków z Grekami przypomniała najstraszliwsze sceny barbarzyństwa; półwysep Morei zmieniony w pustynię, niewiasty greckie w jassyr zapędzone i w stambulskich bazarach jako niewolnice sprzedawane. Cała Rossya wrzała gorącą żądzą ratowania Greków, i oto Metternich, z obawy abyśmy Stambułu nie wzięli, szepcze Alexandrowi, że powstanie Hellenów jest płodem idej rewolucyjnych. Chateaubriand w swoich pamiętnikach przytacza słowa cesarza Alexandra wyrzeczone w Weronie, w r. 1822: « *J'ai cru entrevoir dans le mouvement grec des symptomes de l'esprit révolutionnaire, et je me suis abstenu.* » Rozumny i szlachetny Capo d'Istria nie mógł służyć podobnéj polityce, przeciwnéj duchowi chrześciaństwa, przeciwnéj zarazem i rozsądnym ludzkim rachubom; nie mógł jéj służyć tém bardziéj, że sam był Grekiem i wiedział lepiéj niż ktokolwiek, jak świętém było prawo Hellenów, jak szlachetne dążenie do otrząśnienia się z jarzma tureckiego. Zażądał więc dymissyi i osiadł w Genewie; kierunek spraw zagranicznych przeszedł odtąd wyłącznie w ręce Nesselrodego...»

Mówi ks. Dołgorukow, że Mikołaj będąc jeszcze następcą tronu, ubolewał po wielekroć nad uległością starszego brata przed radami Metternicha; sam bowiem w rozum swój i potęgę zbyt ufny, choć nieraz dworakom dał się powodować, nie mógł ścierpieć, aby o nim myślano, że czyjemu bądź ulega wpływowi. Ale przerażony rewolucyą 14 grudnia, gdziekolwiek spojrzał, wszędzie to widmo spotykał; i dość mu było słyszeć o ks. Metternichu, że jest najzaciętszym wrogiem rewolucyi, aby go stawić wyżéj nad wszystkich polityków. « W r. 1828, Mikołaj wypowiedział nareszcie wojnę Turcyi, nie przez sympatye dla Greków ani w obronie ich swobów politycznych; ale dla tego że z frontowych przeglądów i marszów paradowych wywróżył sobie, że jest na wielkiego przeznaczony wodza. Ruszył więc z armią przeciw Turkom, a ta obecność jego w wojnie była właśnie główną przyczyną niepowodzeń wyprawy. Pierwszy to był i ostatni jego udział osobisty w bojach. Na widok krwi i trupów rozstrajały się drażliwe nerwy tego monarchy, który z zimną krwią pastwił się nad przestępcami politycznymi, który spokojnie dopisywał na wyrokach, aby Polaków skazanych na Sybir, dostawić pieszo na miejsce, razem z zbrodniarzami jednym przykutych łańcuchem, i który tysiące polskich rodzin, nikczemnym systemem konfiskaty, do ostatniéj doprowadzał nędzy! — Wyprawa roku 1829 była pomyślniejszą. Feldmarszałek Dybicz, wódz doświadczony, działał bez mięszania się Mikołaja i bez obecności tego koronowanego feldfebla. Przeszedł Bałkany, zajął Adryanopol i *od niego już tylko* (!) zależało zająć Konstantynopol. *Jeśli Rossya widziała się podówczas w możności Stambuł opanować, to i czemuż tego nie zrobiła?* Bo choćby utrzymać się przy jego posiadaniu nie mogła, to zawierając pokój, i oddając Sułtanowi stolicę, miała prawo osłonić to ustępstwo pozorem wspaniałomyślności. W każdym razie, zajęcie Konstantynopola przynosiło korzyści wielkie a żadnéj dla Rossyi szkody. Nic już Dybiczowi nie stało na przeszkodzie (?). Sułtan był całkiem przygotowany opuścić stolicę i przenieść się do Azyi. Ale Metter-

nich czuwał: przez cały ciąg tureckiej kampanii starał się on poróżnić nas z Anglią; niepowodzenia roku 1828 wywołały w Austryi głośne i silne oznaki radości; przeciwnie, szczęście nasze w roku 1829, ciężko strapiło Austryaków i odebrało im ducha. Hr. Nesselrode przestrzegł Dybicza, aby nie wchodził do Stambułu i nie utrudniał przezto politycznych zawikłań. Dybicz był człowiekiem zdolnym i prawym; ale dworak uniżony, o tém on tylko myślał, jak dogodzić monarsze i jego zausznikom; do tego obcy rossyjskim uczuciom, rossyjskim przekonaniom i rossyjskim dążnościom, usłuchał hr. Nesselrodego, nie ruszył do Stambułu i zawarł pokój na warunkach wskazanych przez Nesselrodego z natchnienia Metternicha. Grekom nie dano prowincyj i wysp, które się im należały; Mołdawia i Wołoszczyzna, choć w księstwa udzielne zamienione, zostały jednak pod zwierzchnictwem honorowém Sułtana. Przy trudnościach, jakie uciskały Mahmuda w chwili zawarcia adryanopolskiego traktatu, nie ma wątpliwości, że Dybicz, gdyby silniej był nalegał, byłby zmusił Turcyą do rozszerzenia Grecyi i do ustąpienia Rossyi Księstw naddunajskich. Zapobiegł temu Metternich za pośrednictwem swego powolnego ucznia Nesselrodego. Nabycie kawałka ziemi na wschodnim brzegu Morza Czarnego i ujście Dunaju (którego połowa i tak już należała do Rossyi w moc traktatu zawartego w r. 1812): oto, wszystko na co pierwszy austryacki minister zezwolił, w zamian za krew rossyjską tak obficie przelaną, za świetne zwycięztwa 1829 roku.»

Lecz nietylko w r. 1829, hr. Nesselrode (zdaniem autora) wypuścił z rąk podający się Moskwie Stambuł: stracił go on, we dwadzieścia lat, po raz drugi «*w chwili jaka się dwa razy w życiu nie przytrafia.*» W r. 1848 (słowa są księcia) burze i wstrząśnienia europejskie nastręczały Rossyi jedyną sposobność do zdobycia grodu Carów; i gdyby Nesselrode był prawdziwym mężem

stanu, nieomieszkałby nakłonić Mikołaja do tego kroku energicznego. Ale ni Car, ni jego minister, nie byli w stanie taki czyn zrozumieć. W Mikołaju przypisać to należy jego donkiszoteryi, jednemu z tych napadów obłąkania, które tak często nawiedzały go w życiu; w Nesselrodym pochodziło to ze ślepego przywiązania do traktatów r. 1815: co najlepszym, samo przez się, jest dowodem, że ten człowiek nigdy nie umiał się podnieść do stanowiska kanclerza państwa, *nigdy Rossyi nie pojmował*, nigdy nawet badać jéj nie chciał.» Ale jeśli autor tak surowo sądzi hr. Nesselrodego, nie może zato wynaleźć dosyć słów uznania dla jego następcy. Wielkość duszy i umysłu, zręczność, śmiałość i rozwagę, gorący patryotyzm i gorące uczucie świetnych Rossyi przeznaczeń: wszystko to w najwyższym stopniu posiada obecny minister spraw zagranicznych w Rossyi. Musimy przeskoczyć te szerokie kolumny, które służyć mają za pomnik dla ks. Gorczakowa; jednę wszakże z naszéj strony chcemy dodać uwagę. Ks. Gorczakow, o ile prawdziwym jest portret jego, przez ks. Dołgorukowa skreślony, nie powtórzy z pewnością błędów Nesselrodego, nie zgrzeszy ślepém przywiązaniem do obowiązujących traktatów, i będzie umiał korzystać ze szczęśliwéj chwili, jeśli ona, po raz drugi, jeszcze się Moskwie przytrafi... Do tego wniosku przyjść musi każdy, kto z uwagą niniejszą pracę ks. Dołgorukowa odczyta. Nie wiemy czy dyplomacya rossyjska będzie wdzięczna autorowi, że tak odsłania ducha narodu i obecne *arcana imperii*, ale silne to w każdym razie upomnienie dla Europy i Polski przed rossyjskim liberalizmem. I nie jeden gotów, może nie bez słuszności, pomyśleć, że zmiana pryncypiów u Moskali bywa tylko zmianą taktyki w niezmiennéj zawsze polityce zaborczéj.

Z uczuciem głębokiego żalu i serdecznego oburzenia opisuje autor kampanią węgierską i udział, jaki w niéj Rossya przyjęła. «Nie przestając na roli kata, którą

Franciszek Józef wziął na siebie po upadku Węgier, monarcha ten wmówił w siebie, że niewdzięczność jest znamieniem politycznego geniuszu. Za bytności swéj w Warszawie, śmiał on zapytać zwycięzcę Magyarów, hr. Ridigiera: czyli należał do kampanii węgierskiéj? Na to pytanie zuchwałe i nierozumne, zacny stary Ridigier odpowiedział: «Gœrgey złożył broń przedemną, Najjaśniejszy Panie!»

«... W roku 1853 wybuchła wojna w kwestyi wschodniéj. Różne mogły być przyczyny niepowodzenia rossyjskiego oręża, ale nie ulega wątpliwości, że najgłówniejszą była obawa, aby armia austryacka w Wołoszczyznie nie zajęła tyłów armii rossyjskiéj nad Dunajem. Wtedy to dopiéro cesarz Mikołaj zdecydował się uczynić to, co wieloma laty pierwéj zrobić należało. Posłem do Wiednia mianowany ks. Gorczakow, którego wysokie zdolności marnowały się dotąd przy dworze wirtemberskim. Ale już było za późno; nastała ciężka epoka wewnętrznego przesilenia Rossyi i w taką to chwilę Gorczaków wystąpił na scenę polityczną. Pełen ducha rossyjskiego i miłości kraju, mąż ten, prawdziwa państwa podpora, na zawikłanych konferencyach wiedeńskich dzielnie bronił godności Rossyi i taką umiał sobie nadać powagę, jakby za nim szła armia tryumfująca. Podczas negocyacyj o pewne z naszéj strony ustąpienia, hr. Buol przedstawia ambasadorowi, że Austrya nieraz musiała się zrzec obszernych prowincyj, a zawsze umiała je potem odzyskać. «Odstępywanie krajów dla Austryi może być zwyczajem, dla nas byłoby nowością,» odrzekł ks. Gorczakow.

«W grudniu 1855, dwór wiedeński przepełnił miarę swych niegodziwości. Wrócił do Petersburga austryacki poseł, hr. Esterhazy, z oświadczeniem, że jeżeli Rossya nie odstąpi południowéj części Bessarabii a tém samém ujść Dunaju, Austrya połączy się ze sprzymierzonymi. Nie było co robić, opierać się byłoby nierozsądkiem. Warunek ustąpienia pobrzeża naddunajskiego nie przez cesarza Francuzów ale przez Austryą był położony; osłabił Rossyą niemało a tego też właśnie pragnęły Habsburgi. Wkrótce podpisano traktat w Paryżu, traktat ciężki i poniżający ale nieuchronny; trzydziestopięcioletnią politykę Mikołaja i Nesselrodego pokrywający hańbą niezmazaną ale całkiem zasłużoną. W miesiąc później, objął tekę spraw zagranicznych ks. Gorczakow. Od téj chwili nastąpiło oziembienie między dwoma gabinetami, konieczna uzasadniona konsekwencya stu pięćdziesięcioletnich podstępów i zdrad austryackich; Rossya zbliżyła się odrazu do swego naturalnego sprzymierzeńca, Francyi.»

Na tém kończy ks. Dołgorukow swe opowiadanie historyczne. Dalszy ciąg jego pracy jest traktatem politycznym o obecnych dążeniach wieku i narodów, a oraz statystycznem porównaniem finansowych trudności, z jakiemi niektóre rządy mają teraz do walczenia. Jak jeden tak drugi pogląd przyprowadza autora do konkluzyi, że Austrya jest blizką ostatecznéj rozsypki, i że, skoro wojna wybuchnie, pierwsza porażka armii austryackiéj będzie hasłem dla jéj ludów, aby same o swoim zarządziły losie. Pokuszą się Magyary o byt niepodległy, zerwą się do oręża Słowianie austryaccy i tureccy; i cała Europa środkowa będzie wymagała nowego przebudowania. «Może i Polska zechce pomyśleć o swéj politycznéj samoistności?... Sprawa polska, odpowiada autor, nie przestrasza nas wcale; dla wielu trudna i zawikłana, nam przeciwnie wydaje się ona *nadzwyczaj łatwą* do rozwiązania.»

I tu autor wykłada swe myśli o środkach zadośćuczynienia prawom i żądaniom Polski. Ale i my także musimy tu zatrzymać się w naszych przytoczeniach; bo daléj już nam wytrwać nie podobna w roli spokojnych, bezstronnych przedstawicieli. Sposób, w jaki ks. Dołgorukow o kwestyi polskiéj rozprawia, powołuje nas do

innych wcale obowiązków niż prostych sprawozdawców; wywołuje też i inne w nas uczucia jak samo zadowolenie z wzajemnych przeciw sobie rekryminacyj tych, co w zbrodni na nas dokonanéj wspólny mają udział. Zastanowimy się w przyszłym tygodniu obszerniéj nad tą częścią pracy ks. Dołgorukowa, a ostatniego słowa rossyjskiego liberalizmu przyjdzie nam szukać, w innéj, nie mniéj ciekawéj a daleko mniéj znanéj rossyjskiéj publikacyi.

OBJAWY OBYWATELSKIEGO PRZEBUDZENIA W GALICYI.

29 grudnia.

Usunięcie się hr. Gołuchowskiego z rządów austryackich położyło snać koniec długim i zresztą dość naturalnym oczekiwaniom Galicyi i pobudziło jéj mieszkańców do radzenia o sobie. Jeżeli obecność w radach cesarskich rodaka, który bądź co bądź udzielał do pewnego stopnia skutecznéj opieki żywiołowi narodowemu, a w ostatnich czasach, może jeszcze więcéj w téj mierze i sobie i innym obiecywał : jeśli mówimy obecność jego w radach państwa zachęcała do pewnéj oględności i wstrzemięźliwości w ojawach, to nominacya natomiast p. Schmerlinga uwolniła ziomków naszych w Krakowie i Lwowie, od tych przynajmniéj względów i wyprowadziła ich z dość przykrego położenia, w którém i milczyć i mówić zarówno zdawało się niebezpieczném dla sprawy. Mieszkańcy Galicyi zrozumieli od téj chwili, że dalsze, bierne zachowanie się byłoby nie na czasie, i że wobec tak tłumnie objawiających się teraz głośnych żądań z różnych ziem berłu habsburskiemu podległych, w obec także tak silnych znaków życia, jakie inne części naszéj ojczyzny pod rządami nierównie mniéj zachwianémi niedawno okazały, wszelkie, dłuższe milczenie z ich strony byłoby równie dziwném jak opacznemu mogłyby uledz tłómaczeniu. Odtąd też silniéj bić zaczął prąd opinii w Krakowie i we Lwowie. Od dwóch tygodni

słyszymy o zachodach i krzątaniach się, które mają na celu wywołać jakiś akt stanowczy i poważny, coby i rozstrzelone umysły i chęci w kraju zjednoczyć, i Europie zarazem potrzeby i prawa ziem polskich, do Austryi przydzielonych, przypomnieć mogły; od dwóch tygodni podniesiony ton krajowego dziennikarstwa świadczy dobitnie o podniesionym nastroju obywatelskich usposobień. Nie mamy zwyczaju sądzić o sprawach krajowych bez zasięgnięcia szczególnych i wiarogodnych informacyj, a jeszcze do téj chwili takowych nie posiadamy. Gdy wszakże wypadki są zbyt ważne a bieg ich zbyt prędki, abyśmy o nich przemilczeć mogli, widzimy się spowodowani wskazać na teraz główniejsze tylko objawy, które do publicznéj doszły wiedzy: oszczędni w wyrażeniu naszego zdania o bieżących wypadkach, a i tém nawet skąpém ocenieniem niczego nie przesądzając.

Pierwsze hasło, ile się zdaje, wyszło z krakowskiego *Czasu*. Dziennik ten, który zapewne nie z własnéj ochoty tak długo trzymał się w nadpowietrznych obłokach europejskiéj polityki i chyba przez wiejskich korespondentów pociągnięty, zstępował raz po raz na ziemię galicyjską, rozpoczął od dwóch tygodni szereg artykułów, w których równie przezornie jak dobitnie stawia żądania Galicyi. W artykułach tych domaga się przedewszystkiém autonomii narodowéj i bez względu na wszelką ogólną reprezentacyą monarchii w Wiedniu, osobnego dla Galicyi sejmu; domaga się języka polskiego w szkołach, sądownictwie i administracyi, i chce aby władza krajowa, właśnie dla tego aby była silną, polskim urzędnikom została oddaną. Silną ona być może, słowa są *Czasu*, tylko wtedy, kiedy jest poważną; dotychczasowe zaś postępowanie urzędników galicyjskich musiało tylko dla niéj obudzić wstręt i pogardę. Żądania te *Czas* opiera nie tylko na naturalném każdego narodu prawie do rodzimego rozwoju i samorządu, ale na czémś daleko jaśniejszém i zrozumialszém dla ludzi stanu, i

nierównie więcéj Austryą, wobec Europy obowiązującém, na międzynarodowych traktatach, które Galicyi odrębne stanowisko w rzędzie posiadłości habsburskich nadały. Czytelnicy *Czasu* mogą tylko być wdzięczni dziennikowi, że w takiem upomnieniu się o autonomią, nie stawia Galicyi w téj naturalnéj wprawdzie ale bezbronnéj nagości, w któréj naprzeciw korony austryackiéj stoi np. Styrya lub Karyntya, to jest w stosunku, co wszystko robi zawisłém od cesarskiéj woli i nawet nadziei i powodu nie zostawia dla zagranicznéj, na europejskich zobowiązaniach opartéj interwencyi. Z długiego, może przydługiego przebywania w sferach ogólnéj świata polityki, *Czas* wyniósł przynajmniéj tę naukę, że oprócz odwiecznych i nigdy nie zatartych praw od Boga nam danych, mamy jeszcze inne prawa od ludzi — choćby i zarzucone, ale któremi do ludzi najpierwéj trafić można i od których pierwszą fazę procesu rozpocząć wypada.

Współcześnie jak *Czas* w Krakowie zstąpił z swych mglistych wyżyn, tak również i *Przegląd Powszechny* we Lwowie podnieść się usiłował z swych nizin bagnistych. Dziennik ten dotąd powołanie publicysty upatrywał widocznie tylko w publiczném ludzi obwoływaniu, i smutnéj dla siebie szukał sławy, drugich zniesławiając. Z polityki znał tylko jednę maxymę Klucznika, że gdy wielki wielkiego, my mali duśmy małych, i kiedy Napoleon pobijał Franciszka Józefa, on napadał na sąsiadów z ulicy. Wszakże, dzięki kilku poważniejszym ludziom, którzy w nowy skład jego kierownictwa weszli, pismo to wstępne swe przynajmniéj oczyściło kolumny i w nich odzywa się w sposób i szczególnym wymaganiom obecnéj chwili i pisarskiéj godności w ogóle nierównie właściwszy. W gruncie téż same co *Czas* względem autonomii Galicyi stawia żądania; spostrzegać się wszakże daje ta między dwoma pismami dość ważna różnica, że gdy dziennik krakowski głównie sprawę re-

organizowania prowincyi ma na widoku, *Przegląd Lwowski*, przedewszystkiém w wiedeńskim sejmie szuka téj drogi, która do polepszenia losów prowincyi ma następnie doprowadzić.

Do rzędu objawów obywatelskiego w Galicyi przebudzenia się, musimy w końcu policzyć i nowo powstałe pismo *Głos*, którego pierwszy numer prospektowy, wraz z broszurą tłómaczącą okazanie się tego organu, rąk naszych doszedł ostatniemi dniami. Zapowiedź tego pisma oddawna w pewnych redakcyjnych kołach Lwowa wywołała gniewy zacięte, pogróżki niezaszczytne i zabiegi bardziéj uliczne niż publiczne; zjednały one tylko ostatecznie nowemu organowi rozgłos niespodziany, a z drugiéj strony dały smutne świadectwo o sposobie, w jaki przeciwnicy i wolność pojmują i walkę przygotowują i we własne wreszcie siły ufają. Nieprzesyconych dotąd zaprawdę, przykładami obywatelskiéj odwagi, uprzedza już nas życzliwie sam fakt, że *Głos* nie dał się zagłuszyć przedwczesnemi krzykami; a życzliwość tę jeszcze powiększa widok, że jako odpowidzialny wydawca podpisał się człowiek z tylu miar poważny, i który w niezawisłéj swéj pozycyi mógł tak łatwo znaleść tę wziętość, jaką u nas zazwyczaj zyskują ci, co się do niczego nie biorą. Wszakże, jak dotąd, sam tylko fakt wystąpienia i podpisu za tym dziennikiem przemawia; w nadziejach, jakie na nim pokładamy, utwierdza nas nierównie więcéj niż program (bo on właściwie nic nie mówi) doszłe zkąd inąd zapewnienie, że głos ma być organem licznego grona obywatelskiego, które sumiennie a gorliwie narodowe siły prowincyi szykować zamierza.

Nie same zresztą dzienniki dały dowód ożywionéj o sprawy publiczne troskliwości. Razem z wyrzeczonemi przez pisma krajowe żądaniami Galicyi, powstała w całem obywatelstwie myśl nadania tak gorąco pojętym potrzebom stosownego wyrazu i silnego rozgłosu. Nasuwał się sam przez się przykład, jaki wskazały inne kraje

i inne plemiona państwa habsburskiego, które do Wiednia zanosiły swe żądania, i potrzeba ze strony téż Galicyi, wysłania uroczystéj deputacyi do stolicy Cesarstwa powszechne, jak się zdaje, zyskała uznanie. Według ostatnich doniesień, równie w Krakowie jak we Lwowie, stosowne do tego poczyniono już przygotowania. We Lwowie, urządzono nawet z tego powodu tłumną manifestacyą, która, mimo interwencyi policyi i wojska, z polskiéj przynajmniéj strony odbyła się poważnie i w porządku. Nie możemy wszakże zataić naszego żalu, że do tego grodu wkradać się na nowo zaczynają niemieckie zwyczaje publicznych obchodów, *fakelcugu*, jak tym razem a jak w innym, *kocich muzyk*: obyczaje jakich nie znali dawni Polacy i które najmniéj zaprawdę są na czasie w chwili, gdy się kraj upomina o narodowe i Polskie życie. Z większym jeszcze żalem widzimy, że p. Smolka, były poseł i marszałek sejmu wiedeńskiego przed dwunastą laty, który wraz z innemi do deputacyi był zapraszany, swojego w niéj odmówił udziału. Czytaliśmy z uwagą odpowiedź odmowną, jaką dał pan Smolka właśnie przy owym obchodzie, i wyznać musimy że nie rozumiemy zgoła powodów, dla których się od wezwania rodaków uchylił. Nie wątpimy, naturalnie, o tym «*wytrawniejszym na sprawy polityczne poglądzie*» do którégo, jak mówi, przyszedł «*przez rozszerzony zakres doświadczenia... znalazłszy się raz już na zaszczytném stanowisku wysokiego politycznego znaczenia;*» ale wolno nam w każdym razie ubolewać, że p. Smolka nie mógł bliżéj wyjawić dlaczego stanął w przeciwności z tém, co nietylko kraj jego ale i cała życzliwa nam opinia Zachodu naglącą być sądzi potrzebą. I ta téż właśnie opinia tém więcéj dodaje nam odwagi do zachęcania naszych braci w Galicyi, aby w raz powziętym wytrwali zamiarze i sprawę swéj prowincyi na obszerniejsze wywiedli pole legalnéj manifestacyi i europejskiego zajęcia.

MOSKIEWSKI LIBERALIZM WOBEC POLSKI.

---

29 grudnia.

Ilekroć mowa o możebném porozumieniu między Polską a Moskwą, o skutecznym rozejmie w ich wiekowéj walce, i o zgodzie opartéj na jakiejś podstawie rodowego braterstwa i międzynarodowéj sprawiedliwości: nie taimy, że często z uśmiechem, częściéj jeszcze z odrazą, a zawsze z nieufnością przyjmujemy podobne wywody, które płonném nam się wydają marzeniem, jeśli szatańskiem nie są podstępem. Jak w pracowni alchimisty, możemy tu tylko żałować mozołu łożonego na odkrycie filozoficznego kamienia, jeśli nie przychodzi nam zgoła podejrzywać, czy pod pozorem nieśmiertelnego elixiru, nie gotują tu czasem nowéj śmiertelnéj trucizny. I niechaj nikt nie myśli, że nami w téj mierze powoduje gorączkowe, acz zresztą tak naturalne uczucie, pomne tylko na doznane katusze i na krew niewinną a strumieniami przelaną; powoduje jedynie, niestety, zimna rozwaga, trzeźwe ocenienie nieprzepartych realności życia. Nie wierzymy w polubowe zakończenie tragicznego sporu, i nie wierzymy właśnie dla tego, że przeszkody nie w nas leżą, ale w naszym przeciwniku.

«Zapomnieć!... powiedzieć snadno...» woła z goryczą w Dziadach ten Gustaw, który zarazem jest i Konradem; a wszakże, niemasz wątpliwości, że Polak by o wszyskiém snadno zapomnieć potrafił, nawet i o tym Mikołaju, którego sami Rossyanie «*niezabwiennym*» nazwali. Ale aby i syn Moskwy również zapomnieć zdołał, i te obowiązki i ofiary spełnić zechciał, którychby z *jego* strony takowe dzieło miłości wymagało, i bez których ono by tylko nowém a krwawém było szyderstwém: aby to zdołał i zechciał, musiałby nietylko przestać być sobą, musiałby jeszcze stać się czémś więcéj niż człowiekiem, wznieść się do idealnéj sfery cnót i poświęceń, w jakiéj utrzymać się nie jest daném biednéj ludzkiéj naturze. *Ut proprium naturæ humanæ, odisse quem læseris*, powiada głęboki serc znawca, który kreślił dzieje Tyberyuszów i Tytusów; a w tem rozumieniu godzi się twierdzić, że krzywdy nam wyrządzone są zbyt wielkie, zbrodnie na nas dokonane zbyt straszne, katusze nam zadane zbyt piekielne, aby kiedykolwiek je przebaczyć mogli — nie Moskalom Polacy, ale przeciwnie! Kto zaś sobie przypomni, czém była Rossya zanim się zbogaciła naszym łupem, kto sobie chce zdać sprawę z tego czémby się stała, gdyby się zrzekła nieprawéj zdobyczy, a kto, jak my, z tego zrzeczenia się, z takiego prostego wymiaru najprostszéj sprawiedliwości, robi jedyny ale nieodzowny warunek wszelkiego porozumienia, ten nazawsze o tém zwątpi, aby naród tak mało rozwinięty a tak wielce zaborczy, dobrowolnie zrobił ofiarę, na jaką by się może nie zdobył żaden lud, i choćby najwyżéj posunięty w cywilizacyi i najbardziéj chrześciański. Bój to więc między nami nieprzeparty, niezłamany, fatalny: rozstrzygnie go kiedyś Bóg w swojém miłosierdziu i swojéj sprawiedliwości, ale nie zakończy go nateraz żaden sentymentalny uścisk braterski, który tylko być może pocałunkiem Lamouretta, jeśli nie jest pocałunkiem Judasza. Do takiego przekonania przyjść musi

każden syn Polski, co chce być wiernym sobie, każden także syn Moskwy, co potrafi być szczerym ze sobą. «*Kto ostoit w nierawnom sporie?*» taki też krzyk, pełen przeczucia fatalności naszych zapasów, wywołała ostatnia nasza bohaterska walka w piersi Puszkina; a jak twórca Oniegina, mimo swéj przyjaźni dla Adama, a liberalnéj opozycyi przeciwko Mikołajowi, okazał się w tym wykrzyku prawdziwym Rossyaninem, tak się téż w tym wykrzyku, i w tym może jedynym, okazał, i wieszczem prawdziwym...

Że obecny liberalizm rossyjski, w każdym razie, dalekim jest od zrozumienia nieodzownych warunków sprawiedliwości, na jakich jedynie mir mógłby stanąć między Polską a Moskwą, tego między innémi dowodzi praca księcia Dołgorukowa, z któréj główne przytoczyliśmy wyjątki w przeszłym numerze naszego pisma, a któréj zakończeniu, polską sprawę mającemu na celu, chcemy jeszcze kilka wstępnych poświęcić uwag. Autor, jakieśmy widzieli, dowodzi z przeszłości, że długie, a kilkakrotnie odnowione sojusze między Austryą a Rossyą, przynosiły same tylko niepowodzenia i straty dla jego ojczyzny; i dla tego w gotującym się w blizkiéj przyszłości europejskim boju, zaklina swych rodaków, aby państwo Habsburgów zostawili jego niechybnemu i ze wszech miar zasłużonemu losowi, a nowych i trwałych związków szukali z Francyą, z Napoleonem. A jeśliby za tą zmianą stosunków cała środkowa Europa potrzebowała nowego «przebudowania», a wskutek tego i Polska zechciała pomyśleć o politycznéj samoistności: to autor oświadcza, że sprawa polska nie przestrasza go wcale; że dla wielu trudna i zawikłana, jemu przeciwnie wydaje się ona nadzwyczaj łatwą do rozwiązania. Dla rozcięcia tego gordyjskiego węzła europejskiéj polityki, nie potrzeba Alexandrowego miecza: wystarcza do tego, zdaniem rossyjskiego publicysty, już sam nóż Jarnaca...

«Królestwu Polskiemu — powiada książe Dołgoru-» kow — rząd rossyjski powinien przywrócić konstytu-» cyą z r. 1815; pozostawić Polakom ulepszenie jéj » zgodnie z duchem czasu. Przywrócenie konstytucyi » z r. 1815 jest świętym długiem. Królestwo Polskie » przyłączoném zostało do Rossyi pod warunkiem, że » będzie rządzone na zasadach konstytucyjnych. Ale-» xander I zobowiązał się do tego i traktatem przed Eu-» ropą i przysięgą wykonaną w Warszawie na Ewan-» gelią; Mikołaj również zaprzysiągł na nią. Nie przy-» wracać Królestwu Polskiemu konstytucyi jest czynem » niegodnym. — Przytém wypada dać konstytucyą i Ce-» sarstwu Rossyjskiemu. *Natenczas w Izbie Ziemskiéj,* » *kwestya Polska będzie mogła być rozważana przy udziale* » *deputowanych z gubernij zachodnich;* natenczas można » będzie postanowić, jakie mianowicie *ulżenia względem* » *języka i narodowości* dadzą się uskutecznić dla miesz-» kańców gubernij zachodnich i dla mieszkańców Ma-» łorossyi; można będzie zdecydować, jakim sposobem » niektóre prowincye, *przy zachowaniu niektórych praw* » *miejscowych,* wchodzić mają *w nierozdzielny skład* » *Cesarstwa,* być rządzone jednemiż i temi samemi pra-» wami, tak cywilnemi jak karnemi, i mieć swoich re-» prezentantów we wszechrossyjskiéj Izbie ziemskiéj i » wszechrossyjskiéj Izbie bojarskiéj, z prawami równémi » dla wszystkich reprezentantów. Samo przez się rozu-» mie się, że wolność religijna powinna być pełną i » nienaruszoną, i że wszystkie urzędy powinny być do-» stępne każdemu bez wyjątku, bez różnicy pochodzenia » i religij. Konstytucya jest najskuteczniejszym środkiem » uniknienia kłopotów w kwestyi narodowości, najsku-» teczniejszym środkiem spojenia w jedność wszystkich » gubernii Cesarstwa, którym daleko jeszcze do téj ści-» słéj spójności, jaką radzi już teraz w nich upatrują » ludzie krótkiego wzroku i płytkich pojęć...»

Taki jest program rossyjskiego liberalizmu w kwestyi

polskiéj — i nie dziw, że w téj formie pojęta i przedstawiona, sprawa nasza traci dla rozważnego syna Moskwy wszelkie pozory kłopotliwego zadania, wszelkie rozmiary trudnego i zawiłego przedsięwzięcia. Oddzielić kilka prowincyj naszéj Ojczyzny pod nazwą Królestwa i ukoronować je ofiarnym wieńcem konstytucyi, a resztę, największą część grabieży, stanowczo wcielić do Cesarstwa z przyzwoleniem, z oklaskiem nawet całéj liberalnéj i « przebudowanéj » Europy, z przystaniem samychże Polaków, zaspokojonych błogą nadzieją, że deputowani ich zasiadać będą w wszechrossyjskiéj Izbie bojarskiéj i wszechrossyjskiéj Izbie ziemskiéj... Zaprawdę, któż z rozsądnych Rossyan, przed taką uroczą perspektywą, niechciałby zawołać z Hamletem :

It is a consummation
Devoutly to be wished!...

Ale i któż z Polaków, z tych w których piersi bije dotąd iskra ducha, tli ojczyzny miłość święta i niewoli wzgarda bucha, któż z nich da się uwieść sidłom takiego rozejmu, nie odgadnie odrazu natury tego danajskiego daru, jaki nam rossyjski przynosi parlamentaryzm ; któż tu nie pozna, że moskwa to, czego despotycznie we krwi zadławić nie mogła, obiecuje sobie teraz liberalnie na śmierć załechtać ?...

Nie ! Polacy nie dadzą się omamić podstępnym słowom liberalizmu i konstytucyi, a mamy także niczém niestworzoną nadzieję, że podobnież przed tą słów obłudą będzie się miała na baczności i liberalna Europa. Europa wistocie potrzebuje « przebudowania ; » cięży jéj wistocie porządek rzeczy, jaki ustawił bezduszny Kongres wiedeński. Ale jeśli przystąpi do nowego państw i narodów układu, nie zechce ona zaprawdę dawnych zbrodni powiększyć nowemi, nie odbije naszéj trumny, by nasz grób jeszcze tylko ciaśniejszym uczynić, i złorzecząc słusznie fatalnemu dziełu r. 1815,

nie pomyśli o utworzeniu nam nierównie smutniejszego losu, niż go nam nawet zgotowały tak smutne pakta wiedeńskie ! Traktaty wiedeńskie ciężą każdemu uczciwemu w chrześciańśtwie sumieniu, a my Polacy szczególniéj nie możemy o nich wspomnieć bez żalu i gniewu ; nie możemy o nich pomyśleć bez zaniesienia krwawéj do Boga skargi, że tak nieprawego dopuścił w chrześciaństwie dzieła. Stanowiły one o nas i bez nas, przeciwko wszelkim boskim i ludzkim prawom, i w imieniu całéj Europy zatwierdziły zbrodnią polskiego podziału. A wszakże, kongres dyplomatów z roku 1815 mniéj się okazał podstępnym, niż nim być obiecuje wszechrossyjski parlament z r. 1861, i lodowate ręce Metternichów i Castelreaghów nierównie więcéj dla nas były hojnemi, niż nią jest teraz « braterska » dłoń liberalnych Moskali. Traktaty wiedeńskie zapewniły Polakom utrzymanie ich narodowości na całym obszarze ich ojczyzny w jéj granicach przed r. 1772 : a jeśli dozwoliły Alexandrowi kilka prowincyj z swéj oddzielić grabieży i osobną je obdarzyć konstytucyą i osobną nazwą polskiego królestwa, to za wyraźnym przyrzeczeniem monarchy, że do tego Królestwa przyłączy, w następstwie czasów, i dalsze ziemie polskiego zaboru, które pod jego zostawały berłem. Traktaty owe, dalekie zaprawdę były od wymierzenia nam należnéj sprawiedliwości, dalekie od zadosyćuczynienia najświętszym prawom naszym do niepodległego bytu, *których się nie zrzeczem nigdy*, dalekie od odkupienia w czémkolwiek zbrodni na nas dokonanéj, od zmazania w czémkolwiek winy na naszych ciemięzcach ciążącéj ; ale traktaty te nie posuwały obłudy aż do cynizmu konstytucyjnego rozwiązania kwestyi polskiéj ; zostawiły ją w zawieszeniu, nie śmiały powiedzieć, że ją rozstrzygnęły, a jeśli ojczyznie naszéj nie przywróciły jéj politycznéj expressyi, nie zaprzeczyły przynajmniej jéj expressyi narodowéj i geograficznéj, i wyraźnie zapisały tę « *Polskę z przed r.*

1772» która wiecznemi zgłoskami jest wyryła w sercu każdego Polaka, i której z serc naszych nie wygładzi żadna europejska Moskali ogłada, żaden fortel «konstytucyjnego zjednoczenia Cesarstwa.»

ŹLI DORADZCY ARCYBISKUPA POZNAŃSKIEGO.

Poznań, w grudniu.

Jużeśmy do tego przywykli i spokojnym mniéj więcéj przyjmujemy to umysłem, że na zgubę naszę wymierzoném bywa nieledwie wszystko, cokolwiek od władzy niemieckiéj przychodzi. Ale, żebyśmy i swojéj zarówno obawiać się mieli, i żeby jednakie, z polskiéj czy niemieckiéj ręki, na sprawę naszę spadały ciosy, wyznaję, rzecz to dla nas mniéj zwyczajna i porusza nas głęboko. Dla tego, choć sprawa o którą chodzi, jest czysto miejscowa i na ogólne jeszcze nie wpływa stosunki, pozwolę sobie jednak przełożyć ją waszéj uwadze i ogólnéj zawezwać pomocy tam, gdzie nasze miejscowe nie ważą błagania. [Blizko rok temu, jak umarł w Poznaniu ksiądz Kiliński, który piastował trzy dostojeństwa kościelne: był kanonikiem, oficyałem i proboszczem katedralnym; do dziś dnia wakuje miejsce kanonika i proboszcza. Według układów Stolicy Apostolskiéj z rządem pruskim, nominować kanoników ma prawo rząd albo arcybiskup, kolejno, wedle miesiąca, w którym zawakowała kanonia.]

Jest zaś godność ta wysokiego dla prowincyi znaczenia; bo w ręku kapituły zostaje wybór arcybiskupa, i od tego, jaka w niéj większość z czasem przeważy, zależeć będzie niewątpliwie, kto na tronie arcybiskupim zasiądzie w przyszłości: Polak albo téż Niemiec? Nie sądzę, iżbym potrzebował was upewniać, że rząd, w obecnych zwłaszcza stosunkach, nie omieszka żadnego wypadku, aby korzystać z swojego prawa i Niemca, ilekroć może, do kanonii przedstawić; tém bardziéj przeto spodziewać się należało, że i z polskiéj strony równa będzie czujność i równa niemieckiéj gorliwość. Zdarza się atoli przeciwnie: jest pogłoska, że proboszczem katedralnym ma być mianowany ksiądz Richter; kanonikiem zaś ksiądz Bittner, niemiec, profesor z Wrocławia.

Ksiądz Kanonik Richter, choć od lat dziesięciu sprawuje różne godności kościelne, nie umiał sobie dotąd zaskarbić wziętości u duchowieństwa ani u obywateli. I owszem, jego to wpływom i współdziałaniu przypisywaném bywa wszystko, co w zakresie duchownym przynosi szkodę siłom narodowym, wszystko co młodych zdolnych kapłanów zniechęca od udziału w szerszych niż parafialne pracach, wszystko co tak przykrym nieraz dla serca polskiego odzywa się dźwiękiem w okólnikach i odezwach archidyecezyalnych. Być może, że w tych zarzutach jest wiele przesady; ale w każdym razie bolesnémby to być musiało dla mieszkańców Wielkopolski, gdyby dzisiaj, w chwili gdy każdy tak wiele ofiar ponosi, tak wiele trudu sobie zadaje dla odparcia żywiołu obcego, gdyby dzisiaj kapłan nieprzyjaznego rodu miał zostać gospodarzem starodawnéj katedry Poznańskiéj i strażnikiem popiołów Mieczysława i Bolesława. Że rząd do tego zmierza, o tém wątpić niepodobna, ale żeby polskich prymasów następca miał się ku temu przychylić, uwierzyć zaprawdę niełatwo. Boleśniejszém jeszcze, bo w skutkach szkodliwszém,

byłoby mianowanie kapłanów obcego rodu na opróżnione kapitularne kanonie. Cóżby się stało ze stolicą arcybiskupią i z narodowością polską w Księstwie, gdyby na téj stolicy zasiadł kiedyś Niemiec; a łatwoby to nastąpić mogło, gdyby przez wyłomy biegiem czasu zrządzane, coraz większa liczba niemieckich kanoników wciskać się zaczęła do Kapituły poznańskiéj. Wiadomo jak nieprzychylném okiem, na te nasze archidyecezye, patrzy oddawna rząd pruski; wiadomo że nie od dziś dnia jest dążnością jego albo wcielić je do zamierzonego arcybiskupstwa berlińskiego, albo rozdzielić między trzy sąsiednie dyecezye. Rząd przewiduje, że w przeprowadzeniu tego projektu spotkałby się w Rzymie z nieprzezwyciężonym oporem; szuka więc łatwiejszéj drogi, i cierpliwie, systematycznie oblega warownią, któréj siłą odrazu zdobyć nie może.

Świeży przykład nas uczy, jak wiele traci dyecezya kiedy ją sprawuje kapłan obcego pochodzenia. Ś. p. Sedlak, biskup chełmiński, człowiek zacności nieposzlakowanéj i kapłan przykładny, nie mógł przecież oprzeć się niemieckiéj chętce tępienia polskiego żywiołu: polskich proboszczów do niemieckich wysyłał parafij, Niemców na polskie sprowadzał osady, i w taki zamęt popchnął swoję dyecezyą, że następca jego, przez lat wiele dołożyć musiał niezmordowanéj pracy i gorliwości, aby zepsutą równowagę przywieść do porządku i wątlejącą ożywić wiarę. W Księstwie, skutkiem coraz większego upadku majątków, zmniejsza się codzień ilość polskich obywateli; i gdyby dzisiejsza walka rządowa miała potrwać dłużéj, możnaby przewidzieć chwilę, w któréj z polskich mieszkańców zostałby się w Wielkopolsce tylko sam lud, w swéj wierze i uczuciu narodowém niezłomny, a na straże jego duchowieństwo. A w takim razie, ziemia nasza oddana pod zarząd kościelny niemieckiego arcybiskupa, prędkoby bardzo do Szląska stała się podobną.

Pod rządami dzisiejszego arcybiskupa życie duchowe wzrosło w Wielkopolsce z nadzwyczajną potęgą. Zarówno lud jak mieszczanie i szlachta poczęli się garnąć do pańskich przybytków; wiele nowych powstało kościołów, stare odnowiła i przyozdobiła hojność i pobożność obywateli. Stowarzyszenia miłosierne roznoszą wszędzie ratunek nędzom ciała i duszy; seminarya niedawno tak puste zapełniły się a nawet przepełniły; duchowieństwo pobudzone przykładem zgóry, wzmocnione częstemi rekolekcyami, zajaśniało czystością obyczajów, praktyką cnót wszelakich, nauką, pracą i wymową; zakony od pół wieku zniesione, wróciły, podniosły z ruin swoje klasztory, a przynosząc pomoc przeciążonemu nad miarę świeckiemu klerowi i biorąc ochotnie na swe barki wszelki trud dla bliźnich, rozbroiły protestancką nawet zawiść i nieufność. Podniosła się we wszystkich stanach obyczajność, sumienność w dopełnianiu obowiązków, zamiłowanie pracy; podniosło się także, prostém rzeczy następstwem, i rozgorzało uczucie narodowe. Była Wielkopolska, lat temu tysiąc, kolebką politycznéj potęgi i chrześciańskiéj chwały naszego narodu; i dzisiaj, z tych samych stron rozchodzą się po innych ziemiach Polski, promienie naszéj moralnéj i narodowéj regeneracyi. — Piękny a prawdziwy byłby taki obraz, gdyby go historyk kiedykolwiek nakreślił, i gdyby na ostatniéj karcie nie był zmuszony dodać ostrzeżenia, że ten, za którego rządów to wszystko się stało, fatalny ku złemu zwrot przygotował niebacznie.

Jmć ksiądz Arcybiskup wié o tém, choćby z dziejów naszych przykładu, jak wiele traci Kościół, kiedy jego urzędnicy ranią narodowe uczucie. Być może, że nie dosyć i nie wszystkim znajome są trudności, których władza kościelna w swych stosunkach z rządem pruskim doznaje; ale każdemu dobrze wiadomo, że ten rozwój życia duchowego, jaki obecnie widzimy, Wielkopolska nie rządowi pruskiemu zawdzięcza, lecz pobożności i

współdziałaniu polskich mieszkańców. Kiedy więc sprzeczne jak dzisiaj zachodzą żądania i między niemi wybór uczynić należy, to już nietylko uczucie narodowe, nietylko kapłańska gorliwość, ale prosta zdaje się wskazywać rozwaga, że nietyle dbać o tych potrzeba, co szkodzą, jak o tych, co razem działają.

UNIA BULGARÓW OGŁOSZONA.

5 stycznia 1861 1861 r.

Odebraliśmy depeszę telegraficzną ze Stambułu, z dnia 30 grudnia, donoszącą, że akt Unii bulgarskiéj w tymże dniu został dokonany. Wiadomość tę potwierdza *Monitor* francuzki z d. 3 stycznia, w słowach następnych:

« Deputacya Bulgarów zamieszkałych w Stambule, » złożona z dwóch archimandrytów, jednego księdza i » jednego dyakona, udała się w d. 30 grudnia do Wika- » ryusza apostolskiego i złożyła w jego ręce akt poddania » się Ojcu Ś.; następnie udała się do Patryarchy ormian- » skiego unickiego, ks. Hassuna, z prośbą aby wobec » rządu tureckiego zechciał być reprezentantem nowéj » katolickiéj społeczności. »

Mimo więc wszelkich użytych wpływów, mimo groźb i pokus, któremi ich otaczał wrogi opiekun, co w sztuce grożenia i kuszenia niezrównanym zawsze okazywał się mistrzem, Bulgarzy stambulscy, przez dziewięćdziesiąt trzy, jak wiadomo, dystrykta upoważnieni, zrobili wreszcie krok stanowczy, który ich nazawsze odrywa od

schyzmy. Z radością witamy naród w prawdziwéj i świętéj naszéj wierze nowo odkupiony. Z radością, z uczuciem niewymownéj błogości, widzimy powiększony zastęp tych ludów słowiańskich, co obok nas i z nami stają po stronie prawdy, wolności i zachodniéj cywilizacyi. Z radością, z błogością, z rozrzewnieniem przesyłamy braterskie pozdrowienie tym naszym podwójnym teraz braciom: z krwi słowiańskiéj i z wody chrzestnéj braciom.

Ale jakkolwiek pocieszającym i stanowczym jest fakt zaszły w Stambule, nie powinniśmy wszakże o tém zapomnieć, że krok to dopiéro pierwszy, początek to dopiéro dzieła wielkiego, które nietylko całość Bulgaryi, ale i dalsze ziemie słowiańskie w Turcyi, ogarnąć jest powołane. A jak z jednéj strony, początek to dopiéro dobrego, które bez gorącego i skutecznego poparcia zmarnieć może w zarodzie, tak z drugiéj nie koniec zaprawdę złemu, nie koniec wysileniom i zabiegom Moskwy, w celu zniweczenia Unii, przeszkodzenia przedewszystkiem jéj dalszemu rozwinięciu. Przewidzieć owszem łatwo i łudzić się pod tym względem niewolno, że Moskwa podwoi teraz swą czujność, gorliwość i zaciętość; że we wszystkie uderzy strony i wszystkich się uchwyci środków: prośb i podejrzywań u rządów zachodnich, podszeptów i potwarzy, u rządu tureckiego, kto wié czy nie argumentów *wolności* i tolerancyi u liberalizmu, przedewszystkiém zaś przestrachu i przekupstwa pośród Bulgarów samych. Gdy całości uratować nie mogła, Moskwa niezawodnie wywoływać będzie odstępstwa i protestacye, i pojedyncze odrywać dyecezye.

Bulgarzy, wogóle, lud to biedny, opuszczony, oddany na pastwę przebiegłemu zdzierstwu Greków, w żadne bogactwa téj ziemi niezasobny, pozbawiony wszelkiego poparcia i kierownictwa, bo nie posiada żadnéj rodzimej klasy, coby przedstawiała mienie i inteligencyą

narodową. Kilku wexlarzy tylko, albo pyszniéj zwanych bankierów, od których pod niejednym względem biedny lud jest zawisły, przedstawia tu jakąś wyższą społeczną warstwę; a ta, mniéj więcéj, naturalnym w schyzmie pociągiem złota do błota, trzyma się jeszcze Moskwy i fanaryotów. Maluczcy to w duchu, ubodzy to rzemieślnicy, kramarze, ziemianie, pod wpływem duchownych bulgarskiego rodu, biorą udział w tym wielkim, moralnym ruchu narażając się na niechęć a może i mściwość szczupłego, ale jedynie zamożnego zastępu kapitalistów i spekulantów, który ich chleb powszedni ma w ręku. Jeśli to z jednéj strony powiększa zasługę biednego i uczciwego ludu, to z drugiéj jest wskazówką pokus i cierpień które go czekają, a zarazem najsilniejszém jest upomnieniem dla wszystkich serc gorętszych, dla wszystkich wyższych umysłów, by z czynną, skuteczną, a powiedzmy otwarcie, pieniężną pospieszyć pomocą dla braci w chrześciaństwie.

Upomnienie to przedewszystkiem dla nas Polaków, co w Unii bulgarskiéj może trochę własnéj zasługi, niezawodnie wiele własnéj korzyści upatrywać winniśmy. Wszelki naród odrywający się od schyzmy, uchylający się z pod moskiewskiego jarzma, zaciągający się pod sztandar cywilizacyi i wolności, a więc i pod sztandar polski, powinien znaleźć w Polakach najżywsze spółczucie, najgorętsze poparcie. Cóż dopiéro, gdy takim narodem jest lud bratni, pokrewny, słowiański, którego krok, tak wiele może płynąć na przyszłe losy Słowiańszczyzny, a więc i na losy nasze? Zachód katolicki nie omieszka bezwątpienia pospieczyć z ofiarami dla nawróconych nad Dunajem braci. Ale potrzeba przedewszystkiem, aby Polacy dali pierwsze hasło do poparcia tego dzieła, jak pierwsze dali hasło do jego poczęcia. Potrzeba, aby Bulgarzy wiedzieli, że cała Polska ku nim ma zwrócone oczy, serce i ręce; że z radością, ze szczęściem, z skwapliwym pośpiechem, udziela im grosza sierocego.

Mamy nadzieję, że rodacy w kraju i za granicą, ocenią całą ważność téj sprawy, uczują obowiązek bronienia tych nowozyskanych sprzymierzeńców od pokus i zemsty moskiewskiéj; że zrozumieją, iż tu chodzi o cześć imienia polskiego, o przyszłość Unii nietylko nad Dunajem ale i nad Dnieprem i Sanem; mamy w końcu nadzieję, że dzienniki krajowe, tam gdzie im przemówić wolno, złączą się z nami w téj naszéj odezwie.

ADRES GALICYI
DO CESARZA AUSTRYACKIEGO.

Z Galicyi, 19 stycznia 1861.

Znane wam już zapewne koleje, które przebiegła nasza deputacya: myśl jéj powzięta równocześnie we Lwowie i w Krakowie, narady odbyte, ułożony adres, wyznaczenie deputatów, przyłączenie się do nich stu kilkudziesięciu obywateli, przybycie do Wiednia, wreszcie przyjęcie u Ministra Stanu, i jego odpowiedź. Nie powtarzam tych wszystkich wypadków szczegółowo, nie kreślę rysu historycznego; chcę tylko podać wrażenie doznane i uwagi, jakie się nasuwają z przebiegu téj ważnéj dla Galicyi i dla ogółu polskiego sprawy. A najprzód nadmienię, że myśl deputacyi, jako objawu żądań i praw narodowych, widocznie odpowiadała potrzebie i instynktowi kraju. Zaledwie rzucona, ze wszystkich stron, ze wszystkich klas społeczeńskich takie przyzwolenie jednomyślne zyskała, taką wywołała zgodę, że w całéj potędze, w całéj jasności objawił się duch obudzony, objawiło się życie polskie w Galicyi. Jest więc w niéj sztandar, pod którym zgodnie wszystkie stron-

nictwa, wszystkie przekonania i uczucia łączą się i jednoczą: sztandar miłości Ojczyzny, sztandar narodowości. Gdy zgodzono się na deputacyą, zachodziło pytanie: jak jéj nadać charakter prawdziwego wyrazu krajowéj opinii. Nie mając żadnych organów prawnych, żadnych pośredników wyborami postanowionych między rządem a krajem, nie mogliśmy też i w tym razie do wyborów przystąpić. Lecz naród wojska regularnego pozbawiony, gdy idzie o obronę jego ziemi, w pospolitém ruszeniu szuka obrońców. Tak się i tu stało. Wezwani na to pospolite ruszenie, stawili się z równą ochotą obywatele wiejscy, jak i delegaci z miast; przyłączyli się do nich, acz w niewielkiéj liczbie, włościanie i starozakonni; i wszyscy razem, jedni wyobrażając obywatelstwo ziemskie, drudzy mieszczaństwo, inni różne stowarzyszenia uprawnione, inni nakoniec kupiectwo, utworzyli prawdziwą reprezentacyą krajową, z któréj treść i wyobrażenie miał przedstawić zastęp deputatów. Na przywódzcę delegacyi zmysł ogółu wskazał jako człowieka téj chwili, zdolnego zaufanie wzbudzić i usprawiedliwić, pana Franciszka Smolkę, dawnego posła na sejm wiedeński, prezesa tegoż sejmu, a więc nie tylko w Galicyi ale w całém cesarstwie znanego z umiarkowania i prawości. Wskazany i radośnie powitany we Lwowie, z równą radością i oznakami uczczenia przyjęty on został w Krakowie.

Wiadomo wam, jak dokonano redakcyi adresu, w jaki sposób niektóre zmiany wprowadzono, zdawszy na p. Smolkę ocenienie takowych za porozumieniem się z komisyą redakcyjną. Pierwsze zebranie, nader liczne, bo przeszło z 600 osób złożone, nie odbyło się, wyznać trzeba, z porządkiem i powagą, jakie ta uroczysta okoliczność wymagała. Dały się słyszeć domagania i wnioski, które, gdyby były przyjęcie znalazły, mogły na szwank sprawę narazić. Lecz te ustąpiły przed zmysłem politycznym większości, przed uznaniem nieodzownéj potrze-

by i rzeczywistéj korzyści w oparciu domagań na podstawie istniejącego międzynarodowego prawa. Nie było może żadnéj dzielnicy dawnéj Polski, w któréjby do takiego stopnia jak w Galicyi panował rozstrój wyobrażeń, i brak spojności między różnemi warstwami społeczeństwa. Otóż w obecnym razie, i myśmy poszli (daj Boże na długo) za przykładem, jaki ciągle z wielkim dla siebie zaszczytem Poznańskie przedstawia. Gdyśmy stanąć mieli przed władzą obcą, która nami rządzi, przed cudzoziemcami, śmiem powiedzieć przed Europą, zdobyliśmy się na ducha jedności, okazaliśmy że w uczuciu narodowém zawsześmy zgodni a więc silni. Adres zredagowany w pięknéj i poważnéj mowie obejmował to wszystko, czego żądać można było, nie opuścił nic z tego, co wyrazić należało. Nadmienię jeszcze że w ciągu narad, nader pocieszającego, w dzisiejszych zwłaszcza okolicznościach, objawu byliśmy świadkami. Na wniosek jednego z obywateli, aby zwyczajem przodków, tak ważną sprawę od Boga począć, zgoda powszechna w dniu następnym wszystkich sprowadziła na uroczyste nabożeństwo do kościoła P. Maryi. A tak mieliśmy sposobność okazania, że w sercach polskich miłość ojczyzny nigdy się nie oddziela od miłości wiary. W dzień wyjazdu deputacyi do Wiednia, przyłączyło się do niéj stu kilkudziesięciu obywateli, aby powiększoną liczbą tém większe nadać jéj znaczenie. Wszyscy prawie przybrali strój polski lub niby polski, który w stolicy cesarstwa ściągał uwagę mieszkańców, i zrobił może niejakie wrażenie. Jednakże dozwolę sobie drobnéj uwagi. Strój narodowy nie jest już u nas dzisiaj, tyle cechą narodowości jak pamiątką historyczną, i jako taka wielce jest szacowny. Tych jednakowoż paroxyzmowych zwrotów do niego bezwarunkowo pochwalać nie mogę. Te zewnętrzne objawy narodowych uczuć są może dla nas Polaków, zbyteczne, a pod tym względem czasem szkodliwe, że na nich nie jeden ogranicza swój patryotyzm.

Zresztą ów strój oddzielny zdaje się nas wtrącać do rzędu narodów wschodnich, do Serbów, Kroatów, Czarnogórców a odróżniając nas od wrogów i ciemięzców naszych, odłącza nas także od przodkującego w cywilizacyi Zachodu.

Deputacya przybywszy do Wiednia złożyła, przez ręce swych naczelnych członków, adres Ministrowi stanu, uprzejmne znalazła przyjęcie, i usłyszała odpowiedź wiele obietnic w ogólnych wyrazach obejmującą. Na dwóch posłuchaniach u Cesarza, najprzód jednego z znaczniejszych obywateli galicyjskich, a potém trzech innych, znalazł kraj niejako przystęp do samego monarchy. Jakie z tych posłuchań unieśli wrażenie i nadzieje, badać nie śmiem. To tylko wiem, że jak kraj dopominając się o autonomią, nie miał w myśli straszenia rządu, tak się téż sam odstraszyć nie da żadnemi względami od poszukiwania na drodze legalnéj praw swoich, od Boga nadanych, i uroczystemi zobowiązaniami i traktatami zapewnionych. Cokolwiekbądź, Galicya obowiązku swego dopełniła. Oświadczenia i obietnice czynione przyjęła i ich spełnienia wygląda. Wprawdzie zakreślony czas dwumiesięczny na wprowadzenie w życie żądanych reform, a więc zwłoka aż do chwili, w któréj w Europie wypadki polityczne wyraźniejszy charakter przybiorą, mogła zadziwić i niejakie podejrzenie obudzić. Ale właśnie dlatego, tém wyraźniejszy dla nas obowiązek nie ustawać w usiłowaniach i zgodnie i bez wahania się postępować daléj na drodze, na któréj Węgrzy tyle otrzymali. Przecież sam p. Schmerling nam oświadczył: « że równie jak życzenia w memoryale wyrażone, tak » też wszelkie w drodze prywatnéj, czy to pisemnéj, czy » osobistego porozumienia się i wyjaśnienia, gotów bę» dzie rząd brać pod rozbiór i ocenienie sumienne, by » w statucie krajowym i prawach organicznych uwzglę» dnić, o ile tylko być może, uprawnione kraju życze» nia... » Więc niechajże każden wedle sił, stosunków

i wpływów, na drodze prywatnéj, bądź piśmiennych, bądź osobistych porozumień, doda objawionym kraju życzeniom i potrzebom wagi, objaśnienia, rozgłosu; niechaj każden i opinią rządu i nierównie ważniejszą jeszcze opinią Zachodu oświeci w naszéj sprawie; a przedewszystkiem niechaj wykazać usiłuje, że sprawa ta nie tyle na woli rządu austryackiego polega, ile na naszym własnym politycznym rozumie i na politycznėm prawie europejskiém...

POLSKA W ROKU 1860.

5, 12, 19, 26 stycznia 1861.

Zwyczaj to dobry i w każdym porządnem gospodarstwie stale przestrzegany, z początkiem roku zdać sobie sprawę z lata ubiegłego, zamknąć rachunki, i ściśle oznaczyć rzeczywisty stan zasobów dla działania dalszego. Słuszna więc, że i w narodowém naszém gospodarstwie do takiego się zastosujem zwyczaju, i wkraczając w rok nowy, który może i większego nakładu i powiększonéj liczby robotników i pilniejszéj wymagać będzie czujności, obliczym nasz kapitał publiczny, wolni ile podobna od złudzeń, wolni téż i od zbytniéj nieufności, wartość każdą nietylko według jéj ogólnego kursu ale téż i według jéj miejscowego oceniając znaczenia.

A do zadania tego z tém skwapliwszém przystępujemy uczuciem, że biorąc ryczałtem nasz bilans narodowy z minionego roku, łatwo poznajemy jego przewyżkę w porównaniu do lat poprzednich; łatwo poznajemy że kapitał nasz moralny nie uległ zmniejszeniu, ale owszem, przeciwnie. Wprawdzie w stosunku do potężnéj i niepodległéj Europy, małoważnym i małoznacznym być musi taki z naszego życia rachunek, i wobec olbrzy-

mich rezultatów, które tam zdobywa wolny i sforny trud milionów, drobnostką nieledwie wydać się mogą te nasze roboty, których nawet mrówczemi nazwać nie śmiemy, bo daleko nam jeszcze, niestety, do instynktu i spójności mrówek. Ale naszych słabości i niedostatków świadomi i nieprzywykli przykładać do siebie miary nam niestósownéj, nie w europejskich ale we własnych stosunkach szukamy punktu wyjścia i porównania. A w tém rozumieniu, godzi się powiedzieć i z tego się cieszyć, że rok 1860 był dla nas rokiem urodzaju, że nie jedno w nim zacne było zasiane, niejedno pełne już nawet w nim zeszło ziarno i że bujniejsze zostawił nam kłosy niż lata poprzednie.

Jakoż, na którejkolwiek dzielnicy naszéj Ojczyzny wzrok się zatrzyma, wszędzie spostrzeże albo postęp znaczący w pracach zrazu słabo rozpoczętych, albo piękne wytrwanie mimo przeszkód a nawet wśród tych przeszkód wyrobioną hartowność, albo choćby wreszcie ostateczne przebudzenie, skutkiem bądź poczucia się do polskiego obowiązku, bądź przeczucia nadchodzących europejskich wypadków: i *tenues grandia conamur* zdaje się być cichém lub głośném ale jednostajnem hasłem każdego w kraju zawiązanego koła obywatelskich czynności. W niejednéj części naszéj Ojczyzny koniec roku godnie odpowiada godnym jego początkom; a jeśli w innych inaczéj; i jeśli ostatnie miesiące ubiegłego lata odmienny tam zupełnie przedstawiają charakter w porównaniu z pierwszemi, to różnica zaprawdę nie wypada na szkodę sprawy i na ubytek narodowego ducha. — Kiedy rok temu na Rusi, ledwo jedna podolska prowincya dała nieśmiały znak polskiego życia, to w kilka miesięcy później odezwały się, w téj saméj myśli, i inne ukrainne ziemie naszéj ojczyzny, a odezwały się dość silnie aby na rządzie rossyjskim wymódz szczupłe wprawdzie i pozorne ale dla nas, wobec Europy, niemniéj ważne uznanie. Kiedy na Litwie, w styczniu, jako organ

prowincyi wystąpił ten *Kuryer Wileński*, który łamał ślubny pierścień Jadwigi, i ziemię Kościuszki i Mickiewicza rzucał pod stopy caratu: to w październiku, sam Car widział się zmuszony upomnieć przed Europą gród Jagiełły, że niedozwoli mu być polskim — tak mało tam zachowanie się obywateli odpowiadało i jego życzeniom i zapowiedzi *Odstępców*. O podniesionym w Królestwie kongresowém nastroju obywatelskiego życia, wiedziały w miesiącu lutym, niektóre może tylko zagraniczne rządy, poufnie, przez swych czujnych zawiadomione agentów: w dziesięć miesięcy później, przy Zjeździe Warszawskim, mogła cała Europa poznać i zrozumieć, ile to, w stolicy Polski, wre gorącego uczucia i ile jest już rządności w jego objawach. W. Księstwo Poznańskie publiczném zaskarżeniem władzy obcéj zaczęło, jak publiczném uczczeniem własnéj, rodziméj swéj władzy zakończyło rok, który w dziejach upornego, zaciętego a tak rozważnego téj prowincyi z żywiołem niemieckim boju, pozostanie równie zaszczytnym jak skutecznym. W austryackim nakoniec zaborze, przed rokiem, młodzież tylko sama upominała się o szanowanie praw swéj narodowości, choćby w szkołach i uniwersytetach: dni zaś temu kilka, najpoważniejsza, o jakiéj słyszano, wszystkich stanów i powołań deputacya wzięła na siebie obowiązek dać przed światem wyraz i rozgłos polskiemu życiu i polskim potrzebom tego kraju. Wolnoż wreszcie wprowadzić w ten rachunek otrzymanych zysków, pozyskanych także w części, i temi właśnie różnorodnemi objawami obudzoną i ujętą opinią Zachodu? Opinia ta przed rokiem może nie przypuszczała, że jéj o Polsce wiedzieć jeszcze godzi się i warto, i zdawała się zapomnieć o tych, co się niczém poważném nie przypominali: dziś więcéj jest ciekawą i więcéj też życzliwą, i sprawę naszę, jeśli jeszcze nie do koniecznych, to już do możebnych zaliczać poczyna.

Ale niedość jest w tym rocznym rachunku na takiém

ogólném i okrągłem zaprzestać zsumowaniu: wypada bliżéj przypatrzyć się cyfr kolumnom i sprawdzić liczby niezawsze wyraźne i niezawsze pełne. Należy ściśléj oznaczyć wartość tych narodowego życia objawów, ocenić ile w nich było istotnego dla sprawy pożytku, pozorne od realnych oddzielić korzyści, a zapisując zyski odniesione, niezapomnieć też i o zaległościach, z których jeszcze wypłacić się trzeba. Mamyż powiedzieć? Nie bez przelotnego ściśnienia serca przystępujemy do sił naszych obliczenia ani też bez pewnego o dalsze losy niepokoju; bo ileż to w tym przeglądzie okaże się niedostatków już na teraz, ileż zwłaszcza niebezpieczeństw groźnych w przyszłości? A bez względu na te niedostatki i obawy, bolesnym już jest rozdział, który z sobą sam przedmiot przynosi; bolesném jest, że obraz z oderwanych składać się musi epizodów i harmonijnéj nie tworzy całości; że na pytanie: co się dzieje z Polską, jednym nie można odpowiedzieć wyrazem. Odpowiedź musi być oddzielna dla każdéj dzielnicy, bo wielki interes narodu łamie się wciąż, w kraju, na różne cząstkowe zadania, i każda z ziem naszych do obcego przykuta organizmu od wspólnéj musi się odwracać jedności, aby zachować jéj odłam u siebie, «domowe wznosić kaplice, gdy wielka swiątynia zawarta.» W różnych ukazują się kształtach objawy tegoż samego życia: bo nie od natury własnego, rodzimego są zależne ducha ale od różnych narzuconych systemów rządowych; nierówny stopień wewnętrznego ciepła bo niejednaki jest ciężar gniotącéj atmosfery. Nie przez samę tylko powierzchnią naszéj ojczyzny ale i przez jéj żywotne sprawy i ledwie że nie przez jej serce przechodzą graniczne linie jéj zaborców; a ważąc i rozważając nasze losy i nadzieje, musi z każdego zaboru osobną sobie zdać sprawę i nienawistny podział przyjąć ten, co całość i jedność ojczyzny ma w duszy i w myśli.

I

Jak Moskwa największym i najniebezpieczniejszym jest wrogiem Polski, jak również największą przestrzeń naszéj zagarnęła ziemi, tak też i główny środek naszego rozstroju i rozdarcia najbardziéj wydoskonaliła, wielostronnie zastosowała, i nieprzestając na dzieleniu się ze wspólnikami zbrodni naszą ojczyzną, jeszcze tę część, którą dostała w udziele, na kilka odmiennie rządzonych rozćwiertowała części: łamiąc i krusząc klejnot kradziony, by jego kiedyś dochodzenie tém trudniejszém uczynić. W zaborze pruskim jednako mniéj więcéj ciąży wszędzie germanizująca biórokracya; jeśli w zaborze austryackim spostrzegać się daje poniekąd różnica między Lwowem a Krakowem, bardziéj ona z wewnętrznych pochodzi kraju warunków niż z odmiennych sposobów władzy ciemięzkiéj. Ale w zaborze rossyjskim różne z namysłu dla różnych członków polskiego ciała są *instrumenta regni;* inny i z wyrachowania niejednostajny tu system rządzi Rusią, Białorusią, Litwą i kongresowém Królestwem: rozdział administracyjny jest tu zarazem i politycznem rozczynem. Same, i z szatańską przebiegłością wyszukiwane, nowe dla ziem naszych nazwy służą już tu do pokrycia nieprawych nabytków do pomięszania pojęć historycznych i politycznych; i z umną tu także sztuką litery na przemian rozszerzone i ścieśnione, w miarę tego, jak dla nas mogą się stać zabójczemi. Moskwa skrzętnie korzysta z nazwy Królestwa Polskiego, by w przekonaniu Europy znaczenie i rozmiary Polski ścieśnić do pięciu gubernij; skrzętniéj jeszcze używa przywłaszczonego od czasów Piotra dla siebie miana, by Ruś naszę jako jednego z Rossyą przedstawić brzmienia i plemienia. Ku temu szczególniéj Rusi z Rossyą pomięszaniu zmierzały głównie, w ostatnich

czasach, usiłowania nietylko cesarskiego rządu na wewnątrz ale i moskiewskiego liberalizmu na zewnątrz, przed Europą. Ale też tém większéj dla nas wagi były wszelkie, w tych właśnie ziemiach polskiéj Rusi, przez ciąg ubiegłego roku, zaszłe polskiego życia objawy; jeśli w kraju samym znacznego nie przyniosły skutku, to poza krajem nie mało się one przyczyniły do rozświecenia opinii i ukazania prawdy.

Kiedy pod koniec zaprzeszłego roku, Podolanie w adresie do Imperatora upomnieli się o uszanowanie wiary i o wprowadzenie języka polskiego do szkół, administracyi i sądownictwa, nie mógł tego zgoła zrozumieć niepojętny *le Nord*, organ moskiewskich interesów na Zachodzie, i z zdziwieniem się pytał: jakiem prawem Polacy, tak niezmierną tam mniejszość tworzący, swą narodowość chcą narzucić prowincyi na wskróś rossyjskiéj? Zdziwienie to nawet przybrało rozmiary oburzenia, gdy w dziewięć miesięcy późniéj, Ukraińcy też same do Cesarza zanieśli żądania; i napróżno statystyczne i etnologiczne pojęcia bruxelskiego pisma usiłowały prostować dzienniki zachodnie, te nawet, którym rząd francuzki pewnéj użycza powagi. Polemikę niespodzianie zakończył sam cesarz Alexander, zezwalając na zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ziem ruskich. A jeźli książe Wasilczykow, przy téj sposobności uznał za stosowne oświadczyć obywatelom, że i więcéj i prędzejby otrzymali gdyby nie zanosili adresów: to my wszakże innego pozwolimy sobie być zdania w téj mierze, i w tém publiczném wytoczeniu narodowych potrzeb polskiéj Rusi, musimy upatrywać najgłówniejszą z odniesionych tam korzyści. Niewielkie to, nieszczere i więcéj niż dla nas, dla Europy dokonane ustąpienie: ale właśnie przed Europą było to zarazem ważnem dla nas uznaniem, przez sam rząd rossyjski złożoném świadectwem, że *nie na wskróś rossyjskie* są prowincye nad Dnieprem, i że pewna jednak zachodzi różnica między Rossyą a Rusią.

Od dalszego a energicznego obywateli na téj drodze postępowania, zależeć będzie coraz większe i trwalsze téj różnicy zaostrzenie w pojęciach Zachodu. Fałsz będzie w końcu musiał ustąpić prawdzie, skoro ta przy każdéj sposobności głosu dla siebie zażąda: przecież już i sam książe Dołgorukow, który rok temu ani przypuszczał, aby Polska poza Bug sięgała, teraz już pewne narodowe *ulżenia i ustąpienia* raczy obiecywać polskiéj Rusi, w owéj bojarskiéj i ziemskiéj Izbie, o któréj marzy dla swojéj Wszechrossyj.

Mniéj głośném ale niemniéj ważném świadectwem obudzonego na Rusi publicznego ducha były wybory marszałkowskie w Kijowie. Jeśli wolno nam powtórzyć słowa, swego czasu, już raz powiedziane: na ostatnich tych wyborach «szlachta do wewnętrznego zarządu i zewnętrznéj walki nie szukała już, po dawnemu, ludzi zdolnych tylko huczyć, tuczyć a w potrzebie przekupywać;» zamyśliła o takich, coby potrafili śmiało i twardo stanąć przy swém prawie. Wybór mianowicie p. Hołowińskiego dał dowód i większéj rozwagi obywateli i sumienniejszego ich poglądu na potrzeby prowincyi. Wprawdzie rząd rossyjski p. Hołowińskiemu odmówił swego zatwierdzenia, ale mamy nadzieję, że słowa zacnego męża, przy wyborach wyrzeczone, zostaną programem i moralną niejako konstytucyą marszałkowskiego w prowincyach zabranych urzędu. Instytucya ta, któréj wiele właściwych praw poszło w zaniedbanie, daleko więcéj ma wagi i doniosłości niż jéj pospolicie przypisuje zwykła nam nieświadomość rzeczy i gnuśna obojętność; w sumienne i energiczne ujęta ręce nie jednemu ona złemu zapobiedz, nie jedno dobro skutecznie rozwinąćby mogła i potężną stać się dźwignią w polepszeniu nas samych i naszych stosunków.

Jeźli do tych dwóch faktów dodamy pewną poprawę duchowieństwa, większą okazaną czujność o interesa wiary i Kościoła, i to w jednéj tylko kamienieckiéj dye-

cezyi; jeśli jeszcze wspomnimy o kilku poczciwych usiłowaniach i zabiegach celem utworzenia obywatelskich bądź stowarzyszeń, bądź spółek, które albo w nieubłaganéj chęci rządu, albo w naszém własném niedoświadczeniu i nieumiejętném braniu się do dzieła znalazły przeszkodę: to wyczerpniemy tém wszystko, coby się pod dodatnią rubrykę rocznego tych ziem rachunku zaciągnąć dało. Rubryka ujemna nierówniéby dłuższą była niestety; i gdybyśmy dokładnymi być chcieli lub śmieli, wiele opłakanych niedostatków, wiele gorszących przyszłoby tu wyliczyć faktów, które na Rusi nieszczęściem mało kogo rażą, a które w innych, na szczęście, ziemiach polski zdawałyby się niepodobnémi. Dosyć, za wiele już może, i choćby tylko dorywczo nadmienić: niedopilnowanie kwestyi włościanskiéj; niesumienne, nieludzkie, niepolskie obchodzenie się ze szlachtą zagrodową (jednodworcami); w stosunku do niemałéj zamożności, zbyt małą ofiarność która między innemi nawet i szkole agronomicznéj wznieść się nie dozwoliła; ogólne posługiwanie się urzędniczą przedajnością; brak opinii publicznéj, któraby kontrolowała obchodzenie się panów z chłopami i zachowanie się obywateli względem figur rządowych; niesłychaną pobłażliwość dla niegodnych w życiu prywatném postępków; przy pierwszém i tak słabém jeszcze obudzeniu się publicznego ducha, nieukojoną swarliwość i zawziętość stronnictw już tak rozpasaną, że aż do wzajemnych denuncyacyj przed ciemiężką posuwa się władzą; fatalny rozbrat między starszyzną zbyt oględną a młodzieżą zbyt nieoględną; i mimo wreszcie niezaprzeczonéj, choć nieco fanatycznéj i wyskokowéj polskości, łatwe nachylanie się bądź do moskiewskiej bojarszczyzny bądź do moskiewskiego radykalizmu!... Czystą i świętą jest nasza sprawa, strasznym i nieubłaganym jest nasz wróg moskiewski i niejednego w świecie ma on sprzymierzeńca. Ale najsilniejszym i najgroźniejszym z jego sprzymierzenców jest zło, które leży w nas samych, i z którem przedewszystkiem każdy z nas walczyć musi w swéj duszy i w swojem życiu.

II

Tak smutne i szczupłe są, w niektórych naszych prowincyach, warunki publicznego życia, tak przez nieprzyjaciół ścieśnione, albo przez nas samych zaniedbane pole działania, że, między innemi, dzieje L i t w y z całego przeszłego roku, były niemal tylko dziejami jednéj sprawy balowéj. W marcu zawiązana, w lipcu dostąpiła ona dramatycznego przesilenia, w październiku w reszcie do ostatecznéj doszła katastrofy, i dotąd tam jeszcze zaprząta umysły zarówno rządzonych jak rządzących. Czy obiecana monarsze przez jenerała Nazimowa w Wilnie zabawa przyjdzie lub nie do skutku: to przez rok prawie cały, na ziemi Jagiełłów, stanowiło hamletową prawdziwie kwestyą: *to be or not to be;* było tematem niejednego monogolu i dyalogu; i na woskowych to posadzkach tanecznéj sali mierzyły się, w długo nierozstrzygniętéj walce, gubernatorska gorliwość i obywatelska odwaga. Dla rzeczy tak błahéj, ileż to wielkich i małych poruszono sprężyn, i jakiż bogaty tu plon znalazłby francuzki wodewilista, co tak chętnie wielkie skutki z drobnych wyprowadzać lubi przyczyn! A wszakże, byłoby niesłusznem odmówić wagi sprawie na pozór tak mało poważnéj, i dla płochości formy, zaprzeczyć myśli, która dla żadnéj ze stron walczących obojętną być nie mogła. Nie bez przyczyny mistrz polskiego słowa w części *Dziadów,* w któréj objął wszystkie żale i udręczenia polskiego ducha i niejako pandemonium przedstawił naszéj katuszy, zamieścił i tę scenę balową, gdzie do jednego menuetu, wraz z zabójcami

ojczyzny, stawać musiały jéj nieszczęśliwe sieroty. Bal tu jest i środkiem tortury i środkiem rządzenia: wyrafinowanemu ciemięztwu nie dość mieć w nas swych niewolników, rade w nas jeszcze widzieć i światu dać poznać swoich trefnisiów; okutym w kajdany nie dozwala ostrożnego i powolnego chodu, jeszcze ich, raz po raz, do tańca zapędza, dla większéj swéj chwały i lepszéj uciechy. Po «*serdecznêm*» zaś przyjęciu, jakiego już raz przed trzema laty Car doznał na Litwie, po hucznych polowaniach z jakiemi dlań wystąpiły ukraińskie Nemrody, po «*żywych obrazach*» w jakie przed nim układali się warszawscy paziowie, po manifeście nakoniec, jaki w nowo założonym swym organie ogłosili wileńscy «*odstępcy*»: festyn, o którym p. Nazimow zamyślał, miał ostateczną przyłożyć pieczęć do naszéj hańby, i to właśnie w chwili, gdy inne ludy odradzały się w nowém życiu i w nowéj chwale: miał może też bal rzeczony i ostateczną dać odprawę tym głosom żalu i upomnienia, które się na widok owych sprosności z każdéj uczciwéj a polskiej wyrywały piersi. Kto te wszystkie rozważy względy, kto sobie przypomni wszystkie zaostrzające okoliczności owego na pierwszy rzut oka tak błahego procesu: ten niedoszłéj w Wilnie zabawie prawdziwe będzie umiał nadać znaczenie; ten uczci takowe ocknienie się narodowéj godności, wobec tych książąt niemieckich, których Car chciał mieć widzami naszego zhańbienia; ten wreszcie Litwie z radością odda świadectwo, że rok miniony inaczéj i godniéj zakończyła, niż dozwalały wróżyć jego smutne początki.

Z płochych rzeczy do godniejszych, i z sali tanecznéj do wiejskiéj gdy zastąpimy chaty, to błogie szerzenie się wstrzemięźliwości na Litwie, musimy têm bardziéj do szczęśliwych w roku 1860 policzyć objawów, że właśnie w tym roku rząd rossyjski najzaciętszą prowadził z niém walkę. W sprawie téj każda strona użyła środków jéj właściwych: po stronie duchowieństwa i

ludu polskiego, była zacna praca i piękne wyrzeczenie się zgubnego nałogu; ze strony moskiewskiéj, chciwość u niższych i brak wszelkiego zmysłu moralnego u wyższych, harmonijnie się sprzęgły, by groźbą, podstępem i gwałtem położyć tamę dziełu tak zbawiennemu. W ligę do rozpajania chłopów, pod wysoką protekcyą ministra skarbu, weszli żydzi, odkupczycy, żandarmy i gubernatorowie; a jenerał gubernator wileński aż w Ewangelii szukał poparcia dla kabaku, i gody nawet kananejskie (p. Nazimów widocznie ma słabość do godów) w obronie trunków przytaczał. Wprawdzie Imperator, za bytności swéj w Wilnie, nie zupełnie zdawał się pochwalać postępowanie w téj mierze swoich urzędników; niemniéj jednak ta zacięta, przez policyą szerzona, propaganda pijaństwa zachwiała, jak z przerażeniem słyszeliśmy, niejedną przysięgę wstrzemięźliwości. W każdym razie, aby utrwalić i zabezpieczyć tak szczęśliwie rozpoczętą pracę umoralnienia ludu, trzeba jeszcze będzie niemałych wysileń litewskiego duchowieństwa, któremu oby prędko i skutecznie przyszli w pomoc litewscy obywatele, niedosyć, jak dotąd, o dzieło takiej wagi troskliwi.

Były jeszcze i inne około publicznego dobra próby i zbiorowe usiłowania; ale jak na Rusi tak i tu, rozbiły się one o rządowy opór albo, co smutniejsza, o brak hartu u tych, którzy przedewszystkiem do przodkowania byli powołani. Ułożony, po długich naradach, projekt statutu Towarzystwa rolniczego dla czterech gubernij, utonął bez słychu i nadziei w kancelaryi gubernatorskiéj; umówiony adres obywateli, który Imperatorowi w Wilnie miał przedstawić żądania prowincyi, nie doszedł, skutkiem odstąpienia, w ostatniéj chwili, jednego z guberskich marszałków. Gdyby przynajmniéj ten ostatni wypadek mógł posłużyć raz jeszcze za upomnienie, jak dalece losy i godność prowincyi zawisły od trafnego wyboru naczelników obywatelstwa, i że w takich wyborach, w obecnych mianowicie czasach nie tyle chodzi

o ludzi zręcznych i sztuki moskiewskiéj świadomych, jak raczéj o mężów twardéj woli a przedewszystkiem polskiéj godności pamiętnych!... Litwini może w ogóle zbyt wielką przywiązują cenę do fortelów i przebiegłości; zbyt wiele zaufania i upodobania mają w sztuce Ulyssa, i *gubernskiéj* swéj *dyplomacyi* przypisują siłę, którą w walce z Moskwą, jak w walce z złem każdém, jedna tylko dać może szczerość i prawda. Nie iskra to z czarta wzięta kuźni, przepali moc czarta i cara, a gdzie gołębiéj nie ma prostoty, tam wężowa roztropność łatwo stać się może wężowém tylko pełzaniem.

III

Na Rusi jak na Litwie, przychodziło nam takie głównie zapisać fakta, które były świadectwem obywatelskiego ocknienia się, protestacyą niejako przeciwko obecnemu stanowi, głębszym i wyraźniejszym z nieprzyjaciołmi rozbratem w stosunkach publicznych. W Królestwie kongresowém nie brakło i na podobnych, jeśli tak wyrazić się wolno, *przeczących* objawach narodowego poczucia, i były tu może nawet widoczniejsze i z większą niż gdzieindziéj dokonane solidarnością; ale oprócz tego spotykamy się tu z ciągłemi zjawiskami, które nietylko ujemnéj nienawiści do ciemięztwa, lecz i dodatniego, szczerego dowodzą w rzeczach krajowych zamiłowania. Nie same tylko, jak tam, zapowiedzi polskiego usposobienia, ale prawdziwe i piękne wypada tu nam powitać rezultata polskiéj pracy i budowy, które z rozwagą były poczęte, z wytrwałością przeprowadzone, i o których jeśli tylko lekko napomknąć możemy, to nie dla tego zaprawdę, abyśmy je lekceważyć mieli — ale owszem przeciwnie. O ścisłość zresztą i zupełność nie możemy pokusić się tam, gdzie obraz w całości przedstawiony o wiele przekroczyć by musiał rozmiary, naszemu przeglądowi wskazane. Tak mnogie są tutaj publiczne zajęcia, tak wiele obowiązków dźwigają tu i pełnią obywatele, tak szczera jest chęć poznania potrzeb wewnętrznych i ich, wedle sił, zaspokojenia, że pod względem zaprawy i politycznéj dojrzałości, prowincya ta, wyznać trzeba, jednéj chyba tylko ustępuje Wielkopolsce.

Co przedewszystkiém w Królestwie kongresowém uderza i wielką na przyszłość przejmuje otuchą, to zgodność i łączność obywateli w zadaniach wewnętrznych, i mimo możebnéj a naturalnéj różnicy w stanowiskach i opiniach, solidarność działania w tém wszystkiém, co wyraźny krajowi przynosi pożytek lub go zapowiada. A pod tym względem, prowincya, o któréj mowa, znacznie i zaszczytnie odbija od ziem, któreśmy dotąd przebiegli. Nie widać tu, jak na Rusi, gwałtowności i zapamiętałości stronniczéj, tém boleśniejszéj, że ani na jasnych tam oparta jest przekonaniach, ani zawsze do czystych ucieka się środków; nie widać tu także, jak na Litwie, tego rozbicia na setne obozy, które bez uznanych wodzów, bez wytkniętéj właściwie chorągwi, ciągle tam z sobą staczają spory, a punktu oparcia nieraz u wspólnego szukają ciemięźcy. Równie dalecy od bujności fantastycznéj jak od igraszek przebiegłości, mieszkańcy Królestwa zdają się pojmować, że między bujaniem a pełzaniem jest jeszcze środek, jedynie naturalny i godny środek — chodzenia prosto; i za pierwszy warunek dźwignienia sprawy, kładą zacność indywidualną i wspólną pracę. Wspólna zaś praca, i bez względu na jéj dalsze rezultata, już to z sobą przynosi dobrego, że do praktycznéj i właściwéj sprowadzając miary te przesadzone plany i przesadzone wymagania, jakie zazwyczaj ma każden, co z założonemi rękoma stoi na uboczu, właściwą także nadaje miarę i tym w indywidualnych pojęciach różnicom, które nie zbliżone i nie zastosowane, daleko większemi się wydają niżli są wistocie. Wspólna

praca nadto, inną jeszcze, a niemniéj stanowczą, zapewnia korzyść, że wszystkie naraz żywotne powołuje potęgi: i te które przeszłością bogate, w tradycyi i w materyalnych przechowały się zasobach, i te także które własnego tylko trudu i obecnego są utworem pokolenia.

Głównym wyrazem téj solidarności obywatelskiego życia w Królestwie i rozszerzonych na całą prowincyą a szykownych zajęć, było to Rolnicze Towarzystwo, które w ubiegłym roku przez tak rozliczne przechodziło koleje i tak ciężkie przetrzymało próby. Niemałéj, w każdym razie dojrzałości Królestwa jest dowodem ta instytucya, któréj czynności i skutki niczyjéj, właściwie, osobnéj i wyłącznéj nie stanowią zasługi; która każdemu otwiera pole do swych sił użycia i objawu, i która właśnie dla tego całéj prowincyi jest dźwignią i zaszczytem. To téż, gdy wkrótce po walném zgromadzeniu lutowém, znany dekret p. Muchanowa zagroził Towarzystwu w jego najistotniejszych podstawach, nietylko wszyscy członkowie zarówno uczuli się nim dotknięci: w całéj prowincyi, rzec możemy w całym narodzie, jednakie on wywołał oburzenie. Ale tu właśnie się pokazało, ile już, przez krótki ciąg swego istnienia, Towarzystwo przysporzyło krajowi mocy i dzielności; a jeśli prawda, że zdrowego to organizmu oznaką, gdy swe szkody łatwo pokrywa i z swoich ran prędko powstaje, niepodobna będzie wielkiego zasobu żywotności nie przyznać obywatelstwu, które takim ciosem ani się złamać, ani się ostatecznie osłabić nie dało. Wprawdzie, w pierwszéj chwili i w doraźném, a tak łatwo u nas wzbierającém uczuciu, że już wszystko upadło i że jedna chyba tylko broń protestacyi zostaje, kilkuset członków zamyślało wystąpić z Towarzystwa i pole gromadnie opuścić; ale prędko wzięła górę rozwaga i przekonanie, że walczyć z trudnościami jest godniéj i skuteczniéj. Skutek téż pokazał się niezwłocznie: przed

objawem niewzruszonéj a powszechnéj woli cofnął się i sam p. Muchanow; a jeśli cały ten wypadek dał miarę systematycznéj nienawiści rządowéj przeciw wszystkiemu co nas zaprawia i jednoczy, dał téż i z drugiéj strony miarę tego, czego nawet i na takim rządzie wymódz może zgodna w sobie i do spłoszenia niełatwa chęć dobrego. A jeszcze większa zasługa to w naszych oczach obywateli, że na odniesioném raz nie zaprzestali zwycięztwie, że po niém na zimowe nie rozeszli się leże, i owszem wzmocnić swe starali się szyki. Towarzystwo, jak dzienniki nas zapewniają, w ciągu upłynionego roku wzrosło o tysiąc nowych członków: wzrost jego był konieczny, skoro umiało uniknąć rozbicia.

Ale co najwyższą Towarzystwa stanowi zaletę i powszechne musi mu jednać uczczenie, to piecza i troskliwość, jaką wciąż objawiało około moralnego i materyalnego dźwignienia klasy włościańskiéj. Wprawdzie rząd rossyjski, wierny zasadzie systematycznego odróżniania Królestwa kongresowego od ziem zabranych, i w téj kwestyi włościańskiéj, pod tyloma względami tak dla niego jak dla nas żywotnéj, nie chciał dopuścić jednostajnego jéj wśród Polaków załatwienia; i gdy w krajach zabużańskich reformę ekonomiczną zamierzał przeprowadzić na podstawach wielkorossyjskiéj gminnéj własności, Królestwu kogresowemu natomiast narzucił zgóry zasadę wieczystéj dzierżawy. W tak ciasne wtłoczone granice, lutowe obrady Towarzystwa w tym przedmiocie, mogły się już tylko toczyć jedynie nad najwłaściwszym sposobem przeprowadzenia stosunków obecnych w system oczynszowania. Mimo to, przekonanie większości nie dało się zupełnie przytłumić, a uchwalone przez Towarzystwo (acz przez pana Muchanowa w druku wstrzymane) postanowienie, które «przemianę » czynszowników na właścicieli uznało za jedynie osta» teczne i pożądane rozwiązanie sprawy włościańskiej,» dowiodło, że obywatele Królestwa daléj w swych dąże-

niach i swéj gotowości do ofiar sięgali, niż tego z namysłu sobie życzył i dopuścić chciał rząd, co przed Europą tak chętnie odgrywa rolę reformatora na przebój. Cóżkolwiekbądź, dzieło oczynszowania postępuje naprzód; a chociaż obok tylu innych trudności,same już przepisy Rady Administracyjnéj niemało dorzucają przeszkód, przyznać jednak się godzi, że obywatelom nie brak na szczeréj, śmiemy powiedzieć, serdecznéj chęci sumiennego przeprowadzenia sprawy, bez gwałtownego zawichrzenia ekonomicznych stosunków ale i bez niesprawiedliwego przeciążenia włościan. — Niemniéj także przez rząd ścieśniane było pole dla moralnego podniesienia włościan; ale i tu również ze szczupłości dozwolonego gruntu, nie brano pochopu do zostawienia go odłogiem: drukowano książki dla ludu, zakładano wiejskie ochrony, kształcono do nich nauczycielki; a jeśli zaniechać musiano tych wystaw okręgowych, w których lud coraz więcéj znajdował i skutecznéj zachęty, i przykładu uczącego i uczciwéj wreszcie zabawy, to tylko dla tego, że ich zabronił rząd zbyt pomny nauk Machiawela, by ścierpieć mógł to, co klasy społeczne wzajemnie ku sobie zbliżało.

Raz obudzone w téj prowincyi uczucie spojności i uznanie pożytku łącznego działania, nie ograniczyły się tylko na zadaniach i zakresach, jakie pracy obywatelskiéj wskazywało Towarzystwo Rolnicze: objawiły się jeszcze w licznie zawiązanych stowarzyszeniach ku specyalnym celom. Na wielu miejscach powstały w tym roku nowe współki, których przedmiotem bądź zabezpieczenie od gradobicia, bądź ratowanie pogorzelców, bądź też utrzymywanie wspólnych a przy wielkiém gospodarstwie tak nieodzownych urzędników, jak weterynarzy, leśnych, techników i t. p. Przedewszystkiém zaś wymienić tu wypada owe Domy Zleceń, ktorych siedm już liczy obecnie Królestwo, a które ułatwiając rolnikom środki przedaży i kredytu, przyczynić się muszą na przyszłość

do umoralnienia handlu, i to, co dotąd było nieledwie klęską krajową, przetworzyć z czasem w prawdziwą i żywotną funkcyą narodowego organizmu. I tak wszędzie, w mniejszych czy większych kołach, toż samo czerstwe objawia się życie, wiążąc siły i jednocząc chęci; a duch już się nie błąka i nie pokutuje w opuszczeniu i pustkowiach, ale na każdém miejscu szuka ciała, w kształty się przyobleka i społeczność kształtuje.

Że praca uzacnia, pewnik to przez wszystkich przyjęty, co ludzką znają naturę, i nietylko indywidua ale i narody temu powszechnemu ulegają prawu. Ale jeśli Królestwo swe prace wewnętrzne w cieniu i ciszy wykonywało, nie szukając z nich chluby przed światem, to zacności swéj i narodowéj godności jawny dać mogło dowód, gdy świat cały naraz zwrócił swe oczy na ziemię mogił i krzyżów. Dziwném zrządzeniem Opatrzności, mocarze północy, dla narad, w których cały cywilizowany Zachód przeczuwał spisek knowany na swą wolność, obrali miejsce, co samém swém imieniem, wszystkim na myśl przywiodło zbrodnię na nas dokonaną. Przypomniała téż to sobie Europa, ale przypomniała jéj to sama Warszawa swym smutkiem, swą żałobą, swą grobową cichością: przy bankiecie Makbetów stanął cień Banka. Było to wszakże w rocznicę pamiętnych *żywych obrazów!*.... Ale Bóg miłosierny, w tym roku, w chwili takiego historycznego znaczenia, nie dopuścił podobnéj obrazy naszego narodowego majestatu; i Europa ujrzała Polskę, wtenczas, piękną bo posępną, i jéj synów wymownych bo milczących: *dum tacent clamant.*

IV

Kiedy niedawno temu Wielkopolska, chcąc uczcić obrońców swego prawa wobec cudzoziemskiéj władzy,

wybiła medal z pięknem słowem Reytana: *chyba po moim trupie*, wyraziła w tym napisie i swój hart niczém dotąd niezłamany i straszne niebezpieczeństwo, które jéj grozi w niemieckim zalewie. Ze wszystkich ziem naszéj ojczyzny, Wielkie Księstwo Poznańskie najwięcéj bezwątpienia dowodzi tych cnót obywatelskich i politycznych przymiotów, które naród z upadku dźwigają i do samoistnego przygotowują go bytu. Nietylko rozbrat tu z wrogiem stanowczy, ale i najściślejsze ojczystych żywiołów zbratanie; nietylko w sercu tu i wyobraźni gorąca dla Polski miłość, ale i w życiu codzienna o Polskę troska, codzienna dla niéj ofiara; nietylko wielu tu ludzi oddanych pracy publicznéj, ale wiele téż pracy bezimiennéj, nieosobistéj, wspólnéj a szykownéj. Niestety! ze wszystkich takżeziem naszéj ojczyzny, prowincya to najbardziéj w swych podstawach podkopana, chciwym zębem gryziona, codzień wzmagającą się niemczyzny powodzią coraz szerzéj zalewana. Jakiż to bolesny widok, przy takim wzroście moralnym, takie niknienie materyalnych zasobów; przy tak silném życiu, coraz silniejszy pasożyt! Podobna owym smętnym a cudnym postaciom średniowiecznéj sztuki, Wielkopolska niepokoi, a pociąga, ujmuje, wielkim ducha wyrazem mimo ciała wątłego i wycieńczonego; i téż z tém większém rozrzewnieniem i uczczeniem przystępujemy do téj krainy, niegdyś kolebki naszego narodu, dziś może kolebki jego odrodzenia.

Rok ubiegły, pod wieloma względami pamiętnym zostanie w dziejach Księstwa Poznańskiego. Rozpoczął on nanowo między polską ludnością a rządem pruskim zaciętą walkę, która tym razem może być stanowczą: walkę na legalnym wprawdzie toczoną gruncie, ale w niéj prawo nie służy za rozjemcę ani za sędziego, lecz tylko za broń, jednym ku odparciu, drugim ku zgnębieniu przeciwnika. Używa rząd nieprzyjacielski wszystkiego, czego litera ustawy wyraźnie nie wzbrania, lub

co go przed światem zbyt jawnie nie plami, aby zniszczyć i zrujnować tę garstkę mieszkańców, którzy dotąd zniemczyć się nie dali; chwytają się Polacy tych swobód konstytucyjnych, których pod rządem parlamentarnym zaprzeczyć nie można, aby związać razem co jeszcze zostało z sił narodowych, i w połączeniu, przynajmniéj walkę przedłużyć. Bój to zaprawdę nierówny, prawiebyśmy powiedzieli rozpaczliwy; na lata rozłożony, musiałby skończyć się dla nas przegraną bez nadziei. Ale, może to i skutkiem téj przewagi nieprzyjacielskiéj, téj wielkiéj niebezpieczeństwa nagłości, wydobyła z siebie Wielkopolska, w ostatniéj już nieledwie godzinie, taką wewnętrzną organizacyą, która i dla niéj i dla nas wszystkich jest ratunkiem i zaszczytem, a któréjbyśmy w innych ziemiach polskich daremnie szukali przykładu. — Podobnie jak się to działo we Włoszech i na Węgrzech, jak niestety dziś jeszcze widzimy w Galicyi i w prowincyach zabranych, Wielkopolska długo na rożne rozdzielona była obozy; te, pierwéj nim wojnę nieprzyjacielowi wydały, bój z sobą toczyły zacięty, a niszcząc się nawzajem i od wspólnego odpychając dzieła, sprawę wyzwolenia Ojczyzny brały każde na siebie, wyłącznie a zazdrośnie. Ale, jak we Włoszech i na Węgrzech, tak i w Wielkopolsce, dopiéro gdy szeregiem klęsk upokorzone, ubytkiem narodowéj żywotności zastraszone, stronnictwa spostrzegły, że sił wspólnych doprawdy nie zawiele, i choćby na to już tylko, aby się obronić i szczęśliwszych doczekać się czasów, dopiéro téż wtedy wyrzekły one słowo pojednawcze i na przystępném dla wszystkich zeszły się polu. Zgoda to dla uciśnionego konieczna narodu, ale na nieszczęście w dojrzalszych społeczeństwach jedynie możebna: opinij politycznych ona nie zaprzecza, nie gorszy się ich różnicą, lecz je owszem uznaje; na wzajemnéj ufności i wzajemnych oparta ustąpieniach, połączone siły przeciw nieprzyjacielowi szykuje. A takiéj to dojrzałości politycznéj objawem,

długich niepowodzeń uznaniem, długiej walki domowéj zakończeniem czy rozejmem, jest w Księstwie to Koło polskie, któremu przed dwoma miesiącami cała prowincya, jakby przeczuciem ważniejszych popchnięta zdarzeń, jednomyślnie nad sobą przyznała władzę, i które, tém samém, nietylko już zewnętrzną jéj spraw obronę ale i wewnętrzny jéj niejako kierunek, przed narodem i Europą przyjąć na siebie musiało.

Wszakże, jeszcze przed owém uroczystém a powszechném zdaniem losów Księstwa w ręce Koła polskiego, było to grono nietylko wyrazem prowincyi, nietylko stróżem jéj potrzeb, ale że tak powiemy rządzcą jéj publicznego sumienia. Każdy głos polski z mownicy berlińskiéj wzniesiony, tłómaczył przed światem długie rozmowy i żale, które się pierwéj po dworach albo chatach obijały wiejskich; każdy był częściowém opowiedzeniem jednéj wielkiéj krzywdy, skargą narodu potępionego bez wysłuchania; i każdy téż znajdował echo donośne w Księstwie i po za Księstwem, w kraju i po za krajem. A jeśli te wołania posłów polskich wśród narodu nieprzyjacielskiego, nie zawsze przyniosły skutek albo raczéj nigdy go nie odniosły, to za to, wpośród swoich, nie zostały bez nagrody: na polską ziemię rzuciły one ziarno, z którego, da Bóg, plon bujny wykwitnie. Pod zasłoną wspólnéj od Niemców obrony utrwaliło się Koło; pod gwarancyą wspólnych postanowień, nie gasły indywidualne zasługi a urosła w znaczenie instytucya; pod wrażeniem solidarności reprezentantów, nie ustawały pojedyncze obywateli prace, a cała prowincya do hasła przywykła jednego. Zawiści i podejrzenia stronnictw rozbroiło wzajemne posłów zaufanie; bo tam gdzie jedno mogło zrazić imie, drugie z pewnością posłużyło za rękojmię, zdobyło serca i do zbiorowéj skłoniło uległości. Napróżno pan Bonin przypominał w ciągu lata ubiegłego, że nie żądania polskich deputowanych, ale uchwały Izby mają tylko moc obowiązującą: głos jego przebrzmiał niesłyszany, decyzye Koła polskiego pozostały prawem dla polskiéj ludności, jego życzenia wolą powszechną.

W miarę rosnących na sejmie berlińskim prac polskich i rozszerzonej dla Koła ufności mieszkańców, zstępowała w Wielkopolskę jakby nowa siła, i głośniéj niż kiedykolwiek we wszystkich klasach odzywał się obowiązek dochodzenia praw narodowych. Z niewidzianą nigdy jednomyślnością, w większéj części powiatów Księstwa, oświadczyli polscy obywatele władzom pruskim, administracyjnym i sądowym, że bez względu, czy który z nich korespondował lub nie po niemiecku, odtąd wszyscy tylko w polskim języku pisywać będą i w nim podobnież przyjmować wszelkie akta urzędowe. Oburzenie, przestrach i zamęt, jakie ta deklaracya w biórach niemieckich sprawiła, trwają jeszcze do dziś dnia. Zaostrzona polemiką dziennikarską, przez różne instancye sądowe rozmaicie sądzona, sprawa językowa przeszła do najwyższych sfer rządu. Wbrew prawu, traktatom a nawet własnym zobowiązaniom, ministeryum pruskie odrzuca żądania polskich obywateli; ośmieleni w swym oporze miejscowi urzędnicy mszcząc się za każdą polską korespondencyą, spóźniają interesa, wikłają sprawy, utrudniają stosunki, zatrzymują należne wypłaty i sprzedają ruchomości tych, którzy niemieckich przyjąć nie chcą dokumentów. Kraj na codzienne narażony straty, cierpi dotkliwie; ale pomimo to, obywatele wierni zostają swemu zobowiązaniu. I mamy nadzieję, że téj wierności dochowają; że potrafią nadto i inne klasy pociągnąć do wspólnego dzieła; a tak przenosząc równocześnie sprawę języka ojczystego do wiejskich chat i na pole europejskich traktatów, odpowiedzieć tém właśnie na decyzyą większości niemieckiéj, któréj rząd aż nadto jest pewnym.

Ktoby ten dzisiejszy stan Wielkopolski chciał porównać z jéj dawniejszém, przed kilkoma laty usposobieniem,

tenby musiał przyznać, że zmiana zaszła widoczna. Rozgrzały się serca, podniosła się odwaga, obudziła się czujność na prawa narodu, przybyło wszystkim woli i nadziei. Zapewne, że niemało téj zmianie dopomogły wypadki, dopomógł prąd ożywczy, który wieje od Zachodu; i bez otuchy, jaki daje Francya, bez przykładu jakim świecą Włochy, nie byłoby dziś w Wielkopolsce tak natężonego umysłów nastroju. Ale, jeśli wiele wpływom zewnętrznym, więcéj jeszcze własnéj zasłudze Wielkopolska przypisać ma prawo. Jedność i solidarność obywateli, nie teroryzmem opinii, ale własném ich osiągnięta uczuciem i przekonaniem; jedność i solidarność, któréj potrafiono dochować we wszystkich stanach i zatrudnieniach, mimo sporów tak drażliwych i głębokich, jakie świat cały, w roku zeszłym dzieliły; niezmienna, wśród zmienionéj atmosfery, rozwaga i oględne wyszukiwanie broni jedynie skutecznéj do walki z wrogiem tylekroć potężniejszym; głębsze pojęcie, sumienniejsze pełnienie publicznych obowiązków; wreszcie zaciętość w dobrém, któréj nie łamią ani ofiary, ani trud i znużenie: te są własne, rodzime nabytki ducha polskiego w Poznańskiém, od czasów i zdarzeń niezawisłe; te są dojrzewające już dzisiaj owoce politycznego zasiewu na ziemi, przez lat tak wiele, z chrześciańską uprawianéj miłością. One też podniosły obecnie Wielkopolskę do godności nowych a trudniejszych niż kiedybądź z rządem nieprzyjacielskim zapasów; one są dla nas nadzieją, że w twardéj i może nieraz bolesnéj, jaką ją czeka próbie, Wielkopolska utrzyma się na wzniesioném stanowisku; one w końcu są rękojmią, że to błogie ożywienie jakie dziś przyszło z Zachodu, dla niéj nie przeminie bez korzyści, bo jak mówi pismo: *temu co się dorobił, będzie więcéj dano.*

Ale, oprócz tych potęg i zdobyczy, które Wielkopolska na rodzinném osiągnęła gruncie, zyskała ona dla własnéj i dla wspólnéj sprawy niezaprzeczone na polu europejskiém korzyści. Nietylko obronę Księstwa ale i misyą przypominania całéj Polski i świadczenia jéj przed Zachodem, wzięli na siebie w części posłowie poznańscy. Długo głos ich w Europie nie budził echa, prace nie przynosiły owocu: co krok spotykali przeciw sobie te wszystkie straszne potęgi, które naród nasz przycisnęły wiekiem grobowém. A przecież, mimo tak trudnych okoliczności i powszechnego lekceważenia, ich wierność i wytrwałość w obronie świętéj sprawy, wymogła wkońcu nietylko na obojętnych ale i na nieprzyjaciołach uznanie. «To nie frakcya sejmowa, to osobny parlament» wyrzekł o polskiém Kole pewien dziennik niemiecki; a kiedy z trybuny berlińskiéj, jeden z posłów Wielkopolskich ogłosił akt zaskarżenia na władze pruskie i wykazał do jakich to środków nikczemnych uciekają się przeciw nam rządy cudzoziemskie: w jednéj chwili, i wielkość bezprawia i wielkość naszych cierpień stanęły na widowni europejskiéj. Temu dwa lata, mało kto może na Zachodzie pamiętał, a w Niemczech chciał sobie przypomnieć, że Poznań to odwieczny polski gród; pod koniec zeszłego roku, sami Niemcy na zgromadzeniu koburgskiém, ważąc i rozbierając pytanie, czy można i należy odbudować naszę Ojczyznę, nie śmieli nam zaprzeczać stolicy Wielkopolski: snać tak mocno utkwiły w ich pomięci mowy i postępki deputowanych poznańskich.

Wkońcu jeszcze jeden, a może i najważniejszy, chcemy tu zapisać, napół już osiągniony prac Wielkopolski rezultat. Słyszeliśmy po wielekroć cudzoziemców nam życzliwych, którzy z tém większą boleścią wyrażali się o cierpieniach Polski, że w gruncie nie wierzyli w jéj odbudowanie. «Naród, mówili oni, który przez kilka pokoleń zostawał w niewoli, nie może odzyskać swéj niepodległości, bo jéj nie potrafi zachować. Przez długie lata od rządu nieprzyjaznego dręczony, w swych potrzebach i aspiracyach obrażany, przywyka w tém wszy-

stkiém co jest władzą widzieć swego wroga, w jéj postanowieniach zawsze się domyśla zdrady, i wkońcu tak bardzo nastraja się na ton opozycyjny, że rządu własnego, choćby go stworzył, utrzymać nie zdoła: rozpaść się znów musi na grona lub jednostki i wrócić pod obcych jarzmo ciemięzkie.» Przyznajemy, żeśmy nie bez tajemnéj trwogi słuchali tych zarzutów; a przykład opozycyi, jaką rząd sardyński znajduje obecnie w świeżo wyzwolonéj Lombardyi, nie przyczyniał się zaprawdę do naszego uspokojenia. Dlatego, z tém większą radością przyklasnęliśmy i téj niezłomnéj w Kole polskiém jedności i poparciu, jakie naczelnemu gronu całe przynosi Poznańskie. Widok Polaków, tak mało do zbiorowego zaprawnych działania, którzy potrafili związać się w szereg silny, silniejszy nawet od naszych cierpień; którzy do tak mozolnéj zaprzężeni pracy, trwali w niéj przecież poczciwie, pomimo niechęci obcych, własnych sił upadku i trudów swych bezskuteczności: widok ten był nowym dla nas dowodem a wobec cudzoziemców zwycięzkim argumentem, że już spotyka się między nami ów zmysł spójności, który tworzy i rozwija polityczną społeczność; że więcéj już, wpośród nas, téj siły, co łączy i buduje, niźli téj co burzy i rozprasza. I byleby takie posiadając grono, Wielkopolska umiała zawsze swoją otoczyć je ufnością, byleby broniła go, bądź co bądź, od obcych i co trudniejsza od swoich, byleby sercem i umysłem, w dobréj czy złéj doli, stała za niém niezmiennie i nieprzerwanie: to ufamy, że prowincya ta, która już dzisiaj w rzędzie ziem polskich pierwsze zajmuje miejsce, przetrwa szczęśliwie i walki i burze, a odzyskując stopniowo swe prawa, ułatwi dla wszystkich tryumf sprawiedliwości.

V

W przeglądzie różnych dzielnic naszéj ojczyzny i objawów narodowego życia, jakie one dały w ubiegłym roku, ostatnie słowa zamierzyliśmy poświęcić Galicyi: bo też ostatnia stanęła w szranki, ostatnia niecledwie wystąpiła na pole publicznego działania. Wprawdzie, adres młodzieży krakowskiéj, upominający się o język ojczysty, nosi już datę z jesieni 1859; wprawdzie o tym samym także czasie i następnie, okazały się w całéj prowincyi, ze stron różnych i w różne kierunki dążności do ożywienia dawnych, do utworzenia nowych ognisk wspólnéj, wewnętrznéj czynności. Pojawił się silniejszy ruch w obu Towarzystwach rolniczych; niedosyć z początku zrozumiana, a jednak pod tyloma i wyższemi nawet względami skuteczna myśl urządzenia karpackich zdrojowisk, rozszerzyła się i osobną wydała asocyacyą; zachody koło zawiązującego się Towarzystwa ubezpieczeń zajęły silnie prowincyą, a wywołując kilkakrotne zjazdy i narady licznego obywatelstwa, niemało przyczyniły się do porozumienia, a choćby i do poznania się rozstrzelonych wspólnéj ziemi mieszkańców; jednym Królestwo nastręczało przykład Domów Zleceń, drugim Poznańskie przykład Towarzystwa naukowéj pomocy: na różnych polach wystąpiły naraz chęci dobre, zamiary zrazu tłumne, po długiem życia stłumieniu. Wszakże, dopiéro gdy rząd austryacki zawezwał do Wiednia nowo mianowanych członków Rady Państwa, weszła Galicya na szerszą polityczną widownię i oznaczyła pewniejszy swego postępowania kierunek. Odtąd, coraz więcéj się budził duch publiczny, coraz przemożniéj dawała się czuć konieczność skupienia sił wewnętrznych, radzenia o sobie, obrania nietylko systematycznego działania, ale i systemu; aż wreszcie wyprawiona przed kilkoma tygodniami deputacya do Wiednia, zamknęła niejako dotychczasową epokę cichych zmów, pokątnych prób i niepewnego wyglądania, i zakreśliła program jawnéj, legalnéj, stopniowéj polityki, równie odpowiedniéj potrzebom kraju, jak i oczekiwaniom życzliwego nam

Zachodu. I trudno nie przyznać, że Galicya długą swą, zbyt długą bezczynność, okupiła wkońcu czynem równie pięknie świadczącym o jéj podniosłem uczuciu jak i o zdrowym, a rzec trzeba, niespodzianym zmyśle politycznym; a jeśli śmiałość zrobionego kroku jest w znacznéj części wypływem zewnętrznych okoliczności, to roztropność jego jest własną obywateli galicyjskich zasługą. Trzy adresa, powiedzieć można są punktami wytycznémi drogi, którą od roku przebiegła ta prowincya: w pierwszym młodzież tylko sama brała udział; w drugim (do członków Rady Państwa) wielka część obywatelstwa; w trzecim nareszcie, który ostatnia deputacya zaniosła do Wiednia, wziął udział kraj cały; a z rozszerzającém się coraz kołem uczestników, wzmagała się i myśl i doniosłość dzieła. Trzy te manifestacye doskonale oznaczają postęp, jaki Austrya zrobiła w swém rozstrojeniu, a jedna z ziem polskich w swoim wewnętrznym ustroju.

Ale jakże nierównie znaczniejszym okaże się ten postęp Galicyi, gdy obecną chwilę porównać nam przyjdzie z rokiem 1848, z rokiem tak pamiętnym przez swe wielkie nadzieje i większe jeszcze zawody! W roku owym podobnież Galicya wyzwaną została na pole akcyi politycznéj a niebezpieczeństwa zewsząd Austryi grożące dawały wtedy sposobność ubezpieczenia narodowych żywiołów prowincyi. Do rozważnego działania i powolnéj, stopniowéj rekonstrukcyi, tyle wówczas przemożnych upominało względów: i wzgląd na wewnętrzne rozdarcie społeczne, religijne, szczepowe; i wzgląd wreszcie na tę nienawistną biórokracyą, która wśród ogólnego zachwiania jedna zachwianą nie była, i w prawym ręku ostry miecz władzy bez trwogi trzymając, lewém bez skrupułu sięgała po nóż Szeli, nóż jeszcze nieztępiony, jeszcze nawet nieoschły. Ale bezwzględnie, bez obliczenia własnych i nieprzyjacielskich zasobów, bez przelotnego choćby o nich pomyślenia, zakreślono sobie wówczas od razu koło jak najszersze, które wszystkie,

niezawodnie, obejmowało nasze życzenia, lecz tém samém wszelki nam odejmowało środek do ich urzeczywistnienia. Własnemi siły, albo raczéj własną bezsilnością, chciała jedna Galicya dźwignąć wtedy całość sprawy ojczystéj, i o tym ostatecznym celu naszych ogólnych dążeń wciąż przemyśliwając, traciła z oczu szczególne zadanie chwili bieżącéj, a tak prędko ubiegłéj. Przez rok blizko mogła Galicya z niemocy rządu korzystać, mogła i własne zagoić rany i strapionego ducha całéj Ojczyzny swoim pokrzepić widokiem; mogła niewątpliwie wielkie uzyskać koncesye, które acz późniéj przez zwycięzką cofnięte reakcyą, zostawiłyby jednak i ślad w kraju znaczący i obecnym żądaniom silniejszejby użyczyły dźwigni. Ale rok ten przeszedł marnie, na marzeniach, Galicyi nie na pożytek, Polsce nie na pociechę. Nastąpiły po nim długie lata gorzkiego zwątpienia i grobowéj ciszy, i powietrzna budowa nie zostawiła nawet tych ruin politycznych, na których myśl tęskna zatrzymaćby się mogła.

Bezwątpienia, między epoką, którąśmy przypomnieli, a czasem w którym żyjemy, różnica wogóle jest wielka, niezmierna: cała Europa inszym teraz postępuje torem, a ta odmiana musiała wywrzeć swój wpływ i na nasze pojęcia o kierunku spraw publicznych i na objawy polskiéj żywotności w różnych dzielnicach naszego kraju. Ale nie małą to zawsze jest zasługą Galicyi, że tę zmianę pojęła i do niéj ze wszech miar zastosować się umiała; że nieprzedawnione prawa i niezgasłe uczucia narodu roztropnie pogodziła z tém, co z tych praw i z tych uczuć dziś już zaspokojoném być może, i potrafiła utrzymać tak trudną harmonią między idealnością naszych życzeń a rzeczywistością naszego położenia. W adresie, który Galicya przesłała do Wiednia, nie przepomniała o wspólności krwi i myśli, co ją łączy z braćmi nad Wartą, Wilią i Dnieprem; lecz wskazawszy raz na tę gwiazdę przewodnią swych nadziei, pilne oko zwró-

ciła do steru własnéj łodzi, i nie puszczając się na bezbrzeżny ocean ułudy, trzymała się drogi przystępnéj i jedynie do celu wiodącéj. Adres nie do samego tylko przyrodzonego odwołał się prawa, ale i do tych międzynarodowych stypulacyj, na których układ europejski po dziś dzień spoczywa, którym wprost zaprzeczyć żadna nie ośmieli się władza, i do których nietylko pod rozstrojonym, ale i pod najsilniejszym odwołać się można rządem. A mimo tylu drażliwych a dla nas bolesnych punktów, jakich dotykać, mimo cieśni stosunków, przez jaką przebijać się musiał, akt ten jednak żadnego polskiego nie zadrasnął uczucia, owszem może niejeden znękany umysł w bardziéj jeszcze uciśnionych ziemiach podniósł i pokrzepił; trzymając się litery niewoli, niczém przecież wolnego ducha nie obraził, owszem tak poważną i dostojną umiał przybrać formę, że i poza krajem, wśród obcych, zyskał i cześć i współczucie. Nieraz słyszeliśmy między nami niecierpliwych, którzy twierdzili, że trzeba, bądź co bądź, przypomnieć się Europie. Niestety, przypominaliśmy się dość często, — ale tylko samemi klęskami, które budząc dla nas miłość wobec naszych cierpień, dla naszéj przyszłości nie budziły jednak ni wiary, ni nadziei. Obecne wystąpienie Galicyi było jednym z rzadkich aktów, co zwracając na nas uwagę zagranicy, nie sprowadził nieszczęść w kraju samym, i przynosząc światu nowy dowód naszego życia, nie był zarazem gońcem nowego dla nas śmiertelnego ciosu. O naszéj odwadze Europa zaprawdę nie wątpiła; ale o rozwadze naszéj ją przekonać, rzecz to nierównie trudniejsza.

Jestże to Bożą n a g r o d ą dla prowincyi, która ze wszystkich ziem polskich najstraszniejszą w nowszych czasach zakrwawiła się raną — bo raną bratobójczą — że jéj dozwoloném było wystąpić obecnie z tak poważnym aktem i tak czystym głosem, jakiemu podobnego oddawna nie wydała Polska w niewoli? Albo jestże to może

tylko Bożą p r ó b ą, że kraj, który bądź co bądź i mimo strasznych klęsk doznanych, najmniéj położył zasług, i nie od wczora, ale od czasów rozbioru najmniéj się wypłacił sprawie ojczystéj, że taki kraj, w pierwszy teraz pchnięty jest szereg narodowéj obrony, i że jeden z pierwszych wstępuje na drogę, na któréj wytrwale i rozważnie utrzymać się, kto wie czyby potrafiła nawet prowincya nierównie więcéj poświęcona i nierównie więcéj dojrzała? Bo miejmy odwagę myśl naszę w całéj wypowiedzieć szczerości, i witając z radością wschodzący pierwiosnek, nie tajmy przed sobą, że pleśni jeszcze wiele na niwie i że z niejednéj strony mroźny wiatr jeszcze wieje! Pełni uznania dla rozpoczętego w Galicyi dzieła, jesteśmy wszakże zarazem i pełni niepokoju o dalsze jego losy; nie możemy zapomnieć o tém, że każdy postęp tylko własnym zdobywa i utrzymuje się trudem, i że takiego właśnie trudu jeszcze nie widzimy w Galicyi... Nie jeden d u c h ogarnia wszystkie warstwy społeczne téj ziemi, a praktyka życia daleką tu jest od téj patryotycznéj i politycznéj dojrzałości, jaką objawił adres do Wiednia wysłany. Włościanie, jeśli już mniéj niechętni, to zawsze równie nieufni, i w ciągłéj o uzyskaną swobodę obawie, chwytają i szerzą najdziwaczniejsze i najszkodliwsze pogłoski; snać, że niezmiennie, niewidomie, rządową, nienawistną kierowani są ręką, a przeciwko tym wrogim wpływom nie dosyć oddziaływa, ani obywatelstwo, ani stan duchowny. Po tak niedawném a strasznem doświadczeniu, wobec potrzeb tak oczywistych i naglących, i w chwili, gdy władza mniéj już przeszkód stawiać może, nie widzimy w Galicyi tych nawet dla dobra klasy rolniczéj prac i ofiar, jakie ponosi Wielkopolska, pod tym względem zaprawdę niezagrożona, jakie ponosi Królestwo, pod tym względem nierównie więcéj krępowane. Po tak niedawném a okropném doświadczeniu biskupów unickich na Litwie odstępstwa, wśród uprzedzeń Rusinów i zawiści Święto-

jurców, których Austrya chwyta się w swéj ślepocie, a któremi Moskwa kieruje w swéj przezorności, nie widzimy za Sanem téj o Unią i księży unickich troski, którą, i choćby w braku nawet wszelkiego religijnego uczucia, dyktować już powinien prosty polityczny rozsądek. W ludziach majętnych i historycznego imienia, których zastęp w Galicyi liczniejszy niż gdzieindziéj u nas, jakże mało jeszcze powiązania z sobą i z sprawą ojczystą; jak wiele téj fatalnéj, egoistycznéj pychy, która żadnemu trudowi obywatelskiemu nie chce użyczać swego poparcia, skoro na nim swéj osobistéj a widoméj nie może wybić pieczęci. Dla obywatelstwa następnie, mimo kilku poważniejszych wyjątków a niezaprzeczonego ogólnego rozbudzenia się, interes ojczyzny jest jeszcze przedmiotem codziennéj raczéj gawędy, niż codziennego obowiązku; słowo tam jeszcze nie wyraża przekonania, przekonanie nie pociąga za sobą czynu; wszędzie panuje jakaś luźna romantyka, która wstręt ma nieprzezwyciężony do wszelkiéj klasycznéj regularności i jedności w akcyi, a szczególne znajduje upodobanie w zabawnych intermezzach, i z rzeczy publicznych przedewszystkiém miłuje rzeczy pospolite i babińskie. A w takiém usposobieniu, czemże być zdoła opinia krajowa, jakie silniejsze utworzyć może obozy, jakiegoż skutecznego poparcia udzieli przewódzcom sprawy, i jak utrzymać potrafi ludzi i czynności w stałym i choćby najpiękniéj zakreślonym systemie? Że ożywiona i rozbudzona publicystyka do rzędu swych produkcyj zalicza i te dwa organa lwowskie, które brodzą w uczuciu, «co truje zgodę i co sławę szczypie» to, samo w sobie, nikogo roztropnego jeszcze nie zdziwi ani nad miarę nie zasmuci: leży to w naturze rzeczy, w naturze ludzkich rzeczy, które zło i dobro zarazem w sobie mieścić muszą. Ale to zasmuca i o przyszłość Galicyi niepokojem przejmuje, że fawor publiczny otacza takiego rodzaju pojawy, że miłość skandalu równoważy tu i przeważa miłość

Ojczyzny, i że nie brak tu rąk do przyklaskiwania tym, co w przylotnéj chwili zwolnienia cenzury, nie na wspólnego zwracają się wroga, i zamiast, choćby z narażeniem się pewném, przeciw biórokracyi walczyć niemieckiéj, podejmują dzieło nierównie bezpieczniejsze a niecne, szarpania swoich, i rzucania na własne bratnie szeregi jadowitych strzał. A nawet i lepszych żywiołów taka jest jeszcze bezsilność i niespójność, że i te, dwa jedynie poważne dzienniki dwóch stolic prowincyi, z których każdy zosobna krajowi zgodę zaleca, jednak między sobą pogodzić się nie mogą, i zamiast nawzajem się popierać i społem służyć téj saméj sprawie, słuchają natchnień bądź zadraśniętéj literackiéj próżności, bądź zagrożonego edytorskiego interesu.

A wszakże, z prowincyi tak bardzo rozbitéj i z tylu miar osłabionéj wyszedł jednak akt, który zaszczytnym i przez całą Europę uznanym był wyrazem czerstwego ducha i męzkiéj rozwagi!... Jestże to, zapytamy po raz wtóry, błogą nagrodą za przeszłe cierpienia téj ziemi; albo jestże to tylko nową a twardą próbą dla jéj sił wątłych i niezaprawnych? W każdym razie krok, świeżo uczyniony, wielkiém i uroczystém stał się zobowiązaniem! Na drodze, którą obrała, musi wytrwać Galicya; j e d n o ś c i, którą zapowiedziała, musi dowieść obecnie. Tylko, niech do téj jedności nie dąży przez niemożebne zacieranie wszelkich różnic zdań i opinii; niech jéj nie szuka w aklamacyach, z których tak łatwy do *liberum veto* bywa przeskok! W żywych i zdrowych społeczeństwach jedna jest tylko zgoda podobna i pożądana: ta, która z wzajemnego różnych przekonań wypływa uznania, na wzajemnéj, przynajmniéj co do celu, opiera się ufności, i do wspólnego, przynajmniéj przed obcymi, prowadzi działania. Ale do takiego szanowania się przeciwnych opinij, do takiego serc i umysłów ku sobie skłonienia, dostąpić tylko można wtedy, gdy jeden jak drugi obóz środkami gardzi nierzetelnémi, i z pola na-

rodowej służby odpędza ludzi w życiu prywatnem skażonych. Jeśli tę tak drobną, powszednią a w życiu publicznem tak ważną przecież prawdę zrozumie Galicya, usunie już tem samem niejeden powód swej obecnej słabości. A choćby w dalszym rozwoju bardziej się jeszcze w kraju uwydatniały odcienia i wyraźniej się różne uszykowały obozy, w niczem to wszakże powadze sprawy nie ubliży, w niczem nie nadwątli oporu przeciw wrogom i przed światem nie uszczerbi narodowej jedności. I jakiekolwiek wówczas będą podstępy i zamachy nieprzyjaciół, wyjdzie z nich Galicya zwycięzko i z chwałą, pracy i ofiarom jéj obywateli błogosławić będzie cała Ojczyzna, a patrzący wiecznie zgóry, nie odwróci twarzy Bóg!

ZAKOŃCZENIE.

W stosunkach wewnętrznych, głębsze i wielostronniejsze pojęcie tak warunków istnienia narodowego, jak konieczności wiązania i rozwijania sił własnych; w stosunkach zewnętrznych, trzeźwiejszy pogląd na ogólny stan świata i spostrzeżenie się na punktach oparcia i wyjścia, jakich sprawie naszéj i interesom naszym udziela istniejące dotąd, publiczne, międzynarodowe prawo Europy; te są dwie główne i ogólne cechy polskiego życia i odradzania się w roku ubiegłym. Do prawa tego europejskiego, silnie, od pewnego czasu, odwołuje się Księstwo Poznańskie; świeżo odwołała się Galicya, przemyśliwać o niém zaczynają i kraje rossyjskiego zaboru. Dziwna, że dla Polski to właśnie, dla niéj wyłącznie, wyrzeczone zostało w traktatach z r. 1815 to słowo «narodowości,» które teraz, gdy dla innych i przez innych wezwane, tak nowém i niezwykłém wydaje się urzędowej Europie, i które też dotąd nierównie więcej innym ciemiężonym posłużyło ludom, niźli Polsce samej. Dziwna także, że wrogowie nasi nie zdawali się nawet domyślać znaczenia i donioslości nowego słowa i nowego prawa, jakie dla nas a przeciw sobie zapisali w akcie wiedeńskim. Dziwniejsza jeszcze nad to wszystko, że Polska sama tak mało z téj zostawionéj broni zrobiła użytku, jej nawet za broń dla siebie przyjąć nie chciała, i jakby rozmyślnie zapominała o zobowiązaniu tych, co ją coraz bardziéj wiązali i coraz okrutniéj gnębili.

Któż zresztą z powodu takiego zabaczenia zechce naszemu narodowi robić wyrzuty? Któż raczéj nie zrozumie i nie uczci pięknych i szlachetnych stron uczucia, które nie chciało wziąść odczepnego za wydarte sobie mienie dziedziczne, i wobec złamanego całego prawa nie troszczyło się o jego drobne ułomki? Gdzie tak dotkliwie w sercu ciężyła *summa injurja*, nie wiele zaprawdę w umysłach ważyć mogło ocalone *minimum jus!* W traktacie wiedeńskim Polska widziała nowy tylko podział, a co większa, przyznane po raz pierwszy przez Europę naszym zaborcom prawa do posiadania rozdartych części Ojczyzny. Nie widziała, że razem z materyalnym podziałem, uznano wszakże moralną jednosć narodu; że razem z tytułami posiadania, trzy rządy przyjęły ścisłe i przez Europę nałożone, tegoż posiadania warunki; że całkiem niezwykła, i nowa to była tranzakcya, i że dla oznaczenia jéj, niezwykły i nowy do prawa publicznego wprowadzono wyraz, wyraz narodowości, wyraz co wiele miał w sobie nieokreślonego, dlatego właśnie że wiele zostawiał przyszłości. Nie znało przedtém prawo internacyonalne podobnéj umowy, obowiązującéj, w imieniu Europy, pewne rządy do szanowania szczególnych warunków i zastrzeżeń na korzyść podległéj im ludności; dla Polski to obmysliło zaniepokojone sumienie kilku państw chrześciańskich taki stan pośredni, w którym, pomimo utraconego bytu politycznego, byt narodowy został zabezpieczony; i w myśli tych, co te zastrzeżenia dla Polski przezorną układali ręką, traktat wiedeński

miał być jakby twierdzą, pod zasłoną której lepszych mogliśmy doczekać się czasów, i z której nawet niejednę szczęśliwą winniśmy byli zrobić wycieczkę..... Ale ta twierdza tak bardzo wewnątrz przypominała więzienie; litera, acz rozciągła, tak ciasną była dla ducha; realność była tak nizka i zniżająca, a ideał tak wysoki!... Z bolem więc tylko i gniewem myślała Polska o wiedeńskim traktacie; i była podobna do skazanego niewinnie człowieka, co nawet czytać niechce wyroku niesprawiedliwości — i choćby w nim miał znaleźć pewne ulżenia, i choćby w nim miał odkryć pewne punkta kasacyjne...

Wprawdzie, nie wszyscy i niezupełnie puścili w niepamięć korzyści, jakie dla Polski zawarował kongres wiedeński. W r. 1821, upominał się u rządu pruskiego, w imieniu Królestwa, książe Lubecki, o wolność żeglugi i komunikacyi handlowéj, którą osobny artykuł wiedeńskiego traktatu zastrzegł «dla wszystkich części Polski z roku 1772;» a gdy Prusy zadośćuczynienia odmówiły, nie wahał się ich przestrzedz, że odrzucając przyjęte zobowiązania, niweczą własną ręką i tytuł swoich posiadłości. W r. 1828, za pamiętnego sejmowego Sądu, odwołał się do tegoż traktatu Senat Królestwa, i krajowi i światu pokazał, jak dalece ta międzynarodowa umowa żądania i nadzieje Polaków, nawet wobec rządów ciemięzkich, uprawnia. Sam wreszcie manifest sejmowy, który donosił o wojnie rozpoczętéj z Mikołajem, usprawiedliwiał ją przed urzędową Europą wielokrotnem przez Moskwę gwałceniem zaręczeń Kongresu. Po upadku powstania, gdy wróg zwycięzki na wszystko ośmielony, warunków wszakże z r. 1815 otwarcie odrzucić nie śmiał, skrzętnie je tylko obchodził i ustawę konstytucyjną zastąpił, dla opinii, statutem organicznym (który zresztą nigdy wykonanym być nie miał), Polacy na tułactwie przypominali wciąż rządom zachodnim ich własne gwarancye, w imię tych traktatów wywoływali w parlamentach nieustanne o Polskę skargi; a

rozbudzona pamięć na kongresowe zobowiązania, nie jeden może od nas cios odwróciła w cichości knowany, i obecnemu polskich ziem upominaniu się, nie mało ceny i wagi dodaje.

Naród oswaja się teraz z myślą reklamowania zapewnionych mu traktatem wiedeńskim korzyści; a wolno sobie tuszyć, że głosy te i odezwy będą coraz częstsze i coraz powszechniejsze. Bo jedyny to skuteczny sposób wprowadzenia sprawy naszéj w poczet spraw żyjących; jedyny to głos, którym przemówić można tak dobrze do ciemięzkich rządów, jak do urzędowéj Europy. Nie taimy, ile w takowém przyzywaniu dzieła kongresu jest bolącego i drażniącego dla duszy polskiéj, tak ciężko ukrzywdzonéj, i nie dziwimy się wcale, że do tego wstręt mają tacy, co w samém tylko zamieszkują uczuciu, których hasło: *wszystko albo nic*, «a spotkania plac — powietrze.» Ale kto myśli, że jak stopniowo upadała, tak też stopniowo może dźwigać się przeznaczoném jest Polsce; kto wierzy, że jak część po części niegdyś utracała, tak też część po części odzyskiwać potrafi Ojczyzna; kto mówi nietylko aby mówić, ale przedewszystkiém aby Europa słuchać go chciała i mogła: ten dobrowolnie i lekkomyślnie nie opuści téj ciasnéj wprawdzie pozycyi ale i obronnéj, i która się z czasem musi stać zaczepną. Przecież i ci, którym dzisiaj tak niemile brzmi wszelka wzmianka traktatu wiedeńskiego ze strony Księstwa lub Galicyi, przecież i nawet ci niemałoby się ucieszyli, gdyby głos podobny już teraz, ich doszedł z rossyjskiego zaboru!... Bo i któż zresztą nie widzi, że ten rok 1815 nie jest dla nas celem ale środkiem do celu, punktem wyjścia tylko z cieśni obecnych stosunków? Przyznane nam od Europy prawo wiele już znaczy w sobie, a nierównie więcéj jeszcze znaczyć będzie uznanie, że prawo to zostało zgwałconém...

Kiedy, temu trzy lata, znakomity mąż stanu pierwsze stawiał kroki na drodze włoskiego oswobodzenia, na

któréj zaszedł daléj może niż sobie samemu zrazu śmiał obiecywać, daléj nawet niż tego pragnęło opiekuńcze a wspaniałomyślne mocarstwo: rozpoczął on swe dzieło od upomnienia się o punkt, na pierwszy rzut oka mały i błahy, o załogę wbrew traktatom trzymaną w Placencyi Od zgwałcenia prawa realnego i od upominania się o nie, poczyna się zawsze w dziejach świata walka i zwycięztwo prawa wyższego, idealnego. W różnym stopniu, w nierównych rozmiarach i odmiennych formach i stosunkach, ale w treści jednostajna to zawsze kolej wszelkéj sprawy ciemiężonéj, a walki i zwycięztwa szukającéj. A ileż to na polskiéj ziemi, wbrew traktatom osadzonych Placencyj!...



ZAMKNIĘCIE PISMA.

---

2 lutego 1861.

Zakaz rządu pruskiego, ogłoszony w urzędowéj gazecie z dnia 5 stycznia, zamyka pismu naszemu wszelki przystęp do polskiéj ziemi. Z ministrem pruskiego państwa walczyć nam nie podobna: rozporządzenia jego ani zmienić ani obejść nie możemy. I dlatego z dniem dzisiejszym *Wiadomości Polskie* przestają wychodzić.

KONIEC.

Paryż. — Drukarnia E. Martinet, ulica Mignon, 2

